

CARL SAGAN



KONTAKT

WARNER BROS. POLAND zaprasza na film *Kontakt*

Reżyseria: Robert Zemeckis

Występują: Jodie Foster, Matthew McConaughey,

James Woods, Angela Bassett

CARL SAGAN

KONTAKT

(TŁUMACZYŁ MACIEJ BOŃCZA)

*Aleksandrze,
która z końcem tego Milenium osiągnie
pełnoletność.
Obyśmy waszemu pokoleniu zostawili
świat lepszy niż ten, który nam dano.*

Przedmowa

Uczeni chwytający za pióro, żeby sprawdzić się na polu literackim, to przypadek nie tak znowu rzadki. Zwłaszcza w takim gatunku jak science fiction wydaje się idealnym do publicznego wyartykułowania pewnych koncepcji, hipotez i pomysłów, na ogół śmiałych i ciekawych, aczkolwiek kontrowersyjnych i tym samym jakby „niegodnych” do zaprezentowania ich w bardzo wyspecjalizowanym pragmatycznym i żądnym ścisłych dowodów świecie nauki. O ile jednak uczonym tym udaje się nawet niekiedy przedstawić jakąś ciekawą z naukowego punktu widzenia wizję, z reguły nie idzie to w parze z wyrazistością literackiej strony tej wizji. Nielicznym czynnym zawodowo naukowcom udaje się odnieść w gatunku science fiction istotniejszy czytelniczy sukces. Wprawdzie tytan światowej science fiction, Isaac Asimov, odnosząc swoje pierwsze poważne sukcesy literackie, zajmował się czynnie biochemią, ale przede wszystkim jako wykładowca uniwersytecki. I zresztą bardzo szybko poświęcił się wyłącznie pisarstwu. Natomiast innych nazwisk ze świata nauki jest naprawdę niewiele. Z całą pewnością należy tu wspomnieć o angielskim astrofizyku Fredzie Hoyle, autorze bestsellerowej Czarnej chmury i innych powieści, których treść w pierwszym rzędzie budowana jest na elementach jego własnej teorii nieustannej kreacji materii. Innym z tych, którzy z powodzeniem kojarzą naukę z literaturą, jest Amerykanin Gregory Benford, fizyk zajmujący się również astrofizyką, a zarazem pisaniem intrygujących powieści science fiction, acz chyba zbyt trudnych w treści dla przeciętnego amerykańskiego miłośnika tego gatunku literackiego. Jednak największy sukces czytelniczy stał się w 1985 roku udziałem amerykańskiego astrofizyka Carla Sagana.

W 1985 roku na amerykańskim rynku wydawniczym ukazała się debiutancka powieść Sagana nosząca tytuł Kontakt.

Z miejsca stała się wydarzeniem literackim i przyniosła jej autorowi liczący się sukces komercyjny, co nie jest bez znaczenia, zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych. Sagan zainkasował za tę powieść honorarium w wysokości dwóch milionów dolarów, dorównując tym samym bestsellerowym liderom literatury mainstreamowej. Ale nie był to pierwszy literacki sukces Sagana. Pod koniec lat siedemdziesiątych dużym powodzeniem cieszyła się książka Sagana pt. *Dragons of Eden: Speculations on The Evolution of Human Intelligence* (Smoki Edenu: Spekulacje na temat ludzkiej inteligencji). Ten esej popularnonaukowy spotkał się wprawdzie z krytyką specjalistów widzących w astrofizyku Saganie głównie tego, który wybrał się na wyprawę w domenę nie stanowiącą jego naukowej specjalizacji, lecz za to wręcz entuzjastycznie został przyjęty przez czytelników.

W 1980 roku w telewizji amerykańskiej ukazał się liczący kilkanaście odcinków serial pt. *Kosmos*, uznawany nawet dotąd za najlepszy w swoim rodzaju w całej historii telewizji. Scenariusz tego gigantycznego przedsięwzięcia popularnonaukowego został napisany przez Sagana. Warto tu przy okazji wspomnieć, że w przedsięwzięciu tym pomagał uczonemu Gentry Lee, inżynier kosmiczny z Jet Propulsion Laboratory w Pasadenie, uznany dzisiaj literacki współpracownik giganta światowej SF, Arthura C. Clarke'a. Książkowa wersja tego serialu przez 70 tygodni znajdowała się na prestiżowej liście bestsellerów „New York Timesa” i jest dzisiaj uważana już wręcz za klasykę pisarstwa popularnonaukowego.

Sagan to człowiek-instytucja. Pracuje naukowo, prowadzi wykłady, wygłasza odczyty, a przede wszystkim pisze. I to dużo: zarówno liczne artykuły, jak i książki. Naukowo zajmuje się tzw. egzobiologią - dyscypliną, zdaniem niektórych, nie całkiem naukową, znajdującą się na pograniczu nauk ścisłych i jakby nieuchwytej science fiction. Nic

dziwnego, że jako uczony zawsze znajdował się tam, gdzie istniało jakieś prawdopodobieństwo fascynującego odkrycia naukowego. Ten „papież” poszukiwaczy życia pozaziemskiego wręcz na życzenie amerykańskiej NASA należał do grupy naukowców analizujących fotografie Marsa, wykonane w trakcie obserwacji prowadzonych przez sondy kosmiczne „Mariner” i „Viking”, jak również fotografie Jowisza i Saturna wykonane podczas dwóch ekspedycji „Voyagerów”. Jeszcze jako student brał udział w pierwszym amerykańskim programie egzobiologicznym NASA w 1960 roku. Jest po prostu wszędzie tam, gdzie można liczyć na odkrycie jakichkolwiek śladów życia pozaziemskiego. Taki dynamizm zawodowy wymaga jednak specjalnego paliwa. Stanowią je marzenia.

Sagan przez wielu swoich kolegów naukowców uważany jest za niepoprawnego marzyciela. Kiedy wszystkie projekty nasłuchu sygnałów od cywilizacji pozaziemskich, o ile oczywiście takowe w ogóle istnieją, kończą się, jeden za drugim fiaskiem, a znużenie i zniechęcenie ogarniają nawet dotąd entuzjastów idei nasłuchu, na duchu nie upada jedynie Sagan. I jeśli ciągle nie udaje mu się nawiązać kontaktu z cywilizacją pozaziemską, to z wielkim powodzeniem sztuka ta udaje mu się z Ziemanami. Ten tryskający dynamizmem, elokwentny popularyzator potrafi swym zachwytem dla Kosmosu zarazić licznych swoich słuchaczy. Posiada, rzadki raczej, dar przekazywania innym swej fascynacji. Mówi zawsze pełnym siły głosem, nie uciekając od egzaltacji i intensywnej gestykulacji. Być może jest nawet lepszym popularyzatorem niż naukowcem, dlatego że na tę drugą specjalność właściwie prawie już nie ma czasu. W każdym bądź razie znacznie częściej można spotkać Sagana w sali wykładowej czy nawet hali widowiskowej, gdzie mówi do słuchaczy niż np. w radioobserwatorium w Arecibo w Puerto Rico, gdzie znajduje się słynny radioteleskop do nasłuchu sygnałów pozaziemskich. Jest prawdziwym entuzjastą popularyzacji idei, do których jest

przekonany. Swego czasu część letniego urlopu spędził agitując za pewnym projektem kosmicznym przewidzianym na lata osiemdziesiąte. I to właśnie głównie dzięki niemu projekt ten zyskał oficjalną aprobatę, a zdarzyło się to w okresie drastycznego zmniejszania wydatków na amerykańskie badania kosmiczne. Nic dziwnego więc, że Sagan jest częstym gościem NASA, a także telewizji. Wielokrotnie brał udział w popularnych programach Johnny'ego Carsona. Przy okazji popularyzacji wiedzy o kosmosie Sagan dał się poznać jako znakomity popularyzator siebie samego. W okresie produkcji wspomnianego już serialu Kosmos personel tego „gwiazdora” nauki rozjeżdżał się po całych Stanach Zjednoczonych, rozdając w różnych miejscach biuletyn stanowiący wykaz zasług i osiągnięć Sagana. A w tym samym czasie „gwiazdor” jeździł pomarańczowym samochodem ulubionej przez siebie marki porsche, mając wymalowany na karoserii napis „Fobos” - nazwę jednego z księżyców Marsa. Natomiast na zderzakach znajdowały się nalepki „Reunite Gondwana” - co z kolei oznacza masę lądową, która różnicując się, dała początek obecnym ziemskim kontynentom.

Guy Sorman, autor książki Prawdziwi myśliciele naszej epoki tak napisał o uczonym: „Carl Sagan jest przystojny i prowokujący; jego błyskotliwa inteligencja przysparza mu popularności”. I jest to prawdą. A przy tym wszystkim ten 57-letni dzisiaj uczoney nie jest wyłącznie gabinetowym intelektualistą, ale uczonym-instytucją biorącym udział w przygotowaniach do misji sond kosmicznych „Viking” i „Voyager”, które pomknęły w kierunku Marsa i Neptuna. Jest też autorem słynnej plakietki - graficznego przesłania do innych cywilizacji, umieszczonej na sondach „Pionier” 10 i 11. Nagrał również zestaw ziemskich dźwięków na płytę, która w statku „Voyager” przekroczyła granice Układu Słonecznego. Być może ta przesyłka w 55 językach zawierająca specyficzny „ciąg ewolucyjny” dźwięków wydawanych przez wulkany, lawiny,

fale oraz zwierzęta dotrze w końcu do jakiegoś odbiorcy? Sagan marzy o tym.

O kosmosie zaczął marzyć jeszcze jako kilkuletni chłopiec zaczytujący się kosmicznymi opowieściami Edgara Rice Burroughsa, których bohaterem był John Carter rodem z Wirginii, magicznie przeniesiony w kosmos, gdzie walczył z dziwnymi stworami, zmagając się z groźnymi wojownikami i przeżywał gorące uczucie do kosmicznych księżniczek. Z tej chłopięcej fascynacji kosmosem (a Marsem w szczególności) Sagan już nie był w stanie się otrząsnąć. Stała się nieuleczalna. I chyba dobrze się stało, gdyż świat nauki zyskał nietuzinkowego swego obywatela, a miłośnicy science fiction znakomitego autora, który dał im książkę tak znakomitą jak Kontakt.

Przez krytykę uznana została ta powieść za najbardziej udaną kombinację naukowej wizji i literackiej formy od czasów Herberta George'a Wellsa. Różni się zdecydowanie od większości dokonań, z reguły nad wyraz trywialnej w treści, literatury science fiction. Przyczyna tkwi w znakomitym przygotowaniu autora do tematu, o którym pisze. Historia Projektu Argus - projektu kontaktu z cywilizacją odległą od Ziemi o 26 lat świetlnych - to nie tylko znakomita powieść, ale przy okazji świetne kompendium wiedzy przyrodniczo-filozoficznej. Czytając tę powieść, spróbujmy poczuć się przez chwilę jak słuchacze któregoś z licznych barwnych i fascynujących wykładów prowadzonych przez Sagana w Cornell University, gdzie jest dyrektorem Laboratorium Planetarnego. Spróbujmy dzięki Kontaktowi zajrzeć w, być może, już nie tak wcale odległą przyszłość ludzkości, kiedy nawiążemy kontakt z ET's, czyli istotami pozaziemskimi. Może to nastąpić każdego dnia... Sagan jest przekonany o tym. Radioteleskopy przecież każdego dnia i nocy nasłuchują głosów Wszechświata...

Mariusz Piotrowski

CZEŚĆ I WIADOMOŚĆ

*Moje serce drży jak biedny liść.
W snach wirują planety.
Gwiazdy nacierają na okna.
Obracam się we śnie.
Moje łóżko jest ciepłą planetą.*

MERVIN MERCER
P. S. 153, Fifth Grade, Hartem
New. York City, NY
(1981)

ROZDZIAŁ 1

Liczby transcendentalne

To było wielkości planety. Nie mogło być tworem sztucznym według ludzkich miar, a przecież było czymś tak dziwnym i skomplikowanym, że ponad wszelką wątpliwość służyć musiało wyższym celom lub ucieleśniać jakąś ideę. Błyszcząc w orbicie polarnej obok wielkiej, białoniebieskiej gwiazdy, przypominało olbrzymi, nierównomierny mnogościan, obłożony milionami miseczkowato zagłębionych muszelek. Każda muszelka celowała w określony punkt nieba tak, że wszystkie konstelacje nieba były pod ich kontrolą. Ta wieloboczna planeta wykonywała swoje funkcje w wieczności. Nadzwyczaj cierpliwa. Mogła czekać wiecznie.

Gdy ją wyciągnęli, wcale nie krzyczała. Jej brewki były zmarszczone, ale zaraz otworzyła oczy szerzej i spojrzała na jaskrawe światła, na postacie obleczone w biel i w zieleń, na kobietę odpoczywającą pod nią, na stole. Jakieś znajome odgłosy rozległy się wokół niej i buzia jej przybrała ów dziwny, typowy dla noworodków wyraz - coś w rodzaju zakłopotania.

Gdy miała dwa latka wyciągała rączki nad główkę i przymilnie mówiła: „tata, op”. Znajomi nie ukrywali zdziwienia - dziecko było grzeczne.

- To nie grzeczność - tłumaczył tato. - Darła się ilekroć chciała, żeby ją wziąć na ręce. Więc powiedziałem: Ellie, nie musisz się drzeć. Po prostu powiedz: tata, op. Dzieci wcale nie są głupie, mam rację, Słonku?

Więc - zadowolona siedzi teraz „op” na zawrotnej wysokości, w ramionach ojca jak na grzędzie i szarpie go za

przerzedzające się już włosy. Lepiej tak żyć, i bezpieczniej - tu, w górze, niż raczkować poprzez las nóg. Tam ktoś może na ciebie nadepnąć, można się zgubić... mocniej zwarła piastkę.

Obejrzawszy mały skręcili za róg i podeszli do wielkiej bestii na wrzecionowatych nogach, której głowa na długiej szyi zaopatrzona była w małe rogi. Wyrosła nad nimi jak wieża.

- Ich szyje - powiedział tato - są za długie i nie mogą wydać z siebie głosu.

Jakże współczuła biednym, skazanym na milczenie istotom, ale odczuwała też radość, że istnieją - zachwyty, że takie cuda się zdarzają.

- No dalej, Ellie - łagodnie nagliła ją matka. W znajomym głosie dźwięczały radosne nuty - czytaj.

Siostra mamy nie mogła uwierzyć, że trzyletnie dziecko czyta. Ellie zapamiętuje - twierdziła z przekonaniem - bajki na dobranoc. Ale teraz, w rześki marcowy dzień, idą w dół State Street i zatrzymują się przed sklepem. Na wystawie lśni w słońcu kamień czerwony jak burgundzkie wino.

- Jubiler - Ellie czyta powoli, osobno literując każdą z trzech sylab.

Z poczuciem winy wsunęła się do składziku, gdzie na półce, dokładnie tam, gdzie zapamiętała, stała stara motorola - radio tak duże i ciężkie, że tuląc je do piersi, omal go nie puściła. „Niebezpieczeństwo! Nie zdejmować!” ostrzegał napis na tylnej ścianie, ale ona wiedziała, że skoro radio nie jest włączone, to niebezpieczeństwa nie ma. Wysuwając między wargi koniuszek języka, poodkręcała śrubki i zdjawszy tył zajrzała do wnętrza. Tak jak podejrzewała, nie było w nim ani maleńkich orkiestr, ani miniaturowych spikerów żyjących tam swoim cichym, małym życiem, dopóki ktoś nie przesunie przyciska na napis „wł”. Za to było tam mnóstwo pięknych szklanych rurek, trochę podobnych do dających światło

żarówek. Niektóre przypominały kościoły, jakie są w Moskwie i które widziała na obrazku w książce. Metalowe kołeczki na spodzie każdej z nich były tak zrobione, że pasowały idealnie do swych gniazdek. Pozbawione tylnej osłony radio, i z przyciskiem przesuniętym na „wł.” podłączyła do najbliższego kontaktu - przecież go nie dotyka, a nawet nie zbliża się do niego, więc jak mogłoby jej zaszkodzić?

Po chwili rury zaczęły jarzyć się ciepłym blaskiem, ale radio milczało. Było „do niczego” i już parę lat temu odesłane na emeryturę, dając miejsce nowocześniejszym cudom. Jedna rurka wciąż była ciemna - Ellie wyjęła wtyczkę, i z pewnym wysiłkiem wyciągnęła nieposłuszną lampę z gniazdka. W jej środku ujrziała metaliczną blaszkę i kilka przymocowanych do niej drucików. Prąd biegnie po tych drutach - zabrzmiało echem w jej głowie. - Choć wpięrow musi dostać się do rury. Jeden z kołeczków wydawał się zgięty i wyprostowanie go trwało moment. Znowu zatknęła rurę na swe miejsce i podłączyła odbiornik. Z zachwytem patrzyła, jak rurka zaczyna się jarzyć i ocean statyki elektrycznej wzbiera wokół niej. Niespokojnie zerkając ku zamkniętym drzwiom, skreśliła nieco gałkę głośności i tak długo obracała tarczą z napisem „częstotliwość”, aż trafiła na niezmiernie podekscytowany głos mówiący - tyle potrafiła zrozumieć - o rosyjskiej maszynie, która wypuszczona w niebo bez końca będzie krążyć wokół Ziemi. Bez końca, pomyślała. Znów obróciła tarczą w poszukiwaniu innej stacji, ale po chwili, lękając się, że ją w końcu odkryją, wyłączyła radio, luźno przykręciła pokrywę i z większą niż przedtem fatygą dźwignęła je, by umieścić z powrotem na półce.

Wpadła na matkę, kiedy trochę zdyszana opuszczała pokój.

- Wszystko w porządku, Ellie?

- Tak, mamo.

Próbowała normalnie nabrać powietrza, lecz serce jej kołatało i pociły się dłonie. Siadła w swym ulubionym kąciku

na małym podwórku i z kolanami podciągniętymi pod brodę rozmyślała o wnętrzu radia. Czy te wszystkie rurki rzeczywiście są potrzebne? Co by było, gdyby je po kolei usunąć? Ojciec kiedyś nazwał je lampami próżniowymi - co się odbywa we wnętrzu próżniowej rury? Czy naprawdę nie ma tam powietrza? Jak do radia dostają się dźwięki orkiestry i głosy spikerów? Ludzie mówią: „z powietrza”. Jak to wszystko może lecieć w powietrzu? I co się dzieje w radiu, kiedy zmienia się stację? Co to znaczy „częstotliwość”? I po co trzeba radio włączyć do prądu, żeby to wszystko pracowało? Czy można by wyrysować coś w rodzaju mapy, na której widać by było, jak w radiu płynie prąd? Czy można je rozebrać tak, żeby cię nie kopnęło. I złożyć je od nowa?

- Ellie, nad czym ty tak medytujesz? - rozległ się głos matki, która z porcją prania podeszła do sznura.

- Nic, mam, tak sobie. Myślę.

Gdy ukończyła dziesięć lat, zabrano ją na letnie wakacje do kuzynów, których nie cierpiała i którzy mieszkali na polu kempingowym ciągnącym się wzdłuż Jeziora Michigan, na wybrzeżu Półwyspu Północnego. Nie mogła zrozumieć ludzi, którzy mieszkając nad jeziorem w Wisconsin, męczą się pięć godzin za kierownicą, by dotrzeć nad drugie jezioro, w Michigan. Tym bardziej że oznacza to również spotkanie z dwoma tępymi dzieciuchami: jednym dziesięcio- i drugim jedenastoletnim. Obaj zdrowo stuknięci. Czy to możliwe, że ojciec - taki zawsze wrażliwy na wiele jej spraw - żąda, aby dzień w dzień bawiła się z dwoma takimi typami? Całe ówczesne lato polegało na tym, że przed nimi uciekała.

Któregoś upalnego, bezksiężycowego wieczoru wyszła samotnie po kolacji na drewniane molo. Jakaś motorówka akurat tędy przejechała i wyścigowa łódź jej wuja, przycumowana do przystani, lekko zakołysała się na oświetlonej gwiazdami wodzie. Było zupełnie cicho,

pominawszy daleki głos cykad i ledwie słyszalne wołanie niosące się hen, znad jeziora. Uniosła wzrok ku niebu usianym diamentami i serce jej zabiło. Nie odrywając oczu, a tylko macając wkoło wyciągniętą ręką, odszukała trawiastą płacheć, na której się wyciągnęła. Nieboskłon płonął gwiazdami. Były ich tysiące i większość mrugała, choć niektóre świeciły jasno i pewnie. Gdyby dokładniej im się przyjrzeć, można by dostrzec niewielką różnicę w ich zabarwieniu. Czy ta jaskrawa, tam, nie była bardziej niebieska?

Znów pomacała grunt wokół siebie: był solidny, spokojny, budzący zaufanie. Uniosła się lekko i popatrzyła w lewo i w prawo, to znaczy w górę i w dół rozciągającej się szeroko plaży. Widziała krańce wody - świat tylko zdaje się płaski, pomyślała - bo naprawdę jest kulą. Wielką piłką, która obraca się w środku nieba wykonując jeden obrót na dzień. Próbowwała wyobrazić sobie, jak ta kula wiruje z milionami ludzi przyczepionymi do niej, którzy gadają różnymi językami, noszą śmieszne rzeczy na sobie i wszyscy są jej uczepleni.

Znów płasko się wyciągnęła i spróbowała odczuć, jak ziemia się obraca. Może nawet troszeczkę to poczuła. W głębi nad jeziorem jasna gwiazda mrugała między najwyższymi konarami drzewa - przymrużywszy oczy można było rozkazać promieniom tańczyć wokół niej, a zmrużywszy jeszcze bardziej - odkształcić ich długość i bieg. Czy rzeczywiście gwiazda nagle znalazła się nad samym drzewem, czy tylko tak się zdawało? Jeszcze parę minut temu na pewno raz chowała się za gałęziami, raz kukała zza nich... Ależ na pewno! - jest teraz wyżej. To wtedy dorośli mówią, że gwiazda „wschodzi” - pomyślała. Obrót Ziemi następuje w odwrotnym kierunku. Na jednym końcu nieba gwiazdy wschodzą, i ten kierunek nazywa się Wschodem, na drugim, tam za nią i za kempingami, gwiazdy zachodzą i ten kierunek nazywa się Zachodem. Raz na dobę Ziemia wykonuje pełny obrót i wtedy te same gwiazdy znów wschodzą na tym samym miejscu.

A jeśli obraca się coś tak ogromnego, jak Ziemia, to musi się to dziać niesłychanie prędko... Zdawało się jej, że teraz to już naprawdę czuje obrót Ziemi, i już nie taki wyobrażony, ale coś, co sięgnęło jej aż do żołądka. Jak zjazd pospieszną windą w dół - odchyliła głowę jeszcze bardziej do tyłu, tak że nic już na Ziemi jej nie przeszkadzało i widziała tylko czarne rozgwieżdżone niebo. Z uczuciem wdzięczności pomyślała o trawie, której kępek w razie czego można by się chwycić, ratując swe cenne życie - bo w przeciwnym razie runęłaby ku niebu - jej ciało coraz głębiej zapadające się w przestrzeń...

Krzyknęła, zanim zdążyła ręką zasłonić usta. I tylko dzięki temu znaleźli ją kuzyni - zgramoliwszy się w dół po zboczach, stanęli nad nią, zanim z jej twarzy zniknął niezwykle wyraz trwogi zmieszany z olśnieniem: łup, który ochoczo ponieśli - tę małą, rozkoszną niedyskrecję - jej rodzicom.

Książka była lepsza niż kino. Po pierwsze - było w niej więcej wszystkiego niż w filmie. Również niektóre sceny zupełnie w filmie pozmieniano, za to i w jednym, i w drugim Pinokio - drewniany chłopiec cudownie ożywiony - nosił coś w rodzaju staniczko-kurteczki, a drewnienka rąk i nóg miał połączone ćwiekami. Kiedy Dżepetto skończył strugać Pinokia, na chwilę obrócił się do niego plecami, i nagle poleciał głową w przód - takiego celnego dostał kopniaka. W tej chwili nadszedł przyjaciel stolarza i pyta - co robisz na podłodze?

- Uczę - z godnością mówi Dżepetto - mrówki alfabetu. To zdawało się Ellie niesłychanie dowcipne i lubiła koleżankom i kolegom opowiadać tę historyjkę. Ale zawsze, gdy do niej wracała, zza skrajów jej świadomości wyłaniało się nieme pytanie: Czy można mrówki nauczyć alfabetu? Przede wszystkim - komu chciałoby się ganiać za tymi setkami insektów rozbieganych po twoim cieple, z których każdy może cię ukąsić? Aaaale, czy takie mrówki w ogóle by się czegoś nauczyły?

Czasem w środku nocy budziła się i szła do łazienki, gdzie natykała się na ojca w samych spodniach od pidżamy, z wyprężoną szyją i z twarzą, na której był krem do golenia oraz wyraz jakiejś szczególnej arystokratycznej wzgardy. „Cześć, Słonku”, mówił, co było skrótem „słoneczka”, a ona uwielbiała, gdy ją tak przezywał. Ale po co golił się w środku nocy, kiedy nikogo nie obchodziło, czy ma zarost, czy nie? „Dlatego”, tłumaczył z lekkim uśmiechem, „że obchodzi to twoją mamę”. Dopiero po latach zrozumiała to żartobliwe tłumaczenie. Po prostu - jej rodzice byli w sobie zakochani.

Po lekcjach brała rower i jechała do niewielkiego parku nad jeziorem. Z torebki przy siodełku wyciągała Poradnik radioamatora i Jankesa na Dworze Króla Artura. Chwilę wahała się, po czym wybierała to drugie: bohater Twaina akurat dostał w łeb i kiedy ocknął się, był w arturiańskiej Anglii. Może to mu się śniło, a może miał halucynacje? Niewykluczone jednak, że to wszystko było prawdą. Chyba można wstecz podróżować w czasie? Z podbródkiem na kolanach wędrowała wzrokiem po liniijkach, znów odczytując ulubione kawałki, na przykład, gdy bohatera na samym początku bierze w niewolę facet w zbroi, którego ten uważa za uciekiniera z tutejszego domu wariatów. I kiedy docierają na szczyt wzgórza, skąd widać rozłożone przed nimi miasto...

„Bridgeport? - spytałem.

Camelot - powiedział”.

Gapiała się w błękit jeziora, próbując wyobrazić sobie takie miasto, które było i Bridgeport z dziewiętnastego wieku i Camelotem z szóstego, gdy nagle wyrosła nad nią zadyszana matka.

- Szukam cię wszędzie, dlaczego nigdy cię nie ma tam, gdzie można by cię znaleźć? Och, Ellie - szepnęła - stało się coś okropnego.

W siódmej klasie uczyli się liczby „pi”. To była grecka litera, która wyglądała jak kamienne budowle w Stonehenge, w Anglii: dwa pionowe słupy z ułożoną na wierzchu belką w poprzek - Π. Czyli to, co się otrzymuje podzieliwszy obwód koła przez jego średnicę - w domu Ellie wzięła zakrętkę od majonezu, owiązała ją sznurkiem, potem go wyprostowała i linijką zmierzyła jego długość. Tak samo postąpiła w poprzek zakrętki, a potem to podzieliła. Otrzymała 3,21. Doprawdy, nie było to nic trudnego.

Nazajutrz pan od matematyki, Weisbrod, powiedział, że „pi” wynosi około $22/7$, czyli 3,1416. Z tym, że jeśli ktoś chciałby być bardzo dokładny, to otrzyma ułamek, który ciągnie się i ciągnie w nieskończoność, kombinacjami cyfr, które nigdy się nie powtarzają. W nieskończoność, pomyślała Ellie i podniosła rękę. To był początek roku szkolnego i Ellie nie zadała jeszcze w klasie żadnego pytania.

- Skąd ludzie wiedzą, że ten ułamek ciągnie się i ciągnie w nieskończoność

- Bo wiedzą - chłodno powiedział pan od matematyki.

- Ale jak? Skąd wiedzą? Czy można obliczyć ułamek, który nigdy się nie kończy?

- Panno Arroway - powiedział pan Weisbrod, otwierając dziennik - to pytanie jest głupie, zabierasz nam czas poświęcony na lekcję.

Nikt dotąd nie powiedział Ellie, że jest głupia, poczuła więc, że jeszcze chwila i się rozplacze. Bili Horstman, z którym dzieliła ławkę, leciutko przykrył jej dłoń swoją ręką. Akurat oskarżono jego ojca o fałszowanie przebiegu używanych samochodów, którymi handlował, więc Billy wiedział dobrze, co to znaczy publiczne poniżenie. Ellie szlochając wybiegła z klasy.

A po szkole pojechała rowerem do biblioteki miejscowego koledżu, aby przejrzeć matematyczne książki. I z

tego, co udało się jej wyczytać, nabrała przeświadczenia, że jej pytanie wcale nie było głupie. Bo z Biblii, na przykład, wynika, że starożytni Hebrajczycy uważali „pi” za równe dokładnie trzem. Natomiast Grecy i Rzymianie, którzy o matematyce mnóstwo wiedzieli, nie mieli pojęcia o tym, że liczby w ułamku za trójką bieżną w nieskończoność i nigdy się nie dublują, bo fakt ten odkryto zaledwie dwieście pięćdziesiąt lat temu. Więc jeśli odmówić prawa do pytań, jak można się czegokolwiek dowiedzieć? Co prawda pan Weisbrod miał rację, gdy szło o pierwszych parę cyfr - „pi” to nie było 3,21. Może zakrętka od majonezu była wygięta, a może Ellie niedokładnie zmierzyła linijką sznurek? Choć przecież niechby i najdokładniej mierzyła, jak można spodziewać się, że zmierzy ułamek nieskończony?

A jednak istniała jeszcze inna możliwość: liczba „pi” pozwala obliczyć siebie rachunkiem różniczkowym do takiego poziomu dokładności, jaki tylko przyjdzie do głowy. Bo jeśli się znasz na różniczkach, możesz wyprowadzić wzór, z którego można obliczyć ułamek dziesiętny liczby „pi” tak długi, na jaki pozwoli ci czas. W podręczniku znalazła wzory dla „pi” dzielonego przez cztery - niektórych zupełnie nie zrozumiała, ale były też takie, które ją olśniły: $\Pi/4$, mówił podręcznik, to tyle samo co $1-1/3+1/5-1/7...$ ułamki, które można wyciągnąć w nieskończoność. Spróbowała zaraz je przećwiczyć, na przemian dodając i odejmując. Suma wypadła raz większa raz mniejsza niż $\Pi/4$, choć już wkrótce było jasne, że te tasiemce liczb prowadzą jak strzełił do właściwej odpowiedzi. Ścisły wynik był nieosiągalny, ale można było przy odrobinie cierpliwości podejść do niego jak najbliżej. Graniczyło to dla niej z cudem, że każdy, absolutnie każdy okrąg na świecie ma taki ścisły związek z tymi szeregiem ułamków. Skąd okręgi dowiedziały się o ułamkach? Postanowiła nauczyć się różniczek.

W książce wyczytała coś jeszcze: na przykład, że „pi” nazywano liczbą „transcendentalną”. Nie było w matematyce

takiego równania, które posługując się zwykłymi liczbami, dałoby w wyniku liczbę „pi”, chyba że byłoby to równanie nieskończenie długie. Znała się już trochę na algebrze i wiedziała, co to znaczy. Ale „pi” nie była jedyną liczbą transcendentálną. W rzeczywistości istniała nieskończona ilość takich liczb. Co więcej, było nieskończenie więcej transcendentálnych liczb, niż zwykłych, choć „pi” była jedyną, o której zdarzyło się jej słyszeć. Ponad wszelką wątpliwość istniało więcej powodów niż ten jeden, dla których liczba „pi” miała związek z wiecznością.

Poczuła, że na sekundę musnął ją cień jakiegoś majestatu. Oto wśród pospolitych cyfr ukrywa się gdzieś wieczność liczb transcendentálnych, na które nie trafi nikt głęboko nie zaznajomiony z matematyką. Wprawdzie niektóre wyskakiwały czasem - jak choćby liczba „pi” - na powierzchnię normalnego życia, lecz większa ich część (ilość nieskończona, przypomniała sobie) pozostawała w ukryciu, zajmując się tylko sobą, i ponad wszelką wątpliwość niedostępna oczom ludzi poirytowanych, na przykład, pana Weisbroda.

Pierwszym rzutem oka przejrzała Johna Staughtona na wylot. Tajemnicą było dla niej, jak matka mogła pomyśleć o małżeństwie z kimś takim - nieważne już, że ledwie dwa lata po śmierci ojca. Wprawdzie prezentował się niczego sobie, i jeśli mocno na siebie uważał, mógł nawet wywołać wrażenie, że nie tak zupełnie ma ciebie gdzieś. Co weekend zapraszał studentów do ich nowego domu, kazał im pielnić ogródek i wykonywać różne domowe prace, by potem drwić z nich, gdy już poszli. Ellie powiedział, że skoro dopiero zaczyna liceum, nie wypada, by więcej niż raz spoglądała na każdego z pięknych młodzieńców, którzy tu przychodzili. Był rozdęty uczuciem swej ważności i pewna była, że w cichości ducha gardził ojcem, który był tylko właścicielem sklepu. Staughton nie ukrywał, że uważa zainteresowanie radiem i elektroniką za niewłaściwe dla

dziewczą, że nigdy nie złapie męża i że zgłębianie fizyki jest w jej przypadku zajęciem głupim, zboczonym. Oraz „pretensjonalnym”, dodawał. Brak jej po prostu naturalnych zdolności. To fakt obiektywny, który powinna zaakceptować. Mówi to dla jej dobra, kiedyś mu będzie dziękowała. Jest w końcu docentem fizyki. On wie, ile to kosztuje. Doprowadzał ją do szału upokorzeniami, mimo że nigdy dotąd (Staughton w to nie wierzył) nie myślała poważnie o karierze naukowej.

Był źle wychowany, odwrotnie niż ojciec, i nie miał pojęcia o poczuciu humoru. Do furii doprowadzało ją, gdy brano ją za córkę Staughtona, toteż ani matka, ani on nawet jej nie proponowali, by zmieniła nazwisko. Odpowiedź znali aż za dobrze.

Czasami w tym człowieku zatliła odrobina ciepła, jak wtedy, gdy leżała w szpitalnej sali po operacji migdałków, i on przyniósł jej wspaniałą kalejdoskop.

- Kiedy będą operować? - sennie zapytała.

- Już operowali - powiedział Staughton. - Wszystko będzie dobrze.

Fakt, że z jej życia można wyjąć kawał czasu, tak że nawet tego nie poczuła, uznała za niepokojący. I do niego miała o to pretensję, choć czuła, że zachowuje się jak dzieciak.

Czy to możliwe, że matka naprawdę go kochała? Może samotność, może kobieca słabość skłoniły ją do ponownego zamążpójścia? Jest typem, którym wciąż trzeba się zajmować, więc Ellie złożyła ślubowanie, że nigdy przenigdy nie dopuści do sytuacji, w której byłaby od kogoś zależna. Ojciec jej zmarł, matka robiła się coraz odleglejsza, a ona sama zamknięta na dworze tyrana. Nie ma nikogo, kto nazwałby ją „Słonek”, jakże pragnęła ucieczki...

„Bridgeport? - spytałem.

Camelot - powiedział”.

ROZDZIAŁ 2

Koherentna wiązka światła

Odkąd zyskałam zdolność posługiwania się rozumem, moje pragnienie zdobycia wiedzy stało się tak potężne i gwałtowne, że ani upomnienia drugich... ani moje własne rozeznanie... mogły powstrzymać ten naturalny impuls od Boga mi dany. On jeden wie po co; i wie też, że błagałam Go, by odebrał mi światło myśli zostawiwszy tyle, ile bym nie przekroczyła Jego praw; każda wszak rzecz u kobiety łatwo staje się przesadą - wiem to po innych ludziach. I może to się stać, jak powiadają, dla drugich pokrzywdzeniem.

JUANA INES DE LA CRUZ

Odpowiedź Biskupowi Puebli (1691), który zaatakował jej rozprawę jako nie licującą z jej płcią.

Chciałbym łaskawej uwadze czytelnika przedstawić pogląd, którego paradoksalność, jak się obawiam, i wywrotowość mogą okazać się nie do przyjęcia. Wspomniana teoria jest następująca: błędem jest zawierzyć twierdzeniu, gdy nie istnieje grunt, by domniemywać o jego prawdziwości. Oczywiście, podkreślić muszę, że jeśli taki punkt widzenia rozpowszechniłby się w społeczeństwie, całkowicie odmieniłby jego życie oraz polityczny system; skoro oba w obecnej chwili są nienaganne, taka rzecz musiałaby zaważyć przeciw nim.

BERTRAND RUSSELL

Eseje sceptyczne, t. I (1928)

Wokół równika białoniebieskiej gwiazdy znajdował się szeroki pierścień kosmicznego gruzu - skał, lodu, metali i substancji organicznych - który był czerwiejszy na obwodzie, a

w pobliżu gwiazdy błękitnawy. Mnogościan wielki jak planeta pionowo przeleciał przez rozziw między pierścieniami w dół, na ich drugą stronę. Dopóki przebywał w poziomie pierścieni, przesłaniały go czasem bryły lodowe i strzaskane głązy, lecz teraz, gdy wrócił na swą trajektorię ku punktowi ponad drugim biegunem gwiazdy, rozbłysł słonecznym światłem odbitym od milionów przyczepionych do siebie muszelek. Patrząc uważnie spostrzegłbyś, jak jedna z nich wykonuje nieznaczne kierunkowe namiary. Ale już nie dostrzegłbyś, jak buchnęła zeń radiowa fala i runęła w głębinę kosmosu.

Dla wszystkiego, co zamieszkuje Ziemię, niebo nocą zawsze było przyjacielem i natchnieniem. Przyjemność sprawiał widok gwiazd, bo zdawały się one głosić, że niebo stworzono dla dobra ludzi i dla pomocnego przewodnictwa nimi. Ta próżna i patetyczna myśl zyskała rangę powszechnej, światowej mądrości - żadnej z kultur nie ominęła. Dla wielu niebo stało się bramą dla ich uniesień religijnych; innych wspaniałość i ogrom kosmosu przejmowały lękiem i pokorą; byli też tacy, których fantazję niebo prowokowało do najdziwniejszych wyskoków.

Ludzie, gdy tylko odkryli, jaka jest skala wszechświata i kiedy doszli do wniosku, że nawet najśmielsze ich wyobrażenia były niczym w porównaniu z rzeczywistym ogromem choćby Mlecznej Drogi, zaczęli tak postępować, aby ich następcy nie mogli już sięgnąć gwiazd. Przez milion lat ludzka istota miała jakąś swą osobistą, codzienną wiedzę o tym, czym jest to niebo nad nim. Ale w ostatnich kilku tysiącleciach zaczęto wznosić miasta i do nich emigrować. W ciągu ostatnich dekad ogromna część ludzkości już całkiem porzuciła wiejski tryb życia, zaś w miarę rozwoju technologii i zatrucia miast, niebo stawało się coraz bardziej bezgwiezdne. Nowe pokolenia wzrosły w pełnej ignorancji, czym jest niebo - to samo, które budziło taki lęk w

ich przodkach i które stało się bodźcem dla wieku nowoczesnej nauki i technologii. Niepostrzeżenie, gdy tylko astronomia zaczęła wkraczać w swój złoty wiek, ludzie odcięli się od nieba, popadli w kosmiczny izolacjonizm, którego kres nastąpił dopiero z pierwszym lotem w kosmos.

Ellie często spoglądała na Wenus i wyobrażała sobie, że jest to planeta trochę taka jak Ziemia - są też na niej rośliny, zwierzęta i cywilizacje, choć wszystkie inne niż to, co tu mamy. Gdy na jej podmiejskim osiedlu słońce już zaczynało zachodzić, wpatrywała się w przedwieczne niebo, a już szczególnie długo w tę nieruchomą, jasną kropkę światła. Próbowwała wyobrazić sobie, co tam się dzieje - nawet wspinała się na palce, byle lepiej przyjrzeć się planecie. I przysięgała, że widzi - czasem, kiedy zakole żółtej chmury nagle na krótko się przejaśniło - wielkie miasto z drogich kamieni. Powietrzne samochody mknęły wśród kryształowych spiczastych wież, i czasem wyobrażała sobie, że zagląda do środka któregoś z tych pojazdów. I widzi - jednego z nich. Albo fantazjowała, że ktoś młody - tam - gapi się w jasnyniebieski punkt światła na ich niebie, i też wspina się na palce i дума o mieszkańcach Ziemi. Co za nieodparta myśl o gorącej, tropikalnej planecie, która kipi rozumnym życiem, i to tuż, tuż, obok!

Godziła się na wkuwanie wiedząc, że to tylko jest pusta skorupa dla wiedzy. Pracowała tyle, ile potrzeba dla jakichś tam wyników, zaś większość czasu poświęcała innym zagadnieniom. Wolne chwile po lekcjach, a nawet całe godziny, udawało się jej przepędzać w czymś, co nazywano „warsztatem” - to znaczy, w brudnej, ciasnej fabryczce, którą otwarto w czasach, kiedy szkoła poświęcała więcej uwagi „edukacji zawodowej”, niż to obecnie jest w modzie. Coś, co nazywano „edukacją zawodową”, ograniczało się zresztą do prac ręcznych - stąd w warsztacie tokarki, wiertarki i inne narzędzia, do których nie wolno jej było się zbliżać, albowiem

bez względu na talenty, jakie być może miała, przecież „była dziewczyną”. Z oporami wyrażono zgodę, by prowadziła swe prace w elektronicznej części „warsztatu”. Więc najpierw składała małe radio, posługując się mniej lub bardziej odrębnym szkicem, by wkrótce przerzucić się na coś o wiele bardziej interesującego.

Skonstruowała maszynę szyfrową - dość prymitywną, ale działała. Każdą wiadomość wrzuconą do niej w języku angielskim, umiała przetworzyć prostym szyfrem na coś, co mogło zdawać się bełkotem. Ale zbudować maszynę, która działałaby odwrotnie, to znaczy, odtwarzałaby wiadomość z zaszyfrowanej w zrozumiałą, przy nieznajomości kodu - oho, to by było coś. Można by przecież skonstruować maszynę, która sprawdzałaby każdą z możliwych podmianek (na przykład, A zamiast B, A zamiast C, A zamiast D), przy czym należałoby pamiętać o tym, że niektóre litery w angielskim są częściej używane od innych.

Maszyna dekodująca stała się zabawką tylko dla niej samej, bo nigdy nie posłużyła się nią do posyłania koleżankom lub kolegom jakichś supertajnych informacji. Wątpiła, czy choć jedno z nich mogłoby się stać zaufanym powiernikiem jej elektronicznych i kryptograficznych namiętności - chłopcy tylko by wrzeszczeli i latali, zaś koleżanki jakoś dziwnie na nią spoglądały.

Żołnierze armii Stanów Zjednoczonych walczyli w dalekim kraju, który nazywał się Wietnam. Miesiąc w miesiąc coraz więcej młodych ludzi zgarniano z ulic i gospodarstw i odprawiano do Wietnamu. Im jaśniej zaczynała rozumieć, skąd się biorą wojny i im więcej wysłuchiwała publicznych wypowiedzi wodzów narodu, tym większa ogarniała ją wściekłość. I Prezydent i Kongres kłamią, zabijają - myślała sobie - a prawie cała reszta w milczeniu się na to godzi. Jej bunt wzmógł się zwłaszcza po tym, jak jej przybrany ojciec wyraził

swoje oficjalne stanowisko w sprawie dotrzymywania układów sojuszniczych, teorii domina i bezczelnej agresji komunistycznej. Zaczęła się więc wymykać na odbywające się niedaleko, w jednym z koledżów, wiece i mityngi. Ludzie, których tam spotykała zdawali się jej o wiele bystrzejsi, otwarci, i żywi, niż towarzystwo w gimnazjum - zgrzebne i gułowate. John Staughton wpierw parę razy ostrzegł ją, aż wreszcie zabronił zadawać się ze studentami. Nie uszanują jej - powiedział - wykorzystają. Zaś ona pozuje na intelektualistkę, którą nie jest i nigdy nie będzie. Gorszący jest też sposób, w jaki się ubiera: czy kurtka wojskowa to strój odpowiedni dla dziewczyny? To nędzna maskarada pełna hipokryzji, mająca niewiele wspólnego z zmanifestowaniem sprzeciwu wobec amerykańskiej interwencji w południowo-wschodniej Azji.

Matka nie uczestniczyła w tych sporach, ograniczając się do patetycznych nawoływań, by Ellie i Staughton ze sobą „nie walczyli”. Za to, gdy zostawały same naciskała na Ellie, by poddała się woli przybranego ojca i żeby „była miła”. Ale Ellie zaczęła podejrzewać Staughtona, że ożenił się z matką tylko dla pieniędzy z ubezpieczenia, jakie dostała po śmierci ojca. Czy mógł być jakiś inny powód? Któregoś dnia matka przybiegła do Ellie w stanie podenerwowania i nagle zażądała, by Ellie zrobiła „coś dla nich wszystkich” - aby zaczęła uczęszczać na wykłady z Pisma Świętego. Jak mama mogła poślubić Staughtona? - to pytanie już tysięczny raz w niej krzyczało. Wykłady z Pisma Świętego - ciągnęła matka - ułatwiają przyswajanie sobie tradycyjnych cnót, no i co więcej, pokażą Staughtonowi, że Ellie szczerze pragnie jakiegoś porozumienia - „A wszystko to zrób z miłości dla matki i ze współczucia dla niej” - można by zakończyć.

I tak każdej niedzieli, przez prawie cały rok szkolny, Ellie regularnie uczęszczała na spotkania dyskusyjne odbywające się w pobliskim kościele. Był to jeden z tych protestanckich zborów, których nawet nie musnął ożywczy

niepokój ewangelizacji. Przychodziło tam paru gimnazjalistów, trochę dorosłych - głównie kobiet w średnim wieku - a także żona pastora pełniąca rolę przewodnika wspólnoty. Nigdy przedtem Ellie poważnie nie czytała Biblii, raczej godząc się z małoduszną definicją ojca, że „jest to na pół historia barbarzyństwa, na pół zestaw bajek”. Tak więc podczas weekendu poprzedzającego pierwsze spotkanie przeczytała (próbując nie mieć swego krytycyzmu) to, co wydawało się jej najważniejszymi częściami Starego Testamentu. Od razu zauważyła, że w pierwszych dwóch rozdziałach Księgi Rodzaju znajdują się dwie odrębne i zupełnie sobie przeciwne historie Stworzenia. Nie rozumiała, jak mogło istnieć światło i cień, zanim zostało stworzone Słońce, miała problem z odgadnięciem, czyim właściwie mężem był Kain i wprost zadziwiły ją opowieści o Locie i jego córkach, o Abrahamie i Sarze w Egipcie, o zaręczynach Dinah, Jakubie, i Ezawie. Rozumiała, że tchórzostwo jest czymś, co zdarza się na tym świecie, i że synowie mogą okłamywać, nawet oszukiwać starego ojca, zaś nikczemny mąż może zgodzić się na to, by jego żona była nałożnicą króla. Nawet zdarza się i to, że ktoś namawia do zgwałcenia swych córek. Ale jednego w tej świętej księdze brakowało: słowa niezgody na te okropności, co więcej, zdawało się, że te zbrodnicze czyny są akceptowane, nawet pochwalane.

Od początku spotkania nie mogła doczekać się dyskusji nad tym, co uważała za irytujące nielogiczności. Spodziewała się, że trochę uchyli się przed nią kurtyna przesłaniająca Boskie Zamiany, albo przynajmniej znajdzie się wytłumaczenie, dlaczego oczywiście zbrodnie nie znajdują potępienia w oczach autora, czy raczej Autora. Czekало ją rozczarowanie - żona pastora poddała się bez wystrzału: takie sprawy po prostu nigdy nie były przedmiotem ich dyskusji. Gdy Ellie upierała się, aby dociec, jak to możliwe, że córki faraona jednym rzutem oka do koszyka wiedziały, że mają do czynienia z żydowskim

dzieckiem, żona pastora spłonęła głębokim rumieńcem i poprosiła, by Ellie nie zadawała niewłaściwych pytań (w tym momencie w głowie Ellie zajaśniała odpowiedź).

Gdy przeszli do Nowego Testamentu, podniecenie Ellie jeszcze wzrosło. Mateusz i Łukasz wywodzili drzewo rodowe Jezusa od samego króla Dawida, lecz dla Mateusza między jednym a drugim było dwadzieścia osiem pokoleń, zaś dla Łukasza czterdzieści trzy. Na obu listach nie zgadzało się prawie ani jedno nazwisko. Jakże więc obie Ewangelie - i Mateusza, i Łukasza - mogą być tym samym Słowem Boga. Sprzeczne ze sobą genealogie wydały się jej jaskrawym przykładem dopasowywania późniejszych wydarzeń do proroctwa Izajaszowego, preparowaniem danych, które w chemii nazywa się „laboratorką”. Głęboko poruszyło ją Kazanie na Górze, ale równie głęboko rozczarowało upomnienie, aby oddawać co cesarskie cesarzowi i dwukrotnie do łez i krzyków doprowadziła ją pastorowa, próbująca unikami zbyć pytanie o prawdziwy sens zdania: „Nie przychodzę czynić pokoju, lecz wojnę”. Wreszcie powiedziała matce załamującej nad nią dłonie, że zrobiła co mogła, ale już nikt nawet końmi nie zawlecze jej na następne spotkanie.

Leżała na tapczanie. Była upalna letnia noc. Elvis śpiewał: „Błagam o jedną noc z tobą...” - ci chłopcy w szkole, tacy niedojrzali. I takie sprawiało kłopoty - zważywszy policyjny nadzór, pod jakim przybrany ojciec ją trzymał - rozwinięcie znajomości z pewnym studentem, którego spotykała na wykładach i podczas wieców. Niechętnie przed sobą przyznawała, że przynajmniej co do jednego John Staughton się nie mylił: młodym mężczyznom w większości przypadków chodziło wyłącznie o korzyści seksualne. Ale zarazem byli oni, wbrew temu, czego można by się spodziewać - emocjonalnie dużo bardziej wrażliwi. Może z powodu tej pierwszej cechy?

Już była na pół pogodzona z myślą, że ze studiów nici, ale bez względu na wszystko zamierzała opuścić dom. Staughton nie dałby jej ani grosza na drogę i psu na budę zdałyby się potulne orędownictwa mamy... gdy wtem na egzaminach wstępnych Ellie wypadła tak świetnie, że - ku własnemu zaskoczeniu - uzyskała, jak twierdzili nauczyciele, szansę na stypendium w jednym z najlepszych uniwersytetów w kraju. Wśród pytań testowych udało jej się parę trafień, i uważała to za fuks. Jeśli się przecież ma minimum wiedzy, ot tyle, by umieć wykluczyć wszystkie oprócz dwu najbardziej prawdopodobnych odpowiedzi, a potem nie sypnąć się w zestawie dziesięciu prostych pytań - obliczała sobie - to istnieje szansa jedna na tysiąc, że się trafi cały test. Przy dwudziestu prostych pytaniach szansę maleją do jednego na milion. A jeśli około miliona uczniów zdawało w tym roku egzamin, to temu jednemu po prostu musiało się udać.

Cambridge w Massachusetts to dość daleko, by wymknąć się spod kurateli Staughtona, ale zarazem dość blisko, by na wakacje jeździć znów do domu na spotkania z matką - dla której zresztą cała domowa sytuacja stawała się coraz trudniejszym wyborem pomiędzy nieustanną zdradą córki, a doprowadzaniem własnego męża do wybuchów wściekłości. Ku własnemu zdziwieniu Ellie nie wybrała Instytutu Technologii Stanu Massachusetts, lecz Harvard.

Pojechała więc studiować - ładna, młoda, ciemnowłosa i niewysoka kobieta, z uśmiezkiem błakającym się w kąciku ust i gotowością nauczenia się wszystkiego. Postanowiła wzbogacić swą wiedzę wszelkimi możliwymi kursami, jakie się nawiną i nie ograniczać się do swych głównych przedmiotów, czyli matematyki, fizyki i inżynierii. Niestety, w dziedzinie głównych przedmiotów napotkała pewne trudności: z chłopakami, którzy stanowili większość w jej grupie - nie dość, że ledwie można było pogadać o problemach fizyki, to już w ogóle mowy nie było o jakiejś ich głębszej analizie. Wpierw z

czymś w rodzaju „wybiórczego roztargnienia” przysłuchiwali się jej uwagom, potem zapadała minuta ciszy, po której wracali do swoich spraw tak, jakby w ogóle niczego nie powiedziała. Zdarzało się, że owszem, przyznali jej w czymś rację, nawet pochwalili, i zaraz znów niezachwianie kontynuowali swe własne rozważania. Nie miała wątpliwości, że to co mówiła, nie było w końcu takie zupełnie głupie i nie życzyła sobie, by ją tak bezczelnie ignorowano. Ignorowano albo, po ojcowsku, poklepywano po ramieniu - na przemian. Słabość głosu była w części, ale tylko w części, tego przyczyną. Zaczęła więc trenować „głos fizyczny” - jasny, kompetentny głos wykładowy, o kilka decybeli głośniejszy od rozmowy. Z takim głosem należało mieć rację. I czekać na swój moment, znała przecież swą skłonność do ataków śmiechu, którymi mogła zrujnować każdy tak opracowany wywód. Zdecydowała się więc na metodę szybkich, ostrych wtrąceń, które najlepiej przykuwają uwagę słuchacza. Po czymś takim mogła mówić jeszcze przez chwilę, już swoim własnym głosem. Ilekroć znalazła się wśród nowych dyskutantów, od nowa musiała walczyć o prawo do uczestnictwa w rozmowie - choćby na tyle, ile potrzeba, aby w jej nurcie umoczyć wiosło. Chłopcy na jej problemy pozostawali ślepi i głusi, a nierzadko podczas ćwiczeń laboratoryjnych lub seminariów asystent potrafił powiedzieć: „a teraz, panowie, przejdźmy do...”, po czym spostrzegłszy, że Ellie marszczy brwi, dodawał: „o, przepraszam, panno Arrowway, ale myślę o pani jak o jednym z nas”. Największym komplementem, na jaki mogli się zdobyć, było uznanie, że widzą w niej odrobinę więcej, niż tylko kobietę. Więc musiała pilnować, aby nie rozwinęła się w niej osobowość kombatantki, albo po prostu normalna mizantropia. Nagle uderzyła ją myśl: „mizantrop” to taki ktoś, kto w ogóle nie lubi ludzi, nie tylko mężczyzn. Zaś dla kobiet wymyślono, oczywiście, coś zupełnie osobnego: „mizogynizm”. Widocznie mężczyźni, którzy opracowywali słowniki, jakoś zaniedbali

słowo, które opisywałyby wyłącznie niechęć do nich. Wygląda na to - myślała - że wszyscy leksykografowie byli mężczyznami i nie widzieli rynkowej potrzeby dla produkcji takiego słowa.

Więcej niż innych osaczały ją obciążenia rodzinno-domowe. Radością napawała odzyskana swoboda - intelektualna, towarzyska, seksualna - a przecież podczas gdy jej rówieśnicy oddawali się modzie bezkształtu, który zamazywał różnice między płciami, ona aspirowała ku elegancji i prostocie w doborze sukienek i makijażu, oczywiście na tyle, na ile pozwalał chudy budżet. Dla sprzeciwów politycznych - myślała - istnieją bardziej skuteczne sposoby. Dorobiła się więc ledwie paru bliższych przyjaciół, a za to masy doraźnych wrogów, którzy nie cierpieli jej ubiorów, jej politycznych i religijnych poglądów oraz energii, z jaką broniła swych przekonań. Wiele dziewcząt, skądinąd niegłupich, brało jej wiedzę i zamiłowanie do nauk za kamień osobistej obrazy, ale za to parę innych patrzyło na nią jak na coś, co matematycy nazywają twierdzeniem pochodnym - dedukcyjny dowód na istnienie kobiety umiejętnej, nawet wybitnej, jak na model wzorcowy.

Poddając się fali rewolucji seksualnej, zaczęła i w tej dziedzinie eksperymentować z coraz większym entuzjazmem, by dojść do smutnego wniosku, że jej kochankowie in spe po prostu boją się jej. Żaden związek nie trwał dłużej niż parę miesięcy... jedynym godnym wyjściem byłyby więc demonstracja wzdąry dla erotycznych zainteresowań - zdławienie samej siebie, czyli coś, przeciw czemu tak ostro występowała jeszcze w szkole średniej. Przerzązał ją obraz matki skazanej na potulną wegetację w domowym więzieniu... zaczęła więc zwracać swą uwagę ku mężczyznom nie związanym z nauką ani z uniwersytetem.

Miała wrażenie, że niektórym kobietom obce są wszelkie miłosne zachody i jedyne, co potrafią, to rzucić komuś do stóp pełnię swoich uczuć bez choćby krztyny krytycznego

zastanowienia. Inne oddawały się istnym kampaniom wojennym: tkaniu sieci misternych intryg i taktykom odwrotu, a wszystko po to, by „złović” upatrzonego. Słowo „upatrzoney” mówiło samo za siebie - biedny mężczyzna nie był „upragniony”, tak jak się kogoś pragnie - rozmyślała - a tylko „upatrzoney”, jako obiekt godny zainteresowania w opinii tych, dla których tę żalösną łamigłówkę układały. Za to większość kobiet trzymała się, w jej opinii, strefy środkowej, gdzie mogły zadośćuczynić swym namiętnościami długotrwałymi korzyściami, jakich się spodziewały. Niewykluczone, że interes własny czasem krzyżował się w nich z miłością, choć tę drugą raczej trudno było w nich dojrzeć, nawet uważnym okiem. Cały ten pomysł wykalkulowanej pułapki po prostu jeżył jej włos na głowie - w tych sprawach nie miała wątpliwości, że całym sercem jest po stronie tego, co się odbywa samo. I tak to z nią było w chwili, gdy spotkała Jesse.

Jakaś randka zaprowadziła ją do piwnicy przy Kenmore Square. Jesse śpiewał rhytm and bluesa przy wtórze gitary prowadzącej. To co śpiewał i sposób, w jaki się poruszał, lepiej niż ona sama, uświadomił jej, czego całe życie pragnęła. Następnego wieczoru sama tu wróciła. Usadowiła się przy najbliższym sceny stoliku i razem z Jessem przymykała oczy, gdy śpiewał oba swoje kawałki. Po dwóch miesiącach zamieszkali razem.

Pracowała tylko wtedy, kiedy kontrakty zmuszały go do wyjazdów do Hartford albo Bangor. Nadal spędzała dzień po dniu wśród studentów: chłopców z ostatnią generacją suwaków logarytmicznych dyndających u ich pasków; chłopców z plastikowymi nakrętkami od długopisów zatkniętymi za kieszenie na piersiach; pedantycznych chudzielców śmiejących się nerwowo; poważnych chłopców, którzy każdą chwilę nie przeznaczoną na sen poświęcali karierze naukowej. Zaabsorbowani zgłębianiem tajników przyrody prawie bezradni

byli wobec zwyczajnych ludzkich spraw, które ujmowali, mimo swej całej erudycji, albo z patosem albo powierzchownie. Może wyścig ku najnowszym osiągnięciom wiedzy tak ich pochłaniał, że już nie mieli czasu na smakowanie pełni swego ludzkiego istnienia. A może właśnie ta ich społeczna nieumiejętność ciągnęła ich ku dziedzinom, wśród których tę nieumiejętność łatwiej da się ukryć. Ich towarzystwo, wyjąwszy ścisłe kontakty naukowe, zupełnie przestało ją obchodzić.

Nocą był Jesse - podrygujący i jęczący, i mający w sobie ten rodzaj sił natury, którym podporządkował sobie całe jej życie. W ciągu roku spędzonego razem, nie potrafiłaby wymienić choćby jednej nocy, której Jesse nie byłby chętny do czegoś innego niż sen. Nie znał się na fizyce lub na matematyce, lecz jakoś całą swoją osobą istniał we wnętrzu kosmosu - przez ten czas i ona z nim.

Próbowała pogodzić ze sobą dwa odmienne światy, w których żyła. Marzyła się jej jakaś towarzyska harmonia muzyków z fizykami, ale wieczorki, które organizowała, były drętwe i wczesnie się kończyły.

Któregoś wieczora powiedział, że chce z nią mieć dziecko. Że spoważnieje, że ustatkuje się, poszuka stałej pracy. Nawet, kto wie, zastanowi się nad małżeństwem.

- Dziecko? - odpowiedziała pytaniem. - Wtedy będę musiała rzucić szkołę. Zostało mi jeszcze parę lat, jeśli będzie dziecko, to raczej nie wrócę na uniwersytet.

- No, tak - powiedział - ale za to będziemy mieli dziecko. Stracisz szkołę, ale dostaniesz coś innego.

- Jesse - odparła - ja potrzebuję szkoły.

Drgnął i Ellie uczuła, że ich złączone ze sobą życia Jesse strząsa z ramion i zostawia. Jeszcze dwa miesiące to trwało, choć właściwy koniec rozegrał się właśnie w tamtej chwili. Pocałowali się na pożegnanie i Jesse wyruszył do Kalifornii. Jego głosu już nigdy więcej nie słyszała.

Pod koniec lat sześćdziesiątych Związkowi Radzieckiemu udało się ulokować serię pojazdów kosmicznych na powierzchni Wenus. Były to pierwsze pojazdy stworzone przez człowieka, jakim udało się wylądować w uporządkowany sposób na innej planecie. Ponad dziesięć lat przedtem, amerykańscy radioastronomowie stwierdzili w obserwatoriach na Ziemi, że Wenus jest silnym źródłem fal radiowych. Tłumaczeniem, które najzgodniej zaakceptowano, był efekt cieplarniany - to znaczy, że na Wenus istnieje bardzo gęsta atmosfera, która nie wypuszcza na zewnątrz całego ciepła, jakie planeta produkuje.

Z teorii tej wynikało, że powierzchnia Wenus musi być zabójczo gorąca, o wiele za gorąca na kryształowe miasta i latających wśród nich Wenusjan. Ellie czuła się oszukana i wymyślała jakieś inne tłumaczenie - na przykład, bezskutecznie próbowała wyobrazić sobie sytuację, gdy fale radiowe powstałyby nie na powierzchni Wenus, ale wyżej, choć astronomowie Harvarda, a także Instytutu Technologii dowodzili, że nie ma absolutnie żadnego innego wytłumaczenia otrzymanych emisji radiowych aniżeli kipiąca wprost powierzchnia tej planety. Jednak myśl o takim masywnym efekcie szklarniowym wydawała się jej nie tylko mało prawdopodobna, ale i pozbawiona smaku: oto planeta, która sama siebie wykańcza... Niestety, któregoś dnia wylądowała tam Venera i wystawiwszy termometr stwierdziła, że temperatury na Wenus starczyłoby, aby roztopić cynę lub ołów. W myślach ujrzała, jak rozpuszczają się kryształowe miasta - choć aż tak gorąca przecież Wenus nie była - a także powierzchnię planety spływającą krzemowymi łzami... Była romantyczką, o tak, od dawna o tym wiedziała.

Choć jednocześnie potęgą astronomii budziła jej podziw: astronomowie siedząc sobie w domach i ustawiając radioteleskopy na Wenus, zmierzili temperaturę na jej powierzchni prawie z taką samą dokładnością, jak to zrobiła

Venera trzynaste lat potem. Jak tylko sięgała pamięcią, elektryczność i elektrony zawsze ją fascynowały, choć dopiero teraz pierwszy raz tak głęboko poruszyła ją radioastronomia. Siedzisz bezpiecznie w domu i wystawiasz teleskop z całym jego elektronicznym obwodem. Wiadomość, drgająca w nim sprzężeniem zwrotnym, przybywa do ciebie z innej planety. Czy to nie cud?

Ellie zaczęła odwiedzać nieduży radioteleskop uniwersytecki w pobliżu Harvard, w Massachusetts, tak często, że w końcu zgodzono się, by pomagała w obserwacjach i analizie danych. A potem przyjęto ją na płatną letnią praktykę w Narodowym Obserwatorium Radioastronomicznym w Green Bank w Zachodniej Wirginii, więc ledwie przyjechała, zaraz zaczęła z uniesieniem gapić się w oryginalny radioteleskop Grote Rebera skonstruowany jeszcze na jego podwórku w Wheaton, w Illinois, w 1938 roku. Służył on teraz za przykład tego, na co stać prawdziwego radioamatora, gdy się uprze - potrafił wyłapać emisję radiową nawet z centrum Galaktyki, jeśli ktoś w tym czasie nie zapalał w okolicy samochodu, albo diatermia przy końcu ulicy akurat nie działała - być może centrum Galaktyki było znacznie silniejsze, ale diatermia za to była znacznie bliżej.

Radowała ją atmosfera skupionych dociekań, a także doraźne sukcesy w postaci skromnych odkryć. Pracowano tu głównie nad zdefiniowaniem zasady, według której ilość odległych źródeł emisji radiowej, znajdujących się poza galaktyką, wzrasta w miarę zagłębiania się w kosmos. To ją natchnęło do rozmyślań, nad znalezieniem lepszych sposobów wyłapywania słabych sygnałów radiowych... Dokładnie w terminie i z wyróżnieniem otrzymała dyplom Harvarda. Po czym ruszyła do pracy naukowej na drugi koniec kraju, do Kalifornijskiego Instytutu Technologii.

Rok terminowała u Dawida Drumlina. Jego

błyskotliwość i to, że szczerze nie cierpiał idiotów, zyskały mu światową reputację, choć w głębi serca ciągle był jednym z tych, których zawsze można znaleźć wśród elity każdego zawodu: człowiekiem stale lekko przestraszonym, że tymczasem jest już ktoś, kto się okaże lepszy od niego. Drumlin nauczył Ellie paru rzeczywiście kluczowych zagadnień, zwłaszcza z zakresu solidnej, teoretycznej podbudowy - w niepojęty sposób tkwił jednak przy podsłuchanej gdzieś opinii, że jest atrakcyjny dla kobiet. Ellie miała wrażenie, że trawi go jakaś nieustająca gorączka bojowa: jest „zbyt romantyczna”, powiadał, a „wszechświat rządzi się wyłącznie swymi własnymi prawami. Rzecz w tym, by rozumować tak, jak to czyni wszechświat i nie zawracać głowy romantycznymi mrzonkami” (lub marzeniami wieku dziewczęcego, dorzucił kiedyś). „Wszystko, czego nie zakazują prawa przyrody, jest naszym obowiązkiem”, przekonywał ją, cytując kolegę z końca korytarza. „A mimo to”, ciągnął dalej, „prawie wszystkiego sobie odmawiamy”. Przyglądała mu się, gdy wykladał, próbując uwznioślić tę dziwną kombinację rozmaitych cech osobowości. Co widziała, było mężczyzną w znakomitej kondycji: przedwcześnie posiwiałym, z sardonicznym uśmiechem i w zsuniętych na koniec nosa półksiężycowatych okularach do czytania, w motylku pod kwadratową brodą i z resztkami nosowego akcentu z Montany.

Jego sposobem na wolny czas, było urządzenie obiadów dla pracowników naukowych i studentów, które w niczym nie przypominały obiadów jej przybranego ojca - też przecież lubiącego otaczać się studentami, ale tylko dla zaspokojenia swych ekstrawagancji. Drumlin roztaczał nad gośćmi pełnię zarządu intelektualnego, kierując rozmowę wyłącznie ku tym sprawom, w których bywał ekspertem i gdzie mógł zbić jednym słowem przeciwstawną opinię. Po obiedzie urządzał obowiązkowy pokaz slajdów, na których Doktor D. a to nurkuje w akwalungach na Cozumel, a to na Tobogo, a to przy Wielkiej

Rafie Korolowej. Zawsze się śmiał do kamery i machał dłonią, nawet pod wodą. Od czasu do czasu mignął zdjęciem swojej współpracownicy naukowej, doktor Helgi Bork, przy którym pani Drumlinowa protestowała twierdząc, że już ją wcześniej widzieli, na zdjęciach z przyjęcia. Szczerze mówiąc, widzowie znali na wylot wszystkie slajdy Drumlina, ale jemu sprawiało przyjemność podnosić w takiej chwili sportowe zalety doktor Bork, aby pogłębić upokorzenie żony. Toteż wielu studentów spieszenie podążało w poszukiwaniu nowin, które im umknęły podczas poprzedniego zwiedzania kolekcji jeżowców płaskich oraz polipów koralowych, pozostali zaś płonąć ze wstydu, zajmowali się skupionym maczaniem w sosach plasterków avocado.

Czasem urządzał dla swych doktorantów popołudniową „wyprawę pełną cudów”, i wtedy we dwóch lub trzech jechali na brzeg jego ulubionej skały nad Pacyfikiem, w łańcuchu Palisadów. Z niedbałą miną przypinał się do lotni i skakał w przepaść nad cichym Pacyfikiem, który rozciągał się kilkaset stóp pod nim. Zadaniem towarzystwa było zjechać w dół na plażę i go pozbierać. Spadał wtedy na nich jak jastrząb, śmiejąc się promiennie i zachęcając, by spróbowali - lecz tylko paru dało się nakłonić. Miał nad nimi, co z przyjemnością podkreślał, konkurencyjną przewagę. Większość ludzi widzi w swych doktorantach nadzieję pokoleń, ku którym poniosą kiedyś kaganek oświaty. Drumlin - wyraźnie to dostrzegając - miał na ten temat inne zdanie. Dla niego młodzi pracownicy naukowcy mogli się stać któregoś dnia rewolwerowcami, choć mowy nie było o tym, by któryś z nich był w stanie odebrać mu główną rolę w filmie „Najszybszy colt Dzikiego Zachodu”. Tych młodych trzeba trzymać na oku, niech znają swoje miejsce. Do niej na razie się nie dobierał, choć ostrzył sobie zęby, nie miała wątpliwości.

W drugim roku pobytu na Cal Tech wrócił do kampusu z rocznego urlopu naukowego za granicą Peter Valerian -

człowiek grzeczny, choć nie uprzedzająco. Mało kto, a już najmniej on siebie, uznałby go za umysłowość szczególnie błyskotliwą. Miał wprawdzie listę nie byle jakich osiągnięć w radioastronomii, (gdyż, jak pod naciskiem się zgadzał, „trochę ślęczał nad tym”), to również był w jego karierze pewien nie przynoszący zbytnej chluby szczegół: Valerian był fanatykiem istnienia cywilizacji pozaziemskich. Każdy pracownik wydziału miał, jak się zdawało, swojego febla, na przykład, Drumlin - lotnię. Więc i Valerian miał swoje życie poza Ziemią. Inni mieli bary topless, hodowle roślin owadożernych albo coś, co nazywali medytacją transcendentálną - Valerian nic, tylko myślał o pozaziemskich istotach inteligentnych, w skrócie ET, a bronił tego głębiej i mężniej, niżli ktokolwiek na świecie. Kiedy poznała go bliżej, odniosła nieprzeparłe wrażenie, że ET to był jego romans, namiętność pozostająca w dokładnym kontraście do nudy jego codziennych zajęć. Rozmyślanie o pozaziemskiej inteligencji nie było jego pracą, było rozrywką, dzięki której wyobraźnia Valeriana odzyskiwała skrzydła.

Ellie uwielbiała go słuchać. To było jak wejście w Krainę Czarów albo do Szmaragdowego Miasta. A nawet lepiej, bo na końcu tych swoich rozważań zawsze rzucał myśl, że przecież to wszystko może być prawdą, że naprawdę mogłoby się to zdarzyć. Któregoś dnia - dumiała - jeden z wielkich radioteleskopów mógłby rzeczywiście, a nie tylko w marzeniach, odebrać wiadomość z kosmosu. Choć z drugiej strony to wszystko wcale nie było takie proste, albowiem Valerian, podobnie jak Drumlin w innych sprawach, co rusz zwykł się asekurować, że spekulację wyobraźni musi kontrolować surowa sprawdzalność fizyczna. Jak sito, które oddziela cenny okruszek spekulatywnego myślenia od bredni. Istoty pozaziemskie, a także ich technologie, nie mogą nie podlegać ścisłym prawom natury - to fakt, który jej poważnie pofałdował gładki i powabny widok. To co zostaje w sianie i co opiera się najkrytyczniejszym fizycznym i astronomicznym

analizom, to coś dopiero może być prawdą. Ma się rozumieć - nigdy nic nie wiadomo. Ale istnieją granice, które mogą być otwarciem nowych perspektyw - jakich ty nie widziałeś, ale jakie mądrzejsi od ciebie pewnego dnia dostrzegą.

Valerian zwykł podkreślać, jak bardzo ogranicza nas czas, kultura, biologia, i „jaka ze swej definicji ograniczona jest nasza umiejętność wyobrażania sobie fundamentalnie innych stworzeń, innych cywilizacji, które rozwijając się wśród całkowicie odmiennych światów, musiałyby być inne niż nasza. Czy można wykluczyć, że istoty o wiele bardziej zaawansowane od nas mogą posiadać nie tylko niewyobrażalne technologie - akurat to zresztą jest prawie pewne - ale nawet znać nowe prawa fizyki. Co to za beznadziejne umysłowe ograniczenie” - mówił, gdy spacerując mijali ciąg gipsowych łuków, jak z obrazu Chirico - „wyobrażać sobie, że wszystkie poważniejsze prawa fizyki odkryto akurat wtedy, gdy właśnie nasze pokolenie zaczęło zastanawiać się nad nimi. Przecież kiedyś nastanie fizyka dwudziestego pierwszego, i dwudziestego drugiego wieku, a nawet fizyka Czwartego Tysiąclecia. Łatwo sobie wyobrazić, jak śmiesznie daleki od naszych przyzwyczajzeń może okazać się poziom techniczny cywilizacji, która się z nami skontaktuje.

„Lecz wtedy” - wciąż musiał upewniać się o wszystkim - „ET powinni zdawać sobie sprawę z tego, jacy jesteśmy zacofani. Przecież gdybyśmy byli na trochę wyższym poziomie, już by się o nas dowiedzieli. A my tu - dopiero co na dwóch nogach, od środy po odkryciu ognia, od wczoraj próbujący przeleźć przez zasady dynamiki Newtona, przez prawo rozkładu Maxwella, radioteleskopy... ledwie przeczuwający Superunifikację praw fizyki”. Valerian nie miał wątpliwości, że ET wymyślą dla nas jakiś prosty w użyciu sposób. Będzie im na tym zależało, skoro zamierzają skontaktować się z głupkami. A dla głupków potrzebne są specjalne ułatwienia. Dlatego - rozumował - właśnie jemu taka wiadomość z kosmosu

stworzyłaby szansę bojową. Brak błyskotliwości stałby się jego siłą. Wiedział - ufał w to, że wie - co głupki wiedzą.

Jako temat swojej rozprawy doktorskiej Ellie wybrała, zgodnie z kierunkiem prac na wydziale, postęp w ulepszaniu czułych odbiorników fal w radioteleskopach. Dawało to szansę wykorzystania jej pasji elektronicznych, uwalniało od w większości teoretyzującego Drumlina oraz pozwalało kontynuować dyskusję z Valerianem - unikając przy tym ryzykownego dla własnej kariery kroku, czyli wyraźnej z nim współpracy nad inteligencjami pozaziemskimi. Byłby to dla doktoratu przedmiot doprawdy zbyt dyskusyjny. Ojczym, który zawsze znajdował przyjemność w wytykaniu jej „zbyt szerokich zainteresowań”, „nierealistycznych ambicji” lub, dla odmiany, „płytkości i banału”, na wieść o temacie, który wybrała (od dawna już z nim się nie kontaktowała), zbył to, jako człowiek „twardo stąpający po ziemi”, machnięciem dłoni.

Pracowała nad maserem rubinowym. Syntetyczny rubin, który wykonuje się głównie z tlenku glinowego, jest prawie doskonale przejrzysty. Czerwony kolor pochodzi z chromu rozproszonego wewnątrz kryształu. I kiedy rubin zostanie poddany wpływowi silnego pola magnetycznego, energia atomów chromu wzrasta lub, jak mawiają fizycy, osiągają one stan wzbudzenia. Lubiła wyobrażać sobie maleńkie atomy chromu doprowadzone wewnątrz wzmacniacza do stanu gorączkowego wrzenia. Szalały w zbożnym celu: dla wzmocnienia słabego sygnału radiowego. Im silniejsze pole magnetyczne, tym bardziej podniecały się atomy chromu. Ale maser można regulować tak, żeby wzmacniał szczególnie tylko jedną częstotliwość fal. Ellie wynalazła sposób, by do rubina dodać, prócz chromu, domieszkę lantanidu - jej maser można więc było nastawiać na dużo węższe częstotliwości i sprawić, że był w stanie wykrywać jeszcze słabsze fale radiowe, niż czyniły to wcześniejsze modele. Detektor jej trzeba było zawiesić w płynnym helu i następnie cały ten przyrząd

podłączyć pod jeden z teleskopów Instytutu w Owens Valley, by wylapywał na całkiem nowej częstotliwości to, co astronomowie nazywają trzecim stopniem aktywności radiowej tła czarnej dziury - czyli pozostałość spektrum radioaktywnego gigantycznej eksplozji, od której wszystko się zaczęło. Big Bang'u.

„Pomyślmy jeszcze chwileczkę, czy wszystko jest jak trzeba” - powiedziała do siebie. „Wzięłam nieczynny gaz, który znajduje się w powietrzu; zrobiłam z niego płyn, potem domieszałam trochę zanieczyszczeń do rubinu, podłączyłam magnes i zaczęłam wsłuchiwać się w pożar stworzenia”.

Potrząsnęła głową w zdziwieniu. Dla kogokolwiek niezorientowanego w fizyce to wszystko mogło się zdawać czymś w rodzaju bezczelnej nekromancji. Jak to wytłumaczyć najwybitniejszym choćby uczonym sprzed tysiąca lat? Którzy znali się na rubinach, na magnetytach, ale nie na płynnym helu, nie na emisji wzbudzonej i na elektronicznych pompach nadprzewodnikowych. Nie mieli mglistego choćby pojęcia o spektrum radiowym. Czy choć wyobrażenia, czym jest spektrum - mimo że niejasno uświadamiali to sobie, patrząc w tęczę. Nie wiedzieli, że światło to są fale. Więc w jaki sposób i my mamy wyobrazić sobie cywilizację, która wyprzedza nas o tysiące lat?

Trzeba było zwiększyć produkcję rubinów, bo tylko niektóre osiągały wymagane właściwości, zaś żadne nawet mierzyć się nie mogły z rubinami szlachetnymi. Ponieważ większość z nich miała niewielkie rozmiary, lubiła większe kawałki przypinać do ciemnych sukni, jakie nosiła. Bardzo tam pasowały, nawet jeżeli - choć w najdokładniej ciętych - dawało się spozrzeć jakąś anomalię kamienia, który wprawiała w pierścionek lub broszkę. Na przykład - że schwytawszy promień pod pewnym kątem, nagle dziwnie błyskał z jakiegoś wewnętrznego odbicia; albo brzoskwiniowa skaza pojawiała się wśród rubinowej czerwieni. Nie znającym się na tym

przyjaciołom tłumaczyła, że tak lubi rubiny, ale nie stać jej na nie. Zachowywała się trochę jak biolog, który odkrywając biochemiczny cykl fotosyntezy, odtąd zawsze nosi w klapie igłę sosnową albo liść pietruszki. Koledzy - zachowując pełen respekt dla jej wybitnych osiągnięć - uważali to za objaw łagodnej manii.

Wielkie radioteleskopy świata budowane są na odludziu, a dzieje się tak dla tych samych przyczyn, dla których Gauguin któregoś dnia pożeglował na Tahiti. Żeby dobrze pracować, teleskopy muszą się trzymać z dala od cywilizacji. Muszą się chować, szczególnie odkąd nasilił się ruch radiowy cywilny i wojskowy, w odludziach zapomnianych dolin Puerto Rico, na porośniętych badyłami wielkich pustyniach Nowego Meksyku lub Kazachstanu. A że bez przerwy rośnie tłok w eterze, coraz częściej myśli się o lokowaniu teleskopów poza Ziemią. Uczniowie pracujący w tych samotnych obserwatoriach są uparci i zdeterminowani. Żony ich rzucają, dzieci przy pierwszej okazji odchodzą z takiego domu - uczeni się nie dają. Rzadko uważają siebie za marzycieli: taka stała obsada naukowa dalekich obserwatoriów, to zespół ludzi raczej pragmatycznych, eksperymentatorów i ekspertów, którzy więcej wiedzą o instalacji anteny niż o kwazarach czy pulsarach. Mówiąc ogólnie: w dzieciństwie nie marzyli pod gwiazdami, zbyt byli zajęci naprawą karburatora w rodzinnym samochodzie.

Obroniwszy doktorat, Ellie przyjęła propozycję docentury w obserwatorium Arecibo: wielkiej misie liczącej 305 metrów w poprzek, którą usadowiono w dnie otoczonej wzgórzami wapieniowej doliny wśród gór północno-zachodniego Puerto Rico. Niecierpliwie czekała okazji, by za pomocą największego radioteleskopu na świecie oraz swojego detektora maserowego przeegzaminować, ile się tylko da astronomicznych obiektów: pobliskich planet i gwiazd, centrum Galaktyki, pulsarów i kwazarów. Co więcej, jako pełnoetatowy

pracownik Obserwatorium, miałyby prawo do określonego czasu obserwacyjnego. Ze względu na coraz większą ilość poważnych projektów badawczych, niż radioteleskopy mogą wytrzymać, dostęp do nich odbywa się na zasadzie wyścigów, toteż bezcenna jest każda sytuacja, w której zdobyć można stałe zatrudnienie i zagwarantowany codzienny czas na obserwację nieba - dla wielu astronomów jest to jedynym powodem, dla którego wybierają życie w tych miejscach zapomnianych przez Boga.

Po cichu żywiła też nadzieję, że uda się jej tu i tam prześledzić okoliczne gwiazdy, czy przypadkiem nie wysyłają sygnałów inteligentnego życia. Detektor jej systemu mógł wychwycić przeciek radiowy z planety takiej jak Ziemia, odległej nawet o kilka świetlnych lat. Zaś zaawansowane społeczeństwo, które chciałoby się skontaktować z nami, przecież na pewno posłuży się znacznie większą energią nadawczą niż my. Jeśli Arecibo - rozumowała - używane jako teleskop radarowy może wysłać jeden megawat mocy w określone miejsce nieba, to cywilizacja choć trochę bardziej rozgarnięta od nas może być w stanie wytransmitować nawet sto megawatów i więcej. Gdyby do tego posyłali te sto megawatów dokładnie w kierunku Ziemi i teleskopem przynajmniej takim wielkim, jak w Arecibo, to Arecibo powinno odebrać sygnał praktycznie z każdego zakątka Mlecznej Drogi. Zawsze, gdy tak dokładnie o tym rozmyślała, zdumiewało ją, jak bardzo to, co można by zdziałać, przerastało to, co już zdziałano. Jakie mizerne są źródła naukowe dotyczące tych problemów - myślała - z wolna nie znajdując już takiego naukowego pytania, które zaczynałoby mieć dla niej większe znaczenie.

Instalacje obserwatorium Arecibo znane były wśród miejscowych jako „El Radar”. Jego funkcji zasadniczo nie znano, starczyło, że zyskiwali dzięki niemu ponad tysiąc rozpaczliwie potrzebnych miejsc pracy. Miejscowi izolowali

kobiety od astronomów, których dzięki temu widywano o każdej porze dnia i nocy gorliwie joggujących po trawie okalającej talerz. Skutkiem tego awanse okazywane Ellie od chwili jej przyjazdu, chociaż z początku nie całkiem odrzucane, prędko zaczęły przeszkadzać jej w badaniach.

Wiele miesięcy minęło, zanim Valerian zdecydował się ją odwiedzić. Oficjalnie przyjechał dać wykład, ale wiedziała, że w dużej mierze przybył tu, by sprawdzić, jak jej się żyje, a także dostarczyć czegoś w rodzaju psychologicznej podpory. Badania Ellie szły świetnie. Odkryła coś, co mogło być międzygwiazdowym obłokiem cząsteczkowym oraz udało się jej zgromadzić dokładne dane czasowe pulsara w centrum Mgławicy Kraba. Nawet dokończyła rozpoczęte wcześniej nadzwyczaj czułe pomiary sygnałów wysyłanych przez kilkanaście sąsiednich gwiazd, choć bez pozytywnych rezultatów. Wpatrywała się w gwiazdy i głowiła nad nimi, nie znajdując niczego, co nie mieściłoby się w normie. Weź pod obserwację dostateczną ilość gwiazd, a wcześniej czy później zakłócenia ziemskie albo splot przypadkowych sygnałów ułożą się we wzór, który na sekundę przyprawi cię o łomot serca. Uspokój się i sprawdź na nowo - jeśli się nie powtórzy, musisz ten sygnał uznać za fałszywy. Taka dyscyplina była niezbędna, jeśli pragnęła zachować równowagę emocjonalną w poszukiwaniach tego, czego rzeczywiście szukała. Zdecydowana była poddawać wszystko tak chłodnej analizie, jak było to możliwe, nie tracąc zarazem tego poczucia cudowności zdarzeń, które od najwcześniejszych lat było jej przewodnikiem.

Wyjęła z lodówki skape zapasy pracownicze i przygotowała skromny ni to piknik, ni lunch, do którego zasiedli z Valerianem przy samym brzegu talerzowatej michy. W oddali robotnicy reperowali, czy może wymieniali, wielkie płachty aluminiowe: spacerowali po nich w specjalnych

walonkach, by nie uszkodzić cienkiej folii i nie wdeptać jej w ziemię. Valerian wprost nie posiadał się z zachwytu dla jej osiągnięć. Potem wymienili parę smakowitych plotek i naukowych nowin, aż w końcu rozmowa pozęgłowała ku SETI, gdyż coraz szerzej mówiono o tym programie Poszukiwania Pozaziemskich Istot Inteligentnych.

- Czy myślałaś kiedyś, żeby całkowicie poświęcić się tym badaniom? - zapytał Ellie.

- Na razie nie - odparła - to przecież i tak niemożliwe, prawda? Jeśli dobrze wiem, nigdzie na świecie nie ma przy programie SETI ani jednej posady pełnoetatowej.

- Nie ma, ale może być. Very Large Array zamierzają powiększyć o kilkanaście talerzy i zrobić z tego obserwatorium całkowicie poświęcone SETI. Oczywiście, nie zrezygnują też ze zwyczajnej radioastronomii. To będzie obłędny interferometr, na razie tylko w projektach, bo kosztuje. Potrzeba też jakiejś politycznej ugody, no więc w najlepszym razie może to potrwać lata. Ale na razie pomyśl o tym.

- Wiesz, Peter, akurat dodatkowo przebrałam sobie około czterdzieści gwiazd, o typie zbliżonym do słonecznego. Posługiwałam się dwudziestojednocentymetrowym pasmem wodoru, o którym mówi się, że jest najodpowiedniejszą częstotliwością świetlną, jako że wodoru we wszechświecie najwięcej. I tak dalej, i tak dalej. Zastosowałam najwyższą czułość, spośród tego co dotychczas robiono w świecie. Nie ma śladu sygnału. Wygląda na to, Peter, że tam nikogo nie ma. Chyba to wszystko jest zawracaniem głowy.

- Oczywiście... takim, jak życie na Wenus? Przemawia przez ciebie rozczarowanie. Do diabła z Wenus, to tylko pojedyncza planeta. A są w Galaktyce setki bilionów gwiazd, ledwie ich garstkę zbadałaś. Nie sądzisz, że trochę za wcześnie rzucać zabawki i iść? Rozwiązałaś jedną bilionową problemu. Może nawet mniej, jeśli pomyśleć, ile jest pasm częstotliwości.

- Wiem, wiem. Ale czy nie masz wrażenia, że jeśli w

ogóle oni gdzieś są, to już powinni być wszędzie? Jeżeli rzeczywiście o tysiąc lat świetlnych od nas żyją sobie całkiem niegłupi faceci, to czy nareszcie nie powinni przynajmniej wetknąć nam nos na podwórko? Możesz przez całą wieczność pracować w programie SETI i nigdy, świetnie o tym wiesz, nigdy nie ujrzeć końca swoich badań.

- Och, Ellie. Zaczynasz jak Drumlin: jeśli nie ma gwarancji, że znajdzie ich za swego życia, to nie chce ich szukać wcale. Dopiero rozkręcamy SETI. I ty wiesz, jak wielkie możliwości się otwierają. Nadchodzi czas, by umieć otwierać opcje. To czas, by zdobywać się na optymizm. Gdybyśmy żyli w jakiejś innej epoce w historii ludzkości, to moglibyśmy rozmyślać i rozmyślać, całe życie nie mogąc zrobić nic, by przybliżyła się odpowiedź. Ale nasze czasy nie są zwykłe. To czasy, gdy każdemu jest dana szansa poszukiwania pozaziemskiej inteligencji. Zbudowałaś detektor do badania cywilizacji na planetach milionów innych gwiazd. Nikt ci nie zagwarantuje zwycięstwa. Ale czy możesz przez chwilę pomyśleć nad istotniejszym problemem? Wyobraź sobie, że oni ciągle wciąż wysyłają nam sygnały, ale na Ziemi nikt nie słucha. To by dopiero był dowcip, istna kompromitacja! Czy nie byłoby ci wstyd za tę cywilizację, która ma możliwości nasłuchu, ale jej brak rozumu, żeby się za to wziąć?

- Co mnie szczególnie niepokoi - ciągnęła - to możliwość odwrotna. Że oni wcale nie próbują. Mogliby skontaktować się z nami, w porządku, ale może nie robią tego, bo nie wiedzą po co? To jest tak, jak... - spojrzała na brzeg serwety, którą rozłożyła na trawie - jak z mrówkami. I my i one dzielimy te same krajobrazy. One mają mnóstwo do roboty i wciąż się czymś zajmują. My nie próbujemy nawet nawiązać z nimi porozumienia. Wątpię, czy one mają choć cień pojęcia o tym, że istniejemy.

Mrówka, większa i bardziej przedsiębiorcza niż inne, zdecydowała się wejść na obrus, po czym dziarsko

pomaszerowała po czerwonych i białych kwadratach. Tłumiąc odruch wstrętu, Ellie delikatnie strąciła ją na trawę. Tam, dokąd należała.

ROZDZIAŁ 3

Biały dźwięk

Mile są melodie, które słyszymy, lecz niesłyszalne milejsze.

JOHN KEATS

„Oda nad grecką urną” (820)

Najokrutniejsze kłamstwa często mówimy w milczeniu.

ROBERT LOUIS STEVENSON

Virginibus Puerisque (1881)

Wiele lat Impulsy wędrowały przez wielką, międzygwiazdną ciemność. Czasem przeleciały przez nieregularny obłok gazu lub pyłów, które część ich energii wchłaniały lub rozpraszały. Ale pozostałe pędziły dalej, nie zmieniając szlaku. Przed nimi z wolna narastała bladożółta poświata, niespiesznie ogromniejąca wśród innych, nieruchomych światel. Chociaż dla ludzkich oczu wciąż byłaby zaledwie punkcikiem, powoli stawała się najjaśniejszym obiektem na niebie. Impulsy uderzyły w gromadę śnieżnych brył.

Do budynku administracyjnego Obserwatorium Argus weszła smukła kobieta lat około czterdziestu. Jej oczy - duże i dość szeroko rozstawione w kościstej twarzy - nadawały jej łagodniejszy wyraz. Długie ciemne włosy były luźno związane na karku, pod baskijskim beretem. Swobodna, w trykotowej koszulce i z narzuconą niedbale kurtką z khaki, przeszła korytarzem pierwszego piętra i otworzyła drzwi z wizytówką:

„E. Arroway, Dyrektor”. Gdy odejmowała kciuk od czytnika linii papilarnych, można było dojrzeć na jej prawej ręce pierścionek, z nieumiejętnie wprawionym, dziwnie mętnym, czerwonym kamieniem. Pstryknąwszy lampę biurową, zaczęła przerzucać zawartość szuflady, wyjmując z niej w końcu parę słuchawek. Przez chwilę światło obejmowało cytat z Przypowieści Franza Kafki, zawieszony obok biurka na ścianie:

Coraz straszliwszą broń mają dziś Syreny,
niżli swą pieśń - to ich milczenie...
I jeśli uciec można było przed
ich śpiewem,
to przed milczeniem, już z pewnością nie.

Zgasiwszy automatyczne światło machnięciem dłoni, ruszyła ku drzwiom. W kabinie obserwacyjnej prędko upewniła się, czy wszystko jest w porządku. Przez szyby mogła widzieć kilka ze stu trzydziestu jeden radioteleskopów, które ciągnęły się dziesiątkami kilometrów przez kamieniste pustynie Nowego Meksyku, jak pojedyncze okazy dziwnych mechanicznych kwiatów, które otwierają swe kielichy ku niebu. Było wczesne popołudnie i ostatniej nocy do późna pracowała. Badania astronomiczne można też wykonywać w świetle dnia, choć samo powietrze atmosferyczne nie rozprasza fal radiowych wysyłanych przez Słońce tak, jak to czyni światło widzialne. Dla radioteleskopu wycelowanego gdziekolwiek, byle nie blisko Słońca, niebo jest ciemne jak smoła. Aktywne są tylko źródła radiowe.

Gdzieś, ponad ziemską atmosferą, rozciąga się wszechświat - rojowisko fal radiowych. Badając każdą z nich, można dowiedzieć się o planetach, gwiazdach i galaktykach, o wielkich obłokach cząsteczek organicznych, które wędrują między gwiazdami, o powstaniu, rozwoju i przeznaczeniu wszechświata. Jednak wszystkie te fale mają swe naturalne

pochodzenie: procesy fizyczne, spirale elektronów w magnetycznym polu galaktyk, zderzenia międzygwiazdnych cząstek i odległe echa Big Bang'u - który od promieniowania gamma u początku wszechświata przesunął się ku chłodnej monotonii fal, wypełniających teraz całą kosmiczną przestrzeń w naszej epoce.

W ostatnich kilku dekadach, gdy ludzkość uczyniła krok naprzód w radioastronomii, nie nadszedł ani jeden rzeczywisty sygnał z głębi kosmosu, który miałby charakter sztuczny, celowy, wytworzony przez obcą myśl. Bywały fałszywe alarmy - na przykład, regularność radioemisji kwazarów, a w szczególności pulsarów, była z początku brana (wśród mnóstwa zastrzeżeń i obaw) za coś w rodzaju obwieszczenia o istnieniu czegoś więcej poza nami, a może za radiowe sygnały nawigacyjne jakichś egzotycznych, kosmicznych promów, które kursowały między gwiazdami. Ale wkrótce okazało się to być czymś zgoła innym, choć może równie egzotycznym, jak sygnały od istot żyjących hen, ponad niebem nocy: kwazary okazały się źródłami niesłychanej energii, związanymi prawdopodobnie z istnieniem czarnych dziur w centrach galaktyk, których pochodzenie wywieść można jeszcze z pierwszej połówki czasu dzielącego nas od narodzin wszechświata. Pulsary zaś to wirujące jądra atomów wielkości miasta. A przecież w końcu pojawiły się i te tajemnicze sygnały, bogate w wiadomości, które okazały się produktami inteligentnych istot, choć nie całkiem pozaziemskich. Niebo wprost zasypano radarowymi urządzeniami wojskowymi oraz satelitami radiokomunikacyjnymi, doprowadzającymi do łez tych kilku pozostałych w cywilu radioastronomów. Niekiedy naprawdę zachowywały się one jak rozbójnicy, ignorujący wszelkie międzynarodowe porozumienia. Nie było na nich sądu ni kary, zwłaszcza że pewne kraje bezczelnie wypierały się wszelkiej odpowiedzialności. Cóż, pominąwszy te przygody, nie odebrano nigdy dotąd wyraźnego, obcego sygnału.

Mimo to początki życia wydawały się teraz takie proste - i tak wiele odkryto systemów planetarnych, tyle światów, i tyle bilionów lat trwać miała, jak się okazało, biologiczna ewolucja, że tym trudniej byłoby uwierzyć, iż Galaktyka nie roi się od istot żywych i obdarzonych inteligencją. Projekt Argus był największą na świecie inicjatywą, mającą na celu poszukiwanie pozaziemskich cywilizacji. Fale radiowe wysyłane z prędkością światła pędziły szybciej niż cokolwiek na świecie. Łatwo je było wytworzyć i łatwo wykryć. Nawet bardzo zacofane cywilizacje, jak ta na Ziemi, musiałyby w końcu trafić na wynalazek radia jeszcze na wczesnym etapie odkrywania praw przyrody. I jeśli nawet miałyby tylko takie proste urządzenia radiowe - jak te, którymi my dysponujemy zaledwie parędziesiąt lat po zbudowaniu pierwszego radioteleskopu - prawie zdawało się niemożliwe, aby jedna taka cywilizacja w samym środku Galaktyki w końcu nie natknęła się na drugą podobną. Ale jest tyle miejsc na niebie, które trzeba zbadać i tyle częstotliwości, na których obca cywilizacja może nadawać, że wszystko zacząć trzeba od systematycznej i cierplivej obserwacji. Argus tak właśnie działał - pełną parą, już ponad czwarty rok. I były pomyłki, wpadki, mistyfikacje, fałszywe alarmy. Nie było jednak sygnału.

- Dzień dobry, doktor Arroway.

Stojący samotnie inżynier uśmiechnął się do niej z sympatią, a ona odpowiedziała ruchem głowy. Wszystkie sto trzydzieści jeden teleskopów Projektu Argus było sterowanych przez komputery, które czyniły z nich układ samoczynnie przeszukujący niebo, stwierdzający swe mechaniczne i elektroniczne uszkodzenia i porównujący dane otrzymywane na różnych końcach tego węża teleskopów. Rzuciła okiem na analizator z miliardem kanałów, na bank danych elektronicznych zajmujący całą ścianę, i na ekran spektrometru. Doprawdy, nie było dla astronomów i techników za wiele do

roboty, gdy układ teleskopowy od lat powoli, samoczynnie obmacywał niebo. Gdy trafił na coś szczególnego, włączał alarm, którym, na przykład, w środku nocy zrywał uczonych z łóżek. Wtedy Arroway gnała na czwartym biegu sprawdzić, czy i tym razem jest to tylko błąd pomiarowy, czy dla odmiany nawinął się im amerykański lub sowiecki sputnik antyradarowy. Co robiła poza tym? Wspólnie z inżynierami starała się ulepszyć czułość teleskopów, które dokładniej odpowiadałyby na pytanie, czy w emisjach fal radiowych można znaleźć jakiś wzór, jakąś regularność. Poza tym wypożycziała niektórych astronomów innym obserwatoriom, w których dokonywano różnych egzotycznych odkryć, a także pomagała tym swoim podwładnym lub tym przyjezdnym naukowcom, którzy pragnęli pracować w Argusie nad programami nie związanymi z SETI. Poleciała do Waszyngtonu, aby u jej sponsora - National Science Foundation - nie wystygło zainteresowanie ich pracami. Odbyla też wiele odczytów o Projekcie Argus w klubie rotariańskim w Socorro i na Uniwersytecie Nowego Meksyku w Albuquerque. Czasem też radośnie witała jakiegoś obrotnego dziennikarza, który najczęściej niezapowiedziany docierał w ten mało atrakcyjny zakątek Nowego Meksyku.

Ellie musiała uważać, by nuda jej nie obezwładniła. Współpracownicy byli wprawdzie dość mili, ale - już nawet pominiawszy niewłaściwość intymniejszego związku z podwładnymi - specjalnych pokus nie odczuwała. Raz czy drugi zdarzyła się wprawdzie namiętna, choć od początku przelotna przygoda z którymś z tutejszych mężczyzn, do tego w żaden sposób nie związanym z Projektem, jednak i do tej dziedziny życia, jak do każdej innej, zakradła się nuda, jakieś obezwładnienie.

Usiadła przed konsolą i nałożyła słuchawki, choć wiedziała, że to nie miało sensu - zarozumiale jest wyobrazić sobie, że nasłuchując dla rozrywki na jednym czy dwu kanałach, akurat trafi się na wzór, którego nie może znaleźć

monitorujący miliardy kanałów system komputerowy. Ale dzięki temu mogła mieć przez chwilę wrażenie własnej przydatności. Odchyliła się w fotelu z półprzymkniętymi oczami, aż marzycielski nieomal wyraz objął konturem jej twarz. Do licha, jest prawie piękna - pomyślał technik.

Usłyszała jak zwykle ów statyczny i ciągły, typowy szum. Kiedy przeniosła się na ten obszar nieba, gdzie w gwiazdozbiornie Kasjopei znajduje się gwiazda AC +79 3888, zdawało się jej, że słyszy coś, jakby śpiew - natrętnie powracający i niknący w tle dźwięk, wahający się jakby na cieniutkiej granicy pewności, czy coś w ogóle tam się dzieje. Ilekroć jej się zdarzyło, że na statyczny szum nie mogła nałożyć żadnego sensownego wzoru, przypominała sobie teorie informacji i słynne powiedzenie Shannona: najlepiej zakodowana wiadomość, która nie pozwala odróżnić się od szumu, którego kod, oczywiście, nie jest wcześniej rozwiązany. Prędko nacisnęła parę klawiszy konsoli, wygrywając na nich przeciwstawnie dwie częstotliwości wąskiego pasma: po jednej na każdą ze słuchawek. Nic. Wsłuchiwała się w dwa poziomy polaryzacji fal radiowych, a potem w kontrast między polaryzacją okrężną i liniową. Jest miliard kanałów do wyboru. Całe życie można spędzić na komputerowych zgadywankach, nasłuchując jakże boleśnie ograniczonym ludzkim uchem, i ludzkim mózgiem próbując znaleźć wzór.

Ludzka istota nieźle sobie radzi, pomyślała, w odgadywaniu ukrytych wzorów tam, gdzie istnieją, chociaż niegorzej potrafi wymyślać również te, których wcale nie ma. Może się zdarzyć kaskada impulsów, jakaś konfiguracja podstawowego szumu, która przez chwilę zabrzmi jak synkopowany rytm albo melodyjka. Przełączyła się na parę radioteleskopów, które nastawione były na nasłuch rozpoznanego źródła aktywności radiowej w Galaktyce. Usłyszała glissando częstotliwości radiowych, „gwizd”, który powstał przy rozproszeniu fali radiowej przez elektrony

cieniutkiej warstwy gazu zalegającego po drodze z przestrzeni międzygwiazdnej ku Ziemi. Tak często jej się to zdarzało, że mogła już, ledwie usłyszała gwizd, dokładnie określić odległość, na jakiej powstaje. Ten akurat pochodził z odległości około tysiąca świetlnych lat - wykalkulowała - dużo dalej niż nasze bezpośrednie sąsiedztwo, choć nadal w obrębie Mlecznej Drogi.

Powróciła do przeszukiwania nieba, która to czynność była podstawowym zajęciem pracowników Projektu Argus. Znowu żadnego wzoru. Czuła się jak muzyk nasłuchujący odległego grzmotu nawałnicy. Prześladowały ją wciąż jakieś strzępki wzorów, które do tego stopnia wbiły się w jej pamięć, że czasami musiała przerywać obserwację i na chwilę wrócić do taśm, by stwierdzić, czy rzeczywiście było tam coś, co ona wychwyciła, a komputer nie.

Rozległa się pojedyncza, nawracająca nuta - wysoki ton jakby schrypnięty pod koniec. Przez chwilę go sobie przypominała. Tak, nabrała pewności, że ostatni raz słyszała go trzydzieści pięć lat temu. To był metalowy bloczek, który piszczał, ilekroć matka wyciągała linkę od bielizny, żeby rozwiesić na niej kolejną świeżo wypraną koszulę. Jako dziewczyna uwielbiała armie maszerujących po linie klamer, a kiedy nikogo nie było, zanurzała twarz w suchych prześcieradłach. Tamten zapach, wpiers słodki i przenikliwy, obezwładniał ją. Czy znów ogarnął ją tamten obłoczek? Pamiętała swój śmiech i ucieczkę na krótkich nóżkach, gdy matka nagle nad nią wyrastała i uniósłszy ją do nieba, jak się zdawało, zabierała do domu jakby - wtulona w zgięte ramię - była jeszcze jednym tobołkiem bielizny, którą potem dokładnie poukłada w szufladach sypialni.

- Doktor Arroway? Doktor Arroway? - technik pochylił się nad jej drgającymi powiekami i spłyconym oddechem. Zamrugła, zdjęła słuchawki i obdarzyła go przeproszającym

uśmiechem. Czasem jej koledzy musieli mówić głośniejszym głosem, żeby przekrzyczeć wzmocniony kosmiczny szum. Odplącała ich fatygę podnoszenia głosu - bo niechętnie zdejmowała słuchawki dla krótkiej wymiany zdań - tym samym, to znaczy odwrzaskując im. Gdy była czymś zaabsorbowana, wymiana codziennych uprzejmości, czy nawet żartobliwe odezwania, zdawać się mogły przygodnemu obserwatorowi złą pyskówką, która niespodziewanie wybuchała w ciszy laboratoriów nasłuchowych. Tym razem powiedziała tylko:

- Przepraszam, musiałam się zdrzemnąć.

- Doktor Drumlin na wewnętrznym telefonie. W biurze Jacka, twierdzi, że jest z panią umówiony.

- O rety, kompletnie zapomniałam!

Mijające lata nic Drumlinowi nie odebrały z jego wspaniałości - choć osoba jego zaczęła zdradzać parę cech wówczas nie ujawnionych w spisie, gdy jako doktorant pracowała u niego w Cal Techu. Nabrał, na przykład, przykrego obyczaju sprawdzania (gdy mu się zdawało, że nikt nie widzi), czy ma zapięty rozporek. Przez lata wzmogło się w nim przekonanie, że ET w ogóle nie ma, lub że przynajmniej są czymś tak osobliwym i dalekim, że nie sposób na nie trafić. Przejechał do Argusa poprowadzić cotygodniowe kolokwium naukowe, choć, jak się zaraz dowiedziała, miał na uwadze również inny cel. Napisał oto list do National Science Foundation z zadaniem, by Argus zakończył poszukiwania pozaziemskich inteligencji i żeby w pełnym wymiarze czasu zajął się bardziej konwencjonalną radioastronomią. Wyciągnął papier z wewnętrznej kieszeni marynarki i zażądał, aby go przeczytała.

- Pracujemy przecież dopiero cztery i pół roku. Przebadaliśmy mniej niż jedną trzecią północnego nieba. To pierwszy program pomiarowy mogący zredukować cały szum radiowy do minimum, przy optymalnej częstotliwości radiowej. Dlaczego właśnie teraz chcesz nam przeszkadzać, Dave?

- O nie, Ellie, te wasze prace nigdy nie mają końca. Kilkunastu lat będzie trzeba, byś się przekonała, że nie odkryłaś niczego. A potem będziesz się kłócić, żeby zbudowali następnego Argusa za setki milionów dolarów w Australii lub Argentynie, bo teraz trzeba zbadać południowy odcinek nieba. A kiedy i to nic nie da, zaczniesz napomykać o jakimś paraboloidzie z napędem bezwładnościowym, w którym będziesz mogła na orbicie okołoziemskiej wyłapywać falę o długości milimetra. Zawsze wymyślisz coś, jakąś obserwację, czego jeszcze nie zrobiono. Zawsze znajdziesz jakieś wytłumaczenie, dlaczego ET nadają właśnie w tym kierunku, którego jeszcze nie zbadano.

- Och, Dave, tysiące razy o tym mówiliśmy. Jeśli nam się nie uda, dowiemy się przynajmniej, jaką rzadkością jest inteligentne życie, a przynajmniej życie posługujące się taką myślą, jak nasza, albo próbujące skontaktować się z takimi zacofanymi cywilizacjami. A jeśli się uda, rozbijemy kosmiczny bank. To będzie największe odkrycie, jakie tylko można sobie wyobrazić.

- A tymczasem istnieją pierwszorzędne badania, które nie mogą doczekać się chwili przy teleskopie; prace nad ewolucją kwazarów, nad pulsarami binarnymi, nad chromosferą pobliskich gwiazd, nawet nad tymi zwariowanymi białkami w przestrzeni międzygwiazdnej. I wszystkie czekają w kolejce, bo te urządzenia, najlepszy jak dotąd zespół teleskopowy na świecie, prawie całkowicie zajął sobie SETI.

- W siedemdziesięciu pięciu procentach, Dave pozostałe dwadzieścia pięć dla zwyczajnej astronomii.

- To nie jest zwyczajna astronomia! Umiemy już przyglądać się czasom, kiedy galaktyki dopiero powstawały. A może nawet wcześniej. Umiemy badać ośrodki wielkich molekularnych chmur i czarne dziury w centrach galaktyk. Szykuje się rewolucja w astronomii, i ty stoisz jej na drodze.

- Dave, proszę cię. Bez wycieczek osobistych. Argusa

nigdy by nie zbudowano, gdyby nie istniało społeczne poparcie dla SETI. Pomysł Argusa nie jest mój, przecież wiesz, że wybrali mnie na dyrektora, kiedy ostatnich czterdzieści talerzy jeszcze było w trakcie budowy. National Science Foundation całkowicie popiera...

- Wcale nie całkowicie, zresztą nie do mnie należy o tym ci powiedzieć. Twoje prace to jest efekciarstwo. To wdzięczenie się do ufoludków. To komiks w popołudniówce! To męczenie w głowach głupkowatym małolatom!...

Drumlin już prawie krzyczał i Ellie poczuła nieodpartą ochotę, żeby go wyłączyć. Rodzaj jej pracy, a także zalety, którymi na tle innych się odznaczała, wciąż ją pakował w sytuacje, gdzie była - nie licząc pań od parzenia kawy i stenotypistek - jedyną kobietą. Bez względu na wysiłek, z jakim przez całe życie próbowała ten stan rzeczy zmienić, ciągle obracał się wokół niej cały zastęp panów rozmawiających wyłącznie ze sobą i ignorujących, gdy tylko mogli to okazać, jej słowa. Od czasu do czasu trafił się nawet jakiś Drumlin, nie ukrywający jawnej antypatii. Ale on jeden przynajmniej nie był stronnicy w swoich napadach złości, dzieląc ją sprawiedliwie między asystentów jednej i drugiej płci. Natomiast wśród jej kolegów rzadko się zdarzało, by któryś nie okazał jakiejś nagłej w sobie odmiany, gdy tylko się zbliżała. Brała to na karb tego, że zbyt mało wśród nich przebywa. Wśród takich, na przykład, jak Kenneth der Heer, biolog molekularny z Salk Institute, którego ostatnio mianowano Doradcą Prezydenta do Spraw Nauki. No i - jak Peter Valerian, oczywiście.

Projekt Argus, o czym wiedziała, złościł nie tylko Drumlina, ale i wielu innych astronomów. I wystarczyło pierwszych dwu lat, aby coś w rodzaju ducha melancholii zaczęło paraliżować Projekt. Owszem, bywały namiętne dyskusje w kantynie albo w czasie długich i niewdzięcznych godzin obserwacji nieba, o prawdziwych zamiarach

domniemyanych ET; i na ile mogą one różnić się od naszych; i jak je zgadnąć, jeśli prawie niemożliwe jest rozszyfrowanie zamiarów, choćby naszych deputowanych w Waszyngtonie? Jakie mogą być kategorie pojęciowe istot fundamentalnie odmiennych i pochodzących z fizycznie odmiennego świata, odległego o tysiące świetlnych lat? Niektórzy uważali, że wiadomość wcale nie przyjdzie falą radiową, ale na przykład podczerwoną. Albo światłem widzialnym, lub nawet może być zakodowana gdzieś wśród promieni gamma. Niewykluczone też, że ET od dawna już coś nam namiętnie przekazują, lecz przy użyciu technologii, której nie wynajdziemy wcześniej jak za tysiąc lat.

Tymczasem astronomowie z innych instytucji dokonywali zadziwiających odkryć wśród gwiazdozbiorów i galaktyk, wyłapując wszystko, co w jakikolwiek sposób wytwarzało intensywną falę radiową. Drukowali doniesienia naukowe, wizytowali się na zjazdach i podnosili swe morale widocznymi efektami oraz poczuciem celowości - podczas gdy astronomowie z Argusa, którzy zresztą nie garnęli się do publikowania, byli już zwyczajowo pomijani pośród zaproszeń do wykładów na dorocznych zjazdach Amerykańskiego Towarzystwa Astronomicznego, lub podczas odbywających się co trzy lata sympozjów Międzynarodowego Związku Astronomów.

Dlatego, po konsultacjach z National Science Foundation, kierownictwo Projektu odstąpiło dwadzieścia pięć procent czasu obserwacyjnego badaniom nie związanym z SETI. W ten sposób dokonano paru istotnych odkryć, zaś morale pracowników Projektu zaczęło się poprawiać. Odkryto, na przykład, kilka obiektów spoza galaktyki, które paradoksalnie zdawały się poruszać z szybkością większą od światła; zbadano temperaturę powierzchniową Trytona, który jest wielkim księżycem Neptuna; badano też substancję czarną, która znajduje się na skrajach sąsiednich galaktyk, gdzie już nie

widać żadnych gwiazd.

Ludzie Argusa zaczęli czuć, że w dziedzinie odkryć wyrównali do czołówki. Wprawdzie stracili część czasu na własne przeszukiwania nieba, lecz za to swe osobiste kariery otoczyli jakąś siatką ochronną. Więc jeśli nawet nie uda im się odnaleźć śladów inteligentnego życia poza Ziemią, to już i tak wydarli naturze parę innych tajemnic.

Program Poszukiwania Inteligencji Pozaziemskich, czyli SETI (dla wszystkich, którzy nie byli aż takimi optymistami, by program nazywać Kontaktowaniem się z Inteligencjami Pozaziemskimi, czyli CETI), polegał zasadniczo na rutynowej obserwacji nieba - zajęciu nadzwyczaj nudnym, któremu wybudowano całą instytucję. Ale gdy tylko przebrnęło się przez to nudziarstwo, resztę, czyli czwartą część czasu, można było poświęcić wszelkim innym badaniom, przy użyciu najpotężniejszego zespołu radioteleskopów, jaki istnieje na Ziemi. Trochę też zarezerwowano dla astronomów z innych instytucji, bo wielu było takich, którzy jak Drumlin tęsknie spoglądali ku temu cudowi technologii - stu trzydziestu jeden teleskopom Argusa, i wyobrażali sobie, że służą one tylko im samym i ich nadzwyczaj istotnym, ma się rozumieć, badaniom. Na przemian to przyznawała, to odrzucała racje Drumlina. I, oczywiście, nic z tego nie wynikało, zwłaszcza że był raczej w podłym nastroju.

Kolokwium, które poprowadził, było w dużej mierze poświęcone dowodzeniu, że czegoś takiego jak inteligencja pozaziemska w ogóle nie ma. Jeżeli, na przykład, nasza cywilizacja w ciągu ledwie paru tysięcy lat osiągnęła tak wysoki poziom technologii, to co powiedzieć o społeczności rzeczywiście zaawansowanej? Powinni już umieć przemieszczać gwiazdy, przekształcać galaktyki... A nie ma przecież w całej astronomii ani jednego fenomenu, do wyjaśnienia którego nie wystarczyłyby zwykłe prawa przyrody, i trzeba by aż odwoływać się do inteligencji pozaziemskiej.

Dlaczego Argus dotąd nie wykrył ani jednego sygnału? Czy wyobrażali sobie, że tam w kosmosie działa jakiś jeden wielki nadajnik radiowy? I ile miliardów gwiazd już przebadali? Czy zdają sobie z tego sprawę? Eksperyment sam w sobie miał, owszem, jakieś znaczenie, lecz ono już ustało. Nie muszą badać reszty nieba, odpowiedź już otrzymali. Nigdzie, ani w najgłębszym kosmosie, ani w pobliżu Ziemi, po prostu nie ma śladu ET. Inteligencje pozaziemskie nie istnieją.

W części poświęconej pytaniom jeden z astronomów Argusa wspomniał o Hipotezie Zoo - to znaczy, że ET istnieją, ale wolą nie ujawniać się, by ludziom nie przeszkadzała świadomość, że poza nimi mogą być inne inteligentne istnienia. W taki sam sposób ktoś, kto bada pierwotne zachowania zwierząt i obserwuje grupę szympanсів w buszu, stara się nie przeszkadzać w ich aktywności. Drumlin odpowiedział pytaniem: czy to możliwe, że wśród tych, powiedzmy, milionów cywilizacji w Galaktyce (którymi, jak się wyraził, „przerzucacie się” w Argusie), nie ma choć jednej, która nie zechciałaby zakłusować? Jak można w ogóle przypuszczać, że cała Galaktyka naraz grzecznie stosuje się do zasady „niemieszania się w cudze sprawy”. Przecież przynajmniej choćby jedna powinna w końcu zajrzeć na Ziemię.

- Ale na Ziemi - wtrąciła się Ellie - kłusownicy nie mają tej samej technologii, co straż. Jeżeli strażnik pojawi się ze swym, powiedzmy, radarem i helikopterami, kłusownik nie ma szans.

Uwagę jej przyjęło z aplauzem kilkunastu kolegów, za to Drumlin rzekł krótko:

- Doczekasz się, Ellie, doczekasz.

Lubiła odpoczywać na długich, samotnych wycieczkach, które urządzała jedyną swoją ekstra zabawką: thunderbirdem z 1958 roku troskliwie utrzymywanym, z odsuwanym dachem i małymi okrągłymi szybkami po bokach tylnego siedzenia.

Często zostawiała dach w domu i pędziła nocą po pustyni wśród kaktusów, z opuszczonymi szybami i ze strugą ciemnych włosów pod wiatr. Zdawało się jej, że w ciągu tych lat poznała już każde zbiedniałe miasteczko, każde samotne wzgórze i każdy skalisty płaskowyż - a także każdego z policjantów patrolowych na szosach południowo-zachodniego Nowego Meksyku. Po swej nocnej zmianie uwielbiała zawyć biegami pod budką strażniczą (jeszcze zanim wzniesiono ogrodzenie przeciw cyklonom) i zostawić Argusa za sobą, kierując się na północ.

Pod Santa Fe pierwsze lazury świtu wstawały zza gór Sangre de Cristo - dlaczego religia, zapytywała siebie - nadaje różnym miejscom nazwy pochodzące z ciała, z krwi i z serca tej najczcigodniejszej Osoby? Dlaczego nie - mózg? Pośród innych, jakże ważnych, a nie uwiecznionych organów?

Tym razem skręciła na południowy wschód, w kierunku gór Sacramento. Czy Dave miał rację? Czy SETI i Argus są niczym innym, jak zbiorowym złudzeniem kilku astronomów, których zawiódł los? I czy to uczciwe, aby przez tyle lat - pomimo braku jakiegokolwiek sygnału - ciągnąć Projekt dalej, opracowywać kolejne strategie, wyszukiwać wciąż nowe, kosztowne instrumentacje? Czy w ogóle istnieje coś, co bywa przekonującym znakiem kłęski? Po którym naprawdę zachciałoby się rzucić to wszystko i zwrócić ku czemuś bezpieczniejszemu, gwarantującemu konkretniejsze rezultaty? Obserwatorium Nobeyama w Japonii akurat ogłosiło o odkryciu adenozyiny, związku organicznego, z którego składa się DNA i który siedzi też gdzieś tam, w gęstym molekularnym obłoku. Mogłaby zająć się - nawet gdyby rzuciła poszukiwania ET - pożytecznym z pewnością szukaniem cząsteczek jakoś powiązanych z życiem, a znajdujących się w kosmosie.

Jadąc wysoką, górską drogą rzuciła okiem na południowy horyzont i uchwyciła zarys konstelacji Centaura. Starożytni Grecy dopatrzyli się w tym układzie gwiazd

chimery, stworu będącego pół mężczyzną, pół koniem, który Zeusa uczył mądrości. Ellie nigdy nie udało się dojrzeć niczego, co by przypominało centaura. Za to lubiła Alfa Centauri, najjaśniejszą z gwiazd w tej konstelacji, a zarazem najbliższą. Zaledwie cztery i ćwierć lat świetlnych od Ziemi. Alfa Centauri, w rzeczy samej, była układem trójkowym, to znaczy: dwa słońca obiegające siebie nawzajem i trzecie, dalsze, które obiega oboje. Trzy gwiazdy zlewały się, tworząc z Ziemi samotny świetlny punkt. W noc szczególnie jasną, jak ta, można było dostrzec, jak pełga gdzieś tam, nad Meksykiem. Kiedy indziej, gdy powietrze pełne było pyłu wzniesionego przez kilka dni burzy piaskowej, jechała wyżej, gdzie powietrze rozrzedzało się i stawało się przejrzystsze. Wychodziła z auta, by popatrzeć na najbliższy układ gwiazd: gdzieś tam krążyły planety, ale trudno je wypatrzeć. Niektóre pewnie krążą bardzo blisko trzech słońc. Po o ileż ciekawszej orbicie w kształcie cyfry osiem, która obiega dwa słońca wewnętrzne. A jak by to było - zastanawiała się - żyć w świecie, na którego niebie świecą trzy słońca? Pewnie nawet goręcej niż w Nowym Meksyku.

Czarną, dwupasmową szosę obsiadły po obu stronach - co dostrzegła z radosnym drżeniem - białe króliki. Widywała je wcześniej, zwłaszcza gdy jej wycieczki zapędziły ją aż po Zachodni Teksas. Stały na czterech łapkach na krzyżówkach drogi, ale gdy tylko któregoś z nich oblały nowe kwarcowe światła thunderbirda, natychmiast ze strachu robiły słupka na tylnych, z przednimi bezradnie zwieszonymi z przodu. Całymi milami, gdy z rykiem przedzierała się przez noc, towarzyszył jej ten honorowy salut króliczej straży pustyni. Obserwowały ją, poruszając tysiącami różowych nosków i lśnią w ciemnościach tysiącami oczu, gdy hałaśliwe widmo toczyło się ku nim.

Może to rodzaj ich religijnego kultu? - pomyślała. W większości były młode i pewnie nigdy dotąd nie widziały

światła samochodu. To niesamowite, tylko pomyśleć: dwa ostre snopy światła pędzące przed siebie sto trzydzieści na godzinę. Tysiące ich obsiadły obie strony drogi, ale ani jednego na szosie, żadnego przebiegającego przerywany środkowy pas, żadnego w pomieszaniu szukającego ucieczki z drogi, ani też jednego biednego, martwego ciała, a tylko uszy sterczące zza krawędzi po obu stronach drogi. Dlaczego tak się jej trzymają? Może to z powodu ciepłego asfaltu - przyszło jej do głowy. Albo po prostu wyszły na kolację między tę badylowatą roślinność na poboczu, i zaciekawiło je zbliżające się światło? Ale czy to nie dziwne, że żaden z nich nie próbuje paroma skokami pokonać szosy i złożyć wizyty kuzynom po drugiej stronie? Czym jest dla nich szosa? W ich otoczeniu - obcym tworem o tajemniczym przeznaczeniu, zbudowanym przez istoty, których większość z nich nigdy nie oglądała na oczy? Nader wątpliwe, czy to wszystko w ogóle je obchodzi.

Gwizd opon na szosie brzmiał w jej uszach jak jakiś biały dźwięk i złapała się na tym, że podświadomie szuka dłań - nawet tu - nasłuchowego wzoru. Słyszała już w życiu wiele białych dźwięków: silnik zamrażalnika włączający się w środku nocy, wodę lecącą do wanny przed kąpielą, pralkę automatyczną pracującą w suszarni obok kuchni, szum oceanu na wyspie Cozumel obok Jukatana, dokąd pojechała na podwodną wyprawę, krótką zresztą, bo bez pracy nie umiała żyć. Co dzień odbierała te przypadkowe odgłosy próbując określić, o ile więcej wzorów udawało się nałożyć na kosmiczny szum niż na nie.

Rok temu w sierpniu odwiedziła Nowy Jork, by wziąć udział w spotkaniu URSI (francuski skrót od Międzynarodowej Unii Radiowej). Powiedziano jej, że kolejka podziemna nie jest bezpieczna i żeby się miała na baczności, ale nie mogła oprzeć się białym dźwiękom. Zdawało się jej, że w klak-klak podziemnych wagonów znajduje jakiś klucz... do czegoś... więc odłożyła połowę spotkań tego dnia, aby jeździć z Trzydziestej

Czwartej na Coney Island i z powrotem na Manhattan, a potem inną linią na najdalszy Queens. Przesiadła się na stacji Jamaica i wracała zaczerwieniona, bez tchu do hotelu, w którym odbywał się zjazd - był to w końcu upalny dzień sierpnia, wmawiała sobie.

Czasem, gdy linia pociągu wydłużała się w ostrym zakręcie, żarówki oświetlenia wewnętrznego widać było z zewnątrz jako regularny wąż światel jarzący się w elektrycznym błękitcie i rozpędzony przed siebie, jak gdyby znajdowała się w jakimś nadrealistycznym statku międzygwiazdowym, pędzącym z łoskotem przez gąszcz młodych, niebieskich superwielkich gwiazd. A kiedy pociąg znowu prostował kręgosłup, wewnętrzne światła wracały na swe miejsca i ona odzyskiwała przytomność, na nowo odczuwając ostry zapach i potracanie stojących obok pasażerów. I dostrzegła znów miniaturowe kamery obserwacyjne (ukryte w specjalnych skrzyneczkach, a potem oślepięone sprajami), i pięknie wyrysowane różnymi kolorami mapy ukazujące cały komunikacyjny system miasta Nowy Jork, i wsłuchiwała się w wysoką częstotliwość pisku hamulców, kiedy zwalniali zbliżając się do peronu.

To było dziwactwo, wiedziała - cóż, jeśli zawsze miała bujną i żywą wyobraźnię. Była nałogowcem dźwięków, o'key, nie czyniła tym żadnej szkody temu, co widziała. A ludzie widzą tak niewiele. Była to w końcu jakaś część jej zawodu... Ale przecież gdyby miała takie „zawodowe” nastawienie, to na pewno odciągnęłaby też koszt wycieczki na Cozumel od swego podatku dochodowego. Wszystko z powodu dźwięku, jaki wydaje hamulec. No cóż, chyba rzeczywiście stawała się maniaczką.

Nagle spostrzegła, że dojechała aż do Rockefeller Center. Gdy szybko ruszała ku drzwiom przez kłęby porzuconych na podłodze gazet, chwyciła kątem oka wielki tytuł na stronie „News-Post”: GUERRILLAS ZAJĘLI RADIO

znajomym kształcie, umieszczony na szczycie metanowej góry lodu słabo oświetlonej czerwienią dalekiego, karłowatego słońca, u której stóp niespiesznie uderzają o brzeg fale amoniakowego morza. A nadajnik ten nadaje od czasu do czasu biały dźwięk, niemożliwy do odróżnienia od tego, jaki słyszała podczas surfingu na Cozumel. Równie prawdopodobna była sytuacja odwrotna: figurki o maniakalnych ruchach mówiące nieprawdopodobnie szybko, biegające i skaczące i zdolne wytransmitować kompletną informację radiową - na przykład, odpowiednik stu stron angielskiego tekstu - w ciągu nanosekundy. I jeśli twój odbiornik nastawiłbyś na bardzo wąskie pasmo, to znaczy, odbierałbyś tylko fale o małym zakresie częstotliwości podległych długoterminowemu konstansowi, nigdy nie byłbyś w stanie wyłapać takiej nagłej zmiany modulacji. To prosta konsekwencja Teoremu Integralności Fouriera, ściśle związanemu z Zasadą Nieoznaczoności Heisenberga, według którego, dajmy na to, jeśli masz pasmo operujące kilohercami, to nie będziesz w stanie odczytać sygnału modulowanego szybciej niż w czasie milisekundy. Powstałoby z tego zamazane buczenie. Pasma Argusa były węższe niż jeden herc, więc sygnał, który mogą w Argusie odebrać, musi być modulowany powoli, wolniej niż jeden bit informacji na sekundę. Jeszcze wolniejsze modulacje mierzone, na przykład, godziną, pozwoliłyby się odczytać tylko pod tym warunkiem, że teleskop dałoby się nastawić na konkretne źródło fali przez jakiś dłuższy czas, i że byłbyś człowiekiem niebywale cierpliwym. A tyle jest miejsc nieba do przebadania, tyle miliardów gwiazd - kto chciałby cały swój czas poświęcać tylko niektórym z nich? Ellie żywiła poważne obawy, że zakładając program przyspieszonego przebadania całego nieboskłonu w ciągu jednego ludzkiego życia, do tego na milionach częstotliwości, tracą szansę porozumienia się zarówno z oszalałymi nerwusami gadającymi jak najęci, jak i z mrukami bąkającymi czasem co nieco.

Cóż, z całą pewnością - pocieszała siebie - oni lepiej wiedzą od nas, jakie modulacje częstotliwości są najkorzystniejsze, na pewno mają przecież doświadczenie w komunikacji międzygwiazdnej i z nowo powstałymi cywilizacjami. Jeśli istnieje jakieś szerokie spektrum impulsów, które cywilizacje czekające na sygnał byłyby w stanie odebrać, na pewno będą poruszać się wewnątrz takiej szerszej skali. Co by to ich kosztowało? Na pewno mają inżynierię wybitniejszą, niż śniłoby się ziemskim standardom, a także gigantyczne zasoby energii. Gdyby pragnęli porozumienia z Ziemią, zrobiliby to tak, by Ziemianom odbiór raczej ułatwić niż na odwrót. Nadawaliby sygnał na wielu różnych częstotliwościach. Posługiwaliby się najróżniejszymi skalami czasowymi modulacji. Wiedzieliby dobrze, jacy jesteśmy niedorozwinięci i ulitowaliby się nad nami.

A jeśli tak, dlaczego dotąd nie było sygnału? Czyżby nie pomylił się Dave? Nigdzie żadnej inteligencji poza Ziemią? Te wszystkie miliardy planet - na stracenie? Pustynne? Martwe? Istoty inteligentne rzucone tylko tu, w ten ciemny kąt nieopisanie olbrzymiego wszechświata?... Choć najusilniej się starała, po prostu nie była w stanie przyjąć takiego rozumowania. Byłoby ono zbyt pokrewne odwiecznym ludzkim lękom i oczekiwaniom, a także niedowiedzionym teoriom o życiu po śmierci i różnym pseudonaukom w rodzaju astrologii. To byłoby nowoczesnym wcieleniem geocentryzmu - idei naszych przodków, że jesteśmy pępkiem wszechświata. Argumentacja Drumlina z niczego innego nie wypływa jak z tego, w co tak okropnie pragniemy wierzyć.

Zaraz, zaraz - pomyślała. - Gdybyż Argus choć raz przebadał całe niebo... Martwić się można dopiero za siedem, osiem lat - o ile do tego czasu nie nadejdzie wiadomość. A teraz mamy pierwszą w historii okazję poszukiwania innych istot zamieszkujących wszechświat. Nawet jeśli to się nie uda, tym bardziej zaczniemy cenić unikalność i cenę życia na naszej

Ziemi - a to fakt, który zawsze warto sobie uświadomić. Zaś jeśli wygramy, to odmienimy historię ludzkiego rodu, wyrwiemy go z opłotków prowincjonalizmu. I trzeba, niestety, wziąć na siebie to zawodowe ryzyko, jeśli się sięga tak wysoko - mruknęła do siebie. Wycofała samochód ze skraju drogi i wykonawszy ostry, wyścigowy skręt, dwa razy zmieniła bieg rozpędzając się z powrotem ku Argusowi. Króliki, oblane różowym światłem świtu tkwiły wciąż przy szosie i gdy je mijała, obracały za nią łebki.

ROZDZIAŁ 4

Liczby niepodzielne

Czyż nie ma tam na Księżycu jakichś Morawian, którzy przystaliby misjonarzy na naszą nieszczęsną, pogańską planetę i ucywilizowali cywilizowanych, zchrystianizowali chrześcijan?

HERMAN MELVILLE

Biała kurtka (1850)

Tylko cisza jest wielka; wszystko, co nie jest nią, jest błahe.

ALFRED DE VIGNY

La Mort du Loup (1864)

Chłodna czarna pustka została z tyłu. Impulsy zbliżały się teraz do zwykłej, żółtej, karłowatej gwiazdy i zaraz zaczęły penetracje całego orszaku planet wchodzących w skład tego nieznanego systemu. Zadrżały przelatując obok planet wodorowych, wdarły się w głąb lodowych księżyców, przebiły przez organiczne obłoki planety, na której gotowały się pierwsze zawiązki życia i omiotły powierzchnię takiej, której rozkwit miał miejsce miliardy lat temu. Teraz płynęły falą ku cieplej, błękitnobiałej planecie, obracającej się na tle zasłony utkanej z gwiazd.

Było życie na tej planecie - bujne w swej obfitości i odmianach. Pająki skaczące na mroźnych szczytach najwyższych gór i siarkożerne robaki w gorących źródłach na dnie mórz. Były twory, które mogły żyć tylko w stężonym kwasie siarkowym i takie, które stężony kwas siarkowy zabijał; organizmy, dla których tlen był trujący i takie, dla których tlen był warunkiem życia i które nim oddychały.

Szczególna odmiana życia, wyróżniająca się pewnym zasobem inteligencji, rozmnożyła się niedawno po powierzchni planety. Sięgnęła już nawet w głąb oceanów, a także na niewysokie orbity. Wyroiła się w każdym zakątku, w każdej szczelinie swojej niewielkiej planety. Granica, która oznaczała przejście nocy w dzień, przesuwiała się ze wschodu na zachód i wtedy miliony tych stworzeń, podążając za jej ruchem, wykonywały rytualne poranne obmycie. Osłoniwszy się wpół przepaskami i oblekwszy w narzutki, pili parzoną kawę, herbatę lub napar z mniszka; a potem jechali gdzieś rowerami, samochodami lub wozami; czasem na krótko zajmowali się odrabianiem lekcji, prospektami wiosennych hodowli roślin albo przyszłymi losami swego świata.

Pierwsze impulsy z pasma fali radiowej przedostały się przez atmosferę i chmury, uderzyły o krajobraz planety i częściowo odbite powróciły w przestrzeń. Ziemia obracała się pod nimi, gdy następne sukcesywnie nadlatywały, ogarniając nie tylko tę jedną planetę, ale cały układ. Bardzo niewiele fal zostało wchłoniętych przez planetę - większość bez dużego szwanku popędziła dalej - żółta gwiazda i towarzyszące jej planety zaczęły oddalać się wstecz, aż utonęły całkiem w atramentowym mroku.

W dakronowym blezerze z napisem „Maruderzy” i piłśniową piłką do tenisa dyżurny obserwator rozpoczynający swoją nocną zmianę zbliżył się do budynku kontroli, skąd tymczasem wychodziła na kolację luźna gromadka astronomów.

- Hej, Willie, jak długo już szukacie małych zielonych ludzików? Ponad pięć lat, co?

Zazwyczaj łągodnie się z nim przekomarzali, ale przecież wyczuwał już w ich żartach jakąś szpilę.

- Daj sobie spokój, Willie - dorzucił jeden z nich - nasz

program badania luminescencji kwazarów to zupełny szal. Ale potrwa wieki, jeśli nadal będziemy mieli tylko dwa procent czasu na teleskopowanie.

- Tak, tak, Jack. Masz rację.

- Szukamy początków wszechświata, Willie. Gramy o wielką stawkę. I my wiemy, że wszechświat gdzieś tam istnieje, a ty, czy możesz mieć pewność, że istnieje tam choć jeden zielony człowieczek?

- Zapytaj doktor Arroway. Jestem pewien, że z przyjemnością wysłucha twego zdania - kwaśno powiedział Wille.

Wszedł do kontrolnej sali. Bystro przejrzał dziesiątki ekranów monitorujących przebieg poszukiwań. Właśnie zakończyły przegląd konstelacji Herkulesa - ogromnego rojowiska galaktyk daleko poza Mleczną Drogą, sto milionów lat świetlnych od Ziemi. Same nastawiły się na M-13: zbiór trzystu tysięcy gwiazd związanych ze sobą siłami przyciągania i obiegających orbitę wokół Drogi Mlecznej w odległości dwudziestu sześciu tysięcy lat świetlnych; potem przebadały Ras Algethi - podwójny układ gwiazdny, a także Zetę i Lambdę Herculis - parę pobliskich gwiazd, z których niektóre różniły się od Słońca, a niektóre nie. Na miliardach różnych częstotliwości teleskopy wykonywały dokładny przegląd setek małych sektorów nieba w konstelacji Harkulesa, i - nic nie słyszały. W poprzednich latach szukały wśród gwiazdozbiorów pobliskich Herkulesowi: Węża, Korony Północnej, Wolarza, Psów Gończych... I też nie usłyszały niczego.

Kilka teleskopów - dyżurny ujrzał to na ekranie - wciąż uzupełniało brakujące dane z Herkulesa, gdy pozostałe celowały w sąsiadujący z nim odcinek nieba: gwiazdozbiór następny w kierunku wschodnim. Przed kilkoma tysiącami lat, mieszkańcom wschodniej części basenu Morza Śródziemnego skojarzył się on ze strunowym instrumentem muzycznym, którego używał Orfeusz, bohater greckich baśni. Zbiór ten

nazwali więc Lirą.

Komputery ustawiły teleskopy tak, aby badały jedną po drugiej gwiazdy w zbiorze Liry, od wschodu na zachód; potem zakumulowały radiofotony, sprawdziły stan techniczny teleskopów i przetworzyły dane w postać czytelną dla swych ludzkich opiekunów. Nawet jeden operator komputerowy już był je w stanie zadowolić. Willie minął automat z drażetkami, ekspres do kawy, cytat z Tolkiena wypisany krasnoludkowymi kulfonami, oraz naklejkę z hasłem CZARNYCH DZIUR NIE WIDAĆ. Zbliżył się do konsoli czynnościowej i po przyjacielsku kiwnął głową dyżurnemu z popołudniówki, który zbierał swe notatki i już szykował się do kolacji. Na bursztynowożłotym ekranie dyżuru dzisiejsze dane były pięknie zebrane, więc Willie nie musiał odbierać raportu z minionych godzin.

- Jak widzisz, nic szczególnego. Na czterdzieści dziewięć ostry przeskok impulsu, tak to przynajmniej wygląda - powiedział tamten machnąwszy dłonią ku oknu - ugrupowanie kwazarów godzinę temu wyemitowało falę jedną dziesiątą i jedną dwudziestą. Zdaje się, że konkurencji trafiło się trochę niezłego materiału.

- Tak, widzę. Tylko że oni nie rozumieją...

Jego głos zamarł, bo nagle przed nim pośrodku konsoli zabłysła efektownie lampka alarmowa. Na ekranie oznaczonym „Nasilenie. Częstotliwość” wznosiła się ostra pionowa pika.

- Ty, popatrz. Sygnał monochromatyczny... Na następnej tabeli opisanej „Częstotliwość. Czas” pojawił się ciąg impulsów przebiegających z lewa w prawo przez ekran.

- Cyfry - niepewnie bąknął Willie - ktoś nadaje cyframi.

- Pewnie interferencja z Lotnictwa Wojskowego. Widziałem jakiś AWACS, zdaje się z Kirtland. Pewnie specjalnie robią z nas balona.

Istniały solenne umowy rezerwujące niektóre częstotliwości radiowe wyłącznie dla astronomii, ale że

dotyczyły kanałów czystych, wojsko czasem nie mogło oprzeć się tej pokusie. Gdyby kiedyś rozpoczęła się wojna światowa, radioastronomowie bez wątpienia pierwsi ujrzeliby ją na swych ekranach wycelowanych w przestrzeń, która natychmiast zapełniłaby się rozkazami kierowanymi ku obładowanym bronią satelitom, oraz zaszyfrowanymi sygnałami do odległych jednostek strategicznych. Lecz nawet jeśli wojsko dało im spokój, astronomowie prowadzący nasłuch ciągły na miliardach częstotliwości naraz muszą się liczyć z masą rozmaitych zakłóceń. Pioruny, zapuszczone samochody, satelity telekomunikacyjne - to wszystko źródła interferencji radiowej. Jedynie komputery posługujące się cyframi i własną symboliką spokojnie mają to gdzieś. Sygnały bardziej wieloznaczne analizują dokładnie, aby upewnić się, że nie ma w nich dziwaczności powyżej kompletu danych, jakie komputerowi kazano pojmować. Ale i tak samoloty wywiadowcze zaopatrzone w systemy elektroniczne - często z misami radarów przyczepionymi po bokach, nieudolnie naśladowującymi latające talerze - potrafiły podczas swych lotów treningowych w pobliżu Argusa wzbudzić na jego ekranach absolutnie pewny sygnał inteligentnego życia. Choć potem okazywało się, że jest to życie szczególne - dość smętne, inteligentne do pewnych granic no i z trudem kwalifikujące się jako pozaziemskie. Kilka miesięcy temu F-29E z arcydziełem systemu wczesnego ostrzegania na pokładzie przeleciał osiemdziesiąt tysięcy stóp nad Argusem, włączając alarmy jego stu trzydziestu jeden radioteleskopów. Dla niewojskowych oczu astronomów zapis fali radiowej miał wystarczająco logiczny charakter, żeby go uznać za pierwszą wiadomość od kosmitów. Wkrótce stwierdzili jednak, że teleskop wysunięty najdalej na zachód odebrał informację wcześniej, niż wysunięty najbardziej na wschód - no i stało się jasne, że sygnał musi pochodzić z obiektu przesuwającego się wzdłuż cienkiej warstwy atmosfery okalającej Ziemię, a nie od jakiegoś niebywałego,

cywilizowanego świata w głębi kosmosu. A więc i tym razem sygnał na pewno wskazywał na to samo.

Palce jej prawej ręki były zanurzone w pięciu dokładnie je obejmujących tulejkach płaskiego pudełka, które stało na biurku. Odkąd wynaleziono tę rzecz, co tydzień oszczędzała ze swego czasu całe pół godziny - choć prawdę mówiąc pojęcia nie miała, czemu ta oszczędność mogłaby posłużyć.

- Więc opowiedziałam o tym wszystkim pani Yarborough, tej z sąsiedniego łóżka, wiesz, odkąd pani Wertheimer zmarła. No, oczywiście, nie zamierzam wszystkim trąbić o tym, ale na pewno swymi osiągnięciami bardzo mi się tu przysłużyłaś.

- Tak, mamó.

Sprawdziła połysk paznokci i zdecydowała, że trzeba im jeszcze minuty, no może półtorej.

- Wspominałam czasy, kiedy chodziłaś do czwartej klasy, pamiętasz? Padało i nie miałaś ochoty iść do szkoły. Chciałaś, żebym ci dała usprawiedliwienie. Że jesteś chora, ale ja odmówiłam, powiedziałam: Ellie, prócz tego, żeby być ładną, najważniejszą na świecie rzeczą jest wykształcenie. Niewiele można dopomóc urodzie ale można na pewno wpłynąć na swoją wiedzę. Marsz, do szkoły! Nigdy nie wiadomo, czego nauczysz się dzisiaj. Czyż nie?

- Tak, mamó.

- Ale ja się pytam, czy tak wtedy było.

- Tak, mamó... pamiętam.

Połysk palca czwartego był już doskonały, choć kciuk wciąż jeszcze był matowy.

- Wzięłam więc twoje kalosze i płaszcz... jedną z tych żółtych peleryn, bardzo ci ładnie w niej było, gdy ją sobie pozapinałaś... i wygoniłam cię do szkoły. A to był dzień, kiedy nie umiałaś na coś odpowiedzieć z matematyki, u pana Weisbroda, prawda? I tak się zezłościłaś, że poszłaś do

biblioteki koledżu i dopóty czytałaś, dopóki nie wiedziałaś więcej niż on. Zrobiłaś na nim wrażenie, mówił mi.

- Weisbrod, mówił ci? Nie wiedziałam. Kiedy z nim rozmawiałaś?

- Na wywiadówce. Powiedział: „ta pani córka to ho, ho”. Coś w tym rodzaju. „Tak wściekła się na mnie, że postanowiła zostać ekspertem”. Ekspertem, tak się wyraził, ależ na pewno ci to mówiłam.

Ellie oparła stopy o szufladę biurka i wyciągnęła się w obrotowym fotelu, z palcami wciąż w polerującej maszynie. Nagle - wcześniej poczuła, nim usłyszała - brzęczek. Wyprostowała się w jednej chwili.

- Muszę lecieć, mamó.

- Jestem absolutnie pewna, że ci to opowiadałam. Ale ty nigdy nie zważasz na to, co mówię. Pan Weisbrod to miły pan, ale ty nigdy nie chciałaś przyjrzeć mu się od tej lepszej strony.

- Mamusiu, naprawdę, muszę iść. Trafiliśmy coś.

- Trafiliście?

- No wiesz, mamó. Coś. Mamy sygnał. Mówiłam ci o tym.

- Otóż to. Jedna myśli o drugiej, że ta jej nie słucha. Prawdziwa matka i córka.

- To pa, mamus.

- Pozwolę ci iść, jeśli obiecasz mi, że zaraz potem zadzwonisz.

- Na pewno, mamó. Obiecuję.

Przez całą rozmowę w Ellie narastało pragnienie przerwania tej wymiany zdań, ucieczki od tych macierzyńskich ról, od tej samotności. Nienawidziła się za to.

Szybkim krokiem weszła do kontrolnej sali i podeszła do konsoli.

- Cześć, Willie, Steve. Pokażcie mi dane. No, ładnie. A gdzieście podziali zapis amplitudy? W porządku. Pomiar interferometryczny? O'kay, to teraz zobaczymy, czy w tamtej

okolicy mamy jakąś gwiazdę. O, do licha, Vega, całkiem bliskie sąsiedztwo.

Palce jej, gdy mówiła, nieustannie przebiegały po klawiszach.

- Patrzcie tylko, dwadzieścia sześć lat świetlnych. Sprawdzaliśmy już ten obszar, zawsze negatywnie. Sama tam zaglądałam jeszcze w Arecibo, podczas moich pierwszych badań. Jaka jest intensywność absolutna? Chryste, setki janskich. Praktycznie można by to złapać na tranzystorowym radiu. O'kay, no więc utrafiliśmy sygnał bardzo blisko Vegi w płaszczyźnie nieba. Częstotliwość około 9,2 gigaherców, nie całkiem monochromatyczny, szerokość pasma kilkaset herców. Spolaryzowany liniowo, transmituje zestaw impulsów ruchomych w dwu różnych amplitudach.

Ekran, w odpowiedzi na nagłe naciśnięcie klawiszy, wyświetlił aktualny stan odbioru w całym układzie teleskopów.

- Sto szesnaście radioteleskopów odbiera sygnał. To nie jest z całą pewnością błąd pomiarowy jednego czy dwu, o'kay. Powinniśmy teraz przyjrzeć się wykresowi w czasie. Czy przesuwają się z gwiazdami? Może to jakiś satelita albo samolot ELINT?

- Potwierdzam gwiazdny ruch, doktor Arroway.

- Świetnie, to mnie już prawie przekonuje. Sygnał nie pochodzi z Ziemi ani też przypuszczalnie z jakiegoś satelity w orbicie Mołnii. Ale musimy to dokładnie sprawdzić, Willie, jeśli masz chwilę, zadzwoń do NORAD i powtórz mi, co mówią o satelitach. Jeśli je wykluczymy, zostaną nam dwie ostatnie możliwości: albo to jest umyślna fałszywka, albo ktoś w kosmosie wreszcie zabrał się za wysyłanie nam wiadomości. Steve, przejdź na obsługę ręczną. Sprawdź parę teleskopów, moc sygnału jest wystarczająco wysoka, spróbuj wy badać, czy to może być fałszywka. Wiesz, świetny żart jednego z tych wesołków, którzy chcą nas przekonać, że błądzimy.

Tymczasem wokół konsoli zgromadziło się już stadko

naukowców i techników, których zaalarmowały brzęczyki argusowego komputera. Na ich twarzach widniały półuśmiešky, bo też ani jednemu z nich nawet nie powstało w głowie poważne przypuszczenie, że to naprawdę mogłaby być wiadomość z kosmosu. Akurat teraz? Ale udzielił im się nastrój wagarów, oderwanie od nudy codziennej rutynowej pracy, do której się przyzwyczaili. A może też nastrój jakiegoś wyczekiwania?

- Jeżeli któryś z was - w końcu raczyła dostrzec ich obecność - zastanawia się w tej chwili nad tłumaczeniem innym niż inteligencja pozaziemska, rada będę usłyszeć.

- Ależ doktor Arroway, mowy nie ma, żeby to była Vega. Ten układ ma tylko kilkaset milionów lat, jego planety są wciąż na etapie tworzenia, za wcześnie na rozwój inteligentnego życia. To musi być jakaś gwiazda poza Vegą. Albo galaktyka.

- Ale wtedy moc sygnału jest za wysoka - rzucił któryś z kwazarowców, którzy nadeszli popatrzeć, co się dzieje.

- Trzeba natychmiast wykonać czuły pomiar ruchu własnego, to dowiemy się, czy źródło fali jest ruchome wraz z Vegą.

- Oczywiście, Jack, masz rację, jeśli chodzi o ruch własny - odparła - ale jest jeszcze inna możliwość. Vega może nie być układem, z którego oni pochodzą. Może ją tylko odwiedzili.

- To też do niczego. Ten układ jest pełen kosmicznego gruzu. To nieudany system słoneczny, albo słoneczny system we wczesnych stadiach rozwoju. Jeśli posiedzą tam dłużej, nieźle oberwie się ich statkom kosmicznym.

- Dlatego sądzę, że dopiero co tam się znaleźli. Albo potrafią waporyzować nadlatujące meteory? Lub w jakiś inny sposób unikać zderzenia, kiedy kawałek gruzu znajdzie się na kolizyjnej trajektorii? Mogą też przebywać nie w pasie pierścienia, ale w orbicie biegunowej, gdzie ryzyko natknięcia

się na odłamy jest minimalne. Są miliony możliwości. Ale bezwzględnie masz rację: wcale nie musimy zgadywać, czy źródło znajduje się w układzie Vega. My to możemy sprawdzić. Ile czasu zabierze określenie ruchu właściwego? Przy okazji, Steve, to już przecież nie twoja zmiana... Przynajmniej powiedz Consueli, że spóźnisz się na kolację.

Willie, który przy sąsiedniej konsoli wisiał na telefonie, posłał jej cień uśmiechu.

- Dodzwoniłem się do NORAD, do samego Głównego w ich truście mózgow. Przysięga, że nie mają niczego, co mogłoby dać taki sygnał. Szczególnie, że to aż dziewięć gigaherców. Co prawda zawsze wstawiają nam taką gadkę, gdy dzwoniemy. Mówi, że nie stwierdzili obecności żadnego obiektu kosmicznego w prawej ascendencji i deklinacji Vega.

- A co z ciemnymi?

W tym czasie było już wiele satelitów „ciemnych”, o niedużych przekrojach radarowych i tak zaprojektowanych, żeby obiegały Ziemię niewidzialnie i niesłyszalnie, dopóki nie nadejdzie ich chwila.

To znaczy - dopóki nie posłużą jako zapasowy detektor raketowy lub satelita komunikacyjny w nuklearnej wojnie, gdy pierwsza linia takich satelitów padnie na polu chwały. Czasami ciemnego wychwytywał jakiś większy astronomiczny ośrodek radarowy i wtedy każdy z krajów przysięgał, że to nie ich. Więc wybuchały sensacje, że odkryto pozaziemski pojazd kosmiczny na orbicie Ziemi - bo w miarę zbliżania się do końca Tysiąclecia, kult UFO się nasila.

- Doktor Arroway, pomiar interferometryczny wyklucza orbitę typu Mołnii.

- Coraz lepiej. Przyjrzyjmy się więc tym ruchomym impulsom. Zakładamy, że to jest arytmetyka binarna. Czy ktoś już próbował przełożyć je na podstawowe dziesięć cyfr? Czy znamy sekwencje numerów? No dobrze, cóż, można obliczyć to w głowie... pięćdziesiąt dziewięć, sześćdziesiąt jeden,

sześćdziesiąt siedem... siedemdziesiąt jeden... Czy to przypadkiem nie są liczby niepodzielne?

Pomruk podniecenia obiegł kontrolną salę. Przez twarz Ellie przemknął błysk jakiegoś głęboko ukrywanego uczucia, chociaż zaraz opanowała się z obawy, by jej nie poniosło, by innym nie zdała się naiwna, niegodna miana naukowca.

- W porządku, popatrzmy, czy mogę już zrobić krótkie podsumowanie. Posłużę się najprostszym językiem i proszę sprawdzajcie, czy czegoś nie pominęłam. Otrzymaliśmy sygnał o wielkiej sile, nie w całości monochromatyczny. Na bezpośrednim styku z pasmem tego sygnału, żadna z zastosowanych frekwencji nie daje nic, prócz szumu. Sygnał jest spolaryzowany liniowo, tak jakby był wysłany za pomocą radioteleskopu. Moc jego waha się w okolicy dziewięciu gigaherców, czyli w pobliżu minimalnych wartości galaktycznego tła szumowego. To optymalna częstotliwość dla kogoś, kto chce być odebrany na wielkiej odległości. Potwierdził się ruch gwiazdny źródła, to znaczy, że porusza się tak, jakby przebywało tam, wśród gwiazd i nie było jakimś tutejszym nadajnikiem. Zresztą NORAD potwierdza, że nie znajdują żadnego satelity, ani naszego, ani obcego, który swym położeniem odpowiadałby lokalizacji źródła. Interferometria też wyklucza źródło na orbicie Ziemi. Steve przejrzał dane nie posługując się systemem automatycznym i nie wygląda na to, żeby były dziełem dowcipnisia o zboczonym poczuciu humoru, który wpakował je nam na komputer. Interesujący nas region nieba obejmuje Vegę, która jest gwiazdą karłowatą A-zero sekwencji głównej. Nie jest całkiem taka, jak Słońce, ale znajduje się tylko o dwadzieścia sześć lat świetlnych stąd i posiada prototypowy pierścień gwiazdny. Nie wiemy nic na temat tamtejszych planet, ale z pewnością istnieją jakieś wokół Vegi. Wykonujemy teraz pomiar ruchu właściwego, by się przekonać, czy źródło sygnału nie znajduje się aby poza naszą linią widzenia Vegi i otrzymamy odpowiedź... Kiedy? Za parę

tygodni? Za parę godzin, jeśli zrobimy to naszymi metodami, przez dokładną analizę interferometryczną. I wreszcie na koniec: to, co odebraliśmy z kosmosu, jest, jak się wydaje, długą sekwencją liczb niepodzielnych. Żaden znany nam proces astrofizyczny nie jest zdolny wyemitować takich liczb. Powinnam teraz powiedzieć: bądźmy ostrożni. Ale powinnam też dodać, że według wszelkich dostępnych nam kryteriów to, co otrzymaliśmy, to jest... właśnie to. Pewne wątpliwości budzi słuszne zastrzeżenie, czy otrzymaliśmy sygnał od cywilizacji rozwiniętej na którejś z planet Vega, w takim przecież przypadku musieliby oni rozwijać się niesłychanie szybko. Wiek Vega to około czterysta milionów lat, a więc trochę mało, by uznać ją za miejsce rozwoju najbliższej nam cywilizacji. Za tym pilniejsze uważam wykonanie dokładnych badań ruchu. Także chciałabym raz jeszcze przeanalizować możliwość fałszywki.

- Słuchajcie - odezwał się jeden z kwazarowców, który dotychczas kręcił się gdzieś z tyłu. Wskazał brodą zachodni horyzont, gdzie słabnąca różowa zorza nieomylnie wskazywała miejsce, w którym skryło się Słońce po zachodzie. - Za kilka godzin Vega zacznie zachodzić, ale tymczasem weszła już nad Australię. Zadzwońmy do Sydney i poprośmy, żeby obserwowali Vegę w czasie, w którym i my nie puścimy jej spod teleskopu.

- Świetna myśl. Tam jest dopiero środek dnia, a jeśli zsumujemy nasze dane, to otrzymamy doskonały wykres ruchu. Proszę mi podać wydruk wszystkich danych, z mojego biura wysłać je faxem do Australii.

Opuściła gromadkę stłoczoną wokół konsoli, ze wszystkich sił starając się zachować spokój. Skierowała się do biura, i dopiero gdy bardzo powoli zamknęła za sobą drzwi, westchnęła:

- A niech to jasna cholera...

- Poproszę Iana Brodericka. Tak. Tu Eleanor Arroway z Projektu Argus. To pilne. Dziękuję, czekam. Cześć, Ian! Coś trafiliśmy. Może to nic nie jest, ale czy mógłbyś nam to sprawdzić? To ma około dziewięć gigaherców, w paśmie kilkuset herców. W tej chwili faxuję ci parametry... Akurat masz talerz nastawiony na dziewięć gigaherców? Popatrz, świetnie się składa. Tak, mamy całą Vegę w środku pola widzenia. I dostaliśmy coś, co wygląda na impulsy odpowiadające liczbom niepodzielnym... No tak... O'kay. Zaczekam.

Po raz któryś z rzędu uświadomiła sobie, jak kiepsko funkcjonuje kontakt między astronomami świata. Połączony system komputerowy przekazywania danych nadal nie wchodził na linię. Czyli że przydatność telesieci asynchronicznej byłaby...

- Posłuchaj, Ian. Zanim teleskop dokończy obrót, czy mógłbyś rzucić okiem na wykres amplitudy czasowej? Odczytamy kropki impulsów niskiej amplitudy i kreski wysokiej. Otrzymujemy... Tak, wzór; właśnie tego tu szukaliśmy przez ostatnie pół godziny... Kto wie. Na pewno to nasz kandydat numer jeden w ciągu ostatnich pięciu lat, chociaż ja ciągle pamiętam, jak Sowieci wyszli na durnia wtedy w 1974. W związku z tym wielkim satelitą Big Bird, o ile mi wiadomo, to były amerykańskie namiary wysokościowe dla prowadzenia rakiet cruise nad Związek Radziecki... Tak, topograficzne... i Sowieci złapali je na swoje anteny wszyskokierunkowe, nie bardzo więc mogli stwierdzić, z którego punktu nieba pochodzi sygnał. Mogli tylko powiedzieć, że co rano otrzymują sygnał o takiej samej sekwencji impulsu. Ich specjaliści, zaraz pomyśleli o cywilizacji pozaziemskiej. Nie, już wykluczyliśmy transmisję satelitarną. Mam wielką prośbę, Ian, czy mógłbyś prowadzić ten namiar do końca, jak długo będziesz to miał na niebie? Potem porozmawiamy o VLBI, ale przedtem chciałabym zobaczyć, czy uda mi się

namówić inne obserwatoria, żeby też wzięły to pod teleskopy. Póki Vega znów u nas się nie pokaże... Tak, nie wiem, czy uda mi się dostać z Chinami bezpośrednie połączenie. Zastanawiam się, czy wysłać telegram IAU... Cudownie. Dzięki serdeczne, Ian.

Na chwilę zatrzymała się w drzwiach do sali kontrolnej (na którą mówili tak z przekąsem, bo właściwą kontrolę robiły komputery w swoim pomieszczeniu) i z przyjemnością przyjrzała się grupce uczonych, którzy w ferworze dyskutowali ze sobą, uważnie przeglądali dane na ekranach i nawet już trochę kłócili się o naturę sygnału. To nie są tak zwani ludzie stylowi - pomyślała - i nie ma w nich żadnej konwencjonalnej urody. Ale z pewnością jest w nich coś pociągającego, wspaniali są w ogniu pracy, szczególnie w tej jak ta chwili wielkiego odkrycia. Gdy już po prostu nic innego dla nich nie istnieje...

Umilkli, gdy się zbliżyła i przypatrywali się jej z oczekiwaniem.

Liczby były akurat przenoszone z podstawy dwójkowej na dziesiętną... 881, 883, 887, 907 ... każda znów niepodzielna.

- Willie, proszę o mapę świata. Połącz mnie z Massachusetts, z Markiem Auerbachem w Cambridge. Powinien być teraz w domu. Podaj mu ten tekst telegramu IAU do wszystkich obserwatoriów i podkreśl, że zależy nam głównie na dużych obserwatoriach radiowych. Dopilnuj, żeby sprawdził nasz numer do Radioobserwatorium w Pekinie. A potem połącz mnie z Naukowym Doradcą Prezydenta.

- Chce pani pominąć National Science Foundation?

- Po Auerbachu połącz mnie, proszę z Naukowym Doradcą Prezydenta!

W tej chwili zdało się jej, że w olbrzymim zgiefku wymieszanych głosów, usłyszała nagle jeden chóralny krzyk radości.

Rowerami, minicieżarówkami, pieszo i kablami telefonów podążyła ku wszystkim centrom astronomicznym świata lakoniczna informacja. W kilku najważniejszych ośrodkach, jak w Chinach, Indiach, Związku Radzieckim czy Holandii, odebrano ją na teletypie. Gdy tylko wyklekotała ją drukarka i dostrzegł jakiś dyżurny (a może przechodzący tędy astronom), oderwana od wałka i obdarzona zdziwionym spojrzeniem zostawała zanieśiona do pobliskiego pokoju. Głosiła, co następuje:

ANORMALNE PULSACYJNE ŹRÓDŁO FALI W PRAWEJ ASCENDENCJI 18 h 34 m, DEKLINACJA PLUS 38 STOPNI 41 MIN, WYKRYTE PODCZAS SYSTEMATYCZNEJ OBSERWACJI NIEBA W OŚRODKU ARGUS. FREKWENCJA 9,24176684 GIGAHERCÓW, PRZYBLIŻONE PASMO 430 HERCÓW. AMPLITUDY BIMODALNE OKOŁO 174 i 179 JANSKYCH. DOWIEDZIONE ISTNIENIE KODU AMPLITUD OPARTEGO NA NASTĘPSTWIE LICZB NIEPODZIELNYCH. PILNIE POTRZEBNA KOOPERACJA OŚRODKÓW W DŁUGOŚCI GEOGRAFICZNEJ. DLA KOORDYNACJI PRAC PROSIMY TELEFONOWAĆ „R”.

E. ARROWAY, DYREKTOR PROJEKTU ARGUS, SOCORRO, NOWY MEKSYK, USA.

ROZDZIAŁ 5

Algorytm dekodujący

O, mów jeszcze, jasny aniele...

WILLIAM SHAKESPEARE

Romeo i Julia

Wszystkie pokoje dla wizytujących profesorów zostały zajęte, choć raczej należałoby powiedzieć: zapchane, różnymi znakomitościami SETI, toteż kiedy zjechała oficjalna delegacja z Waszyngtonu, w Argusie nie było już ani jednego godnego ich pomieszczenia i trzeba było wynajmować pokoje w niedalekim Socorro. Wyjątek stanowił Kenneth der Heer, czyli Naukowy Doradca Prezydenta - przyjechał do Argusa zaraz następnego dnia po pilnym telefonie od Eleanor Arroway o odkryciu sygnału, wyprzedzając w ten sposób delegatów z National Science Foundation, z NASA, z Departamentu Obrony, z Prezydenckiego Komitetu Doradczego do spraw Nauki, z Rady Bezpieczeństwa i NSA. Zaczęli sphywać ciurkiem przez kilka następnych dni, a z nimi również paru rządowych, ponad wszelką wątpliwość, przedstawicieli, choć ich instytucjonalna przynależność do końca została tajemnicą.

Kilku z nich stało któregoś wieczora pod teleskopem 101 akurat w chwili, gdy Vega wyraźnie zajaśniała na niebie, mrugając ku nim uprzejmie swym białoniebieskim światłem.

- No taaak, coś mi się zdaje - odezwał się jeden z nich - że już ją przedtem widziałem. Ale nigdy nie wiedziałem, jak to się nazywa.

Vega owszem, błyszczy jaśniej od wielu gwiazd, ale już żadnych innych szczególnych cech nie posiada. Jest po prostu jedną z kilku tysięcy gwiazd, które na niebie widać gołym

okiem.

Tymczasem astronomowie odbywali nieustające sympozjum badawcze nad naturą, pochodzeniem i możliwym znaczeniem sygnału.

Niższym rangą przedstawicielom dano do dyspozycji pokój recepcyjny, który w Argusie był większy niż w innych obserwatoriach, bo i zainteresowanie inteligencjami pozaziemskimi było zawsze spore. Każdemu z przyjezdnych trzeba było poświęcić na początku trochę czasu, choć Ellie obowiązana była zająć się osobiście tylko większymi znakomitościami. A musiała również doglądać prowadzonych nadal intensywnych badań nieba, i zachowywać trzeźwość i absolutną dokładność w ocenie danych przedstawianych jej z wielkim zapałem przez kolegów. Po prostu leciała z nóg, bo od chwili odkrycia sygnału całonocny sen stał się dla niej nieosiągalnym luksusem.

Z początku próbowali nie robić szumu. Nie byli w końcu tak całkiem przekonani, czy sygnał pochodzi od istot pozaziemskich, a więc przedwczesne lub błędne poinformowanie opinii publicznej mogłoby prędko stać się ich pogrzebem. A jeszcze gorzej, gdyby okazało się, że ich dane kolidują z jakąś późniejszą szczegółową analizą - wtedy runęłaby na nich prasa, i nauka poniosłaby wielki uszczerbek. Waszyngton w pełni zgadzał się z Argusem, aby zachować najdalej idącą dyskrecję - ale co zrobić, gdy astronomowie już o wszystkim powiedzieli swym rodzinom i telegram Międzynarodowej Unii Astronomicznej obiegił świat. Toteż wszystkie obserwatoria zajmujące się podstawową inspekcją nieba w Europie, Ameryce Północnej i Japonii, zdążyły już posłać sobie systemem komputerowego przekazu danych, wiadomość o niezwykłym zdarzeniu. Mieli wprawdzie w Argusie - na wypadek, kiedy już koniecznie trzeba coś oświadczyć o jakimś znalezisku - rodzaj „taktyki wymijającej”. W tym jednak przypadku zawiodła na całej linii. Sporządzili

więc na kolanie jakąś nieszkodliwą notatkę, którą wygłaszali na okrągło, lecz nawet ona starczyła, aby wywołać sensację.

Zwracali się więc wielokroć do masmediów z prośbą o wstrzeźliwość, starając się opóźnić frontalny atak prasy, który już był tylko kwestią dni. Jak mogli, starali się zniechęcić dziennikarzy tłumacząc, że Argus nie znalazł w sygnałach właściwie żadnej informacji, i że to jest tylko nudny szereg liczb podzielnych przez jedność lub przez same siebie. Prasa coraz bardziej niecierpliwiła się brakiem dziennikarskiej bomby.

„Ile w końcu można nawijać na temat »Co to są liczby niepodzielne«?» - jeden z dziennikarzy poskarżył się Ellie przez telefon.

Grupy telereporterów z kamerami zaczęły w helikopterach i w powietrznych taksówkach urządzać niskie rajdy nad Argusem, wytwarzając silną interferencję radiową bez trudu wchodzącą na teleskopy. Inni zaczajali się na gości z Waszyngtonu, gdy ci wracali na noc do motelu - a kilku najbardziej przedsiębiorczych podjęło próbę wdarcia się na teren Argusa w przebraniu. Jeden z wózkiem z lodami, inny na motorze, jeszcze inny próbował na oklep. W końcu poproszono Ellie, aby sprawdziła parametry wytrzymałości osłony przeciwcyklonowej.

Ledwo der Heer przyjechał, zaraz usłyszał od Ellie pierwotną wersję tego, co teraz było już jej standartowym tekstem na powitanie: jak dziwna jest intensywność sygnału, skąd przybył i jaki jest jego charakter.

- Być może jestem - powiedział - Naukowym Doradcą Prezydenta, ale też tylko biologiem. Więc proszę, niech pani mi to powie powoli. Rozumiem, że jeśli źródło radiowe jest odległe o dwadzieścia sześć lat świetlnych, to znaczy, że wiadomość wysłano dwadzieścia sześć lat temu. Czyli, że w latach sześćdziesiątych jakieś ludziki ze szpiczastymi uszami pomyślały sobie, że pewnie chcemy się dowiedzieć, jak bardzo

lubią liczby niepodzielne. Ale liczby niepodzielne to raczej nic trudnego, więc nie wygląda na to, by zadzierali przed nami nosa. Raczej nam wysyłają jakąś tabliczkę mnożenia. Właściwie powinniśmy się obrazić.

- To nie tak - uśmiechnęła się. - Ten sygnał jest znakiem rozpoznawczym. Zapowiedzią. Został tak opracowany, aby przyciągnąć naszą uwagę, bo z kwazarów, pulsarów, radiogalaktyk i Bóg wie czego, wciąż dostajemy przecież masę sygnałów również opartych na wzorze. Zaś liczby niepodzielne to coś bardzo specyficznego, wyjątkowo wyszukanego. Trudno wyobrazić sobie jakąś radioaktywną plazmę albo eksplodującą galaktykę, która regularnie posyła nam taki matematyczny wzór. Zadaniem tych liczb jest więc tylko przyciągnąć naszą uwagę.

- No ale po co? - powiedział wyraźnie zbity z tropu.

- Nie wiem. W tej pracy człowiek musi być cierpliwy. Może niebawem zamiast liczb niepodzielnych pojawi się coś innego, pełnego, jakaś prawdziwa wiadomość. Musimy tylko wciąż nasłuchiwać.

Najtrudniejszym zadaniem było wytłumaczyć prasie, że sygnał właściwie nie ma żadnej zawartości, że nic nie znaczy - tylko ten ciąg pierwszych kilkuset niepodzielnych liczb, które znów nawracały do początku, do prostych liczb z arytmetyki binarnej: 1, 2, 3, 5, 7, 11, 13, 17, 19, 23, 29, 31...

- Dziewięć nie jest cyfrą niepodzielną - cierpliwie wykladała - bo dzieli się przez trzy. Poza tym, że dzieli się też przez samo dziewięć, i przez jeden - dodawała. - Dziesięć też nie jest liczbą niepodzielną, bo dzieli się przez 5 i przez 2, i też przez 10 i 1, natomiast 11 to już jest liczba niepodzielna, bo dzieli się tylko przez 1 i przez siebie samą. Dlaczego nadają właśnie liczby niepodzielne?

Przyszedł jej do głowy obraz uczonego-wariata, jednego z tych zupełnych nieudaczników towarzyskich nie umiejących porządnie się wysłowić, którzy za to potrafią dokonywać

zawrotnych działań arytmetyki pamięciowej: mówią, na przykład, po chwili zastanowienia, jakiego dnia tygodnia wypadnie pierwszy czerwca 11 977 roku. Może więc nadawanie liczb niepodzielnych wcale nie jest po coś, ale dlatego, że tak im się podoba. Że to potrafią robić.

Ogarniała ją na przemian radość i rozczarowanie. Zdawała sobie sprawę z tego, że dopiero parę dni minęło, odkąd odebrali sygnał, no i że w końcu - odebrali go! Wreszcie, po tylu latach - coś. Ale zarazem był to sygnał bez żadnej zawartości, pusty. Czyżby marzyła się jej jakaś Encyclopaedia Galactica? Przypominała sobie, że radioastronomia jest zaledwie wynalazkiem ostatnich dziesięcioleci i w Galaktyce, w której przeciętny wiek gwiazd wynosi biliony lat, szansa otrzymania wiadomości od cywilizacji będącej na dokładnie tym samym etapie rozwoju, co ziemską, powinna być równa zeru. Gdyby byli choć parę lat mniej od nas rozwinięci, już nie mogliby posłużyć się instrumentami naszej komunikacji radiowej. Czyli że sygnał najprawdopodobniej pochodzi od cywilizacji będącej daleko do przodu... Może, na przykład, umieją tworzyć fugi lustrzane: pełne i melodyjne, w których temat biegnie kontrapunktycznie w przód, a zarazem się cofa... O nie! - przywołała się do porządku. Jeżeli kontrapunkt w muzyce jest dziełem geniusza, bez wątplenia, i poza tym dziedziną, w której ona sama doprawdy nie miała wiele do powiedzenia, powinna przyhamować te swoje ekstrapolacje wokół dzieł dokonanych przez człowieka. Bach i Mozart z pewnością nie przynieśliby ludzkości wstydu.

Próbowała uczynić dalszy krok - wejść w umysłowość kogoś, kto niebywale, w niesłychanej wielokrotności jest inteligentniejszy od niej, bystrzejszy od, dajmy na to, Drumlina, albo od Edy, młodego fizyka z Nigerii, który akurat dostał Nobla. Nie udawało się. Mogła wyobrazić sobie przedstawienie Wielkiego Twierdzenia Fermata lub Przypuszczenie Goldbacha w postaci paru krótkich linijek równania. Mogła dużo

intensywniej uzmysłowić sobie problemy, niż potrafiłyby nasz umysł - co z tego, jeśli dla ET byłyby one tylko odgrzewanym daniem. I nie potrafiła wejść w ich myśli - i jakie byłoby to myślenie, gdyby zmobilizować siły większe, niż potrafi człowiek. Oczywiście, nie było to dla niej zaskoczeniem. Czego się spodziewała? Przecież byłoby to tym samym, co wyobrażać sobie nowy kolor podstawowy, albo sytuację, w której kilkuset swoich znajomych i krewnych rozpoznać masz bezbłędnie tylko po zapachu. Mogła sobie o tym rozprawiać, ale nie mogła tego doświadczyć. W ogóle człowiekowi trudno zrozumieć zachowanie kogoś mądrzejszego od siebie... No dobrze, wszystko pięknie, ładnie, ale... dlaczego nic innego tylko liczby niepodzielne?

W ostatnich kilku dniach astronomom Argusa udało się uczynić pewien postęp. Ruchomość Vegi jest znana: zarówno jej prędkość ku, jak i od Ziemi. Również jej ruch w poprzek nieba, w stosunku do odleglejszych gwiazd, które stanowią jej tło. Teleskopami Argusa - a także dzięki współpracy z obserwatoriami Zachodniej Wirginii i Australii - udało się dowieść, że źródło sygnału porusza się wraz z Vegą. Nadajnik wysyła fale dokładnie stamtąd, gdzie na niebie widnieje Vega, i również dzieli z nią - na tyle dokładnie, na ile dało się zmierzyć - jej charakterystyczne poruszenia. Nie było już żadnej wątpliwości, że jeśli to wszystko nie jest jakąś obłądną hiperfalszywką, to w obrębie Vegi znajduje się źródło radiowe nadające wiadomość. A że nie stwierdzono dodatkowego efektu Dopplera, który wynika z samoistnego ruchu nadajnika, wygląda na to, że jest on związany z którąś z tamtejszych planet. Widocznie ET pragnęli zminimalizować nam trudności wynikające z ruchu orbitalnego tym jakimś gestem międzygwiazdnej kurtuazji.

- Do diabła, to wszystko to najwspanialsza rzecz, jaką w życiu słyszałem. I do tego nic nie ma wspólnego z naszym

resortem - powiedział szykujący się do odlotu do Waszyngtonu urzędnik Agencji Zaawansowanych Projektów Badawczych Obrony.

Zaraz po odkryciu, Ellie nakazała kilka radioteleskopów Argusa nastawić na Vegę również w innych pasmach częstotliwości. I tam też pojawiła się wiadomość - na tysiąc czterysta dwudziestomegahercowej linii wodorowej, i na tysiąc sześćset siedemdziesięć siedmiomegahercowej linii hydroksylowej, i na wielu innych - ten sam monotony ciąg niepodzielnych numerów, nadających ten sam wysoki, krótki urywany sygnał. Wprost całe spektrum radiowe rozbrzmiewało cichutkimi beknięciami tej elektromagnetycznej orkiestry, którymi Vega nadawała liczby niepodzielne.

- To jest kompletnie bez sensu - odezwał się Drumlin, sprawdzając co chwilę zapinkę paska od spodni - przecież nie mogliśmy nie wykryć tego wcześniej. Wszyscy wszędzie bez przerwy gapili się w Vegę. Latami. Doktor Arroway sama prowadziła taką obserwację dziesięć lat temu w Arecibo. I nagle w ostatni czwartek Vega zaczyna nadawać liczby niepodzielne? Dlaczego akurat teraz? Co szczególnego było w tamtym dniu, że to postanowiło się wydarzyć? I dlaczego zapragnęli nadać wiadomość akurat parę lat po tym, jak Argus rozpoczął działanie?

- Może ich nadajnik był popsuty przez jakieś kilkaset lat? - odezwał się Valerian - a teraz wrócił na linię? Może ich cykl nadawczy polega na aktywności radiowej przez jeden jedyny rok z miliona? Jest pewnie cała kolejka planet, na których istnieje życie i którym też trzeba coś nadać? Nie jesteśmy przecież jedynym dzieckiem w domu.

Lecz Drumlin, wyraźnie niezadowolony, tylko pokręcił głową. Natura Valeriana była dokładnym przeciwieństwem wszelkiego podstępu czy konspiracji, mimo to w ostatnich słowach Drumlina wyczuł ukrytą intencję: czy przypadkiem to wszystko nie jest nie liczącą się z niczym, desperacką próbą

ochrony Argusa i jego pracowników przed rozwiązaniem Projektu? Nieee, to niemożliwe - Valerian potrząsnął głową i nagle stwierdził, że prócz Drumlina jeszcze drugi poważny ekspert SETI stanął naprzeciw niego. Der Heer, który z Drumlinem wymieniał uwagi i obaj kiwali ku sobie głowami.

Tej nocy niedopałki i kubki po kawie wały się wszędzie. Byle jak odziani naukowcy, urzędnicy z Waszyngtonu w lekkich ubraniach i od czasu do czasu baretki jakiegoś oficera - wszystko to wypełniało salę kontroli, salę seminaryjną, małą salę wykładową lub wylewało się drzwiami na zewnątrz, gdzie tu i tam, oświetlone ognikami papierosów i światłem gwiazd, kontynuowało rozmowy. Lecz już pojawiała się skłonność do zwady i wzrastało napięcie.

- Doktor Arroway? To jest pan Michael Kitz. Zastępca Sekretarza Obrony dla C³I.

Przedstawiwszy Kitz a samemu pozostając krok za nim, der Heer coś jej samymi wargami podpowiadał... co? Jakaś niepodobną do niego emocjonalną mieszankę. Jakby ściągał wodze podnieceniu - zdawał się apelować o umiar? Czy on naprawdę myśli, że ma do czynienia z idiotką?

- C³I - wymówił to „si-kjubik-aj” - oznacza Komendę, Kontrolę, Komunikację i Wywiad. Dziedziny najwyższej odpowiedzialności w czasach, gdy Stany Zjednoczone i Związek Radziecki przyjęły strategie znacznych redukcji w arsenałach nuklearnych. To praca dla ludzi obdarzonych rozwagą.

Kitz rozsiadł się po drugiej stronie biurka w jednym z dwóch foteli, potem wychylił się, odczytał cytaty z Kafki. Nie zdawał się nim poruszony.

- Doktor Arroway, przejdźmy od razu do sedna sprawy. Niepokoi nas pytanie, czy w interesie Stanów Zjednoczonych leży podawanie tej informacji do szerszej wiadomości. Nie

powiem, aby uszczęśliwił nas telegram, który pani rozesłała po świecie.

- Ma pan na myśli Chiny? Rosję? Indie? - w jej głosie, mimo wysiłku, pojawił się przykry ton. - Zamierza pan, panie Kitz, zachować w tajemnicy dwieście sześćdziesiąt jeden liczb niepodzielnych? I naturalnie uważa pan, że pozaziemska cywilizacja zechce się kontaktować wyłącznie z Amerykanami? Czy nie sądzi pan, że wiadomość od innej cywilizacji powinna być własnością całego świata?

- Mogła choć pani nas się poradzić.

- I zaryzykować, że utracę sygnał? Niech pan pomyśli zresztą, że może coś najważniejszego nie było wcale przekazane wtedy, gdy Vega była nad Nowym Meksykiem, ale nad Pekinem. Te sygnały to nie jest rozmowa przez telefon, po którego drugiej stronie siedzą same Stany Zjednoczone Ameryki Północnej. To nie jest nawet rozmowa telefoniczna z Ziemią. To sygnał od jednej stacji do drugiej, obojętnie na której planecie układu słonecznego. Po prostu trafiło się nam podnieść słuchawkę we właściwym momencie.

Der Heer znów zaczął coś nadawać. Co chciał jej powiedzieć? Że podobają mu się te elementarne analogie, ale żeby uważała z Kitzem?

- W każdym bądź razie - kontynuowała - już jest za późno. Już wszyscy się dowiedzieli, że w obrębie systemu Vega istnieje coś w rodzaju inteligentnego życia.

- Pewien jestem, doktor Arroway, że wcale nie jest za późno. Przecież wciąż oczekuje pani bogatszej w treść informacji, która dopiero ma nadejść. Doktor der Heer - urwał wsłuchując się w ten przypadkowy asonans - mówi, że te niepodzielne numery uważa pani za zapowiedź czegoś więcej, za jakiś sygnał wywoławczy. Więc jeśli właściwa informacja nadejdzie, a będzie w niej coś, o czym inne kraje nie powinny wiedzieć, życzę sobie, by zachowano ją w pełnej tajemnicy do czasu, aż będziemy mogli o tym porozmawiać.

- Wielu z nas ma rozmaite życzenia, panie Kitz - powiedziała słodko, ignorując uniesione brwi der Heera. W sposobie bycia Kitza było coś irytującego, nieomal prowokacyjnego. Zresztą w niej też. - Na przykład, ja bym życzyła sobie zrozumieć, co ten sygnał znaczy. I co się dzieje na Vedze, i jakie to ma znaczenie dla Ziemi. Może będą nam potrzebne ich dane. Ich mózgi. Już dziś wyobrażam sobie, że to zaczyna być problemem zbyt wielkim dla jednego kraju. Twarz der Heera wyrażała ostre pogotowie.

- Och, doktor Arroway, sekretarz Kitz sugeruje coś ze wszech miar rozsądnego. Wszak nie wykluczył on, by również inne kraje wprowadzić w te problemy. Wszystko, o co prosi, to aby mówić o tym wpiery z nami. I tylko jeśli nadejdzie następna wiadomość.

Mówił tonem uspokajającym, choć nieco namaszczone. Raz jeszcze uważnie mu się przyjrzała. Der Heer nie był jedynie gładkim przystojniakiem, jego twarz była uprzejma i bystra. Miał na sobie granatowy garnitur i sztywną oksfordzką koszulę. Powagę oraz wrażenie samokontroli, jakie wokół roztaczał, łagodził jego ciepły uśmiech. Dlaczego więc wysługuje się temu pacanowi? Obowiązek służbowy? A może ten Kitz wcale nie jest taki głupi?

- Zresztą - Kitz westchnął podnosząc się z fotela - mówimy o wciąż dość odległym rozwoju zdarzeń. Sekretarz Obrony zapewne będzie pani wdzięczny za współpracę - wystrzelił ostatni nabój. - Myślę, że się zgadzamy?

- Proszę mi dać czas do namysłu - odparła przyjmując wyciągniętą dłoń Kitza, jakby chwytając zdechłą rybę.

- Mike - dziarsko rzucił der Heer - będę u ciebie za parę minut.

Z ręką opartą już o ramę drzwi Kitz zatrzymał się, jakby uderzyła go nagła myśl. Z wewnętrznej kieszeni marynarki wyjął jakiś dokument, cofnął się od drzwi i ostrożnie położył go na skraju biurka.

- No tak, byłbym zapomniiał. To odpis Reguły Haddena, sądzę, że pani ją zna. O prawie rządu do klasyfikacji materiału istotnego dla bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych. Dotyczy również przypadków, kiedy materiał nie pochodzi z wyszczególnionych tu instytucji.

- Chce pan sklasyfikować cyfry niepodzielne? - wypaliła z drwiącym niedowierzaniem w otwartych szeroko oczach.

- Ken, zobaczymy się na zewnątrz.

Zacząła mówić, gdy tylko Kitz zniknął za zamkniętymi drzwiami.

- O co mu chodzi? O promienie śmierci, które wysyła Vega? O materiały wybuchowe mogące zniszczyć świat? Co się naprawdę za tym kryje?

- Po prostu próbuje działać rozważnie, Ellie. Widzę, że nie przyjmujesz tego do wiadomości, o'kay. Przypuśćmy więc, że nadejdzie wiadomość, wiesz, ta prawdziwa, i będzie w niej coś niebezpiecznego dla muzułmanów, powiedzmy, albo dla metodystów. Czy nie sądzisz, że powinniśmy bardzo ostrożnie puszczać ją w świat? Bo inaczej znów wszystko będzie na Stany Zjednoczone.

- Ken, przestań robić ze mnie głupią. Ten człowiek jest Zastępcą Sekretarza Obrony. Gdyby ich zmartwieniem byli muzułmanie lub metodyści, przysłaliby mi Zastępcę Sekretarza Stanu. Albo, sama nie wiem, jednego z tych nawiedzonych, którzy zagajają prezydencką modlitwę przed śniadaniem. Jesteś Doradcą Naukowym Pani Prezydent, więc mów. Co jej poradziłeś takiego?

- Jeszcze nic. Odkąd tu jestem, tylko raz rozmawiałem z nią, krótko, przez telefon. I będę z tobą szczery, nie dawała mi absolutnie żadnych poleceń w sprawie klasyfikacji. Myślę, że to co mówił Kitz, trzeba spisać na jego rachunek. Mówił w swoim imieniu.

- A kimże on jest?

- O ile wiem, prawnikiem. Zanim zaczął pracować w

administracji, był szefem zarządu jakiejś elektronicznej firmy. On się naprawdę świetnie zna na C³I, co oczywiście nie wyklucza, że może kompletnie się nie znać na całej reszcie spraw.

- Ken, ufam ci. Wierzę, że nie ty napuściłeś na mnie tę Regułę Haddena. - Pomachała leżącym przed nią dokumentem, a potem spojrzała mu głęboko w oczy.

- Czy wiesz, że Drumlin jest pewien, że w polaryzacji siedzi następna wiadomość?

- Nie rozumiem.

- Ledwie parę godzin temu. Zakończył wstępne opracowanie statystyczne polaryzacji. Przedstawił parametry Stokes'a sferami Poincarego: zmieniają się w czasie. Można to będzie obejrzeć jak całkiem niezły film.

Der Heer wbił w nią puste spojrzenie. Czy biolodzy nie posługują się światłem spolaryzowanym w mikroskopie?!

- Gdy fala świetlna dociera do ciebie - cierpliwie rozpoczęła - bez względu na to czy widzialna, czy radiowa, po prostu każdy rodzaj światła, to jego drganie odbywa się pod kątem prostym do twojej osi widzenia. Jeśli to drganie jest okrężne, to mówimy, że fala jest eliptycznie spolaryzowana. Jeśli rotuje zgodnie ze wskazówkami zegara, nazywa się ją prawostronną. Jeśli odwrotnie, to lewostronną. Wiem, że to głupie oznakowanie, ale dzięki istnieniu dwóch polaryzacji, otwiera się jeszcze jedna możliwość przekazu informacji. Trochę polaryzacji w prawo: zero, trochę polaryzacji w lewo: jeden, rozumiesz? To świetnie zdaje egzamin. Możemy regulować amplitudy, możemy regulować częstotliwości, niestety, jednak nasza cywilizacja, z powodów tylko sobie wiadomych, nie zajmuje się regulowaniem polaryzacji. No a sygnał z Vegi wygląda tak, jakby miał regulowaną polaryzację. Właśnie teraz to sprawdzamy. I Dave odkrył, że jest nierówno każdej z tych dwu polaryzacji, to znaczy, lewostronnej jest mniej niż prawostronnej, dlatego sądzimy, że gdzieś w tym

tkwi jeszcze jakaś wiadomość, którą wcześniej pominęliśmy. Podejrzewam, niestety, że twój przyjaciel Kitz nie dawał mi ot, tak, zwykłej, kurtuazyjnej rady. On już na pewno wie, że nad czymś pracujemy.

- Spokojnie, Ellie, spokojnie. Mało spałaś przez ostatnie cztery doby. Gimnastykowałaś się z astronomami, z rządem, z prasą. A to, co już zrobiłaś, to jedno z najważniejszych odkryć tego stulecia, choć z tego co mówisz, rozumiem, że jesteś u progu czegoś jeszcze większego. Masz wszelkie powody, by być u kresu wytrzymałości. Groźenie militaryzacją Projektu było ze strony Kitza, owszem, raczej podłe, i świetnie rozumiem, dlaczego zdaje ci się podejrzany. Uważam mimo to, że nie mówił tak zupełnie od rzeczy.

- Ty go znasz?

- Z paru spotkań. Trudno powiedzieć, że go znam. Ellie, jeżeli rzeczywiście jakaś prawdziwa wiadomość ma nadejść, czy nie lepiej byłoby przerzedzić trochę ten tłum?

- Pewnie tak. Tylko pomóż mi poradzić sobie z paroma sztywniakami z Waszyngtonu.

- Z przyjemnością. Ale jeśli zostawisz ten papier na biurku i ktoś tu wejdzie, to może dojść do niepożądanych wniosków. Lepiej gdzieś to schowaj.

- Więc mogę liczyć na twą pomoc?

- O ile sytuacja mniej więcej pozostanie taka, jaka jest obecnie. Jeśli sklasyfikują nam Argusa, to z pewnością trudno będzie to uznać za nasz wielki sukces.

Ellie z uśmiechem klękła przed małym biurowym sejfem i wystukała sześciocyfrową kombinację: 314159. Raz jeszcze rzuciła okiem na dokument zatytułowany: STANY ZJEDNOCZONE CONTRA ZAKŁADY CYBERNETYCZNE HADDENA.

I zatrasnęła go w środku.

Stanowili grupę około trzydziestu osób: byli wśród nich

technicy i astronomowie należący do Projektu Argus, było kilku wysokich rangą urzędników waszyngtońskich (nie wyłączając Zastępcy Dyrektora Agencji Kontrwywiadowczej), a także Valerian, Drumlin, Kitz i der Heer. Ellie była jedyną kobietą. Rozstawili przed sobą wielki telewizyjny system projekcyjny, zogniskowany na ekranie dwa metry na dwa, który ciepłym blaskiem jarzył się pośrodku ściany, w oddali. Ellie, z palcami na klawiaturze, prowadziła wykład, jednocześnie prowadząc rozszyfrowanie programem dekodującym.

- W poprzednich latach opracowaliśmy rozmaite programy komputerowe na wypadek otrzymania zakodowanego sygnału z kosmosu. Akurat od doktora Drumlina dowiedzieliśmy się, że z jego analiz wynika możliwość dodatkowej informacji ukrytej wewnątrz polaryzacji fali. Ten oto ostry skok z lewa w prawo na pewno coś znaczy, to nie może być przypadkowy szum. Porównajmy to do rzutów monetą: oczekujemy zwykle tyle samo orzełków, co reszek, ale jeśli otrzymamy dwa razy więcej orzełków, musimy dojść do wniosku, że moneta jest spreparowana. A w naszym przypadku - że tak wyregulowana polaryzacja nie może być przypadkowa. Że jest w tym zaszyfrowana wiadomość. O, patrzcie teraz, komputer właśnie mówi coś jeszcze bardziej interesującego. Sekwencja orzełków i reszek się powtarza, bardzo długa sekwencja, a więc to jest informacja złożona. Cywilizacja, która nam ją przysłała, najwidoczniej życzy sobie, byśmy ją jak najdokładniej zrozumieli. O tu, widzicie? Powtórka informacji. Teraz wejdziemy w pierwszą... w każdy bit informacji, w każdą kreskę i kropkę, jeśli państwo chcecie, abym to tak nazwała. Widzicie, wszystko jest identyczne z poprzednim blokiem danych. Teraz zanalizujemy totalną ilość bitów. Cyfra idąca w dziesiątki miliardów... o'kay, bums! I oto mamy. Trzy liczby niepodzielne.

Chociaż na twarzach Drumlina i Valeriana widniał promienny uśmiech, Ellie była pewna, że każdym z nich

targnęły dokładnie odwrotne uczucia.

- I co. Co z tego, że mamy parę nowych liczb niepodzielnych? - rozległo się pytanie kogoś z Waszyngtonu.

- To znaczy... że może przysłali nam obraz... Widzi pan, ta wiadomość zbudowana jest z ogromnej ilości bitów. Przypuśćmy, że całą tę masę wyprodukowały tylko te trzy numery, to znaczy: pierwszy, drugi, trzeci. Czyżby to była wiadomość mająca trzy wymiary? Skłonna byłabym przypuszczać, że albo to jest pojedynczy, statyczny hologram trójwymiarowy, albo dwuwymiarowy obraz poruszający się w czasie. Film. Załóżmy, że to drugie, tym bardziej że hologram musielibyśmy wywoływać dłużej. A mamy tu akurat idealny algorytm dekodujący.

Ujrzeli na ekranie niewyraźny latający wzór, składający się z jaskrawo białych i głęboko czarnych elementów.

- Willie, włącz jakiś program interpolacyjny dla szarości, dobrze? Tylko zrób to z głową. I spróbuj zrolować około dziewięćdziesiąt stopni, odwrotnie do wskazówek zegarka.

- Doktor Arroway, tu chyba jest pomocniczy boczny kanał. Ścieżka dźwiękowa do filmu?

- Dawaj!

Jedyne praktyczne zastosowanie liczb niepodzielnych, jakie jej przychodziło do głowy, to kryptografia „public-key”, szeroko stosowana w bezpieczeństwie i w handlu. Z jednej strony chodzi w niej o to, by ukryć wiadomość przed człowiekiem względnie inteligentnym, a z drugiej - by w razie czego mógł ją odszyfrować nawet głupek. Jedna po drugiej przyglądała się twarzom wokół niej. Kitz wydawał się niespokojny - możliwe, że oczekiwał spotkania z jakimś kosmicznym najeźdźcą albo, co gorsza, szkicu supertajnej broni, której pokazywanie współpracownikom Ellie nie byłoby wskazane. Willie miał twarz poważną i co rusz nerwowo przełykał ślinę. Obraz to co innego niż nagie cyfry... czuło się,

że świadomość, iż za chwilę coś zobaczą, budziła w sercach zebranych niejasne lęki i nadzieje. Twarz der Heera miała wspaniały wyraz: nie czuł się w tej chwili ani oficjalnym przedstawicielem, ani urzędnikiem, ani doradcą prezydenckim. Czuł się uczniem.

Obraz na ekranie był wciąż niewyraźny, lecz za to rozległo się jakieś dudniące, głębokie glissando, które pobiegło w górę skali dźwięków, potem w dół i wreszcie stanęło gdzieś o oktawę niżej środkowego C. Zebrani uświadomili sobie, że słyszą wprawdzie słabą, a potem coraz wyraźniejszą muzykę.

Obraz zawirował, wyprostował się i stanął.

Ellie nagle ujrzała przed sobą czarno-białą, ziarnistą zarys... potężnej, defiladowej trybuny, ozdobionej ogromnym orłem w stylu deco. W zaciśniętych, betonowych szponach orła...

- Fałszywka! To fałszywka!

Zabrzmiały okrzyki zdumienia, szyderstwa, śmiech, a nawet łagodna histeria.

- No widzisz? Zrobili cię na szaro - odezwał się Drumlin swobodnym, konwersacyjnym tonem. Uśmiechał się. - Dobrze przygotowany dowcip. Szkoda tylko, że tyleśmy czasu przez ciebie zmarnowali.

Teraz ujrzała wyraźnie: zaciśnięte, betonowe szpony orła trzymały swastykę. Kamera powędrowała w górę i nad orłem ukazała się roześmiana twarz Hitlera, pozdrawiającego dłonią rytmicznie skandujący tłum. Jego mundur, pomimo wojskowych odznaczeń, wyróżniał się prostotą. Nagle kontrolną salę wypełnił głęboki baryton spikera, chrapliwy i bez wątplenia mówiący po niemiecku. Der Heer przysunął się do niej.

- Znasz niemiecki? - szepnęła. - Co on mówi?

- Führer - powoli zaczął tłumaczyć - pozdrawia świat, który zjechał do niemieckiego Vaterlandu na otwarcie

Olimpiady tysiąc dziewięćset trzydziestego szóstego roku.

ROZDZIAŁ 6

Palimpsest

*Komu szczęśliwym być, gdy nawet już
Gwardia jest nieszczęśliwa?*

ARYSTOTELES

O polityce Księga 2, rozdział 5

Kiedy samolot przestał się wznosić i Albuquerque zostało więcej niż sto mil w dole, Ellie od niechcenia rzuciła okiem na zadrukowany niebieskimi literami prostokątny kartonik, przypięty do okładki jej biletu lotniczego. Językiem nie zmienionym od czasu pierwszego pasażerskiego lotu ogłaszał on: „To nie jest bilet bagażowy, o którym mówi art. 4 Konwencji Warszawskiej”.

Dlaczego - pomyślała - linie lotnicze tak bardzo troszczą się, by pasażerowie nie wzięli tego kawałka tektury za bilet bagażowy opisany Konwencją Warszawską? A w ogóle: co to do licha jest Konwencja Warszawska?

Pewnie znalazłoby się w historii lotnictwa jakąś zapomnianą, a brzemienną w skutki przygodę lekkomyślnej linii lotniczej, która nie zadbała o wydrukowanie na tych biletach ostrzeżenia i została doprowadzona do bankructwa przez rozsierdzonych pasażerów, niewątpliwie przekonanych, że zostały one opisane w Konwencji Warszawskiej. Za tą troskliwością z pewnością kryje się forsa, choć z drugiej strony, czy ktoś zadbał o to, by wyszczególnić dla odmiany te kawałki tektury, które NIE zostały opisane w Konwencji Warszawskiej?

Tylko wyobrazić sobie! - patrzyła w zagęszczone esy floresy druku - gdyby to posłużyło czemuś pożytecznemu. Na przykład, opisowi odkryć, albo szczególnym przypadkom

nauki, albo choć praktycznej informacji, ile statystycznych godzin może przelecieć pasażer, nim któryś samolot nie ulegnie katastrofie?

Gdyby przyjęła ofertę der Heera, aby polecieć samolotem wojskowym, miałyby teraz na pewno inne skojarzenia. Po pierwsze byłoby tam wygodniej, chyba że rozwarłaby się nagle jakaś apertura, przez którą wpełzłaby w nią zła myśl o militaryzacji Projektu.

Wszyscy zresztą woleli latać pasażerskimi liniami. Valerian, na przykład, ledwie skończył się mościć w fotelu obok, natychmiast zamknął oczy. Nagle już donikąd się nie spieszyli, zwłaszcza po tym gorączkowym przygotowywaniu ostatniej analizy danych z głową wypełnioną jedną myślą: że oto odsłania się ostatnia kurtyna. Udało się im zarezerwować zwykły lot drugiej klasy do Waszyngtonu tak, że przylecą sporo przed jutrzejszym spotkaniem; cała masa czasu, żeby się porządnie wyspać.

Rzuciła okiem na telefax zapięty zamkiem błyskawicznym specjalnej, skórzanej torby wsuniętej pod fotel przed jej nogami. To model o kilkaset kilobitów szybszy od starego, będącego własnością Petera, i dający ponadto o wiele lepszą grafikę. Cóż, niewykluczone, że jutro będzie musiała się nim posłużyć, żeby wyjaśnić Prezydent Stanów Zjednoczonych, co Hitler robi na Vedze. Trochę się denerwowała - musiała przyznać przed sobą - tym spotkaniem. Nigdy przedtem nie widziała prezydenta, choć - odpowiednio do obyczajów końca dwudziestego wieku - był to najmniejszy problem. Nie miała czasu pójść do fryzjera... O kosmetyczce nie wspominając... trudno. Nie jedzie do Białego Domu po to, żeby się jej przyglądali.

Co ojczym powiedziałby na to wszystko? Wciąż jest przekonany, że nie będzie z niej pożytku dla nauki? A matka? Teraz, w domu starców, przywiązana do inwalidzkiego wózka? Od chwili odkrycia sygnału ledwie udało się jej odbyć z matką

króciutką rozmowę. Już ponad tydzień temu... Przymknęła sobie, że jutro na pewno zadzwoni. Jak to już w życiu setki razy robiła, wyjrzała przez lufcik samolotu wyobrażając sobie, jakie wrażenie na temat Ziemi może odebrać przybysz z kosmosu. Zakładając, że leci na tej samej wysokości dwunastu lub czternastu tysięcy metrów, i że oczy ma mniej więcej takie same, jak człowiek.

Ujrzała rozległe połączenie Środkowego Zachodu: dziwnie pocięte kwadratami, prostokątami i okręgami przez ludzi zajmujących się rolnictwem i wznoszeniem miast, podczas gdy na Południowym Zachodzie jedynymi oznakami inteligentnego życia byłaby nitka szosy wciśnięta między góry, albo biegnąca prosto przez pustynię. Czy zatem światy wyżej cywilizowane są zarazem bardziej poddane geometrii i całkowicie przez swych mieszkańców odkształcone? Czy raczej sygnałem prawdziwie rozwiniętej kultury jest brak czegokolwiek na powierzchni? Czy po pierwszym rzucie oka na powierzchnię naszej planety potrafiliby orzec, na jakim dokładnie etapie rozwoju jesteśmy, w porównaniu z wielkim ciągiem kosmicznej ewolucji inteligentnych istot.

Co jeszcze mogliby powiedzieć? Z błękitu naszego nieba szkiecowo wyliczyć Liczbę Loschmidta, to znaczy, ile cząsteczek znajduje się w jednym centymetrze sześciennym powietrza na poziomie morza, około trzy razy dziesięć do dziewiętnastej potęgi. Z długości cienia, jaki chmury rzucają na ziemię, łatwo obliczyliby na jakiej wysokości te chmury się znajdują. Gdyby wiedzieli, że chmura to skroplone cząsteczki pary, mogliby też wnioskować o spadku temperatury powietrza zależnie od wysokości - skoro najwyższa chmura, jaką stąd widziała, musiała mieć temperaturę nie wyższą niż czterdzieści stopni Celsjusza. Erozja form krajobrazowych, rozgałęzione grzbiety i łukowate zakola rzek, obecność jezior i potrzaskanych stożków wulkanicznych mówiły o odwiecznym zmaganiu się sił erozji z twórczymi siłami przyrody.

Rzeczywiście - ogarniając wszystko jednym rzutem oka, już można powiedzieć, że Ziemia jest bardzo starą planetą, z bardzo młodym cywilizowanym życiem na niej.

Planety Galaktyki w większości są surowe, przedtechniczne, przypuszczalnie bez życia, choć parę z nich mogło rozwinąć cywilizacje znacznie starsze od naszej. Czymś niesłychanie rzadkim musi być planeta z kulturą techniczną akurat zaczynającą swe istnienie - i to chyba jest jedyna cecha rzeczywiście odróżniająca Ziemię.

Późnym popołudniem, w oczekiwaniu zgody na lądowanie, zaczęli okrążanie Waszyngtonu. Spostrzegła w dole, między Obeliskiem Waszyngtona a Mauzoleum Lincolna, wielką gromadę ludzi. Była to, jak pamiętała z informacji wyczytanej przed godziną w Timesie, masówka czarnych Amerykanów protestujących przeciw nierówności ekonomicznej i dyskryminacji w szkołach. Zważywszy słusność swych skarg, zdawali się Ellie i tak nadzwyczaj cierpliwi. Ciekawa była, jak pani Prezydent zareaguje na ten protest, a jak na sygnał z Vegi - jutro spodziewano się publicznego oświadczenia w obu sprawach.

- Co masz na myśli, Ken, mówiąc, że się „wydostają”?

- Na myśli mam, pani Prezydent, że nasze telewizyjne sygnały opuszczają Ziemię i wędrują w przestrzeń.

- Na jaką odległość?

- Za pozwoleniem, pani Prezydent. To wszystko jest trochę inaczej.

- W porządku. Jak?

- Sygnały rozprzestrzeniają się z Ziemi falami sferycznymi, trochę jak kręgi na wodzie. Wędrują z prędkością światła, 186 000 mil na sekundę, i zasadniczo posuwają się przed siebie. Więc im lepszy odbiornik posiada jakaś obca cywilizacja, z tym większej odległości może odebrać nadaną przez nas falę. Nawet my bylibyśmy w stanie wychwycić silną

transmisję telewizyjną z najbliższej gwiazdy.

Prezydent na chwilę zatrzymała się, wyprostowana jak surowy gospodarz, we francuskim oknie wychodzącym na Różany Ogród. Obróciła się do der Heera.

- Mówisz... wszystko?

- Tak. Wszystko.

- Całe te telewizyjne śmiecie? Katastrofy samochodowe? Zapasy? Kanały porno? Wieczorne wiadomości?

- Wszystko, pani Prezydent - der Heer potrząsnął głową we współczującym zakłopotaniu.

- Der Heer, czy dobrze pana zrozumiałam? To znaczy, że wszystkie moje konferencje prasowe, moje narady, przemówienia na otwarcie czegoś, wszystko tam wędruje?

- To akurat nie przynosi nam wstydu, pani Prezydent. Gorzej, że wędrują też pani poprzednicy. I Dick Nixon, i kierownictwo sowieckie. I wszystkie te świństwa, które mówił o pani ten drugi kandydat na prezydenta. Ta rzecz ma dobre i złe strony.

- Mój Boże. No cóż, mów dalej - Prezydent odwróciła się do okna i dla odmiany pilnie się zajęła marmurowym popiersiem Toma Paine'a, świeżo wyniesionym z piwnic Smithsonian Institute, dokąd go wtrąciła poprzednia administracja.

- Spójrzmy na to od tej strony: tych kilka minut transmisji, którą przysłała nam Vega, pierwotnie nadano w 1936 roku podczas otwarcia Igrzysk Olimpijskich w Berlinie. Choć swym zasięgiem objęła tylko Niemcy, była to jednak pierwsza transmisja telewizyjna na Ziemi o względnej mocy. Taki telewizyjny sygnał, przeciwnie niż zwykła fala radiowa z lat trzydziestych, mógł z powodzeniem przedrzeć się przez ziemską jonosferę i popłynąć w niebo. Próbujemy ustalić, co właściwie wtedy zostało nadane, potrzeba na to trochę czasu. Może to pozdrowienie Hitlera jest tylko fragmentem jakiegoś większego programu, który odebrali na Vedze. A zatem,

przyjmując taki punkt widzenia możemy mieć pewność, że Hitler stał się dla nich pierwszym sygnałem inteligentnego życia na Ziemi. Nie próbuję sztydzić... Oni nie mają pojęcia, co ta transmisja znaczy, więc odsyłają ją do nas, mówiąc na razie: „Hej, wy tam, usłyszeliśmy was”. Całkiem ładny gest, skądinąd.

- Nie było wtedy innych transmisji telewizyjnych? Wie pan, póki nie zaczęto ich na dobre po drugiej wojnie światowej?

- Nic, o czym warto by wspominać. Jakaś lokalna transmisja koronacji Jerzego V w Anglii, parę takich prób. Poważna telewizja zaczęła się w końcu lat czterdziestych. I wszystkie te programy istnieją i oddalają się z prędkością światła od Ziemi. Przypuśćmy, że to jest Ziemia - der Heer zrobił w powietrzu koło - a tu mała fala sferyczna, która począwszy od 1936 roku oddala się od niej z prędkością światła. I stale się rozszerza... prędzej czy później musi dotrzeć do najbliższej nam cywilizacji, która zresztą nie jest tak daleko, ledwie dwadzieścia sześć lat świetlnych. Na którejś z planet należących do układu Vegi. Więc to nagrali i odesłali nam z powrotem, a że potrzeba było następnych dwudziestu sześciu lat, byśmy to mogli odebrać, Veganie widocznie nie sprawdzali tego materiału latami. Musieli już być przygotowani, nastawieni, gotowi do odpowiedzi, jakby czekali na pierwsze sygnały. Łapią je, nagrywają i po chwili odsyłają z powrotem. Jeśli tylko nie byli tu wcześniej, wie pani, z jakąś misją badawczą sto lat temu, to przypuszczalnie nie orientowali się, że jesteśmy cywilizacją, która niebawem wynajdzie telewizję. Dlatego doktor Arroway sądzi, że oni monitorują wszystkie okoliczne układy planetarne, próbując zgadnąć, czy ktoś z ich sąsiadów już jest na etapie wyższej technologii.

- Ken, głowa mi pęka... Czy jesteś zupełnie pewien, że ci... jak ich nazwałeś, Veganie, nie mają pojęcia, o czym był tamten program?

- Pani Prezydent, nie ulega wątpliwości, że oni mają

trochę oleju w głowie. Sygnał z 1936 roku był bardzo słaby, więc ich detektory muszą mieć nieprawdopodobną siłę odbioru. Ale nie przypuszczam, żeby orientowali się w wymowie tamtej transmisji. Mają, jak sądzę, inny wygląd, inną historię, inne obyczaje. Jakim sposobem może im coś mówić swastyka. Albo Adolf Hitler?

- Adolf Hitler! Ken, ja chyba dostanę cholery! Ginie czterdzieści milionów ludzi, by pobić tego megalomana, a on staje się pierwszą gwiazdą telewizyjnego programu dla ET. On nas reprezentuje. I nazistów. Najdziksze rojenia tego idioty się spełniły.

Urwała, by po chwili podjąć spokojniejszym tonem.

- Wiesz, zawsze zastanawiałam się, dlaczego on nie umiał porządnie zrobić „heil”. Nigdy prosto przed siebie nie wyciągnął dłoni, zawsze jakoś tak ją ukośnie podnosił, pod dziwnym kątem. A mieli przecież jeszcze ten wściekle męski salut zagiętym kułakiem... Gdyby kto inny niż Hitler tak beznadziejnie im salutował, pewnie by powędrował na rosyjski front.

- No, jest tu pewna różnica. Hitler nie robił „heil Hitler” sobie samemu, on tylko odpowiadał...

- No tak, racja - Prezydent ruchem dłoni ponagliła der Heera, by opuścili Różowy Gabinet i weszli w głąb korytarza. Nagle przystanęła i obróciła twarz ku swemu Doradcy Naukowemu.

- A co by było, gdyby naziści nie mieli telewizji w 1936 roku? To co by się wtedy stało?

- Cóż, to mielibyśmy, jak sądzę, koronację Jerzego V. Albo którąś z transmisji nowojorskiej Wystawy Światowej w 1939 roku, o ile byłaby dość silna, żeby ją odebrali na Vedze. Albo któryś z programów z późnych lat czterdziestych, może z początku pięćdziesiątych, wie pani: Howdy-Dowdy, Milton Berle albo komunikaty wojskowe - senator McCarthy... po prostu wszystkie te nadzwyczajne objawy inteligentnego życia

na Ziemi.

- I wszystkie te cholerne bzdury są naszymi ambasadorami we wszechświecie... Emisariuszami z Ziemi - zawiesiła głos, poszukując następnego słowa. - A ambasador powinien nieść ze sobą to, co najlepsze. Przez czterdzieści lat posyłaliśmy im głównie śmieci. Ciekawe, co powiedzą na to dyrektorzy sieci telewizyjnych. Ten głupek, Hitler... pierwsza wiadomość, jaką mają z Ziemi. Co pomyślą o nas?

Gdy tylko weszła z der Heerem do Gabinetu Prezydenckiego, umilkli ci, którzy stali rozproszeni w niewielkich grupkach, zaś ci, którzy już się rozsiedli, z wysiłkiem poderwali się z krzeseł. Ucięła te formalności niedbałym gestem i z obojętną miną przywitała się tylko z Sekretarzem Stanu i z Zastępcą Sekretarza Obrony. Następnie powolnym i dobrze wyszkolonym ruchem głowy powiodła po zgromadzonych. Niektórzy chętnie przyjmowali jej wzrok, inni, odczytując w obliczu Prezydent cień przygany, odwracali spojrzenie.

- Ken, czy jest tu ten twój astronom? Arrowsmith? Arrowroot?

- Arroway, pani Prezydent. Wczoraj wieczorem przyjechała i ona, i doktor Valerian. Może utknęli w korku.

- Doktor Arroway telefonowała z hotelu, pani Prezydent - ochoczo włączył się jakiś gładki młodzian. - Powiedziała, że jej telefax odbiera akurat nowe dane, które chciałyby przywieźć na spotkanie. Prosiła, żeby zacząć bez niej.

Michael Kitz aż się wychylił z szeregu. I w jego głosie i na twarzy pojawiło się niesłychane zdumienie.

- Przekazują nowe dane? W tej sprawie? Otwartym telefonem? Bez zabezpieczenia, w waszyngtońskim hotelu?

Odpowiedź der Heera zabrzmiała tak cicho, że Kitz jeszcze bardziej musiał się wychylić.

- Mike, sądzę, że jej telefax jest wyposażony

przynajmniej w kod handlowy. Pamiętaj, że wciąż jeszcze nie wydano zasad bezpieczeństwa w tej sprawie. Jestem przekonany, że doktor Arroway dostosuje się do nich, gdy tylko zostaną określone.

- W porządku, zaczynamy - odezwała się Prezydent. - To jest nieformalne spotkanie międzyresortowe Narodowej Rady Bezpieczeństwa i czegoś, co na razie nazwaliśmy Grupą do Specjalnych Zadań. Pragnę z naciskiem podkreślić, że cokolwiek zostanie powiedziane w tym pokoju, powtarzam, cokolwiek, nie powinno być przedmiotem rozmów z nikim, kto w tej chwili nie jest z nami. Nie dotyczy to tylko Sekretarza Obrony oraz Wiceprezydenta, którzy przebywają za granicą. Wczoraj doktor der Heer krótko poinformował wielu tu obecnych o niesłychanym programie telewizyjnym nadanym z gwiazdy Vega. Poglądem doktora der Heera, który podziela z innymi - powiodła wzrokiem wokół stołu - jest, że uznać należy za przypadek obecność Adolfa Hitlera w pierwszym telewizyjnym programie, jaki dotarł do Vegi. Choć... jest to przypadek niemiły. Zwróciłam się już do dyrektora Centralnej Agencji Wywiadowczej, by oszacował wszelkie możliwe konsekwencje tego faktu dla bezpieczeństwa narodowego. Na przykład, czy w materiale, który nam tu ślą, ktokolwiek do diabła to jest, zawierają się jakieś bezpośrednie groźby. Także, czy grożą nam kłopoty w razie nadejścia kolejnej informacji, jeśli ją przed nami zdekodują inne kraje. Chwileczkę, Marvin, chcę zadać jeszcze jedno pytanie. Czy to wszystko ma związek z latającymi talerzami?

Dyrektor Centralnej Agencji Wywiadowczej - człowiek w średnim wieku, stalowych okularach i wyglądający na kogoś, kto nie toleruje sprzeciwu, przedstawił krótkie sprawozdanie.

- UFO - powiedział - czyli Niezidentyfikowane Obiekty Latające, były od dawna przedmiotem stałej troski dla CIA i Sił Powietrznych USA; zwłaszcza w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, gdy nasiliły się plotki, że są to obce rodzaje

broni, których celem jest siać zamieszanie i blokować kanały informacji. Kilka dość dobrze sprawdzonych incydentów pozwoliło na stwierdzenie, że były to penetracje amerykańskiej przestrzeni powietrznej oraz loty zwiadowcze nad bazami wojskowymi USA, dokonywane przez wysoko wyspecjalizowane lotnictwo Związku Radzieckiego lub Kuby. Takie przeloty są popularnym sposobem sprawdzania potencjalnej gotowości bojowej partnera i przyznać trzeba, że USA równie namiętnie angażowało się w tę działalność zwiadowczą, mogąc się zresztą pochwalić większą ilością udanych prowokacji niż Sowieci. Było to utrzymywane w głębokiej tajemnicy. Kubański MiG, który dokonał dwustumilowej penetracji w głąb Doliny Missisipi, jeszcze nie został sklasyfikowany, gdy już NORAD wykluczył możliwość poinformowania o tym incydencie opinii publicznej. Siły Powietrzne USA stosowały rutynową procedurę zaprzeczania, że którekolwiek z ich obiektów lotniczych znajdują się tam, gdzie jakoby widziano UFO, a także bez zastosowania nacisku nie przyznałyby się nigdy do nieuzasadnionych lotów zwiadowczych nad cudze terytoria, utwierdzając tym sposobem publiczną mistyfikację...

Dyrektor Personalny Sił Powietrznych nie zdawał się zachwycony tymi rewelacjami, lecz nie powiedział słowa.

- Większość UFO - kontynuował dyrektor Agencji Wywiadowczej - to były obiekty naturalne, uznane za nadnaturalne modele lotnicze, długie światła samochodów odbite od chmur, balony, ptaki, błyszczące owady, nawet planety i gwiazdy oglądane podczas szczególnych warunków atmosferycznych, to wszystko zgłaszano jako UFO. Znaczą też ilość doniesień należało uznać za spreparowane albo wynikające z patologicznych urojeń. Odkąd w latach czterdziestych ukuto termin „latające talerze”, na całym świecie zarejestrowano ponad milion doniesień o ich pojawieniu się, choć wśród nich ani jednego mogącego być dowodem na

wizytę istot spoza Ziemi. Jednak marzenia o takim wydarzeniu wyzwały emocje, pojawiły się grupki fanatyków i nieodpowiedzialne publikacje, a nawet naukowcy z uniwersytetów podsycający wiarę w UFO, jako dowody życia na innych planetach. Niektóre doktryny mileniarystyczne dostrzegają w gościach z latających talerzy zbawicieli ludzkości. W latach sześćdziesiątych oficjalne badania prowadzone przez Siły Powietrzne i nazwane w jednym ze swych ostatnich wcieleń Projektem Niebieskiej Księgi, zostały zakończone ze względu na oczywistość materiału. Resztką tamtego programu wegetuje wciąż w postaci współpracy Sił Powietrznych z CIA. Środowisko naukowe doszło do tak głębokiego przekonania, że w sprawie UFO nic już nie można dodać, że kiedy Jimmy Carter znów zlecił NASA przeprowadzenie szerokich badań nad UFO, w sposób zgoła dla siebie nietypowy, odrzucili prezydenckie żądanie.

- Za pozwoleniem! - wtrącił od stołu któryś z naukowców, nie zorientowany w protokole spotkań na tym szczeblu. - Za to trochę więcej zmartwień UFO przysparza SETI, które jest poważnym programem...

- Jedną chwilę - westchnęła Prezydent - chciałabym się dowiedzieć, czy jest przy tym stole ktoś, kto serio może stwierdzić, że UFO i sygnał z Vegi mają ze sobą powiązanie.

Der Heer uważnie obejrzał swe paznokcie. Nikt nie odezwał się ani słowem.

- No tak, wiecznie to samo. A potem trzęsądupki, które teraz ani pisną tak albo nie, będą się przekrzykiwać „a nie mówiłem?”. Marvin, mów dalej.

- W 1936 roku, pani Prezydent, bardzo słabym sygnałem telewizyjnym transmituje się uroczystość otwarcia Igrzysk Olimpijskich w Berlinie dla garstki odbiorców na tym terenie. Była to próba podniesienia społecznych nastrojów: jak się rozwija i dominuje świat technologia Trzeciej Rzeszy. Było przedtem parę transmisji, wszystkie o bardzo słabej mocy.

Zresztą wyprzedziliśmy Niemców, Minister Handlu Herbert Hoover na krótko pokazał się w telewizji w... dokładnie 27 kwietnia 1927 roku. Cokolwiek by powiedzieć, dopiero sygnał z Niemiec opuszcza Ziemię i z prędkością światła, dwadzieścia siedem lat świetlnych później, dociera do Vegi. Zatrzymują ten sygnał na parę lat, kimkolwiek są „oni”, i znacznie wzmocniony posyłają nam spowrotem. Zdumiewająca jest ich zdolność odbioru takiego słabego sygnału, a jeszcze bardziej, że potrafili odesłać go na tak olbrzymim poziomie mocy. Myślę, że warto by przyrzeć się temu z punktu widzenia bezpieczeństwa. Środowiska związane z wywiadem chętnie dowiedziałyby się też, jak można wykryć taki słaby sygnał. Tamci na Vedze, ludzie czy ktokolwiek inny, są bez wątpienia bardziej od nas zaawansowani, może o kilka dziesięcioleci, może więcej. Nie przekazali nam o sobie żadnych informacji z wyjątkiem tego, że na pewnych częstotliwościach sygnał nie wykazuje efektu Dopplera, który wynika z ruchu planety wokół Słońca. Ten poziom trudności zredukowali, aby ułatwić nam zadanie. Są więc... przyjaźni. Innych danych o militarnym lub jakimkolwiek innym charakterze nie posiadamy. Wszystko, co nam powiedzieli, to tyle, że są niezli w radioastronomii, że lubią liczby niepodzielne i mogą nam odesłać nasz pierwszy telewizyjny program. Nie będzie dla nas zagrożeniem, jeśli tylko tyle dowiedzą się też inne kraje. Pamiętajmy, że teleskopy w różnych miejscach Ziemi też pewnie wciąż od nowa odbierają ten trzyminutowy film z Hitlerem, ale tam jeszcze nie wiedzą, jak te fale rozszyfrować. Można jednak sądzić, że wcześniej czy później Rosjanie albo Niemcy wpadną na sposób z regulacją polaryzacji. Moje osobiste zdanie, pani Prezydent, jest takie, i ciekaw jestem, czy Departament Stanu się zgodzi, że lepiej teraz poinformować świat, niż potem mają nas oskarżać o chowanie sekretów. Jeśli sytuacja utrzyma swą równowagę, bez większego przechyłu w tę lub tamtą stronę, można pomyśleć o jakimś publicznym oświadczeniu. A nawet

puścić ten trzyminutowy film. W niemieckich materiałach archiwalnych nie znaleźliśmy nic, co mówiłoby o dokładnej wartości tamtego programu. Może zresztą coś w nim na Vedze zmienili, nim go wysłali z powrotem. Rozpoznamy Hitlera, również ta część olimpijskiego stadionu, którą widzimy, zdaje się dokładnie odpowiadać stanowi z 1936 roku. Ale czy Hitler wtedy rzeczywiście uśmiechał się, czy na przykład, drapał w nos, tego już wiedzieć nie będziemy.

Ellie, za którą postępował Valerian, wpadła prawie bez tchu. Próbowali przysiąc na zapasowych krzesłach pod ścianą, ale der Heer ich zauważył i wskazał pani Prezydent.

- Doktor Arrow-jaktam-way? Cieszę się, że pani szczęśliwie do nas dotarła. Po pierwsze, pragnę pogratulować pani wspaniałego odkrycia... co tam, Marvin?

- Nic, pani Prezydent, już wszystko powiedziałem.

- To ładnie. Doktor Arrowway, zdaje się, ma pani jakieś nowiny? Czy może pani nam je zdradzić?

- Pani Prezydent, ogromnie przepraszam za spóźnienie, ale myślę, że właśnie w tej chwili rozbiliśmy kosmiczny bank. My... to znaczy... Proszę pozwolić, abym to ujęła w ten sposób: na jednym piśmie napisano drugie pismo, a na drugim, trzecie. W czasach starożytnych, gdy pergaminu zabrakło, ludzie jeszcze raz pisali na tym samym. W ten sposób powstawało coś, co się nazywa palimpsestem. Sygnał z Vegi był, oczywiście, bardzo silny i jak pani wie, składały się nań liczby niepodzielne, „pod” którymi, w czymś co nazywa się modulacją polaryzacji, tkwił ten koszmarek z Hitlerem. Ale pod niepodzielnymi liczbami, i pod retransmisją Olimpiady z 1936 roku, odkryliśmy właśnie niebywałą, bogatą informację. Nareszcie jesteśmy pewni, mamy pełną wiadomość. Od początku tam była, właśnie ją odbieramy. Jest słabsza niż sygnał zwiastunowy, i przykro mi, że nie udało się trafić na nią wcześniej.

- Co ta wiadomość mówi? - spytała Prezydent. - O co w

niej chodzi?

- Nie mamy pojęcia, pani Prezydent. Dopiero dziś rano, waszyngtońskiego czasu, wychwyciło ją kilku pracowników Argusa. Pracowaliśmy nad tym całą noc.

- Na otwartym telefonie? - zauważył Kitz.

- Na standardowym szyfrze handlowym - powiedziała Ellie lekko stropionym tonem. Otworzyła torbę z telefaxem, szybko wywołała wydruk przejrzysty i nad głowami zebranych rzuciła go projektorem na ekran.

- To wszystko, co dotychczas wiemy. Widzą państwo blok informacyjny o gęstości około tysiąca bitów. Teraz będzie pauza, a potem ten blok się powtórzy, bit za bitem. I znowu pauza, i przechodzimy do następnego bloku. On też się powtarza. Powtórzono każdy z bloków prawdopodobnie z obawy przed zniekształceniami podczas transmisji. Chyba zależy im na tym, żebyśmy wszystko co mówią, odebrali bardzo dokładnie. Teraz każdy z bloków nazwijmy stroną: w Argusie będzie przybywać po kilka takich stron na dzień. Ale nie wiemy, co na nich napisano. To nie jest taki prosty zapis obrazkowy, jak transmisja z Olimpiady. To jest coś bogatszego, ukrytego głębiej, to rzeczywiście wygląda na tę prawdziwą informację. Jedynym kluczem, jakim dysponujemy w tej chwili, jest numeracja stron. Na początku każdej widnieje cyfra z arytmetyki binarnej, widzicie ją? Ile razy pojawi się następna para identycznych stron, jedna z nich opatrzona jest wyższym numerem. W tej chwili jesteśmy na stronie... 10 413... spora księga. Licząc wstecz, wiadomość musiała wejść nam w eter około trzy miesiące temu. I tak dobrze, że ją choć teraz chwyciliśmy.

- Miałem rację, a nie? - Kitz aż wychylił się przez stół ku der Heerowi. - To raczej nie jest wiadomość, którą chciałbyś przekazać Japończykom, Chińczykom lub Rosjanom?...

- Czy trudno to będzie rozszyfrować? - Prezydent posłała pytanie nad szepczącym Kitzem.

- Zrobimy, oczywiście, co w naszej mocy. Dobrze byłoby, gdyby NSA przyłączyła się do nas. Ale bez wsparcia z Vegi, bez elementarza, nie wolno chyba spodziewać się zbyt wiele. Z całą pewnością to nie jest pisane po angielsku, po niemiecku ani w żadnym innym ziemskim języku. Jednak ufamy, że gdy Wiadomość dotrze do końca, do dwudziesto- a może trzydziestotysięcznej strony i potem zacznie się od nowa, będziemy mogli uzupełnić tę wcześniejszą brakującą część. Może tam będzie jakiś elementarz, coś w rodzaju „Czytanek” McGuffeya. I wtedy uda nam się odczytać Wiadomość.

- Jeśli wolno, pani Prezydent...

- Pani Prezydent, to jest doktor Valerian z Kalifornijskiego Instytutu Technologii, jeden z pionierów w tej dziedzinie.

- Proszę, doktorze Valerian.

- Ta transmisja ma charakter celowy. Oni wiedzą, że tu istniejemy. Z tej audycji z 1936 roku mają już też jakieś wyobrażenie o poziomie naszej technologii i o tym, co jesteśmy w stanie zrozumieć, a czego nie. Przecież nie zawracaliby sobie głowy, gdyby nie chcieli, abyśmy Wiadomość od nich przeczytali. Jestem pewien, że wewnątrz kompletnego materiału znajdziemy klucz, to tylko kwestia zebrania całej informacji i jej drobiazgowej analizy.

- A jak pan sądzi, czego dotyczy Wiadomość?

- Zupełnie nie wiem, co na to odpowiedzieć, pani Prezydent. Mogę tylko powtórzyć za doktor Arroway: to złożona, wielowątkowa Wiadomość. Cywilizacja, która ją przysłała, chce, byśmy ją zrozumieli. Może to wszystko stanowi jeden mały tom Encyclopaedia Galactica?... Masa gwiazdy Vega jest około trzy razy większa od masy Słońca i jest pięćdziesiąt razy jaśniejsza. A że zużywa swoje paliwo nuklearne w takim samym tempie, ma krótszy od Słońca czas życia...

- Może na Vedze dzieje się coś niedobrego - wtrącił

dyrektor CIA - może ich planetę czeka zagłada? Może chcą, żeby ktoś się dowiedział o ich cywilizacji, zanim zginie?

- Lub - poderwał się Kitz - szukają nowego miejsca, by się osiedlić. Ziemia świetnie im pasuje. Może to nie jest przypadek, że przysłali nam portret Hitlera?

- Chwileczkę! - odezwała się Ellie - istnieje wiele możliwości, ale to nie znaczy, że wszystko jest możliwe. W jaki niby sposób mogliby sprawdzić, że w ogóle otrzymaliśmy Wiadomość i jaki postępowanie uczyniliśmy w jej rozszyfrowaniu? Przecież jeśli uznamy, że Wiadomość nas obraża, możemy nie odpowiadać. Zaś jeśli zareagujemy, i tak minie dwadzieścia sześć lat, nim dostaną odpowiedź. I następne dwadzieścia sześć, zanim z kolei oni odpowiedzą. Prędkość światła jest dość prędką, ale nie nieskończone, jesteśmy dzięki temu nader skutecznie izolowani od Vegi. Więc jeśli coś nas zaniepokoi w tym nowym doniesieniu, mamy parę dziesiątków lat na decyzję. Trochę za wcześnie, żeby panikować.

Ostatnim jej słowom towarzyszył czuły uśmiech posłany Kitzowi.

- Dziękuję za pani uwagi, doktor Arroway - odezwała się Prezydent - ale czasem wypadki prędko się toczą. Cholernie prędko.

Zaś tym razem za dużo mamy „a może tak, a może siak?”. Ciągłe nie jestem w stanie złożyć oficjalnego oświadczenia, ani o liczbach niepodzielnych, ani o tym g... z Hitlerem. A teraz znów mamy się zastanowić nad tą, jak pani mówi, „księgą”, którą nam podrzucili. A że wy, uczeni, tak mało naradzacie się ze sobą, plotki nie czekają... Phyllis, daj tę teczkę.... O tu, tylko patrzcie na nagłówki gazet.

Jedno po drugim, na wyciągnięcie ramienia, kładła przed sobą dzieła sztuki dziennikarskiej niewiele różniące się od siebie: „Telewizyjny show przysłany przez kreatury o wyłupiastych oczach - mówi doktor Astronomii”, „Astronomiczny telegram potwierdzi istnienie inteligencji

pozaziemskich?”, „Głos z nieba”, a także: „Kosmici nacierają! Kosmici nacierają!”.

Rzuciła pęk wycinków na stół.

- Tyle dobrego, że jeszcze nie wpadli na tę sprawę z Hitlerem. Już widzę nagłówki: „Hitler żyje i dobrze się miewa w Kosmosie, mówi rząd Stanów Zjednoczonych”. Albo jeszcze gorzej. Aż w końcu, zupełne dno. Myślę, że skrócimy dzisiejsze posiedzenie. Spotkamy się w innym terminie.

- Za pozwoleniem, pani Prezydent... - głosem pełnym wahania, z pewnym ociąganiem odezwał się der Heer. - Są, niestety, jeśli pani wybaczy, pewne międzynarodowe implikacje, które winniśmy przedyskutować jeszcze teraz.

Prezydent spurpurowiała. W milczeniu skinęła głową.

Der Heer mówił dalej:

- Doktor Arroway, jeśli coś pomyślę, proszę mnie poprawić. Otóż, co dzień, gdy Vega wschodzi nad pustynią Nowego Meksyku, otrzymujecie państwo coś w rodzaju jednej strony złożonej z wielu wątków transmisji, czy cokolwiek to jest. Potem, po jakichś ośmiu godzinach, Vega wam zachodzi, zgadza się? O'kay. Potem, następnego dnia znów wschodzi, ale tymczasem straciliście parę stron, których nie mogliście odebrać po zachodzie, czy tak jest? Wygląda na to, że odbieracie, powiedzmy, strony od trzydziestej do pięćdziesiątej, a potem od osiemdziesiątej do setnej, i tak dalej. I bez względu na to, jak byście się starali, zawsze ucieknie wam ogromna część przekazu. Powstaną luki. Jeśli nawet Wiadomość w całości się powtórzy, znów będą luki.

- Absolutna racja - Ellie uniosła się od stołu i podeszła do ogromnego globusa. Biały Dom najwyraźniej ignorował skośny nachył osi: ta Ziemia celowała swą osią prosto w górę. Popchnęła globus.

- Ziemia obraca się. Jeśli więc chcemy uniknąć luk, potrzebne nam teleskopy na różnych długościach geograficznych. Ktokolwiek obserwuje Vegę tylko z terytorium

swego kraju, wskakuje w tę falę i zaraz musi z niej wyskoczyć, kto wie, może w najciekawszym momencie. Ten sam kłopot mają amerykańskie pojazdy międzyplanetarne: kiedy mijają jakąś planetę, wysyłają na Ziemię dane, choć w tym czasie USA znajdują się w zupełnie innym miejscu. Więc NASA doprowadziła do powstania trzech stacji nasłuchowych, rozmieszczonych na różnych południkach wokół Ziemi. Już od dziesięcioleci działają wyśmienicie. Ale... - tu zamilkła i jakby przeprasząco spojrzała na P.L. Garrisona, dyrektora administracyjnego NASA. Chudy, o bladej cerze i zdaje się prostolinijny, zatrzepotał powiekami.

- Mmmmm... tak. Dziękuję. To się nazywa Sieć Głębokiego Nasłuchu Kosmicznego, z której jesteśmy bardzo dumni. Mamy stacje na Pustyni Mohave, w Hiszpanii i Australii. Oczywiście, jesteśmy niedofinansowani... ale z pewną pomocą, jestem pewien, moglibyśmy pokazać nasze możliwości...

- Hiszpania? Australia? - zapytała Prezydent.

- Czysto naukowe badania - wtrącił Sekretarz Stanu. - Jestem pewien, że nie ma z tym żadnego problemu. Oczywiście, gdyby badania miały nabrać jakichś politycznych tonów, mogłoby to stać się trochę kłopotliwe.

Stosunki Stanów Zjednoczonych z oboma krajami ostatnio rzeczywiście się ochłodziły.

- Ja przecież nie mam najmniejszych wątpliwości, że w tej sprawie SA polityczne tony! - Prezydent ostro spojrzała na zabranych.

- Nie musimy być przywiązani do Ziemi - wtrącił się generał Sił Powietrznych. - Z ruchem obrotowym możemy poradzić sobie, umieszczając duży radioteleskop na orbicie.

- To dobry pomysł - Prezydent raz jeszcze powiodła wzrokiem wokół stołu - czy mamy radioteleskop kosmiczny? Ile czasu trzeba, żeby to zorganizować? Kto może coś powiedzieć na ten temat? Doktor Garrison?

- Mmmm... nie, pani Prezydent. Przez trzy ostatnie lata fiskalne NASA co roku proponowała coś takiego, Obserwatorium Maxwella, ale OMB za każdym razem skreślało nas z budżetu. Mamy wciąż, oczywiście, ten szczegółowy projekt, ale wprowadzenie go w życie trwałoby lata, nooo, trzy lata w każdym razie. I chyba powinienem w tym miejscu wszystkim przypomnieć, że Rosjanie mają na orbicie teleskop do milimetrowej i submilimetrowej fali, który pracował do ostatniej jesieni. Nie wiem, dlaczego przestał, ale na pewno są w lepszej sytuacji, mogąc zaraz posłać tam paru kosmonautów, żeby go naprawili, niż my budując go od zera.

- Czy to już wszystko? - spytała Prezydent. - Więc NASA posiada zwykły teleskop w przestrzeni, a nie ma dużego radioteleskopu? I nic więcej, co by się teraz nam przydało? Co na to Wywiad? NSA? Czy naprawdę nikogo tu nie ma?

- No cóż. Jeśli coś można dodać w tej sprawie - odezwał się der Heer - Vega nadaje silny sygnał, do tego na wielu częstotliwościach. Kiedy zachodzi nad Ameryką, pół tuzina innych krajów wychwytuje go i nagrywa. Wprawdzie ich teleskopy nie mają tej klasy co Argus, i chyba nie wpadli jeszcze na pomysł z polaryzacją, lecz jeśli teraz zaczniemy budować kosmiczny radioteleskop, a potem wysyłać go na orbitę, Wiadomość do tego czasu przestanie nadchodzić. Czy wobec tego nie staje się jasne, że jedynym rozwiązaniem byłaby natychmiastowa współpraca z innymi krajami? Co pani na to, doktor Arroway?

- Nie sądzę, aby jakikolwiek kraj mógł sam poradzić sobie z tym problemem. Potrzeba wielu krajów rozproszonych na różnych długościach geograficznych całej Ziemi. Ten program powinien włączyć wszystkie większe ośrodki radioastronomii w Australii, Chinach, Indiach, Związku Radzieckim, na Bliskim Wschodzie i w Europie Zachodniej. Byłoby z naszej strony dowodem kompletnej nieodpowiedzialności, gdybyśmy przystali na luki w

Wiadomości, niewykluczone, że w jej zasadniczej części, bo nie mieliśmy teleskopu, który w tym czasie patrzyłby w Vegę. Trzeba by wziąć też pod uwagę Wschodni Pacyfik między Hawajami i Australią, może obszar Środkowego Atlantyku...

- No ładnie - urażonym głosem odezwał się dyrektor CIA. - Sowieci mają parę niezłych okrętów wykrywających satelity, na przykład, „Akademik Kiełdysz”, „Marszałek Niedielin”. Jeśli wejdziemy z nim w układy, z wielką ochotą zajmą strategiczną pozycję na Atlantyku i Oceanie Spokojnym. Z pewnością wypełniając w ten sposób wiele luk...

Nim Ellie zdążyła ułożyć usta do odpowiedzi, Prezydent już mówiła:

- W porządku, Ken. Podejrzewam, że masz rację. Ale powtarzam: wypadki zaczynają toczyć się cholernie prędko. Mam teraz, niestety, parę innych spraw, którymi muszę się zająć. Byłabym wdzięczna, gdyby dyrektorzy CIA i NSA popracowali dzisiaj przez noc i zastanowili się, czy jest jakaś możliwość uniknięcia tej współpracy. Zwłaszcza z krajami, które nie są naszymi aliantami. Od Sekretarza Stanu oczekuję, by wspólnie z zespołem naukowców opracował listę krajów i osób, z którymi winniśmy wejść w kontakt, gdyby współpraca była nieuchronna. Razem z komentarzem o możliwych konsekwencjach: czy jakiś kraj, na przykład, nie wścieknie się, jeśli nie zaprosimy go do nasłuchu. Czy ktoś może nas szantażować, obiecując dane, a potem trzymając je dla siebie? Czy na każdej długości potrzebny nam więcej niż tylko jeden kraj? Popracujcie nad tym całym kontekstem, i na miłość Boską - jej oczy wędrowały powoli, twarz po twarzy, wokół długiego, błyszczącego stołu - zachowujcie w tej sprawie milczenie. Pani też, Arroway. Mamy dość problemów.

ROZDZIAŁ 7

Etanol w W-3

Nie dawajcie wiary temu, co się wam mówi... iż demony czynią co posłańcy czy tłumacze między bogami i ludźmi, i że niosą nam od nich boże wsparcie. Przeciwnie, wierzyć musimy, że są to duchy najchętniej czyniące nieszczęście, całkowicie obce prawom, nadęte pychą, pobladłe z zazdrości, subtelne w grze pozorów...

Św. AUGUSTYN
Państwo Boga, VIII, 22

Gdyby nadeszła ta herezja, mamy przeciw niej przepowiednie Chrystusa; ale czy stare winno się obalić, tego przewidzieć nie umiemy.

THOMAS BROWNE
Religio Medici, I, 8(1642)

Wpierw zaplanowała, że spotka się z Vaygayem w Albuquerque i weźmie go do Argusa swoim thunderbirdem, gdy resztę sowieckiej delegacji powiozą samochody obserwatorium. Cieszyłaby ją ta wyprawa o chłodnym świecie - szybka jazda na lotnisko, może znów wzdłuż honorowej straży królików? Pragnęła długiej i zasadniczej rozmowy z Vaygayem już podczas powrotnej drogi - nic z tego. Nowi ludzie ochrony, podporządkowanej teraz Administracji Służb Specjalnych, przegłosowali na jej niekorzyść. Stan pogotowia w masmediach, a także wstrzemięźliwe co prawda oświadczenie pani Prezydent na zakończenie konferencji prasowej przed dwoma tygodniami, przyciągnęło do samotnego kąta na pustyni nieprzebrane tłumy. Jak oświadczone Ellie, wzrosło też

zagrożenie kryminalne, musi więc odtąd poruszać się wyłącznie samochodami rządowymi z dyskretnie uzbrojoną obstawą.

Ich mały konwój sunął ku Albuquerque w tak powściągliwej i ceremonialnej atmosferze, że nagle poczuła, jak jej prawa stopa mimowolnie przyciska na gumowym dywaniku nie istniejący pedał gazu. Dobrze byłoby znów trochę побыć z Vaygayem. Ostatni raz widzieli się trzy lata temu w Moskwie, w czasie jednego z tych okresów, kiedy Vaygayowi nie pozwalano wyjeżdżać na Zachód. Zgodę na paszport dawano mu i odbierano zależnie od zwrotów oficjalnego kursu, ale także od jego prywatnego i zgoła trudnego do przewidzenia sprawowania. Na przykład, zabierali mu paszport po jakiejś niewielkiej politycznej prowokacji (w które niezmiernie łatwo dawał się wciągać), by oddać go krótko potem, kiedy nie mogli znaleźć nikogo równie odpowiedniego do kolejnej delegacji naukowej. Cały świat wciąż go zapraszał na wykłady, seminaria, kolokwia, konferencje, szkolenia, i do komisji międzynarodowych. Jako laureat Nobla w dziedzinie fizyki, i członek zwyczajny Akademii Nauk ZSRR, mógł sobie pozwolić na więcej niż reszta ludzi. A mimo to często zdawał się niepewny i zatroskany o granice tolerancji rządowych ortodoksów.

Jego pełne nazwisko brzmiało: Wasilij Grigoriewicz Łunaczarski, ale dla świata fizyków był po prostu Vaygayem, od pierwszych liter imienia i patronimu. Niespokojne i dwuznaczne stosunki, jakie utrzymywał z rządem sowieckim, zawsze były powodem zakłopotania tak dla Ellie, jak i dla innych jego przyjaciół na Zachodzie. Był dalekim krewnym Anatola Wasiljewicza Łunaczarskiego - wybitnego bolszewika, przyjaciela Gorkiego, Lenina i Trockiego, zaś ojciec Vaygaya był Komisarzem Ludowym do spraw Nauki, a potem, do śmierci w 1933 roku, sowieckim ambasadorem w Hiszpanii. Matka Vaygaya była Żydówką, a on sam, jak wielokrotnie mówiono, uczestniczył w pracach nad sowiecką bronią

nuklearną - choć niewątpliwie był za młody, aby odegrać jakąś ważniejszą rolę w pierwszej rosyjskiej eksplozji termonuklearnej.

W swoim moskiewskim instytucie miał zespół uczonych i niezłe wyposażenie, choć jego osiągnięcia naukowe ograniczyły z cudem zważywszy trudności, jakich nie szczędził mu Komitet Bezpieczeństwa Państwowego. I tak, mimo popadania raz w łaskę, raz w niełaskę u władz państwowych, bywał częstym gościem na konferencjach międzynarodowych: sympozjach „Rochester” poświęconych fizyce wysokich energii, konferencjach „Teksas”, których tematem była astrofizyka relatywistyczna, lub na nieformalnych, choć czasem dość wpływowych, spotkaniach „Pugwash”, które poświęcano sposobom obniżenia napięcia międzynarodowego.

W latach sześćdziesiątych Vaygay odwiedził Uniwersytet Berkeley w Kalifornii, gdzie go urzekła wielka ilość obraźliwych, skatologicznych lub bezczelnych politycznie hasła, jakie noszono na tanich znaczkach przypiętych do koszulek. Jakże łatwo - z lekką nostalgią wspomniawszy - jednym spojrzeniem ocenić czyjeś najbardziej dotkliwe społeczne niedomagania. Takie znaczki były też popularne w Sowietach i wszędzie je sprzedawano, ale reklamowały one zazwyczaj drużynę piłkarską „Dynamo”, albo statek kosmiczny „Łuna”, który pierwszy wylądował na Księżycu i stał się powodem ich niesłychanej dumy. Znaczki w Berkeley były inne i Vaygay kupił ich chyba kilkadziesiąt. Lecz z wielką przyjemnością nosił tylko jeden: był wielkości dłoni i głosił „Módl się za seks”. Przypinał to sobie nawet na naukowe spotkania i gdy go pytano, mawiał: „w ojczyźnie waszej jest to nieprzyzwoite tylko na jeden sposób, a w moim kraju - na dwa”. Kiedy pytano dalej, wyjaśniał, że jego sławny bolszewicki krewny był autorem dzieła o obecności religii w społeczeństwie socjalistycznym.

Jego angielski od tamtych lat znacznie się poprawił

(bardziej niż rosyjski Ellie), choć skłonność do noszenia obscenicznych znaczków, niestety, zmalała.

Kiedyś, podczas burzliwego sporu nad względnością spraw w obu politycznych systemach, Ellie pochwaliła się, że w tamtym czasie jeśli chciała, mogła przedefilować przed Białym Domem, protestując przeciw amerykańskiej wojnie w Wietnamie. Vaygay odpowiedział, że w tym samym czasie on również mógł przedefilować przed Kremlen, protestując przeciw amerykańskiej wojnie w Wietnamie.

Podczas jakiejś konferencji w Nowym Jorku stwierdziła - gdy całą grupę zabrała podczas przerwy w obradach na Staten Island - że nie należy do tych sowieckich uczonych, których ulubionym obiektem do fotografowania były, na przykład, barki sunące rzeką ze śmierdzącymi śmieciami, albo mewy łożące wokół Statuy Wolności. Również nie dzielił z nimi gorliwości w uwiecznianiu rozlatujących się portorykańskich szałasów lub bud z zardzewiałej blachy, jakie oglądali z autokaru podczas jazdy z ich luksusowego hotelu przy plaży, do obserwatorium w Arecibo. Komu potem te zdjęcia pokazywali? W jej głowie powstała wizja olbrzymiej biblioteki KGB, w której nie ma nic, tylko nieszczęścia, niesprawiedliwości i występkę kapitalistycznego społeczeństwa. Czy ich to rozgrzewało, kiedy duch w nich upadał po kolejnym niepowodzeniu radzieckiej ojczyzny? Tak sobie pospacerować wśród z wolna blaknących zdjęć ich mniej udanych, amerykańskich kuzynów?

W ZSRR było wielu znakomitych uczonych, którzy wskutek dopuszczenia się nieznanymi bliżej zbrodni, przez dziesiątki lat nie byli wypuszczani poza obręb Europy Wschodniej. Na przykład, Konstantinow nie był na Zachodzie aż do połowy lat sześćdziesiątych, i kiedy w czasie międzynarodowego zjazdu w Warszawie (gdzie - nad stołem zastawionym kieliszkami po azerbejdżańskiej brandy, ich misja z trudem dobijała do świtu) pytano go „dlaczego?”, odparł: - Bo te gnojki wiedzą, że jak wyjadę, to nie wrócę.

Mimo to wyjechał podczas odwilży na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych - zresztą nie raz, i za każdym razem wracał. A teraz znów go nie puszczają i wszystko, co mógł zrobić, to swym kolegom na Zachodzie wysłać noworoczne życzenia na zdjęciu, na którym widniał on sam siedzący z beznadziejnie skrzyżowanymi nogami i spuszczoną głową na kuli, pod którą wypisał równanie Schwarzschilda dla promienia czarnej dziury. W sensie potencjału wewnętrznego mam się nienajgorzej - oświadczał odwiedzającym go w Moskwie, metaforycznym językiem fizyków. Do dziś nie pozwolono mu wyjechać.

Vaygay - jako odpowiedź na rozmaite pytania o rewolucję węgierską 1956 roku, lub o Praską Wiosnę - zwykł przytaczać oficjalne stanowisko Sowietów uznające tę pierwszą za dzieło kryptofaszystów, zaś drugą za spisek nikogo nie reprezentujących, antysocjalistycznych grup w kierownictwie. Jednak - zaraz dodawał swój komentarz - jeżeli to, co się mówi w ZSRR nie jest prawdą i były to narodowe powstania, to ojczyzna moja źle postąpiła dławiając je. Natomiast w sprawie Afganistanu nawet nie fatygował się sięgać do stanowisk oficjalnych. Kiedyś, w swym biurze w Instytucie nalegał, by Ellie obejrzała jego osobiste radyjko nastawione na krótkie fale i piękną cyrylicą oznakowane, w którym miejscu złapać Londyn, w którym Paryż, a w którym słuchać Waszyngtonu. Mam prawo - powiadał - zapoznawać się z propagandą innych krajów.

Był to czas, gdy wielu jego kolegów uległo propagandowej histerii o żółtym zagrożeniu.

- Niech pani sobie tylko wyobrazi - powiedział któryś z nich - cała granica między Związkiem Radzieckim i Chinami obstawiona chińskimi żołnierzami, ramię przy ramieniu, najeżdźcza armia...

Stali wokół samowara w gabinecie dyrektora Instytutu.

- A ile czasu trzeba, przy obecnym przyroście

naturalnym, żeby ostatni Chińczyk przekroczył waszą granicę?
- pytanie pobudziło w Ellie siły wyobraźni.

Odpowiedź - po chwili będącej nieprawdopodobną mieszanką guseł i arytmetyki - brzmiała: „Wiecznie”.

William Randolph Hearst byłby tym zachwycony. Ale nie Łunaczarski.

- Odciągnięcie tyłu chińskich żołnierzy ku naszym granicom automatycznie obniżyłoby ich przyrost naturalny - odezwał się - więc wasze obliczenia są błędne. Wyrzekł to tonem sugerującym, że wyłącznie ich zaniedbanie w stosowaniu matematycznych modeli jest powodem jego niezadowolenia. Lecz tylko niektórzy nie rozumieli właściwego powodu: nawet w czasach najgorszych chińsko-radzieckich stosunków, Łunaczarski nigdy, o ile było jej wiadomo, nie dał się ogarnąć endemicznej paranoi. Ani rasizmowi.

Ellie uwielbiała samowary i dzieliła uczucia, jakie wobec nich żywią Rosjanie. Ich „Łunochod” - bezzałogowy łożak księżycowy przypominający wannę na szprychowych kołach - jako myśl techniczna też miał w swych papierach niewątpliwe pokrewieństwo z technologią samowaru. W któryś piękny, czerwcowy ranek Vaygay zabrał ją do parku wystawowego pod Moskwą, by obejrzała model „Łunochodu”. Obok pawilonu wystawiającego tadżycką ceramikę i wisiorki, znajdowała się wielka hala po żebra dachu wypełniona naturalnej wielkości modelami niewojskowych pojazdów kosmicznych. Był więc pierwszy statek orbitalny Sputnik 1, i pierwszy ze zwierzęciem na pokładzie (psem Łajką, który zresztą tam zdechł), czyli Sputnik 2, był pierwszy, który dotarł do ciała niebieskiego poza Ziemią - Łuna 2, i pierwszy, który sfotografował ciemną stronę Księżyca - Łuna 3; była Venera 7, która pierwsza wylądowała na innej planecie, i Wostok 1, w którym Bohater Związku Radzieckiego Kosmonauta Jurij A. Gagarin okrążył Ziemię. Na zewnątrz dzieci zjeżdżały po przyporach wyrzutni raketowej - ich ładnymi blond

kędziorkami i czerwonymi chustami komsomolskimi przez chwilę trzepotał wiatr, nim złądowały na ziemi. Na „ziemle” - pomyślała po rosyjsku. Wielka sowiecka wyspa na Morzu Arktycznym nazywa się Nowa Ziemia, „Nowaja Ziemia”. To tam w 1961 roku odpalili 58-megaton - największy dotychczas ładunek jądrowy, jaki człowiek doprowadził do wybuchu. Ale w ten wiosenny dzień, wśród wózków z lodami (z których moskwianie są tak dumni), spacerujących rodzin i bezzębnych mężczyzn śmiejących się do Ellie i Łunaczarskiego, jakby byli kochankami, stara dobra ziemia zupełnie jej starczała.

Podczas rzadkich pobytów w Moskwie lub Leningradzie, Vaygay organizował na jej cześć wieczory. W sześcioro lub ośmioro szli do Bolszoja albo na balet Kirowa - Łunaczarski zawsze skądś dostał bilety. Gdy dziękowała swemu towarzystwu za wieczór, oni dziękowali jej tłumacząc, że udało im się obejrzeć przedstawienie tylko dlatego, że mieli ze sobą obcokrajowca. Vaygay tylko się uśmiechał.

Nigdy nie przyprowadził żony i Ellie w końcu jej nie poznała. Powiedział tylko, że jest lekarką ogromnie zajętą swymi pacjentami. Ellie spytała kiedyś: - Czego najwięcej żałuje, może tego, że rodzice nie wyemigrowali do Ameryki? - Mam tylko jeden żal - powiedział nagle rozdrażniony - że moja córka wzięła sobie za męża Bułgara.

Kiedyś w Moskwie urządził kolację w restauracji kaukaskiej. Na cały wieczór wynajęto zawodowego tamada, czyli przewodzącego bankietowi, który nazywał się Chaładze. Był mistrzem w swej umiejętności, choć rosyjski Ellie był tak ubogi, że musiała prosić o tłumaczenie prawie każdego toastu. Obrócił się wreszcie ku niej i (zwiastując, jak się okazało, późniejszy przebieg kolacji) powiedział: - Mężczyznę, który pije bez toastu, nazywamy pijakiem. Jeden z toastów wcześniejszych i mniej ciekawych, brzmiał „za pokój wszystkich planet”. Vaygay wyjaśnił jej, że słowo „mir” znaczy po rosyjsku pokój, i świat, a także w dawnej Rosji wiejską

wspólnotę sąsiedzką lub rodową. Zaczęła się dyskusja, czy świat byłby spokojniejszy, gdyby jego największa jednostka polityczna nie była większa od wsi. - Każda wieś, planeta - Vaygay wzniosł szklanką toast.

- A każda planeta, wsią! - odparowała.

Każde takie spotkanie kończyło się jej chrypą. Spijano olbrzymie ilości brandy i wódki, i co dziwne nikt nigdy nie zdawał się pijany. Wylewali się z hałasem na ulicę o pierwszej lub drugiej w nocy, bezskutecznie próbując złapać taksówkę. Nieraz pozostawała im wędrownka pięć - sześć kilometrów pieszo z powrotem do hotelu, bo Vaygay zawsze proponował, że ją odprowadzi. Był uważający, troskliwy, trochę wujkowaty, tolerancyjny w politycznych poglądach, a w naukowych - żarliwy. Wokół jego wypraw seksualnych krążyły wśród kolegów legendy, choć wobec niej nigdy nie pozwolił sobie na więcej niż buzi na dobranoc. Trochę się tym gryzła, bo w jego uczucie do siebie nie wątpiła.

W sowieckiej społeczności naukowej jest wiele kobiet, proporcjonalnie więcej niż w USA, ale zajmują się one raczej czarną robotą - toteż naukowcy w ZSRR byli podobnie jak ich amerykańscy koledzy, dość zaskoczeni widokiem znakomitej bez wątpienia uczoney, która nie dość, że ładna, to jeszcze do rzeczy potrafi wyłożyć swą opinię. Niektórzy przerywali jej w pół zdania albo udawali, że nie słuchają. Wtedy Łunaczarski wychylał się i i głośniejszym niż zwykle mówił: „Co pani mówiła, doktor Arroway? Nie dosłyszałem”. Zapadało milczenie i mogła dokończyć o detektorach arsenidu galu lub o zawartości etanolu w galaktycznym obłoku W-3. Zawartość dwustuprocentowego alkoholu w tej pojedynczej chmurze międzygwiazdnej z powodzeniem starczyłaby na zaopatrzenie całej ludzkości (gdyby każdy dorosły był kompletnym pijakiem) przez cały czas trwania Układu Słonecznego. Tamadzie wyraźnie się to podobało.

W następnych toastach zastanawiali się, czy inne formy

życia byłyby też podatne na etanol, i czy pijaństwo jest problemem galaktycznym, a wreszcie - czy przewodnik bankietu na innej planecie byłby równie znakomity, jak tu obecny Trofim Sergiejewicz Chaładze.

Zajechali do Albuquerque, by zastać na lotnisku wiadomość, że jakimś cudem samolot z Nowego Jorku z sowiecką delegacją lądował już pół godziny temu. Vaygaya znalazła przy kiosku z pamiątkami, gdy targował się o jakiś drobiazg. Musiał ją dostrzec kątem oka, bo nie obracając twarzy uniósł palec i do zawodowo obojętnego sprzedawcy powiedział: „Chwileczkę, Arroway. Dziewiętnaście dziewięćdziesiąt pięć?”

- Taki sam komplet, Vaygaju, widziałam w Nowym Jorku za siedemnaście pięćdziesiąt.

Podeszła nieco bliżej, by popatrzeć, jak Vaygay przegląda talię kart do gry, na których nadzy modele obu płci występowali w pozach, które dziś uznaje się za nieciekawe, choć zapewne byłyby skandalem o jedno pokolenie wstecz. Sprzedający mało skutecznie próbował złożyć talię, gdy Łunaczarski z wielkim talentem i zapałem zmierzał, by pokryć nimi ładę. Niewątpliwie prowadził.

- Przepraszam pana, ja nie ustalam cen, ja tylko tu pracuję - jęknął subiekt.

- Widzisz? Oto niedostatki rynkowej gospodarki - powiedział Vaygay do Ellie, ofiarowując sprzedawcy banknot dwudziestodolarowy. - W prawdziwym przedsiębiorstwie wolnorynkowym mógłbym to kupić za trzynaście. Może za dwanaście dziewięćdziesiąt pięć. Nie patrz tak na mnie, Ellie, to nie dla mnie. Razem z dzokerami są w tej talii czterdzieści cztery karty i każda z nich to pierwszorzędny prezent dla mego pracownika.

Uśmiechnęła się i wzięła go pod ramię.

- Dobrze cię znów widzieć, Vaygay.

- To rzadka przyjemność, kochanie.

Podczas jazdy do Socorro, kierowani milczącym porozumieniem, mówili sobie prawie wyłącznie uprzejmości. Na przednich siedzeniach auta rozsiadł się Valerian i kierowca - jeden z nowych ludzi obstawy. Peter, który nie był zanadto obyty, znalazł wielką przyjemność w wyciągnięciu się na oparciach fotela i podsluchiwaniu ich rozmowy - która zresztą zaledwie muskała tego, po co tu przyjechali Rosjanie. Trzeciego poziomu palimpsestu, jakim okazała się złożona, bogata Wiadomość, którą nadal odbierali zblokowaną i nierozszyfrowaną. Rząd Stanów Zjednoczonych chcąc nie chcąc ostatecznie uznał współpracę z ZSRR za nieuchronną. Tym bardziej że sygnał z Vega stał się tak intensywny, że nawet średniej klasy radioteleskopy mogły go wychwycić. Wiele lat temu Sowieci roztropnie pociągnęli własną, liczącą 9000 kilometrów linię małych teleskopów przez nieobjęte obszary Eurazji, zaś ostatnio oddali do użytku główne obserwatorium radioastronomiczne koło Samarkandy. Co więcej, mieli całą sieć okrętów wykrywających satelity, które patrolowały Ocean Spokojny i Atlantyk.

Niektóre z danych sowieckich już się powtarzały - zresztą obserwatoria Japonii i Chin, Indii i Iraku również zaczęły odbierać sygnał. W istocie miał go już każdy liczący się ośrodek na świecie, któremu Vega weszła pod teleskop. Astronomowie w Anglii, Francji, Holandii, Szwecji, Niemczech i Czechosłowacji, w Kanadzie, Wenezueli i Australii, nagrywali każdy po strzępku - zależnie od tego, ile mogli chwycić między wschodem a zachodem Vegi. W innych obserwatoriach detektory były za słabe i łapały tylko pojedynczy impuls. Tak więc każdy z krajów miał już kawałek układanki albowiem - co Ellie przypomniała Kitzowi - Ziemia wykonuje ruch obrotowy. I wszystkie te kraje po swojemu próbowały zrozumieć całość, choć było to trudne - żaden z nich nie zdołał nawet dociec, czy

Wiadomość podawano symbolami, czy obrazem.

Nie ulegało prawie wątpliwości, że nikt inny nie zdekoduje Wiadomości przedtem, nim zacznie ona sama powtarzać siebie znowu od pierwszej strony. Oczywiście, jeśli w ogóle tak się stanie. I pod warunkiem, że na początku pojawi się jakieś wprowadzenie, abecadło, deszyfrujący klucz. Może to jest wiadomość tak długa - rozmyślała, gdy Vaygay prowadził niezbyt ciekawe porównania pustyni kaktusowej z tajgą - że nie doczekają jej nawrotu, bo pierwszy cykl potrwa sto lat? Albo nie ma tam alfabetu? Może Wiadomość (już cały świat pisał ją dużą literą) to coś w rodzaju testu na inteligencję, żeby planety za głupie, by go rozwiązać, nie mogły w przyszłości niewłaściwie spożytkować tej wiedzy? Nagle uświadomiła sobie, jak bardzo w imieniu ludzkości poczułaby się urażona, gdyby nie udało się dotrzeć do sedna.

W tej samej nieomal chwili, w której Ameryka podpisała ze Związkiem Radzieckim solenne Memorandum o Współpracy, przedstawiciele krajów posiadających odpowiednie radioteleskopy też prędko wyrazili chęć współpracy. Powstało już nawet coś w rodzaju Światowego Konsorcjum Wiadomości i ludzie zaczęli używać między sobą tego wyrażenia. Wiadomość ma zostać odczytana, więc trzeba każdego mózgu, potrzeba wszystkich danych.

Niewiele nowego pojawiało się w gazetach. Smętna garstka faktów już na wylot znanych: liczby niepodzielne, transmisja z Olimpiady i istnienie trzeciej warstwy informacji zostały na okrągło wyeksploatowane. Trudno byłoby znaleźć na świecie kogoś, kto choć raz nie usłyszał o Wiadomości i o układzie Vegi.

Sekty religijne - i większe, i te całkiem małe - a także parę nowych, które wyłoniły się w związku z odkryciem, zajmowały się szczegółowym rozbiorem teologicznych implikacji w Wiadomości zawartych. Jedni uważali, że przychodzi od Boga, drudzy - że od Szatana. Pewne zdziwienie

budził fakt, że było i paru takich, którzy się jeszcze nie zdecydowali. Niepokojącym zjawiskiem stał się nawrót niezdrowego zainteresowania Hitlerem i Trzecią Rzeszą, Vaygay nawet powiedział jej, że w niedzielnym wydaniu New York Times Book Review naliczył już osiem swastyk. - Osiem to nic takiego - odparła - zwykle tyle ich jest. Ale wiedziała, że przesadza, bo parę tygodni temu widywała najwyżej dwie lub trzy. Jakaś grupa, która nazwała siebie „Kosmoariowie”, przedstawiała niezbite dowody na to, że latające talerze wynaleziono w Niemczech hitlerowskich. Że jakaś nowa „nieskundlona” rasa aryjczyków pojawiła się na Vedze i przybędzie na Ziemię zrobić tu porządek. Byli też tacy, którzy uważali podsłuchiwanie sygnału za rzecz obrzydliwą i wzywali wszystkie obserwatoria do opamiętania. Dla innych Wiadomość była znakiem Nadejścia Chrystusa, i nawoływali do zbudowania jeszcze większego radioteleskopu, a także do wysłania paru teleskopów w kosmos. Jedni ostrzegali przed posługiwaniem się sowieckimi danymi, które bez wątpienia są sfałszowane (choć zarazem nie przeszkadzały im pochodzące spod zbliżonej długości dane Iraku, Indii, Chin, oraz Japonii), drudzy odczuwali dzięki Wiadomości wyraźną odmianę w politycznym klimacie świata i upierali się, że wystarczy sam fakt, iż istnieje, i wcale nie trzeba jej odszyfrować, żeby dać po nosie niektórym buńczucznym krajom. Ponieważ cywilizacja, która nadała Wiadomość, była w oczywisty sposób bardziej zaawansowana od ziemskiej, i że dotychczas - a przynajmniej dwadzieścia sześć lat temu - jeszcze nie zniszczyła siebie, natychmiast znaleźli się obrońcy cywilizacji technologicznej, która wcale nie musi prowadzić do katastrofy. Dla świata - ostrożnie zaczynającego redukować swoje zasoby broni jądrowej i ich systemów nośnych - Wiadomość nadchodziła w rozumieniu wielu, jak promyk wreszcie jakiejś nadziei. Wielu uważało, że to najlepsza od lat nowina - szczególnie ludzie młodzi, których życie uczyło od dziesięcioleci zanadto nie

przejmować się jutrem. Zaczęli zastanawiać się, czy może jednak jakieś jutro nadejdzie.

Ci, którzy mieli predyspozycje do słuchania pocieszających prognoz, czuli, że coraz bliższe i coraz bardziej kłopotliwe jest ich sąsiedztwo z terytoriami, które od lat rezerwowali dla siebie chiliaści. Część z nich utrzymywała, że nadciąga groźne Trzecie Milenium, któremu towarzyszyć będzie powrót Jezusa, lub Buddy, lub Kriszny, czy w ogóle - Proroka, który ustanowi na Ziemi zbawczą teokrację i odbędzie surowy sąd nad śmiertelnikami. Niewykluczone, że fakt ten poprzedzi masowe zejście z niebios Wybranych... Byli też inni chiliaści, których zresztą było więcej, głoszący, że fizyczna zagłada świata jest nieuchronna przed ponownym Przyjściem Chrystusa - jak nieomylnie zapowiedziano w rozmaitych, choć nie zawsze potwierdzających się nawzajem, prorocत्वach. Mileniarystów Dnia Sądu Ostatecznego z jednej strony oburzało zatrucie atmosfery ziemskiej, ale z drugiej niepokoiło stałe roczne obniżanie zapasów nuklearnych - jak gdyby kurczył się im tak łatwo przedtem osiągalny środek spełnienia celu ich religii. Inne kandydaty do globalnej katastrofy: przeludnienie, zatrucie chemiczne, trzęsienia ziemi, wybuchy wulkanów, efekt cieplarniany, następna era lodowcowa albo zderzenie z kometą, nie dawały gwarancji szybkiego przyjścia i poza tym nie wiadomo, czy rzecz załatwiłyby skutecznie - a przynajmniej wystarczająco apokaliptycznie.

Niektórzy przywódcy podczas masowych zgromadzeń przekonywali wiernych, że - co innego wypadki, natomiast zwykle ubezpieczanie się na życie to objaw małej wiary. Że za wyjątkiem ludzi rzeczywiście starych, albo jakichś niespodziewanych sytuacji, kupowanie miejsc na cmentarzu albo pogrzebowe przygotowania to grzech bezbożności. Przecież i tak już wkrótce wszyscy, którzy prawdziwie wierzą, razem z ciałami zostaną uniesieni do nieba i staną przed bożym tronem.

Ellie wiedziała, że słynny krewny Łunaczarskiego należał do istot najrzadszych: rewolucjonista-bolszewik, który zajmował się badaniem światowych religii. Ale zainteresowanie, jakie sam Vaygay kierował ku rosnącemu w świecie zamętowi teologicznemu, było w jego kraju tłumione.

- Jedyne religijny problem, który by ich obszedł - powiedział Ellie - to czy Veganie przeprowadzili prawidłową krytykę Trockiego.

W miarę jak zbliżali się ku Argusowi, pobocza szosy gęstniały od zaparkowanych aut, samochodzików wycieczkowych, przyczep kempingowych, namiotów, i wielkich tłumów ludzi. Nocą ciche niegdyś Błonia Świętego Augustyna rozbłyskiwały ogniskami. Ludzie ci z pewnością nie byli ubodzy. Spostrzegła dwa młode małżeństwa: mężczyźni w bawełnianych koszulkach i znoszonych dżinsach z pasami wokół bioder kroczyli pawim krokiem, jak pierwszoroczniacy nauczeni przez starszaków w pierwszym dniu szkoły, i z werwą o czymś rozprawiali. Jeden popychał przed sobą sfatygowany wózek, w którym kołysał się nie dbający o nic dzieciak. Ich kobiety postępowały za nimi: jedna z pędrakiem uczącym się dopiero trudnej sztuki chodzenia, i druga z wypiętym do przodu czymś, co za miesiąc lub dwa dostarczy nowego życia tej nierozumnej planecie.

Byli też mistycy z komun rozsypanych wokół Taos, którzy używali psylobicyny jako sakramentu. I zakonnice z klasztoru spod Albuquerque, które w tym samym celu używały etanolu. Byli odziani w skóry mężczyźni ze zmarszczkami wokół oczu, którzy całe swe życie spędzili pod gołym niebem, i mole książkowe o żółtawej cerze z Uniwersytetu Arizona w Tucson. Były jedwabne chusty i krawatki z polerowanych srebrnych sznurków, produkowane przez Indian plemienia Navajo i sprzedawane po zawrotnej cenie (małe odwrócenie ról w historii stosunków handlowych między białymi i Indianami).

Żujących tytoń i gumę energicznie przestawiali to tu, to tam szeregowcy urlopowani z Bazy Lotniczej Davis-Monthan. Ten siwowłosy dżentelmen w eleganckim ubraniu za dziewięćset dolarów i dopasowanym do niego stetsonie, to z pewnością ranczer; widziała ludzi, którzy przyjechali z koszar i z drapaczy chmur, z lepianek, akademików, i z przyczep zainstalowanych w parkach. Jedni - bo nie mieli nic lepszego do roboty, inni - bo chcieliby powiedzieć swym wnukom, że tu byli. Niektórzy przyjechali z nadzieją, że nic się nie uda, inni nie tracili nadziei, że będą świadkami cudu. W przeczyste, popołudniowe słońce niesły się głosy cichej dewocji, wrzaski wesołości, odgłosy mistyki, ekstazy, rosnącego oczekiwania. Obróciło się kilka obojętnych twarzy w przejeżdżającej kawalkadzie aut, z których każde opatrzone było napisem: MIĘDZYAGENCYJNY ZESPÓŁ WYJAZDOWY RZĄDU USA.

Niektórzy ludzie spożywali już lunch na odłożonych tylnych klapach pick-upów, inni przeglądali towary wystawione na wózkach ozdobionych szumnymi nazwami POJAZD KANAPKOWY, albo KOSMICZNE PAMIĄTKI. Długie kolejki wyrastały przed niewielkimi, krzepkimi budyneczkami dla jednej osoby, o których poustawianie zadbali przewidujący pracownicy Argusa. Wśród aut, spiworów, kocy i przenośnych piknikowych stolików goniły się dzieci, na które nie krzyczano, póki nie znalazły się za blisko szosy, albo płotu okalającego Teleskop 61, gdzie grupa gładko ogolonych, bijących czołem głów i szafranowych szat oblekających młode ciała, uroczyście intonowała świętą sylabę „om”. Wszędzie porozlepiano plakaty z wizerunkami ET - niektóre znane z dowcipów w prasie lub z filmów. Na jednym widniał podpis: ONI już są wśród nas. Chłopak ze złotym kółkiem w uchu golił się, zaglądając w boczne lustro czyjeś pick-upa, a czarnowłosa dziewczyna w poncho uniosła kubek kawy na powitanie przejeżdżającego konwoju.

Gdy podjechali w pobliże nowej bramy głównej obok Teleskopu 101, Ellie ujrzała na prowizorycznie skleconym podium młodzieńca, który namiętnie przemawiał do gęstniejącego wokół niego tłumu. Miał na sobie bawełnianą koszulkę ozdobioną wizerunkiem Ziemi, w którą bije kosmiczny grom - zauważyła, że jeszcze parę osób w tłumie miało na sobie ten tajemniczy emblemat. Wydała polecenie, i auta zjechały na pobocze, choć byli już prawie w bramie. Opuścili szyby samochodów, by posłuchać mówcy, który stał tyłem do nich tak, że widzieć mogli tylko twarze tłumu. Ci ludzie są naprawdę poruszeni... - przebiegło Ellie przez głowę.

Akurat był w środku zdania:

- ...gdy inni mówią, że zawarto pakt z Diabłem i że uczeni sprzedali mu swe dusze. W każdym z tych teleskopów są drogie kamienie... - pomachał ręką w kierunku Teleskopu 101. - Sami naukowcy przyznają. A ludzie mówią, że tymi kamieniami płaci im Diabeł...

- Religijne chuligaństwo - ponuro mruknął Łunaczarski, zerkając niespokojnie na pustą drogę przed nimi.

- Nie, nie, zostanmy - powiedziała. Na jej wargach błąkał się uśmiezek niedowierzania.

- Są ludzie wierzący, bogobojni ludzie, którzy nie mają wątpliwości, że ta Wiadomość przychodzi od kosmicznych istot, jakichś stworzeń nieprzyjaznych i obcych, które chcą nas zniszczyć. Które są wrogami Człowieka! - ostatnią frazę wykrzyczał i dla efektu zawiesił głos. - Ale wy wszyscy macie już dość tej ohydy, tej korupcji, tego zepsucia w naszym społeczeństwie, które powstało z bezmyślności, z nieokiełznania, z bezbożności dzisiejszej technologii. Ja nie wiem, kto ma rację. Nie umiem powiedzieć, co niesie ta Wiadomość ani kto ją przysyła. Ale mam swoje podejrzenia. Wkrótce się dowiem. I wiem, że naukowcy, i politycy, i biurokraci manipulują nami. Nie powiedzieli nam wszystkiego, co wiedzą. Oszukują nas, jak zawsze. Ale już za długo, ale już

dość, o Panie, kłamstw, którymi nas karmią. Zgnilizny, którą niosą ze sobą.

Ku zdziwieniu Ellie głęboki pomruk aplauzu przetoczył się nad tłumem. Mówca bezbłędnie dotknął ukrytych urazów, których istnienie dotąd tylko podskórnie przeczuwała.

- Uczeni ci nie wierzą, że jesteśmy bożymi dziećmi. Oni mówią, że pochodzimy od małp. Znajdują się wśród nich słynni komuniści. Czy chcecie, aby tacy ludzie decydowali o losach świata?

Tłum ryknął zgodnym: - Neeee!

- Czy chcecie, by gang bezbożników rozmawiał z Bogiem?

- Nie! - znowu ryknął tłum.

- Albo z Szatanem? Naszą przyszłość przehandlują z potworami z innej planety. Bracia i siostry, w to miejsce przyszło Zło!

Ellie sądziła, że mówca nie wie o ich obecności. Ale po ostatnich słowach wykonał półobrót i przez ogrodzenie przeciwcyklonowe wskazał wprost na zatrzymany na poboczu szereg aut.

- Ich głos nie jest naszym głosem! Oni nas nie reprezentują! Nie mają prawa mówić za nas!

Grupa najbliższa ogrodzeniu rozbijała się i zaczęła rytmicznie uderzać o płot. Zaalarmowało to kierowcę i Valeriana - silników na szczęście nie wyłączono, więc w jednej chwili wystartowali od bramy ku widniejącym w oddali administracyjnym budynkom Argusa.

Zostało jeszcze sporo mil podróży przez pustynię. Gdy pomruk tłumu oddalał się za nimi, Ellie wciąż jeszcze przez szum opon mogła usłyszeć głos mówcy. I słowa, które w powietrzu gromko zadźwięczały:

- Powstrzymamy zło tego miejsca. Przysięgam!

ROZDZIAŁ 8

Swobodny Dostęp

Teolog może oddać się przyjemnościom opisywania Religii jako tej, która zstąpiła z Nieba w blasku przyrodzonej sobie czystości. Mniej wdzięcznemu zajęciu oddaje się historyk: musi wydzielić z niej domieszkę błędu i brudu, jaki wchłonęła w siebie podczas pobytu na Ziemi wśród gatunku istot słabych i zdegenerowanych.

EDWARD GIBBON

Schyłek i upadek Imperium Rzymskiego, XV

Ellie zignorowała Swobodny Dostęp i przebiegała jedna po drugiej wszystkie stacje. Na dodatkowych kanałach znalazła Biografie ludobójców i Zakład o twoją cnotę - już po tym krótkim przeglądzie stało się dla niej jasne, że telewizyjne kompanie nie spełniły swej pogróżki. Na jednym z kanałów biegali koszykarze zespołu „Żbików z Johnson City” przeciw „Tygrysom z Union-Endicott”: młodzi mężczyźni pracowali w pocie czoła na zwycięstwo; na następnym jacyś Parsowie wywodzili o prawidłowym lub nieprawidłowym obchodzeniu Ramadanu; potem był kanał zastrzeżony - ten z całą pewnością poświęcony jakimś osobliwym praktykom seksualnym. Wreszcie trafiła na jeden z niedawno uruchomionych kanałów komputerowych, na którym można było oddać się fantastycznej grze. Dzisiejsza nazywała się Galaktyczny Gilgamesz i miała za zadanie skłonić cię, byś pocztą zamówił współpracującą z nim dyskietkę. Zabezpieczenie elektroniczne blokowało możliwość skopiowania go na twój osobisty komputer. Większość tych gier wideo to ubogie i nieudolne próby przygotowania dziecka do tajemniczych zadań przyszłości - pomyślała. Jej wzrok

zatrzymał się chwilę na poważnej twarzy komentatora w jednym ze znanych od dawna programów: z miną wyrażającą absolutną nieomyślność omawiał coś, co określał „niczym niesprowokowanym atakiem północnowietnamskich łodzi torpedowych na dwa niszczyciele amerykańskiej Siódmej Floty w Zatoce Tonkińskiej”, oraz oświadczenie prezydenta USA, który zażądał od Kongresu „wszelkich możliwych uprawnień”, aby „właściwie zareagować”. Były to Wczorajsze Wiadomości - jeden z jej ulubionych seriali, składający się z powtórek wiadomości agencyjnych sprzed lat. Druga część programu polegała na okrutnej wiwisekcji, punkt po punkcie, wszystkich kłamstw propagandy, a również - tępej łatwowierności agencji wobec oświadczeń rządu, obojętnie jak bezpodstawnych i zadufanych w sobie. Producentem była organizacja REALI-TV, której autorstwa były też Obiecanki-Cacanki - czyli przegląd obietnic składanych w czasie rozmaitych kampanii na poziomie lokalnym, stanowym i federalnym, oraz Mowa-Trawa - cotygodniowy przegląd publicznie wygłaszanych bredni, przesądów i mitów. Tym razem w miejscu daty u spodu ekranu widniał 5 sierpnia 1964 i Ellie na chwilę ogarnęły wspomnienia lat szkolnych, żeby nie powiedzieć - nostalgia.

W wędrówce przez kanały zajrzała w sekrety kulinarnej sztuki Wschodu - tym razem poświęcone hibachi, obejrzała wymyślny film reklamujący pierwszą generację robotów domowych firmy cybernetycznej Haddena, sponsorowane przez ambasadę sowiecką wiadomości i komentarze po rosyjsku, kilka dzienników telewizyjnych i programów dla dzieci, a także kanał matematyczny z olśniewającym komputerowym przedstawieniem nowego kursu geometrii analitycznej Uniwersytetu Cornell, kanał pośrednictwa mieszkaniowego i handlu nieruchomościami, przedarła się przez gęstwinę głupkowatych seriali dla gospodyń, aż wreszcie dotarła do programów religijnych, gdzie - z dobrze wyważonym, choć pełnym ekscytacji namaszczeniem - omawiano Wiadomość.

W całej Ameryce zauważono, że tłumy ludzi znów zaczęły zapelniać kościoły. Wiadomość - jak Ellie to rozumiała - zaczęła być czymś w rodzaju lustra, w którym każdy mógł obejrzeć własną wiarę chwiejącą się lub ulegającą umocnieniu. Z drugiej strony dostrzegano, że stała się jak zimny prysznic dla doktryn narzucających się dotąd w eschatologii i apokalipsie. W Peru, Algierii, Meksyku, Zimbabwie, Ekwadorze, nawet wśród Indian Hopi oddawano się skupionym debatom nad możliwością kosmicznej progenitury każdej z tych kultur - a jeśli ktoś był odmiennego zdania, natychmiast oskarżano go o neokolonializm. Katolicy dyskutowali międzyplanetarny aspekt Łaski, protestanci - możliwość równoczesnych peregrynacji Jezusa na sąsiednie planety i Jego powroty na Ziemię. Muzułmanie martwili się, że Wiadomość może osłabić zakaz oddawania czci wizerunkom. W Kuwejcie pojawił się człowiek głoszący, że jest Ukrytym Imamem Szytów. Mesjanistyczny ferwor nie ominął izraelskich chasydów, zaś ortodoksyjne odłamy judaizmu przeżywały nawrót zainteresowania Astrucem - zelotą, który obawiał się, że wiedza może być wrogiem wiary, i który w 1305 roku nakłonił rabina Barcelony (wówczas głównego kapłana Żydów), aby pod groźbą klątwy zakazał studiów naukowych i filozofii przed dwudziestym piątym rokiem życia. Podobne tendencje narastały w islamie, a w Salonikach pewien filozof noszący znamienne nazwisko Polydemos, zyskiwał zwolenników namiętnie głosząc coś, co nazwał „reunifikacją” religii, rządów i ludów całej Ziemi. Już odezwali się jego krytycy, którzy zaczęli od kwestionowania przedrostka „re”.

Grupy wyznawców UFO rozpoczęły całodobowe czuwania pod bazą Sił Powietrznych w Brooks koło San Antonio, gdzie jakoby przechowywano w lodówkach świetnie zachowane ciała czterech pilotów latającego talerza, którzy rozbili się podczas lądowania w 1947 roku. Mówiono, że mają metr wysokości i drobne, mocne ząbki. Z Indii nadchodziły

wiadomości o ukazaniu się Wisznu, a z Japonii - Buddy Amidy. Tysiące chorych ulegało cudownemu wyleczeniu w Lourdes, i nowy Bodhisattva ogłosił się w Tybecie. Nowa Gwinea zaraziła Australię dotąd nie znanym tam kultem aeroplanu: ruch ten nawoływał do skonstruowania modeli latających radioteleskopów, które zwabiłyby kosmitów z darami. Światowy Związek Wolnomyślicieli ogłosił, że Wiadomość jest ostatecznym dowodem na nieistnienie Boga, zaś kościół mormoński uznał ją za drugie objawienie anioła Moroni.

Różne sekty spierały się, czy Wiadomość jest dowodem istnienia Boga, czy dwóch, czy że Boga w ogóle nie ma. Mileniaryzm zdobywał nowych zwolenników: jedni przewidywali koniec Milenium na rok 1999, będący kabalistycznym odwróceniem 1666 - roku, który Szabat Cwi uznał za rok tysiąclecia; dla innych miał to być 1996 lub 2033, jako wiarygodne lata dwutysięcznej rocznicy urodzin Chrystusa. Wielki Kosmiczny Cykl Majów zamknie się w roku 2011 - wtedy nastąpi kres; mieszanka filozofii Majów z chrześcijańskim mileniaryzmem wywoływała w Meksyku i w całej Ameryce Środkowej coś w rodzaju apokaliptycznej gorączki. Ci z mileniarystów, którzy wierzyli w daty wcześniejsze, zaczęli rozdawać biednym swe bogactwa - częściowo dlatego, że i tak niedługo nic nie będą warte, ale również jako żarliwy religijny datek, coś w rodzaju łapówki na wypadek Drugiego Przyjścia Chrystusa.

Zelotyzm, fanatyzm, nadzieja, strach, burzliwe spory, modły przebłagalne, rozpaczliwe rachunki sumienia, przykłady szczerzej ofiarności, ale i ciemnej bigoterii, a także niesłychane pragnienie jakiejś nowiny, wybuchły jak epidemia i wzburzoną falą zalały naszą małą planetę. Z zamętu tego powoli zaczynała wyłaniać się jedna główna myśl - którą Ellie zresztą coraz wyraźniej przeczuwała: że nasz świat to ledwie jedna maleńka nitka w olbrzymim gobelinie kosmosu.

Cóż z tego, jeśli Wiadomość wciąż skutecznie opierała

się wszelkim próbom odczytania?...

Na kanałach nikczemności (kontrolowanych przez „Pierwsze Zadośćuczynienie”) - ona, Vaygay, der Heer i w mniejszym stopniu Valerian, zostali oskarżeni o całą masę zbrodni - na przykład, o ateizm, komunizm, a także o budowanie wokół Wiadomości muru milczenia, który pozwoli im zachować ją dla siebie. Miała dotychczas wrażenie, że Vaygay nie był wcale aż takim komunistą, ani że można by posądzić Valeriana o brak cichej, głębokiej, choć - istotnie - dość wyrafinowanej chrześcijańskiej wiary. Powiedziała sobie, że gdy tylko uda się rozszyfrować Wiadomość, osobiście ją zanieśie tym świętoszkom, tym obłudnikom uważającym siebie za telewizyjnych dziennikarzy. Drumlina oszczędzali, robiąc nawet z niego nieomal bohatera - że tak naprawdę, to nikt inny tylko on odczytał i liczby niepodzielne, i program z Olimpiady. „Oto wzór naukowca, takich potrzebujemy!”....

Westchnęła i przeszła na inny kanał. Trafiała na TABS, czyli Turner-American Broadcasting System, będący niedobitkiem tej dawnej, tradycyjnej sieci komercyjnej, która dominowała amerykańską telewizję, dopóki na stu osiemdziesięciu kanałach nie odniosła druzgocącego zwycięstwa telewizja satelitarna i kablowa. Trafiała tym razem na jedno z rzadkich telewizyjnych wystąpień Palmera Jossa - jak każdy chyba Amerykanin natychmiast rozpoznała jego głęboki głos, ten pewien nieporządek wokół jego urodziwej osoby, i cienie pod oczami, które kazały myśleć, że nie śpi, bo wciąż martwi się o każdego z nas.

- I co my takiego zawdzięczamy nauce? Czy uczyniła nas szczęśliwsi? Jeśli pominiemy odbiorniki holograficzne i winogrona bez pestek? Czy tak naprawdę, w głębi duszy, jesteśmy szczęśliwsi? Czy może raczej mamieni przez uczonych zabawkami, świecidełkami technologii, gdy oni tymczasem podważają wszystko, w co wierzymy?

Oto człowiek - pomyślała - który wzdycha do wieku

prostoty, człowiek pragnący pogodzić rzeczy, których pogodzić się nie da. Potępia najjaskrawsze ekscesy prymitywnej religijności i sądzi, że to usprawiedliwi jego ataki na teorię ewolucji i relatywizm. Czemu by nie zaatakować w następnej kolejności, na przykład, elektronu?

Palmer Joss na pewno nigdy nie widział żadnego, zaś Biblia ani słowem nie wspomina o zjawisku elektromagnetycznym. Po cóż więc wierzyć w elektrony? Nigdy go przedtem nie słyszała w telewizji, ale była pewna, że wcześniej czy później zacznie na temat Wiadomości.

Nie myliła się.

- Uczeni chowają przed nami swe odkrycie. Dają nam jakieś resztki, nie więcej niż potrzeba, żebyśmy siedzieli cicho. Myślą, że jesteśmy za głupi, żeby dopuszczać nas do czegoś, nad czym pracują. I przedstawiają nam wnioski bez dowodu. O swych odkryciach mówią tak, jakby to były teksty święte, a nie spekulacje... teorie... hipotezy... Coś, na co prosty człowiek mówi „zgadywanki”. Nigdy nie zapytali, czy te nowe teorie są dla ludzi równie dobre jak wiara, którą próbują podmienić. Przeceniają to, co wiedzą, a nie doceniają tego, co my wiemy. I gdy domagamy się wyjaśnień, mówią, że potrzeba lat, żeby to wyjaśnić. Wiem, o co tu chodzi, bo i w religii są sprawy, którym trzeba lat na ich zrozumienie. Możesz całe życie się starać, a nie zrozumiesz istoty Wszchemocnego. A przecież jakoś nie widać, by naukowcy garnęli się do kapłanów i dopytywali ich o lata studiów, rozmyślań i modłów. Oni chcą czasu tylko dla siebie, zwłaszcza gdy pragną nas zwieść lub omamić. A teraz mówią „mamy Wiadomość z Vegi”. Czy gwiazda może wysłać wiadomość? Nie, a więc to „ktoś” ją wysyła. Kto? I czy cel jest boski, czy diabelski? Gdy rozszyfrują Wiadomość, czy ostatnie słowa brmieć będą „wasz szczerze oddany - Bóg”? Czy: „z wyrazami poważania - Diabeł”? Gdy nadejdzie ta chwila, kiedy będą musieli zdradzić, o czym jest Wiadomość, czy powiedzą nam całą prawdę? Czy

raczej coś zachowają dla siebie, bo i tak tego nie zrozumiemy. Lub - bo nie będzie pasowało do czegoś, w co oni sami wierzą. Czy więc nie uczą ludzi jednego: jak unicestwić samych siebie? Powiadają wam, przyjaciele, nauka jest czymś zbyt poważnym, by pozostawić ją uczonym. W skład zespołu deszyfrującego winni wejść przedstawiciele głównych kościołów. Powinniśmy mieć wgląd w surowe dane. Tak mówią uczeni, „surowe”... W przeciwnym razie... w przeciwnym... czego się doczekamy? Opowiedzą nam coś o Wiadomości. Coś, w co być może oni sami wierzą. A może nie. I będziemy musieli to przyjąć, cokolwiek nam powiedzą. A są rzeczy, o których uczeni wiedzą, lecz są i takie, wierzę moim słowom, o których pojęcia nie mają. Możliwe, że Wiadomość, przysyła nam inne rozumne istoty w kosmosie. Możliwe też, że nie. Ale czy można mieć pewność, że nie przysyła jej Żłoty Cielec? Wątpię, czy uczeni w ogóle rozpoznaliby go, choćby go ujrzeli. Ci ludzie przynieśli nam bombę wodorową... Boże, wybac, jeśli za ich dobre dary odpłacam czarną niewdzięcznością. Widziałem Boga twarzą w twarz. Wielbię Go, ufam Mu, kocham Go całą swoją duszą, całym swym istnieniem. Nie wiem, czy ktoś potrafi wierzyć głębiej niż ja. Nie wiem, czy naukowcy mogą zawierzyć nauce bardziej niż ja Bogu. Gotowi wszak porzucić każdą ze swych „prawd”, gdy tylko pojawi się nowa. I szczytują się tym. Nie widzą kresu poznania. Uważają, że jesteśmy z gruntu ciemni i że nic w świecie natury nie jest oczywiste. Newton odrzuca Arystotelesa, Einstein - Newtona. Jutro ktoś odrzuci Einsteina. Dopiero co uwierzymy w jakąś teorię, już w kolejce czeka następna. Ładnie byłoby z ich strony czasem ostrzec nas, że to co mówią, to tylko próby. Powiadają: prawo grawitacji Newtona. Wciąż tak je nazywają, a przecież to jest prawo natury, jakże może być w nim błąd? Jak można je odrzucić? Tylko Bóg może odwołać prawo przyrody, nie uczeni. Idą błędną drogą. Jeśli Albert Einstein ma rację odrzucając Newtona, to znaczy, że Newton był amatorem,

partaczem. Pamiętajcie, uczeni nie są wyrocznią. Próbuja odebrać nam wiarę, nasze przekonania, a w zamian nie dają niczego, co ma wagę duchową. Nie zamierzam odrzucać Boga tylko dlatego, że jakiś uczoney siadł sobie i napisał książkę o tym, że mamy Wiadomość z Vegi. Nie będę czcił nauki. Nie rzucę wyzwania Pierwszemu Przykazaniu. Nie pokłonię się Złotemu Cielcowi.

Gdy Palmer Joss był jeszcze bardzo młodym człowiekiem, to znaczy nim zdobył podziw i uznanie, pracował w kuglarskiej trupie objazdowej - ten fakt wytknął mu „Timesweek” w szkicu o nim, choć Joss nigdy go nie ukrywał.

Pierwszym krokiem ku jego karierze była szczegółowa mapa Ziemi w rzucie cylindrycznym, którą kazał sobie wytatuować na torsie i od Oklahomy po Missisipi pokazywał się na jarmarkach i w prowincjonalnych budach - tych ostatnich świadkach pełnej włączęgi i przygód ery wiejskich rozrywek. Ponad przestworem błękitnego oceanu widnieli na tej mapie czterej bogowie wiatru z wzdętymi policzkami, dmuchający głównie z zachodu i z północnego wschodu. Napinając mięśnie piersiowe, Joss rozkazywał Boreaszowi jeszcze bardziej dąć, a Środkowemu Atlantykowski falować. Na koniec zachwyconym widzom deklamował fragment Księgi Szóstej Metamorfoz Owidiusza.

Pomagając sobie dłońmi, potrafił też przysuwać Zachodnią Afrykę do Ameryki Południowej, aż idealnie łączyły się na wysokości pępka, demonstrując zjawisko znane pod nazwą dryfu kontynentalnego. Afisze reklamowały go jako: „Geos - Człowiek Ziemia”.

Namiętnie czytał wszystko, co mu wpadło w ręce, choć pozbawiony balastu wykształcenia wyższego niż podstawowe, nigdy nie usłyszał o nauce i edukacji klasycznej nic ponad to, że dla prostego człowieka są zbędnym widzimisię. Przystojna sylwetka połączona z niesfornym, chłopięcym wdziękiem,

pomogły mu wkraść się w łaski rozmaitych bibliotecznych koneserów, na których natykał się podczas włączki i rozpytywał o dzieła, z których treścią winien się zapoznać. Mówił, że chce się doskonalić. Z obowiązku czytywał, jak zdobyć przyjaciół, jak inwestować w nieruchomości oraz jak dostać do nogi każdego ze swych znajomych tak, by tego nie poczuli, zaś ze starożytnej literatury i ze współczesnych dzieł naukowych powziął przekonanie, iż wie już czym są jakości. Gdziekolwiek zatrzymali się na dłużej, nachodził miejscową bibliotekę miejską lub stanową. Poduczył się też trochę geografii i historii: - To zajęcie związane z zawodem - tłumaczył niejakiej Elwirze, znanej jako Kobieta-Słoń, która dopytywała go ciekawie „gdzie tak ciągle znika”. Podejrzewała go o ekscesy seksualne: - Hm, po jednym bibliotekarzu w każdym porcie - wyraziła kiedyś swe przypuszczenia, ale zaraz musiała przyznać, że jego wodewilowe talenty mimo to wciąż rosną. Wszystko to było może „zbyt intelektualne”, a przecież dopiął swego, gdy ku powszechnemu zdziwieniu, ta jego jednoosobowa stajnia wyścigowa zaczęła przynosić profity.

Któregoś dnia, gdy stojąc plecami do publiczności demonstrował wdarcie się Półwyspu Indyjskiego w głąb Azji i skutkiem tego wypiętrzenie Himalajów, nagle grom trzasnął z pochmurnego, choć bezdeszczowego nieba i na miejscu go zabił. Trąby powietrzne szalały wtedy w całej Oklahomie, a we wszystkich południowych stanach panowała dziwna pogoda.

Opanowało go doskonale czyste uczucie, że opuszcza swe ciało (żałośnie zmięte na deskach posypanych trocinami, w które z lęklwym osłupieniem wlepią gały garstka ludzi), i wznosi się wyżej i wyżej, jakby przez długi, ciemny tunel, z wolna przybliżając się ku jaskrawemu światłu. I w tej promienistości dostrzegać zaczął figurę herosa o boskich, zaiste, kształtach.

Gdy ocknął się, pojął, że część Palmera Jossa z wyraźnym ociąganiem powraca do życia. Spoczywał na

składanym łóżku w skromnie umeblowanej sypialni, a nad nim pochylała się osoba Wielebnego Billy Jo Rankina - nie obecnego nosiciela tego szacownego nazwiska, lecz ojca, który był wielce czcigodną namiastką pastora trzeciej ćwierci dwudziestego wieku. Joss mógłby przysiąc, że dostrzeża za nim gromadkę zakapturzonych osób ciągnących *Kyrie Eleison*.

- Umrę, czy będę żył? - szeptem zapytał młodzieniec.

- I jedno i drugie, mój synu - odparł Wielebny Rankin.

Wkrótce Jossa opanowało dojmujące uczucie, że rozumiał sens świata. A że miał trudności, aby to wysłowić, targał nim konflikt pomiędzy tym, co mógł wyartykułować a obrazem szczęśliwości, jaki oglądał, i nieskończonej radości, jaką ta wizja zwiastowała. W jego sercu zamieszkały odtąd dwa sprzeczne uczucia, które wiodły ze sobą spór, skutkiem czego w różnych okolicznościach (na przykład, w połowie zdania) mówiąc o jednym, uświadamiał sobie nagle istnienie drugiego, więc prędko również i o nim musiał powiedzieć słowo. Albo wykonać jakiś gest. Po czym, zadowolony zwaśnione strony, odzyskiwał spokój.

Kiedyś powiedziano mu, że naprawdę nie żył. Tak wtedy orzekł lekarz. Ale modlili się nad nim, śpiewali hymny i nawet próbowali go ożywić masażem ciała (głównie okolicy Mauretanii). Więc go wrócili życiu - w prawdziwy i dosłowny sposób urodził się od nowa. Palmer Joss chętnie nakłaniał temu ucha i nawet radował się, że obraz ten nadzwyczajnie pasuje do jego koncepcji istnienia. I coraz bardziej utwierdzał się w przekonaniu - choć o swym wypadku rzadko mówił - że zdarzenie to miało symptomatyczny charakter. Przecież piorun nie mógł zabić go ot, tak sobie. I również nie ot, tak sobie, wrócono go na Ziemię.

Pod przewodnictwem swego opiekuna rozpoczął poważne studiowanie Pisma. Głęboko nim poruszyło Zmartwychwstanie, i równie głęboko - idea Odkupienia. Zaczął asystować Wielebnemu Rankinowi najpierw w drobnych, a z

czasem w coraz bardziej odpowiedzialnych (lub wymagających dłuższej podróży) posługach duszpasterskich. Szczególnie po tym, jak młody Billy Jo Rankin w odpowiedzi na Boże wezwanie, przeniósł się do Odessy w Teksasie. Wkrótce Joss odnalazł swój własny styl kazań - nie tyle upominający, ile tłumaczący. Prostym językiem i swojskimi metaforami wyjaśniał, czym jest baptyzm i pośmiertne życie, czym związek chrześcijańskiego Objawienia z mitami starożytnej Grecji i Rzymu, a czym idee Bożego planu wobec świata i zgodność nauki z religią - o ile obie są właściwie rozumiane. Nie były to kazania konwencjonalne, dla wielu zbyt ekumeniczne, lecz zyskiwały mu coraz większą popularność.

- Urodziłeś się od nowa, Joss - powiedział Rankin Starszy - więc powinieneś zmienić swe nazwisko. Ale Palmer Joss brzmi dla pastora tak świetnie, że pewnie byłbyś głupi, gdybyś go nie zatrzymał.

Joss zaobserwował, że podobnie jak adwokaci i lekarze, handlarze religią rzadko nawzajem krytykują swe towary. Ale któregoś wieczora trafił na zbiór parafian w nowym Kościele Boga-Krzyżowca, gdzie miał kazanie Billy Jo Rankin Młodszy, świeżo przybyły do Odessy, by nauczać tłumu. Akurat wyluszczał surową doktrynę Nagrody, Zapłaty i Wniebowzięcia - choć wieczór ten miał być wieczorem uleczenia. Środkiem leczniczym, który przedstawił zgromadzonym, była ta oto najświętsza relikwia - świętsza niż drzazga ze Świętego Drzewa, świętsza nawet od kości udowej Świętej Teresy z Avili, którą Generalissimo Francisco Franco trzyma w swoim gabinecie, aby nią straszyć wiernych. Czym Billy Jo Rankin wywijał, było w rzeczy samej dzbanuszkciem płynu owodniowego, który otaczał i ochraniał Pana. Starożytne naczynko z gliny niosło w sobie płyn przez te wszystkie lata, odkąd przestało być własnością samej - jak wyjawiał wiernym - Świętej Anny. Najmniejsza kropla starczy, aby uleczyć każdą dolegliwość poprzez szczególny akt Uświęcającej Łaski -

Rankin obiecuje - i oto najświętsza ze świętych wód jest dziś wieczorem wśród nas.

Joss był zdruzgotany - nie tyle z obawy, że Rankin spróbuje tego oczywistego szwindlu, ile że każdy z wiernych zdawał się absolutnie gotów to zaakceptować. W swoim poprzednim życiu nie raz miał okazję widzieć, jak się nabiera ludzi. Ale tamto było zabawą. Teraz to co innego. To religia. Religia jest czymś zbyt poważnym, żeby robić z niej widowisko, szczególnie pod tytułem „dzisiaj czynimy cuda”. Ruszył do kazalnicy, by zdementować te brednie.

W miarę jak rósł słuszny gniew Jossa, zwracał się ku coraz to nowym zboczeniom, które wyrodziły się z chrześcijańskiego fundamentalizmu. Nie zapomniał też o domorosłych herpetologach, którzy testują religijność przez zabawy ze żmijami - albowiem Pismo powiada, że ci, których serca są czyste, nie muszą lękać się jadu żmii. W pewnym momencie (który był potem często cytowany) sparafrazował Woltera:

- Nie sądziłem nigdy - powiedział - że w sukniach duchownych spotkam ludzi do tego stopnia sprzedajnych, że mogliby służyć za natchnienie bluźniercom piszącym, iż pierwszym księdzem stał się pierwszy łajdak, który spotkał pierwszego idiotę. Religie te są religiami zniszczenia! - wdzięcznie pogroził palcem.

Argumentował, że w każdej religii znajduje się kreska ograniczająca doktrynę, powyżej której staje się ona szyderstwem z inteligencji swych wyznawców. Ludzie rozumni wciąż spierają się co do miejsca, w którym ta linia winna przebiegać, choć większość religii już dawno przekroczyła ją na własną rękę. A ludzie nie są tacy głupi! - spuentował.

Dzień przed śmiercią Rankin Starszy, porządkując swe sprawy, nie omieszkał posłać słówko Jossowi: iż marzy tylko o jednym, by go więcej jego oczy nie oglądały. W tym czasie Joss już nauczał, że również nauka nie zna wszystkich

odpowiedzi. W teorii ewolucji, na przykład, istnieją poważne sprzeczności.

- Niewygodne znaleziska, fakty, które nie pasują do niczego, naukowcy po prostu wmiatają pod dywan - powiedział. - Skąd mogą wiedzieć, że Ziemia naprawdę ma 4,6 miliardów lat. Cokolwiek więcej niż sześć tysięcy, o których mówił arcybiskup Ussher. Czy ktoś kiedyś widział ewolucję na oczy? Czy mierzył czas, jaki upłynął od Stworzenia? Wszak i teoria względności nigdy nie została dowiedziona. „Nie można poruszać się szybciej niż światło”, miał powiedzieć Einstein. Skąd on wie? Czy próbował sam poruszać się z tą prędkością? Relatywizm to tylko sposób wytłumaczenia sobie świata. Einstein nie ma prawa apodyktycznie twierdzić, co ludzkość może kiedyś osiągnąć w odległej przyszłości. Ani tym bardziej kłaść miar na to, co może uczynić Bóg. Czy Bóg, gdyby tylko zechciał, nie mógłby poruszać się powyżej prędkości światła? Są, owszem, wynaturzenia w religii, ale i są w nauce. Człowiekowi obdarzonemu rozumem nie wolno dać się zastraszyć żadnej z nich. Jest wiele interpretacji Pisma i wiele interpretacji przyrody, lecz jedno i drugie stworzył Bóg, więc muszą być z sobą spójne. Gdziekolwiek znajduje się sprzeczność, czy z winy naukowca, czy teologa, czy może obu naraz, to świadczy tylko o jednym; że źle wypełnia swe zadanie.

Swą obiektywną krytykę nauki i religii Palmer Joss zdołał ubogacić żarliwym wołaniem, by jego wierni kierowali się w życiu i prawem moralnym, i szacunkiem dla inteligencji. Jego reputacja z wolna zaczynała obejmować cały kraj. W debatach nad wykładaniem w szkołach „naukowej teorii stworzenia”, nad etycznymi aspektami przerywania ciąży, zamrażania embrionów i dopuszczalnością inżynierii genetycznej, zdołał na swój sposób wymanewrować jakiś pośredni kurs, który godził ze sobą dwie karykatury: religii i nauki. Jego wypowiedzi bywały solą w oku obu walczących

grup, więc popularność Jossa rosła. Stał się powiernikiem prezydentów, a cytaty z jego kazań zaczęły pojawiać się na głównych stronach wysokonakładowych dzienników, niekoniecznie religijnych. Mimo to oparł się wielu pokusom, także przypochlebnej ofercie, czy nie zechciałby założyć swego własnego kościoła komputerowego. Żył nadal w prostocie, rzadko - pominąwszy zaproszenia od prezydentów albo kongresy ekumeniczne - opuszczając rolnicze Południe. Nie mieszał się do polityki, co było jego zasadą, podobnie jak spokojny patriotyzm. Na terenie zajęтым przez zwalczające się ugrupowania - wiele spośród nich o podejrzanym powiązaniu - Palmer Joss przez swoją erudycję i autorytet moralny, stał się najwybitniejszym pastorem fundamentalistów chrześcijańskich swego czasu.

Jeszcze przed odlotem der Heer upewniał się, czy będą mogli pójść gdzieś razem na spokojną kolację. Przybywał tu, aby z Vaygayem i delegacją sowiecką odbyć sesję podsumowującą postępy w odczytaniu Wiadomości. Jednak cała południowo-środkowa część Nowego Meksyku zapchana była dziennikarzami ze wszystkich stron świata, a więc w promieniu setki mil nie było restauracji, w której nie rozpoznani mogliby spokojnie pogadać. Skończyło się na tym, że Ellie przygotowała kolację w swoim małym mieszkanku na terenie Argusa, w pobliżu kwater dla wizytujących profesorów. Mnóstwo mieli sobie do powiedzenia, bo miało się niekiedy wrażenie, że całość Projektu zawisła na cieniutkiej nitce, którą trzymała w ręku Prezydent. A przecież ten dreszczyk oczekiwania, który przebiegał ją tuż przed wylądowaniem samolotu z Kenem, to było coś jeszcze... z czego niejasno i powoli zaczynała zdawać sobie sprawę. Choć nie Joss był ich głównym zmartwieniem, zaczęli rozmawiać o nim już podczas lądowania brudnych naczyń do maszyny.

- On jest uświęcony na sztywno - powiedziała. - Jego

horyzonty uległy zawężeniu. Wyobraża sobie, że Wiadomość sprowokuje jakieś niedopuszczalne egzegezy Biblii, czy coś w tym rodzaju, co wstrząśnie podstawami wiary. Nie jest w stanie zrozumieć, czym jest naukowy paradygmat, że późniejszy sumuje się z poprzednim. On chce tylko wiedzieć, co nauka ostatnio dla niego zrobiła. I uważa się za głos rozsądku.

- Na tle Mileniarystów Dnia Sądu Ostatecznego - powiedział der Heer - albo Pierwszych Na Ziemi, Palmer Joss i tak brzmi dość powściągliwie. Może naprawdę nie przedstawiliśmy naszych metod naukowych tak, jak to trzeba było zrobić? Dużo ostatnimi czasy o tym myślałem. Zastanów się, Ellie, czy naprawdę jesteś pewna, że ta Wiadomość nie jest od...

- Boga lub Szatana? Ken, ty chyba żartujesz.

- No wiesz... pomyśl tylko o tych rozwiniętych istotach, które zaczynają robić coś, co my rozumiemy w kategoriach dobra i zła. Prędzej czy później komuś takiemu jak Joss wydadzą się tożsame z Bogiem lub Szatanem.

- Ken, kimkolwiek są ci z Vegi, gwarantuję, że nie oni stworzyli wszechświat. I z pewnością nie są nikim takim, jak Bóg ze Starego Testamentu. Pamiętaj, że Vega, Układ Słoneczny i parę sąsiednich gwiazd leży w zapadłej, cichej zatoczce całego monotonnego ogromu Galaktyki. Dlaczego Jam-Jest-Kim-Jest miałby zakotwiczyć właśnie tu? Myślę, że ma trochę poważniejszych zadań do spełnienia.

- Ellie, przyparli nas do muru. Wiesz, że Joss jest bardzo wpływowy. Był blisko trzech kolejnych prezydentów, nie wyłączając obecnego gabinetu. Prezydent jest zdecydowana poczynić mu pewne koncesje, choć może, nie będzie to włączeniem Jossa do grupy duchownych w Tymczasowym Komitecie Rozszyfrowania, w którym jesteś ty, Valerian i Drumlin, nie wspominając o Vaygayu i jego towarzyszach. Wyobraź sobie Rosjan w jednym Komitecie z tym fundamentalistycznym klerem... Cała nasza praca może przez

ten drobiazg pójść na marne. Może by pojechać i pogadać z Jossem? Prezydent mówi, że on jest naprawdę zafascynowany nauką. Może udałoby się go dla nas pozyskać?

- Czyżbyśmy zamierzali skłonić Palmera Jossa do konwersji?

- Nie wyobrażam sobie, żeby ktoś taki jak on mógł zmienić wyznanie. Wystarczy, jeśli zrozumie, czym jest Argus i że po rozszyfrowaniu nie musimy wcale reagować na Wiadomość, jeśli się nam nie spodoba. I że odległość tak skutecznie izoluje nas od Vegi...

- Ken, on nawet nie wierzy, że szybkość światła to kosmiczny pułap. Będziemy mówili ze ślepym o kolorach. Również co do mnie, mam raczej długi wywiad chorobowy, gdy chodzi o próby pakowania mnie w konwencjonalną religijność. Mnie po prostu krew zalewa, kiedy zaczynają się te ich sprzeczności i hipokryzje. Nie jestem pewna, czy spotkanie między Palmerem Jossem i mną jest rzeczywiście tym, na czym ci zależy. Oraz pani Prezydent.

- Posłuchaj, Ellie - odezwał się der Heer. - Ja naprawdę świetnie wiem, jak i w co inwestować moje pieniądze. Nie widzę absolutnie ani jednego powodu, dla którego twoje spotkanie z Jossem mogłoby pogorszyć i tak złą sytuację.

Z wysiłkiem odwzajemniła jego uśmiech.

Wliczając statki do wykrywania satelitów, a także parę nowych, niedużych radioteleskopów uruchomionych w takich miejscach, jak Reykjavik czy Dżakarta, dysponowali teraz aż za gęstą siecią detekcyjną dla sygnału, pracującą w każdym praktycznie pasie długości astronomicznej. W Paryżu szykowałą się wkrótce główna konferencja Światowego Konsorcjum Wiadomości, do której przygotowaniem miały być sesje naukowe w gremiach obejmujących te kraje, które dysponowały największymi porcjami danych. W większości były to spotkania czterodniowe, zaś podsumowująca sesja w

Argusie właściwie miała za cel pozyskanie ludzi takich, jak der Heer, którzy służyliby za pośredników między uczonymi a politykami. W skład delegacji sowieckiej, której nominalnie przewodniczył Łunaczarski, wchodziło jeszcze paru uczonych i inżynierów o nie gorszej reputacji. Wśród nich: Gienrik Archangielski, świeżo mianowany dyrektorem zdominowanego przez Sowiety międzynarodowego konsorcjum o nazwie Intercosmos; także Timofiej Gotsridze, wymieniany jako Minister Przemysłu Ciężkiego i członek KC.

Wyglądem Vaygay przypominał kogoś, kto wlaźł w sam środek jakichś niesłychanych napięć. Znow zaczął odpalać papierosa od papierosa: gdy mówił, w jego uniesionej dłoni zawsze jarzył się ognek między kciukiem a palcem wskazującym.

- Zgadzam się, że długości teraz prawidłowo zachodzą na siebie. Mimo to obawiam się, że trochę tego wszystkiego za dużo: niech, na przykład, nawali skraplacz helu na Marszałku Niedielinie, albo zasilacz mocy w Reykjaviku i ciągłość odbioru leży. Przypuśćmy, że na pełny cykl Wiadomości, z jej nawrotem znow do samego początku, przyjdzie czekać dwa lata. Jeśli teraz choć jeden kawałek nam wypadnie, to dopiero za dwa lata będziemy mogli go uzupełnić. A pamiętajmy, że nie ma żadnej pewności, czy Wiadomość zechce się znow zacząć od początku. Jeżeli nie, to braków nigdy nie uzupełnimy. Uważam, że powinniśmy brać pod uwagę absolutnie wszystkie, nawet najmniej prawdopodobne możliwości.

- Więc co pan proponuje? - zapytał der Heer. - Coś w rodzaju zapasowego generatora dla każdego z obserwatoriów należących do Konsorcjum?

- Tak. I samodzielne wzmacniacze, spektrometry, autokorelatory, ścieżki dyskietek i tak dalej w każdym ośrodku. A dla płynnego helu zabezpieczenie błyskawicznego transportu lotniczego, na wypadek awarii w odległych obserwatoriach.

- Zgadzasz się, Ellie?

- Absolutnie, tak.

- Coś jeszcze?

- Myślę, że powinniśmy kontynuować obserwację Vegi w bardzo szerokim spektrum częstotliwości - odezwał się Vaygay. - Nie można wykluczyć, że jutro dojdzie nam jakaś zupełnie nowa wiadomość, lecz tylko w jednym paśmie. Powinniśmy też zacząć monitorować inne regiony nieba. Klucz do Wiadomości może wcale nie nadejść z Vegi, a z jakiegoś zupełnie innego miejsca...

- Proszę o chwilę uwagi, chciałbym zaznaczyć, że głos Vaygaya uważam za nadzwyczaj istotny - wtrącił się Valerian. - Żyjemy w chwili niezwyklej, jedynej w swoim rodzaju. Otrzymujemy Wiadomość, choć nie czynimy wielkiego postępu w jej odczytaniu. Nie mamy wszak w tej dziedzinie żadnego doświadczenia. Tym bardziej naszym obowiązkiem jest zabezpieczyć absolutnie wszystko, co jest do zrobienia. Przecież nie chcemy za rok czy dwa pluć sobie w brodę, że było jakieś śmiesznie proste zabezpieczenie, o którym zapomnieliśmy, albo jakiś głupi pomiar, którego nie wzięliśmy pod uwagę. Zakładać, że Wiadomość powtórzy się od początku, to budować zamki na lodzie. Nie ma w niej niczego, przynajmniej do tej chwili, co gwarantowałoby tę możliwość. Jakakolwiek szansa dziś puszczona, może się już nie powtórzyć. Nigdy. Więc również jestem zdania, że w sprawie instrumentalnego wyposażenia jest jeszcze masa niedociągnięć. Wiemy już przecież, że istnieje czwarta warstwa palimpsestu.

- Jest też problem personelu - dodał Vaygay. - Załóżmy, że Wiadomość będzie nadchodziła nie przez rok czy dwa, ale przez dziesięć lat. Albo, że to jest dopiero pierwsza z serii informacji, które nadchodzić będą z różnych regionów nieba. Mamy nie więcej niż kilkuset rzeczywiście wykwalifikowanych radioastronomów na świecie. To bardzo mało, zważywszy ogrom zadania. Kraje zindustrializowane powinny już teraz rozpocząć szkolenie najwyższej klasy radioastronomów i

inżynierów radiowych.

Ellie zauważyła, że Gotsridze, który mało się dotąd odzywał, cały czas pilnie notuje. Po raz kolejny uderzyło ją, o ile bardziej Rosjanie są zaawansowani w angielskim niż Amerykanie w rosyjskim.

Odpalając papierosa od żarzącego się jeszcze poprzedniego, Vaygay kontynuował:

- Chciałbym dodać coś jeszcze. Taką swoją małą hipotezę. Trudno nawet nam udawać, że wierzymy, iż Wiadomość znów zacznie się od początku, co zresztą profesor Valerian słusznie podkreśla. Że byłyby to zamki na lodzie. Więc na tym wczesnym etapie być może nie próbowałbym nawet przedstawiać tak niesprawdzonych teorii... Ale gdy wyrażamy swoje przypuszczenia, u słuchających wywołujemy pewien typ myślenia, które w przeciwnym razie by się nie pojawiło. A co za tym idzie - wywołujemy czyny. Nie miałbym więc odwagi przedstawić tak ryzykownej tezy, gdyby również członek Akademii Nauk, Archangielski, nie doszedł dzięki swemu wyczuciu do podobnego wniosku. On i ja wielokroć nie zgadzaliśmy się na temat ilościowych pomiarów czerwonego przesunięcia kwazarów, tłumaczenia superluminarnych źródeł światła, masy szczątkowej neutrino, fizyki kwarków w gwiazdach neutronowych... Wiele było sporów między nami i przyznać muszę, że wiele razy on miał rację, choć czasem i ja. I prawie nigdy nie zgadzaliśmy się, gdy rzecz znajdowała się we wczesnym stadium spekulacji. Ale tym razem się zgadzamy. Gienriku Dimitrowiczu, zechce pan zabrać głos?

Archangielski zdawał się przyjmować te słowa z pewnym nawet rozbawieniem. Prowadzili od lat z Łunaczarskim coś w rodzaju osobistego współzawodnictwa: podnosili temperaturę każdej dysputy naukowej i celebrowali rozmaite kontrowersyjne spory, ale zawsze w tonie umiarkowanym, mającym na uwadze dobro sowiecko-amerykańskiego programu.

- Sądzimy - powiedział - że Wiadomość to instrukcja budowy maszyny. Oczywiście, nie wiemy jak ją rozszyfrować. Ale dowody można znaleźć w pewnych szczegółach tekstu. Podam przykład: tutaj, na stronie 15 441 znajduje się wyraźnie odsyłacz do wcześniejszej strony 13 097, którą, szczęśliwym przypadkiem, też mamy, bo otrzymaliśmy ją z obserwatorium pod Taszkentem. Tę późniejszą odebrano tu, w Nowym Meksyku. I oto na stronie 13 097 znajdujemy następny odsyłacz, tym razem do strony, której nie odebraliśmy, bo jeszcze nie mieliśmy wtedy pokrytych wszystkich długości. W całym tekście sporo jest odsyłaczy. Uogólnić to mógłbym w następujący sposób: na stronach późniejszych występują instrukcje bardziej skomplikowane, na wcześniejszych - mniej. Oto jest zasadniczy punkt. Również w jednym miejscu znajdujemy na pojedynczej stronie aż osiem cytatów z tekstu wcześniejszego.

- Panowie, nie jest to wiadomość, która rzucałaby na kolana! - odezwała się Ellie. - Równie dobrze może to być podręcznik zadań z matematyki, gdzie późniejsze oparte są na wcześniejszych. A może długa powieść, w której wypadki z dorosłego życia są związane z dzieciństwem lub tym czymś, co mają na Vedze, kiedy są mali. Pamiętajmy, że ich życie może być o wiele dłuższe od naszego. W końcu może to być także tekst religijny z wieloma przypisami.

- Miliard przykazań... - parsknął der Heer.

- Może - powiedział Łunaczarski spoglądając przez chmurę papierosowego dymu w okno, za którym stały teleskopy. Zdawały się tęsknie wpatrywać w niebo. - Ale gdy dostrzeżesz regularność, z jaką przypisy występują, zgodzisz się, że to bardziej wygląda na instrukcję budowy jakiegoś urządzenia. Bóg jeden wie, do czego miałyby służyć.

ROZDZIAŁ 9

Numinosum

Cud jest podstawą kultu.

THOMAS CARLYLE

Sartor resartus (1833-34)

Twierdzę, że związane z obserwacją kosmosu uczucie religijne jest najsilniejszym i najszlachetniejszym motywem dla pracy naukowej.

ALBERT EINSTEIN

Idee i Opinie (1954)

Mogłaby dokładnie określić moment, w którym - podczas jednej z licznych podróży do Waszyngtonu - musiała powiedzieć sobie, że zakochała się w der Heerze.

Wyglądało na to, że przygotowania do spotkania z Palmerem Jossem, który w widoczny sposób nie kwapił się do odwiedzenia Argusa, nigdy się nie skończą. „Mnie nie obchodzi interpretacja Wiadomości przez uczonych”, powiedział, „mnie obchodzi ich bezbożność”. Zaś dla zgłębienia ich charakterów potrzebował bardziej neutralnego gruntu. Ellie w końcu była gotowa pojechać w jakiegokolwiek miejsce, które z Jossem uzgodni specjalny asystent pani Prezydent. Udział innych astronomów nie był przewidziany, bo Prezydent wyraźnie życzyła sobie, by Ellie była sama.

Ellie oczekiwała też dnia - wciąż odległego o parę dobrych tygodni - kiedy poleci do Paryża na spotkanie Światowego Konsorcjum Wiadomości. Już ustalali z Vaygayem program skompletowania pełnego pakietu danych. Odbiór sygnałów w ośrodkach astronomicznych szedł pełną parą i już

nie było ani jednej szczeliny w sieci detekcyjnej oplatającej kulę ziemską. Nagle ze zdziwieniem stwierdziła, że zupełnie nie ma na nic czasu. Jeszcze niedawno przysięgała sobie, że zadzwoni do matki i że odbędzie wreszcie długą rozmowę. A także - że będzie grzeczna i cierpliwa dla ludzi, obojętnie jaką prowokację jeszcze jej zgotują. Co dzień do Argusa przychodziły stosy papieru: dokumentów, wydruków komputerowych, poczty z gratulacjami lub krytyką ze strony kolegów, z religijnymi przestrogi, z pseudonaukowymi spekulacjami, którymi dzielono się z Ellie w wielkiej tajemnicy, nie brakło też korespondencji od wielbicieli z całego świata. Od miesięcy nie miała w rękach „Magazynu Astrofizycznego”, choć była pierwszym autorem najnowszej pracy naukowej, która z pewnością stanowiła najdziwniejszy tekst, jaki kiedykolwiek opublikowało to szacowne pismo. Sygnał z Vegi był tak mocny, że wielu radioamatorów znudzonych zabawami w eterze, zaczęło konstruować swe własne radioteleskopy i analizatory sygnału. Na wczesnym etapie światowej sieci detekcyjnej udało im się dostarczyć Argusowi paru użytecznych danych - odtąd Ellie zasypywana była listami wyrażającymi niezachwiane przekonanie, iż specjaliści SETI zawdzięczają im masę ważnych informacji. Czy nie powinna odpowiedzieć choćby paru słowami zachęty? Albo czy nie za mało uwagi poświęca astronomom pracującym nad innymi programami - na przykład, kwazarowcom? Cóż, zamiast tego większość czasu po prostu spędzała z der Heerem.

Bo czyż nie było jej obowiązkiem wprowadzić Naukowego Doradcę Prezydenta w Projekt Argus tak szczegółowo, jak tego oczekiwał? Nikt nie zaprzeczy, że Prezydent powinna być dokładnie i umiejętnie informowana. A swoją drogą - dobrze zrobiliby przywódcom innych krajów, gdyby byli tak szeroko zorientowani w sprawach dotyczących Vegi, jak prezydent Stanów Zjednoczonych. Akurat ten prezydent - choć niewykształcony w naukach ścisłych - polubił

szczerze tę dziedzinę i chciał popierać ją nie tylko dla praktycznych korzyści, ale - przynajmniej w jakimś stopniu - dla samej radości poznania. Ta cecha już wcześniej wyróżniła paru amerykańskich przywódców - jak James Madison, czy John Quincy Adams.

Mimo to zdumiewające było, że der Heer tyle czasu może spędzać w Argusie. Co dzień godzinę lub dwie poświęcał na zaszyfowaną w wysokim paśmie radiokomunikację z Waszyngtonem, a konkretnie ze znajdującym się w Oki Executive Office Building, swym Biurem do Spraw Nauki i Technologii. Jednak resztę czasu po prostu... był w pobliżu. Zajrzał czasem do stacji komputerów, czasem obejrzał jakiś pojedynczy teleskop. Niekiedy chodził z nim asystent z Waszyngtonu, częściej jednak był sam. Widziała go przez uchylone drzwi do biura, które mu urządzili w mniej uczęszczanym pokoju: z nogami na biurku czytał jakiś raport albo prowadził rozmowy przez telefon. Przyjaźnie machał jej dłonią i wracał do swych zajęć. Czasem słyszała, że mówi z Drumlinem lub Valerianem, choć równie często odbywał rozmowy z młodszymi technikami albo z paniami w sekretariacie, gdzie więcej niż raz zdarzało się jej dowiedzieć, że jest „czarujący”.

Do niej zresztą der Heer miał równie wiele spraw. Z początku były czysto techniczne i programowe, potem - bogatsze o plany dalszych, dających się przewidzieć działań, by wreszcie zmienić się we wspólne, niczym nie skrupowane rozważania. A dziś stan ich stosunków był taki, że dyskusje o Projekcie już nawet nie próbowały uzasadniać coraz silniejszego pragnienia, żeby po prostu być razem.

Pewnego pięknego popołudnia w Waszyngtonie, Prezydent musiała odłożyć spotkanie Grupy Do Specjalnych Zadań, z powodu kryzysu Tyrone Free. Po całej nocy lotu z Nowego Meksyku, Ellie i der Heer nagle otrzymali w podarunku kilka godzin - poszli więc obejrzeć Vietnam

Memoriał, zaprojektowany przez Maye Ying Lin, gdy była jeszcze studentką architektury w Yale. Pośród ponurych i smętnych pamiątek głupiej wojny, der Heer zdawał się niestosownie rozbawiony - co Ellie znów kazało przez chwilę zastanowić się nad pęknięciami w jego charakterze. Za nimi szła dyskretnie para goryli z Administracji Służb Ogólnych - w gładkich garniturach, że specjalnie ukształtowanymi i w kolorze ciała słuchaweczkami na swym miejscu.

W codziennych rozmowach nie było w der Heerze nic akademickiego. Patrząc, jak kupuje w ulicznym stoisku gazetę, nie przypuściłbyś, że jest naukowcem. Nigdy też nie pozbył się akcentu nowojorskiej ulicy. Z początku ta niestosowność między jego sposobem wyrażania się a jakością prac naukowych, bywała powodem kpin wśród kolegów, ale w miarę jak rosła reputacja der Heera jako naukowca i człowieka, akcent stawał się coraz bardziej nieodłączną częścią jego osoby. Choć wciąż - gdy na przykład, wymawiał „trójfosforan guanozynowy” - zdawało się, że biedna cząsteczka eksploduje.

Sporo czasu potrzebowali, by stało się dla nich jasne, że są zakochani - choć inni z pewnością wcześniej to wiedzieli. Kilka tygodni temu, gdy Łunaczarski wciąż jeszcze był w Argusie, zapuścił się w jedną z tych swoich tyrad o nieracjonalności języka. Tym razem wziął na cel amerykańską angielszczyznę.

- Ellie, dlaczego mówicie „popęlnić znów ten sam błąd”? Co słowo „znów” dodaje zdaniu? I czy mam rację, że „burn up” i „burn down” znaczy to samo? A „słowo-up” i „słowo-down” też? To dlaczego mówicie „screw up”, a nikt nie powie zamiast tego „screw down”?

Kiwnęła głową ze znużeniem. Sto razy słyszała, jak ze swymi kolegami narzekał z kolei na nielogiczności języka rosyjskiego, więc była bardziej niż pewna, że w Paryżu usłyszy francuskie wydanie tego problemu. Są „oczywiście” w językach

niezgrabne wyrażenia, lecz przecież każde z nich ma swoje małe źródło i kształtowało się pod wieloma małymi naciskami z różnych stron, więc czy nie dziwiłoby raczej, gdyby język był tworem doskonale logicznym i koherentnie zorganizowanym? Ale Vaygayowi narzekanie sprawiało taką przyjemność, że nie miała serca mu zaprzeczać.

- A weź takie wyrażenie „head over heels in love” - ciągnął dalej - to popularne porzekadło, zgadza się? No więc jest ono dokładnie na opak. Przecież stanem najzupełniej normalnym jest mieć głowę nad obcasami. Z miłości powinno się mieć obcasy nad głową, czy nie? Ty akurat powinnaś coś o tym wiedzieć. Ktoś, kto wymyślił to powiedzenie, nie miał pojęcia o zakochaniu. Zdawało mu się, że człowiek wciąż chodzi tak samo, a przecież frunie w powietrzu na głowie, jak na obrazach tego francuskiego malarza. Jak on się nazywał?

- On był Rosjaninem - powiedziała Ellie. Marc Chagall stał się okazją, by wysliznąć się z tej zagęszczonej nagle konwersacji. Potem zastanawiała się, czy Vaygay tylko droczył się z nią, czy próbował wysondować, jaka będzie jej reakcja na te słowa. Może po prostu podświadomie zarejestrował więc z wolna zacieśniającą się między nią a der Heerem.

To zwolnione tempo było zrozumiałe w przypadku der Heera. Oto on - Naukowy Doradca Prezydenta, poświęcający ogromną ilość czasu sprawie bezprecedensowej, delikatnej, której łatwo zaszkodzić. Wiązanie się z kimś, kto zajmuje w niej centralne stanowisko, to ryzyko. Prezydent zapewne nie życzyłaby sobie, by jego raporty miały charakter stronniczy: jako jej doradca powinien być w każdej chwili zdolny wesprzeć poczynania, które mogłyby się nie podobać Ellie, a z drugiej strony bez wahania odrzucić opcje, które Ellie popierała. Więc miłość do Ellie w pewnym stopniu ograniczała efektywność der Heera - choć dla Ellie ta sytuacja niosła jeszcze więcej komplikacji. Zanim otrzymała w jakimś sensie stabilizujące jej życie stanowisko dyrektora głównego obserwatorium w kraju,

miewała w swym życiu przygody. Nigdy jednak myśl o małżeństwie nie powstała dłużej w jej głowie, nawet kiedy zdawało się, że kogoś prawdziwie kocha, i co więcej - przyznała się do tego przed sobą.

Mglisto przypominała sobie jakiś cytat - z Yeatesa? - którym próbowała pocieszać dawnych swych apsztyfikantów, kiedy już było jasne, że romans się ma ku końcowi:

Mówisz, kochanie, że miłości nie ma
Chyba że wiecznie trwa
Ach, mój głuptasie, są krótkie arietki
Lepsze niż cała gra.

Przypomniała też sobie, jaki słodziutki był dla niej John Staughton w czasie, kiedy zalecał się do matki i jak mu to szybko minęło, gdy został przybranym ojcem Ellie. Obce jakieś, czasem monstualne osoby, których istnienie któż by przedtem odgadł, wyłaniają się z mężczyzn, gdy tylko stają się mężami. Jest nadwrażliwa, wiedziała, bo ma romantyczne skłonności. Ale nie zamierzała powtórzyć błędu matki. Choć nawet głębsza była w niej obawa, że miłość odbierze jej niezależność, że może poświęcić się komuś, kogo potem nie będzie dla siebie miała. Albo kto najzwyczajniej ją zostawi. Cóż, jeśli ktoś nigdy nie był zakochany, nie wie, czym jest ów brak (wprawdzie to motto rzadko nią kierowało - zdawało się jej, że nie brzmi zbyt prawdziwie). Bo z drugiej strony ktoś, kto nigdy nie kochał, nie wie też, co znaczy zdradzić partnera - jak w głębi serca czuła, że uczyniła matka wobec zmarłego ojca. Wciąż jej go straszliwie brakowało.

Ken der Heer zdawał się przeżywać to inaczej. Może oczekiwania wobec życia zmalały w nim w ciągu tych wszystkich lat? Przeciwnie do mężczyzn, z którymi mogła go porównać, w sytuacjach trudnych, stresowych, stawał się cieplejszy, bardziej godny współczucia. Jego skłonność do

kompromisów i wybitne umiejętności naukowe stanowiły części jego umundurowania służbowego - ale pod tym rynsztunkiem Ellie wyczuwała coś bezpiecznego, trwałego. Szanowała go za sposób, w jaki splótł pracę naukową ze swym życiem, i za dzielność w popieraniu prawdziwej nauki - tej, którą zarazić próbował obie administracje.

Dyskretnie, jak tylko było możliwe, spotykali się w jej małym mieszkanku na terenie Argusa. Ich rozmowy były radością dla obojga: przerzucali się pomysłami i argumentami jak lotką od badmintonu... aż nadchodził moment, gdy z doskonałą zgodnością odgadywali swe nie do końca wyrażone pragnienia. Był kochankiem czułym i wyrafinowanym, lecz przecież bardziej niż wszystko inne kochała te fluidy, które od niego płynęły.

Czasem dziwiło ją, ile potrafi powiedzieć i zdziałać, gdy czuje jego obecność w pobliżu. To wszystko czyniła miłość, i doszło do tego, że jej uwielbienie dla Kena przeniosło się na nią samą, na jej rozumienie własnego „ja”. Zaczęła bardziej siebie lubić dlatego, że mogła kochać Kena. A że i on odczuwał to samo, więc szacunek i miłość, jakie legły u podłoża ich związku, krążyły między nimi w nie kończącym się cyklu. Tak to przynajmniej sama przed sobą nazwała: tylekroć w towarzystwie przyjaciół czuła się okropnie sama. Z Kenem to minęło.

W ostatni weekend przed planowanym spotkaniem z Jossem leżeli w łóżku, a późne słońce popołudnia wlewało się do pokoju przez szczeliny w żaluzjach, rysując esy floresy na ich splecionych ze sobą ciałach.

- W zwykłej rozmowie - powiedziała - mówię o swym ojcu normalnie, chyba że ogarnie mnie nagle lekki przypływ tęsknoty. Ale gdy pozwolę sobie naprawdę powspominać, na przykład, jego poczucie humoru, albo... tę maniacką uczciwość... to fasada pęka. Mogłabym ryczeć w głos, że go nie

ma.

- Na pewno - odpowiedział der Heer pieszcząc jej ramię - język potrafi uwolnić nas od uczuć. Prawie potrafi. Może na tym polega jedno z jego zadań? Że możemy zrozumieć świat, nie pozwalając się zgnieść jego ciężarowi.

- Jeśli tak jest, to wynalazek języka jest więcej niż błogosławieństwem... Wiesz Ken, oddałabym wszystko, naprawdę: wszystko, gdybym mogła znów spędzić z ojcem choć parę minut.

Wyobraziła sobie niebo pełne wszystkich tych mam i tat, którzy fruują tu i tam, czasem przeskoczą z chmurki na chmurkę... To musiałyby być bardzo obszerne miejsca, żeby pomieścić te dziesiątki miliardów ludzi, którzy poumierali od początku istnienia ludzkości. Mogłoby tam być trochę tłoczno - chyba że religijne niebo jest zaprojektowane z podobnym rozmachem, jak astronomiczne. Wtedy nawet trochę miejsca by zostało...

- Musi być jakaś liczba - odezwała się - która odpowiadałaby całkowitej populacji inteligentnych istot żyjących w Mlecznej Drodze. Jak myślisz, ile? Jeśli jest milion cywilizacji, każda po około miliardzie obywateli, to będzie... mmmm... dziesięć do piętnastej potęgi. Ale jeśli większość jest bardziej zaawansowana niż my, to może mówić o nich jak o pojedynczych bytach jest już niestosowne? Może tu znów działa jakiś ziemski szowinizm?

- Pewnie masz rację. Więc teraz zajmij się obliczaniem galaktycznego wskaźnika produkcji gauloise'ów, i twinkies, i sowieckich limuzyn wołga, i walkie-talkie marki Sony... A potem obliczymy Galaktyczną Masę Produkcyjną, a jak to już będziemy mieli za sobą, to się zajmimy Kosmiczną...

- Kpisz sobie ze mnie - wtrąciła z łagodnym uśmiechem, wcale nie obrażona - ale pomyśl, taką liczbą. Mówię: naprawdę pomyśl. Wszystkie te planety, z wszystkimi tymi istotami, o wiele dalej w rozwoju od nas. Czy nie przebiega cię dreszcz,

kiedy to sobie wyobrazisz?

Wiedziała, co sobie pomyślała, więc szybko powiedziała:

- O, patrz, co czytałam na spotkanie z Jossem!

Sięgnęła na nocny stolik po szesnasty tom starej Encyclopaedia Britannica Macropaedia, zatytułowany „Rubens-Somalia” i otworzyła go w miejscu, w którym rolę zakładki pełnił strzępek papieru komputerowego. Wskazała akapit zatytułowany: „Uświęcone lub Święte”.

- Teologowie rozpoznali specjalny, nieracjonalny, bo nie nazwę go irracjonalnym, aspekt odczuwania tego, co uświęcone lub święte. Nazywają to „numinosum”. Pierwszy użył tego terminu... zaraz, zobaczmy... ktoś, kto nazywał się Rudolfo Otto, w 1923 roku, w książce Pojadę sacrum. Uważał, że ludzie są predysponowani do religijnego odczuwania tego czegoś, i nazwał to „numinosum”. Odczucia te określił jako misterium tremendum... nawet moja łacina mi starczyła... W obliczu misterium tremendum człowiek czuje się zupełnie niczym, choć, jeśli dobrze zrozumiałam, nie ulega alienacji. Otto rozumiał numinosum jako coś „całkowicie wyodrębnionego”, na co jedyną ludzką odpowiedzią jest „absolutne zadziwienie”. No więc jeśli to jest to, co ludzie mają na myśli, gdy używają słów „uświęcony” lub „święty”, jestem po ich stronie. Dokładnie to samo czułam nasłuchując sygnału, nawet już nie spodziewając się, że w ogóle go usłyszę. Zdaje mi się, że nauka w ogóle może wywoływać ten rodzaj nabożnego lęku. A teraz posłuchaj - zaczęła czytać tekst.

„W ciągu ostatnich stuleci wielu filozofów i uczonych w sprawach społecznych podkreślało stopniowy zanik sacrum, i przewidywało abdykację religii. Studia nad historią religii wskazują, że formy wyrażania uczuć religijnych ulegają zmianom i że nigdy nie było jednomyślności w rozumieniu, czym jest religia i jak powinno się ją wyrażać. Tak jest i dziś bez względu na to, czy mężczyzna jest, czy nie jest...”

- Seksuolodzy też piszą i drukują religijne artykuły, jak

się okazuje - rzuciła i wróciła do tekstu.

„... umieszczony w nowej sytuacji, w której rozwijanie struktur dla wartości ostatecznych jest radykalnie odmienne od tego, co zostawiła nam tradycyjnie pojmowana świadomość sacrum jako najbardziej żywotnego pytania”.

- Więc?

- Więc. Sądzę, że zurzędnicza religie próbują instytucjonalizować przeżywanie numinosum, zamiast wskazać nam sposoby, by je odbierać bezpośrednio. Jak przez sześciocalowy teleskop. Jeśli odczuwanie numinosum ma być sercem religii, kto zatem jest bardziej religijny: człowiek, który idzie za religijnymi urzędasami, czy ten, który sam zdobywa wiedzę?

- Powiedz, czy dobrze zrozumiałem - posłużył się jej częstym wyrażeniem - oto leniwe sobotnie popołudnie, a w łóżku leży pan i pani zajmujący się czytaniem jeden drugiemu Encyclopaedia Britannica. I kłóceniem się, czy gwiazdozbiór Andromedy jest bardziej numinotyczny niż Zmartwychwstanie. I co powiesz? Czy oni mają pojęcie, że można milej spędzić czas, czy nie?...

CZEŚĆ II MASZYNA

Nauczyciel Wszechmocny przedstawiając nam zasady uczenia się przez studia nad strukturą wszechświata, zachęcił człowieka tak do badań, jak i do naśladownictwa. Jak gdyby powiedział zamieszkującym planetę, którą nazywamy naszą: uczyniłem to dla człowieka, by mieszkał na niej, i rozkazałem mu patrzeć w rozgwieżdżone niebo, by dostarczyło mu wiedzy i go natchnęło do sztuk. Niechaj korzysta teraz dla dobra swego, oraz naucza innych o szczodrobliwości mojej: że wszyscy ludzie mogą być dobrzy dla siebie.

THOMAS PAINE

Wiek rozumu (1974)

ROZDZIAŁ 10

Precesja ekwinokcjów

Dziwnie to wszystko zorganizowano. Wyobrażała sobie, że Joss przyjedzie do Argusa, popatrzy sobie, jak sygnał łapie się za pomocą radioteleskopu, rzuci okiem na wielką salę pełną taśm magnetofonowych i dysków, na których zgromadzono efekty wielu miesięcy opracowywanych danych, zada parę uczonych pytań, a potem przyjrzy się w stosach komputerowych wydruków ogromnym ciągom jedynek i zer, które były Wiadomością. Nadal nie odczytaną. Nie wyobrażała sobie, że zamiast tego mogłaby godzinami wyklócać się z nim na temat filozofii i teologii - niestety, Joss odrzucił propozycję przyjazdu do obserwatorium. „To nie taśmy magnetofonowe chcę badać”, powiedział, „lecz ludzkie charaktery”. Idealnym dla niego partnerem byłby Peter Valerian - jasno formułujący swe myśli, bezpretensjonalny i okresowo przeżywający napady szczerzej chrześcijańskiej religijności. Ale Prezydent stanowczo się temu sprzeciwiła - chciała spotkania kameralnego i wyraźnie nalegała, by uczestniczyła w nim tylko Ellie.

Joss z kolei nie widział innego miejsca na spotkanie, jak właśnie tutaj - w Instytucie i Muzeum Studiów Biblijnych w Modesto, w Kalifornii. Ponad głową der Heera popatrzyła przez szybę dzielącą bibliotekę od części muzealnej - tuż za nią ujrzała gipsowy odlew stopy dinozaura, odcisniętej w piaskowcu znad brzegów Red River. Obok niej widniały odciski stóp ludzkich w sandałach - dowodziło to, jak głosił napis, że ludzie i dinozaury żyli w tym samym czasie, przynajmniej w stanie Teksas. Nie wykluczając, jak widać, mezozoicznych szewców. A konkluzja - że cała teoria ewolucji to bzdura. Opinia wielu paleontologów, że sam odlew jest bzdurą nie została - co Ellie zauważyła dwie godziny wcześniej - zaszczycona komentarzem. Odciski ludzkich stóp zamieszane

między dinozaury stały się za to podstawą wielkiej ekspozycji zatytułowanej „Bankructwo Darwina”. Na lewo od niej kołysało się wahadło Foucault’a - ilustracja twierdzenia, tym razem wyjątkowo nie zanegowanego, że Ziemia się obraca. Na prawo zaś na podium małego teatru Ellie mogła zobaczyć fragment potężnego hologramu firmy Matsushita, umożliwiającego wielkim teologom bezpośredni, i do tego trójwymiarowy, kontakt ze swą owczarnią.

Jednak kimś, kto akurat wszedł z nią w kontakt jeszcze bliższy, okazał się nagle Wielebny Billy Jo Rankin. Pojęcia nie miała, że Joss go tu ściągnął i nie mogła opanować zdziwienia. Wciąż przecież wlokła się między nimi ta teologiczna dysputa, czy Nadejście Chrystusa jest bliskie, czy Sąd Ostateczny musi się przedtem odbyć i jaka, pośród innych nadzwyczaj istotnych spraw, winna być rola cudu w pracy duszpasterskiej. Ostatnio jednak doszło między nimi do czegoś w rodzaju zawieszenia broni: nadano temu wielki rozgłos, aby posłużyć mogło, jak sami oświadczyli, dobru chrześcijaństwa fundamentalistycznego w Ameryce.

Już dwie godziny trwa dysputa. Rankin na przemian to bezlitośnie karci, to zaklina - oto jego nieskazitelnie uszyty garnitur, promieniejąca buzia i paznokcie prosto od manicure, na przeciw potarganego, rozdrażnionego i jakby doświadczonego niejedną życiową zawieruchą Jossa. Z nikłym śladem uśmiechu i z półprzymkniętymi oczami Palmer Joss pochylił głowę do czegoś, co wyglądało na modlitwę. Nie odzywał się wiele. Wszystko, co dotąd powiedział Rankin (za wyjątkiem krytyki Wniebowzięcia, jak spostrzegła Ellie), doktrynalnie niewiele różniło się od tego, co już wcześniej głosił Joss w telewizyjnych programach.

- Wy, naukowcy jesteście tacy nieśmiali - gruchał Rankin. - Chcecie swe światło chować pod kocem. I z tych waszych prac nic się nie można dowiedzieć, zaczynając od tytułów. Pierwsze dzieło Einsteina o teorii względności

nazywało się O elektrodynamice ciała w ruchu. Przypuszczam, że gdyby Bóg nagle ukazał się stadku uczonych, na przykład, podczas spotkania któregoś z tych waszych towarzystw, praca o tym wydarzeniu nosiłaby tytuł: O spontanicznym krzaczastopłomienistym zjawisku atmosferycznym. Byłoby w tym mnóstwo matematycznych równań, powiedziano by o „ekonomice hipotezy”, ale nikt słowem nie wspomniałby o Bogu.

- Wy, naukowcy, jesteście zbyt sceptyczni - mówił dalej i z lekkiego półobrotu jego głowy Ellie zrozumiała, że tym razem zwraca się również do der Heera. - Podważacie absolutnie wszystko, a przynajmniej próbujecie podważyć. Czy znacie powiedzenie „lepsze jest wrogiem dobrego”? Albo „szukać dziury w całym”? Wciąż chcecie sprawdzić, czy rzecz jest, jak to nazywacie „prawdziwa”. A „prawdziwe”, znaczy empiryczne, sprawdzalne, coś co można zobaczyć lub dotknąć. W świecie waszym nie ma miejsca na objawienie i natchnienie. Już na wstępie, z samego założenia, wykluczacie prawie wszystko, o czym mówi religia. Nie ufam naukowcom, bo naukowcy nie ufają niczemu.

Wbrew sobie musiała zgodzić się, że Rankin całkiem do rzeczy wyłożył swe poglądy. A mówiono o nim: „jeden z tych głupich telewizyjnych apostołów”. Musiała nanieść poprawkę: - Nie, on nie jest głupi, ale jest kimś, kto myśli, że jego parafianie są głupkami. Stać nawet go było, nie mogła zaprzeczyć, na pewną błyskotliwość. Czy powinna mu teraz odpowiedzieć? Nie tylko der Heer, ale i pracownicy Muzeum nagrywali tę dyskusję... Mimo, że umówiono się, iż taśmy nie będą publicznie udostępniane, lękała się mówić pełnym głosem, by nie zaszkodzić Argusowi albo nie wpędzić Prezydent w kłopoty. Ale uwagi Rankina były więcej niż osobliwe, a jak dotąd nie zareagował ani der Heer, ani Joss...

- Rozumiem, że czeka pan na odpowiedź - usłyszała własne słowa. - Nie zamierzam ogłaszać żadnego „oficjalnego”

stanowiska wobec pańskich zarzutów, ani nie pretenduję do wyrażania opinii całego środowiska naukowego, czy choćby samych pracowników Projektu Argus. Lecz mogę poczynić parę uwag, jeśli to panu odpowiada.

Rankin skwapliwie skinął głową, zachęcając ją uśmiechem. Joss apatycznie czekał.

- Chcę, by wiedział pan, że nie jest moją intencją nikogo atakować. Niczyich przekonań religijnych. Moim prywatnym zdaniem, człowiek ma prawo wyznawać taką doktrynę, jaka mu odpowiada, nawet jeśli jest ona w oczywisty sposób błędna. Natomiast to, co pan dziś mówi i co wcześniej twierdził Wielebny Joss, bo widziałam telewizyjną rozmowę z panem kilka tygodni temu, trudno poddać natychmiastowej replice. Umiejętna odpowiedź wymagałaby więcej czasu. Postaram się mimo to wyjaśnić w paru słowach, dlaczego obie te wypowiedzi uważam za nieuzasadnione.

Jak dotąd - pomyślała - przemawiam głosem umiarkowania.

- Odrzucacie sceptycyzm uczonych. A przecież powodem, dla którego się on pojawił, jest sama natura świata. Skomplikowana. I nad wyraz subtelna. Niekoniecznie słowami prawdy muszą być tylko pierwsze słowa, które wymawiamy. Ludzkiej naturze nieobce są autosugestie. Naukowcom też. Chyba każda z doktryn, które dziś uważamy za odstręczające, miała kiedyś, przez jakiś czas, swych wyznawców wśród uczonych, wybitnych uczonych, najwybitniejszych uczonych. I polityków. Ale też wśród powszechnie szanowanych przywódców religijnych: na przykład, niewolnictwo. Albo nazistowskie wydanie rasizmu. Uczeni popełniają błędy, teologowie popełniają błędy, każdy popełnia błędy. To leży w naturze człowieka. Sami zresztą mawiacie: „błądzić jest rzeczą ludzką”. Sposobem więc uniknięcia błędu, albo przynajmniej zredukowania go do minimum, jest postawa sceptyczna. Sprawdzasz nowe idee. Badasz je bezlitośnie pod względem

dowodów. Nie wierzę, że istnieje coś takiego, jak prawda dana z góry. Ona wyłania się powoli, wśród sporów, w starciu odmiennych opinii, gdy pozwoli się sceptykowi - dodała - i sceptycze, przeprowadzić dowód eksperymentalnej tezy w prawdziwym ogniu dyskusji. Cała historia nauki jest jednym wielkim doświadczeniem tej walki. Nie jest to rozwiązanie doskonałe, przyznaję, ale zdaje się jedyne, jakie w ogóle mamy. Kiedy przyglądam się religii, widzę mnóstwo twierdzeń, których celem jest wprowadzić wiernego w stan zadowolenia. Na przykład, chrześcijanie uważają, że wszechświat liczy skończoną ilość lat. Z niektórych wystawionych tu eksponatów można się dowiedzieć, że dla niektórych chrześcijan (choć również dla Żydów i muzułmanów), wszechświat liczy nie więcej niż sześć tysięcy lat. Hindusi dla odmiany, a wielu jest Hindusów na tej ziemi, twierdzą inaczej, że wszechświat jest nieskończenie stary i składa się z nieskończonej liczby ubocznych aktów niszczących i twórczych na przemian. Przecież te oba twierdzenia nie mogą jednocześnie być prawdą! Albo wszechświat liczy określoną ilość lat, albo istnieje nieskończenie. Panów, tutejsi przyjaciele - machnęła dłonią w kierunku oszklonych drzwi, za którymi paru pracowników muzeum błąkało się wokół „Bankructwa Darwina” - powinni czasem porozmawiać z Hindusami, bo wygląda na to, że Bóg im powiedział coś innego, niż powiedział panom. Ale wy pragnęlibyście rozmawiać tylko z podobnymi sobie. - Oj, chyba trochę za ostro, Ellie - pomyślała.

- Główne religie świata głoszą poglądy dokładnie sprzeczne ze sobą, i z lewa i z prawa Nie możecie wszyscy naraz mieć racji, A co, jeżeli na odwrót, wszyscy jednocześnie popełniacie błąd? Taka możliwość też istnieje. Mamy troszczyć się o prawdę, czy nie? Twierdzę więc, że jedyną drogą, aby odsiać ziarno od plew jest wśród tych wszystkich zawikłań postawa sceptyczna. Wobec waszych religijnych wierzeń nie jestem ani trochę bardziej sceptyczna, niż wobec nowych

twierdzeń naukowych, o których co dzień zdarza mi się słyszeć. Ale ja wtedy opatruję je mianem hipotezy, i nie nazywam tego nawiedzeniem. Lub objawieniem.

Joss drgnął, ale zamiast niego odezwał się Rankin.

- Objawień, przepowiedni potwierdzonych przez późniejsze wydarzenia, jest w Starym Testamencie cały legion. Zapowiedź nadejścia Zbawiciela znajdujemy u Izajasza, pięćdziesiąt trzy. Również u Zachariasza, czternaście i w Pierwszej Księdze Kronik, siedemnaście. Że Chrystus narodzi się w Betlejem przepowiada Micheasz, pięć. A że narodził się On w pokoleniu Dawida, stwierdza Mateusz, pięć, i...

- Łukasz - wpadła mu w słowo Ellie. - Ale czy to raczej nie powinno wprawiać was w zakłopotanie niż w entuzjazm? Mateusz i Łukasz przygotowują Jezusowi dwie różne genealogie. Co więcej: wyprowadzają ją od Dawida do Józefa, nie do Marii, jak wobec tego wierzyć w Boga, który jest Ojcem?

Ale Rankin nie zmieszał się. Może nie zrozumiał jej pytania?

- Działalność pasterską oraz Cierpienie Jezusa - ciągnął - przepowiedział Izajasz, pięćdziesiąt dwa i trzy, a także Psalm Dwudziesty Drugi. U Zachariasza, jedenaście, w oczywisty sposób znajduje się zapowiedź, że zostanie On wydany za trzydzieści sztuk srebra. Jeśli pragniemy być uczciwi, nie możemy ignorować tych oczywistych dowodów, tych spełnionych przepowiedni. Zresztą Biblia nadal potrafi odpowiadać na najnowsze zapytania naszego czasu: Izrael i Arabowie, Gog i Magog, Ameryka i Rosja, wojny nuklearne, wszystko już jest tam, w Piśmie Świętym. Ktoś kto ma choć gram rozumu, potrafi to dostrzec. Łaskawa pani, naprawdę nie musi pani odgrywać przed nami profesorskich ról.

- Wasz kłopot - wypaliła - polega na braku wyobraźni. Te wróżby są, prawie każda z nich, niejasne, dwuznaczne, niedokładne, otwarte na najróżniejsze manipulacje. Mieści się

w nich masa interpretacji... Ale wy nawet bezpośrednio przepowiednie próbujecie przerabiać po swojemu, jak tę zapowiedź Jezusa, że Królestwo Boże nadejdzie jeszcze za życia tych, którzy go słuchali. A wy mi mówicie, że Królestwo Boże jest we mnie. Słuchacze Jezusa na pewno brali go dosłownie, wy zaś cytujecie mi linijki, które wydają się wam skończone, ignorując kontekst. Nie zapominajcie, że w tamtych czasach istniał wielki głód spełnionych przepowiedni. Wyobraźmy sobie jednak, że wasz Bóg, wszechmocny, wszechwiedzący, litościwy, naprawdę chciałby zostawić przyszłym pokoleniom przekaz, który dowodziłby jego nieomyślności. Co w tym trudnego! Starczyłoby parę rzeczy powiedzieć jaśniej, kilka trywialnych stwierdzeń ostro obwarować, by były przekazywane następnym pokoleniom niezmienione...

Joss niespodziewanie wychylił się ku niej.

- Jakich, na przykład?

- No choćby takich: „słońce jest gwiazdą”. Albo: „Mars to czerwonordzawa planeta z pustyniami i wulkanami, podobna do Synaju”. Lub: „ciało w ruchu pozostaje ciałem będącym w ruchu”. Czy, zobaczymy - szybko napisała jakieś cyfry na bloku rozłożonym przed nią na kolanach - „Ziemia waży milion razy milion razy więcej niż dziecko”.

- Coś jeszcze? - zapytał Joss.

- Mogłabym wyliczyć w nieskończoność. A przynajmniej po jednym stwierdzeniu dla każdej z zasad fizyki. Popatrzmy... o, „nawet w najmniejszym kamyku jest trochę ciepła i światła”. Albo: „przyciąganie ziemskie jest jak dwójka, ale przyciąganie magnesu jak trójka”. Chodzi o to, że siła grawitacji ziemskiej zależy od minusa kwadratu, a dwubiegunowa siła magnesu, od minusa potęgi trzeciej. Albo w biologii - skinęła głową w kierunku der Heera, który zachowywał się, jakby złożył przysięgę milczenia - co by panowie powiedzieli na coś takiego. „Tajemnicą życia są dwie

nitki splecione ze sobą”.

- A, to ciekawe - powiedział Joss. - Zapewne ma pani na myśli kwasy nukleinowe. I znany jest pani symbol medycyny, który lekarze wojskowi noszą na klapach? Kaduceusz, dwie żmije splecione ze sobą. Doskonała podwójna ślimacznica, od najdawniejszych czasów symbol zachowania życia. Czyż nie właśnie tę współzależność pani sugerowała?

- No cóż. Zawsze myślałam, że to spirala, nie ślimacznica. Skoro istnieje tyle symboli, przepowiedni, tyle mitów i folkloru, w końcu jeden czy drugi choćby przez czysty przypadek przypasuje się do naukowego rozumowania. Chociaż nie jestem pewna, być może pan ma rację i kaduceusz rzeczywiście jest wiadomością od Boga. Ale wtedy nie jest to symbol chrześcijański, ani związany z żadną z głównych religii. Nie sądzę, aby zamiarem panów było przekonanie mnie, że Bóg przemawiał tylko do starożytnych Greków. Wszystko, co chciałam powiedzieć, dałoby się streścić do tego: gdyby Bóg naprawdę chciał nam przekazać wiadomość, a starożytne zapisy były tego jedynym ludzkim sposobem, doprawdy mógł jako Bóg lepiej się postarać. Czy musiał ograniczać się do świadectw pisanych? Dlaczego, na przykład, nie ma jakiegoś gigantycznego krucyfiks, który obiega Ziemię? Dlaczego powierzchni Księżyca nie pokrywają przykazania z Dekalogu? Nie widzę powodu, dla którego miałabym jednoznacznie brać jego słowa w Piśmie, skoro tak tajemniczo brzmią one w świecie.

Na twarzy Jossa ukazał się wyraz głębokiej satysfakcji. Już od dłuższej chwili chciał Ellie coś powiedzieć, ale widocznie uznał, że wtrącanie się w jej nieprzerwany potok wymowy byłoby niegrzeczne.

- Również - dalej prowadziła swój wywód - jaki sens w tym co mówicie, że Bóg nas zostawił? Wedle waszej wiary, rozmawiał z patriarchami i prorokami w co drugi wtorek. A jest wszechmocny, i wszechwiedzący. Dlaczego więc nie

pofatyguje się przypomnieć nam o sobie bezpośrednio, bez tych dwuznaczności, i raz czy drugi przedstawić swe życzenia każdemu pokoleniu? O co tu chodzi, moi drodzy. Dlaczego nie widzimy go jasno, jak kryształ?

- My widzimy! - zabrzmiały słowa Rankina. - On jest wszędzie wokół nas i wysłuchuje naszych próśb. Dziesiątki milionów obywateli tego kraju mają możliwość zaświadczyć o Jego bezgranicznej Łasce, gdy im zezwolił narodzić się od nowa. I Biblia przemawia do nas językiem nie mniej jasnym dzisiaj niż w czasach Mojżesza i Jezusa.

- Och, niech pan przestanie. Przecież pan wie, o co mi chodzi! - wykrzyknęła Ellie. - Gdzie są te płonące krzewy, te słupy ogniste, ten wielki głos grzmiący z nieba „Jam Jest Który Jest”?... Dlaczego Bóg ma ujawniać swą obecność tak subtelnymi, tak dyskusyjnymi aluzjami, jeśli ma możliwość ukazać się w całej chwale?

- A nie jest głosem z nieba to, co pani usłyszała? - krótkie pytanie Jossa zabrzmiało w chwili, gdy przerwała, by zaczerpnąć oddech. Wytrzymał wzrokiem jej spojrzenie.

Rankin szybko podchwycił tę myśl.

- Oczywiście! Właśnie to chciałem powiedzieć. Abraham i Mojżesz nie mieli radia ani teleskopu. I raczej trudno byłoby im słuchać głosu Pana na UKF. Więc może dziś Bóg mówi do nas w sposób odpowiedni do naszych czasów, rzuca nam nowe wyzwanie? Choć może to nie jest Bóg...

- A tak, wiem. Diabeł. Już o tym coś słyszałam. Ale zostawmy tego gościa na chwilę, dobrze? Jeśli to panom nie przeszkadza? Mówicie, że Wiadomość może być głosem Boga, waszego Boga. A gdzie w waszej religii jest mowa o tym, że Bóg odpowiada na modlitwę, odsyłając ją z powrotem na Ziemię?

- Tej nazistowskiej kroniki nie nazywałbym modlitwą - odezwał się Joss. - Sama pani stwierdziła, że był to tylko sygnał wywoławczy.

- Ale dlaczego Bóg do tej rozmowy wybrał nas, naukowców, nie pastorów, na przykład, was?

- Ze mną Bóg stale rozmawia! - Rankin głośno zastukał palcem wskazującym w swój mostek. - I z Wielebnym Palmerem Jossem też. I od Boga wiem, że Objawienie jest tuż tuż. Gdy kres świata się zbliża, nadchodzi też czas sądu nad grzesznikami i wniebowstąpienie wybranych.

- A czy uprzedzał pana, kiedy to nada panu na falach radiowych? Żeby pan mógł nagrać sobie tę audycję, a my sprawdzić, o czym rozmawialiście? Nie, my zamiast tego mamy tylko pańskie oświadczenie! Niech więc pan mi odpowie, dlaczego Bóg wybrał radioastronomów, którzy odebrali Wiadomość, a nie duchowne sukienki? Nie sądzi pan, że to naprawdę jest dość dziwne, że pierwsza informacja od niego w ciągu ostatnich dwóch tysięcy lat to liczby niepodzielne, i... Adolf Hitler podczas Olimpiady z 1936 roku? Taki Bóg doprawdy ma specjalny rodzaj poczucia humoru.

- Mój Bóg ma takie poczucie humoru, jakie chce!

Pierwsze wyraźne spięcie postawiło der Heera w stan alarmowy.

- Nooo, proszę państwa... - szybko powiedział - zaczynamy zapominać o właściwym celu spotkania...

Oto cały Ken - pomyślała Ellie - w swojej mediacyjnej roli. Potrafi zdobyć się na odwagę tylko wtedy, gdy to nie łączy się z odpowiedzialnym działaniem. Mocny w gębie... ale w cztery oczy. Kiedy trzeba odważnie bronić nauki, zwłaszcza gdy chodzi o reprezentowanie pani Prezydent, kładzie uszy po sobie, gotów pójść na ugodę choćby z Diabłem. Ugryzła się w język. Zaczynała nasiąkać teologicznymi terminami.

- To inna sprawa, Ken - przerwała zarówno swój, jak i der Heera ciąg myślowy. - Zastanówmy się: jeśli ten sygnał pochodzi od Boga, to dlaczego tylko z jednego miejsca na niebie? Dlaczego nie z całego nieboskłonu naraz, jak promieniowanie tła kosmicznego? Sygnał pochodzący z

jednego miejsca może nasuwać jedno jedyne przypuszczenie, że chodzi tu o cywilizację pozaziemską. Sygnał od Boga powinien pochodzić zewsząd.

- Jeśli Bóg chce, to może wysłać swój sygnał nawet przez szpunt beczki z „Małym Niedźwiadkiem!” - twarz Rankina nabrała purpurowego koloru. - Proszę wybaczyć, doprowadza się mnie do ostateczności. Bóg może zrobić absolutnie wszystko, droga pani!

- Cokolwiek przekracza pański rozum, panie Rankin, pan przypisuje Bogu. Sadza go pan wszędzie, gdzie przedtem wymiół całą tajemnicę świata, wszystkie wyzwania dla ludzkiej inteligencji. Pan po prostu wyłącza swój rozum i mówi „Bóg tak chciał”.

- Jaaa... najmocniej przepraszam, nie przybyłem tu po to, żeby mnie obrażano.

- Przybył pan? Zawsze myślałam, że w tym miejscu mieszka pan od zawsze.

- Droga pani... - Rankin chciał coś powiedzieć, ale zmienił zdanie. Zaczerpnął oddech i podjął:

- To kraj chrześcijański, a chrześcijanom dano szczególne pojmowanie tych problemów. Świętą odpowiedzialność za głoszenie właściwie rozumianego Bożego Przesłania...

- Ja też jestem chrześcijanką i proszę nie mówić za mnie. Pana ogarnęła jakaś średniowieczna religijna mania. Ale potem był Renesans, pragnę przypomnieć. I Oświecenie. Panie Rankin, gdzie pan wtedy był!

Joss i der Heer omal nie wypadli z foteli.

- Proszę... - jęknął błagalnie, patrząc Ellie w oczy. - Jeśli nie będziemy trzymali się programu, nie widzę możliwości wypełnienia zadania, z którym Prezydent nas tu przysłała.

- No trudno. Chcieliście otwartej wymiany poglądów.

- Już prawie południe - zauważył Joss. - Może zrobilibyśmy przerwę na lunch?

Gdy sala biblioteczna została już za oszklonymi drzwiami, Ellie oparła się o poręcz otaczającą wahadło Foucault'a i urywanym szeptem zwierzyła się der Heerowi:

- Och, jaką miałam ochotę pukać w nos tego indora, tego świętoszka, tego nadętego barana...

- Po co, Ellie? Nie dość mamy problemów z ignorancją i ciemnotą?

- Tak. Bo siedzimy cicho. A on tymczasem oszukuje miliony.

- Kochanie, on dokładnie to samo myśli o tobie.

Kiedy wrócili z lunchu, zauważyła, że Rankin jak gdyby spotulniał, za to Joss, którego kolej teraz przypadała, wydawał się radosny ponad miarę zwykłej kurtuazji.

- Doktor Arroway - zagał - rozumiem, że niecierpliwi się pani, by nam przedstawić swe dokonania, bo przecież nie przybyła tu pani dla teologicznej dyskusji. Ale proszę jeszcze chwilę wytrzymać. Ma pani ostry język. Z trudem mogę przypomnieć sobie ostatni raz, kiedy Brata Rankina ktoś w sprawach wiary tak wyprowadził z równowagi. To musiało być wiele lat temu.

Zerknął na kolegę, który z pozorną niedbałością bazgrał po rozłożonym na kolanach żółtym bloku notatnikowym. Koszulę miał pod szyją rozpiętą i poluzowany krawat.

- Z tego, co pani powiedziała, uderzyło mnie parę rzeczy. Nazwała pani siebie chrześcijanką. Czy można spytać, co dokładnie miała pani na myśli?

- Wie pan, kontrakt jaki podpisywałam, gdy mnie mianowano dyrektorem Projektu Argus - rzuciła swobodnie - nie zakładał obowiązku udzielania takich odpowiedzi. Jestem chrześcijanką w tym sensie, w jakim widzę w Chrystusie podziwu godną historyczną postać. Uważam Kazanie na Górze za jedno z najwspanialszych oświadczeń o charakterze etycznym. I jedną z największych mów w historii. „Kochaj

swojego wroga” jest według mnie, kto wie, czy nie jedynym od dawna istniejącym rozwiązaniem problemu wojny nuklearnej. Żałuję, że Chrystusa nie ma dziś wśród nas. Byłby z tego ogromny pożytek dla każdego mieszkańca Ziemi... Uważam mimo to, że Jezus był tylko człowiekiem. Wielkim człowiekiem, wspaniałym człowiekiem, człowiekiem, który odważył się zgłębić niepopularne problemy. Nie uważam go jednak za Boga, ani za Syna Boga, ani za Cioteczne Wnuka.

- Pani nie chce uwierzyć w Boga - powiedział Joss spokojnie i po prostu. - I zdaje się pani, że można być chrześcijanką i nie wierzyć w Boga. Proszę mi pozwolić na otwarte pytanie: wierzy pani w Boga?

- Pańskie pytanie jest w szczególności sposób zbudowane. Jeśli odpowiem „nie”, czy to będzie znaczyć, iż moim przekonaniem jest, że Boga nie ma? Czy: nie jestem przekonana, że on jest? To są dwa odrębne stwierdzenia.

- Przyjrzyjmy się, czy rzeczywiście odrębne. Doktor Arroway, wierzy pani z pewnością w brzytwę Ockhama, czy tak? Jeśli są dwa równie dobre tłumaczenia jednej rzeczy, wybiera się prostsze. Cała historia nauki jest na tym, jeśli dobrze zrozumiałem pani słowa, oparta. A więc jeśli ma pani wątpliwości, czy Bóg jest, i ma ich wystarczająco wiele, by odstręczyły panią od religii, musi pani zamiast tego wyobrazić sobie świat, w którym Boga rzeczywiście nie ma. Świat, który nastął bez udziału Boga, świat, który postępuje do przodu dzień po dniu bez Boga, świat, w którym ludzie umierają bez Boga. I w którym nie ma kary. Ani nagrody. Wszyscy święci, prorocy, wszyscy wierni, którzy kiedykolwiek żyli, byli, zgodnie z tym rozumowaniem, oczywiście, głupcami. Oszukiwali sami siebie, tak musiałaby pani orzec. Na taki świat ludzie przychodziliby bez specjalnego powodu, mam na myśli celowość. Wszystko byłoby po prostu bardzo skomplikowanym łączeniem się i rozłączaniem atomów, racja? Również tych atomów, które czasem przypadkowo złożyłyby się w ludzkie życie. Więc dla

mnie, proszę pani, to byłby straszny, nieludzki świat. Nie chciałbym w nim żyć. Ale pani?... Skoro potrafiła go sobie pani wyobrazić, to już nie czas robić uniki. Zajmować wygodne pozycje środkowe. To już jest teraz pani świat, więc o ile łatwiej przyjdzie w nim żyć, jeśli teraz, wyraźnie powie sobie pani „Boga nie ma”. No jak? Czyżby nie była pani wierna brzytwie Ockhama? Myślę, że pani się waha. Ale jak skończony, racjonalny do szpiku kości naukowiec może być agnostykiem? Który do tego już stworzył w swej wyobraźni świat bez Boga? Przecież pani po prostu nie wolno być niczym innym niż zdeklarowanym ateistą.

- Sądziłam, że zechce pan obstawać przy cokolwiek prostszej hipotezie Boga - westchnęła Ellie - ale z pewnością lepiej zostać na tym poziomie. Zgodziłabym się z panem, Wasza Wielbność, gdyby to była tylko dyskusja naukowa. Głównym zadaniem nauki jest przecież rozważać i prześwieślać hipotezy. Gdyby prawami natury dawało się wyjaśnić wszelkie dostępne nam fakty bez mieszania w nie sił nadnaturalnych, albo przynajmniej wyjaśnić je tak dobrze, jak to czyni Boska hipoteza, to w tej chwili nazwałabym siebie ateistką - zakładając jednak, że jeśli jutro pojawi się choćby cień dowodu na istnienie Boga, wycofałabym się z ateizmu. Naukowcy są w stanie ujawnić każdą rysę w tym, co nazywamy prawami natury, są w tym bezwzględni, muszą być tacy. Ale ponieważ to nie jest wyłącznie dyskusja naukowa, ateistką siebie nie nazwę. To, o czym mówimy, ma również aspekt religijny i polityczny. Dedukcyjny charakter nauki nie rozciąga się na te tereny. Przecież tak naprawdę nie uważa pan istnienia Boga za hipotezę. Pan wierzy, że posiadał prawdę, a moim celem jest tylko wytknąć panu, że być może istnieje jakiś szczegół lub dwa, którego pan nie wziął pod uwagę. To wszystko. Ale skoro pan pyta, z radością odpowiadam: nie jestem pewna, czy prawda jest po mej stronie.

- Zawsze uważałem, że agnostyk to ateista, któremu brak

odwagi przekonań.

- Równie dobrze można by powiedzieć, że agnostyk jest głęboko religijną osobą, która nie traci podstawowego przeświadczenia o ułomności ludzkich przekonań. Gdy mówię, że jestem agnostyczką, mam tylko na uwadze brak dowodu. Nie ma przekonującego mnie dowodu na istnienie Boga, przynajmniej Boga, o którym mówicie, choć brak też dowodu na to, że Go nie ma. I ponieważ więcej niż połowa ludzi na tej Ziemi nie jest ani chrześcijanami, ani Żydami czy muzułmanami, dodam, że brak jest też przekonującego argumentu na istnienie akurat waszego Boga. W przeciwnym razie tamta połowa już by się dawno nawróciła. Powtarzam: gdyby pański Bóg chciał nas przekonać, lepiej mógł zabrać się do dzieła. Na przykład, Wiadomość, spójrzmy, jaka jest jasna i autentyczna. Odbiera ją już teraz cały świat. Radioteleskopy mruczą ją we wszystkich krajach o różnej historii, języku, polityce, religii. Każdy otrzymuje ten sam przekaz z tego samego miejsca na niebie, na tej samej częstotliwości, z tą samą modulacją polaryzacji. Muzułmanie, Hindusi, chrześcijanie, ateści, wszyscy odbierają tę samą Wiadomość. Każdy sceptyk może sobie wziąć teleskop, nawet nieduży, i otrzymać identyczne dane.

- Więc jednak pani próbuje nas przekonywać, że to jest wiadomość od Boga - wtrącił Rankin.

- Absolutnie nie. Po prostu cywilizacji na Vedze, za pomocą siły dużo mniejszej, niż przypisujecie swemu Bogu, udało się wyraźnie coś nam powiedzieć. Gdyby wasz Bóg zechciał mówić do nas trochę inaczej, niż za pomocą nieprawdopodobnych przekazów słownych albo starożytnych zapisów sprzed tysięcy lat, zrobiłby to tak, że nie byłoby teraz powodu do zastanawiania się, czy istnieje, czy nie.

Urwała, ale Joss i Rankin milczeli. Wykorzystała to, by wrócić do sprawy sygnału.

- Dlaczego nie zaczekamy po prostu z pospiesznymi

sądami do czasu, aż nam się uda odszyfrować Wiadomość? Może chcieliby panowie zobaczyć niektóre dane?

Tym razem zgodzili się obaj, nawet dość ochoczo. Niestety, wszystko, co im mogła pokazać, to mało budujące ciągi zer i jedynek. Dokładnie objaśniła przypuszczalną numerację stron i wspomniała o nadziei na znalezienie elementarza. Nawet nie musieli wcześniej z der Heerem ustalać, że nic nie powiedzą o radzieckiej tezie, iż jest to instruktaż budowy jakiejś maszyny. Przecież to nie była nawet hipoteza, do tego przez Rosjan jeszcze publicznie nie dyskutowana. Jako zadośćuczynienie, przedstawiła im garść informacji o Vedze: masę, temperaturę powierzchni, kolor, odległość od Ziemi, czas życia i pierścień wokół niej, odkryty w 1985 roku przez satelitę pracującego w podczerwieni.

- Czy poza tym, że jest jedną z najjaśniejszych gwiazd na niebie, coś szczególnego można by o niej powiedzieć? - chciał się dowiedzieć Joss. - Coś, co wskazywałoby na jakiś jej związek z Ziemią?

- Nie mogę wymienić niczego, w sensie właściwości astronomicznych, co by taki związek potwierdzało. Choć, prawdę mówiąc, istnieje pewien drobiazg: dwanaście tysięcy lat temu Vega spełniała rolę Gwiazdy Polarnej. I znów będzie Gwiazdą Polarną za czternaście tysięcy lat.

- Myślałem, że Gwiazda Polarna to Gwiazda Polarna - mruknął Rankin do arkusza papieru, po którym wciąż gryzmolił.

- Jest nią przez kilka tysięcy lat. Ale nie wiecznie. Ziemia zachowuje się jak bąk, bo jej oś ulega precesji - uniosła długopis jako ziemską oś. - To się nazywa precesja ekwinokcjów.

- Odkryta przez Hipparchusa z Rodos - dokończył Joss - w drugim wieku przed Chrystusem. Zdumiała ją precyzyjna informacja rzucona, o, tak sobie.

- Zgadza się - powiedziała. - Wektor przeprowadzony od

środku Ziemi do Bieguna Północnego celuje w gwiazdę, którą nazywamy Polarną. Znajduje się ona w konstelacji Małej Niedźwiedzicy. Czyż nie ten gwiazdozbiór miał pan na myśli dziś przed lunchem, panie Rankin? A więc, że oś ulega powolnej precesji, znaczy, że wskazuje ona coraz to nowe miejsca na niebie, już nie Gwiazdę Polarną, i że w ciągu dwudziestu sześciu tysięcy lat wykreśli na niebie pełne koło. Obecnie Biegun Północny wskazuje punkt na niebie w niedalekim sąsiedztwie od Gwiazdy Polarnej, która mimo to nadal jest całkiem przydatna w nawigacji. A dwanaście tysięcy lat temu wycelowany był w Vegę. Poza tym nie ma innych fizycznych powiązań. Sposób, w jaki gwiazdy dostają się do Drogi Mlecznej już nie ma nic wspólnego z osią obrotu Ziemi, której odchylenie wynosi 23,5 stopnia...

- Zaraz, dwanaście tysięcy lat temu to jest dziesięć tysięcy lat przed Chrystusem. Akurat zaczynała się nasza cywilizacja, czy tak? - spytał Joss.

- Tak, pod warunkiem, że nie wierzy pan, iż Ziemia powstała w 4004 roku przed Chrystusem.

- Nie, my w to nie wierzymy, zgadza się, bracie Rankin? My po prostu twierdzimy, że wieku Ziemi nie można określić z taką precyzją, z jaką wy to robicie. W sprawie wieku Ziemi jesteśmy czymś, co mogłaby pani nazwać agnostykami.

Miał uroczy uśmiech.

- Czy zatem dziesięć tysięcy lat temu, jeśli żeglarze pływali po Morzu Śródziemnym albo, powiedzmy, po Zatoce Perskiej, prowadziła ich Vega?

- No nie, wtedy była Era Lodowcowa. Na nawigację trochę za wcześnie. Ale już byli myśliwi, którzy przesmykiem Beringa chadzali do Ameryki Północnej. Musieli to uważać za niesłychany dar opatrnościowy, że taka jasna gwiazda leży idealnie na północy. Wyobrażam sobie, ilu ludzi zawdzięczało swe życie temu przypadkowi.

- No, no coraz ciekawsze rzeczy pani mówi.

- Jeśli pan ma na myśli słowo „opatrznościowy”, to użyłam go jako metafory.

- Ale któż by przypuszczał inaczej, moja miła.

Joss z wolna dawał do zrozumienia, że przeciągnięte aż do popołudnia spotkanie zbliża się ku końcowi. Nie zdawał się niezadowolony. Za to Rankin miał najwyraźniej jakieś jeszcze problemy do rozwikłania.

- Zdumiewa mnie, doprawdy, iż nie uważa pani za Boską Opatrzność tego, że Vegę uczynił Gwiazdą Polarną. Wiara moja jest dość silna, by obejść się bez dowodów, jednak ilekroć trafi się taki fakt, moje zawierzenie Bogu się umacnia.

- Widzę, że nadzwyczaj uważnie słuchał pan tego, co mówiłam dziś rano. Nie przyjmuję do wiadomości, że pan i ja mielibyśmy być czymś w rodzaju zawodników w konkursie wiary, w którym panu już przypisano rolę zwycięzcy. O ile wiem, pan nie testował dotąd swej wiary. Może więc teraz jest pan gotów dla swych przekonań zaryzykować życiem? Ja, tak, dla moich. Proszę, niech pan spojrzy tu, przez te oszklone drzwi. Widzi pan wielkie wahadło Foucault’a z odważnikiem, który ma ze dwa cetnary. Moje przekonania mówią mi, że amplituda wahadła odchylając się w obie strony od pionu nie ulegnie zmianie. To znaczy, nie zwiększy się, chyba że zmaleje. Więc jestem gotowa pójść tam i stanąć z nosem przy wahadle, jeśli moja wiara jest błędna, dostanę w twarz dwucetnarowym odważnikiem. No dalej. Życzy pan sobie sprawdzić siłę mojej wiary?

- Nie widzę, doprawdy, konieczności. Wierzę pani - uciał Joss, choć na twarzy Rankina pojawiło się ożywienie; pewnie już wyobrażał sobie, jak bym wyglądała.

- To może chce pan sprawdzić siłę swojej wiary? - nie ustępowała Ellie. - Stanąć o stopę od wahadła i modlić się, żeby Bóg je zatrzymał? Co będzie, jeśli wszystko pan sobie źle wymyślił i to, czego pan naucza, wcale nie jest wyrazem woli Bożej? Więc może woli Szatana? Może wszystko, w co pan

wierzy, to czysto ludzki wynalazek? Skąd pan bierze tę swoją absolutną pewność?

- Wiara, natchnienie, objawienie, cześć - odpowiedział Rankin. - Niech pani nie sądzi innych według ograniczeń swej duszy. To, że pani, ot, tak sobie odrzuciła Boga, nie wstrzymuje innych przed oddawaniem Mu czci.

- My wszyscy, szanowny panie, mamy potrzebę cudu. To głęboko ludzkie uczucie. I nauka i religia są temu poddane. Mówię, co mówię tylko po to, żeby pan nie wymyślał, nie przesadzał. Jest dość cudu i czci w realnie istniejącym świecie. Natura dużo lepsze wymyśla cuda niż my sami.

- Chyba wszyscy jesteśmy podróżnymi na drodze do prawdy - sentencjonalnie powiedział Joss. I ta pełna otuchy uwaga, którą chyżo podchwycił der Heer pozwoliła im, wśród wymuszonych uprzejmości, rozpocząć pożegnanie. Zastanawiała się, czy w ogóle coś osiągnęli. Valerian byłby z pewnością użyteczniejszy i mniej prowokujący. Żałowała teraz, że nie trzymała siebie na krótszej smyczy.

- To był doprawdy niezwykle interesujący dzień, doktor Arroway. Dziękuję pani.

Joss znów się jak gdyby trochę oddalił. Uprzejmy, lecz zgaszony, mimo to ciepło uściskał jej dłoń. Po drodze do czekającego na nich rządowego auta, minęli wzniesiony z niesłychanym rozmachem trójwymiarowy obiekt pod tytułem „Kłamliwa teoria rozszerzającego się wszechświata”.

Napis z boku głosił: „Nasz Bóg żyje i dobrze się miewa. Szkoda, że wasz nie”.

- Przepraszam - szepnęła do der Heera - wszystko ci poplątałam.

- Och nie, Ellie. Byłaś o’kay.

- Ten Palmer Joss to całkiem przystojny facet. Raczej go nie nawróciłam. Ale mówię ci, niewiele brakowało, a byłby nawrócił mnie.

Oczywiście, żartowała.

ROZDZIAŁ 11

Światowe Konsorcjum Wiadomości

Już prawie cały świat został rozparcelowany, a i to co zostało jest dalej dzielone, podbijane i kolonizowane. A pomyśleć tylko o gwiazdach, które widzimy co wieczór nad głowami, o tych olbrzymich światach, których nie osiągniemy nigdy. Gdybym mógł, zaanektowałbym inne planety: często o tym myślę i smucę się, ilekroć widzę je takie jasne, a takie dalekie.

CECIL RHODES

Ostatnia wola i testament (1902)

Od swego stolika przy oknie widziała ulicę w strugach deszczu. Przemoknięty przechodzień z postawionym na sztorc kołnierzem przemknął za szybą. Właściciel kręcąc korbą rozwijał pasiastą markizę nad beczkami ostryg, posegregowanych pod względem gatunku i wielkości i głoszących na całą ulicę, jaka jest specjalność zakładu. We wnętrzu restauracji było ciepło i miło - jak przystało na słynne miejsce spotkań świata teatralnego Chez Dieux. A że zapowiadano słoneczną pogodę, nie wzięła ze sobą prochowca ani parasola.

W zgoła nieskrępowany sposób Vaygay oznajmił jej o swym nowym nabytku.

- Moja przyjaciółka Meera - powiedział - jest, hm, kontorsjonistką... to właściwe słowo? Swoją ciężką pracą dla dobra twego kraju, wypełnia część artystyczną różnych spotkań i konferencji. No więc ona twierdzi, że gdy zdejmuje przyodziewek przed robotnikami, na przykład, na zjazdach związków zawodowych, to oni wariują. Wykrzykują

nieprzyzwoite propozycje i wdrapują się na estradę. Ale gdy robi dokładnie to samo przed lekarzami czy adwokatami, siedzą jak zamurowani. Najwyżej któryś przejedzie językiem po wardze. A więc zadaje pytanie: czy prawda jest, że adwokaci cieszą się lepszym zdrowiem od hutników?

Nie było tajemnicą, że Vaygay lubi zawierać podejrzane znajomości z paniami. Jego stosunek do kobiet był jasno określony, niekiedy ekstrawagancki - wyjąwszy osobę Ellie, co tyleż radowało ją, co budziło niepokój. Zawsze jednak dawał kobiecie szansę, by mogła powiedzieć „nie”. Wiele mówiło „tak”. Ale takiej nowiny, jak Meera, pominąwszy wszystko, się nie spodziewała...

Cały dzisiejszy ranek spędzili na ostatnich porównaniach notatek i sprawdzaniu danych. Ciągły nasłuch Wiadomości wszedł w nowy, poważny okres: z Vegi nadchodziły teraz diagramy w formie gazetowej telefotografii. Każdy obraz wyglądał jak poliniowany ekran telewizyjny, zaś ilość czarnych i białych punktów, z których się składał, była pochodną liczb niepodzielnych. I znów liczby niepodzielne stawały się elementem transmisji! - zgromadzili już spory zestaw takich następujących po sobie diagramów, choć ich kolejność nie pasowała do numeracji tekstu. Wyglądały jak ilustracje uzupełniające, których pakiet dołączono na końcu książki. A gdy skończyła się długa transmisja diagramów, z powrotem pojawił się niezrozumiały tekst. Przynajmniej kilka tych wykresów mogło posłużyć Vaygayowi i Archangielskiemu za dowód, że mieli rację - że Wiadomość przynajmniej częściowo jest instrukcją, podręcznikiem jak zbudować jakąś tajemniczą maszynę. Cel jej pozostawał nieznanym. Podczas jutrzejszej sesji plenarnej Światowego Konsorcjum Wiadomości w Pałacu Elizejskim, miała z Vaygayem po raz pierwszy przedstawić te nowe informacje przedstawicielom innych krajów - choć plotka o tajemniczej maszynie już zdążyła się rozejść pocztą pantoflową.

Podczas lunchu krótko opisała Vaygayowi spotkanie z Jossem i Rankinem. Słuchał nawet z uwagą, lecz nie zadał ani jednego pytania. Jak gdyby spowiadała mu jakieś nieprzyzwoite osobiste sprawy, które z kolei w nim wywoływały własny ciąg skojarzeń.

- Masz przyjaciółkę o imieniu Meera, striptizerkę? O międzynarodowej praktyce? - zmieniła w końcu temat.

- Odkąd Wolfgang Pauli wymyślił Zasadę Wykluczenia, patrząc na rewię w Folies-Bergere, moja miła, to jako fizyk uważam za swój obowiązek odwiedzać Paryż tak często, jak to możliwe. W ten sposób składam hołd Pauliemu choć, niestety, z pewnych powodów nie jestem w stanie przekonać biurokratów w moim kraju, aby zechcieli czasem poprzeć mój wyjazd wyłącznie w tym zbożnym celu. Mój stan zdrowia poza tym wymaga, bym wiele spacerował, oto jak spotkałem Meerę. Z kimś takim jak ona, staję się pilnym studentem natury, czekającym na przyływ natchnienia.

W jego swobodnym tonie pojawiły się nagle nutki zaciekawienia.

- Wiesz, Meera mówi, że amerykańscy profesjonaliści są seksualnie stłumieni i dręczą ich niezdecydowanie oraz kompleks winy.

- Doprawdy? A jakie jest zdanie Meery o profesjonalistach radzieckich?

- Ach, z tej kategorii poznała tylko moją skromną osobę. Więc, ma się rozumieć, jest jak najlepszego zdania. Mam wrażenie, że powinienem jutro trochę побыć z Meerą.

- Przecież na spotkaniu Konsorcjum będą wszyscy twoi przyjaciele - rzuciła lekkim tonem.

- A tak, doprawdy. Szczęśliwy jestem, że i ty tam będziesz - smętnie odpowiedział.

- Co cię martwi, Vaygay?

Chwilę czekał z odpowiedzią. Gdy zaczął, w jego głosie zabrzmiało nietypowe dla niego wahanie.

- Nic... może... jakiś dziwny niepokój. Co będzie, jeśli Wiadomość to rzeczywiście rysunkowy instruktaż budowy? Czy zbudujemy tę maszynę? A jeśli tak, to kto? Wszyscy razem? Konsorcjum? ONZ? Parę krajów na wyścigi? A jeśli koszty budowy będą zbyt wielkie? Kto zapłacił i po co miałyby płacić? Co będzie, jeśli maszyna nie ruszy? Czy nie zrujnuje ekonomicznie niektórych krajów? A może zrujnuje je, ale w jakiś inny sposób?

Nie przerywając pytań, Łunaczarski rozlał resztę wina do szklanek.

- Nawet jeśli Wiadomość nawróci od początku i wreszcie ją rozszyfrujemy, czy to będzie wiarygodne tłumaczenie? Wiesz co powiedział Cervantes? Że czytać tłumaczenie to tak, jak oglądać tkaninę po lewej stronie. Może w ogóle niemożliwe jest dokładne przetłumaczenie Wiadomości. Wtedy maszyny nie zbudujemy jak trzeba. Poza tym skąd pewność, że mamy wszystkie dane? Może na innej częstotliwości znajdują się jakieś zasadnicze informacje, do których nie dotarliśmy? Wiesz Ellie, zdaje mi się, że ludzie powinni być bardzo ostrożni jeśli idzie o ten przyrząd. A przecież na pewno znajdą się tacy, którzy będą nalegać na natychmiastowe rozpoczęcie budowy. To znaczy, zaraz po tym, jak otrzymamy alfabet i rozszyfrujemy kod. Powiedz mi, z czym zamierzają wystąpić Amerykanie?

- Nie wiem - powiedziała z ociąganiem. Pamiętała przecież, że zaraz po tym, jak nadeszły pierwsze diagramy, der Heer zaczął ją indagować, czy budowa maszyny nie przekroczy możliwości ziemskiej ekonomii i technologii. Nie bardzo mogła zapewnić go ani o jednym, ani drugim. Przypomniała sobie, jaki Ken był zalatany przez ostatnie tygodnie - prawie kompletnie roztrzęsiony. Oczywiście, zważywszy jego odpowiedzialność w tej materii...

- Czy doktor der Heer i pan Kitz zatrzymali się w tym samym co ty hotelu?

- Vaygay, ty jesteś zazdrosny, powiedz? Wygląda na to, że odgadłeś moje uczucie do Kena szybciej niż ja sama. Wtedy, jeszcze w Argusie. Przez ostatnie dwa miesiące Ken i ja właściwie byliśmy parą. Czy masz coś przeciwko temu?

- Ależ skąd, Ellie. Nie jestem ani twoim ojcem, ani zazdrosnym kochankiem. Życzę ci wiele szczęścia. Ale co ja poradzę, że wciąż wiesz jakiś nieprzyjemny obrót spraw.

I nie chciał dodać nic więcej.

Wrócili więc do swych wstępnych interpretacji diagramów, którymi wkrótce pokryli cały stół. Dla równowagi pogadali też trochę o polityce. Po rytuale sprzeczeki, kto będzie płacić, zauważyła, że tymczasem z ulewy za oknami zrobiła się niewielka mżawka.

Wiadomość o sygnale z Vegi ogarnęła bez reszty całą Ziemię. Ludziom, którzy pojęcia nie mieli, czym jest radioteleskop albo liczby niepodzielne, opowiadano o dziwnym głosie z gwiazd, o zagadkowych żywych istotach - niezupełnie ludziach, ale też niezupełnie bogach - których odkryto w niebie. I które nie pochodzą z Ziemi. I że ich gwiazdny dom można dokładnie obejrzyć, nawet podczas pełni Księżyca. Coraz wyraźniej dało się odczuć - wśród nieustającej wrzawy, jaką czyniły sekty - wzbierające wśród ludzi oczekiwanie cudu, jakiś nabożny lęk. Działo się coś, co odmieniało oblicze świata, coś nieomal cudownego. Powietrze drgało od nadziei, od poczucia, że coś się zaczyna od nowa.

„Ludzkość zdaje egzamin do szkoły średniej” - napisał we wstępiaku jeden z amerykańskich dziennikarzy.

Okazało się, że nie jesteśmy sami we wszechświecie. Że są inne inteligentne istoty, z którymi można nawiązać kontakt. Istoty, które prawdopodobnie dłużej od nas istnieją i są mądrzejsze. Przysyłały nam całą bibliotekę wyselekcjonowanych informacji. Wszyscy wyczekiwali wręcz na jakieś świeckie, niereligijne Objawienie, które nastąpi

niebawem - i wszystko to wśród specjalistów z różnych dziedzin stawało się coraz większym powodem do zmartwienia. Matematycy martwili się, że uszły ich uwagi jakieś elementarne twierdzenia. Przywódcy religijni - że wartości moralne z układu Vega, choć Ziemianom obce, mogą znaleźć chętnych wyznawców szczególnie wśród niewinnej młodzieży. Astronomowie martwili się, że błędne były ich fundamentalne opisy najbliższych gwiazd. Politycy i przywódcy państwowi - że wyższe cywilizacje rządzą się wedle innych systemów politycznych, niewiele mających wspólnego z tymi, które „się nosi” na Ziemi. Cokolwiek Veganie wiedzą, z pewnością nie zostało wypróbowane przez ziemskie instytucje, ludzką historię i biologię. Co będzie, jeśli wiele z tego, co uważamy za prawdę, okaże się nieporozumieniem, wyjątkiem lub logicznym błędem? Eksperti całego świata czuli się zmuszeni do niełatwego zadania rewizji fundamentalnych zasad w każdej dziedzinie wiedzy.

Niezależnie od małego zamętu w kręgach profesjonalnych, przez świat przetaczał się również zamęt wielki, spowodowany świadomością niesłychanej przygody jaką przeżywa ludzkość, zwrotnego momentu w jej historii, wkraczania w nową erę. Emocje te wzmagają zbliżające się Trzecie Milenium. Owszem, wciąż trwały konflikty polityczne, niektóre - jak kryzys południowoafrykański - poważne, ale coraz wyraźniej i w coraz to nowych krajach świata odrzucano szowinistyczną retorykę i nędzny, zadowolony z siebie nacjonalizm. W ludziach - w tych miliardach drobnych istnień rozrzuconych po całej planecie - zwyciężało przeświadczenie, że solidarnie muszą stawić czoła jakiejś niesłychanej okazji... choć niewykluczone, że zamiast tego - jakiemuś gigantycznemu niebezpieczeństwu. Wielu coraz wyraźniej widziało groteskowość głupich, małych sporów, w których tonęły państwa wielonarodowe, podczas gdy przed ludzkością twarzą w twarz stawała cywilizacja nie-ludzka, o przekraczających

ziemski rozum umiejętnościach. Nutka nadziei pobrzmiewała w tym, co coraz głośniejsze mówiono. Niektórzy, bardziej sceptyczni, uważali ją za coś innego: za zagubienie. Czasem za teńczość.

Bo przez dziesięciolecia, jakie upłynęły od 1945 roku, jedno co rosło nieprzerwanie, to zapasy strategicznej broni jądrowej. Zmieniali się przywódcy, typy uzbrojenia, strategie, ale sztuk broni jądrowej ciągle przybywało. Przyszedł wreszcie moment, gdy było tego więcej niż dwadzieścia pięć tysięcy jednostek - po dziesięć na każde większe miasto. Technologia zmierzała w kierunku coraz większego skracania czasu lotu, prowadzenia rakiety przez cel i jej odporności na strącenie. Z tak wielką głupotą - do tego latami popieraną przez tylu przywódców i przez tak wiele krajów - poradzić mogłoby sobie tylko równie wielkie zagrożenie.

Na pierwszej sesji plenarnej Światowego Konsorcjum Wiadomości w Paryżu reprezentowany był każdy kraj, który zbierał choć garstkę Wiadomości. Przesłano zarówno delegatów naukowych, jak i politycznych - zadziwiająco wielu pokazało się też wojskowych. W kilku przypadkach na czele delegacji stanęli ministrowie spraw zagranicznych, nawet głowy państw. W delegacji brytyjskiej znaleźć można było Viscounta Boxfortha, Lorda Wielkiej Pieczęci - godność, którą prywatnie Ellie uznała za pocieszną. Na czele delegacji sowieckiej stał B. J. Abuchimow - prezes Sowieckiej Akademii Nauk, któremu towarzyszył Gotsridze - Minister Przemysłu Ciężkiego, oraz Archangielski - również odgrywający jakąś znaczną rolę. Prezydent zdecydowała, by delegacji amerykańskiej przewodniczył der Heer, któremu towarzyszył Podsekretarz Stanu Elmo Honicutt i, wśród paru innych, Michael Kitz z Departamentu Obrony.

Ogromna mapa w rzucie prostokątnym ukazywała rozmieszczenie radioteleskopów na powierzchni Ziemi, nie

wyłaczając sowieckich wojskowych statków oceanicznych. Ellie rozejrzała się po świeżo odrestaurowanej sali konferencyjnej, do której przylegały biura i apartamenty prezydenta Francji. Mijał dopiero drugi rok jego siedmioletniej kadencji, więc robił wszystko, by zjazd wypadł jak najokazalej. Ruchliwą masę twarzy, flag i strojów narodowych odbijały blaty długich mahoniowych stołów i pokryte lustrami ściany. Ellie tu i tam rozpoznała parę osobistości politycznych i wojskowych choć, prawdę mówiąc, w każdej delegacji znalazłaby przynajmniej po jednym znajomym astronomie albo inżynierze - jak Annunziatę i Iana Brodericka z Australii, Fedirka z Czechosłowacji, Braude'a, Crebillona i Boileau z Francji, Kumara Chandrapurana i Devi Sukhavati z Indii, Hironagę i Matsui z Japonii... W doborze delegatów, przyznać musiała, położono nacisk raczej na technikę niż na astronomię - zwłaszcza w wypadku Japonii. Przypuszczalnie w ostatniej chwili uzupełniono skład niejednej delegacji na wieść, że może być mowa o jakiejś wielkiej maszynie.

Rozpoznała też twarz Malatesty z Włoch, Bedenbaugh'a - fizyka, który ugrzązł w świecie polityki, i Clegga, a także łatwo obrażającego się sir Arthura Chaotsa, który gawędził z kimś, mając przed sobą flagę brytyjską, jaką na restauracyjnych stołach widuje się po europejskich kurortach. Dojrzała też Jaimie Oritza z Hiszpanii, Prebulę ze Szwajcarii (co z lekka ją zdziwiło, bo mogłaby przysiąc, że Szwajcaria nie ma nawet jednego radioteleskopu), Bao, który świetnie się spisał, szybko montując ciąg chińskiego nasłuchu teleskopowego i Wintergardena ze Szwecji. Zdumiała się rozmiarami delegacji saudyjskiej, pakistańskiej i irackiej, no i sowieckiej naturalnie, wśród której Nadia Rożdżestwienska i Gienrik Archangielski dzielili akurat chwilę prawdziwego rozbawienia.

Przez moment szukała wzrokiem Łunaczarskiego i w końcu ujrzała go pośrodku delegacji chińskiej. Ściskali sobie dłonie z Yu Renqiong, dyrektorem Radioobserwatorium w

Pekinie. Przypomniała sobie, że byli dobrymi kolegami jeszcze za czasów sowiecko-chińskiej współpracy - którą wyparła potem cicha wojna, więc skończyły się kontakty między nimi.

- Co to za starożytna figura z Chin, której Vaygay tak ściska rękę?

Takie były rezultaty, gdy Kitz próbował być dowcipny. Już od paru dni trenował tego rodzaju podchody, co Ellie uznała za liche dla siebie rokowanie.

- To Yu. Dyrektor Obserwatorium w Pekinie.

- Zawsze myślałem, że oni się nienawidzą jak wściekłe koty.

- Michael - powiedziała - świat jest zarazem i lepszy i gorszy, niż ci się wydaje.

- To zatrzymaj sobie „lepszy”. Ale ten „gorszy” to już zostaw mnie.

Po powitaniu wygłoszonym przez prezydenta Francji (który następnie, ku uprzejmemu zdziwieniu zebranych, na stojąco wysłuchał oracji otwierających zjazd), a także po dyskusji proceduralnej przeprowadzonej przez współprzewodniczących konferencji - der Heera i Abuchimowa, Ellie z Vaygayem omówiła bieżący stan badań. Przedstawili coś, co można by nazwać standardową prezentacją sposobu pracy radioteleskopów, klasyfikacji pobliskich gwiazd w kosmosie i historii otrzymanego palimpsestu. Swoje podwójne wystąpienie zakończyli opisem ostatnio otrzymanych diagramów - które każdy z delegatów mógł obejrzeć na ustawionym przed sobą monitorze. Ellie poświęciła sporo uwagi objaśnieniu, w jaki sposób modulację polaryzacji przełożono na język zer i jedynek, w jaki sposób zera i jedyneki wspólnie potrafiły dać obrazy, i wreszcie - jak zupełnie nikt nie ma do tej chwili pojęcia, co te obrazy przedstawiają.

Punkciki rozbiegły się po komputerowych ekranach. W częściowo zaciemnionej sali Ellie ujrzała twarze oblane białym,

bursztynowym lub zielonkawym blaskiem ekranów, na których zatańczyły zawiłe diagramy jakiejś rozgałęzionej sieci; potem pokazały się brylaste, prawie nieprzyzwoicie biologiczne kształty; i wreszcie - coś w rodzaju regularnego dwunastościanu. Długa sekwencja stron zagałęcia się w wyraźny, szczegółowy i trójwymiarowy kształt, który powoli zaczął się obracać. Każda z jego części zaopatrzona była w niezrozumiały napis.

Vaygay jeszcze mocniej od Ellie podkreślił różne niejasności. Jednak, zaznaczył, nie ma już teraz żadnych wątpliwości, że Wiadomość jest podręcznikiem budowy jakiegoś urzędnika. Nie przypomniał, że na pomysł ten pierwsi wpadli on i Archangielski, co Ellie pospieszyła uzupełnić.

Mówiła też, jak przez ostatnie miesiące z rosnącą fascynacją odkrywali Wiadomość szczegół po szczególe, by wreszcie dziś przedstawić ją środowiskom naukowym i opinii światowej. I jak nadal łączyła się nadzieją, że ich teza, iż wewnątrz tekstu znajdzie się wreszcie jakiś elementarz, nie okaże się błędna. Zakończyła wykład jednocześnie z Vaygayem.

Tego, co nastąpiło potem, nie spodziewali się po wyglądającym tak szacownie zgromadzeniu. Grzmot oklasków wybuchł, ledwo ucichły ich ostatnie słowa. Sowietów i cała Europa Wschodnia klaskali unisono, z częstotliwością około trzech klaśnień na jedno uderzenie serca. Amerykanie klaskali, podobnie jak parę innych grup, na własną rękę, aż ich klaśnięcia zwały się w biały dźwięk wibrujący nad tłumem. Ogarnięta nie znanym sobie wzruszeniem Ellie nie mogła się jednak oprzeć refleksji nad różnicami w charakterach narodowych: Amerykanie demonstrowali indywidualizm, podczas gdy Rosjanie woleli przedsięwzięcie zbiorowe. Spostrzegła też, że amerykańscy delegaci starali się nie dotykać swych kolegów, podczas gdy Rosjanie wykazywali skłonność do wieszania się na sobie, kiedy tylko to było możliwe. A

przecież radował ją aplauz i jednych i drugich, choć amerykański w sumie dominował. Przez sekundę myśl o ojczyźnie przemknęła jej przez głowę. O ojcu też.

Po lunchu nastąpiła seria kolejnych prezentacji. Przedstawiano dane i interpretowano je: Dawid Drumlin zdołał sprowokować wyśmienitą dyskusję nad swą własną analizą statystyczną numeracji kolejnych stron tekstu, i jej związku z późniejszą numeracją diagramów. Dowodził też, że Wiadomość zawiera nie tylko schemat budowy maszyny, ale i przepisy na fabrykację potrzebnych do niej komponentów i podzespołów. W kilku przypadkach będą one opierać się na zupełnie nowych metodach produkcyjnych, nie znanych jeszcze na Ziemi. Ellie, niemo poruszając ustami i wskazując palcem Drumlina, niemo spytała Valeriana, czy te rewelacje były mu wcześniej znane. Zdziwiony zasznurował wargi, wzruszył ramionami i rozłożył je dłońmi w górę. Omiotła spojrzeniem pozostałe twarze, szukając na nich objawów poruszenia, ale znalazła tylko znużenie: masa poważnego materiału technicznego, która na nich runęła, a także konieczność podjęcia wcześniej, czy później istotnych decyzji politycznych, już wprowadzała napiętą atmosferę.

Po wykładzie pogratulowała Drumlinowi znakomitej interpretacji pytając, dlaczego wcześniej nic o niej nie wiedziała.

- Och - rzucił prawie w biegu - nie uważałem tego za coś, czym warto by ci zaprzętać uwagę. To takie małe coś, co sobie przygotowałem na boku, gdy ty konsultowałaś religijnych fanatyków.

Gdyby Drumlin był recenzentem mojej pracy doktorskiej, pewnie bym jeszcze wciąż nad nią pracowała - pomyślała. Ellie nigdy nie była przez niego w pełni zaakceptowana. I nie zachował się w jej pamięci choćby jeden moment wspólnie przeżytego koleżeństwa.

Westchnęła zastanawiając się, czy Kenowi było

wiadomo o pracach Drumlina - ale jako współprzewodniczący obrad, siedział w tej chwili za prezydialnym stołem, przyglądając się amfiteatralnym kondygnacjom. Był niedostępny - jak zresztą przez ostatnie tygodnie. W końcu... czy było obowiązkiem Drumlina spowiadać się jej ze swych robót?... Wiedziała przecież, jacy ostatnio byli obaj zajęci. Tylko dlaczego w rozmowach z Drumlinem przypada jej zawsze rola petenta, któremu wolno podyskutować, choć tylko w drodze wyjątku? Żywiła poważne przypuszczenie, że nie tylko jej dawny doktorat, ale i wszelkie przyszłe postępy naukowe wciąż spoczywały w rękach Drumlina.

Rankiem następnego dnia udzielono głosu sowieckiemu delegatowi, którego dotąd nie znała. „Stefan Aleksiejewicz Baruda” - odczytała biogram w stojącym przed nią komputerze - „dyrektor Instytutu Studiów Nad Pokojem, Radziecka Akademia Nauk, Komitet Centralny Komunistycznej Partii ZSRR”.

- No to zaczyna się ostra gra! - dobiegła ją uwaga Kitza, skierowana do Elmo Honicutt z Departamentu Stanu.

Baruda był przystojnym mężczyzną w nienagannie skrojonym garniturze, jaki noszą zachodni byznesmeni. Włoski, zdaje się, model. I angielszczyzna płynna, bez akcentu. Pochodził z jednej z republik nadbałtyckich i, jak na swój młody wiek, miał bardzo wysokie stanowisko w ważnej organizacji utworzonej dla studiów nad długofalową strategią polityczną w erze nuklearnego rozbrojenia. Był wzorcowym egzemplarzem nowego typu aparaczyka w kierownictwie sowieckim.

- Będziemy szczerzy - tymczasem mówił Baruda - Wiadomość przychodzi do nas z dalekich głębin kosmosu. Większą jej część odebrali naukowcy Związku Radzieckiego i Stanów Zjednoczonych. Moc ważnych szczegółów dostarczyły też inne kraje, które w komplecie zresztą są reprezentowane na

tej konferencji. I każdy z nich, na przykład Związek Radziecki, chętnie zaczekałby, aż Wiadomość parę razy się powtórzy, w co wszyscy wierzymy, by sobie uzupełnić wszelkie istniejące dziś braki. Ale to zabrałoby lata, może dekady, a my jesteśmy niecierpliwi. No to zdecydowaliśmy się pracować razem. I każdy z tych krajów, nie wyłączając ZSRR, mógłby posłać na orbitę okołozemską wielkie radioteleskopy z czułymi odbiornikami, które pracowałyby na frekwencjach Wiadomości. Ameryka mogła to zrobić. Może Japonia, Francja lub Europejska Agencja Kosmiczna. I wtedy każdy ten kraj mógłby sam sobie zebrać potrzebne dane, bo radioteleskop kosmiczny może celować w Vegę bez przerwy. Ale wtedy uznano by to za akt wrogi... poza tym nie jest tajemnicą, że takiego satelitę prędko mogłyby zestrzelić i Stany Zjednoczone, i ZSRR. Więc i dla tego powodu zdecydowaliśmy się pracować razem. Kooperacja jest lepsza. Nasi naukowcy chcą dzielić z wami nie tylko swoje dane, ale i swe przypuszczenia, swe tezy, swoje... sny. Wszyscy wy, uczeni, pod tym względem jesteście tacy sami. Nie jestem naukowcem, moją dziedziną jest praca dla rządu. Może dlatego wiem, że również narody niewiele w istocie różnią się od siebie. Każdy jest ostrożny, każdy naród jest podejrzliwy. Żaden nie da swemu adwersarzowi szansy sukcesu, jeśli ją mógłby zmniejszyć. A więc zaistniały dwa rodzaje stanowisk: jedno, żeby wymieniać wszystkie dane, i drugie, żeby samemu wygrać kosztem partnera. „Nie ma wątpliwości, że druga strona robi to samo”, mawiają zwolennicy drugiego programu. I tak jest w większości krajów. Jednak debaty nasze zostały zdominowane przez uczonych i pewnie dzięki temu większość danych, jakimi dziś dysponuje USA i ZSRR, choć pragnąłbym zaznaczyć, że z pewnością nie wszystkie, została ujawniona. I cały świat ma okazję zapoznać się z danymi z pozostałych krajów. Cieszymy się, że taką decyzję podjęto.

- To raczej nie wygląda na „ostrą grę” - szepnęła do

Kitza.

- Nie wyłączaj odbiornika... - mruknął w odpowiedzi.

- Czają się wszak niebezpieczeństwa innego rodzaju. I jedno z nich chciałbym poddać szanownemu Konsorcjum pod uwagę - w głosie Barudy pojawił się ton, który zapamiętała z wczorajszego lunchu z Vaygayem. Jakiego asa Rosjanie trzymają w rękawie? - W tym miejscu wysłuchaliśmy przed chwilą członka Akademii Nauk, Łunaczarskiego oraz Doktor Arroway. Większość uczonych zgadza się z nimi, że mamy do czynienia z instrukcją, jak zbudować nieznanego przeznaczenia maszynę. Przypuśćmy, że stanie się tak, jak tego większość zdaje się oczekiwać: Wiadomość powtórzy się od początku. Otrzymamy brakujące fragmenty początkowe, a z nimi... czy prawidłowo, to powiem po angielsku?... elementarz?... który pozwoli nam wreszcie odczytać cały tekst. Przypuśćmy teraz, że przez cały ten czas dalej będziemy współpracować, to znaczy, że nadal wszystkie dane, wszystkie fantastyczne pomysły, wszystkie nasze marzenia będą wzajemnie udostępniane. Nie sądzę, żeby Veganie przysłali nam ten instruktaż dlatego, że się nudzili. Oni wyraźnie chcą, żeby ta maszyna powstała. Może nigdy już nam nie zdradzą po co. A może zdradzą. A jeśli tak, to jakie będziemy mieli podstawy, by im wierzyć? Te i inne wątpliwości powodują, że pozwolę sobie przedstawić państwu mój własny fantastyczny pomysł. Mój sen, choć może niezbyt wesoły: co będzie, jeśli ta maszyna to Koń Trojański? Wielkim nakładem kosztów ją zbudujemy, uruchomimy i nagle wylewa się z niej armia najeźdźców. Lub, jeśli to jest Machina Sądu Ostatecznego? Budujemy ją, włączamy i nagle Ziemia wylatuje w powietrze?... Może takim właśnie sposobem pozbywają się innych cywilizacji rodzących się w kosmosie? To niedrogi pomysł: wysyłasz tylko telegram, a dana cywilizacja już sama się postara, żeby wykończyć siebie. To wszystko tylko sugestie, jakieś zarysowanie problemu, przedstawiam go państwu pod uwagę, gdyż wierzę, że zrodzi

się z tego jakaś myśl. W końcu ta sprawa równo nas dotyczy, bo zamieszkujemy tę samą planetę i raczej tak samo nam na niej zależy. Wiem, że pytanie, które zadam, może zabrzmieć szokująco. Brzmi ono: czy nie lepiej spalić dane i zniszczyć radioteleskopy?!

Wybuchło niesłychane zamieszanie. Wielu delegatów jednocześnie prosiło o głos. Zamiast ich wysłuchać, współprzewodniczący bez przerwy powtarzali, że konferencja ma nie być nagrywana ani filmowana. Że nikt nie ma prawa udzielić prasie wywiadów. Że do codziennej prasy będą wystosowane komunikaty uzgodnione przez obu przewodniczących i kierowników każdej z delegacji. I że nawet luźne supozycje, jak w obecnej dyskusji, nie powinny opuścić tej sali.

Kilku delegatów zażądało wyjaśnień ze strony Prezydium Zjazdu.

- Jeśli Baruda ma rację, i jest to Koń Trojański albo Maszyna Zagłady - wołał reprezentant Holandii - czy nie jest naszym obowiązkiem powiadomienie opinii publicznej?!

Ale jego mikrofonu nie włączono i głos przeszedł nie wysłuchany. W końcu udało się opanować nieład i przejść do innych, ważniejszych spraw.

Ellie odpowiednio wcześniej zdążyła wystukać na swym indywidualnym komputerze zgłoszenie do kolejki przemawiających i znalazła się na drugim miejscu przed Sukhavati, a po którymś z chińskich przedstawicieli. Devi Sukhavati znała słabo - była to okazała niewiasta po czterdziestce, uczesana w zachodnim stylu, w eleganckich, wysokich szpilkach i pięknym, jedwabnym sari. Będąc z zawodu lekarzem, znalazła się wkrótce w gronie najwybitniejszych specjalistów w biologii molekularnej i czas swój podzieliła między King's College w Cambridge a Tatai Institute w Bombaju. Była jednym z nielicznych Hindusów należących do Królewskiego Towarzystwa Naukowego w

Londynie i mówiono, że ma znakomite koneksje polityczne. Ostatnio widziały się przed kilkoma laty na międzynarodowym sympozjum w Tokio, gdy jeszcze w wykładach każdej z nich widniały znaki zapytania - które otrzymanie Wiadomości miało niebawem wymazać. Ellie natychmiast wyczuła duchowy kontakt z nią, może po części wywołany faktem, że należały do nielicznej grupki kobiet uczestniczących w tamtej konferencji, poświęconej inteligentnemu życiu w kosmosie.

- Uważam, że członek Akademii Nauk Baruda podniósł ważną i drażliwą kwestię - zaczęła Sukhavati - i głupotą z naszej strony byłoby lekceważenie okazane Koniowi Trojańskiemu. Biorąc pod uwagę choćby aspekt historyczny, ostrożność jest jak najbardziej wskazana i dziwię się, że tak późno się pojawiła. Jednak, chciałabym przestrzec przed tego typu obawami. Jak wiemy, jest w najwyższym stopniu nieprawdopodobne, by istoty na Vedze reprezentowały ten sam co my poziom technologii. Nawet na naszej planecie kultury w swym rozwoju nie idą krok w krok: niektóre zaczęły wcześniej, inne później. Uważam, że potem, w miarę rozwoju technologii, dochodzi do przyspieszenia, i tak, jeśli w Indiach, Chinach, Iraku i Egipcie istniały już rozwinięte cywilizacje w czasie, gdy Europę i Rosję zamieszkiwali namadowie epoki żelaznej i w Ameryce rozwijała się dopiero kultura kamienia łupanego, to w efekcie technologicznego przyspieszenia doszło do stopniowego przemieszczenia między cywilizacjami. Przypuszczam więc, że ET są obecnie znacznie przed nami, na pewno więcej, niż da się zmierzyć stuleciami, może, tysiącleciami, a nawet milionami lat. Proszę, porównajmy to z postępami technologii ludzkiej w ciągu ostatniego stulecia. Wychowałam się w niewielkiej wiosce na południu Indii, gdzie w czasach mej babki cudem myśli technicznej była maszyna do szycia na pedał. Więc wyobraźmy sobie, czym dysponować muszą cywilizacje, które są tysiąc lat przed nami. A milion?! Jak powiadał jeden z filozofów mojej części świata: „Produkty

rozwinętych cywilizacji pozaziemskich nie będą dla nas różniły się od magii”. Nie powinniśmy wszakże widzieć w nich zagrożenia. Oni nie mają się przecież czego lękać, dysproporcja między nimi a nami potrwa z pewnością jeszcze długi czas. To nie jest konfrontacja między Grekami a Trojanami, którzy byli równorzędnymi partnerami, ani film fantastyczno-naukowy, w którym przybysze z innych planet wojują podobną do naszej bronią. Jeśli nas zechcą zgładzić, na pewno mogą to zrobić bez namawiania nas do współpra...

- No ale co z ceną! - krzyknął ktoś z audytorium. - Czy pani tego nie rozumie? Przecież o to chodzi. Baruda o tym mówił. Nasze programy telewizyjne stały się sygnałem, że czas nas powstrzymać, a tym środkiem zniszczenia ma być Wiadomość. Ekspedycja karna sporo by kosztowała, Wiadomość, prawie nic.

Ellie bezskutecznie szukała wzrokiem krzykacza. Zdawało się jej, że to ktoś z delegacji brytyjskiej - jego głosu też nie wzmocniono przez mikrofon, bo Prezydium znowu nie poznało na czas, kto mówi. Jednak akustyka była wystarczająco dobra, by usłyszano go w każdym kącie sali. Zza stołu prezydiального der Heer próbował przywrócić porządek, zaś Abuchimow wychylił się na skos i zaczął coś szeptać sekretarzowi.

- Uważa pan zatem, że skonstruowanie maszyny niesie ze sobą, niebezpieczeństwo - odezwała się Sukhavati. - Natomiast ja uważam, że niebezpiecznym będzie nie zbudować maszyny. Wstydziłabym się za naszą Ziemię, gdybyśmy obrócili się plecami do tego, co nadchodzi. Pańscy przodkowie - pogroziła mu palcem - nie byli tacy wstrzemięźliwi, gdy pierwszy raz żeglowali do Indii i Ameryki.

Ten zjazd staje się nieustającą eksplozją niespodzianek - pomyślała Ellie. Obawiała się, że Clive lub Raleigh doprawdy nie są figurami, które w tej sztuce powinny odegrać główną rolę. Sukhavati wykorzystała nadzwyczaj właściwy moment, by

wytknąć im ich kolonialne grzechy.

Odczekała chwilę, aż na konsoli zapali się zielone światełko informujące, że jej mikrofon został włączony.

- Panie przewodniczący - usłyszała swój głos publicznie i formalnie skierowany do der Heera, którego podczas ostatnich dni prawie w ogóle nie widziała. Zdążyli się tylko umówić, że spotkają się jutro podczas przerwy zjazdu i już czuła niepokój, co też takiego będą mieli sobie do powiedzenia. Hola, hola, panienko! - powstrzymała się, by nie pomyśleć więcej...

- Panie przewodniczący, uważam, że na obie te sprawy, nazwane Koniem Trojańskim oraz Machiną Sądu Ostatecznego, możemy rzucić nieco więcej światła. Chciałam zająć się tym podczas jutrzejszych obrad, ale ze względu na obrót spraw zmieniłam zamiar - na klawiaturze komputera szybko wystukała kod kilku slajdów. - Doktor Łunaczarski i ja żywimy przekonanie, że są to trzy rzuty jednego trójwymiarowego obiektu. Przedstawiliśmy go sobie w całości wczoraj, w rotacyjnym modelu komputerowym. Uważamy, chociaż pewności nie ma, że to co widzimy, to wnętrze maszyny. Jak dotąd nie wiemy w jakiej skali. Może kilometr w poprzek, może submikroskopowe wymiary. Ale proszę zwrócić uwagę na tych pięć elementów dokładnie rozmieszczonych wokół obwodu komory wewnętrznej. Oto zbliżenie jednego z nich, jedyne, który da się w tej chwili dokładniej określić. Wygląda jak zwykły, trochę za bardzo wypchany fotel, ukształtowany odpowiednio do ludzkiego ciała. Jest mało prawdopodobne, by ET, pochodzący z zupełnie odmiennego świata, przypominali nas na tyle, żeby wygodnie się rozsiaść w fotelach zaprojektowanych do naszych mieszkań. O, proszę spojrzeć na to zbliżenie. To wygląda jak coś z lamusa w domu mojej matki, w którym się wychowałam.

Rzeczywiście - ujrzeni coś, co przypominało ukwiecony pokrowiec na fotel. Nagle poczuła ukłucie wstydu. Obiecywała sobie, że zadzwoni do matki przed odlotem, a w sumie, odkąd

nadeszła Wiadomość, nie zadzwoniła do niej więcej niż dwa razy. „Jak mogłaś, Ellie?, upomniało ją matczynym głosem.

Przywarła wzrokiem do rysunku na ekranie komputera. Pięcioczołowa symetria dwunastościanu wyrażała się też w pięciu fotelach wnętrza, z których każdy spoglądał na pięcioboczną płaszczyznę ściany.

- Więc naszym przypuszczeniem, to znaczy, doktora Łunaczarskiego i moim jest, że tych pięć foteli czeka na nas. Na ludzi. To by znaczyło, że komora wewnętrzna maszyny liczy nie więcej niż parę metrów szerz. Mamy tu wprowadzić do czynienia z nadzwyczajnym poziomem technologii, ale też na szczęście z niczym na miarę, powiedzmy, metropolii. Albo z czymś tak złożonym, jak samolot. Jestem przekonana, że bez trudu możemy to zbudować, jeśli będziemy pracowali razem. Chciałabym też przypomnieć, że raczej rzadko umieszcza się fotele we wnętrzu bomby. Nie sądzę więc, by miał to być Koń Trojański albo Machina Zagłady. Zgadzam się za to z doktor Sukhavati, która powiedziała, czy pragnęła to powiedzieć, że Koń Trojański winien być raczej drogowskazem, ku czemu mamy zmierzać.

Znów wybuchł zamęt. Ale tym razem der Heer nie próbował nikogo uspokajać: w rzeczy samej włączył akurat mikrofon temu samemu delegatowi, który parę minut wcześniej usiłował przerwać wykład Sukhavati. Był to Philip Bedenbaugh, laburzystowski minister wiszącego na włosku brytyjskiego rządu.

- ... po prostu nie rozumie, w czym cały ambaras. Gdybyż to rzeczywiście był koń zbudowany z drewna, zapewne z wielkim niepokojem wprowadzilibyśmy go w mury miasta. W końcu wszyscy czytaliśmy Homera. Ale starczyło konia obić pluszem i już, popatrzmy, wszyscy są szczęśliwi. Dlaczego? Bo nam zamydlono oczy. Bo nas kupiono. Obietnicami historycznego wydarzenia. Nowych technologii. Czyni się też aluzje, że mile to będą widziały owe, jak to powiedzieć, wyższe

istoty? Ale ja wzywam, aby bez względu na śliczne fantazjowanie, którym zabawiają nas radioastronomowie, nie konstruować maszyny, jeśli istnieje choćby cień groźby, że może być ona maszyną zniszczenia. Już lepiej, jak proponował delegat ZSRR, spalić taśmy i ogłosić budowę radioteleskopów za zbrodnię przeciw ludzkości.

Konferencję z wolna ogarniał chaos. Na komputerach wydłużała się olbrzymia kolejka proszących o głos, a zgiełk wzmógł się do czegoś zbliżonego do ryku, który przypomniał Ellie o latach wsłuchiwania się w radioastronomiczny szum. Ustalenie wspólnego stanowiska wyglądało na coraz odleglejsze, zwłaszcza że obaj przewodniczący zdawali się już całkiem utracić władzę nad delegatami.

Gdy w końcu udało się udzielić głosu przedstawicielowi Chin, Ellie dość długo czekała na jego biogram na ekranie. Nie miała pojęcia, co to za człowiek i rozglądała się w poszukiwaniu pomocy.

- Xi Qiaomu - szepnął wychylając się ku niej Nguyen „Bobby” Bui, pracownik Narodowej Rady Bezpieczeństwa, teraz przydzielony do der Heera. - Wymawia się „szii”. Ciężka artyleria. Urodzony podczas Długiego Marszu. Ochotnik w wojnie z Koreą, miał wtedy kilkanaście lat. Wysoki urzędnik państwowy, głównie interesuje się polityką. Zdjęty podczas rewolucji kulturalnej, teraz członek KC. Bardzo wpływowy. Ostatnio był z nim wywiad w telewizji. Przewodniczy chińskim wykopaliskom.

Xi Qiaomu był wysokim, barczystym mężczyzną około sześćdziesiątki. Jego młodzieńczy wygląd psuły zmarszczki na twarzy. Miał na sobie mundurek zapięty pod szyją, noszony przez chińskich oficjeli tak, jak przez amerykańskich, trzyczęściowy garnitur (wyjąwszy panią Prezydent, oczywiście). Wreszcie na ekranie wyświetlił się biogram i Ellie czytając go, przypomniała sobie długi artykuł o Xi Qiaomu, na który trafiła ostatnio w magazynie „Video News”.

- Jeśli jest w nas lęk - powiedział - niczego nie osiągniemy. To tylko opóźni ich ingerencję, bo przecież oni już o nas wiedzą. Odbierają na swej planecie naszą telewizję. Co dzień w ten sposób przypominamy im o swoim istnieniu. Czy oglądacie telewizję? Doprawdy, trudno im będzie nas zignorować. Więc jeśli nic nie zrobimy, a oni zaczną się martwić, co się z nami stało, przylecą tu w maszynie lub bez. Już się przed nimi nie skryjemy. No, gdybyśmy od początku siedzieli cicho, teraz nie byłoby problemu. Na przykład, gdybyśmy nadawali tylko telewizję kablową, bez dużych anten, bez radarów wojskowych, może nie dobraliby się do nas. Dziś jest za późno, nie możemy się cofnąć, nasza droga została wytyczona. Ale jeśli boicie się maszyny, że zniszczy Ziemię, zbudujcie ją poza Ziemią. Gdziekolwiek. Wtedy, jeśli to jest Machina Zagłady, zniszczy nie ten świat, ale jakiś inny. Ale to by było kosztowne, chyba zbyt kosztowne. Natomiast jeśli nie jesteście aż tak przestraszeni, zbudujcie ją na samotnej pustyni. Na Takopi w prowincji Xinjing można dokonać bardzo dużej eksplozji, która nikogo nie zabije. Jeżeli natomiast lęku w was nie ma, wnieście maszynę w centrum Waszyngtonu. Lub Moskwy. Lub Pekinu. Albo w tym pięknym mieście. W starożytnych Chinach nazywano Vegę z dwiema sąsiednimi gwiazdami Chin Nieu. To znaczy: dwie dziewczyny z kołowrotkiem. Niech będą one dobrymi wrózkami, niech ich maszyna oblecze Ziemię nową przedzą. Otrzymaliśmy zaproszenie. Niezwykle zaproszenie. Może na bankiet? Ziemi nigdy dotąd nie zapraszano na przyjęcia. Niegrzecznie byłoby odmówić.

ROZDZIAŁ 12

Izomer Jeden-Delta

Spoglądanie w gwiazdy zawsze każe mi marzyć, podobnie wpatrywanie się w czarne punkciki na mapie będące miastami. I myślę sobie - dlaczego świecące punkty na niebie miałyby być mniej dostępne niż te czarne, na mapie Francji?

VINCENT VAN GOGH

Było przepiękne jesienne popołudnie - tak nienormalnie ciepłe jak na tę porę roku, że Devi Sukhavati zostawiła płaszcz w domu. Wraz z Ellie szły rojną Champs-Elysees w kierunku Placu Zgody.

Z takim międzynarodowym tłumem mógłby rywalizować tylko Londyn, Manhattan, no, może jeszcze jakieś miasto na świecie. Dwie spacerujące kobiety: jedna w spodniczce i swetrze, druga w sari, nie zwracały tu niczyjej uwagi.

Przed sklepikiem ustawiła się długa, bardzo zdyscyplinowana i mówiąca wieloma językami kolejka - po raz pierwszy miano tu sprzedawać zalegalizowane przed tygodniem amerykańskie papierosy z marihuaną. Zgodnie z obowiązującym we Francji prawem, mógł je teraz palić każdy, kto ukończył osiemnaście lat - przeto większość oczekujących była w średnim wieku, zaś niektórzy wyglądali na naturalizowanych Algierczyków lub Marokańczyków. Właśnie w USA - w Oregonie i Kalifornii - uprawiano na eksport szczególnie mocną odmianę konopi indyjskich. Ten poszukiwany przez paryżan gatunek tym również różnił się od innych, że hodowany był w promieniach ultrafioletowych, które rozkładały szkodliwe cannabinoidy do izomerów jeden-delta -

zaleta, dla której otrzymał nazwę „Pocałunek Słońca”. Wysoka na metr i szeroka na pół plastikowa makieta opakowania nosiła dodatkowo francuski slogan: „To wina, której ci nie policzą przy wejściu do Raju”.

Wystawy sklepowe po obu stronach bulwaru krzyczały od kolorów. U ulicznego sprzedawcy kasztanów kupiły sobie po torebce i używały do woli, wprost rozpluwając się nad ich smakiem i zapachem. Ilekroć wzrok Ellie zatrzymał się na reklamowym skrótce BNP (Banque Nationale de Paris), z jakiegoś powodu czytała go cyrylicą „bir” - jakby to była rosyjska wersja „piwa”. To przedstawienie liter wpięrow ją bawiło i zaczynała mieć złudzenie, że rzeczywiście reklamy nawołują, by wstąpiła na kufel ROSYJSKIEGO PIWA - ale po chwili z coraz większym trudem mogła odwrócić program cyrylicy wryty w część jej kory i cofnąć się do właściwego znaczenia w łacińskim alfabecie. Dotarli do Obelisku - starożytnego symbolu wojen, który tu sprowadzono, by stał się nowożytnym symbolem wojen. Postanowiły spacerować dalej.

Der Heer skreślił randkę - przynajmniej tak można by rzec - zadzwonił dziś z samego rana stokrotnie ją przeprasząc, choć w jego głosie nie wyczuła zmartwienia. Za wiele polityki wdarło się w posiedzenia plenarne. Jutro ma przylecieć Sekretarz Stanu - przerywa pobyt na Kubie. Zaś on sam ma pełne ręce roboty i wierzy, że Ellie to rozumie. Rozumiała. I nienawidziła siebie za to, że z nim spała. Prędko umówiła się z Devi Sukhavati, byle nie być po południu samej.

- Jednym z sanskryckich słów dla „zwycięzcy” jest abhijit, tak w starożytnych Indiach nazywano Vegę. Wierzone, że dzięki wpływowi Vegi hinduskim bożkom, czy herosom hinduskiej kultury, jak zwał tak zwał, udało się zwyciężyć asurów, czyli bogów zła. Słuchasz mnie, Ellie?... Popatrz, to ciekawe, w Persji też występują asurowie, ale jako bogowie dobra. Wspólny dla obu tych zasymilowanych religii jest najwyższy bóg-Słońce, Ahura-Mazda. W zoroastryzmie, na

przykład, albo w kulcie Mitry. Ahura czy Asura, wszystko jedno. Wiesz, że zoroastryści istnieją do dziś? A kult Mitry był niezłym orzechem do zgryzienia dla chrześcijan? Ci hinduscy bożkowie, o których mówiłam, to w większości kobiety. Nazywały się Dewi, stąd moje imię. W Indiach Dewi są boginkami zła. Jest paru uczonych, którzy twierdzą, że właśnie stąd się wzięło angielskie słowo „devil”. Trzeba przyznać, że oba są prawie symetryczne. To wszystko musi być jakimś odległym echem inwazji Ariów na kraj moich przodków, Drawidów, którzy zostali zepchnięci na południe... Popatrz, zależnie od tego, czy mieszka się po wschodniej, czy po zachodniej stronie Gór Sulejmańskich, Vega może służyć albo Bogu, albo Szatanowi.

Tę miłą, doprawdy, opowieść Devi zafundowała Ellie zapewne pod wpływem krążących opowieści o jej kalifornijskich tarapatach z religią. Wdzięczność Ellie nie miała granic - choć dzięki Devi skądinąd, uświadomiła sobie, że wtedy nie wspomniała nawet Jossowi o maszynie. Teraz roztrąbią to media... Właściwie mogłaby prędko zadzwonić do niego z wiadomością o nowych rewelacjach, jakie wynikły na Zjeździe - ale mówiono, że Joss z nikim się nie zadaje... Po tamtej dyspucie w Modesto nie złożył żadnego publicznego oświadczenia, za to Rankin na konferencji prasowej wypowiedział się, iż mimo „pewnych niebezpieczeństw”, zasadniczo „nic nie ma przeciw” kompletowaniu pełnej Wiadomości przez uczonych. Rozszyfrowanie jej to co innego - w tej sprawie winno się przeprowadzić sondaż opinii publicznej, a już na pewno „środowisk, którym powierzono zabezpieczenie wartości duchowych i moralnych”.

Weszły do Ogrodów Tuileryjskich, gdzie jesień wprost szalała wszelkimi kolorami liści. Drobní, starsi mężczyźni - wyglądający na przybyszów z południowo-wschodniej Azji - zawzięcie o czymś rozprawiali. Sprzedawca kolorowych balonów ozdobił nimi czarne, kute w żelazie ogrodzenie.

Pośrodku fontanny, u stóp marmurowej Amfitryty ścigały się maleńkie motorówki otoczone gromadką rozkrzyczanych dzieci, które umilkły zdziwione, gdy wielki sum wystawił łeb nad wodę i przewrócił motorówkę zwycięzcy. Słońce chyliło się ku zachodowi, nagły dreszcz chłodu wstrząsnął Ellie.

Zbliżyły się ku Oranżerii, w której pawilonie akurat otwierano wystawę „Marsjańskie Impresje”, jak głosił plakat. Dwa amerykańsko-francusko-radzieckie roboty wędrując po powierzchni Marsa, wykonały sensacyjną serię barwnych fotografii, które przerósłszy cel naukowy, stały się dziełami sztuki porównywalnymi jedynie z widokami Układu Słonecznego z 1980 roku, wykonanymi przez „Voyagera”. Na plakacie widniała fotografia rozległej Elysium Plateau z wyraźnie trójboczną, dość skorodowaną piramidą na pierwszym planie i poszarpanym kraterem u jej stóp. Wzniosły ją - twierdzili geolodzy - miliony lat marsjańskich burz piaskowych wznieczanych wiatrem o niesłychanej prędkości. Drugi robot, który miał zbadać Cydonię po drugiej stronie Marsa, ugrzązł z tego powodu w wędrującej wydmie i jego rozpaczliwe wołania o pomoc jak dotąd nie doczekały się reakcji ze strony opiekunów w Pasadenie.

Wygląd Sukhavati trochę denerwował Ellie: wielkie, ciemne oczy, sylwetka prosta jak trzcina i to kolejne, olśniewające sari. Gdzie mnie do jej wdzięku - smętnie pomyślała. Zazwyczaj nie miała problemu z prowadzeniem rozmowy, gdy jednocześnie myśli jej błąkały się wokół innych spraw - dziś jednak w ogóle nie mogła skupić uwagi na żadnym pojedynczym temacie. Wymieniając z Devi komentarze na temat stronnictw popierających budowę Maszyny lub nie, myślała, na przykład, o boginkach Dewi i o inwazji Ariów na Indie 3500 lat temu. O wojnie między dwoma ludami, z których każdy ogłosił się zwycięzcą, choć w innym i przesadzonym historycznym znaczeniu - bo cała historia sprowadziła się w sumie do wojny bogów, gdzie „nasza” strona, oczywiście, jest

„dobra”, a „druga”, ma się rozumieć, „zła”. Wywołała w pamięci wizerunek diabła Zachodu: z głową kozła, ogonem i rozszczepionymi raciczkami, który zrodził się z jakiegoś starożytnego, hinduskiego przodka mającego głowę słonia i - jeśli dobrze pamiętała - malowanego na niebiesko.

- Koń Trojański Barudy - niespodziewanie usłyszała swój głos - to wcale nie taki głupi pomysł. Ale musimy się zgodzić z tym, co powiedział Xi: nie mamy już odwrotu. Gdy im się tylko zachce, mogą tu sobie przylecieć za dwadzieścia-ileś-tam lat...

Doszły do monumentalnego łuku w imperialnym stylu rzymskim, który wieńczyła bohaterska, doprawdy, apoteoza Napoleona w rydwanie. Z dystansu, z pozaziemskiej perspektywy, to musi się wydawać okropnie nadęte... Siadły na pobliskiej ławce, ich długie cienie sięgnęły do rabatów obsadzonych kwiatami w kolorach Republiki Francuskiej. Ellie miała wielką ochotę wygadać komuś swe sercowe kłopoty, ale - niestety - miały one tło zbyt polityczne, no i poza tym nie znała bliżej Devi.

Za to zaproponowała, by ta opowiedziała jej coś o sobie - na co Sukhavati przystała z wielką ochotą.

Urodziła się w południowym stanie Tamil Nadu w niezamożnej, bramińskiej rodzinie o typie wybitnie matriarchalnym. Matriarchat zresztą obowiązuje do dziś na całym południu Indii. Dyplom zrobiła na Uniwersytecie Hinduskim w Benares, po czym wyjechała na dalsze studia medyczne do Anglii. Tam nieprzypadkowo zakochała się w koledze ze studiów, Surindarze Ghoshu, który na domiar złego był harijan, „niedotykalny”, to znaczy pochodził z kasty tak pogardzanej, że nawet patrzeć na niego byłoby dla prawdziwego Bramina hańbiące. Jego rodzina prowadziła więc życie nocne, jak nietoperze lub sowy. Natomiast od swej rodziny Devi otrzymała ostrzeżenie, że w razie małżeństwa zostanie wydziedziczona, zaś ojciec oświadczył, że się jej

wyrzeknie. Będzie nosił po niej żałobę, tak jakby umarła. I co? I wyszła za Ghosha. „Za bardzo się kochaliśmy”, powiedziała, „jaki mogłam mieć wybór?”. Lecz Ghosh po roku już nie żył - zmarł na ogólne zakażenie po sekcji, którą przeprowadził bez rękawiczek. Ta śmierć jednak, miast ją przywrócić na łono rodziny, umocniła decyzję pozostania w Anglii i dokończenia angielskiego dyplomu. Odkryła w sobie pasję do biologii molekularnej, z której bez trudu uczyniła swój główny przedmiot na ostatnich latach studiów. Okazało się, że w tej trudnej, wymagającej żmudnej dłubaniny dziedzinie wykazuje nadzwyczajny talent - badania kwasów nukleinowych prędko doprowadziły ją do prac nad początkami życia, a te z kolei - do rozważań nad jego istnieniem poza Ziemią.

- Można by powiedzieć, że moja kariera naukowa to ciąg luźnych zdarzeń: z jednych wpadałam w następne...

Ostatnio pracowała nad charakterystyką substancji organicznych na Marsie, które w kilku miejscach planety pobierały dla niej te same roboty, których niezwykle zdjęcia oglądały dziś na plakacie. Devi nie wyszła drugi raz za mąż, choć - jak napomknęła - nie brakuje takich, którzy chodzą za nią.

Idąc spacerem przed siebie zaszły do Luwru, na Dziedziniec Napoleona, pośrodku którego ujrzały nowo wzniesione, piramidopodobne wejście (budzące w paryżanach chyba dość kontrowersyjne uczucia), zaś pod ścianami, w niszach - figury wielkich przedstawicieli kultury francuskiej. U stóp każdego z tych wybitnych mężów - bo wybitnych niewiast raczej nie dojrzała - wykuto ich imiona. Niektóre z liter wiatr i deszcz zdążyły skorodować, a może jakiś niezadowolony przechodzień przyłożył do tego swoją rękę, dość że w wielu przypadkach trudno było zgadnąć, o kogo chodzi. Pod jednym, który z jakichś powodów wywoływał u publiczności szczególnie niemiłe skojarzenia, zostało już tylko L, T i A.

Słońce schodziło coraz niżej. Choć Luwr był czynny do

wieczora, nie weszły, ale powoli, krok za krokiem sunęły wzdłuż rzeki nabrzeżem d'Orsay. Bukiniści zamykali kramy, zwijając już na dziś swój interes. Przez chwilę szły wzięwszy się pod rękę europejskim sposobem. Parę kroków przed nimi spacerowało jakieś francuskie małżeństwo trzymające między sobą za rączki małą dziewczynkę - co rusz specjalnie ześlizgiwała się z krawężnika i gdy gwałtownie podciągali ją, by nie spadła, to w tej sekundzie nieważkości na twarzy dziecka pojawiał się wyraz prawdziwej ekstazy. Rodzice tymczasem nie przerywali rozmowy o Światowym Konsorcjum Wiadomości - jakżeby inaczej, skoro od pewnego czasu francuska prasa już prawie o niczym innym nie pisała. Mąż był za zbudowaniem Maszyny, bo to da Francji nowe technologie i stworzy dodatkowe miejsca pracy. Kobieta wyrażała obawy, lecz jakoś nie umiała uzasadnić swego zdania. Za to dziewczynka z fruującymi warkoczykami niczym się nie przejmowała, a już najmniej instrukcją z jakichś odległych planet.

Tego dnia, we wczesnych godzinach rannych der Heer, Kitz i Honicutt skrzyknęli zebranie w ambasadzie amerykańskiej, by przygotować się na przyjazd - już za parę godzin - Sekretarza Stanu. Na to poufne spotkanie wybrano w ambasadzie Czarny Pokój - salę elektromagnetycznie całkowicie odizolowaną od świata, w której jakoby nawet najnowocześniejszy podsłuch był niemożliwy. Tak przynajmniej twierdzono, choć Ellie wątpiła, czy już nie istnieje jakieś kolejne urządzenie, wobec którego nawet tak skomplikowane środki ostrożności tracą rację bytu. Spędziwszy całe popołudnie na spacerze z Devi, wróciła do hotelu, gdzie czekała na nią wiadomość o spotkaniu. Próbowiła dodzwonić się do der Heera, ale zgłosił się tylko Kitz. Ellie wyraziła zdziwienie trybem ściśle tajnym w sprawie, która - jak się wyraziła - z samej swej zasady winna być publiczna, na co Kitz odparł, że po pierwsze, nie wszystkie dane zostały ujawnione przez pozostałe kraje, po drugie, że jest to spotkanie o

charakterze rady mającej zabezpieczyć interesy Stanów Zjednoczonych w trudnych negocjacjach, które ich jeszcze czekają, a po trzecie - zaapelował do jej patriotyzmu i do praktycznych korzyści, które może osiągnąć. Na koniec nie omieszkał przypomnieć jej o Regule Haddena:

- Wetknęłaś ją, o ile wiem, do sejfu i leży tam wciąż nie przeczytana. Radzę ci, żebyś się z nią dobrze zapoznała.

Znów bezskutecznie próbowała osiągnąć der Heera. „Proszę, proszę, masz babo za swoje. Wpierw facet kręci się po całym Argusie jak zły szeląg, potem z betami wprowadza ci się do mieszkania, bo już jesteś pewna, że kochasz tego drania, a minutę później nawet nie możesz dostać go do telefonu...”. W końcu postanowiła, że trudno, pójdzie na spotkanie, choćby to miało znaczyć, że będą z Kitzem siedzieć na przeciw siebie i gapić się sobie w oczy.

Kitz entuzjastycznie poparł budowę Maszyny, Drumlin ostrożnie przychylił się ku temu, der Heer i Honicutt przynajmniej dyplomatycznie milczeli, zaś biedny Valerian skręcał się z braku własnego zdania. Wkrótce dwaj pierwsi zaczęli roztrząsać lokalizację przyszłej budowy: jak słusznie zauważył Xi, koszt spedycji na drugą stronę Księżyca, by tam zbudować ośrodek konstrukcyjny, czy choćby samą linię montażową, wykluczał wstępnie całe przedsięwzięcie.

- Gdy zastosować hamowanie aerodynamiczne, to spedycja w przeliczeniu na kilogram carga wypadłaby taniej na Phobos i Deimos niż na drugą stronę Księżyca - podsunął Bobby Bui.

- A czym do diabła jest Fobosidejmos? - chciał wiedzieć Kitz.

- To satelity Marsa. Mówiłem o hamowaniu aerodynamicznym w atmosferze marsjańskiej.

- Jak długo leci się na Phobosa? Lub na Deimosa? - spytał Drumlin, nie przerywając mieszania kawy.

- Może rok. Ale gdyby stworzyć międzyplanetarną linię

przesyłową i dobrze rozmieścić zespół statków transferowych...

- Rok? - prychnął Drumlin. - Porównując z trzema dniami na Księżyc? Drogi Bui, przestań nam mącić w głowach.

- Ja tylko sugerowałem... - bronił się Bui. - Pan wie, po prostu temat do dyskusji.

Der Heer zdawał się niecierpliwy i rozkojarzony. Widać było wielkie ciśnienie spraw, pod którym żył ostatnimi dniami - na przemian unikał jej wzroku albo patrzył, jakby prosząco. Uznała to za przychylny omen.

Tymczasem Drumlin mówił:

- Jeśli tak się martwicie, że to jest Maszyna Zagłady, pomyślcie chwilę o energetycznym zapleczu. Gdyby nastąpić miał jakiś potworny wybuch, skąd maszyna ma wziąć na to energię? Dopóki w instrukcji nie ma słowa o jakimiś reaktorze produkującym gigawaty energii nuklearnej, twierdzą, że nie musimy się przejmować Sądem Ostatecznym.

- Moi kochani - Ellie zwróciła się zarazem do Kitza i Drumlina, którzy siedzieli obok siebie oddzieleni talerzykiem z biszkoptami. - Czy moglibyście wyjawic powody, dla których tak wam się spieszy do budowy?

Zanim Kitz odpowiedział, zerknął bystro na Honicutta i der Heera.

- To posiedzenie jest tajne - zaczął - i wierzymy, że niczym, co tu jest omawiane, nie podzielisz się ze swymi radzieckimi przyjaciółmi. Chodzi o to, że choć nie wiemy, co ta maszyna ma zrobić, to z analiz Drumlina wynika, iż opisano tam jakieś nowe technologie. Może w ogóle nowe gałęzie przemysłu? Budowa Maszyny wiąże się więc z wielkim ekonomicznym postępem, tak sędzę. Wiele nowego się dowiemy, i to ma także znaczenie militarne. Podobny punkt widzenia dzielają też Rosjanie, dlatego tak nas się trzymają. Otwiera się cała nieznana dziedzina technologii, którą oni też chcieliby kontrolować, zwłaszcza że są w poważnych kłopotach gospodarczych. Poza tym może w instrukcji znajdzie się opis

jakiejś nadzwyczajnej broni? Albo czegoś, co da się dobrze sprzedać? Oni nie są pewni, zauważ, że Baruda ciągle ostrzegał przed kosztami. Gdyby teraz spalić taśmy, zniszczyć radioteleskopy, to przynajmniej tyle by osiągnęli, że ich przewaga wojskowa nie uległaby zachwianiu. Dlatego tak słodziutko nawołują do umiarkowania. I sobie z ludźmi pogrywają - zaśmiał się szeroko.

Pod względem temperamentu Kitz należy do stworów kompletnie bezkrwistych - pomyślała - ale trudno posądzić go, że jest głupi. Kiedy jest zimny i wyrachowany, odpycha ludzi od siebie. Dlatego nakłada czasem kostium wielkowiejskiego przyjemniaczka, ale to jest - zdefiniowała swym naukowym słownikiem - cieniutka okładzina jednocząsteczkowa.

- Pozwól, że teraz ja tobie zadam pytanie - ciągnął Kitz. - Zwróciłaś zapewne uwagę, że Baruda napomknął o niepełnym ujawnianiu informacji. Czy rzeczywiście brakuje nam jakichś danych?

- Niewielkiej części początkowej - odparła - tego, co nadawano w pierwszych tygodniach. Trochę później zdarzyły się też luki w linii chińskiego odbioru. I jest nadal pewna ilość danych, które każda ze stron przechowuje dla siebie. Mimo to nie mówiłabym o jakimś problemie zatrzymywania danych, zwłaszcza że uzupełnimy wszystko, jeżeli Wiadomość zacznie się powtarzać.

- Jeżeli... - zakrakał Drumlin. Ale w tej chwili wtrącił się der Heer, wzywając zebranych do sformułowania programu ewentualności zdarzeń: co zrobić, gdy pojawi się elementarz, i które przedsiębiorstwa amerykańskie, niemieckie i japońskie odpowiednio wcześniej przygotować do takiej wielkiej inwestycji; jakim kluczem posłużyć się w doborze inżynierów i profesorów, którzy uczestniczyliby w budowie; następnie - jak zdobyć przychylność Kongresu oraz amerykańskiej opinii publicznej. Raz jeszcze podkreślił, że jest to tylko program ewentualności i nie zamyka go żadna ostateczna decyzja - na

koniec dodał, że wcale nie uważa sowieckiego Konia Trojańskiego za taką zupełną bzdurę. W tym miejscu Kitz poprosił o głos, by podnieść sprawę „załogi”.

- Zapraszają ludzi, żeby siedli sobie w pięciu tapicerskich fotelach - powiedział - więc zaraz pojawia się pytanie: jakich ludzi. Jak mamy zdecydować? Raczej będzie musiała to być obsada międzynarodowa, więc ilu damy Amerykanów? Ilu Rosjan? Może jeszcze innych? Nie wiemy, co przytrafi się tym pięciu, gdy już zasiądą w fotelach, ale na pewno pragniemy, aby zasiedli najlepsi.

Pięciorgu, nie pięciu... - pomyślała Ellie, ale nie podjęła wyzwania. Więc Kitz mówił dalej:

- Przejdźmy do zasadniczego pytania: kto za co płaci i ile, kto co buduje i kto sprawuje generalny nadzór. Myślę, że możemy potargować się w tej sprawie, za zgodę na zwiększenie liczby Amerykanów w załodze.

- Ale z pewnością nalegamy na dobór najlepszych ludzi? - der Heer pragnął potwierdzenia sprawy na pozór oczywistej.

- To jasne - rzekł Kitz - pod warunkiem, że ustalimy, co rozumiemy pod słowem „najlepsi”? Naukowcy? Ludzie z wywiadu wojskowego? Fizycznie sprawni? Odporni? Patriotci? (przepraszam, jeśli użyłem brzydkiego słowa). Jest też - podniósł wzrok znad biskopata, który smarował masłem, wprost na Ellie - problem płci. Czy wysyłamy samych panów? Bo jeśli wyślemy reprezentację mieszaną, zawsze którejs płci będzie więcej. Miejsc jest pięć, nieparzysta liczba. Czy nie pojawią się wtedy problemy wśród załogi? Im bardziej zagłębimy się w zagadnieniu, tym więcej pojawia się spraw wymagających delikatnych negocjacji.

- Nie sędzę - wtrąciła się Ellie. - To nie jest żadne ambasadorowanie, Kitz, ani kampania prezydencka. Ten problem wymaga powagi, przecież chyba nie chcesz krzepkich, głupkowatych dwudziestolatków, których całą wiedzą o świecie jest to, jak wygrać na sto jardów i wymigać się od podatku? Ani

politycznych rębajłów? Doprawdy, nie o to chodzi w całej tej wyprawie.

- Ależ skąd, Ellie, masz całkowitą rację - znowu uśmiechnął się Kitz. - Nie wątpię, że znajdzie się wielu, którzy w pełni zadowolą nasze kryteria.

Der Heer - z podkrążonymi oczami, które nadawały jego twarzy wyraz półobłąkania - ogłosił koniec narady. Zdążył posłać Ellie błady uśmiech - samymi ustami. A potem ruszył ku limuzynom czekającym, by zabrać ich do Pałacu Elizejskiego.

- Powiem ci, dlaczego lepiej byłoby wysłać Rosjan - mówił Vaygay. - Kiedy wy, Amerykanie, wiesz, ci wszyscy traperzy, pionierzy, skauci do walki z Indianami, zakładaliście swój kraj, nikt wam nie przeszkadzał. Przynajmniej nikt mogący konkurować na poziomie technologii. Prędko wymietliście cały kontynent od Atlantyku po Pacyfik, i od tej chwili już wszystko zaczęło się wam zdawać niebywale łatwe. My byliśmy w innym położeniu, nas najechali Mongołowie. Ich technika walki konnej była wyższa od naszej, więc gdy my z kolei najeżdżaliśmy wschód, byliśmy ostrożniejsi. Nigdy nie zapuszczaliśmy się w dzikie ostępy z założeniem, że musi nam pójść jak po maśle. Jesteśmy bardziej przyzwyczajeni do oporu niż wy, a poza tym dla was jest oczywiste, że zawsze górujecie techniką. Natomiast większość ludzi na Ziemi to, w sensie sytuacji dziejowej, nie Amerykanie, ale Rosjanie. Dlatego uważam, że taka misja potrzebuje bardziej ludzi radzieckich niż Amerykanów.

Spotkanie w cztery oczy stanowiło pewne ryzyko nie tylko dla Vaygaya, ale i dla niej - o czym uprzejmie przypomniał jej Kitz. Podczas naukowych kongresów w USA czy w Europie, nieraz Vaygayowi wolno było spędzić z nią popołudnie, choć częściej towarzyszyli mu koledzy lub „niańka” z KGB - przedstawiana zazwyczaj jako tłumacz (choć w angielskim do pięć nie dorastał Vaygayowi) albo konsultant

naukowy z tej czy innej Akademii (choć również jego wiedza naukowa bywała raczej pobieżna). Kiedy wprost zapytywano Vaygaya o tych panów, kręcił głową. Uważał, zdaje się, ich obecność za część gry, za zwykłą cenę jaką przychodzi płacić za odwiedzenie Zachodu. Nieraz złapała w głosie Vaygaya nutkę prawdziwego współczucia, kiedy się zwracał do nich: - Bo czy to jakaś przyjemność jechać do obcego kraju i rzucać eksperta w czymś, o czym się nie ma pojęcia? Być może „niańki” w głębi serca nie mniej od Vaygaya gardziły swoją rolą.

Siedzieli przy tym samym stoliku w Chez Dieux. W powietrzu unosił się chłód, pierwszy sygnał zimy. Za szybą młody człowiek w długim, błękitnym szalu będącym jego jedyną ochroną przed zimnem, przemaszerował wzdłuż beczek zziębniętych ostryg. Z długich wywodów Vaygaya (i pilnie kontrolowanych, co nie było dla niego typowe) wynioskowała o braku jedności w sowieckiej delegacji. Wyraźnie niepokoił się, że Maszyna mogłaby w jakiś sposób wzmocnić pozycję Stanów Zjednoczonych w trwającym pięćdziesiąt lat globalnym współzawodnictwie - a mimo to Vaygay nie wahał się wyrazić niesmaku, jaki spowodowała w nim propozycja Barudy, aby spalić taśmy i zniszczyć radioteleskopy. Pojęcia dotychczas nie miał o rzeczywistej pozycji Barudy w sowieckim aparacie.

Ale ponieważ sowieci odgrywali jak dotąd nader ważną rolę w zbieraniu informacji (mając najgęstsza spośród wszystkich krajów sieć nasłuchu kosmicznego - podkreślił Vaygay - i jedyne liczące się w świecie radioteleskopy oceaniczne), więc spodziewali się nadal ją odgrywać we wszystkim, co się wydarzy. Ellie zapewniła go, że jej osobistym zdaniem niewątpliwie na to zasługują.

- Posłuchaj, Vaygay, przecież z naszych transmisji telewizyjnych wiesz, że Ziemia się obraca. I że są na niej rozmaite kraje, sama transmisja z Olimpiady już im to powiedziała. Nie mówiąc o późniejszych programach różnych

państw. Jeśli więc są tak dobrzy, jak nam się wydaje, to na pewno mogliby wyfazować Wiadomość tak, żeby otrzymał ją tylko jeden kraj. Ale zdecydowali co innego: że Wiadomość powinna dotrzeć do wszystkich ludzi na Ziemi. Że cała ludzkość tę Maszynę zbuduje, więc to nie może być tylko amerykańskie, tylko radzieckie przedsięwzięcie. Nasz... klient sobie tego nie życzy.

Dodała też, że nie jest pewna, czy się ją dopuści do poważniejszych decyzji w sprawie budowy Maszyny i wyboru załogi. Jutro leci do Ameryki - głównie po to, żeby być na bieżąco z odbiorem Wiadomości z ostatnich kilku tygodni. Konsorcjum najprawdopodobniej będzie się wlokło bez końca, nawet jeszcze nie ustalono daty zakończenia. Vaygaya proszono, aby został dłużej - właśnie przyleciał do Paryża ich minister spraw zagranicznych i Vaygaya uczyniono szefem delegacji sowieckiej.

- Wciąż mam wrażenie, że to się źle skończy - westchnął. - Takie jest mnóstwo spraw i sprawek, które możemy spaskudzić. Na przykład, szczegóły techniczne. Albo polityczne. I nawet jeśli przez to wszystko przebrniemy, jeśli nie wybuchnie wcześniej wojna o Maszynę i zbudujemy ją, nie wylatując przedtem w powietrze, to mój niepokój nie minie.

- Ale z jakiego powodu? Co masz na myśli?

- W najlepszym wypadku, że zrobią z nas idiotów.

- Kto?!

- Panno Arroway, czy pani nie rozumie? - żyła na szyi Łunaczarskiego spęczniała. - Zdumiewa mnie pani swoją ignorancją. Ziemia to jest... getto. Tak, getto, Ellie. Siedzimy tu jak w potrzasku. Każdy z nas coś słyszał o pięknych miastach gdzieś tam, daleko, o bulwarach, po których jeżdżą dorożki i spacerują w futrach piękne panie. Ale te miasta są za daleko, a my jesteśmy za biedni. Nawet najbogatsi w getcie nigdy się stąd nie wydostaną. Zresztą tamtym wcale na nas nie zależy, zostawili nas tutaj, w zabitym dechami grajdole. No co? Nagle

przychodzi zaproszenie, jak powiedział Xi. Wytworna, wielkopańska wizytówka, którą nam przysłali. I pusta dorożka. Mamy wybrać pięciu godnych obywateli, których powóz zawiezie, dokąd? Do Warszawy? Do Moskwy? Może nawet do Paryża? Na pewno wielu się zgłosi, zawsze pełno jest takich, którym zaproszenie imponuje i którzy tylko myślą, jak się wydostać z tej wioski. I jak myślisz, co się wydarzy, kiedy dotrzemy do celu? Wielki Księżę zaprosi nas na obiad? Prezes jakiejś wielkiej Akademii będzie z uwagą dopytywał, jak nam się żyje w naszym nędznym sztejtł? A może Metropolita Cerkwi Prawosławnej zagai uczoną dyskusję o komparatystyce w religiach? O, nie, Arroway. Będzie tak, że wywalimy gały na ich piękne city, a oni będą się śmiać, zakrywając usta dłońmi. Potem wystawią nas w ZOO. Im okażemy się głupszy i bardziej zacofani, tym lepiej się poczują. I zorganizują transport: co pięćset lat pięciu poleci spędzić weekend na Vedze. Żeby mogli się nad nami ulitować. I przy okazji przypomnieć, kto tu jest panem.

ROZDZIAŁ 13

Babilon

W najwystępniejszej kompanii kroczyłem ulicami Babilonu...

Św. AUGUSTYN

Wyznania, II, 3

Komputer Cray 21 w Argusie zaprogramowany był w taki sposób, by informacyjny plon zbierany co dzień z Vegi automatycznie porównywał z wcześniejszymi tekstami Trzeciego Poziomu palimpsestu. Znaczyło to, że dana sekwencja zer i jedynek była natychmiast konfrontowana z inną, identyczną, gdyby się pojawiła - co było tylko małą częścią rozbudowanej funkcji programu, który potrafił porównywać tekst „od środka”, jedynie według obrazu kodu. Którego, niestety, nadal nie odszyfrowano. Zdarzały się wprawdzie krótkie sekwencje zer i jedynek co chwilę powtarzające się w tekście (które analitycy zaraz optymistycznie ochrzcili „słowami”), ale większość stanowiły inne, powracające raz na tysiąc stron. Taka rutynowa statystyka dekodująca była Ellie dobrze znana jeszcze ze szkoły średniej, ale za to dekodery podzespołowe dostarczone jej przez ekspertów z NSA (wyłącznie dzięki zleceniu Prezydent - uzbrojone do tego w automat samoniszczący w przypadku zbyt dociekliwego użytkownika) wprost ją olśniły.

Jakie cuda ludzkiej wynalazczości - rozmyślała Ellie - marnują się na to, żeby, na przykład, czytać cudze listy. Konfrontacja globalna między dwoma supermocarstwami - wprawdzie, jak dotąd, raczej słabnąca - wciąż angażowała najlepsze siły świata. Na wyścig zbrojeń marnowano nie tylko

zasoby finansowe obu państw (wydatki na te cele sięgały już dwóch trylionów dolarów na rok - kompletna głupota zważywszy inne potrzeby ludzkości), ale - co gorsza - zasoby intelektualne. Okazało się, że około połowa uczonych świata jest w bardziej lub mniej ukryty sposób opłacana przez dwie setki klik wojskowych panujących na tej Ziemi. I nie chodziło tu bynajmniej o jakieś męty naukowe, o nieudaczników bez końca robiących swe doktoraty z matematyki lub fizyki - choć wielu jej kolegów lubiło podreperować swe samopoczucie takim gadaniem. Sama słyszała Drumlina mówiącego o doktorancie, któremu zaproponowano posadę w laboratorium wojskowym: "...Gdyby był dobry, to miałby asystenturę co najmniej w Stanford". To wcale nie jest takie proste, choć z drugiej strony - istnieją zapewne typy umysłowości zakochane w szabelce, na przykład, lubiące kiedy coś wybuchnie. Lub tacy, którzy nie będąc materiałem na cichych męczenników, poświęcają się (pomni jakiejś zniewagi wyrządzonej im jeszcze na szkolnym podwórku) wydawaniu przez resztę życia rozkazów. Albo zbrodni rozwiązywacze krzyżówek, którym się śnią gigantyczne, przez nikogo nie tknięte szyfry wojskowe. Czasem bodziec ma charakter polityczny, czasem imigracyjny, często jest odreagowaniem wojennych przeżyć, afer policyjnych albo dzikiej nagonki na to czy inne państwo. Zależnie od politycznej dekady. W wielu przypadkach jednak są to dobrzy specjaliści, o czym Ellie wiedziała, jakiegokolwiek były jej zastrzeżenia do ich prywatnych motywacji. I wyobrażała sobie tę ogromną masę talentu zatrudnioną w innym celu: dla dobra tej planety.

Od dłuższego czasu ślęczała nad wynikami zgromadzonymi w czasie jej nieobecności. W rozszyfrowaniu Wiadomości, niestety, nie nastąpił wielki postęp, choć statystyki zdążyły urosnąć w stos papieru o wysokości metra. Nienajlepiej ją to wszystko nastrajało.

Potrzebowała kogoś - najlepiej bliskiej sobie kobiety,

której mogłaby zwierzyć cały swój ból i złość na zachowanie Kena. Ale nie było nikogo - zaś najmniejszej ochoty nie miała wylewać łez do telefonu. Ten weekend spędziła w Austin u koleżanki ze studiów, Becky Ellenbogen, której opinii na temat mężczyzn lokowały się zwykle między uprzejmą kąśliwością, a zjadliwą ironią. W tym przypadku jednak zachowała zdumiewający umiar.

- Przecież on jest Naukowym Doradcą Prezydent, a ty dokonałaś największego odkrycia w historii - powiedziała - więc przestań się wściekać, kochana, na pewno przyleci do ciebie.

Becky należała, niestety, do klubu pań uważających, że Ken jest „czarujący” (choć raz go tylko widziała podczas ceremonii otwarcia Narodowego Obserwatorium Neutrino). Chyba za bardzo wpadł jej w oko, więc przytępiła swe pazury. Noo, gdyby zamiast tego był jakimś profesorkiem biologii molekularnej i traktował Ellie w taki podły sposób, to z pewnością nawlokłaby go na rożen i upiekła na wolnym ogniu.

Der Heer po powrocie z Paryża przedstawił pełny zestaw samousprawiedliwień i zapewnień o swym całkowitym oddaniu. Był przepracowany, przemęczony, przygnębiony rozmiarami odpowiedzialności, do której włączyły się skomplikowane sprawy polityczne, na których zupełnie się nie znał. Jako szef delegacji amerykańskiej, a do tego przewodniczący zjazdu nie mógł pozwolić, aby plotki o jego związku z Ellie naraziły obrady na szwank. Do tego ten Kitz, ledwie mógł z nim wytrzymać. A wiele ostatnich nocy spał tylko po parę godzin... Wszystko to razem Ellie uznała za trochę zbyt wiele - i postanowiła nie zrywać.

Gdy się to stało, znowu pierwszym, który to spostrzegł, był Wille. Swój refleks przypisywał potem bardziej przystawce Haddena rozpoznającej kontekst, niż komputerowi nadprzewodnikowemu i programom dostarczonym przez NSA, w każdym bądź razie - Vega chyliła się coraz niżej i jeszcze

tylko godzina została do pełnego zachodu. Nagle komputer odezwał się sygnałem wczesnego alarmu - Willie niechętnie oderwał wzrok od nowego podręcznika Szybkiej Spektroskopii Transformacyjnej Fouriera i przyjrzał się słowom wypelzającym na ekran:

POWT. TEKSTU STR. 41617-41619: DEFICYT BITÓW 0/2271.

WSPÓLCZYNNIK KORELACJI 0,99 +

41617 przeskoczyło na 41620, potem na 41621, wreszcie cyferki zaczęły równomiernie biec w górę z towarzyszącym temu bzyczeniem. Jeszcze chwilę patrzył - rosła nie tylko numeracja stron, ale i współczynnik korelacji (to znaczy, miara prawdopodobieństwa, czy powtórka tekstu jest przypadkowa, czy nie). Wyczekał, aż przekartkują się dwie następne strony i złapał słuchawkę telefonu.

Dzwonek wyrwał Ellie z głębokiego snu. Poderwała się i przez chwilę, słuchając Williego, próbowała zorientować się o co chodzi. Zaraz jednak zapaliła nocną lampkę i już spokojnym głosem wydała polecenie, aby w trybie pilnym wyższy personel Argusa zebrał się w sali komputerów. Sama poszuka der Heera, dodała, to nie jest dla niej problem. I rzeczywiście: potrząsnęła jego ramię.

- Ken, obudź się, tekst się powtarza.

- Co? - nieprzytomnie rozejrzał się wkoło.

- Wiadomość nawraca. Przynajmniej tak mówi Willie.

Lecę, a ty odczekaj parę minut. Tak, jakbyś przyszedł od siebie. Była już u drzwi, kiedy Ken krzyknął za nią:

- I jakie to ma znaczenie! Przecież nie mamy elementarza.

Po ekranie przesuwaly się parami zera i jedyńki - zgodnie z programem porównującym bieżący nasłuch z danymi, które w Argusie odebrali przed rokiem. Program potrafił wychwycić najdrobniejszą różnicę - do tej pory nie było żadnej. Dowodziło to zarówno, że nie popełnili błędów w

transkrypcji tekstu, jak i że nasłuch był prowadzony prawidłowo oraz - że jeśli nawet trafiła się chmura gazu między Ziemią i Vega wymazująca jakieś pojedyncze zero, to nie zdarzało się to zbyt często. Argus był już od dawna częścią jednoczesowej komunikacji między ośrodkami Światowego Konsorcjum Wiadomości, więc informacja o nawrocie Wiadomości chyżo pomknęła na zachód - w pierw do następnego „oczka” w Kalifornii, potem na Hawaje, potem do „Marszałka Niedielina” na południowy Pacyfik i na końcu do Sydney. W taki sam sposób, tylko odwrotnie, Argus byłby powiadomiony, gdyby Vega zaczęła nadawać nad którymś z tamtych teleskopów.

Prawdziwym zaskoczeniem okazał się ewidentny brak elementarza. Ale nie tylko: numeracja stron, która zatrzymała się im na czterdziestu tysiącach, teraz zaczęła się od dziesięciu. Argus włączył nasłuch prawie w tym samym momencie, gdy nowa transmisja zaczęła być odbieralna na Ziemi. I sygnał był znów niesłychanie silny - z łatwością dawał się złapać nawet na mały teleskop wszechkierunkowy. Czyżby więc było kwestią przypadku, że transmisja zaczęła się akurat wtedy, gdy Argus był wycelowany na Vegę? I numeracja stron zaczynająca się od dziesięciu tysięcy była zamierzona? Co to znaczy, że im brakuje pierwszych dziesięciu tysięcy stron? Może to jakiś prowincjonalny ziemski zwyczaj każe numerować książki od pierwszej? Albo to wcale nie są numery stron, a coś całkiem innego? Może - co zresztą najbardziej niepokoiło Ellie - od początku robiliśmy fundamentalny błąd, nakładając na tekst z Vegi schematy ziemskiej logiki, podczas gdy oni rządzą się swoimi, niewiadomymi prawami? A jeśli tak, to w jakich tarapatach znajdzie się Konsorcjum - i tak już wątpliwe, czy w ogóle uda się odczytać Wiadomość, z elementarzem czy bez?...

Tekst się odtworzył słowo w słowo, wszystkie dziury zaplombowano - i znów nikt niczego nie mógł zrozumieć. Zdawało się wprost niemożliwe, by cywilizacja, tak dokładna w

każdym drobiazgu, po prostu zapomniała dołączyć alfabetu. Sposób, w jaki odesłali transmisję z Olimpiady i zaprojektowali wnętrze Maszyny, zdawał się pomyślany specjalnie dla człowieka - czy to możliwe, żeby robili sobie cały ten kłopot z transmisją bez wyjaśnienia ludziom, jak ją odczytać? Nie. A więc to ludzie popełnili błąd. Nie dopatrzyli czegoś, prawdopodobnie czwartej warstwy palimpsestu. Tylko gdzie on jest?

Diagramy zdążono już opublikować w ośmiotomowej serii popularnej, którą prędko przedrukowano na całym świecie. Na wszystkich krańcach Ziemi ludzie głowili się teraz nad tajemniczymi rysunkami: szczególnie działał na wyobraźnię dwunastościan, a także te jakieś biologiczne formy. Wygłoszono publicznie najróżniejsze mądre teorie, z których każdą dokładnie w Argusie analizowano. Nie brakowało pomysłów wariackich, które najchętniej publikowała tygodniowa prasa. Powstawały nowe gałęzie biznesu - choć nie będące z pewnością zamiarem autorów Wiadomości - które za pomocą diagramów wyciągały ludziom pieniądze z kieszeni. Ogłoszono o założeniu Starożytnego Mistycznego Obrządku Dwunastościanu. Maszyna to UFO. Albo Koło Ezechiela. Jakiemuś biznesmenowi brazylijskiemu ukazał się anioł i zdradził mu tajemnicę diagramów - którą wydawał, na razie kosztem własnym. Ta masa krążących z rąk do rąk enigmatycznych rysunków wkrótce doprowadziła do tego, że niejedna religijna ikonografia nagle okazała się właśnie tą Wiadomością z nieba. Na przykład - plan konstrukcyjny Maszyny, podobny do chryzantemy, wywołał niebывały entuzjazm w Japonii. W żadnym diagramie szczęśliwie nie dopatrzono się ludzkiej twarzy, bo wtedy mesjanistyczny ferwor pewnie doprowadziłby do eksplozji.

Jak już się rzekło, wielu ludzi porządkowało swoje ziemskie sprawy w oczekiwaniu na Drugie Przyjście Chrystusa. Dramatycznie spadła światowa wydajność przemysłu. Wielu

przekazywało majątki na biednych, by potem - gdy koniec świata ciągle się odwlekał - szukać pomocy w schroniskach dla ubogich. A że właśnie darowizny stanowiły tych ośrodków źródło utrzymania, wielu dobroczyńców skończyło na zapomogach ze swych własnych darowizn. Przywódców państwowych nachodziły niezliczone delegacje nalegające, by prędko, jeszcze przed Przyjściem Chrystusa, uporano się z klęskami ludzkości, na przykład, schiostosomiazą lub głodem, inaczej lepiej nie mówić, co nas czeka. Inni, mniej hałaśliwi, naradzali się, czy z tej fali szaleństwa można wyciągnąć korzyść - albo przynajmniej jakieś prywatne pieniądze.

Wielu przekonywało, że żadnego elementarza nie ma i wszystko było po to, żeby ludzi nauczyć pokory i żebyśmy dali się zwariować. Wstępne artykuły w gazetach upominały, jacy to mądrzy zdawaliśmy się sobie, a jacy głupi jesteśmy teraz. Przy tej okazji wiele zapiekłych urazów kierowano przeciw uczonym, którym tyle bezcennej pomocy udzieliły rządy, a oni zawodzą nas w czas potrzeby. Może ludzie są jeszcze bardziej tępi, niż wydawało się Veganom? Może pominęliśmy element tak oczywisty dla wszystkich innych cywilizacji, z którymi wcześniej się kontaktowano, że fakt ten okrywa nas bezprecedensową hańbą w całej historii Galaktyki? Wielu pismaków ze szczerym entuzjazmem babrało się w tym „kosmicznym upokorzeniu”, które według nich dowodziło prawdziwości tego, co zawsze o ludzkości sądzili.

Źle jest - pomyślała Ellie - najwyższy czas zwrócić się o pomoc.

Ukradkiem, w towarzystwie specjalnej obstawy przysłanej przez Właściciela, prześliznęli się przez Bramę Enlila. Goryle z Administracji Służb Ogólnych nie ukrywali niezadowolenia pomimo - a może z powodu - tej dodatkowej ochrony.

Chociaż ostatnie promienie słońca jeszcze błąkały się

nad ziemią, brudne uliczki rozbłyskiwały już płomykami spod miedzianych kociołków, kagankami i czasem światłem pochodni. Dwie amfory - każda wielkości człowieka - strzegły wejścia do składu oliwnego, nad którym wisiał szyld z napisem klinowym. Sąsiedni budynek, chyba jakiś urząd, ozdabiał wspaniały relief z czasów Assurbanipala przedstawiający polowanie na lwice. W tłumie zgromadzonym przed Świątynią Aszura wybuchła bójka, więc ochroniarze szybko odciągnęli ją na bok, skąd nagle rozpostarł się przed nimi nadzwyczajny widok - Zikkurat zamajaczył u końca oświetlonej pochodniami alei, piękniejszy ponad wszelkie wyobrażenie od tego na obrazkach. Rozległ się dźwięk jakiejś nieznanej trąby, przy której hejnale trzech konnych przejechało obok, a za nimi, we frygijskiej czapeczce - jeszcze jeden w rydwanie. Szczyt Zikkuratu tonął w niskich, oblanych światłem zachodzącego słońca chmurach, co przypominało jej rycinę ze średniowiecznej edycji Księgi Rodzaju. Zeszli z Alei Isztar i obszedłszy boczną uliczką Zikkurat, weszli do środka. Znaleźli się w prywatnej windzie. Jeden z obstawy nacisnął najwyższy guzik z napisem „czterdzieści” - nie cyfrą, a słowami - i zaraz, żeby już nie było żadnych wątpliwości, nad ich głowami zapaliło się szklane okienko pulsujące słowem „Bogowie”.

Pan Hadden przyjdzie za chwilę. Czy nie chciałaby tymczasem czegoś się napić? Zważywszy reputację miejsca, Ellie odmówiła.

Cały Babilon u jej stóp - wspaniały! - co do tego wszyscy byli zgodni, że udała się ta replika dawno minionego miejsca i czasu. Za dnia przez Bramę Isztar zjeżdżały tu zapchane autobusy biur turystycznych i muzeów, czasem nawet zabłąkała się szkolna wycieczka. Przy bramie nakładano odpowiednie stroje i pospacerowawszy, wracano przed zachodem. Wszystkie dochody z działalności dziennej, Hadden sumiennie odstawiał do kasy miejskiej, a także na potrzeby organizacji dobroczynnych na Long Island. Te dzienne

eskapady były niezwykle popularne - wśród tych przynajmniej, którzy choćby w świetle dziennym pragnęli zwiedzić zakamarki, dostępne w świetle nocy tylko ich marzeniom.

Po zmroku bowiem Babilon zmieniał się w ogród uciech dla dorosłych. Przy tym przepychu, ogromie i szaleństwie wyobraźni ubogą dziurą wydawać się musiał taki, powiedzmy, hamburski Reeperbahn. Wkrótce Babilon stał się największą atrakcją Nowego Jorku, a zarazem jednym z najpoważniejszych źródeł dochodów miasta. Nie było żadną tajemnicą, jak Haddenowi udało się przekonać nowojorskich ojców miasta, ani które lobby „złagodziło” dla niego miejskie oraz stanowe przepisy o prostytutce. Do Bramy Isztar jechało się pół godziny metrem z centrum Manhattanu i Ellie, ignorując błagania ochrony, uparła się jechać kolejką - w której jedną trzecią jadących okazały się kobiety, nie było żadnych burd ani nawet napisów na ścianach, zaś biały dźwięk zdawał się mniej nasilony niż kiedyś, gdy weń się wsłuchiwała, jeżdżąc metrem po całym Nowym Jorku.

Choć Hadden był członkiem Narodowej Akademii Inżynierii, nigdy, o ile było Ellie wiadomo, nie uczestniczył w żadnym jej posiedzeniu i nigdy też nie miała okazji zawiesić oka na nim. Twarz jego była jednak znajoma milionom Amerykanów, głównie z powodu kampanii prowadzonej przeciw niemu przed laty pod hasłem „To nie jest Amerykanin”. Taki przynajmniej napis umieszczono na plakacie z mało pochlebnym wizerunkiem Haddena, rozproszonym po całym kraju. Mimo to aż podskoczyła, gdy chwilę zadumy przed pochyłą, oszkloną ścianą przerwała jej mała, gruba i przyjaźnie kiwająca na nią figurka.

- Och, najmocniej przepraszam. Nie rozumiem, jak ktoś może się mnie przestraszyć.

Nie spodziewała się, że jego głos będzie taki melodyjny. Mówił - w rzeczy samej - kwintami. Nie uznał za konieczne przedstawić się, a tylko kiwnął głową w kierunku drzwi, które

zostawił otwarte. Okoliczności nie wskazywały na to, by jakiś zbrodniczy erotoman miał ją za chwilę dopaść, usłuchała więc i bez słowa przeszła do następnego pokoju.

Gestem dłoni przywołał ją ku pokrywającej stół szczegółowej makiecie starożytnego miasta, którego aspiracje wyglądały na mniejsze od Babilonu.

- Pompeje - objaśnił Hadden - w samym środku stadion. Takie restrykcje wprowadzili w boksie, że już nie ma w Ameryce żadnego widowiska dla prawdziwych mężczyzn. A to takie ważne. To usuwa niezdrowe wapory z narodowego układu krążenia. Już wszystko zaprojektowałem, zezwolenia podpisane i nagle, taki klops.

- Jaki klops?

- Nie będzie walk gladiatorów. Właśnie dostałem wiadomość z Sacramento. Już jest projekt ustawy zakazującej walk gladiatorów w Kalifornii. Za brutalne, mówią. Chcą budować drapacze chmur i wiedzą, że stracą paru robotników. Związki zawodowe to wiedzą, budowlani to wiedzą, wszyscy tylko się trzęsą, żeby zarobić na budowach dla nafciarzy. I dla adwokatów z Beverly Hills. Jasne, że by stracili paru. Ale my chcemy raczej z trójzębem i siatką, niż z krótkim mieczem. Ci ustawodawcy chyba nie wiedzą, co czynią.

Prześwietlił ją krótkim spojrzeniem, jak sowa, i spytał, czy chce drinka. Znów odmówiła.

- Więc pragnie pani mówić ze mną o Maszynie. A ja też pragnę mówić z panią o Maszynie. Pani pierwsza. Pewnie chce pani wiedzieć, gdzie podział się elementarz?

- Zwracamy się o pomoc do paru kluczowych osobistości, które mogłyby mieć orientację w tej sprawie. Przyszło nam do głowy, że pan, który bije światowe rekordy wyobraźni i którego przystawka rozpoznająca kontekst przyczyniła się do złapania retransmisji, mógłby sobie wyobrazić siebie na miejscu Vegan i pomyśleć, gdzie by pan wtedy schował elementarz. Wiemy, że pan jest bardzo zajęty i

przykro nam...

- Och, skądże. Nie ma o czym mówić. To prawda, że mam mało czasu. Próbuję właśnie porządkować swoje interesy, bo zbliża się dziejowa chwila w moim życiu...

- Milenium? - palnęła. Już go widziała jak rozdaje biednym S.R. Hadden i Spółka, dom maklerski na Wall Street i Zrzeszenie Inżynierii Genetycznej, a na koniec Babilon i Zakłady Cybernetyczne Haddena.

- No, nie. Skądże znowu. Jak mogło coś takiego przyjść pani do głowy. Ale przyjemnie mi, że zwraca się pani do mnie ze swym problemem. Przeglądałem diagramy - machnął dłonią w kierunku lakierowanych grzbietów leżącego na biurku ośmiotomowego wydania - można wśród nich znaleźć całkiem ładne rzeczy. Ale nie tam jest alfabet. Nie wśród diagramów. Dlaczego pani się upiera, że elementarz jest wewnątrz Wiadomości? Nie rozumiem. Mógł równie dobrze utknać na Marsie, albo na Plutonie, albo w gazowej otoczce Komety Oorta i dostaniemy go za parę stuleci. Na razie wiemy, że jest ta piękna Maszyna z jeszcze piękniejszymi rysunkami i trzydziestoma tysiącami stron tekstu, który ma coś wyjaśnić. Ale gdy nawet wyjaśni, to skąd pewność, że będziemy to w stanie zbudować? Nie lepiej, zamiast martwić się teraz, poczekać tych paręset lat rozwijając technologię, umiejętności, dopóki rzeczywiście nie będziemy gotowi? To właśnie brak elementarza tak nas pięknie łączy z pracą przyszłych pokoleń... Podrzucano nam problem, którego rozwikłanie mierzyć trzeba stuleciami. Co jest bardzo piękne, uważam. I bardzo zdrowe. Czy pani nie robi błędu, tak szukając tego elementarza? Może lepiej, jeśli go pani nie znajdzie?

- Ależ nie. Ja chcę rozwiązania, teraz! Nie wiem, czy to może tak sobie na nas czekać przez całą wieczność. Jeśli odłożą słuchawkę, bo nie było odpowiedzi, to może okazać się dla nas gorsze, niż gdyby wcale nie dzwonili.

- No, no. Może dotknęła pani sedna. Otóż, przemyślałem

sobie różne możliwości, których suma stanowi pułap tego, co potrafię wymyślić. Przedstawię łaskawej pani wpierw możliwości banalne, potem jedną niebanalną. Oto banalne: elementarz jest wewnątrz Wiadomości, ale na zupełnie innym poziomie transmisji danych. Przypuśćmy, że z częstością jednego bita na godzinę. Czy taką transmisję moglibyście złapać?

- Oczywiście. Na wszelki wypadek rutynowo sprawdzamy również odbiór długofalowy. Bit na godzinę dałby nam, zaraz, niech policzę, dziesięć, dwadzieścia tysięcy bitów nadwyżki, zanim Wiadomość się odtworzy.

- To wygląda sensownie, ale pod warunkiem, że elementarz jest tekstem stokroć łatwiejszym niż Wiadomość. Pani tak nie uważa. I ja tak nie uważam. A więc weźmy odwrotną możliwość: co by było przy częstości bitów o wiele wyższej? Przecież nie wiemy, czy pod każdym bitem Wiadomości przypadkiem nie kryją się miliony bitów elementarza?

- Ale to monstrualnie rozszerzyłoby nam pasmo odbioru. Od początku wiedzieliśmy o tym.

- No dobrze. Wyobraźmy więc sobie zamiast tego całą tę rozpedzoną furę danych, a w nich maleńki mikrofilm. Taką malutką mikrofilmową kropeczkę, umieszczoną wewnątrz powtarzającej się, pardon, mającej się powtórzyć części Wiadomości. Na myśli mam maleńkie puzdreczko mówiące do ciebie w twoim własnym języku „to ja jestem elementarz”. A zaraz obok, kropka. I w tej kropce są setki milionów bitów, które przelatują błyskawicznie obok jedynek i zer. Może to pani zademonstrować sobie, jeśli ma pani jakieś pudełko.

- Niech pan mi wierzy, na pewno byśmy to wyłapali.

- No dobrze. A co z modulacją fazy? Posługujemy się tym w radarach i w teledometrii kosmicznej, to prawie nie zaburza spektrum. Czy w retransmisji ma pani korelator fazowy?

- Nie. To dobry pomysł. Zajmę się tym.

- A teraz pomysł niebanalny. Otóż i on: gdy już zbuduje się tę Maszynę i paru naszych w niej siądzie, gdy któryś naciśnie guzik i cała piątka gdzieś tam, wszystko jedno gdzie polecą, czy ktoś pomyślał o tym, czy oni w ogóle wrócą? Pewnie nie. Więc niesłychanie przypadła mi do gustu myśl, że tę Maszynę zaprojektowali wegańscy porwacze ludzi. Na przykład, tamtejsi studenci medycyny. Albo antropolodzy. Potrzebują ciał ludzkich, a polecieć na Ziemię to dla nich wielki kłopot. Trzeba pozwoleń, paszportów z odpowiednich biur, do diabła, więcej zachodu, niż to wszystko warte. Za to wysyłając na Ziemię wiadomość, można tanim sposobem zapewnić sobie dostawę „ziemniaków” na wegański stół. Już my własnymi rękami podeślemy im pięć ziemskich ciał. To trochę jak kolekcjonowanie znaczków, w dzieciństwie zbierałem znaczki. Pisze się do kogoś za granicę i w większości otrzymuje się odpowiedź. Nie chodzi o to, co jest w liście, chodzi o znaczek. Oto obrazek, jaki sobie wyobrażam: na Vedze jest paru kolekcjonerów. Kiedy się bardzo nudzą, wysyłają listy, i wtedy z całego kosmosu rozmaite ciała zlatują się do nich. Chciałaby pani zwiedzić taka kolekcję?

Posłał jej uśmiezek i ciągnął dalej.

- No dobrze, powie pani. A co to ma wspólnego z szukaniem elementarza? Nic. Chyba że nie mam racji. No więc załóżmy, że stworzyłem nieprawdziwy obraz i tych pięciu ma z powrotem polecieć na Ziemię, jakie jest w tej sytuacji pierwsze pytanie Vegan? Czy mamy pojazdy kosmiczne. Obojętnie jak bardzo mądrzy są Veganie, takiej Maszynie zawsze trudno będzie wylądować. Za wiele części się rusza. I Bóg jeden wie, jakim posługuje się napędem. Jak takie coś nagle z kosmosu polecą nam na łeb i lądując zaryje nosem na parę metrów w ziemię, bo czym jest parę metrów wobec dwudziestu sześciu świetlnych lat, to już będziemy wiedzieć, o co chodziło. Za duże ryzyko; sądzę więc, że kiedy Maszyna przyleci z powrotem, to kosmonauci wysiądą z niej jeszcze w kosmosie.

Gdzieś niedaleko Ziemi, nie na niej ani tym bardziej w. Ale przedtem Veganie muszą się upewnić, czy mamy statki kosmiczne, żeby tych ludzi odebrać; spieszy im się i nie mają ochoty czekać, aż dziennik telewizyjny z 1957 roku dotrze do nich na Vegę. Co zatem czynią? To, że część Wiadomości może być odebrana jedynie w kosmosie. Która część? Elementarz. Jeśli odbierzemy elementarz to znaczy, że mamy pojazdy kosmiczne, które pozwalają bezpiecznie wrócić na Ziemię. Tak więc wyobrażam sobie, że elementarz jest wysyłany na częstotliwości absorpcyjnej tlenu w spektrum mikrofal, albo w pobliżu podczerwieni, chodzi o część spektrum, którą można odebrać tylko wtedy, gdy się już jest daleko od atmosfery ziemskiej.

- Mamy teleskop Hubble'a, który od dawna namierza Vegę w ultrafiolecie, świetle widzialnym i blisko podczerwieni. Ani śladu niczego. Rosjanie naprawili swój przyrząd do fal milimetrowych i gapili się w Vegę jak najęci, też nic nie znaleźli. No ale znowu spróbujemy. Coś jeszcze?

- Jest pani pewna, że nie chce się napić? Ja sam nie lubię pić, choć wielu ludzi pije.

Kolejny raz Ellie musiała podziękować.

- Nie, już nic więcej nie wymyśliłem. Ale teraz moja kolej, bo widzi pani, chcę panią o coś prosić. Nigdy nikogo o nic nie proszę, nigdy nie prosiłem. Mój obraz wedle opinii publicznej to bogacz o wyglądzie komika, zimny drań. Ktoś, kto szuka szczelin w systemie, przez które może wyciągnąć wory złota. Proszę mi tylko nie mówić, że pani w to nie wierzy. Każdy w to wierzy, przynajmniej częściowo. To, co pragnę pani powiedzieć, już pewnie pani wcześniej tu i tam słyszała. Mimo to proszę o dziesięć minut, podczas których opowiem pani, jak to się wszystko zaczęło. Chcę, żeby pani o mnie coś wiedziała.

Zebrała myśli próbując odgadnąć, czego Hadden po niej się spodziewa. I z trudem odpędziła wizję Świątyni Isztar,

Haddena, siebie i jeszcze woźnicy rydwanu albo dwóch, dla lepszej miary.

- Przed laty - rozpoczął Hadden - gdy rozpowszechniła się już telewizja komercyjna, skonstruowałem modulator, który automatycznie wyłączał fonię. To jeszcze nie była przystawka rozpoznająca kontekst, to było po prostu coś, co monitorowało amplitudę fali nadawczej. Chodziło o to, że agencje reklamowe coraz bardziej niszczyły programy, w których nadawano te ich wstawki reklamowe. Nadawano je, na przykład, głośniejsz i bardziej nahalnie, niż sam program. Błyskawicznie z ust do ust rozeszła się wiadomość o „Antyogłupiaczu” Haddena. Ludzie odczuwali ulgę, zrzucali jakiś ciężar, mówili nawet o większej radości życia, odkąd uwolniono ich od tego reklamowego śmiecia przez sześć do ośmiu godzin dziennie, bo tyle przeciętny Amerykanin spędza przed telewizorem.

Zanim agencje zorganizowały kontratak, „Antyogłupiacz” stał się niesłychanie popularny, a zarazem zmuszał reklamarzy i kompanie telewizyjne do wymyślania coraz to nowych strategii falowych, przeciw którym Hadden miał już następny pomysł. Doszło do tego, że wymyślał całe ciągi zabezpieczeń przeciw całym ciągom pomysłów, które im jeszcze nawet nie przyszły do głowy. Można by powiedzieć, że zdejmował im z barków wszelkie problemy „wynalazczo-wdrożeniowe” (kosztujące, ma się rozumieć, udziałowców spółek), gdyż każdy ich wynalazek był z góry skazany na przegraną. Im wyżej szła krzywa sprzedaży modulatora Haddena, tym mniej kosztował. Hadden wypowiedział elektroniczną wojnę agencjom reklamowym i wygrywał. Spróbowali więc pozwać go do sądu z oskarżeniem o celowe hamowanie rozwoju handlu. Dość mieli wpływów, by uchylono jego wnioski o oddalenie sprawy, ale nie dość, aby jej w końcu nie wygrał. Jednakże szum wokół procesu zmusił Haddena, by w swych wynalazkach ograniczył się do legalnie istniejących kodów. Krótco potem zgłosił do reklamowania w telewizji swój

nowy produkt, zresztą za pośrednictwem tej samej agencji z Madison Avenue, której obecnie jest cichym współnikiem. Po paru tygodniach zamieszania, filmy reklamujące jego wynalazek wstrzymano. Zaskarżył wszystkie trzy telewizyjne kompanie, tym razem rzeczywiście mogąc dowieść celowego hamowania rozwoju handlu, i otrzymał ogromne odszkodowanie - rekordowe w tym czasie w tego rodzaju sprawach - które w jakiś skromny sposób przyczyniło się do upadku paru telewizyjnych towarzystw.

Oczywiście, zawsze istnieje sporo ludzi tak zakochanych w telewizyjnych reklamach, że „Antyogłupiacz” już absolutnie na nic im się nie zda - stanowią jednak oni wciąż topniejącą mniejszość. Hadden wypatroszył brzuch telewizyjnej reklamy, na czym zyskał ogromne pieniądze, choć i nie mniej osobistych wrogów. Zanim ukazała się w sprzedaży słynna przystawka rozpoznająca kontekst, gotowy był „Antyomamiacz” - submodulator, który można było podłączyć do „Antyogłupiacza” i który natychmiast zmieniał kanał, gdy tylko pokazał się jakiś lewitujący kaznodzieja. Można go było zaprogramować na słowa „Drugie Przyjście”, albo „Wybrani” i przelatywać według tego po wszystkich kanałach. „Antyomamiacz” stał się niezmiernie popularny wśród cierpiącej od dawna w milczeniu i będącej w wiecznej defensywie grupy widzów. Mówiło się, że następny w kolejce jest „Antynawijacz” Haddena, czyli automat wyłączający publiczne wystąpienia prezydentów i premierów.

Gdy się pojawił kolejny szlagier - przystawka rozpoznająca kontekst - okazało się jednak, że ma ona znacznie szersze zastosowanie: od szkół, przez ośrodki naukowe i medycynę, po wywiad wojskowy i szpiegostwo przemysłowe. To w związku z tym powstało słynne „Stany Zjednoczone kontra Zakłady Cybernetyczne Haddena”, albowiem jeden z typów przystawek uznano za zbyt dobry dla cywilów i - w oparciu o zalecenie NSA - zajęto dla potrzeb rządu najwyżej

wyspecjalizowany zakład z najlepiej wyszkolonym personelem. Czytanie listów z Rosji było ważniejsze. A Bóg wie, co by się mogło zdarzyć - tłumaczyli Haddenowi - gdyby, na przykład, Rosjanie to przejęli i zaczęli czytać nasze listy.

Hadden odmówił jednak jakiegokolwiek współpracy i przysiągł nie zadawać się z niczym, co pachnie bezpieczeństwem narodowym. Rząd znacjonalizował mu fabrykę, choć uważa się za kapitalistyczny, ale gdy - jak się wyraził - trochę pogonić mu kota, wychodzi jego socjalistyczna gęba. Wszystko co robiłem - dodał - to wyczuwałem pragnienia publiczności i stosowałem najnowsze, legalne technologie, by dać ludziom czego potrzebują. To jest klasyczny kapitalizm. Ale też wielu istnieje kapitalistów powściągliwych, którzy twierdzą, że „Antyogłupiacz” to „już przesada” i zagrożenie „prawdziwego, amerykańskiego stylu życia”. W ponurym wstępniaku „Prawdy” jakiś V. Pietrow nazwał go konkretnym przykładem sprzeczności kapitalizmu, na co „Wall Street Journal” zareplikował - może trochę nie na temat - że „Prawda”, jako prawda, to z kolei konkretny przykład sprzeczności komunizmu.

Hadden podejrzewał, że zajęcie jego zakładów „dla potrzeb rządowych” było pretekstem mającym na celu zemstę za atak na telewizyjne lekcje nawiedzonych. „Antyogłupiacz” i „Antyomamiacz” - powtarzał raz za razem - były samą esencją radości płynących z wolnego rynku. Przecież w ekonomii politycznej kapitalizmu nie raz powtarza się, że jego istotą jest swobodny wybór.

- No cóż, brak mojej reklamy to też jakiś wynik swobodnego wyboru. Tak im powiedziałem. Wielkie pieniądze na reklamę znajdują się wtedy, gdy produkty zasadniczo nie różnią się od siebie, bo kiedy pojawi się jakaś istotna różnica, ludzie na pewno kupią to, co ma wyższą jakość. Biznes reklamowy polega na wmawianiu ludziom, że nie potrafią sami dobrze wybierać. Reklama uczy ludzi tępoty. A przecież silny

kraj potrzebuje mądrych ludzi, dlatego uważam „Antyogłupiacz” za dzieło patrioty. Czy pieniędzy na reklamę, którą udaremniał, nie można było przeznaczyć na poprawę jakości produkcji? Konsumenci bardzo by się ucieszyli. Zupełnie nie rozumiem, o co w tym wszystkim chodziło.

„Antyogłupiacz” dużo bardziej przyczynił się do upadku firm reklamowych, niż procesy im wytoczone. Wkrótce pojawiła się nowa kasta bezrobotnych reklamarzy - jeszcze wczoraj wpływowych urzędników korporacji - którzy przysięgli Haddenowi krwawą zemstę. Legion jego przeciwników zresztą do dziś nie maleje... zaiste, musiała zgodzić się ze sobą, że Hadden był niezmiernie interesującym mężczyzną.

- Rozumiem, że pani już chce iść. A ja mam więcej pieniędzy, niż mogę wydać. Żona mnie nie cierpi, mam wrogów na każdej ulicy. Chciałbym zrobić coś ważnego, coś wartego całej tej awantury. Coś co sprawi, że za sto lat ludzie będą mówić: „Jak dobrze, że wtedy znalazł się taki facet”.

- Pan chce...

- Zbudować Maszynę. Widzi pani, że mam po temu wszelkie dane. Najlepszych ekspertów w cybernetyce, w praktycznej cybernetyce, i w biznesie. Lepszych niż ma Carnegie-Mellon, niż MIT, niż Stanford, niż Santa Barbara. Jeżeli z pani planów wynika coś oczywistego, to na pewno jedno, że nie jest to robota dla kogoś z łopata i siekierą. Będzie też pani potrzebować specja od inżynierii genetycznej, więc czy znajdzie pani kogoś bardziej oddanego tym zagadnieniom? Do tego pokrywam wszelkie koszty.

- Doprawdy... panie Hadden... nie ode mnie zależy, kto zbuduje Maszynę. Nie wiem, czy w ogóle dopuszczają mnie do tych decyzji. To nie zależy tylko od Ameryki, politycy całego świata są w to zamieszani. W Paryżu ciągle toczą się dyskusje, czy w ogóle budować Maszynę... jeżeli, i czy w ogóle, odszyfrujemy Wiadomość.

- Czy pani naprawdę myśli, że ja o tym nie wiem?

Przecież wysłałem już ofertę moimi zwykłymi kanałami wpływów i korupcji. Ja po prostu chcę usłyszeć dobre słowo powiedziane w dobrej wierze przez kogoś, kto jest po stronie aniołów. Rozumie pani? A propos aniołów, rzeczywiście, dobrała się pani do skóry temu Palmerowi Jossowi i Rankinowi... Od czasu ich kłótni o wody płodowe Marii Panny nie widziałem, żeby się tak starli. Rankin wykręca się teraz, że specjalnie źle zacytowano jego wypowiedź o budowie Maszyny... oj, joj...

Potrząsnął głową w szyderyczym zatroskaniu. Odniosła wrażenie, że zapiekła wrogość dzieli wynalazcę „Antyomamiacza” od tamtych dwóch prozelitów, i z jakiegoś powodu poczuła pragnienie, by ich bronić.

- Są dużo mądrzejsi, niż się panu zdaje. A Palmer Joss to... cóż, na pewno nie szarlatan.

- Ma pani pewność, że on nie jest... hm, jeszcze jednym ładnym chłopaczkiem? Proszę wybaczyć, ale zrozumieć coś takiego w sobie uważam za podstawową rzecz. Za wiele zła dzieje się, gdy ludzie tego nie rozumieją. Ja dobrze znam tych dobrotliwych kłownów, kiedy przychodzi co do czego, zmieniają się w szakale. Dla wielu ludzi religia jest magnesem. Wie pani, również seksualnym. Powinna pani kiedyś zobaczyć, co dzieje się w Świątyni Isztar.

Opanowała nagły odruch wstrętu.

- Myślę, że jednak wypiję drinka - powiedziała.

Patrząc z podniebnej, luksusowej mansardy, widziała schodzące w dół kondygnacje Zikkuratu obwieszane naturalnymi i sztucznymi kwiatami. Rekonstrukcja Wiszących Ogrodów Babilonu - jednego z Siedmiu Cudów starożytnego świata, jakimś cudem wcale nie przypominająca kwiatnych draperii w stylu hotelu Hyatt. Na samym dole, w oddali, ujrzała procesję z pochodniami, która od Zikkuratu sunęła ku Bramie Enlila. Na jej czele czterech muskularnych, obnażonych do pasa mężczyzn dźwigało coś w rodzaju lektyki - kto był w środku,

tego nie widziała.

- To pochód ku czci Gilgamesza, jednego ze starożytnych sumeryjskich bohaterów.

- Tak, słyszałam o nim.

- Być nieśmiertelnym. To był jego biznes. - Powiedział to rzeczowym tonem, zerkając na zegarek.

- Jesteśmy na szczycie Zikkuratu, wie pani. W miejscu, do którego zachodzili królowie, by odbierać instrukcję od bogów. Zwłaszcza od Anu, boga niebios. A propos, szukałem, jak w Mezopotamii nazywano Vegę. Tiranna. Życie Nieba. Śmiesznie, czy nie?

- A pan? Czy otrzymał jakieś instrukcje?

- Nie. Oni nie do mnie przyszli, a do pani? O dziewiątej będzie następny pochód Gilgamesza.

- Obawiam się, że nie będę mogła zostać. Ale proszę pozwolić na jeszcze jedno pytanie... Dlaczego Babilon? Albo Pompeje? Pan, jeden z najbardziej pomysłowych ludzi naszych czasów, który zbudował niejedną gałąź przemysłu, pokonał sieć kompanii reklamowych na ich własnym boisku... No prawda, od Bezpieczeństwa dostał pan lanie w związku z tą przystawką rozpoznająca kontekst. Ale nadal jest masa rzeczy, które mógłby pan robić. Dlaczego właśnie... to?

W oddali procesja zbliżała się do Świątyni Aszura.

- Dlaczego nie coś... wartościowszego? - spytał. - Ja po prostu chcę zaspokoić pragnienia społeczeństwa, które rząd ignoruje albo ich nie dostrzega. To jest kapitalizm. To zgodne z prawem. To wielu ludziom przysparza radości. Ale też myślę, że to jest zawór bezpieczeństwa dla wszystkich szaleńców, których to społeczeństwo bez przerwy produkuje. Teraz tak myślę, ale gdy zaczynałem, miałem prostsze powody. Dokładnie pamiętam chwilę, gdy mi zaświtał pomysł z Babilonem. W Disneylandzie, kiedy płynąłem parowcem kołowym, takim jak na Missisipi, z moim wnuczkiem Jasonem. Miał cztery latka, pięć, a ja akurat rozmyślałem, jacy to mądrzy

ludzie, ci od Disneya, że nie pobierają opłaty za każdą atrakcję, ale przy wejściu dają całonocny bilet. Możesz sobie chodzić, gdzie chcesz. Trochę stracili, ale więcej zyskali, na przykład, na etatach bileterów, albo co ważniejsze, na psychologii. Ludzie przeceniają swe apetyty na rozrywkę. Weszliby tu i tam płacąc dodatkowo, a otrzymaliby coś, co by ich rozczarowało. Drugi raz tu nie przyjdą i jeszcze zniechęcą innych. A obok mnie i Jasona siedział ośmio-, może dziesięcioletni chłopiec zapatrzonego w przestrzeń. Na pytania ojca odpowiadał monosylabami i tylko pieścił lufę karabinu-zabawki, który wziął ze sobą na pokład. Trzymał go między nogami i jednego pragnął - żeby zostawić go w spokoju i pozwolić mu gładzić swój karabin. Za jego plecami wznosiły się mury i wieże Krainy Czarów... i nagle wszystkie te rzeczy zbiegły się w jedną, rozumie pani?

Napełnił plastikowy kubek dietetyczną colą i stuknął o jej szklanekę:

- Na pohybel wrogom! Będę musiał powiedzieć, żeby wyprowadzono panią przez Bramę Isztar. Obok Bramy Enlila za duży ścisk z powodu tej procesji.

Dwuosobowa obstawa wyrosła jak spod ziemi. Było jasne, że audiencja dobiegła końca. Nie miała ochoty iść.

- Niech pani pamięta o modulacji fazy i sprawdzeniu absorpcji tlenowej. Nawet jeśli myślę się w sprawie elementarza, proszę pamiętać: jestem jedynym człowiekiem, który zbuduje Maszynę!

Potężne reflektory oświetliły Bramę Isztar pokrytą fryzami z glazurowanej cegły, przedstawiającymi jakieś błękitne stwory.

Archeolodzy nazywają je smokami.

ROZDZIAŁ 14

Oscylator harmoniczny

Sceptycyzm u intelektualisty oznacza prostotę smaku i żalować należy, iż u niektórych ludzi kapituluje on zbyt łatwo przed pierwszym, który nas chce przekonać. Dowodem prawdziwego szlachectwa jest umieć przechować go w chłodzie myśli przez całą długą młodość, by wreszcie, w pełni instynktu i rozwagi, bezpiecznie go wymienić za szczęście i wierność.

GEORGE SANTAYANA

Scepticism and Animal Faith, IX

Kichnąwszy, próbowała wygrzebać czysty kawałek ligniny z wypchanej kieszeni prezydenckiego szlafroka. Nie miała makijażu, choć na spierzchniętych wargach widniały ślady wazelinowej szminki.

- Mój lekarz każe mi leżeć w łóżku, bo mogę dostać wirusowego zapalenia płuc. Kiedy go proszę o antybiotyk, mówi, że nie ma antybiotyków na wirusy. Skąd on wie, że we mnie wlaź wirus?

Der Heer chciał coś powiedzieć, ale ruchem dłoni zatrzymała go z półotwartymi ustami.

- Daj spokój, na pewno zaczniesz mi opowiadać o DNA i o rozpoznawaniu białek gospodarza, a ja wtedy zacznę się wysilać, żeby przypomnieć sobie, co jeszcze pamiętam ze szkoły. Weź krzesło i chodź tu, jeśli mój wirus cię nie przeraża.

- Dziękuję, pani Prezydent. Mam ze sobą coś na temat elementarza. Raport. Otóż znaleźliśmy długi fragment wyglądający na instruktaż, który dołączono do głównego tekstu w charakterze aneksu. Myślę, że to panią zaciekawii, bo mówiąc krótko, czytamy już i rozumiemy tekst bez większego trudu. To

piekielnie inteligentny elementarz... nie mówię „piekielny” w sensie dosłownym. Mamy już mały słowniczek składający się z około trzech tysięcy słów.

- Nie bardzo rozumiem, jak to możliwe. Owszem, potrafię wyobrazić sobie ich wykład na temat liczebników: robi się kropkę i pod nią pisze JEDEN, dwie kropki, DWA, i tak dalej. Albo za pomocą obrazków: rysuje się gwiazdkę i podpisuje: GWIAZDA. Ale nie rozumiem, jak w taki sam sposób można wytłumaczyć czasownik, czas przeszły albo zasadę zdań warunkowych.

- Częściowo posługują się filmem. Film jest najlepszy dla czasowników. I mnóstwo tłumaczy za pomocą numerów, nawet pojęcia abstrakcyjne. To wygląda mniej więcej tak: oni wpierw odliczają kolejne numery symbolicznymi słowami, i nagle wprowadzają takie, którego nie rozumiemy. Pokażę pani ich słowa za pomocą liter. O, na przykład, odebraliśmy taką sekwencję, przy czym literami zastępuję symbole graficzne, którymi posługują się Veganie. I napisał:

1 A 1 B 2 Z

1 A 2 B 3 Z

1 A 7 B 8 Z

- Jak pani myśli, co to jest?

- Hm, fiszka moich ocen na maturze? Czy sugeruje pan, że pańska litera A to w tekście kombinacja kropek i kresek, litera B, też, ale inna. I tak dalej?

- Dokładnie tak. Idźmy dalej: co znaczy jedynka i dwójka od dziecka wiemy, pomyślmy więc za to, jakie znaczenia mogą się kryć pod literami. Niech pani pomyśli, czy ich układ nie mówi pani czegoś?

- Litera A może znaczyć „plus”, a litera B „równa się”. Dobrze wymyśliłam?

- Świetnie. Teraz zastanówmy się, po co jest Z. Niech pani zanalizuje taki zapis:

1 A 2 B 4 Y

- Zrozumiała pani?

- Może. Niech pan mi da coś jeszcze z literą Y.

2000 A 4000 B 0 Y

- W porządku, chyba wiem. Pod warunkiem, że ostatnich trzech symboli nie czytam jako słowa. Litera Z znaczy „prawdziwe”, a litera Y, „fałszywe”.

- Po prostu wspaniale, szczególnie jak na prezydenta, który ma wirusa i kryzys w RPA. Oto więc za pomocą paru linijek nauczyli nas czterech słów: „dodać”, „równa się”, „prawdziwe”, „fałszywe”. Czterech całkiem przydatnych słów. W ten sam sposób udało się dotrzeć do słów: „dzielić”, „podzielność przez zero” i „nieskończony”, choć akurat to słowo mogłoby też znaczyć „nieokreślony”. Zrozumieliśmy twierdzenie: „suma kątów wewnętrznych trójkąta równa się dwu kątom prostym”, a następnie komentarz, iż twierdzenie to jest prawdziwe tylko dla przestrzeni płaskiej, dla zakrzywionej jest fałszywe. Dzięki temu twierdzeniu nauczyliśmy się słowa „jeśli”, a poza tym...

- Ciekawe, nie wiedziałam, że przestrzeń może być płaska lub zakrzywiona. Co ty mi opowiadasz, Ken, czy przestrzeń może być krzywa?! No już dobrze, dobrze, dajmy pokój. To w końcu głupstwo w porównaniu z tym, co przed nami leży.

- Właściwie...

- Salomon Hadden mówił mi, że to on wpadł na to, gdzie jest elementarz. Co ty tak na mnie patrzysz, der Heer? Ja nie zamykam przed nikim drzwi.

- Na myśli miałem... och... O ile wiem, Hadden zgłosił tylko jedną czy dwie sugestie, które zresztą od dawna były w Argusie brane pod uwagę. Doktor Arroway wszystkie wypróbowała i rzeczywiście, w jednym przypadku udało się wreszcie strzelić gola. To się nazywa modulacją fazy. Albo kodowaniem fazy.

- No widzisz. Czyli że elementarz rozsiały jest po całym

tekście Wiadomości, zgadza się Ken? I powtarza się mnóstwo razy. Z tego jeden raz występuje na samym początku, gdy akurat Arroway zaczynała nasłuch?

- Niezupełnie. Raczej tuż zaraz po odkryciu Trzeciej Warstwy palimpsestu. Tego instruktażu budowy.

- Czy inne kraje już wiedzą jak odczytywać elementarz?

- Potrzebują urządzenia, które nazywa się korelatorem fazowym. Ale... tak, przynajmniej kraje, które się liczą.

- Czy to znaczy, że Rosjanie mogli odczytać elementarz już dajmy na to, rok temu? I Chińczycy? I Japonia? Skąd mamy wiedzieć, czy nie mają Maszyny już do połowy zbudowanej?

- Myślałem i o tym, ale Marvin Yang zapewnia mnie, że to wykluczone. Fotografia satelitarna, wywiad elektroniczny, różni poważni ludzie... wszyscy są zgodni, że brak nawet śladu jakiejś poważniejszej budowy, a taką niewątpliwie byłoby konstruowanie Maszyny. Ale cóż, zgadzam się, że trochę przespaliśmy sprawę. Zaślepiła nas pewność, że elementarz przysłano na samym początku, kiedy Wiadomość nie była jeszcze odbierana. I dopiero jak Wiadomość nawróciła i okazało się, że nic tam nie ma, zaczęliśmy brać pod uwagę inne ewentualności. Wszystko zresztą w ścisłej współpracy z Rosjanami i innymi krajami. Nie myślę, aby ktokolwiek nas w tej chwili wyprzedzał, choć wygląda na to, że prawie wszyscy mają elementarz. Uważam, że jak o nas chodzi, winniśmy wykluczyć taktykę działań jednostronnych...

- A czy ja chcę, jak o nas chodzi, taktyki działań jednostronnych?! Chcę tylko pewności, że w innych krajach też wykluczono taktykę działań jednostronnych. Ojej, już dość. Wracajmy do elementarza. Więc wiecie już, jak się mówi „prawdziwe-fałszywe”, „jeżeli - wobec tego”... A także, że przestrzeń bywa zakrzywiona. I jak wy z tego chcecie ulepić Maszynę?

- Bardzo przepraszam, pani Prezydent. Chyba ta grypa panią, pardon, rozleniwiała i nawet nie próbuje mnie pani

rozumieć. Przedstawiłem zaledwie sam początek, od tego wszystko dopiero się zaczyna. Mamy już tablicę pierwiastków chemicznych, którą nam wyrysowali, nauczyliśmy się wszystkich ich nazw, pojęcia atomu, jądra, protonów, neutronów, elektronów. Zrobili też nam małą klasówkę z mechaniki kwantowej, chyba chcą mieć pewność, że nie mówią do baranów. Wpadliśmy już na parę ciekawych nowin z dziedziny chemii farmakologicznej, na koniec doszliśmy do miejsca, w którym jest mowa o materiałach potrzebnych do budowy. Będziemy, na przykład, potrzebowali w jakimś celu dwóch ton erbu; przedstawili ciekawy sposób jego ekstrakcji. Ze zwykłej skały - der Heer uniósł dłoń w uspokajającym geście. - Tylko proszę nie pytać, po co tyle erbu. Nie wiemy.

- Czy ja zamierzałam pytać, po co tyle erbu? Wolałabym wiedzieć, jak wam powiedzieli, że im chodzi o tony.

- Wylczyli to według stałej Plancka. Stała Plancka jest...

- Dobrze, dobrze... z całą pewnością czymś, o czym wszyscy fizycy kosmosu świetnie wiedzą. Tylko ja nigdy o niej nie słyszałam. Wróćmy do spraw zasadniczych: czy rozszyfrowaliśmy Wiadomość wystarczająco, aby przystąpić do budowy Maszyny? I czy jesteśmy w stanie ją zbudować, czy nie?

- Uważam, że odpowiedź winna być twierdząca. Mamy elementarz zaledwie od paru tygodni, a już całe rozdziały Wiadomości szeroko otwierają się przed nami. To niesłychanie dokładny projekt, objaśnienia wciąż się powtarzają i, jak możemy się przekonać, instruktaż wlecze się w nieskończoność. Trójwymiarowy model Maszyny będzie dla pani gotowy dokładnie na czwartek, na to spotkanie w sprawie doboru załogi. Czy to pani odpowiada? Nie wiemy wciąż, jakie ma być przeznaczenie Maszyny, ani jak działa. Do tego mają wejść w jej skład różne nieprawdopodobne substancje organiczne, kompletnie nie wiemy po co. Ale chyba wszyscy są tego samego zdania: Maszynę trzeba zbudować.

- Czy ktoś się nie zgadza?

- No cóż, Łunaczarski. I Rosjanie. Również Bili Jo Rankin, to oczywiste. Nadal jest wielu takich, którzy obawiają się, że Maszyna wysadzi w powietrze cały świat, albo przekrzywi jego oś. Ale wszystkich zdumiewa, jak precyzyjna jest ta instrukcja, ile opisuje sposobów dojścia do jednej rzeczy różnymi drogami.

- A co mówi Eleanor Arroway?

- Że jeśli nas zechcą wykończyć, to mogą sobie przylecieć za dwadzieścia pięć lat. To dla nas i tak za krótko, żeby pomyśleć o skutecznej obronie, za bardzo nas wyprzedzają. Tak mówi, zbudujmy sobie Maszynę, zaś jeśli padają argumenty ze strony ochrony środowiska, to ją zbudujmy gdzieś na pustkowiu. Profesor Drumlin mówi, że jak o niego chodzi, budowałby nawet w centrum Pasadeny. Zresztą nie zamierza odstępować Maszyny o krok przez cały czas budowy, więc w razie czego pierwszy wyleci w powietrze.

- Drumlin? Ten, który pierwszy wpadł na pomysł, że to instrukcja, zgadza się?

- Nie całkiem. On...

- Wszystko co powinnam wiedzieć, przeczytałam sobie przed czwartkowym spotkaniem. Czy jeszcze masz coś do mnie?

- Poważnie zamierza pani zlecić budowę Haddenowi?

- No cóż, jak wiesz, to nie tylko ode mnie zależy. Umowa, której w Paryżu ciągle nie mogą upichcić, obciąża nas tylko jedną czwartą kosztów. I Rosjanie zapłacą jedną czwartą, Japonia razem z Chinami, też. Resztę pokryją wspólnie pozostałe kraje. Tak niby miałyby to wyglądać. Zasadniczo, każdy pcha się jak najęty, żeby budować, albo choć wetknąć w tę Maszynę nos. Chodzi o prestiż, o nowe technologie, w ogóle, żeby być na fali. Nie mam nic przeciw temu, oczywiście, tak długo, dopóki nikt nie próbuje nas wyprzedzić. Możliwe, że i Haddena jakoś w to wmontujemy. O co chodzi, Ken? Czy jego

technologiczne możliwości tobie nie odpowiadają?

- Och, nie. Odpowiadają, z pewnością, tylko że on...

- Jeśli już nic innego nie masz, to do zobaczenia w czwartek. Jeśli wirus pozwoli.

Potężne kichnięcie Prezydent dogoniło go z sąsiedniego pokoju, gdy już zamknął za sobą drzwi. Dyżurny podoficer, sztywno usadowiony na kanapie, aż podskoczył. Teczka u jego stóp pękała w szwach od upoważnień szyfrowych na wypadek ataku nuklearnego. Der Heer uspokoił go kilkakrotnym kiwnięciem półuchylonej dłoni. Oficer uśmiechnął się z zażenowaniem.

- To Vega? I cały ten zamęt tylko z jej powodu? - Prezydent była wyraźnie rozczarowana. Właśnie zakończono sesję z dziennikarzami i oczy jej, prawie oślepięte żarówkami fleszy i telewizyjnymi reflektorami, już się powoli adaptowały do ciemności. Zdjęcia Prezydent wpatrującej się sokolim okiem w teleskop Obserwatorium Marynarki Wojennej, które nazajutrz obiegną prasę, były oczywiście montażem - kompletnie nic nie widziała w teleskopie, dopóki reporterzy się nie wynieśli, a w sali zapanowała ciemność.

- Dlaczego ona się buja?

- To turbulencja powietrza, pani Prezydent - pospieszył z wyjaśnieniem der Heer. - Ogrzane cząsteczki powietrza przepływają i deformują obraz.

- Zupełnie jakbym patrzyła na Seymourka przy śniadaniu, kiedy między nami stoi opiekacz do grzanek. Kiedyś odplynęło mu całe pół twarzy - powiedziała z udanym przejęciem, podnosząc głos tak, by ją usłyszał prezydencki małżonek, zajęty akurat rozmową z umundurowanym Komendantem Obserwatorium.

- O, tak, z pewnością! - bystro zareagował. - Choć już od dość dawna nie było grzanek na śniadanie.

Przed pójściem na emeryturę, Seymour Lasker zajmował

wysokie stanowisko w Związku Zawodowym Wytwórców Damskiej Odzieży. Obecną swoją żonę poznał wiele lat temu, gdy pojawiła się jako delegat Nowojorskiej Kompanii Dziewczęcych Płaszczków. Podczas przedłużających się obrad nad ustawami zbiorowymi zakochali się w sobie i ta wyraźna, trwająca do dziś między nimi zażyłość była powszechnie doceniana, zważywszy obecną różnicę sytuacji społecznej ich dwojga.

- Bez grzanek jakoś sobie radzę, ale bez Seymourka przy śniadaniu, nie - żartobliwie ruszyła brwiami odwróciwszy twarz ku niemu, po czym wróciła do okularu.

- To mi wygląda na niebieską amebę... Taka... galereta. Po uciążliwym spotkaniu mającym za zadanie wybór załogi, Prezydent była już w lepszym nastroju. Do tego grypa prawie przeszła.

- A gdyby nie było tej turbulencji, Ken? Co bym wtedy widziała?

- Obraz dokładnie odpowiadający temu, co byłoby widać z teleskopu zawieszonego w kosmosie. Nieruchomy, nie mrugający punkt świetlny.

- Samą gwiazdę? Vegę? Bez planet, bez pierścieni? Bez satelitów do wojny laserowej?

- Bez, pani Prezydent. To wszystko jest za małe i za blade, żeby to spostrzec. Nawet wielkim teleskopem.

- No cóż, mam nadzieję, że wy, naukowcy, wiecie co robicie - powiedziała cicho, prawie do siebie. - Diabelnie wiele inwestujemy w coś, czego nikt nie oglądał na oczy.

Uwaga ta wyraźnie poruszyła der Heera.

- Chwileczkę, przecież przejrzelśmy trzydzieści trzy tysiące stron tekstu. Obrazki, słowa, wielki elementarz...

- Przejrzeć książkę to nie to samo, co przeczytać ją. Przynajmniej tak mi się zdaje. Cała ta sprawa jest jak dla mnie trochę za bardzo... poszlakowa. Nie musisz mi przypominać, że wszyscy naukowcy świata otrzymali identyczne dane, wiem. I

że instruktarz jest jednoznaczny, wyraźny, to już też słyszałam. I że ktoś inny zbuduje to za nas, jeśli się wycofamy. Racja, racja, racja. A jednak... wciąż we mnie jest niepokój.

Obszedłszy spacerem zespół Obserwatorium Marynarki Wojennej, cała prezydencka świta wylądowała w apartamentach Wiceprezydenta Stanów Zjednoczonych. Tydzień temu opracowano w Paryżu wstępny projekt rozkładu sił wśród pięciu foteli załogi: USA i ZSRR upierały się, by każdemu przyznano prawo do dwóch kandydatów (w takich sprawach oba kraje wykazywały uderzającą jednomyślność). Jednak pozostałym członkom Konsorcjum trudno było się z tym zgodzić i ku zaskoczeniu obu supermocarstw, jakieś małe państewka ośmielały się im sprzeciwić, co jeszcze niedawno byłoby nie do pomyślenia. Zresztą cały projekt zdążył już przybrać piękne propagandowe miano „inicjatywy całej ludzkości”, a i samo Konsorcjum Wiadomości zaczęło w potocznej mowie nazywać Światowym Konsorcjum Maszyny. Każdy kraj, który zdołał uchwycić choć strzępek Wiadomości, uznawał to za najzupełniej wystarczający powód, aby domagać się udziału swojego człowieka w załodze. Na przykład, Chiny warczały, że w połowie przyszłego stulecia na świecie będzie już półtora miliarda żółtej rasy, z czego wielu potomków obecnego chińskiego eksperymentu demograficznego produkującego dzieci dużo inteligentniejsze i bardziej zrównoważone, niż z kultur nadal bawiących się w „prawa naturalne” w rodzinie. Na razie więc domagają się tylko jednego fotela w Maszynie, choć nie trzeba będzie długo czekać, gdy Chiny będą się trochę bardziej liczyć w świecie, niż to się niektórym zdaje. Z jakiegoś powodu tę argumentację powtarzały ze szczególną ochotą kraje, które ani na Wiadomość, ani na Maszynę specjalnego wpływu nie miały.

Europa Zachodnia i Japonia zrezygnowały ze swych uczestnictw w zamian za główną rolę w przygotowaniu komponentów do budowy, z czego miały zamiar zdaje się

wyciągnąć gospodarcze korzyści. W końcu ustalono, że Stany Zjednoczone, ZSRR, Chiny i Indie otrzymają po jednym miejscu, co stało się początkiem żmudnych obrad nad kandydatem na miejsce piąte. Brano pod uwagę rozmiary danego kraju, liczbę ludności, jego siłę militarną, ekonomiczną lub polityczną, a także rolę w układach międzynarodowych i zasługi w historii. Brazylia i Indonezja szermowały liczbą swych obywateli, nie omieszkając napomykać o dyskryminacji „niektórych regionów”; Szwecja próbowała wślizgnąć się proponując mediacje we wszelkich możliwych sporach, zaś Egipt, Irak, Pakistan i Arabia Saudyjska zgłaszały roszczenia natury religijnej. Reszta ratowała się, wzywając do selekcji nie opartej na przynależności narodowej, a na profesjonalnej zdadności kandydata. Na wszelki wypadek nic więc nie zdecydowano, odkładając pytanie o piąty fotel na później.

Koła naukowe, rządowe i w ogóle wszyscy, którzy w czterech wybranych krajach mieli coś do powiedzenia, oddali się teraz gorliwym debatom nad kandydaturami. Prawdziwe referendum ogólnonarodowe rozpętało się w USA, w którym większą lub mniejszą zajadłością odznaczyli się urzędnicy ośrodków badania opinii publicznej, przywódcy religijni, znani sportowcy, astronauty, laureaci Honorowych Orderów Kongresu, naukowcy, aktorzy, żony poprzednich prezydentów, konferansjerzy programów rozrywkowych, lektorzy dzienników telewizyjnych, milionerzy o politycznych ambicjach, prezesi fundacji, piosenkarze country, muzycy rockowi, rektorzy uniwersytetów i laureatki konkursów na Miss America.

Odkąd rezydencję Wiceprezydenta przeniesiono na teren Obserwatorium Marynarki Wojennej, utarła się tradycja, że rolę służby domowej pełnią Filipińczycy w randze podoficerów, odbywający regularną służbę wojskową. W pięknych granatowych mundurach z naszywkami „Wiceprezydent Stanów Zjednoczonych” podają teraz kawę uczestnikom tej

półprywatnej narady nad wyborem załogi, na którą celowo nie zaproszono żadnego z oficjeli najżywotniej tym zainteresowanych.

Seymour Lasker, First Gentleman Ameryki, dźwigał samotność swego losu (i swe karykatury na pierwszych stronach gazet, i tłuste dowcipasy, że „oto pionier, który zapuścił się na dzikie tereny nie tknięte dotąd męską ręką”) z takim samozaparciem i poczuciem humoru, że w końcu Amerykanie wybaczyli mu jego rolę przy kobiecie, której się zwidziało, że może rządzić połową świata. Właśnie zabawiał żonę wiceprezydenta z jej nastoletnim synem (który co chwila wybuchał wrzaskliwym śmiechem), gdy Prezydent kiwnęła na der Heera, by przeszedł za nią do sąsiadującej z salonem biblioteki.

- No ładnie - zagaiła - wprawdzie nie zamierzamy podejmować dziś żadnej oficjalnej decyzji, ani tym bardziej niczego oświadczać prasie, ale podsumujmy wszystko, co w tej chwili mamy. Nadal nie wiemy, co to cholerne Maszynisko zamierza z nami zrobić, założmy jednak wersję najbardziej prawdopodobną. Że poleci na Vegę. Wprawdzie nikt również nie ma pojęcia, jak to pudło ma zamiar wystartować, ani ile czasu będzie trwał lot. Czy wiesz może jak jest daleko na Vegę?

- Dwadzieścia sześć lat świetlnych, pani Prezydent.

- To znaczy, że jeśli będzie leciała z prędkością światła, nie przeszkadzaj mi der Heer, wiem, że niezupełnie z tą prędkością, a trochę wolniej, to potrzebować będą dwudziestu sześciu lat, żeby tam się znaleźć. Oczywiście, mówimy o pomiarze czasu, jaki będziemy wykonywać tu, na Ziemi. Zgadza się?

- Tak jest. Plus jeden rok nadgonienia do rzeczywistej prędkości światła, i drugi na hamowanie po wejściu w Układ Vegi. Z punktu widzenia załogi wszystko będzie trwało krócej, może zaledwie kilka lat, zależnie od tego, jak zbliżoną do

prędkości światła rozwiną szybkość.

- Jak na biologa, der Heer, sporo wiesz o radioastronomii.

- Dziękuję, pani Prezydent. Robiłem, co mogłem, żeby się podszkolić.

Przez chwilę uważnie mu się przyglądała.

- A więc jeśli Maszyna rozwinie prędkość maksymalnie zbliżoną do prędkości światła - podjęła - to wiek załogi przestaje odgrywać dla nas zasadnicze znaczenie. Ale wiem, że nie wykluczasz możliwości, iż lot może potrwać dłużej, dziesięć, nawet dwadzieścia lat, dobrze mówię? A wtedy potrzebujemy kogoś młodszego. Rosjanie są, oczywiście, głusi i ślepi na ten problem. Archangielski i Łunaczarski - odczytała lekko się zacinając z fiszki, którą trzymała w dłoni - mają zdrowo po sześćdziesiątce. Chińczycy na pewno wyślą Xi, który ma sześćdziesiąt lat. Gdybym więc była w pełni przekonana, że wiedzą, co czynią, też powiedziałabym: „e, do licha, dlaczego nie wysłać kogoś pod sześćdziesiątkę?”

Der Heer pomyślał, że wiek Drumlina wynosi dokładnie sześćdziesiąt lat.

- Ale z drugiej strony... - spróbował zaprzeczyć.

- Wiem, wiem. Ta doktor z Indii, która dopiero ukończyła czterdzieści... A swoją drogą... Wszystko jest takie beznadziejnie głupie, pomyśl tylko. Wysyłamy kogoś na olimpiadę, a pojęcia nie mamy w jakich ma startować dyscyplinach. Dlaczego wciąż mówimy tylko o uczonych? Ooo, Mahatma Gandhi, ten to byłby wymarzony kandydat. Albo, bardziej pod gust Amerykanów, Jezus Chrystus... proszę cię, der Heer, tylko mi nie mów, że trudno ci będzie zwrócić się do nich. Tyle to ja też wiem.

- Kiedy nic się nie wie o dyscyplinach, to się wysyła mistrza w dziesięcioboju.

- A potem się okazuje, że dyscyplinami są szachy, popisy krasomówcze i rzeźba. I twój wielki champion ląduje na

ostatnim miejscu, o'kay. Mówisz więc, że powinien to być ktoś, kto zajmował się dłuższy czas życiem poza Ziemią, i kto był najbliższej Wiadomości i jej rozszyfrowania.

- Ktoś taki będzie miał choć trochę orientacji w sposobie myślenia Vegan. Lub przynajmniej, jak Veganie wyobrażają sobie nasze myślenie.

- Rozumiem, że zawiądasz naszą reprezentację narodową do trzech osób - znowu zerknęła na kartkę - do Arroway, Drumlina i... zaraz, tego kogoś, kto uważa siebie za rzymskiego konsula.

- Doktora Valeriana, pani Prezydent. Nic mi nie wiadomo o tym, żeby uważał się za rzymskiego konsula. On się tak nazywa.

- Valerian... Nawet nie odpowiedział na kwestionariusz Komisji Selekcyjnej. Miał to gdzieś, bo nie chciał zostawić swojej żonki. Ja o to nie mam pretensji, ani nie uważam go za palanta. On po prostu umie pilnować swego rodzinnego stadka. Czy to prawda, że jego żona jest chora albo coś w tym rodzaju?

- Nieee, o ile wiem, cieszy się świetnym zdrowiem.

- No i ładnie. Niech im się wiedzie. Poślij jej, z łaski swojej, liścik ode mnie, jak ona to robi, jako żona wybitnego astronoma, że facet rzuca dla niej cały kosmos. Tylko to sprytnie sformułuj, wiesz o czym myślę. I jakiś cytacik wierszem, byle nie zanadto wylewny - wycelowwała w der Heera wskazujący palec. - A wiesz? Ci Valerianowie mogliby skądinąd być dla nas wszystkich jakąś lekcją. Może by zaprosić ich na jakiś rządowy obiad? Król Nepalu będzie nas wizytował za jakieś dwa tygodnie, to im powinno pasować.

Der Heer pilnie notował. Będzie teraz musiał wykonać wiele telefonów do sekretariatu Białego Domu, a ma przecież dużo ważniejszą rozmowę do odbycia. Już od paru godzin próbował urwać się do telefonu.

- No więc kto nam zostaje? Arroway. I Drumlin. Ona ma jakieś dwadzieścia lat mniej, za to on cieszy się ponoć

fantastycznym zdrowiem. Lata na lotni, skacze do wody, nurkuje... Do tego świetny naukowiec. Złamanie szyfru to w wielkiej mierze jego zasługa, no i będzie miał zabawę, kłócąc się całą drogę z tymi dziadkami. Nie pracował, o ile wiem, przy broni jądrowej? Nie życzę sobie wysyłać kogoś, kto miał do czynienia z bronią jądrową. Zaś ta Arroway... również wybitny uczony. Sama ciągnęła przez lata cały Projekt Argus, a Wiadomość zna na wyrywki. Ma bardzo dociekliwy umysł i wszyscy są zgodni co do jej wybitnie szerokich zainteresowań. Do tego może reprezentować na Vedze typ młodszego Amerykanina... - urwała.

- Ona ci się podoba, Ken? - podjęła po chwili. - To nic złego. Ja też ją lubię. Tylko że ona potrafi czasem strzelić z biodra. Czy uważnie oglądałeś jej przesłuchanie?

- Chyba wiem, który kawałek ma pani na myśli. Ale Komisja Selekcyjna odpytywała ją przez osiem godzin, więc z czasem zdenerwowało ją coś, co wyglądało na wyjątkowo głupie pytanie. Drumlin jest taki sam, może nauczyła się od niego. Jakiś czas u niego studiowała.

- No tak... jemu też się zdarzało coś palnąć. Tu... na tym VCR mamy wszystko nagrane. Przyciśnij włącznik, Ken.

Na ekranie pojawiła się Ellie podczas przesłuchania w Argusie. Bez trudu rozpoznał wiszący na ścianie pożółkły arkusz z cytatem z Kafki. Ellie wyglądała tak, jakby żałowała już tylko jednego: że w ogóle kiedykolwiek jakieś cholerne coś odezwało się wśród gwiazd. Miała worki pod oczami i bruzdy po obu stronach ust. U nasady nosa pojawiła się głęboka zmarszczka. Na videofilmie wyglądała na kogoś, kto za chwilę zemdleje i Ken uczuł ogarniające go poczucie winy.

- Co myślę, o „światowej eksplozji demograficznej”? - tymczasem zastanawiała się Ellie - to znaczy chodzi wam o to, czy jestem przeciw, czy za? I również, że uważacie to za główny problem, jaki będziemy roztrząsali na Vedze? Wolicie się upewnić, czy nie palnę głupstwa? O'kay. Przeludnienie

globalne jest właśnie tym powodem, dla którego popieram homoseksualistów oraz celibat wśród księży. Bezzenny ksiądz to kapitalny pomysł; to wyklucza możliwość dziedzicznego przekazywania skłonności do fanatyzmu.

Prezydent nacisnęła guzik „pauza”, zatrzymując Ellie w oczekiwaniu na następne pytanie - zaiste zamrożoną, jakby wyciosaną z kamienia.

- Cóż, zgadzam się, że niektóre pytania były dość głupie - westchnęła - ale czyż nie dobraliśmy ich po to, aby wykluczyć, z tak poważnego zadania, na tak eksponowanym stanowisku, w tak wyjątkowo międzynarodowym przedsięwzięciu, osoby o choćby najgłębiej ukrytych poglądach rasistowskich? Zależy nam na tym, specjalnie w tym przypadku, by kraje rozwijające się były po naszej stronie. Och, nie sądzę, żebym dalej musiała wyklądać oczywiste powody, dla których pani Arroway zadano głupie pytanie. Ale jej odpowiedź... nie sądzisz, że dowodzi conajmniej braku taktu? Trochę jest Panną Przemądrzalską, ta twoja Arroway... No nic, popatrzmy na Drumlina.

Z czarną aksamitką, jak do czeskiej polki, zawiązaną pod kołnierzykiem i z opaloną cerą, Drumlin prezentował się nadzwyczaj dziarsko.

- Tak, wiem - mówił akurat - wszyscy podlegamy emocjom. Pamiętajmy jednak, czym tak naprawdę są emocje, to są pobudki do określonych zachowań, pochodzące jeszcze z czasów, gdy byliśmy za głupi, żeby cokolwiek pojmować. Choć pojmowaliśmy, że stado hien lecących na nas z wyciągniętymi pazurami, to może być kłopot. Nie potrzebowaliśmy wtedy znać odpowiedniej dawki adrenaliny, aby odpowiednia reakcja w nas powstała. A ja popieram rozwój emocji w kierunku samokontroli, i to uważać będę za swój wkład w genetyczne doskonalenie człowieka. Doprawdy, nie potrzebuję testosteronu we krwi, żeby mi to się udało. Skąd wasza pewność, że ET, będący tak bardzo względem nas zaawansowani, są typami,

którymi miotają uczucia. Wielu zarzuca mi, iż jestem zbyt chłodny, zbyt opanowany, ale jeśli naprawdę chcecie zrozumieć tamte istoty pozaziemskie, wyślijcie mnie. Jestem do nich bardziej podobny, niż ktokolwiek na tej ziemi.

- Oto mój wybór! - powiedziała Prezydent - jedna ateistka, drugi uważa, że się stamtąd wywodzi. Dlaczego u licha uparliśmy się, żeby słać uczonych? Dlaczego nie kogoś... normalnego? Ach, to retoryczne pytanie - szybko dodała - przecież wiem, dlaczego musimy słać uczonych. Wiadomość jest naukowa, mówi naukowym językiem, a nauka to zdaje się jedyna rzecz, którą dzielimy z Veganami. Oczywiście, jest masa ważnych powodów Ken, i nie lekceważę ich.

- Ona nie jest ateistką - powiedział Ken - jest agnostyczką. Ma otwarty umysł. Nie pozwala się ujarzmić dogmatom. Jest inteligentna, jest ostra i profesjonalna. Poziom jej wiedzy jest wysoki. Pani Prezydent, ona jest tym, kogo szukamy.

- Ken, cieszy mnie twoje poświęcenie dla zachowania integralności projektu. Ale już tam, w sąsiednim pokoju zaczynają się obawy innych ludzi, inne nastawienie, z którego musimy zdawać sobie sprawę. Chyba nie sądzisz, że nie jestem wystarczająco zorientowana, ile niektórzy ludzie będą musieli ponieść wyrzeczeń, żeby ta Machina w końcu poleciała. Więcej niż połowa ludzi, z którymi rozmawiam, sarka, że nie mamy w tym najmniejszego interesu. Cóż, jeśli mówicie, że nie mamy odwrotu, trudno, ale przynajmniej pozwólcie mi wybrać kogoś, kto jest absolutnie bezpieczny. Być może Arroway spełnia wszystkie warunki, o których mówisz, ale nie spełnia jednego. Nie jest bezpieczna. Robię co mogę, żeby tonować nastroje w Kongresie, wśród kościołów, w moim własnym Komitecie Narodowym... Wierzę, że na Palmerze Jossie zrobiła wrażenie, ale za to Billa Jo Rankina doprowadziła do szału. Wczoraj zadzwonił do mnie i powiedział: „Paani prezydent”, bo kiedy on nie zamierza ukrywać niezadowolenia, mówi „paani”... „Ta

Maszyna wleci prosto w ramiona Boga lub Szatana. Ale obojętnie, który z nich będzie czekał u celu, lepiej żeby w załodze znalazł się jakiś wierny Bogu chrześcijanin”. Próbował na mnie wymusić, dla Boga! posługując się nawet koneksjami z Jossem!, wzięcie jego kandydatury pod uwagę. Dla kogoś jak Rankin, Drumlin będzie łatwiejszy do przełknięcia, w żadnym wypadku ona. Prawdę mówiąc, Drumlin to dla mnie taki trochę zimny płaz, ale jest poza tym godny zaufania, patriotyczny, głęboki. Jego naukowy dorobek jest nieskazitelny. I chce lecieć. Nie, oczywiście, to musi być Drumlin. Wszystko co mogę zrobić, to włączyć Arroway na rezerwową listę.

- Mam jej to oznajmić?

- Nie. Przecież nie chcemy, żeby dowiedziała się o tym przed Drumlinem. Dam ci znać dokładnie wtedy, gdy już podjęta będzie ostateczna decyzja, a Drumlin powiadomiony. Och, rozchmurz się, Ken, czyżbyś nie cieszył się, że ona zostanie tu, na Ziemi?

Było już dobrze po szóstej, gdy Ellie zakończyła swoją odprawę przed „tygrysami” z Departamentu Stanu, którzy na odległość wprawdzie, za to nadzwyczaj pilnie kontrolowali przebieg paryskich obrad. Der Heer obiecał, że zadzwoni natychmiast, gdy dobiegnie końca spotkanie w sprawie składu załogi. Chciał, aby pierwsza od niego dowiedziała się o swym wyborze - choć głęboko w sercu nosiła obawę, czy trochę nie przesoliła podczas przesłuchania. W takiej konkurencji łatwo w jednej chwili znaleźć się na końcu, poza dziesiątkami równie chętnych, za to mniej dla komisji kłopotliwych kandydatów. Choć - powtarzała do znudzenia - nigdy nie wolno tracić nadziei...

W hotelu czekała na nią wiadomość. Nie różowa karteczka z nadrukiem „gdy ciebie nie było...”, na jakiej zwykle umieszcza notatkę dyżurny telefonista, lecz zaklejony list bez znaczka, osobiście przez kogoś doręczony.

Spotkajmy się - przeczytała - w Muzeum Nauki i Techniki o ósmej wieczorem. Palmer Joss.

Żadnego „droga pani”, żadnych wytłumaczeń, żadnego choćby „z wyrazami uszanowania” - oto klasyczny przypadek człowieka wiary. List był napisany na firmowym papierze jej hotelu, bez adresu nadawcy, więc Joss musiał zajrzeć tu dziś po południu dowiedziawszy się (zapewne od Sekretarza Stanu), że Ellie przyjechała, i mając nadzieję, że ją zastanie. To był męczący dzień, a najgorsze ze wszystkiego, że tyle czasu marnuje z dala od Wiadomości. Wbrew sobie (gdyż co najmniej połowa jej osoby wzbraniała się przed wyjściem z hotelu) wzięła prysznic, przebrała się, kupiła torebkę orzeszków i już trzy kwadranse później kołysała się w taksówce.

Do zamknięcia brakowało około godziny, więc w muzeum już prawie nikogo nie było. W każdym rogu przestronnego wejściowego hallu znajdowała się wielka, czarniawa maszyna - na przykład, duma dziewiętnastowiecznej tkalni, lub fabryki obuwia, albo dziarsko wygrywający na trąbkach grupce afrykańskich turystów parowy orchestrion „Kalliope”, z Wystawy Światowej 1876 roku. Jossa nigdzie nie było i z trudem powstrzymała się, by nie wykonać obrotu na obcasie i nie pójść sobie. „Jeśli masz spotkać się z Pamerem Jossem w takim muzeum”, zaczęła zamiast tego dedukować, „zaś jedyny raz, gdy miałaś okazję go widzieć to była dyskusja o Wiadomości i religii, więc gdzie, dajmy na to, może się on w tej chwili znajdować?”

Przypomniało to problem wyboru częstotliwości, jaki mieli kiedyś w SETI: nie było jeszcze wtedy żadnych wiadomości od cywilizacji pozaziemskiej, a trzeba było wybrać częstotliwość, na której te istoty (o których nikt nie miał zielonego pojęcia, nawet czy w ogóle istnieją) mogą nadawać. W takich sytuacjach trzeba oprzeć się na jakimś wspólnym elemencie - i my i oni muszą wiedzieć, dajmy na to, jaki jest najbardziej rozpowszechniony w kosmosie atom oraz

częstotliwość radiowa, z którą wysyła fale i je odbiera. Kierując się taką prostą logiką, ustalono dla wszystkich ośrodków SETI wykonujących te pionierskie badania częstotliwość neutralnego atomu wodoru, czyli 1420 megaherców. A w tej chwili? Co byłoby takiego atomu odpowiednikiem? Telefon Aleksandra Grahama Bella? Telegraf? Marconi...? Zaraz, no przecież jasne!

- Czy macie państwo wahadło Foucault'a? - zapytała strażnika.

Stukot jej obcasów niósł się po marmurowych posadzkach, kiedy zbliżyła się do rotundy, w której stał Joss wsparty łokciami o poręcz, i wpatrywał się w mozaikę podłogi przedstawiającą główne kierunki świata. Na ścianie widniała tarcza zegarowa z niektórymi cyferkami obróconymi na opak, a innymi wyraźnie strąconymi tego dnia przez wahadło. Wyglądało na to, że o siódmej wieczór wreszcie ktoś je zatrzymał i teraz zwisało nieruchomo. Byli tu zupełnie sami. Joss już od dobrej chwili słyszał zbliżające się kroki, ale nie odezwał się, nawet gdy Ellie znalazła się blisko niego. Uśmiechnęła się.

- Widzę, że udało się panu zatrzymać wahadło modlitwą.

- Takie cuda byłyby obrazą wiary - odpowiedział.

- Dlaczego? Mnóstwo ludzi by pan nawrócił. Panu Bogu taki drobiazg nie sprawiłby żadnego kłopotu... czy dobrze pamiętam, że pan rozmawia z Nim co dzień? Czy myślę się, co? Czuję, że miałby pan ochotę teraz, na tym harmonicznym oscylatorze sprawdzić moją wiarę w prawa fizyki. Zgadłam?

Zdziwiło ją, że nie wyraził najmniejszego sprzeciwu, ale zdecydowana była w końcu zdać ten egzamin. Zdjęła torebkę z ramienia i zsunęła buty. Joss uprzejmie odsunął mosiężną barierkę i pomógł jej przejść. Pół zeszli, pół ześlizgnęli się w głąb wyłożonej kafelkami niecki, aż stanęli pod nieruchomym odważnikiem. Był czarny, solidny i przez chwilę myślała, czy jest ze stali czy z ołowiu.

- Będzie pan musiał mi pomóc - powiedziała obejmując

odważnik ramionami. Przez chwilę mocowali się z nim, aż udało się go odchylić od pionu pod pożądanym kątem, i równo, na wysokości jej twarzy. Joss uważnie na nią popatrzył. Nie spytał, czy pewna jest, że wie co robi; nie zareagował, gdy nieomal upadła do przodu; nie zainteresował się, czy pamięta o nadaniu wahadłu komponentu prędkości horyzontalnej, kiedy je puści w ruch. Miała za plecami metrowy pas podłogi, która następnie pięła się ukośnie do góry tworząc ściany rotundy. Jeśli tylko coś głupiego nie strzeli mi do głowy - pomyślała - wszystko powinno być proste jak drut.

Puściła wahadło, ciężar poleciał przed siebie.

Okres wahadła prostego - lekko spanikowana pospiesznie powtarzała w pamięci - wynosi 2 pierwiastek z L przez g , gdzie L jest długością wahadła, a g przyspieszeniem zależnym od siły ciężkości. Z powodu tarcia w łożysku, nie może ono wychylić się dalej przy powrocie do pozycji wyjściowej. Wszystko co mogę zrobić, to nie pochylić się ani milimetr do przodu.

Sięgnąwszy prawie przeciwległej barierki, wahadło zawisło na sekundę w górze, po czym runęło ku niej z większą, jak się jej zdawało, prędkością. Nadlatując, przeraźliwie szybko rosło przed jej oczami, już było tuż tuż olbrzymie i rozpędzone... Westchnęła.

- Uchyliłam się - przyznała z rozżaleniem, gdy wahadło poleciało w drugą stronę.

- Niewiele, prawie nie było widać.

- Nie, uchyliłam się.

- Wierzy pani. Naprawdę wierzy pani w naukę. Chociaż w tej wierze jest maleńki margines zwątpienia.

- Nie, to nie to. To ludzki mózg od milionów lat toczy bój z miliardami lat instynktu. Dlatego pańskie zadanie jest o wiele łatwiejsze od mojego.

- W tej sprawie nasze zadanie jest takie samo. Teraz moja kolej - powiedział i odczekawszy chwilę mocno uchwycił

wahadło, gdy osiągnęło najwyższe wychylenie po ich stronie.

- Przecież ja nie zamierzam sprawdzić pańskiej wiary w prawo zachowania energii! - krzyknęła. Joss posłał jej uśmiech i mocno zaparł się stopami.

- Co wy tu wyrabiacie! - rozległ się nagle czyjś ostry głos. - Czyście już całkiem zwariowali?!

Strażnik, który jak zwykle obchodził sale sprawdzając, czy po zamknięciu muzeum wszyscy już sobie poszli, ujrzał nagle w najmniej uczęszczanym zakątku przedziwną kombinację kobiety i mężczyzny, wahadła i przepaści.

- Och, wszystko w porządku, panie oficerze - jowialnie zagadał Joss. - My po prostu sprawdzamy naszą wiarę.

- W Smithsonian Institute nie wolno takich rzeczy robić - obruszył się strażnik - to jest muzeum.

Zaśmieli się oboje i wspólnymi siłami zbalansowali wahadło do pozycji pionowej. Z trudem, pokonując śliskie kafelki, wspięli się po pochyłych ścianach niecki na podłogę.

- Właśnie w Smithsonian Institute należałoby na takie rzeczy pozwolić - powiedziała. - Trzeba znowelizować Punkt Pierwszy Regulaminu.

- Albo Pierwsze Przykazanie - burknął strażnik.

Wsunęła stopy w pantofle i podniosła z podłogi torebkę. Z podniesioną głową, w towarzystwie Palmera Jossa i strażnika, opuściła rotundę. Udało im się przekonać go, by nie tylko nie zawiadamiał policji, ale nawet ich nie spisywał, ale za to do samego wyjścia eskortował ich komplet umundurowanego personelu przekonanego, że następnym posunięciem Ellie i Jossa w pogoni za nieuchwytnym Bogiem, będzie wdrapanie się na parowy orchestrion „Kalliope”.

Ulica była pusta. Szli wzdłuż Mallu nie odzywając się do siebie. Na czystym niebie daleko, nad horyzontem, Ellie bardzo wyraźnie ujrzała Lirę.

- Ta jasna, tam, to Vega - powiedziała.

Joss przez dłuższą chwilę wpatrywał się we wskazane miejsce.

- To rozszyfrowanie - odezwał się wreszcie - to był kawał świetnej roboty.

- Ależ skąd. Banalne. To była najprostrza wiadomość, jaką mogła nam przysłać zaawansowana cywilizacja. Gdybyśmy nie odczytali jej, to dopiero byłaby sensacja. W całym kosmosie.

- Zauważyłem, że pani nie lubi komplementów. Mimo to jestem zdania, że jest to jedno z tych odkryć, które zmieniają kierunek przyszłości. A przynajmniej nasze wobec niej oczekiwania. Taki był wynalazek ognia, pisma, uprawy. Albo Zwiastowanie.

Znów spojrzał na Vegę.

- Gdyby wywalczyła pani fotel w Maszynie i poleciała do tych, którzy ją nam nasłali, czego się pani spodziewa? Co chciałyby tam znaleźć?

- Ewolucję odbywającą się według praw nieprawdopodobieństwa. Za dużo już tych wszystkich rozsądnych przewidywań, jak może wyglądać życie pozaziemskie. Wyobraźmy sobie Ziemię przed powstaniem życia, czy ktoś wtedy był w stanie przewidzieć pasikonika lub żyrafę?

- Ja znam odpowiedź na to pytanie. Pani się wydaje, że my całą wiedzę nadymamy, wycytujemy ją z ksiąg albo wypijamy z mszalnym winem. Ale tak nie jest. Ja mam konkretną, ugruntowaną wiedzę, która przyszła z konkretnym, fizycznym doświadczeniem. Widziałem Boga twarzą w twarz.

- Niech mi pan o tym opowie. - Więc opowiedział.

- O'kay - odezwała się, gdy skończył - był pan w stanie śmierci klinicznej, potem ożył i pamięta wznoszenie się przez ciemność ku jakiejś świetlistości. Widział pan formę promienistą przypominającą człowieka, którą skojarzył pan z

Bogiem. Ale nic w pańskim doświadczeniu nie przekonuje mnie o tym, że ta promienistość miała by stworzyć wszechświat i ustanowić moralne prawo. Doświadczenie doświadczeniem, na pewno wywarło na pana wielki wpływ, ale można je rozumieć w różny sposób.

- Na przykład?

- No cóż, na przykład, narodziny. Rodzenie się jest wędrówką przez długi, ciemny tunel ku jasnemu światłu. Trzeba pamiętać, jakie jest jaskrawe: płód spędził przedtem dziewięć miesięcy w całkowitym mroku. Narodziny są więc pierwszym spotkaniem ze światłem, i jaki każdy z nas był zdumiony, jaki przejęty nabożnym lękiem, gdy po raz pierwszy zaczął rozróżniać kolory, światło i cień, w końcu ludzkie twarze. Ta umiejętność jest w nas zaprogramowana. Więc w chwili śmierci klinicznej być może wskazówka jakiegoś licznika naszego życiowego przebiegu na moment znów wraca na zero. Wracamy na chwilę do początku. Nie nalegam, by pan to tłumaczenie przyjął, bo to jest ledwie jedna z paru możliwości. Ja tylko pragnę zasugerować panu, że może popełnił pan błąd w interpretacji tamtego wydarzenia.

- Nie widziała pani tego, co ja widziałem. Jeszcze raz skierował oczy ku zinnemu, białoniebieskiemu światłu Vegi, a potem obrócił twarz do Ellie.

- Czy nie czujesz... jacy jesteśmy zagubieni we wszechświecie? Skąd mamy wiedzieć jak żyć, jak się zachowywać, jeżeli Boga nie ma? Po prostu grzecznie przestrzegać prawa, a jak nie, to do aresztu?

- Ciebie wcale nie martwi, że jesteś zagubiony, Palmer. Ciebie martwi to, że nie jesteś w środku, że nie dla ciebie tylko i z twego powodu stworzono wszechświat. W moim wszechświecie jest wystarczająco wiele praw... Ciężenie, elektromagnetyka, mechanika kwantowa... to wszystko jest porządek, to są prawa. Zaś co do zachowania się, czy nie wystarczy, że jako gatunek czujemy, co leży w naszym

najgłębiej pojętym interesie?

- Oto szlachetny i przyjazny człowiekowi punkt widzenia na świat. Jestem ostatnim, który zaprzeczyłby istnieniu dobra w ludzkim sercu, pomyśl jednak, ilu okrucieństw dopuszcza się człowiek, kiedy odrzuca miłość Boga.

- A ile popełnia w Jego imię? Savonarola i Torquemada kochali Boga, przynajmniej obaj byli o tym przekonani. Twoja religia zakłada, że ludzie są dziećmi i potrzebują pani wychowawczyni, żeby się grzecznie sprawować. Żądasz, by ludzie uwierzyli w Boga, bo wtedy będą przestrzegali prawa. To jedyny środek, jaki ci przychodzi do głowy: dobrze zorganizowana policja duchowa pilnująca, by nie grzeszyć, i zawieszająca groźbę Bożej kary nad każdym grzechem, który policji mógłby się wymknąć spod kontroli. Traktujesz ludzi jak głupich. Wydaje ci się, na przykład, że jeśli ja nie doświadczyłam tego co ty, to nie jestem w stanie docenić wielkości Boga. A jest dokładnie na odwrót, bo słucham ciebie i myślę: jaki mały jest bóg Palmera! Wybrał sobie nędzną planetkę, do tego marne parę tysięcy lat temu. Niby jakiś pośledniejszy bożek, na którego trudno zwrócić uwagę, a co dopiero uznać za Stwórcę Wszechświata...

- Bierzesz mnie za jakiegoś innego kaznodzieję, Ellie. Tamto muzeum to było królestwo Rankina, zaś ja jestem gotów przyjąć ideę wszechświata, który ma biliony lat. Tyle tylko, że naukowcy jakoś mi tego nie dowiedli.

- A ja mówię, że po prostu jesteś ślepy na oczywiste dowody. I nic dobrego nie dajesz ludziom tą konwencjonalną „wiedzą”, tymi „prawdami”, które są zmyślane. Gdybyś szanował fakt, że też potrafia czasem samodzielnie myśleć, to modliłbyś się z nimi w inny sposób.

Zapadła chwila milczenia, w której brzmiało tylko echo ich kroków.

- Przepraszam, pewnie posunęłam się za daleko.

Czasami mi się to zdarza.

- Daję pani słowo, doktor Arroway, że zapadło mi głęboko w pamięć każde powiedziane dziś przez panią zdanie. Podniosła pani parę spraw, dla których powinienem mieć gotową odpowiedź. Więc za to proszę panią, żeby mi pozwoliła zadać parę pytań, dobrze?

Kiwnęła głową, a on ciągnął dalej:

- Niech pani pomyśli, jak w głębi odczuwa pani swą świadomość, akurat w tej chwili, czy rzeczywiście tak, jakby to były miliardy atomów przelatujących z kąta w kąt? Następnie: jak może biologia, czy w ogóle nauka, wytłumaczyć dziecku, czym jest miłość? Oto...

Nagle odezwał się jej brzęczyk - pewnie Ken z wiadomościami, na które czekała. Jeżeli tak, to spotkanie z Prezydentem musiało nieźle się przedłużyć, może to dobry omen? Przyjrzała się cyfrom i literkom wyskakującym z płynnego kryształu na ekranik: telefon do biura Kena. A w okolicy żadnego automatu. Po paru dobrych minutach machania na przejeżdżające taksówki, jedną wreszcie udało im się zatrzymać.

- Przepraszam, że tak niespodziewanie opuszczam pana. To była nadzwyczajna rozmowa i obiecuję zastanowić się nad pańskimi pytaniami... Ale, ale, zdaje się ostatniego pan nie dokończył?...

- Owszem. Brzmi ono: które przykazanie nauki powstrzymuje uczonego przed czynieniem zła?

ROZDZIAŁ 15

Wał erbowy

*Ona mi starczy - Ziemia
I konstelacji nie chcę, choćby najbliżej
Były; wiem że im dobrze, gdzie są
I że starczą ją temu, który należy
do nich.*

WALT WHITMAN

Żdźbła traw

„Pieśń o otwartej drodze” (1855)

Wiele lat trwały obrady - dla konstruktorów będące rozkoszą, dla dyplomatów koszmarem - póki wreszcie nie zapadła decyzja o budowie Maszyny. Proponowano dla niej różne niezwykle imiona: ludzie prześcigali się w wymyślaniu neologizmów lub wyszukiwaniu słów z mitologii greckiej, by ostatecznie wrócono do tego, co było na początku. I znów, zarówno w potocznej mowie, jak i w oficjalnych sprawozdaniach, nazywano ją po prostu Maszyną. I - śladem tego - dla wszystkich tych nie kończących się narad i subtelnych międzynarodowych negocjacji, felietoniści Zachodu ukuli termin „polityka maszynistów”. Kiedy jednak ujawniono pierwsze przybliżone koszty tej inwestycji, żarty się skończyły. Nawet tytani przemysłu lotniczego westchnęli: pół trylion dolarów rocznie, przez kilka lat... To prawie trzecia część całego budżetu wojskowego - jądrowego i konwencjonalnego - na Ziemi. I zaraz pojawiły się obawy, czy budowa Maszyny nie oznacza całkowitej ruiny światowej gospodarki: „Veganie chcą nas zniszczyć bronią ekonomiczną!” - dramatycznie wołał londyński „The Economist”, i nawet codzienne nagłówki w

umiarkowanym „New York Times” zaczynały brzmieć coraz cudaczniej - także dla obytych z cudactwami dawnych czytelników zmarłego śmiercią naturalną „National Enquirer”. Kroniki tamtych dni wykażą kiedyś, że absolutnie nikomu: ani psychoanalitykom, ani wróżbitom, ani wieszczom, ani słynnym chiromantkom zadowolającym najbardziej wyszukaną klientelę, ani astrologom, ani kabalistom, ani nawet redaktorom kolumn przewidujących jaki będzie następny rok w ostatnich grudniowych numerach modnych pism - nie śniło się ani o Wiadomości, ani o Maszynie, nie mówiąc o liczbach niepodzielnych, Hitlerze, Olimpiadzie 1936 roku i w ogóle, całej reszcie zdarzeń. No, naturalnie, wielu było takich, którzy dowodzili, że od początku wszystko przewidywali, ale po prostu nie robili notatek. Przepowiednie niezwykłych wydarzeń rzadko są w stanie doścignąć ich rzeczywistą niezwykłość: oto jedna z niewygodnych zasad naszego szarego bytowania, z którą najlepiej czują się przywódcy religijni - gdyż ostrożny i pełen imaginacyjności język wielu świętych tekstów może nieraz sprawić wrażenie oczywistego zwiastuna niejednych cudownych, zdawałoby się, wydarzeń.

Jeszcze większą, niż dla fanatyków religijnych, bonanzą stała się Maszyna dla ludzi związanych z przeżywającym ostatnio ciężkie chwile przemysłem lotniczym. Od czasu Umowy Hiroszimskiej słabło zainteresowanie nowymi rodzajami broni strategicznej i wprawdzie nieźle szły interesy związane z hodowlą roślin i zwierząt w kosmosie, ale kurczyły się za to stacje orbitalne broni laserowej i inne strategiczne systemy obronne, instalowane przez poprzednią administrację i będące dotąd głównym źródłem interesu. Jeśli więc byli wciąż pesymiści kraczący o zagrożeniu, jakim Maszyna może być dla Ziemi, to ich szeregi topniały w miarę, jak rosły nadzieje na wielką forszę, lukratywne posady i zawrotne kariery.

Szefowie wielkich spółek wprost nie wierzyli w swe szczęście - bo czyż można wyobrazić sobie lepszy sposób

nakręcenia koniunktury światowej, niż „inwazja z kosmosu”?! Na ekranach telewizorów pojawiły się natychmiast zatroskane oblicza rozmaitych speców od przekonywania, że ludzkości niezbędne są nowe systemy obrony, na przykład, radary detekcyjne o nieskończonym zasięgu, które w charakterze pikiety ostrzegawczej należy natychmiast umieścić na Plutonie albo w obłoku Komety Oorta. Tych etatowych wizjonerów nie peszył nawet brak jakiegokolwiek możliwości zanalizowania poziomu ziemskiej i pozaziemskej technologii wojskowej, a na zarzuty takie odpowiadali promiennie: „no i co z tego, jeśli nawet nie będziemy mogli się obronić. Przynajmniej wcześniej dowiemy się o ataku”. Zewsząd pachniało mamoną i wielu doprawdy wcześniej poczuło ten zapach. Więc budowali Maszynę... a jakże! Trylionodolarową Maszynę. Która dla dobrego gracza będzie zaledwie początkiem, jeśli nadal będzie uważać przy rozdawaniu kart.

Wybory prezydenckie stały się powodem do nieomal panamerykańskiego referendum pod tytułem „Budować Maszynę, czy nie?”, zaś ponowny wybór Prezydent Lasker - okazją do zawiązania interesujących, choć dobrze zawołowanych politycznych lobby. Kontrkandydat, który ostrzegał przed Koniem Trojańskim i Dniem Zagłady oraz wskazywał Amerykanom niebezpieczeństwo, na jakie się narażają w konfrontacji z obcymi „którzy wynaleźli już wszystko”, spotkał się z dzielną repliką Prezydent wyznającą strzelisty akt wiary w amerykańską technologię, mogącą w krótkim czasie stać się zupełnie dobrym odstraszeniem dla kosmitów, a także w wynalazczość Amerykanów, którzy może jeszcze nie „wynaleźli wszystkiego”, ale z pewnością niebawem to uczynią i spokojnie będą mogli stawić czoła Vedze. Ponowne wyniesienie Prezydent stało się zatem dziełem niewielkiego może, ale za to budzącego respekt i dysponującego potężnymi wpływami elektoratu.

Czynnikiem rozstrzygającym na korzyść budowy, stał

się ostatecznie sam instruktaż. Był tak fantastycznie drobiazgowy, że nie pozostawiał miejsca na najmniejsze wątpliwości: zarówno w dziedzinie języka i podstaw technologicznych zawartych w elementarzu, jak i w całkowicie już rozszyfrowanym opisie budowy, którym była cała Wiadomość. Nawet w szczegółach tak oczywistych, jak to że dwa mnożone przez trzy równa się sześć, instruktaż upewniał się, czy w równie oczywisty sposób dla Ziemiaków otrzymuje się szóstkę mnożąc trzy przez dwa. Takie stacje kontrolne rozmieszczone były po każdym etapie konstrukcji: na przykład, erb uzyskany tą metodą powinien być czysty w 96 procentach, z nie więcej jak ułamkiem procentów na pozostałe rzadkie składniki. Gdy zaś Komponent 31 jest już gotów, należy umieścić go w sześciomolowym roztworze kwasu fluorowodorowego, zaś pozostałe elementy struktury winny wyglądać tak, jak na załączonym obrazku. Przystępując do montowania Komponentu 408, trzeba pamiętać, by wirnik umieścić w polu magnetycznym o natężeniu dwóch megagaussów tak, aby osiągnąć prędkość tyłu i tyłu obrotów na sekundę, zanim się znów zatrzyma. Gdyby którakolwiek z prób się nie udała, należy wrócić do punktu wyjścia i krok po kroku prowadzić ją od nowa.

Po jakimś czasie przyzwyczajono się do tego tasiemcowego wykładu i już nie znajdowano specjalnych trudności w pokonywaniu kolejnych prób. Ostatecznie opierały się one w większości na rutynowej technice zapamiętywania. Gorzej było z częściami składowymi, które - produkowane w specjalnych zakładach, również od zera zbudowanych zgodnie z poleceniem instruktażu - przekraczały wszelkie ludzkie wyobrażenia. Wyglądało na to, że niektóre w ogóle nie powinny działać. A działały. I każdy taki przypadek stawał się szansą zgłębiania zupełnie dotąd nie znanych technologii - na przykład, w dziedzinie metalurgii albo półprzewodników organicznych. Nieraz też trzeba było wybierać jedną z kilku

technologii mających na celu ten sam produkt - jakby Veganie nie byli pewni, który sposób będzie najprostszy dla Ziemiaków.

Gdy już wybudowano nowe zakłady i pojawiły się pierwsze prototypy, sceptycyzm z wolna zaczął ustępować dumie ze zdolności człowieka do odtworzenia całkowicie obcej technologii, do tego zapisanej całkowicie nieznanym językiem w fali radiowej przysłanej nam z Kosmosu. Było w tym coś z zawrotu głowy, jakiego doświadcza kompletnie nieprzygotowany uczeń, który na początku klasówki widzi, że umie na wszystkie pytania odpowiedzieć, kierując się tylko zdrowym rozsądkiem i elementarną wiedzą. I jak we wszystkich testach nakierowanych na bystrość myślenia, tak i ten stawał się pasjonującym doświadczeniem. Pierwszy egzamin zdano na piątkę; erb uzyskał wymaganą czystość, a struktury przedstawione na diagramie wyłoniły się w całej krasie, gdy tylko nieorganiczne składowe wyflukano w kąpielu w kwasie fluorowodorowym. Wirnik również rozkręcił się do prawidłowej prędkości, i Wiadomość wdzięcznie odpowiadała na każdy wysiłek konstruktorów i uczonych, którzy (jak krakali czarnowidze) dawali się złowić na wabia, nie dostrzegając niebezpieczeństw coraz łatwiejszej z pozoru technologii.

Do produkcji jednego z komponentów wymagana była szczególnie zawiła reakcja organiczna, której rezultat, w postaci jakiejś niespecyficznej masy, umieszczono w mieszaninie formaldehydu i wodnego roztworu amoniaku, wypełniającą wannę wielkości basenu pływackiego. Masa zaczęła rozrastać się, różnicować i specjalizować i nagle - gdy proces ten najwyraźniej uległ zakończeniu - ujrzano coś, co swym skomplikowaniem przerastało wszystko, co człowiek dotychczas próbował stworzyć. To było złożone z płataniny rur i rurek, którymi prawdopodobnie miałyby płynąć jakaś ciecz. To miało konsystencję koloidalną, miąższystą i było ciemnoczerwone. Na razie jeszcze się nie rozmnażało, ale jego zwierzęcość mogła przerazić najodważniejszych. Powtórzyli

reakcje od początku, i znów coś takiego powstało. Jak produkt może stać się tworem stokroć bardziej złożonym, niż zastosowana technologia, pozostawało tajemnicą wynalazcy. Organiczna była rozsiadła się w basenie i - co potwierdzić mógł każdy obserwator - na tym na razie się skończyło. Pozostawało tylko rozmieścić to nad sufitem i pod podłogą kabiny załogowej dwunastościanu.

Tymczasem trwała produkcja podobnej Maszyny w Związku Radzieckim. W obu krajach postanowiono miejsce budowy ulokować na możliwie najbezludniejszych terenach - nie tyle, by chronić przed Maszyną ludzi (... skoro miała to być Maszyna Sądu Bożego), ile Maszynę przed ludźmi - gapiami, demonstrantami i prasą. W USA wybrano Wyoming, a w ZSRR - miejsce nieco powyżej Kaukazu, w Uzbekistanie. Tam, gdzie istniał wystarczająco rozwinięty przemysł dla produkcji niektórych komponentów, nie budowano nowych fabryk, a szukano kooperantów - i tak zakłady w Jenie dostarczały podprzewodników zarówno Amerykanom, jak i Związkowi Radzieckiemu. W Japonii, której zadaniem było przetestować każdą z części składowych systematycznie i z cierpliwą dociekliwością, zakłady na Hokkaido tak wolno to robiły, że wreszcie zaczęto się obawiać, czy komponenty nie są przypadkiem poddawane jakimś dodatkowym próbom nie wymienionym w Wiadomości, które mogłyby powodować subtelne odkształcenia i uniemożliwić ich współdziałanie w Maszynie. Głównym jej podzespołem miały się stać trzy puste, koncentryczne półkule, umieszczone na zewnątrz w trzech kierunkach prostopadłych do siebie i wirujące z wielką prędkością. We wnętrzach tych muszli miano umieścić niezwykle skomplikowane siateczki urządzeń, które mogły być narażone na szwank, jeśliby poddać je jakiejś niezwyklej próbie obrotowej, nie wymienionej w Wiadomości. A skoro Wiadomość w tym wypadku nic nie mówi o próbie, to czy półkule będą prawidłowo wirować, gdy się umieści je w

Maszynie bez przetestowania?

Głównym konstruktorem podzespołów był w Ameryce Sol Hadden, który nalegał, by nie przeprowadzano tutaj żadnych prób ani nawet nie składowano podzespołów, bo „leżąc jedno na drugim w oczekiwaniu na wmontowanie do Maszyny, mogą się odkształcić”. Testy powinni wykonywać Japończycy, którzy „instrukcji”, powiadał, „będą przestrzegać w najdrobniejszym szczególe” - co nie było łatwe, zważywszy, że Wiadomość słowami jako takimi się nie posługiwała. Polecał więc swym pracownikom, by w trakcie produkcji wyobrażali sobie, że są średniowiecznymi nekromantami, wywołującymi duchy zmarłych za pomocą magicznych zaklęć. Nie próbujcie źle wymówić ani sylaby! - ostrzegał.

Zostały już - zależnie od doktryny kalendarzowej lub eschatologicznej - zaledwie dwa lata do Milenium. I tylu obywateli rzuciło pracę oddawszy się emeryturze oczekiwania na Dzień Sądu lub Adwent, że w niektórych gałęziach przemysłu zaczęło brakować wykwalifikowanych pracowników. Jak dotąd mit o amerykańskim sukcesie ogniskował się jedynie na niedużej figurce Sola Haddena, który pchał budowę Maszyny do przodu nieustannie restrukturyzując swe siły pracownicze i wprowadzając coraz to nowe premie dla kooperantów.

Jednak i on w końcu trochę „zemeryciał” - dziwne, zważywszy znany powszechnie temperament wynalazcy „Antyomamiacza”. - To chiliaści odbierają mi wiarę - narzekał.

Ale nadal dzierżył w ręku wszystkie nici - tak przynajmniej twierdzili jego pracownicy, choć porozumieć się z nim mogli tylko za pomocą telesieci asynchronicznej. Raporty z postępu prac, prośby o autoryzację i rozmaite pytania gromadzono dla niego w zamkniętej skrzynce pytań działu naukowego telesieci, by wkrótce otrzymać jego odpowiedź za pośrednictwem innej zamkniętej skrzynki działu odpowiedzi. Było to trochę dziwne, ale najwyraźniej działało. W miarę jak

pokonywano najtrudniejsze etapy wdrożeniowe i Maszyna z wolna zaczęła przyoblekać się w konkretne kształty, coraz mniej poleceń nadchodziło od Haddena. Komitet wykonawczy Światowego Konsorcjum Maszyny zaczął się już nawet trochę niepokoić, ale kiedy przyszła wiadomość, że go widziano na jakiejś tajnej wizytacji na terenie budowy, uspokoili się i zajęli innymi sprawami. I nadal nie wiadomo było, gdzie Hadden właściwie się znajduje.

Nareszcie nadszedł dzień, gdy w Wyoming przystąpiono do składania części w Maszynie. Wyglądało na to, że będzie to najłatwiejszą częścią zadania, które nie wymaga więcej jak roku, no najwyżej dwóch lat. Czekającym na Sąd Ostateczny dostarczało to argumentu, że koniec świata z pewnością nastąpi o przewidywanym przez nich czasie.

Króliki w Wyoming wydawały się dużo sprytniejsze. A może mniej? - trudno ustalić. Światła thunderbirda raz i drugi oślepiły jakiegoś, który zaplątał się w poblizze szosy, ale zasadniczo nie garnęły się w zorganizowane stada zwyczajem, który najwyraźniej z Nowego Meksyku jeszcze tu nie dotarł.

Widok, który Ellie ujrzała, nie różnił się wiele od Argusa: główny budynek otaczały dziesiątki tysięcy kilometrów kwadratowych pięknego, prawie dziewiczego krajobrazu. Wprawdzie przestała być szefem tego programu i nawet nie dostała się do załogi, ale za to była tutaj - zaangażowana przy jednej z najbardziej niebywałych wypraw, jakie wymyśliła ludzkość. I już z pewnością - bez względu na to, czy Maszyna w ogóle wystartuje i co się jeszcze po tym wydarzy - odkrycie dokonane w Argusie na trwałe zapisało się w historii Ziemi.

Akurat w tym momencie historii, gdy wszyscy zastanawiali się, jaki znaleźć sposób na zjednoczenie skłóconej ludzkości, piorun strzelił z jasnego - „z ciemnego”, poprawiła się - nieba. Piorun, który zmierzał ku Ziemi przez kosmos dwadzieścia sześć lat świetlnych. Dwieście trzydzieści

trylionów kilometrów. Trudno będzie myśleć o sobie jako o Szkocie, Słoweńcu czy Chińczyku z Seczuanu po tym, kiedy nadeszło ku tobie pozdrowienie od cywilizacji będącej o całe tysiąclecia do przodu - zwłaszcza że przepaść dotąd dzieląca biedne kraje od najwyższej ucywilizowanych stawała się niczym wobec przepaści, która otworzyła się między tymi najwyższymi ucywilizowanymi a Vegą. I nagle zelżały bariery, które dotąd zdawały się już na zawsze dzielić ludzkość pod względem religii, rasy, narodowości, pochodzenia, języka, ekonomii i kultury.

„Wszyscy jesteśmy po prostu ludźmi”, słyszało się zewsząd. I wszędzie dziwiono się, jak słabo zdawano sobie dotychczas sprawę z tego prostego faktu. Wszyscy mieszkamy na tej samej małej planecie i w ramach tej samej, mniej lub więcej zaawansowanej, cywilizacji. Śmieszne byłoby uważać, że Veganie zechcą wybrać właśnie ten naród, te ideologie lub to państwo przed innymi. I tylko z nim rozmawiać. Już samo pojawienie się Wiadomości - niezależnie od jej enigmatycznych funkcji - związało ludzi ze sobą. Widać to było gołym okiem.

- Płakałaś? - brzmiało pierwsze pytanie matki, gdy tylko dowiedziała się od Ellie, że nie została zakwalifikowana. Tak, płakała. Przecież to normalne. Przecież ogromną częścią całej siebie pragnęła TAM się znaleźć. Ale Drumlin mnie przelicytował - powiedziała matce.

Natomiast Sowietci w ogóle nie wybierali między Łunaczarskim i Archangielskim. Każdy z nich miał odbyć jakiś „trening”, który zadecyduje zamiast komisji - trening, którego charakter trudno było sobie wyobrazić, skoro ani Sowietci, ani nikt w ogóle na świecie nie miał pojęcia, jak ta Maszyna działa. Amerykanie komentowali to, jako tchórzostwo rządu sowieckiego, aby nie zrazić sobie żadnego z dwóch głównych światowych rzeczników Maszyny - interpretacja, którą Ellie uznała za małoduszną. I Łunaczarski, i Archangielski byli pierwszorzędnymi kandydatami i nie dziwiło jej, że Sowietci

mieli problemy z wyborem. Łunaczarski niedawno znowu był w Stanach, ale najdalej dotarł do Waszyngtonu, gdzie delegacja sowiecka wysokiego szczebla miała spotkać się z Sekretarzem Stanu oraz z Michaelem Kitzem - świeżo mianowanym Zastępcą Sekretarza Obrony. Archangielski tymczasem pilnował spraw w Uzbekistanie.

Nowe miasto, prawdziwa metropolia, która wyrosła na pustkowiach Wyoming, zostało nazwane tak, jak Maszyna: Machine, Wyoming. Jego radziecki konkurent przybrał równie trafne miano: Makhina. Każde składało się z kompleksu domków mieszkalnych, usługowych oraz biur. Nad wszystkim jednak górowały fabryki. Niektóre nie rzucały się w oczy, wybierając sobie miejsce na przedmieściach, inne od pierwszej chwili atakowały wzrok potężnymi kształtami ni to katedr, ni minaretów, oplecionych skomplikowaną siecią rur i przewodów. Dalej, na pustyni, znajdowały się fabryki o produkcji niebezpiecznej dla zdrowia - na przykład, składników organicznych. To stąd wychodziły w świat nowe, dziwne technologie, no może nie wszystkie, a tylko „te, które inne kraje były sobie w stanie przyswoić”. Serce tej masy przedsiębiorstw wytwarzających hi-tech, stanowił Zakład Integracji Systemów (wzniesiony w miejscu, w którym kiedyś znajdowała się jakaś wyomińska Pipidówka), do którego spływały wszystkie gotowe do zamontowania części składowe. Od czasu do czasu przed oczami Ellie przesuwiał się komponent wieziony na platformie, i wtedy uświadamiała sobie, że jest jedynym człowiekiem na Ziemi, który jako pierwszy widział to jeszcze w postaci diagramu. I zbliżała się, by dokładnie obejrzeć każdy szczegół - gdyż części nie były pakowane w skrzynie - a kiedy rosły w piramidę, składane jedna na drugiej, czuła jak ją ogarnia uniesienie - coś, co sama przed sobą nazywała macierzyńską dumą.

Ellie, Drumlin i Valerian przyjechali na spotkanie w

sprawie sygnału z Vegi, należące do ustalonego od dawna rytuału, choć już teraz coraz mniej na czasie. I stwierdzili, że wszyscy mówią o jednym - Babilon spalono. Stało się to wczesnym ranem, czyli wtedy, gdy po ogrodzie rozkoszy snuli się już tylko najzagorzalsi lub najoporniejsi na reedukację klienci. Nagle - jednocześnie przez dwie bramy: Enlila i Isztar - runęli do środka bojówkarze zaopatrzeni w race i bomby zapalające. W jednej chwili Zikkurat zapłonął jak pochodnia. Pokazano sobie potem fotografie nagich lub byle czym okrytych ludzi uciekających w panice ze Świątyni Asura i dziwiono się, że nikt nie zginął, choć było wielu poparzonych.

Tuż przed atakiem „New York Sun” - pismo kontrolowane przez Pierwszych-Na-Ziemi i posiadające w nagłówku rysunek Ziemi, w którą uderza piorun - otrzymał telefoniczną zapowiedź. „To jest natchniona przez Boga wojna”, powiedział głos w słuchawce (powołujący się zarazem na uczciwość i przyrodzone Amerykanom poczucie moralności) „którą wydają ludzie mający już dość tego zepsucia i korupcji”. W imieniu spółki Babilon Inc. wystąpił jej prezes, który potępił atak, nazywając go „aktem kryminalnych konspiratorów”, natomiast S.R. Hadden nie odezwał się ani słowem. I nikt nadal nie wiedział, gdzie się teraz znajduje.

Kilku pracowników wiedzących, że Ellie odwiedzała Haddena w Babilonie, z zaciekawieniem czekało na jej reakcję. Nawet Drumlin spodziewał się usłyszeć jej opinię, choć z zadziwianiem dobrej orientacji w geografii tego miejsca wnioskować należało, że to raczej on mógłby zdradzić zebranym parę interesujących szczegółów. Bez trudu potrafiła wyobrazić go sobie na rydwanie - choć niewykluczone, że znał Babilon tylko z lektur i mapek zamieszczanych w ilustrowanych tygodnikach.

W końcu wrócili do właściwych zajęć. Wiadomość nadal nadchodziła w tych samych częstotliwościach, szerokościach pasm, w stałych czasowych, polaryzacjach i modulacjach fazy.

Projekt Maszyny oraz elementarz wciąż sobie spokojnie siedziały pod liczbami niepodzielnymi i Olimpiadą. Veganie zaś nadawali i nadawali, jakby zapomnieli wyłączyć nadajnika. Valerian zamyślił się i wlepił oczy w dal.

- Peter, dlaczego ty zawsze gapisz się w sufit, kiedy nad czymś myślisz?

W ciągu ostatnich paru lat Drumlin najwyraźniej złagodniał, ale ta jego przemiana nie zawsze - jak w tym przypadku - znajdowała odzwierciedlenie w słowach. Zostać wybranym przez prezydenta USA reprezentantem całego narodu przed obcymi cywilizacjami to - jakby się sam wyraził - zaszczyt niebywały. Wyprawa - wyznał swoim bliskim - jest dla niego koroną życia. Żona Drumlina, okresowo przywożona do Wyoming i zawsze psio w niego wpatrzona, i tu musiała cierpieć te same co zawsze pokazy slajdów, choć tym razem dla innej publiczności. Od czasu do czasu jeździł do niedalekiej Montany, a raz Ellie odwiozła go samochodem do Missoula. Pierwszy raz odkąd się znali, Drumlin przez parę godzin jazdy próbował być wobec niej serdeczny.

- Cicho! - odparł Valerian. - Myślę. - I podjął po chwili:

- Ja stosuję, mój drogi, technikę tłumienia szumów. Najpierw próbuję z mego pola widzenia usunąć wszystkie czynniki, które mnie rozpraszają. A ty mi je wprowadzasz w spektrum słuchowe. Dlaczego sufit? Równie dobrze mógłbym wpatrywać się w białą kartkę papieru, ale kawałek papieru jest za mały i ciągle obwodem pola widzenia dostrzegam różne przedmioty, na przykład, ciebie. Akurat rozmyślałem, jeśli to cię interesuje, nad pytaniem: Dlaczego oni nas wiecznie karmią tą Olimpiadą i Hitlerem? Dlaczego nie nadadzą czasem tamtej transmisji koronacyjnej z Londynu? Przecież musieli też ją otrzymać? Popatrzylibyśmy sobie nareszcie na zbliżenie Jabłka, Berła i gronostajowego płaszcza. Albo posłuchalibyśmy: „koronuję cię z Łaski Bożej, Jerzego Szóstego, Króla Anglii i Irlandii Północnej, Cesarza Indii”...

- Skąd wiesz, czy podczas koronacji Vega była nad Anglią? - spytała Ellie.

- Wiem. Sprawdzaliśmy zaraz po tym, jak pierwszy raz otrzymaliśmy tę rzecz z Hitlerem. Sygnał nadawczy z Anglii był o wiele silniejszy niż z Berlina. Nie mam wątpliwości, że na Vedze musiano go odebrać.

- Myślisz, że oni nie chcą, żebyśmy wiedzieli o wszystkim, co oni o nas wiedzą?

- Spiesz się - tajemniczo powiedział Valerian. Czasem potrafił udzielić odpowiedzi jak Pytia.

- A ja myślę - odezwała się Ellie - że oni raczej chcą nam wbić w głowy, że dobrze wiedzą, kim był Hitler.

- To wcale nie jest takie dalekie od tego, co powiedziałem - mruknął Valerian.

- No ładnie, dzieci, ale nie wylatujmy za daleko do Krainy Baśni - warknął Drumlin.

Wyraźnie nie lubił spekulacji na temat prawdziwych zamiarów Vegan. „To marnowanie czasu”, mawiał, „dowiemy się we właściwym momencie”. I zaganiał do dyskusji nad Wiadomością, tym bardziej że mieli ją całą jak na dłoni: długą, jednoznacznie, pięknie skomponowaną.

- Kubeł zimnej wody dobrze wam zrobi. Zadam teraz pytanie konstrukcyjne: Czy dobrze mi się zdaje, że oni to wszystko chcą połączyć walcami z erbu?

W istocie, sam geometryczny schemat Maszyny był bardzo prosty. Złożone były tylko jego poszczególne składowe. Śródkręcie dwunastościanu stanowić miało wybrzuszenie, na którym rozstawionych było pięć foteli dla załogi. Nie było żadnych urządzeń sanitarnych, kuchenki ani łóżek, za to dokładnie określono górną granicę wagi całej załogi, a także tego, co mogą wziąć ze sobą. Konstruktor wyraźnie miał na myśli ludzi o raczej drobnej posturze, co niektórzy interpretowali w ten sposób, że po starcie Maszyna zaraz poleci na spotkanie z Veganami, którzy w innym statku kosmicznym

będą czekali w pobliżu Ziemi. Cóż, jeśli pedantyczne monitorowanie nieba w poszukiwaniu jakiegoś pojazdu nie potwierdziły tego przypuszczenia. Poza tym wydawało się nieprawdopodobne, aby Veganie nie pomyśleli o elementarnych potrzebach ludzkiej fizjologii. Więc może - Maszyna donikąd nie poleci? Może za to - zrobi coś załodze? W kabinie załogowej nie było przecież żadnych urządzeń sterujących, żadnej choćby stacyjki rozrusznikowej - nic, prócz pięciu foteli zwróconych ku sobie, tak że każdy z załogi mógł się przyglądać drugiemu.

Nad sufitem i pod podłogą kabiny, w stożkowo zwężających się komorach znajdowały się substancje organiczne z całym tym swoim podejrzanym, „żyłowatym mięsem”. Tę część dwunastościanu przeszywały, pozornie bez celu, wały erbowe. Na zewnątrz pojazdu znajdować się miały trzy czaszowate muszle, każda jakby reprezentująca jeden z trzech wymiarów fizyki. Wydawało się, że ich zawieszenie ma być magnetyczne, zwłaszcza że instrukcja przewidywała generator pola o wysokim natężeniu, a wtedy przestrzeń pomiędzy dwunastościanem a półkulami byłaby próżnią.

Wiadomość nie miała dla żadnego z komponentów osobnego miana. Erb nazywała „atomem z sześćdziesięcioma ośmioma protonami i dziewięćdziesięcioma dziewięcioma neutronami”. Inne części Maszyny opatrzone były samymi numerami: na przykład, Komponent 31. Dla wygody nazwano więc te obrotowe, koncentryczne muszle benzalami, od nazwiska czeskiego inżyniera, który w dziedzinie tej właśnie technologii położył pewne zasługi. Georg Benzel mianowicie, w 1870 roku wynalazł karuzelę.

Wciąż niezgłębiona była funkcja Maszyny - przy jej wznoszeniu zastosowano całkowicie nieznanie technologie. Trzeba się było zadowolić tym, że przynajmniej była zbudowana z czegoś, co się do tego dawało przedstawić na wykresach. Diagramy rysunkowe Maszyny, sporządzane przez

inżynierów, załazy massmedia całego świata i wkrótce oswojono się z jej widokiem. I nadal trwał stan technologicznego upojenia.

Drumlina, Ellie i Valeriana, przed wpuszczeniem do ogromnej hali montażowej, poddano rutynowej kontroli tożsamości - to znaczy sprawdzeniu papierów, odcisków kciuka i głosu. Właśnie w tej chwili, wysokie na trzy piętra dźwigi lokowały w organicznej masie dwa erbowe wały. Kilka pięciobocznych tafli mających stanowić zewnętrzną okładzinę dwunastościanu, zwiślało z dźwigu szynowego.

Podczas gdy Sowieci wciąż borykali się z problemami technicznymi, Amerykanie zdołali już przetestować wszystkie podzespoły i z wolna zaczęli swemu dziełu nadawać ostateczny kształt. A więc Maszyna powstaje - ze wzruszeniem pomyślała Ellie, lecz już po chwili zastanawiała się nad miejscem, w którym zostaną ulokowane benzele. Po zmontowaniu Maszyna miałyby przedstawiać się mniej więcej jak jedno z tych astrolabiów, które renesansowi astronomowie trzymają w dłoni. Ciekawe, co Johannes Kepler powiedziałby w tej chwili?

Tłumy inżynierów, urzędników waszyngtońskich i przedstawicieli Światowego Konsorcjum Maszyny przewalały się po hali montażowej, a także oblepiały balkoniki obiegające ją pod dachem. Przyglądając się im, Valerian powiedział nagle, że Prezydent od pewnego czasu prowadzi prywatną korespondencję z jego żoną, która mu nie chce zdradzić, o czym te listy są. I powołuje się przy tym na prawo jednostki do życia prywatnego.

Dźwigi już prawie zakończyły utykanie wałów, co było zwieńczeniem jednego z najważniejszych etapów. Właśnie przygotowywano się do pierwszej próby działania tak zmontowanej całości i zastanawiano się, czy zalecane przez Vegan urządzenie monitorowe nie jest przypadkiem teleskopem falowym. W miarę, jak chwila próby zbliżała się, niektórzy dla lepszego widoku gromadzili się wokół filaru.

I nagle Drumlin znalazł się w powietrzu. Wszyscy znaleźli się w powietrzu, wszystko fruwało, jakby porwane tornadem, które Dorotkę zabrało do Krainy Oz. Drumlin, jak na zwolnionym filmie, zrobił w powietrzu koziółka i z otwartymi ramionami runął na Ellie przewracając ją na ziemię. Po tylu latach - przemknęło jej przez myśl - czyżby wreszcie zdobył się na erotyczną uwerturę? Jeśli tak, to mu wiele brakuje.

Sprawcy nigdy nie ustalono. Najczęściej wymieniano Pierwszych-Na-Ziemi, Frakcję Czerwonej Armii, Islamski Dżihad, zdelegalizowaną ostatnio Fundację Połączonej Energii, separatystów sikhijskich, Świetlisty Szlak, Czerwonych Khmerów, bojowników Odrodzonego Afganistanu, skrzydło radykalne Matek-Przeciw-Maszynie, Reunifikowany Kościół Kościołów Reunifikowanych, Omegę Siedem, Chiliastów Dnia Sądu Ostatecznego (choć Billy Jo Rankin stanowczo odciął się od zamachu, oskarżając swych oskarżycieli o obrazę Łaski Bożej), a także Organizację Broederbond, El Catorce de Febrero, Tajną Armię Kuomintangowców, Ligę Syjonu, Partię Boga i wskrzeszony niedawno Front Odnowy Społecznej Symbiozy. Większość tych organizacji nie miała możliwości dokonania tak wielkiego sabotażu, więc lista służyła raczej uświadomieniu ludziom, ilu Maszyna miała potencjalnych wrogów.

Ku Klux Klan, Amerykańska Partia Nazistowska i Demokratyczna NSDAP odcięły się od zamachu, wykluczając jakąkolwiek swą odpowiedzialność - choć mniejszość w szeregach każdej z nich od początku utrzymywała, że Wiadomość jest osobistym posłaniem Hitlera, którego w maju 1945 roku wystrzelono w kosmos za pomocą jednej z rakiet przygotowanych już wtedy do użycia przez technologię III Rzeszy, (która, od tamtego czasu, na pewno osiągnęła pod jego kierownictwem taki niebywały poziom).

- Nie wiem, dokąd ma ta Maszyna lecieć - powiedziała

Prezydent parę miesięcy potem - ale jeśli dokądś choć w połowie tak zepsutego jak Ziemia, to chyba rzeczywiście nie warto zaprzętać sobie tym głowy.

Komisja dochodzeniowa ustaliła, że jeden z wałów erbowych został rozerwany przez eksplozję, i dwa odłamy o kształcie butelek na lekarstwo przekoziółkowały w dół z wysokości dwudziestu metrów. Nośna ściana wewnętrzna hali zawaliła się od siły wybuchu. Zginęło jedenastu ludzi, czterdziestu ośmiu rannych. Znaczna ilość komponentów uległa zniszczeniu, lecz również (skoro wybuch nie był procedurą, którą protokoły Wiadomości zalecały), spodziewano się ukrytych uszkodzeń wśród komponentów pozornie ocalałych.

Opinia publiczna Stanów Zjednoczonych, prędko dawszy się przekonać o niewinności organizacji podejrzewanych o eksplozję, natychmiast zwróciła się ku dwóm ostatnim podejrzany: kosmitom i Rosjanom. Znowu powietrze zadrzało od krzyków o Sądzie Ostatecznym. Kosmici tak zaprojektowali Maszynę, że wybuchnie, kiedy ją zmontować. Ale na szczęście dość mieliśmy rozumu, żeby wypróbować ją, gdy była złożona tylko częściowo. Może eksplodował jedynie zapalnik Sądu, może jest jeszcze szansa, by odwrócić bieg zdarzeń i wrzucić wszystkie pozostałe komponenty do nieczynnych kopalń soli?

Komisja dochodzeniowa nie dała temu wiary, przedstawiając dowody na to, że Wybuch (bo tak go zaczęto nazywać) miał zgoła ziemski charakter. Wewnątrz wałów znajdowały się elipsoidalne komory o niewiadomym przeznaczeniu, których wewnętrzne ściany wyłożone były siatką skomplikowanych przewodów gadolinowych. W jednej z tych komór ubito plastik z zapalnikiem zegarowym - a więc materiał, którego lista inwentarzowa Części Składowych Maszyny nie przewiduje. Sam wał, komory, przewody gadolinowe wykonano i, w postaci produktu końcowego, przetestowano w Zakładach Cybernetycznych Haddena w Terre

Haute, w stanie Indiana. Siateczkę gadolinową, zbyt skomplikowaną do produkcji ręcznie sterowanej, wykonał robot mechaniczno-usługowy, którego budowa wymagała z kolei wzniesienia całego osobnego zakładu. Koszty tej inwestycji pokryły w całości Zakłady Haddena, które i tak wychodzą na swoje, sprzedając swe produkty nie tylko budowniczym Maszyny, ale i innym bardziej dochodowym kontrahentom.

Sprawdzono komory w pozostałych trzech wałach, stwierdzając brak w nich ładunku wybuchowego (w ZSRR i Japonii, nim otworzono komory, kazano je sprawdzić różdżkami). Nie ulegało wątpliwości, że właśnie w Terre Haute, tuż przed zakończeniem produkcji wału, ktoś szczelnie ubił materiał wybuchowy w komorze i wetknął w to zapalnik. Po opuszczeniu zakładów, wały - nie tylko w USA, ale i wszędzie na świecie - eskortowano w specjalnym pociągu z uzbrojonym oddziałem straży do samego Wyoming. Wybór czasu eksplozji i charakter sabotażu wskazywał na kogoś zorientowanego w szczegółach budowy, na kogoś „z wewnątrz”.

Mimo tych nowin, dochodzenie wlokło się w ślimaczym tempie. Przynajmniej kilkudziesięciu ludzi - techników, analityków kontroli, inspektorów pieczętujących wały przed transportem - miało bezpośrednią okazję do popełnienia sabotażu, zarówno w sensie technicznym, jak i motywacyjnym. Wielu z nich na wykrywaczu kłamstw miało wynik ujemny, uzyskując żelazne alibi. Nikt też nie puścił farby podczas chwili szczerości w niedalekim barze, nikt nagle nie zaczął szastać pieniędzmi ani nikt nie pękł podczas wielogodzinnych przesłuchań. Pomimo tego, co określano „pełnymi poświęcenia działaniami służb specjalnych”, tajemnica pozostawała nie wyjaśniona.

Ci, którzy oskarżali Związek Sowiecki argumentowali, że dzięki Wybuchowi USA traci prowadzenie w budowie Maszyny. Poza tym Rosjanie dysponują wszelkimi środkami

wystarczającymi do sabotażu, no i oczywiście mają pełną orientację w szczegółach Wiadomości. Natychmiast po Wybuchu Anatolij Goldmann, dawny student Łunaczarskiego - obecnie w Wyoming w roli sowieckiego obserwatora - wykonał pilny telefon do Moskwy, nakazując natychmiastowe sprawdzenie wszystkich wałów. Nic w tej rozmowie (jak zwykle dokładnie podsłuchanej przez NSA) nie wskazywało na zaangażowanie rosyjskiej strony - co nie wytrącało z rąk broni oskarżycielom, twierdzącym teraz, że albo specjalnie ją przeprowadzono, by zmylić czujność Amerykanów, albo celowo nie uprzedzono Goldmanna o planowanym sabotażu. Pogląd ten, który znalazł gorących zwolenników głównie wśród jastrzębi wojskowych sfrustrowanych ostatnimi redukcjami zbrojeń, wywołał (czemu trudno się dziwić) prawdziwą wściekłość po moskiewskiej stronie.

W istocie bowiem Sowietci borykali się ze znacznie poważniejszymi trudnościami, niż powszechnie sądzono. Posługując się rozszyfrowanym tekstem Wiadomości, Ministerstwo Przemysłu Ciężkiego wprowadziło pewien postęp w technologii wydobywania rud, w metalurgii i w produkcji narzędzi mechanicznych, ale nadal miało kłopoty z mikroelektroniką i cybernetyką. W związku z tym większość podzespołów produkowali dla nich kontrahenci w Europie Zachodniej i w Japonii. Prawdziwym jednak dramatem była dla nich chemia organiczna, której technologia jest oparta w większości na biologii molekularnej.

Prawie śmiertelny cios zadał tej dziedzinie wiedzy Josif Wissarionowicz Stalin, gdy jeszcze w latach trzydziestych ogłosił nowoczesną genetykę opartą na prawach Mendla jako ideologicznie błędną, a kapłanem nowej ortodoksji naukowej opartej na kompletnie pomyślonych pojęciach mianował niejakiego Łysenkę - politycznie zasłużonego teoretyka upraw rolnych. Całych dwu pokoleń inteligentnych młodych ludzi w ZSRR, praktycznie pozbawiono podstaw naukowych w tej

dziedzinie, więc teraz, sześćdziesiąt lat później, sowiecka biologia molekularna i inżynieria genetyczna były mniej więcej o taki okres zacofane względem Zachodu. I niewieloma doprawdy odkryciami mogły się pochwalić.

Podobne manipulacje, choć na mniejszą skalę, miały również miejsce w Stanach Zjednoczonych, gdy z powodów teologicznych próbowano wstrzymać nauczanie w szkołach teorii ewolucji będącej kręgosłupem nowoczesnej biologii. Oświadczone wtedy jasno i bezdyskusyjnie, że proces ewolucyjny w świecie ożywionym nie daje się pogodzić z fundamentalistyczną interpretacją Biblii - szczęściem dla biologów molekularnych, fundamentaliści w Stanach Zjednoczonych dysponowali mniejszymi wpływami, niż Stalin w ZSRR.

Raport CIA przygotowany dla Prezydenta w sprawie ewentualnego udziału Sowieców w sabotażu, wykluczył tę możliwość - na odwrót podkreślając, że udział ich naukowców we wspólnym locie z Amerykanami nakłania stronę sowiecką raczej do współpracy w budowie amerykańskiej Maszyny. „Jeżeli twoja technologia opiera się dopiero na informacjach z Poziomu Trzeciego”, argumentował Dyrektor CIA, „a twój konkurent wyprzedza cię, czerpiąc już z Poziomu Czwartego, to raczej powinno cię ucieszyć pojawienie się ni z tego, ni z owego Poziomu Piętnastego. Pod warunkiem wszakże, że zagwarantuje ci się do niego dostęp”. Mimo to paru oficjeli amerykańskiego życia politycznego nadal uważało, że Sowieci są odpowiedzialni za eksplozję i nawet sama Prezydent raz czy drugi w dość zawołowany sposób to sugerowała.

- Jednak żadna grupa szaleńców, obojętnie jak dobrze zorganizowana - brzmiała oficjalna konkluzja Prezydenta - nie zepchnie ludzkości z drogi ku historycznemu celowi.

To energiczne stwierdzenie nie zmieniło faktu, że osiągnąć konsensus społeczny na budowę Maszyny było teraz trudniej. Sabotaż wyzwolił najróżniejsze racjonalne i

nieracjonalne, ukrywane dotąd obiekcje, i tylko obawa, że Sowietci mogą nas teraz wyprzedzić powodowała, iż projektu w ogóle nie anulowano.

Żona Drumlina pragnęła, by w jego pogrzebie uczestniczyła sama rodzina, zamiar ten jednak (jak wiele innych prostodusznych zamiarów jej życia) został pokrzyżowany. Fizycy, narciarze wodni, maniacy lotni, członkowie rządu, nałogowcy podwodnych polowań, radioastronomowie, skoczkowie do wody, fanatycy wyścigów na desce, a także cała światowa SETI, chcieli odprowadzić go na wieczną wartę. Wobec wielkiego zainteresowania zaczęto nawet rozważać urządzenie uroczystości w nowojorskiej katedrze Świętego Jana Bożego, jako jedynym kościele zdolnym pomieścić taki tłum, ale tym razem pani Drumlinowa odniosła małe zwycięstwo, doprowadzając do pogrzebu w jego rodzinnym Missoula, w stanie Montana. Prócz niej i rodziny, jedynymi zadowolonymi z tego byli agenci ochrony, którym rozmiary miasteczka zdejmowały z barków większą część fatygi.

Mimo że Valerian nie odniósł większych obrażeń, jego lekarze odradzali mu udział w pogrzebie - mimo to wybrał się w podróż w inwalidzkim wózku, z którego miał okazję wygłosić panegiryczną mowę. Szczególny geniusz Drumlina, powiedział, polegał na tym że zawsze wiedział, jakie zadać pytanie. Do programu SETI odnosił się sceptycznie, bo sceptycyzm jest istotą nauki. Jednak gdy nabrał pewności, że Wiadomość nie jest fałszywa, trudno było znaleźć kogoś bardziej oddanego i odkrywczego w jej rozszyfrowaniu. Zaś Zastępca Sekretarza Obrony, Michael Kitz, podkreślił osobiste walory Drumlina - jego gorące serce, jego troskę o bliźnich, jego jasność umysłu i nadzwyczajną kondycję sportową. Gdyby nie ten tragiczny w skutkach, tchórzliwy akt - kończył Kitz - byłby do tego pierwszym obywatelem amerykańskim, który dotarł w inny układ gwiazdny.

- Nie będę nic mówić - uprzedziła Ellie der Heera. Ani

nie da prasie żadnego wywiadu. Może pozwoli się sfotografować - bo fotografia w prasie to dobra rzecz, Ellie o tym wiedziała. Nie ufała sobie, czy przypadkiem nie palnie czegoś nad grobem. Wprawdzie przez całe lata występowała w roli czegoś w rodzaju rzecznika prasowego SETI, potem Argusa, a potem Wiadomości i Maszyny. Ta śmierć to jednak coś innego. Trzeba to w sobie dokładnie przeanalizować.

Tym bardziej że całe wydarzenie rozumiała tylko w jeden sposób: Drumlin zginął, ratując ją od śmierci. Dojrzał wybuch nim inni go usłyszeli. Dostrzegł kilkusetkilogramowy odłam erbu lecący im na głowy i kierowany refleksem sportowym zdążył skoczyć na nią i odepchnąć ją za filar.

Jeszcze w Argusie wyznała to der Heerowi, ale on powiedział:

- Przypuszczalnie skoczył, aby ratować własne życie. I ty mu stałaś na drodze.

To tłumaczenie wydało się jej małostkowe. Czy der Heer rzeczywiście chciał poniżyć Drumlina? Czy raczej litował się nad Ellie, widząc jej skrupuły?

- Drumlina, moja droga - kończył der Heer - po prostu wyrzuciło w powietrze tąpnięcie odłamu o platformę montażową.

Ale Ellie nie dała się zwieść. Przecież wszystko od samego początku dokładnie widziała: zamiarem Drumlina było ocalić jej życie. I zrobił to. Z wyjątkiem paru zadrapań Ellie wyszła cało, podczas gdy Valerianowi, mimo że chronionemu przez filar, waląca się ściana złamała obie nogi. Szczęście służyło jej w każdy możliwy sposób - nie straciła nawet przytomności.

Pierwszą jej myślą - ledwie zrozumiała co się stało - nie była wcale troska o jej dawnego nauczyciela - Drumlina, leżącego teraz przed nią w postaci zmiażdżonej masy. Ani nawet zdziwienie ofiarą, którą poniósł, oddając za nią życie. Nie była też obawa o dalszy los Projektu, ani Maszyny - nie. Jej

pierwszą myślą było: „Polecę! Będą musieli mnie wybrać, nikogo innego już nie ma. Wejdę do załogi!”

Natychmiast się na tym złapała. Ale już było za późno. Wstrząśnięta ohydny egotyzmem, który wypełził z niej w chwili próby, nie pomyślała nawet, że Drumlin mógł mieć takie same odczucia. Odślaniała je teraz przed sobą, choć były ledwie mgnieniem oka, chwilą, ale za to... takie żywiołowe, prawdziwe, knujące już jej dalsze działania i tak zajęte tylko sobą, niczym więcej, sobą. Najgłębiej wstrząsnął nią fakt, że dotąd tak mało siebie знаła. Swe „ego” nie mające skrupułów, pracę tylko przed siebie. „Ego” ukryte, roztopione w jej całej osobowości, które tym trudniej będzie wyodrębnić, wykorzenić lub odciąć, jak niechcianą gałąź. Będzie musiała za to cierpliwie nad nim pracować, żyć z nim i rozmyślać, może z czasem rozbić je lub wystawić na ostateczną próbę.

Reporterzy zastali ją niezdatną do niczego.

- Nic wam nie powiem, szliśmy po prostu w trójkę wzdłuż platformy montażowej i nagle coś wybuchło. Wszystko zaczęło fruwać. Przepraszam. Nie mogę z wami mówić, choćbym chciała.

Współpracownikom dała do zrozumienia, że nie ma ochoty o niczym rozmawiać i na tak długo przepadła w swoim mieszkaniu, że w końcu wysłali zwiad bojowy, by się przekonać, czy nic jej się nie stało.

Pragnęła odtworzyć każdy najdrobniejszy szczegół tamtej chwili, próbowała przypomnieć sobie każde słowo tamtej rozmowy z Drumlinem, kiedy zbliżali się do platformy montażowej. Mówił o ich wycieczce do Missoula. Jak wtedy wyglądał? A jak wyglądał, gdy go pierwszy raz ujrzała, na początku studiów doktoranckich, jeszcze nim się zaczęła jej naukowa kariera? Powoli uświadomiła sobie, że cały czas jakąś maleńką częścią siebie życzyła Drumlinowi śmierci, nawet jeszcze zanim się stali konkurentami do fotela w Maszynie. Nienawidziła go za to, że ją lekceważył przed

innymi asystentami na wydziale, że nie podobał mu się Projekt Argus, że tak brzydko odezwał się do niej po pokazie filmu z Hitlerem. Życzyła mu, by umarł. A teraz - nie żyje, więc wedle przyjętego przez siebie rozumowania, musiała, choć w dość pokrętny, niemal absurdalny sposób, przyjąć na siebie część odpowiedzialności.

Czy nie była winna temu, że w ogóle tam się znalazł? Och, z pewnością - jeśli nie ona, to kto inny odebrałby Wiadomość i Drumlin na pewno i tak by się w to wpakował. Powiedzmy. Ale gdyby go nie prowokowała - tą swoją lekceważącą wszystko naukowością - czy też tak by się zaangażował w Maszynę? Krok za krokiem zgłębiała różne możliwości. Jak to było z innymi mężczyznami, których nie cierpiała? Zawsze prowokowali ją, by tym bardziej nimi się zajmować. Coś w tym było... Próbowала również policzyć mężczyzn, których w życiu podziwiała... z takiego lub innego powodu... Drumlin, tak, Drumlin. I Valerian, der Heer, Hadden... Joss. Jesse... Staughton?... i ojciec.

- Doktor Arroway?

Z uczuciem wdzięczności oderwała się od swych medytacji i podniosła wzrok na postawną blondynę w średnim wieku, ubraną w niebieską sukienkę imprime. Twarz jej zdawała się znajoma. Spojrzała na przypięty do obfitej piersi identyfikator: Helga Bork, Goeteborg.

- Tak mi przykro, doktor Arroway... z powodu tej straty. Dawid wiele mi o pani opowiadał...

Oczywiście! Sławna Helga Bork, kompan podwodnych polowań i bohaterka tytułu posiedzeń slajdowych u Drumlina. Zawsze ciekawiło ją, kto wtedy robił zdjęcia: czy na te podwodne randki brali sobie jeszcze fotografa?

- Mówił mi, jacy byliście sobie bliscy.

Co ta kobieta mówi? Czyżby Drumlin jej coś insynuował?... Oczy Ellie zaszkliły się łzami.

- Przepraszam, doktor Bork. Nie jestem w najlepszej

formie...

Podniosła się i z opuszczoną głową prędko wyszła z pokoju.

Na pogrzeb przyjechało wielu, których pragnęła znów spotkać: Vaygay, Archangielski, Gotsridze, Baruda, Yu, Xi, Devi Sukhavati. I Abonneba Eda, o którym coraz częściej mówiono jako o piątym członku załogi - jeśli opinia światowa znów nie zmieni zdania, dodawała w myślach Ellie, i jeśli coś takiego jak gotowa do lotu Maszyna kiedykolwiek powstanie. Ale jej wytrzymałość towarzyska była w strzępach i nie czuła się na siłach sprostać dłuższym posiedzeniom. Poza tym - nie ufała już swoim publicznym wypowiedziom. Ile z tego, co mówiła, rzeczywiście służyło Maszynie, a ile - jej prywatnym celom? Wszyscy byli mili i świetnie ją rozumieli. W końcu nikt, tylko ona była najbliższej Drumlina, gdy wał erbowy runął.

I wbił go w ziemię.

ROZDZIAŁ 16

Mędrcy Ozonu

Bóg, jakim go widzi nauka, winien być Bogiem uniwersalnych praw, Bogiem, którego stać na wielką wyprzedaż, a nie na handel detaliczny. Nie może olbrzymich swych zamierzeń podporządkowywać wygodzie jednostek.

WILLIAM JAMES

O różnaitości doświadczeń religijnych (1902)

Na wysokości kilkuset kilometrów Ziemia wypełnia pół nieba, zaś od urody błękitu - którego płachta rozciąga się od Mindanao po Bombaj i które w całości obejmiesz jednym spojrzeniem - może pęknąć serce. Myślisz: - to mój dom. Dom. I mój świat. Stamtąd pochodzę. Każdy, kogo znam, o którym kiedykolwiek słyszałem, wyrósł tam - pod pokrywą tego chłodnego i czystego błękitu.

Twój wzrok wędruje na wschód, od horyzontu po horyzont, od świtu po świt, które obiegają planetę w ciągu godziny i pół. Po chwili twoje oczy zaczynają rejestrować różne dziwne rzeczy, różne anomalie. Jak wiele można ujrzyć gołym okiem! - za chwilę znowu pokaże się Floryda. Czy ta tropikalna burza, która za poprzednim obrotem pędziła od strony Wysp Karaibskich, dotarła już nad Fort Lauderdale? I czy tego lata któryś szczyt w górach Hindukusz nie będzie miał czapy śniegu? Zachwycasz się akwamarynowymi rafami Morza Koralowego, a potem znizas wzrok ku Zachodniej Antarktydzie medytując, czy rozplynie się jej lodów rzeczywiście może zatopić wszystkie porty świata.

W świetle dziennym nie ujrzysz ani śladu ludzkiej obecności na Ziemi - za to nocą wszystkie światła, które

dostrzegasz, migoczące i pełzające po ziemskim globie, są (za wyjątkiem zorzy polarnej) dziełem człowieka. Ta gęsta linia światełek to Wschodnie Wybrzeże USA: ciąg miast od Bostonu po Waszyngton, megalopolis na razie bez imienia. A tam - pożar szybu gazowego w Libii. niespokojny rój światełek przesuwający się ku Morzu Chińskiemu, to japońska flotylla poławiaczy krewetek. Za każdym obrotem Ziemia opowiada ci nową historię. Widzisz erupcję wulkanu na Kamczatce, burzę piaskową na Saharze - sięgającą aż do Brazylii - i nagłe ochłodzenie w Nowej Zelandii. I zaczynasz postrzegać Ziemię jako żywy organizm, jako osobne stworzenie obdarzone życiem i duszą. I zaczynasz martwić się o nie, a także życzyć mu jak najlepiej. Granic tam nie widać, tak jak południków czy równoleżników. Granice istnieją w wyobraźni. Ziemia istnieje naprawdę.

Oto dlaczego pobyt w przestrzeni pozaziemskiej sprzyja wywrotowemu myśleniu. Większość ludzi, którzy mieli szczęście przyrzeć się naszej planecie z orbity i chwilę pomedytować, dochodzi do tych samych wniosków. Kraje, które z dumą wysyłają swoich ludzi w kosmos i czynią tak z powodów narodowych, za jakiejś ironii sprawą pomagają tym ludziom przestawić się na zupełnie antynarodowe myślenie. Dzieje się tak z każdym, kto zawisł na chwilę w kosmosie ponad Ziemią i mógł przyrzeć się jej z większej niż narodowościowa perspektywy. Jako planecie samej w sobie.

Od niedawna dopiero większe grupy ludzi wypuszczały się w kosmos, by pomedytować. Dzięki nim może, z oporami i powoli, ale jednak, zaczęło rozpowszechniać się „planetarne” myślenie i wzrosło zainteresowanie perspektywami Ziemi - zwłaszcza że tam, w dole, znaczną ilość tych „wycieczkowiczów”, (zawisających głównie na bliższej orbicie okołoziemskiej) cieszyła się niemałymi wpływami.

Zaczął się od świata zwierzęcego: wpierw ameby, a potem muszki, szczury, psy i na końcu małpy stawały się

prawdziwymi kombatantami kosmosu. I w miarę, jak wydłużano im czas pobytu poza Ziemią, dziwne rzeczy zaczynały wychodzić na jaw. Na przykład, że za wyjątkiem mikroorganizmów i owadów, u wszystkich zwierząt pod wpływem grawitacji zerowej zaczęło wydłużać się życie. O całe dziesięć do dwudziestu procent. Pobyt w stanie nieważkości powoduje, że organizm traci mniej energii na pokonywanie siły ciężenia - i komórki ciała zużywają mniej tlenu, spowalniając procesy starzenia. Lekarze twierdzili, że to samo zastosowanie u ludzi da jeszcze lepsze efekty - tu i tam zaczynało przebąkiwać o nieśmiertelności.

U orbitalnych zwierząt spadł też o osiemdziesiąt procent wskaźnik zachorowalności na raka, a na białaczkę i nowotwory limfatyczne - o dziewięćdziesiąt. Mało tego - stwierdzono (choć nadal brak w tej sprawie udokumentowanej statystyki), że przebywanie w grawitacji zerowej aktywizuje samoistne wycofywanie się już istniejących nowotworów - co potwierdzałoby prawdziwość spostrzeżenia niemieckiego chemika sprzed pół wieku, Otto Warburga, że nadmierny dopływ tlenu do tkanek zwiększa częstotliwość rozwoju niektórych postaci raka. Jak obniżyć zużycie tlenu i nieważkość, stały się z dnia na dzień najmodniejszymi tematami w towarzystwie. Ludzie, którzy jeszcze niedawno odbywali pielgrzymki do Meksyku w poszukiwaniu pestek brzoskwiń, teraz domagali się biletów w kosmos. Lecz cena ich była zawrotna, więc ten kosmiczny sposób prewencyjnego oraz klinicznego przedłużenia życia pozostawał przywilejem garstki wybranych.

Do czasu - albowiem nagle, niewiadome skąd pojawiły się olbrzymie pieniądze i jak szarańcza rozmnożyły się na orbicie latające sanatoria. Tuż przed końcem Drugiego Milenium, kilkaset kilometrów nad Ziemią, krążyć zaczęły pierwsze luksusowe domy starców, które poza tym że kosztowne, miały również tę wadę, że im dłużej w nich

przebywali pacjenci z zaburzeniami krążenia i chorobami kości, tym mniejsze mieli szansę wrócić do życia w normalnej grawitacji na Ziemi. Lecz dla niejednego starego bogacza nie stanowiło to żadnej przeszkody - za obietnicę jeszcze paru lat życiowych uciech, z największą radością wyprowadzali się w kosmos, nawet jeśli by mieli nigdy nie wrócić.

Zaraz, oczywiście, pojawili się moralisci, którzy kaprysy bogaczy wyklinali, jako marnowanie ograniczonych zasobów Ziemi, i lekceważenie rzeczywistych potrzeb ludzkości, a także jako cyniczną obojętność bogatych i wpływowych pieścuchów, wobec ludzi biednych i pozbawionych pracy. Zatroskani pragmatyści wywodzili natomiast, że wielką lekkomyślnością jest pozwalać emigrować elicie w kosmos, zostawiając warstwy pracownicze na Ziemi, co stwarza niebezpieczeństwo sprawowania zarządu doraźnego, na odległość. Najwięcej jednak było takich, którzy wyrażali radość z nagłego daru niebios, że samozwańczy „właściciele Ziemi” całymi gromadami wynosili się tam, gdzie już niczemu więcej zaszkodzić nie mogą.

Niewielu wszak doceniało zmiany, jakie u dobrowolnych emigrantów zachodziły w ich rozumieniu ziemskich spraw, gdy je oglądali stamtąd. Ani że właśnie teraz stawali się bardziej skłonni do czynienia dobra. Na przykład, po paru latach nacjonalizm stawał się wśród nich uczuciem całkowicie nie znanym, tak samo jak zainteresowanie zbrojeniem nuklearnym - albowiem dla kogoś, kto aspiruje do nieśmiertelności myśl, że nagle sprzed jego oczu mógłby na zawsze zniknąć ulubiony obraz Ziemi, przestaje być oczekiwaną perspektywą.

Wśród tych wybrańców ujrzyć można było japońskich multimilionerów, greckich armatorów, książąt saudyjskich, jednego eks-Prezydenta, jednego Pierwszego Sekretarza Partii, barona chińskiej mafii i króla heroiny. Na Zachodzie bowiem, pominiawszy kilka zaproszeń tytułarnych, przy kwalifikacjach padało tylko jedno pytanie: czy masz czym zapłacić. Pensjonat

sowiecki różnił się od innych nie tylko tym, że nazywano go „kosmicznym laboratorium”, ale też że wałkoniący się w nim Pierwszy Sekretarz Partii prowadził jakoby „badania gerontologiczne”. W sumie ci, którzy zostali na Ziemi, aż tak bardzo na nich nie psioczyli, bo przecież każdy gdzieś w sercu hołubił nadzieję, że kiedyś też się wśród nich znajdzie.

Kuracjusze z orbity w niczym nie narzucali się mieszkańcom Ziemi, a na odwrót, starali się zachowywać łagodnie i cicho. Podobnie jak ich rodziny - chociaż z drugiej strony, niektórzy bogaci i wpływowi Ziemianie mieli latające sanatoria dyskretnie na oku, albowiem płynące stamtąd idee nie zawsze były obojętne dla przekształceń mentalności ziemskiej. Na przykład, znane było ich poparcie dla rozmów rozbrojeniowych prowadzonych przez pięć potęg nuklearnych. Również budowa Maszyny - jako potencjalny czynnik umocnienia jedności świata - liczyć mogła na ich dyskretną sympatię. Nacjonalistyczne organizacje na Ziemi nieraz pisały o tym orbitalnym lobby, jako o starczej mafii kontrolującej wszystko, co się dzieje na Ziemi i zarzucały tym trzęsącym się na nogach filantropom, że trudnią się handlem narodami. Pojawiły się w obiegu pamflety reklamowane jako oryginalne stenogramy tajnego spotkania światowych prominentów na pokładzie Matuzalema, do którego zawiozły ich wynajęte kosmiczne promy. Sporządzony tam jakoby „tajny program działań” mający na celu terroryzowanie najdzielniejszych ziemskich patriotów, zdemaskował jako fałszerstwo „Timesweek”, ironicznie nazywając go „Protokołami Mędrców Ozonu”.

Na parę dni przed startem postanowiła wypocząć trochę na Cocoa Beach. Wynajęła apartament z widokiem na plażę i Atlantyk. Często wstawiała o świcie i z kawałkami chleba szła plażę, karmiąc mewy: bez trudu chwyciły w powietrzu rzucone im smakołyki, zachowując się jak zawodowi strzelcy do

rzutków. Zdarzało się, że o metr nad jej głową łopotało stado dwudziestu lub trzydziestu mew. Mocno biły skrzydłami, aby zawisnąć w miejscu z rozwartymi, zakrzywionymi dziobami, czekając cudu pojawienia się żywności w powietrzu. Kiedyś znalazła leżący na skraju plaży liść palmowy, który zabrała do domu, delikatnie wyskubując z niego po drodze ziarenka piasku.

Hadden zaprosił ją do swego „domu-z-dala-od-domu”, to znaczy na pokład Matuzalema - jego nowego, kosmicznego chateau. A że zależało mu przy tym na całkowitym sekrecie przed gawiedzią, poza członkami rządu nie wolno jej było nikogo o tej wycieczce powiadamiać. Bo rzeczywiście - coraz mniej o nim się mówiło, a i ją samą wiadomość, że Hadden zdecydował się na orbitalną emeryturę, kompletnie zaskoczyła. Członkowie rządu, z którymi podzieliła się informacją o zaproszeniu, nie zgłosili zastrzeżeń, zaś der Heer dodał: „zmiana otoczenia dobrze ci zrobi”. Prezydent entuzjastycznie poparła wizytę, co mogło wiązać się z jej ukrytym pragnieniem, by lot do Matuzalema odbył się na pokładzie odbywającego regularne rejsy na niewielkim dystansie stareńskiego rządowego wahadłowca „STS Intrepid”. Większość klienteli wolała latać stateczkami komercyjnymi, które nie miały dotąd konkurencji, bo próby zdatnościowe nowego, większego sprzętu wciąż się przeciągały. Niezbyt imponująca flota wahadłowców wciąż zatem pełniła rolę mocno już leciwego konia pociągowego rządowej aktywności w kosmosie, coraz rozpaczliwiej wołającego o zastrzyk świeżej krwi.

- Szanowna pani zobaczy - tłumaczył Ellie pilot - jedną nóżką elegancko odbijemy się od ziemi, ale drugą będziemy się jej mocno trzymać, kiedy wejdziemy w stan nieważkości.

Poza podstawowymi wymogami co do stanu zdrowia, nie było przed lotem wahadłowym żadnych specjalnych kontroli. Statki komercyjne wylatywały pełne i wracały puste, podczas gdy wahadłowce również z powrotem zabierały

pasażerów. Na przykład, tydzień temu, „Intrepid” specjalnie zacumował w drodze powrotnej na Matuzalemie, żeby odebrać dwóch klientów wracających na Ziemię. Ich nazwiska były jej znane: jeden był projektantem systemów napędowych, drugi kriobiologiem. Nie miała pojęcia, czego mogli szukać na Matuzalemie.

- Zobaczysz pani - ciągnął pilot - to tak, jakby urwać się z holu. To jeszcze nikomu nie zaszkodziło, a są facetki, które mają na tym punkcie fioła.

Ellie też miała. Włoczona między pilota, dwóch wysłanników rządu, jakiegoś oficera z zaciśniętymi ustami i urzędnika Biura Dochodów Państwowych, bardziej niż dokładnie poczuła moment grawitacji zero i to na pewno nie tak przyjemnie, jak się zdarzało w gwałtownie hamującej windzie Światowego Centrum Handlowego w Nowym Jorku.

Po półtora obrotu Ziemi znaleźli się przed Matuzalemem. Za dwa dni transportowiec Narnia zabierze Ellie z powrotem. Chateau (tak Hadden życzył sobie nazywać swą rezydencję) z wolna obracało się w przestrzeni z prędkością jednego obrotu na dziewięćdziesiąt minut - tak, aby jedna strona mogła stale spoglądać na Ziemię.

W studio Haddena olbrzymie okno wypełniała fantastyczna panorama ziemskiego kolosa. I nie był to monitor telewizyjny, ale rzeczywisty widok - fotony, które docierały do jej oczu, przed sekundą odbiły się od śnieżnych szczytów Andów. Obraz był czysty i gładki, wyjąwszy sam obwód okna, gdzie zgrubienie polimeru powodowało, że trochę ukośnie się rozmywał.

Znała wielu ludzi, nawet wierzących, którzy uznaliby za niegodne człowieka uczucie nabożnej trwogi - a przecież stojąc przed tą oszkloną ścianą, musiały być z drewna, żeby nie ośladnęło tobą właśnie coś takiego. Powinno się tu przysyłać młodych poetów i kompozytorów, malarzy, reżyserów filmowych i tych wierzących ludzi, których jeszcze nie

zdeprawowało biurokratyczne sekciarstwo. Każdy, nawet prosty człowiek, mógłby wiele zyskać w takiej chwili i co za szkoda, pomyślała, że nikt poważnie jak dotąd, nad tym się nie zastanowił. Wypełniało ją uczucie kontaktu z... numinosum.

- Człowiek się do tego przyzwyczaja - powiedział Hadden - ale nigdy nie jest znudzony. Od czasu do czasu płynie z tego widoku kolejna inspiracja.

Jak na abstynenta przystało, trzymał w dłoni nieodłączną szklaneczkę dietetycznej coli. Ona też odmówiła mocniejszego drinka. Zdaje się starczy mi ten etanol rozproszony w kosmosie - pomyślała.

- Ach, oczywiście, brak tu człowiekowi niejednego. Spacerów, pływania w oceanie, starych przyjaciół, którzy wpadają nie zapowiedziani. Ale prawdę mówiąc, nawet na Ziemi nie bardzo się temu oddawałem. Zaś przyjaciele, jak widać, i tu mogą od czasu do czasu wpaść z wizytą.

- Za spore pieniądze - zauważyła.

- Mojego sąsiada ze skrzydła obok, Yamagishi, regularnie odwiedza pewna dama. W każdy drugi wtorek miesiąca, deszcz nie deszcz, śnieg nie śnieg. Później was sobie przedstawię. Świetny gość, wojenny zbrodniarz Klasy A. Lecz ile razy stawiano go pod sąd, tyle razy natychmiast uniewinniano, rozumie pani?

- Więc w końcu co tu jest takiego? - spytała. - Nie sądzi pan, że świat zbliża się ku końcowi? Po kiego licha pan tu siedzi?

- Bo ten widoczek mi się podoba. A poza tym, są pewne dogodności... Natury prawnej.

Spojrzała na niego zdziwiona.

- Ojej, jak to powiedzieć. Ktoś na moim stanowisku, wie pani, nowe gałęzie przemysłu, wynalazki, czasem pośliznie się na tej cieniutkiej granicy i złamie jakieś prawo. Winne są, oczywiście, stare prawa, które nie nadążają za nowymi

technologiami. Całe życie można zmarnować na prawnicze spory, co, poza wszystkim, obniża ludzką efektywność. Zaś to - szerokim gestem objął i Chateau i Ziemię - nie należy do nikogo. Do żadnego państwa czy narodu. Poza tym, że należy oczywiście do mnie... Na myśli mam Chateau... i do Yamagishi. I do jeszcze paru. Trudno żeby coś tak zwyczajnego, jak regularne dostawy żywności i towarów, mogło nas kiedykolwiek postawić w konflikcie z prawem. A tymczasem bezpiecznie sobie pracujemy nad zamkniętym systemem ekologicznym. Pomiedzy Chateau i krajami tam, w dole, nie ma układu o ekstradycji. Więc czuję się bardziej... hm, wydajny... pracując tutaj. Proszę tylko nie myśleć, że popełniłem jakieś przestępstwo. Ale tyle rzeczy popełniamy co dzień... zawsze jest lepiej mieszkać po bezpiecznej stronie. Wie pani, że są tacy, którzy uważają, że to ja spowodowałem Wybuch? Ja, który wpakowałem fortunę w to, żeby Maszyna w ogóle powstała! Słyszała też pani o tym, co zrobili z Babilonem, oczywiście, znów ja jestem winien, ten sam Hadden, który bawił się bombą w Terre Haute, tak przynajmniej myślą po cichu detektywi z ubezpieczenia. Zdaje się, mam więcej wrogów, niż przypuszczałem. Dlaczego? Nie wiem. Tyle dobrego wyświadczyłem ludziom. Więc sama pani widzi, że lepiej dla mnie siedzieć tu, poza Ziemią. No ale chciałem mówić o Maszynie. Okropność! Ta katastrofa z wałem erbowym w Wyoming, naprawdę żal mi biednego Drumlina. To był kawał świetnego drania, pewnie przeżyła pani wstrząs. Na pewno nie chce się pani napić?

Ale jej dobrze było słuchać i wpatrywać się w Ziemię.

- Jeśli więc mnie ten wypadek nie odebrał zapału, dlaczego miałby pani? Pewnie martwi panią to, że nie będzie już Amerykańskiej Maszyny. Za dużo wrogów, którzy tego nie chcą. Zapewne i Prezydent martwi się z tego powodu. Pomyśleć tylko, te wszystkie fabryki, które zbudowaliśmy. Żadna nie miała taśm montażowych, wszystko było robione na

zamówienie. Sporo może kosztować zastąpienie uszkodzonych części nowymi. Ale na pewno pani główną troską jest, czy od początku był to dobry, czy zły pomysł. Może naprawdę poszliśmy trochę za daleko, może to było głupie z naszej strony. I teraz musimy długo i dokładnie przyjrzeć się wszystkiemu od nowa. Nawet jeśli nie są to pani myśli, to na pewno Prezydent. Obawiam się, że jeśli prędko tej budowy nie skończymy, to już nigdy. I jeszcze jedno chodzi mi po głowie: że ich zaproszenie na pewno nie jest wieczne.

- Zabawne, że pan mi to mówi. Akurat Valerian, Drumlin i ja rozmawialiśmy o tym samym tuż przed wypadkiem. Przed sabotażem - poprawiła. - Proszę, niech pan mówi dalej.

- Wie pani, ludzie wierzący, a przynajmniej ich większość, wyobrażają sobie życie na naszej planecie jako doświadczenie. Że jakiś bóg, obojętnie który, zawsze się na czas wmiesza, podsunie odpowiednią żonę, lekarstwo, podpowie, ile mieć dzieci i jedno słowa pochwali, innych zakáže. A nade wszystko rozbudzi poczucie winy tam, gdzie trzeba się cieszyć życiem... Czemu, do diaska, bogowie nie zostawią nas w spokoju? To ich ciągle nerwowe wtrącanie się w nasze sprawy świadczy chyba o braku kompetencji? Dlaczego jeśli Jehowa chciał, żeby żona Lota się nie obejrzała, nie zrobił tak, żeby się nie obejrzała? Albo uczynił Lota mniejszym safandulą, żeby go żona słuchała? Jeżeli Bóg jest wszechwładny i wszechwiedzący, dlaczego od początku nie zaczął świata w taki sposób, żeby wszystko działało jak należy? A teraz narzeka i naprawia. Przynajmniej jedna rzecz jasno wynika z Biblii: że Bóg biblijny był lichym rzemieślnikiem. Splajtowałby, gdyby miał konkurencję. Oto dlaczego nie wierzę, że życie jest doświadczeniem. Na pewno więcej jest takich planet, gdzie bogowie mogą do woli eksperymentować w zakresie swych umiejętności. Jaka szkoda, że Joss albo Rankin tam się nie urodzili! Bo na naszej planecie - znowu pomachał

ręką w kierunku okna - nikt się nami nie interesuje. Nawet kiedy coś spartaczymy, bogowie już nie wpadają, żeby nam pomóc. Starczy popatrzeć na historię rodzaju ludzkiego i już się wie: jesteśmy zupełnie sami.

- Do czasu - odezwała się. - Deus ex machina. Bogowie w końcu ulitowali się i przysłali nam Maszynę.

- Raczej Machina ex deo, czy jak to będzie po łacinie. Nie sądzę, i jeszcze raz powtarzam, jesteśmy planetą odstawioną na bok. Puszczoną na żywioł, gdzie już nikt nie zagląda. Jakimś modelem szklarniowym, który im zwyrodnił. Tak się dzieje, kiedy ogrodnik nie podlewa ziarna. Ziemia to pomoc naukowa na lekcjach dla początkujących bogów: oto co się zdarzy, jeśli nie opanujecie rzemiosła, mówią nauczyciele, wyjdzie wam Ziemia. Ale ponieważ szkoda im niszczyć jakoś w końcu pourządzany świat, więc tylko czasem rzucą tu okiem, jak na stary strych. I może przyprowadzają na lekcję poglądową jakiegoś odstającego w szkoleniu boga? Ostatnio byli wtedy, gdy lataliśmy po sawannach, polując na antylopy. W porządku, powiedzieli, z tymi nie będzie kłopotów. Zajrzymy tu znowu za jakiś milionik lat. Ale do tego czasu pokontrolujemy ich na częstotliwościach radiowych. I pewnego dnia: alarm. Dostali wiadomość z Ziemi. Co? Mają już telewizję? Zobaczymy, co też nadają. A tu stadion olimpijski. Narodowe flagi. I ten gołąbek pokoju, Adolf Hitler. Oho, mówią sobie. Czują pismo nosem i prędko nam telegrafują: dajcie sobie z tym spokój, chłopcy. Taka ładna planeta, zostawcie ją w spokoju. Ale macie tu Maszynkę, zbudujcie ją sobie zamiast tego. Myślę, że oni trochę się martwią nami. Widzą, że osuwamy się w przepaść. I że niewiele jest czasu do naprawy. Ja też jestem tego co oni zdania. I też uważam, że musimy zbudować Maszynę.

Już słyszała, co Drumlin mówi o wywodach Haddena. Mimo to czuła, że wiele z tego co powiedział, dźwięczy dalekim echem jej własnych przekonań. Ale już miała dość tych opowieści o kuszeniu i o sekretach niebieskich, i co tak

naprawdę Veganie mają na myśli. Chciała już tylko jednego: żeby projektu nie odwołano, żeby Maszyna stanęła, ruszyła i żeby zaczął się nowy rozdział w dziejach świata. Nadal z ostrożnością traktowała swe osobiste motywy i udawała, że nie słyszy, gdy tu i tam przebąkiwano o niej jako o członku załogi. Więc w jakimś duchowym sensie opóźnienie w budowie Maszyny służyło jej rozwojowi. Może tak miało być, może ma wreszcie trochę czasu, żeby obrócić swą duszę na nice?

- Obiad zjemy z Yamagishi. Spodoba się pani. Choć my trochę o niego się martwimy. Tak nisko nastawia ciśnienie parcjalne tlenu w nocy.

- Co to znaczy?

- Im mniej tlenu w powietrzu, tym dłużej żyjesz. Przynajmniej tak twierdzą lekarze. No więc my wszyscy w pokojach wzięliśmy się za regulowanie tlenu. W ciągu dnia nie bardzo można zejść niżej dwudziestu procent, bo człowiek robi się jak kapeć. Niedotlenienie mózgu. Ale w nocy, kiedy i tak śpisz, ciśnienie parcjalne można sobie obniżyć. Choć to trochę ryzykowne, wie pani, można zejść za nisko. Yamagishi już zszedł do czternastu procent, a że ma ambicje żyć wiecznie, Bóg wie, do czego jeszcze może się posunąć. Wystarczy, że skutkiem tego nie jest do południa zbyt przytomny.

- To ja jestem na dwudziestu procentach tlenu chyba całe życie? - zaśmiała się.

- Teraz eksperymentuje ze środkami zwiększającymi krążenie mózgowe. Wie pani, nootropil. Z pewnością poprawia pamięć. Wątpię wprawdzie, czy również zwiększa błyskotliwość, ale ludzie w to wierzą. I Yamagishi wierzy i faszkuje się całą masą nootropilu. W dzień, a w nocy wyłącza tlen.

- Chce pan powiedzieć, że w związku z tym może z czymś wyskoczyć?

- Wyskoczyć? Czy ja wiem. Nie znam zbyt wielu wojennych zbrodniarzy Klasy A w wieku dziewięćdziesięciu

dwu lat.

- No widzi pan? Dlatego każdy eksperyment wymaga dozoru. - Hadden uśmiechnął się.

Pomimo zaawansowanego wieku, Yamagishi trzymał się prosto, czego zapewne nabył skutkiem wieloletniej służby w Cesarskiej Armii. Był nieduży, zupełnie łysy, z cienkim białym wąsikiem i przyklejonym do twarzy wyrazem łagodności i przyjaźni.

- Jestem tu z powodu bioder - wyjaśnił. - Wiem o raku i o tej przeżywalności. Ale ja tu jestem z powodu bioder. W moim wieku szyjki biodrowe łatwo się łamią. Baron Tsukuma umarł od tego, zleciał ze swego futonu na swoje tatami. Z pół metra. Zleciał. I kość mu się złamała. W grawitacji zero kości się nie łamią.

Na razie brzmiało to do rzeczy.

Wprawdzie trzeba było pójść na pewne gastronomiczne kompromisy, obiad mimo to prezentował się wspaniale. Spożywanie normalnych posiłków w stanie nieważkości wymagało zastosowania specjalnej metody, więc wszystkie półmiski miały pokrywki, a kieliszki do wina - wieczka i słomki. I nie podawano orzechów ani prażonej kukurydzy.

Yamagishi skwapliwie podsunął jej kawior. To jeden z nielicznych specjałów Zachodu, wyjaśnił, którego kilogram na Ziemi kosztuje więcej, niż transport do Matuzalema. Fakt, że jajeczka kawioru są ze sobą połączone, Ellie uznała za wysoce szczęśliwy. Oczami wyobraźni ujrzała chmury kawioru fruujące po pokojach i korytarzach tego domu starców... I nagle uświadomiła sobie, że jej matka też przebywa w domu starców, w o ileż - wprost nieporównywalnie - biedniejszym schronisku dla niechcianych starych ludzi. Patrząc przez okno na obszar Wielkich Jezior, mogłaby jak szpilką w globus ukłuć miejsce, gdzie w tej chwili znajduje się matka. „Bez zastanowienia poświęciłam dwa dni na gadanie w luksusowym

kosmicznym zamku z rozkapryszonymi bilionerami, a nie znajduję kwadransa na telefon do matki”. I znów przyrzeczenia... oczywiście, zadzwoni natychmiast, gdy tylko zląduje z powrotem w Cocoa Beach. Rozmowa telefoniczna stąd, z okołoziemskiej orbity, to przecież niepotrzebna sensacja dla starego człowieka. Dla całego tego „domu złotej jesieni” w Janesville, w Wisconsin...

Nagle w tok jej myśli wtrącił się Yamagishi informując ją, że jest najstarszym człowiekiem w kosmosie. Odkąd w ogóle tu pojawili się ludzie. Zawsze był. Nawet chiński wicepremier okazał się młodszy od niego. Zdjął marynarkę, podwinął prawy rękaw, napiął biceps i kazał jej pomacać. Po czym jak nakręcony zaczął opowiadać ze szczegółami o wszystkich akcjach dla biednych, w których brał udział na Ziemi. I których głównym dobroczyńcą jest i dzisiaj... Ellie próbowała skierować rozmowę na bardziej towarzyskie tory.

- Tak cicho i spokojnie jest tutaj - zagaiła. - Z pewnością odpowiada panu taka emerytura?

Tę mizerną próbę wzorowej konwersacji posłała do Yamagishi, ale odpowiedział Hadden.

- Wcale nie tak spokojnie. Od czasu do czasu nadchodzi mały kryzys i wtedy musimy wiać.

- Wybuchy na Słońcu. Bardzo złe. Tylko człowieka sterylizują - wtrącił Yamagishi.

- Zgadza się. Kiedy teleskop ostrzega przed dużym wybuchem na Słońcu, ma się trzy dni, żeby uciekać przed odłamkami, które mogą uderzyć w Chateau. Stali mieszkańcy, jak Yamagishi-san i ja, schodzą do schronu burzowego, bardzo spartańskiego, bardzo odosobnionego. Ale ma najlepsze zabezpieczenie przeciwradiacyjne, trudno. Choć zawsze jest trochę radiacji wtórnej. Rzecz w tym, żeby goście, którzy akurat są na Matuzalemie, opuścili go w ciągu trzech dni. Wtedy flota komercyjna robi takie obroty, że mają kłopoty z podatkami. A my czasem musimy prosić NASA albo Sowieców

o pomoc w ewakuacji. Pojęcia pani nie ma, kto stąd nawiewa, gdy ogłosi się taki stan alarmowy: ojcowie mafii, szefowie wywiadów, różne niebieskie ptaki i ptaszyce ze światowych stolic...

- Dlaczego stale odnoszę wrażenie - spytała z pewnym wahaniem - że seks musi być wysoko notowanym towarem na waszej liście dostaw z Ziemi?...

- I jest, ależ jak najbardziej! Z wielu zresztą powodów, bo wie pani, jesteśmy szczególną klientelą. No i to miłe odosobnienie... Ale główny powód to grawitacja zero. W tych warunkach można po osiemdziesiątce wyprawiać takie rzeczy, o jakich się nie śniło, gdy miało się dwadzieścia lat. Powinna pani przyjechać tu ze swym przyjacielem. Proszę to traktować jako formalne zaproszenie.

- Nie po osiemdziesiątce. Po dziewięćdziesiątce - poprawił Yamagishi.

- Przepraszam? - zamrugła Ellie.

- Wyprawia się takie rzeczy, mając dziewięćdziesiąt lat. To mówi Yamagishi-san. Dlatego każdy chce tu przyjechać. - Przy kawie Hadden znów zaczął mówić o Maszynie.

- Otóż Yamagishi-san, ja i jeszcze paru ludzi, jesteśmy partnerami w pewnym przedsięwzięciu. On jest prezesem honorowym zarządu „Yamagishi Industries”, którzy jak pani wie, są głównym kontrahentem w testowaniu komponentów Maszyny na Hokkaido. A teraz nasz problem. Posłużę się przykładem. Oto trzy wielkie sferyczne muszle, jedna obok drugiej. Zrobione są ze stopu niobu, każda z nich ma swoje specyficzne parametry i jest tak zaprojektowana, by obracała się bardzo prędko w próżni, w jednym z kierunków kąta prostego. Nazywają się benzelami, pani to wszystko, oczywiście, wie. A teraz niech pani się zastanowi, czy zamiast testować gotowe komponenty, nie lepiej zrobić ich modele w mniejszej skali, a potem uruchomić z potrzebną prędkością? I patrzeć, co się wydarzy? Wszyscy mądrzy fizycy mówią, że nic się nie

wydarzy, choć nikt z tych mądrych jeszcze nie zrobił takiej próby. Tak precyzyjnej próby. Przypuśćmy, że to samo zrobimy na gotowej już Maszynie. I coś jednak się wydarzy. Co wtedy? Skąd będziemy wiedzieli, czy zawiniła prędkość obrotów, czy niewłaściwy montaż benzeli. A może niedokładność wykonania? My więc zbudowaliśmy sobie i modele w pomniejszeniu, i na wszelki wypadek modele jeden do jednego. Oba. Te duże rozkręcimy wtedy, gdy już je połączymy z innymi komponentami. Też je mamy gotowe. I zobaczymy, jeśli się nic nie stanie, to dołożymy następne, jeden po drugim. Widzi pani, pracujemy nad systemem montażowym część po części, a to przecież wielkie niebezpieczeństwo, bo jak już wszystko będzie gotowe i ruszy, to tak może wierzgnąć, że nam zlecą skarpetki z nóg. Ale czegoż się nie robi, by mieć pewność, że nasza droga Maszyna działa jak należy. Rozumie pani, ku czemu zmierzam?

- Tak, świetnie. Po prostu zbudowaliście sobie w Japonii dokładny odpowiednik Maszyny?

- Można by tak powiedzieć, chociaż to wcale nie jest tajemnicą. My tylko testujemy. Pojedyncze komponenty oraz w zestawieniu, przecież nikt nie umawiał się z nami, że będziemy je testować tylko raz i wio, do Ameryki. Oto więc propozycja moja i Yamagishi: zmienimy rozkład zajęć na Hokkaido. Pełną parą przystępujemy do montażu całości, a jeśli nie będzie ona działać, szybko przeprowadzimy znów serię prób: komponent po komponentie, razem i osobno. Mamy już przydzielone fundusze. Uważamy, że wszystko potrwa nie więcej niż parę miesięcy. No, może rok lub dwa. Ale na pewno wcześniej, niż amerykańska nieboga wróci do zdrowia. Rosjanie nas nie dogonią, Amerykanie zresztą też. Jedyne wyjście to Japonia. Nie robimy wokół tego szumu, tym bardziej że nie musimy wcześniej zgłaszać żadnych decyzji o rozruchu Maszyny i tak dalej. My sobie po prostu wciąż testujemy części.

- Czy, jeżeli decyzja o uruchomieniu zapadnie, to tu, w tym pokoju? Między wami?

- Och, to oczywiście wielka odpowiedzialność. Zdajemy sobie sprawę, że nie działamy na tym świecie samotnie. Ale w ciągu sześciu miesięcy możemy dociągnąć Maszynę do tego etapu, na jakim była w ostatniej swej chwili przed zgonem w Wyoming. Będziemy ma się rozumieć, dużo ostrożniejsi, wiedząc już teraz o możliwości sabotażu. Ale gdy komponenty będą o'kay, Maszyna też musi być o'kay. Zresztą na Hokkaido nie jest tak łatwo się wśliznąć. A gdy już wszystko będzie gotowe i sprawdzone, zawiadomimy Światowe Konsorcjum Maszyny, które na pewno zgodzi się na uruchomienie. Jeśli załoga będzie chciała, to założę się, że Konsorcjum nie będzie stawiało przeszkód. Co o tym myślisz, Yamagishi-san?

Yamagishi nie dosłyszał pytania. Cichutko nucił „Chciałbym upaść”, najnowszy hit z listy przebojów, pełen detali o tym, jak się ulega pokusom poza Ziemią. Nie pamiętam wszystkich słów, usprawiedliwiał się, gdy ponownie zabrzmiało pytanie Haddena.

Więc Hadden ciągnął dalej.

- Oczywiście, części składowe Maszyny będą w przyszłości wirowały, podskakiwały, zderzały się, więc każda z nich przejdzie wszelkie możliwe testy przepisane przez Wiadomość. Mówię to, aby podkreślić jak bardzo nam zależy na tym, żeby się pani nie bała.

- Ja? Bała się? Czego? O czym pan mówi, na miłość Boską. Nikt mnie dotąd o nic takiego nie pytał i nie rozumiem...

- Proszę pani. Wiadomo już, że Komisja Selekcyjna zwróci się niebawem do pani, i że Prezydent na pewno ten wybór zaakceptuje. Z entuzjazmem, nie wątpię. Czyżby chciała pani... - dodał wykrzywiając twarz w uśmiechu - resztę życia przesiedzieć w oknie, z poduszką pod łokciami?

Nad Skandynawią i Morzem Północnym zbierały się chmury, a Kanał La Manche osnuwała koronkowa, prawie przezroczysta mgła.

- No piękne. Więc jedzie pani - poderwał się Yamagishi i

obie dłonie przyłożył sztywno do nogawek. Wykonał głęboki ukłon.

- W imieniu dwudziestu dwu milionów zatrudnionych w moich korporacjach, witam panią wśród nas.

Zwinęła się wygodnie do snu w przygotowanej dla siebie koi, która zawieszona była między dwiema ścianami tak, żeby przy obracaniu się z boku na bok w ciężeniu zero nie uderzyła o jakiś mebel. Wtem ocknęła się z płytkiej drzemki, gdy wszyscy, jak jej się zdawało, pogrążeni byli w głębokim śnie. Podciągając się wprzód obiema rękami, dotarła przed wielką szybę. Znajdowali się nad półkulą pogrążoną w ciemności, Ziemię spowijała noc i tylko lśniły rozrzucone w niej świetliste płatki, wewnątrz których ludzkość chroniła się przed nieprzeniknionym mrokiem ogarniającym planetę, gdy odwracała się od Słońca. Minęło dwadzieścia minut, podczas których pierwsze zorze świtu pojawiły się nad Ziemią, zaś w Ellie dojrzała decyzja, że jeśli jeszcze raz ją poproszą, to odpowie „tak”.

Wtem wyrósł obok niej Hadden i Ellie lekko się wzdrygnęła.

- Wspaniały widok, przyznaję. Jestem tu już parę lat, a wciąż mnie zachwyca. Ale czy nie męczy cię świadomość, że zewsząd zamyka cię puszka statku kosmicznego? A pomyśleć, jak musi być wspaniale wisieć sobie w pustce w samym kombinezonie. I niczego, ale absolutnie niczego nie ma wokół ciebie, poza gwiazdami. Nikt tego jeszcze nie doświadczył: ani linki zaczepowej, ani statku, może tylko Słońce gdzieś za tobą, a poniżej Ziemia. Choć w moim przypadku wolałbym, żeby to był Saturn. Oto płyniesz w przestrzeni, jakbyś stanowił jedność z kosmosem, dzisiejsze kombinezony mają dość wyposażenia, żeby pozwolić na przeżycie paru godzin. Twój statek zostawił cię tu na chwilę i zniknął. Może wróci za godzinę, może nigdy. Najlepiej, oczywiście, gdyby nie wrócił. Przeżywasz swe

ostatnie godziny pośród gwiazd, światów, w pustce kosmosu. Jakże można się oprzeć takiej pokusie, jeśli się nosi w sobie śmiertelną chorobę? I na koniec chciałoby się przeżyć coś naprawdę wyjątkowego.

- Mówi pan poważnie? Chce pan naprawdę założyć takie przedsiębiorstwo pogrze... rozrywkowe?

- Trochę za wcześnie na przedsiębiorstwo. I może nie dokładnie w ten sposób. Powiedzmy, że jestem na etapie badawczo-wdrożeniowym.

W tej chwili nabrała pewności, że nie powie Haddenowi o swej decyzji. Ale on nie pytał.

Za to później, gdy już Narnia wyłoniła się z mroku, zaczynając abordaż przy Matuzalemie, wziął ją na bok i powiedział:

- Mówiliśmy, że Yamagishi jest najstarszym człowiekiem na orbicie. Za to ja jestem najmłodszym, oczywiście, wśród stałych mieszkańców, bo astronauta czy dziewczęta do tańca się nie liczą. Istnieje wysokie prawdopodobieństwo medyczne, że grawitacja zero utrzyma mnie w tym stanie przez wieki. Widzi pani, zaangażowałem się w eksperyment nad nieśmiertelnością. Nie mówię tego dla przechwałki, mówię dla konkretnego celu. Bo my tu eksperymentujemy nad przedłużeniem sobie życia, a niech pani pomyśli, co oni, tam na Vedze, już w tej dziedzinie mają. Prawdopodobnie są nieśmiertelni, albo prawie nieśmiertelni. Jestem osobą praktyczną i wiele ostatnio myślę o nieśmiertelności. Przypuszczalnie więcej i poważniej niż dotychczas ktokolwiek. Więc zdradzę pani sekret nieśmiertelnych: oni są bardzo ostrożni. Nic nie robią na żywioł, za dużo zainwestowali w walkę o swą wieczność. Nie wiem, jak wyglądają, nie wiem, czego od pani chcą, ale jeśli kiedykolwiek pani się z nimi spotka, proszę pamiętać o tej mojej przyjacielskiej radzie: cokolwiek pani się wyda piekielnie łatwe, oni uznają za niedopuszczalne ryzyko. Więc jeśli dojdzie

z nimi do jakichś pertraktacji, niech pani nie zapomni o mych słowach.

ROZDZIAŁ 17

Sen mrówek

Mowa ludzka przypomina pęknięty sagan, na którym bębniemy do tańca niedźwiedziom tęskniąc za muzyką, od której rozplynęłyby się gwiazdy.

GUSTAW FLAUBERT

Pani Bovary (1857)

Właśnie pakowała swój bagaż przed podróżą do Japonii: notesy, taśmy a także liść palmy, kiedy nadeszła wiadomość. Matka miała wylew. I zaraz po tym kurier przyniósł list - był od Johna Staughtona - który, pomijając wstępne uprzejmości, pisał:

Matka twoja i ja rozmawialiśmy często o twych niedostatkach i o zaniedbaniach. Nigdy nie były to przyjemne rozmowy, bo jeśli broniłem ciebie (co mi się zdarzało - nie uwierzysz - nader często), matka mówiła, że zachowuję się jak marionetka w twoich rękach. Ale gdy próbowałem cię krytykować, to dowiadywałem się, że mam pilnować swoich spraw. Chcę jednak, żebyś wiedziała, że od czasu twojego odkrycia, całkowita niedbałość jaką okazywałaś matce, nie próbując jej choćby raz odwiedzić, była dla niej źródłem wielkiego cierpienia. Wciąż powtarzała tym swoim okropnym babskom w pensjonacie - do którego tak bardzo chciała iść - że odwiedzisz ją lada dzień. Przez całe lato to powtarzała. „Lada dzień”. Cieszyła się na myśl, że pokaże wszystkim swoją sławną córkę i wciąż zmieniała porządek, w jakim będzie cię przedstawiać temu zgrzybiałemu zgromadzeniu.

Pewnie niemiło ci to czytać - zresztą i ja piszę te słowa

ze smutkiem. Ale tak będzie dla ciebie lepiej. Sprawiałaś jej swym zachowaniem więcej bólu niż cokolwiek, czego w życiu doświadczyła - włączając nawet śmierć twojego ojca. Jesteś dziś sławna, twoje holograficzne zdjęcie można dostać w każdym kiosku na całym świecie. Obracasz się wśród polityków i tak dalej - jednak jako człowiek niewiele nauczyłaś się od czasów szkoły średniej...

Oczy Ellie wypełniły się łzami. Wpierw zmięła list i chciała też zgnieść kopertę, ale poczuła w niej coś sztywnego. Był to hologram zrobiony komputerową techniką ekstrapolacji ze starej dwuwymiarowej fotografii. Mimo istnienia krawędzi i rogów, miało się poczucie nieskończonej głębi - nie widziała przedtem tego zdjęcia, na którym matka - całkiem ładna panna - uśmiecha się z ramieniem swobodnie wspartym o bark ojca. Na jego twarzy widniał cień czegoś, co musiało być dwudniowym zarostem - promienieli ze szczęścia i Ellie, w jakimś przypiływie bólu, winy, wściekłości na Staughtona i na pewno litości nad sobą, musiała spojrzeć w oczy tym dwojgu, których takimi nigdy więcej już nie zobaczy.

Matka nieruchomo spoczywała na łóżku. Wyraz twarzy miała dziwnie obojętny, ani to była radość, ani żal, tylko... trwanie. Od czasu do czasu mrugała, więc Ellie nie była pewna, czy rozumie, lub choćby tylko słyszy to, co się do niej mówi. Natychmiast do głowy pani astronom napłynęła moc wynalazczych pomysłów - cóż Ellie mogła na to poradzić, same jej w głowie powstawały. Jedno mrugnięcie powieką - „tak”, dwa - „nie”. Albo podnieść encefalograf z kablem od katody, tak żeby matka mogła go zobaczyć i nauczyć ją regulacji mózgowych fal beta. Do licha, przecież to matka, nie Alfa Lira, i jeśli coś przyniosło Ellie do jej łóżka, to nie algorytmy dekodujące, lecz miłość. Wzięła dłoń matki w swe ręce i godzinami do niej mówiła. Wspominała ją, ojca, swoje

dzieciństwo, przypominała jej, jak biegała drobiąc nóżkami między świeżo wypraną bielizną i jak nagle, uniesiona przez matkę, poleciała w niebo. Mówiła o Johnie Staughtonie i przepraszała matkę za tyle rzeczy... Popłakała też trochę, a potem, ponieważ włosy matki były w nieładzie, poszukała szczotki i zrobiła jej szalową fryzurę. Patrzyła w pokrytą liniami zmarszczek twarz i poszukiwała jej podobieństwa ze sobą. Oczy matki były zapadnięte, wilgotne. Patrzyły nieruchomo mrugając od czasu do czasu, jakby zapatrzone w dalekie przestrzenie.

- Wiem, skąd pochodzę - Ellie cicho powiedziała do niej.

Prawie niedostrzegalnie matka pokręciła głową w jedną i drugą stronę, jakby żałując lat, kiedy nie były ze sobą bliżej. Ellie lekko uścisnęła jej dłoń i wydawało się, że matka ten uścisk oddała.

Życiu matki, jak powiedział lekarz, już nie groziło niebezpieczeństwo, ale jeśli coś się stanie, natychmiast - zapewnił - zadzwonią do jej biura w Wyoming. Za parę dni wypiszą ją ze szpitala z powrotem do domu starców, w którym warunki - uśmiechnął się uspokajająco - niewiele od szpitalnych odbiegają.

Staughton wydawał się przybity. Takiej głębi uczuć w nim nie podejrzewała. Będzie często dzwonić - odchodząc rzuciła z pełnym przekonaniem.

W surowej, marmurowej recepcji jedynym cieplejszym - może niezamierzenie - elementem, był nagi posąg kobiety w stylu Praksyteleasa. Weszli do windy Otis-Hitachi, w której drugim językiem rozbrzmiewającym wokół okazał się angielski. Poddając się naporowi ludzi, znalazła się nagle w wielkiej, stodołastej sali, w której było mnóstwo ludzi, a każdy pochylał się nad komputerem.

Jeśli, na przykład, wydrukowało się nim na słowo w hiragana - pięćdziesięciojednoliterowym alfabecie japońskim -

na ekranie natychmiast pojawiał się odpowiadający mu ideogram w chińskim języku kanji. W pamięci komputera znajdowały się setki tysięcy takich ideogramów, lub znaków alfabetycznych, chociaż do zwykłego przeczytania gazety nie trzeba więcej jak trzech lub czterech tysięcy. A że w języku kanji jednemu brzmieniu słowa może odpowiadać wiele znaków, z których każdy znaczy co innego, komputer drukował wszystkie w porządku prawdopodobieństwa. Miał poza tym tę jeszcze umiejętność, że wprowadzony znak umiejscawiał automatycznie w takim kontekście znaczeń, jakie pamięci komputerowej zdawały się najbliższe twojemu zamierzeniu. I rzeczywiście - rzadko się mylił, choć dla tradycjonalistycznie nastawionych użytkowników języka, który dopiero od niedawna miał swoje maszyny do pisania, było to wszystko nie tyle rewolucją w komunikacji, ile kłopotliwą i niezbyt sympatyczną nowiną.

Do konferencji prasowej zasiedli w sali pełnej niskich i głębokich foteli - będących oczywistym ukłonem w kierunku Zachodu. Na niskich stolikach z laki stały filiżanki z herbatą, a przed oczami Ellie rozciągał się wspaniały widok Tokio. Raczej wiele czasu spędzam ostatnio przed oknami, pomyślała. Spotkanie obsługiwał „Asahi Shimbun” - Dziennik Wschodzącego Słońca, i wśród dziennikarzy Ellie ujrzała kobietę - rzecz raczej niezwykła w dziennikarskim świecie USA czy Związku Sowieckiego. Rola kobiety w japońskim społeczeństwie ulegała ostatnio powolnym i nieuchronnym zmianom - tradycyjne przywileje mężczyzn padały jeden po drugim w czymś, co określano „ulicznymi walkami kobiet po zdobyciu fortecy”. Właśnie wczoraj usłyszała od prezesa firmy „Nanoelectronics”, że w Tokio już nie znajdzie się ani jednej „panienki”, która potrafiłaby zawiązać obi. Inwazja fabrycznie wiązanych krawatów całkowicie wyparła z rynku tę japońską specjalność - widocznie tutejsze kobiety miały coraz więcej znacznie ciekawszych zajęć, niż co dzień płatać się przez pół

godziny w długiej i szerokiej szarfie, noszonej kiedyś przez kobiety i dzieci. Dziennikarka ubrana była w prosty, profesjonalny kostium, ze spódnicą sięgającą pół łydki.

Ze względów bezpieczeństwa żadnych innych reporterów nie wpuszczono na teren zakładów Hokkaido Machine, uważając widocznie, że opinii publicznej wystarczy to, co mają do powiedzenia wpadający tu czasem z terenu budowy oficjalni przedstawiciele Projektu. Pytania padały zawsze te same, bo też taki sam mniej więcej stosunek do Maszyny (pominąwszy lokalne idiosynkrazje) miały media w każdej części świata. Pytano więc ją, co czuje po „rozczarowaniu” jakie spotkało budowniczych Maszyny w Ameryce i w ZSRR. Czy na tej najdalej na północ wysuniętej wyspie Hokkaido nie doskwiera jej samotność? Czy jest przeciwna temu, że komponenty Maszyny produkowane w Hokkaido, poddawane są testom nie przewidzianym przez Wiadomość?

Do 1945 roku ta część Tokio należała do Cesarskiej Marynarki Wojennej i rzeczywiście - tuż obok ich budynku ujrzeć mogła płaski dach Obserwatorium Marynarki Wojennej z dwiema srebrzystymi, odbijającymi światło południowego słońca kopułami, które kryły w swym wnętrzu teleskopy, nadal wykorzystywane do pomiarów czasu zegarowego i kalendarza.

Dlaczego główną częścią Maszyny jest dwunastościan, i po co są te trzy półkule nazywane benzelami? Tak, dziennikarze rozumieją, że Ellie nie wie. Ale co Doktor Arroway myśli o tym? Więc tłumaczyła, że w sprawach takiego rodzaju głupotą byłoby mądrzyć się, przy braku jakichkolwiek konkretnych danych. Ale nalegali, więc odwołała się do pięknej tradycji tolerancji, która powinna akceptować również niejasność czyjejs odpowiedzi. Czy uważa, że istnieje niebezpieczeństwo dla ludzi, a jeśli tak, to czy nie należałoby posłać roboty, co sugerował ostatnio ekspert japońskiego wywiadu? I czy zabierze ze sobą jakieś osobiste rzeczy?

Rodzinne fotografie? Mikrokomputery? Scyzoryk?

Kątem oka Ellie zauważyła, że dwie jakieś figurki oderwały się od zgromadzenia, i przez drzwi zatraskowe przeszły na dach Obserwatorium. Ich twarze zasłonięte były czymś w rodzaju przyłbic, mieli też na sobie niebieskoszare pikowane kubraki i lekkie zbroje średniowiecznych samurajów. Potrząsnąwszy wyższymi od siebie drewnianymi kijami skłonili się, odczekali moment, po czym zaczęli okładać się przez następne pół godziny. Oczywiście Ellie wciąż uciekały ku temu spektaklowi, więc odpowiedzi zaczęła udzielać w roztargnieniu. Ale nikt tego nie spostrzegł. Kije musiały być piekielnie ciężkie, bo unosili je powoli, jakby walka toczyła się głęboko na dnie oceanu.

Czy знаła doktora Łunaczarskiego i doktor Sukhavati, zanim odebrała Wiadomość? Co sądzi o doktorze Eda? Panu Xi? Jaka jest jej zawodowa opinia o nich? O ich osiągnięciach? Czy cała Piątka uczonych lubi się między sobą? Nagle zrozumiała cud własnego uczestnictwa w tak znakomitej grupie.

Co myśli o jakości japońskich komponentów? Co ma do powiedzenia o audiencji, jakiej udzielił Piątce cesarz Akihito? Czy ich dyskusje z Shinto i innymi kapłanami buddyjskimi były częścią ogólnej taktyki budowniczych Maszyny, by nie lekceważyć opinii światowych przywódców religijnych, czy raczej gestem kurtuazji wobec Japonii i japońskich gospodarzy? Czy brała poważnie pod uwagę możliwość, że Maszyna jest Koniem Trojańskim albo Machiną Sądu Ostatecznego? Starła się, by jej odpowiedzi były uprzejme, zwięzłe i niekontrowersyjne. Rzecznik prasowy Projektu siedzący obok niej nie krył zadowolenia.

Nagle ogłoszono koniec. Naczelny redaktor podniósł się i w imieniu wszystkich życzył sukcesu jej i współpracownikom. Mają nadzieję, że po powrocie na Ziemię znów im udzieli wywiadu. I że potem często będzie odwiedzać Japonię.

Wszyscy uśmiechali się i kłaniali. Wojownicy tymi samymi drzwiami powrócili z dachu. Przez otwarte teraz na oścież drzwi sali ujrzała swych agentów ochrony, czujnie strzelających oczami. Chwilę dzielącą ją od wyjścia wykorzystała, by zagadnąć dziennikarkę o tajemniczych samurajów.

- O, tak - odpowiedziała - to astronomowie ze Straży Wybrzeża. Co dzień w porze lunchu praktykują Kendo. Można według nich nastawiać zegarek.

Xi przyszedł na świat w czasie Długiego Marszu, a potem jako chłopak walczył z Kuomintangiem w szeregach Rewolucji. Później, już jako oficer wywiadu, służył też w Korei, co go wyniosło na wysokie stanowisko w kręgach chińskich technologów, jednak utracił je podczas Rewolucji Kulturalnej, kiedy to publicznie obrzucono go zniewagami i skazano na domowy areszt. Potem znów rehabilitowano, i znów na jego cześć rozbrzmiewały fanfary.

Jednym z przestępstw, o jakie Rewolucja Kulturalna oskarżyła Xi, było jego przywiązanie do dawnych cnót konfucjańskich, a zwłaszcza do pewnego fragmentu Wielkiego Nauczania, który od wieków znają na pamięć Chińczycy mający nawet niewielkie ambicje kulturalne. Ten właśnie cytat stał się podstawą oskarżenia o prymitywny nacjonalizm, jakie Sun-Jat-Sen wytoczył przeciw niemu.

Starożytni, którzy pragnęli służyć przykładem i po całym Królestwie rozszerzać znakomite cnoty, pierwsze co porządkowali to zarząd swoim państwem. Ale by zarządzać dobrze państwem, musieli wpierw wprowadzić porządek w swej rodzinie. Pragnąc wprowadzić porządek w swej rodzinie, musieli wpierw udoskonalić siebie. Aby udoskonalić siebie, musieli wpierw wypełnić prostotą swe serca. Aby prostotą wypełnić swe serca, musieli z nieprawości oczyścić swoje

myśli. Aby ich myśli stały się prawe, musieli pierwiej posiadać najwyższą możliwą wiedzę. I to poszerzanie wiedzy jest zaledwie początkiem poznania.

Xi więc uważał, że dla dobra Chin jego obywatele winni poszerzać swoją wiedzę. Ale Strażnicy Rewolucji byli odmiennego zdania, więc Xi skazano na pracę fizyczną w rolniczym kołchozie w prowincji Ningxia, blisko Wielkiego Muru. W regionie o bogatej tradycji muzułmańskiej, gdzie któregoś dnia wlokąc pług przez kamienistą glebę, wyorał pokryty skomplikowanym rysunkiem brązowy hełm z czasów dynastii Han.

Kiedy potem wrócił na wysokie stanowisko w rządzie, coraz mniej zajmował się bronią strategiczną, a coraz więcej - wykopaliskami. Rewolucja Kulturalna miała na celu odgrodenie Chin od pięciu tysięcy lat ich tradycyjnej, ciągłej kultury, więc Xi pomyślał sobie, że z całych sił starać się będzie przerzucić znów naderwany most ku przeszłości. Ze szczególną troskliwością zajął się pracami archeologicznymi w podziemnym nekropolis w Xian - akurat wtedy dokonano słynnego odkrycia terakotowej podziemnej armii cesarza, którego imię stało się początkiem nazwy Chin. Oficjalnie brzmiało ono Qin-Shi-Huangdi, ale przez liczne transliteracje doszło do tego, że na zachód od jego królestwa zaczęto nazywać go Chin. W trzecim stuleciu przed Chrystusem Qin stopił niezliczone i walczące ze sobą prowincje w jeden kraj, następnie zbudował Wielki Mur, a na koniec rozkazał, by wbrew tradycji, po jego śmierci zakopano z nim w grobie zamiast żywych osób - terakotowe figury naturalnej wielkości przedstawiające żołnierzy, sługi i szlachtę z dworskiego otoczenia. Naliczono siedem tysięcy pięćset (czyli prawie dywizję) figur o bardzo naturalnych rysach twarzy, i reprezentujących całe nieomal społeczeństwo ówczesnych Chin. A w sąsiednim grobowcu znaleziono prawie nienaruszone

ciało Markizy Tai - niższej damy cesarskiego dworu - którą poddano mumifikacji lepszej niż w starożytnym Egipcie. Nawet zachował się dość nieprzyjemny wyraz jej twarzy - możliwe, że spowodowany latami usługiwania wyższym damom dworu.

Qin uprościł alfabet, skodyfikował prawo, wytyczył drogi, ukończył Wielki Mur i zjednoczył kraj. Również skonfiskował obywatelom broń. Gdy oskarżono go o masakrę uczniów, którzy krytykowali jego politykę i o palenie ksiąg, których treść mu nie odpowiadała, twierdził, że eliminuje w ten sposób przekupstwo, zaś ustanawia „ład i porządek”. Przypominało to świetlane hasła Rewolucji Kulturalnej i Xi wyobrażał sobie, jakie dzikie burze targać musiały sercem tego samotnego władcy. Jego arogancja osiągała niebywałe rozmiary: aby ukarać górę, która jakoby go obraziła, kazał obedrzeć ją z roślinności i pomalować na czerwono - kolorem, którym naznaczano przestępców. Qin był wielki, ale zarazem szalony. Czy bez odrobiny szaleństwa można porwać się na zjednoczenie narodów tak różnych od siebie i skłóconych? - z uśmiechem komentował Xi. Z czasem prawie zupełnie poświęcił się wykopaliskom w Xian, szczególnie gdy nabrał pewności, że gdzieś tam - znakomicie zachowany, w jakimś wielkim grobowcu obok swej terakotowej armii - musi spoczywać w oczekiwaniu na szpadel sam Cesarz Qin. Zaś starożytne źródła kuśiły wieścią, że również niedaleko ukryto pod kurhanem szczegółowy model Chin z 210 roku przed Chrystusem, z dokładnie odrobioną najmniejszą świątynką i pagodą. A rzeki - pisano - zrobione były z rtęci i pływała po nich nieustannie, wizytując prowincje swego podziemnego królestwa, cesarska barka. Podniecenie Xi sięgnęło szczytu, gdy okazało się, że gleba w Xian przesycona jest związkami rtęci.

Odnalazł też starożytny rachunek opisujący olbrzymią kopułę, którą zamówił Cesarz, by pokrywała to podziemne Królestwo w pomniejszeniu. Nazwał je - wzorem tego większego - Niebiańskim. Ponieważ chińszczyzna pisana nie

zmieniła się prawie od dwóch tysięcy lat, Xi mógł swobodnie ów dokument przeczytać, nie uciekając się do pomocy lingwistów. Kronikarz z czasów Qin mówił wprost do Xi... Przez wiele nocy Xi zasypiał dopiero wtedy, gdy wyobraził sobie wielką Mleczną Drogę, która przecinała sklepienie niebieskie na kopule grobowca wielkiego władcy - i komety, czyniące z nocy dzień, które wybuchły w chwili jego śmierci.

Poszukiwania grobowca Qin i starożytnego modelu wszechświata były podczas ostatniej dekady głównym zajęciem Xi. I choć dotąd nic takiego nie znalazł, to jego namiętna wiara zrobiła na Chińczykach wrażenie. Mawiano o nim: „jest miliard ludzi w Chinach, lecz tylko jeden Xi”. Według niego straszliwą obsesją Qin była nieśmiertelność. Człowiek, który swym imieniem ochrzcił najludniejszy naród Ziemi i który wznosił największą ówczasnie budowlę naszej planety, z pewnością lękał się tylko jednego - że jego życie zostanie zapomniane. Więc budował i budował, zasypywał kraj monumentami, jakich dotąd nigdzie nie oglądano, i zatrzymywał każde ciało i każdą twarz - choćby w kamieniu, w terakocie, w drzewie - aż w końcu nakazał skopiować i umieścić w kurhanie model całego ówczesnego Wszechświata. I nerwowo, jedną po drugiej, słał na Morze Wschodniochińskie ekspedycje w poszukiwaniu eliksiru życia. Każda z nich kosztowała fortunę - na przykład, w jednej uczestniczyły trzy tysiące młodzieńców i dziewczyc, nie licząc załóg niezliczonej flotyli. I nigdy do Chin nie wrócili, ich los był nie znany. Elixiru życia też nie znaleziono.

Ale pięćdziesiąt lat po tym, w Japonii, nagle pojawiła się mokra uprawa ryżu i wytop metali - odkrycia, które zmieniły całą gospodarkę japońską i w krótkim czasie wyłoniły klasę arystokracji rycerskiej. Xi dowodził, że już sama nazwa Japonii wskazuje na swój chiński rodowód: Kraj Wschodzącego Słońca... doprawdy - zaśmiał się Xi - już rzeczywiście nie starczyłoby miejsca dla niego, gdyby jeszcze Słońce miało wschodzić z Japonii.

Ellie cieszyła się, że jej relacja ze spotkania z dziennikarzami z „Asahi Shimbun” stała się okazją do opowieści o Cesarzu Qin. Pomyślała sobie, że „to musiał być taki Aleksander Wielki”, i zaraz zawstydziła się mało wyszukanego porównania - ale inne, ze skąpej wiedzy ocalonej od czasów gimnazjalnych, nie przychodziło jej do głowy.

Jeżeli obsesją Qin była nieśmiertelność, to obsesją Xi był Qin. Ellie w rewanżu opowiedziała mu o swej wizycie na orbicie okołoziemskiej u Haddena i zgodzili się, że gdyby Cesarz Qin żył nieco dłużej, to orbita byłaby pierwszym miejscem, do którego przeprowadziłby się z całym swoim dworem. Połączyła się videofonem z Haddenem i przedstawiła ich sobie, a potem zostawiła na chwilę samych, żeby mogli swobodnie porozmawiać. Xi jeszcze bardziej wyostrzył swoją wspaniałą angielszczyznę (być może podczas wieloletnich rokowań wokół przekazania Hongkongu Chinom), więc obaj z zajęciem rozmawiali, choć Matuzalem już zaszedł i musieli posłużyć się siecią komunikacji satelitarnej na geosynchronicznej orbicie. Wyraźnie nie mogli się rozstać.

Krótko po tej rozmowie Hadden zarządził tak zsynchronizowany w czasie rozruch Maszyny, by Matuzalem mógł w tym czasie znajdować się nad nią. Chciał mieć Hokkaido w ognisku swego teleskopu, powiedział, gdy nadejdzie „ten moment”.

- Czy buddyści wierzą w Boga? - spytała Ellie, gdy jechali na kolację z Opatem.

- Poglądy mają takie - sucho odparł Vaygay - że ich Bóg jest tak wielki, iż nawet nie musi istnieć.

Pędząc samochodem przez równinę, rozmawiali o swym gospodarzu - Utsumi, opacie najśłynniejszego w Japonii klasztoru Zen. Kilka lat temu, podczas obchodów rocznicy zniszczenia Hiroszimy, wygłosił namiętną mowę, która zwróciła na niego uwagę świata. Miał też dobre stosunki z

japońskimi politykami, występując w roli doradcy duchowego rządzącej partii - większość jednak czasu spędzał w swym klasztorze na praktykach religijnych.

- Jego ojciec też był opatem buddyjskiego klasztoru - zauważyła Sukhavati.

Ellie ze zdziwieniem uniosła brwi.

- Wyglądasz na zdziwioną Ellie. Pamiętaj jednak, że wtedy wolno było mnichom buddyjskim zawierać małżeństwa, jak prawosławnym popom. Mam rację, Vaygay?

- Nie było mnie jeszcze na świecie - powiedział z lekkim roztargnieniem.

Restauracja, którą urządzono w bambusowym zagajniku, nosiła nazwę Ungetsu - „Księżyc w Chmurach”. I rzeczywiście, tego wieczoru po coraz wyrazistszej, w miarę jak zapadał zmierzch tarczy Księżyca, przesunęły się obłoki. Japońscy gospodarze zamówili dziś dla nich cały lokal, więc innych gości nie było. Całe towarzystwo, wraz z Ellie, zdjęło buty i w samych skarpetkach lub pończochach pomaszzerowało ku niewielkiej trójściennej wnęcie, która spozierała na kępy bambusów.

Głowa Opata była gładko wygolona. Miał na sobie habit w kolorze czerni i srebra i powitał wszystkich bezbłądną szkolną angielszczyzną - a znał też, jak później powiedział Xi, równie dobrze chiński. Otoczenie sprzyjało relaksowi i konwersacja toczyła się lekko. Każde danie było małym dziełem sztuki, prawdziwym klejnotem. Pomyślała, jak wiele dzisiejsza modna kuchnia zawdzięcza japońskiej tradycji. Gdyby spotkanie miało polegać na samym obżeraniu się, byłaby zadowolona, ale nie mniej zadowolona byłaby, gdyby tylko przypatrywali się potrawom. A przypatrywać się - i jeść - było niebiańskim wprost połączeniem.

Siedziała naprzeciw Opata, obok Łunaczarskiego. Wszyscy delektowali się przyprawami - małym ich królestwem - zaś najlepsze ze wszystkiego były smardze. Pomiedzy sushi i

gingko rozmowa nawróciła wreszcie do ich wyprawy.

- Powiedzcie mi, po co my się mamy z nimi komunikować? - spytał Opat.

- Dla wymiany informacji - odparł Łunaczarski, większość uwagi poświęcając nie słuchającym go pałeczkom.

- Powiedzcie mi więc, dlaczego chcemy wymieniać informację? - nie ustępował Opat.

- Bo z niej żyjemy. Informacja jest nam niezbędna do życia. Bez informacji zginiemy.

Łunaczarski całkowicie pogрузzył się w walce z gingko, które ześlizgiwało się z jego pałeczki ilekroć podnosił ją do ust. Pochylił głowę, by skróciwszy odległość od talerza schwycić je ustami tam, skąd mu za każdym razem spadało.

- Uważam - powiedział Opat - że komunikować się powinniśmy tylko z miłości lub współczucia - chwycił palcami kawałek gingko i włożył je sobie do ust.

- Czy sądzi więc pan - odezwała się Ellie - że Maszyna winna być instrumentem współczucia? I wtedy nie będzie ryzyka?

- Jeśli o mnie chodzi, komunikować się mogę choćby z kwiatem - niejasno odpowiedział Opat. - Potrafię też porozmawiać z kamieniem. Nie widziałbym trudności w porozumieniu się z innymi istotami. Choćby na innym świecie.

- Nie wątpię - odezwał się Łunaczarski wreszcie delektując się swym gingko - że kamień również rozmawia z panem. Ciekawiłby mnie jednak sposób, w jaki panowie to robicie. Jak chciałby nas pan przekonać, że rzeczywiście komunikował się z kamieniem? Świat jest pełen błędu. Skąd pan wie, że pan nie łudzi sam siebie?

- Ach, naukowy sceptycyzm - na twarzy Opata ukazał się uśmiech, który Ellie uznała za absolutnie czarujący. Niewinny, prawie dziecięcy.

- By porozumieć się z kamieniem, musiałby pan być... mniej wciąż zajęty... Szkoda tracić tyle czasu na myślenie,

mówienie. Gdy mówię, że komunikuję się z kamieniem, nie mam na myśli słów. Chrześcijanie mówią: na początku było Słowo. A ja mówię o dużo wcześniejszym rodzaju porozumienia, dużo bardziej fundamentalnym niż ono.

- O Słowie mówi tylko Ewangelia Świętego Jana - wtrącała się Ellie. „Nieco pedantycznie”, przemknęło jej przez myśl ledwie zaczęła mówić. - Wcześniejsze Ewangelie Synoptyczne nic o tym nie wspominają. Więc chyba jest to wzięte z greckiej filozofii. Co ma pan na myśli, mówiąc o komunikacji sprzed ery słowa?

- Pytanie pani jest zbudowane ze słów. I oczekuje pani, abym odpowiadając na nie, posłużył się słowami. A to, o czym myślę, nie ma z tym nic wspólnego. Może posłużę się przykładem: istnieje japońska bajka pod tytułem „Sen mrówek”. Jej akcja toczy się w Królestwie Mrówek, to długa historia, nie będę jej teraz opowiadał. W każdym razie chodzi w niej o to, że aby zrozumieć język mrówek, trzeba stać się mrówką.

- Język mrówek - ostro rzucił Łunaczarski, patrząc Opatowi w oczy - to język chemiczny. Mrówki zostawiają za sobą ścieżkę z cząsteczek, które wydzielają, by oznakować drogę wiodącą do pożywienia. Żeby zrozumieć język mrówek, potrzeba tylko chromatografu gazowego albo spektrometru masy. Nie trzeba zmieniać się w mrówkę.

- Rozumiem, że opisał pan jedyny sposób, jaki pan sobie wyobraża - odparł Opat nie patrząc właściwie na nikogo. - Powiedzcie mi jednak, po co ludzie studiują znaki, jakie mrówka zostawia za sobą?

- No, cóż - wyrwała się Ellie - myślę, że entomolodzy zgodzą się, iż w ten właśnie sposób poznajemy mrówki jako społeczeństwo. Uczni lubią wszystko do końca zrozumieć.

- Czyli innymi słowy, oni kochają mrówki?

Stłumiła w sobie lekkie wzdrygnięcie.

- Tak, ale ci którzy te badania finansują, mówią co

innego. Na przykład, że chodzi o badanie zachowania mrówek, gdy opuszczają zagrożone przez wroga miejsce albo, badanie ich wpływu na biologię gruntów uprawnych, na przykład, jako alternatywy dla pestycydów. Kto wie, może w tym jest trochę jakiejś miłości do mrówek? - zapadła w krótkie zamyślenie.

- A takie badania leżą również w naszym interesie - odezwał się Łunaczarski - bo pestycydy nas stale zatruwają.

- Słuchajcie! - zaprotestowała Sukhavati - dlaczego my mówimy o pestycydach podczas takiej kolacji?

- Sen mrówek prześnimy innym razem - powiedział Opat łagodnym głosem do Ellie. I znów zapalił na twarzy ten cudowny, niczym nie zepsuty blask uśmiechu.

Obuci na powrót za pomocą długich na metr łyżek, powoli ruszyli w kierunku parkingu. Właścicielka wraz z usługującymi dziewczętami stała przy wyjściu uśmiechając się i kłaniając. Ellie i Xi - przyglądali się Opatowi, który w towarzystwie paru Japończyków wsiadał do wielkiej limuzyny.

- Pytałem go, czy jeśli porozumiewa się z kamieniem, umie też porozumieć się ze zmarłymi - powiedział Xi.

- I co on na to? - spytała.

- Że z umarłymi to żaden problem. Kłopoty ma z żywymi.

ROZDZIAŁ 18

Superunifikacja

*O morze, które wzburzone Ciagniesz się przez Sado Ku
Mlecznej Drodze!*

MATSUO BASHO (1644-94)

Wiersz

Wybór padł na Hokkaido - może dzięki atmosferze tajemniczości, jaka tę wyspę zawsze spowijała. Klimat taki sprzyja pracom nad technikami konstrukcyjnymi dotąd nieznanymi w Japonii, no a poza tym - właśnie stąd wywodzą się japońscy aborygenowie - kosmaci Ainu, do dziś budzący w Japończykach odruch pogardy i wstrętu. Zimy tu są tak ostre jak w Minnesocie i Wyoming, więc - choć z punktu widzenia logistycznego Hokkaido posiada parę wad - również fakt izolacji od pozostałych wysp na wypadek katastrofy, ostatecznie przeważył na jej korzyść. Z tą izolacją nie było wprawdzie już tak źle od czasu, gdy wybudowano 51-kilometrowy tunel łączący Hokkaido z wyspą Honsiu, będący odtąd najdłuższym podmorskim tunelem na świecie.

Choć przeprowadzanie na Hokkaido testów poszczególnych komponentów nie budziło pod względem bezpieczeństwa większych obaw, to uruchomienie całej Maszyny łączyć się mogło z ryzykiem. Góry otaczające bazę nie były spokojne - od dawna wiedziano o ich aktywności wulkanicznej, zaś jedna z nich ostatnio zaczęła wypiętrzać się z prędkością jednego metra na dzień. Poza tym o czterdzieści trzy kilometry stąd, widniejące tuż za cieśniną La Perouse'a brzegi wyspy Sachalin, były już terytorium ZSRR. Ale - „jeśli kupujesz za kopiejkę, kup i za rubla”... Bo w końcu, gdyby

rozruch Maszyny miał nastąpić nawet po drugiej stronie Księżyca, to wybuch jej z powodzeniem zniszczyć mógłby Ziemię, a ponadto w mentalności konstruktorów pokonanie głównego zagrożenia, jakim była walka o to, by Maszyna w ogóle POWSTAŁA, spychało na drugi plan zagrożenia związane z pytaniem - GDZIE?

W początkach czerwca zatem, po raz drugi na tej Ziemi, Maszyna zaczęła przybierać kształt. Zamontowano już wały erbowe, i dwunastościan w pełnej krasie zaczął wyłaniać się z niczego. Nadal nie składano żadnych publicznych oświadczeń, co poza wszystkim miało też swe uzasadnienie w pitagorejskim stosunku do dodekahedronu - dwunastościennej bryły geometrycznej, której odkrycie starożytni utrzymywali w największej tajemnicy, karząc surowo każdą próbę zdrady. Obecny dodekahedron - większy od tamtego, bo wielkości kamienicy - był w dwa tysiące sześćset lat później i w zupełnie innym zakątku świata, również znany niewielkiej grupce wtajemniczonych.

W tych dniach japoński Dyrektor Projektu zarządził dla wszystkich parodniowy urlop, na który wielu udało się w pobliże - do ślicznego Obihiro, położonego u zbiegu rzek Yubetsu z Tokachi. Inni wybrali się na narty ku resztkom śniegu pokrywającym zbocza góry Asahi, a jeszcze inni - do zbudowanej ze skalnych odłamów tamy w poprzek ciepłych strumieni, które powstały z rozpadu cząstek radioaktywnych po eksplozji jakiejś supernowej, miliardy lat temu. Kilku pracowników Projektu wybrało się na wyścigi Babma, polegające na ściganiu się wiejskimi drogami ciężkich perszeronów zaprzężonych do wyładowanych towarem sań. Pięciu członków załogi zdecydowało się jednak polecieć do Sapporo - największego miasta Hokkaido odległego od bazy o dwieście kilometrów, gdzie odbywał się Festiwal Tanabata. Nie byli tu tak pilnie strzeżeni, albowiem dla Japończyków mniej ważnych było tych pięcioro niż bezpieczeństwo samej

Maszyny. Dotąd nie przeszli nawet żadnego poważniejszego szkolenia, pomijawszy ćwiczenia z opanowania Wiadomości, egzamin ze szczegółów konstrukcyjnych dodekahedronu oraz trening na zminiaturyzowanych instrumentach, które w przyszłości mieli wziąć ze sobą. W tym racjonalnym świecie nikt z nich pięciorga nie był nie-do-zastąpienia - mimo że tyle intryg i politycznych zabiegów kosztowała akceptacja ich przez Światowe Konsorcjum Maszyny.

Xi i Vaygay oświadczyli, że „mają ze sobą do pogadania”, co mogą zrobić tylko nad szklaneczką sake. Zostali więc we troje: Ellie, Devi i Abonneba Eda, eskortowani przez japońskich przewodników wzdłuż promenady Odori pełnej chorągiewek, lampionów, wyciętych liści, żółwi i smoków, nad którymi wycięte z dykty widniały figury Japończyka i Japonki w tradycyjnych średniowiecznych kimonach. Na wielkim płótnie, rozpiętym między dwoma budynkami, namalowano pawia z rozłożonym ogonem.

Ellie spod oka przyglądała się haftowanej płócienniej szacie Edy i jego niedużej, cylindrycznej czapeczce. Devi miała na sobie kolejne wspaniałe sari i wyraźnie była uradowana ze swej kompanii. Maszyna przeszła ze znakomitym wynikiem wszystkie przepisane przez Wiadomość próby, zaś załoga cieszyła się powszechną aprobatą - jeśli nawet nie jako najlepsza z możliwych reprezentacja, to z pewnością jako grupa prawdziwych indywidualności, nie obciążonych konszachtami z policją czy tajnymi służbami swych krajów. I w tym sensie każdy z nich mógł ucieleśniać popularną, zwłaszcza wśród młodzieży, „nieprawomyślność” poglądów.

Dajmy na to - Eda. Wielki fizyk, odkrywca czegoś, co nazwano superunifikacją - znakomicie poukładanej teorii, która uznała cały rozwój fizyki, od teorii grawitacji po kwarki, za jeden wielki wyjątek od odkrytych przez siebie zasad, które porównywano do teorii Newtona i Einsteina, zaś samego Edę - do ich obu. Był muzułmaninem z Nigerii - co samo przez się

nie byłoby niczym niezwykłym, gdyby nie fakt, że należał do nieortodoksyjnego islamskiego odłamu o nazwie Ahmadija, która wyznawała sufizm. Zaś sufizm - tłumaczył po spotkaniu z Opatem Utsumi - jest dla islamu tym, czym dla buddyzmu Zen. Ahmadija, na przykład, też propaguje świętą wojnę džihad, ale „nie za pomocą miecza, lecz pióra”.

I mimo swej łagodnej, prawie pokornej natury, potrafił wybuchnąć gwałtownym sprzeciwem wobec tradycyjnego muzułmańskiego pojmowania religijnej misji, która wykluczając wymianę idei, prowadzi do sekciarskiego zacietrzewienia i rozlewu krwi. Był z tej przyczyny solą w oku wielu konserwatywnych mułłów, i jego kandydatura spotkała się z ich sprzeciwem. Nie tylko ich zresztą, albowiem jako czarny laureat Nobla (uważany przez niektórych za najinteligentniejszego człowieka na Ziemi), wadził też tym, którzy w warunkach nowej ugody społecznej musieli maskować swój żywiołowy rasizm. Kiedy przed czterema laty odwiedził w więzieniu Tyrone'a Free, gest ten amerykańscy Murzyni uznali za symbol ich narodowej godności i drogowskaz dla młodszych pokoleń. W rasistach Eda wyzwał to, co najgorsze, zaś co najlepsze - u pozostałych ludzi.

- To luksus mieć tyle czasu co ja na bawienie się fizyką - powiedział Ellie. - Ilu ludzi na świecie miałyby te same osiągnięcia, gdyby tylko stworzono im odpowiednie warunki. Ale jeśli musisz włączyć się ulicami w poszukiwaniu kęsa pożywienia, doprawdy trudno jest znaleźć czas dla fizycznych odkryć. Wiem, że część mego zadania polega też na walce o przyzwoitsze warunki pracy dla młodych fizyków w moim kraju.

W miarę jak rosła w Nigerii jego reputacja jako narodowego bohatera, Eda coraz częściej wypowiadał się publicznie na temat korupcji, nieuczciwego rozdawnictwa przywilejów, i wszędzie podkreślał znaczenie uczciwości w nauce i we wszelkich dziedzinach życia. Przekonywał też

Nigeryjczyków, że gdyby tylko chcieli, mogliby stać się potężnym narodem. W roku 1920 Nigeria liczyła tylu mieszkańców, co Stany Zjednoczone. Ma przebogate zasoby naturalne, a jej wielokulturowość może stać się siłą. Gdyby Nigeria umiała zdobyć się na przebudzenie z застоju, dla innych narodów zabłysła by nad światem jak latarnia wskazująca im drogę. W innych sprawach zachowując umiar i osobność, w tej jednej rozgrzewał się niesłychanie, więc wielu nigeryjskich obywateli: kobiet i mężczyzn, muzułmanów, chrześcijan, animistów, starych i młodych - słuchało jego słów jak prorocत्व.

Jedną z najbardziej ujmujących cech Edy była jego skromność. Rzadko wyrwał się pierwszy, a odpowiedzi udzielał lakonicznych. Głębiej jego poznać można było dopiero po tym, co pisał, albo zdobywszy jego przyjaźń czasem bywało się świadkiem, jak się otwierał. Pośród niezliczonych spekulacji na temat Wiadomości, Maszyny, a także tego, co się stanie, gdy zostanie uruchomiona, odezwał się tylko raz.

- W Mozambiku - powiedział - istnieje opowieść, że małpy nie rozmawiają ze sobą, bo wiedzą, że ledwie powiedzą pierwsze słowo, człowiek przyjdzie i złapie je do pracy.

Wśród wciąż rozgadanej załogi dziwne było mieć kogoś tak milkiwego, więc, wzorem innych, Ellie przywiązywała szczególną wagę do każdego, nawet błahego słowa, jakie padało z ust Edy. Swą wcześniejszą i tylko w części udaną wersję superunifikacji, określił jako „głupi błąd”. Miał ledwie trzydzieści parę lat i był piekielnie (co w prywatnej rozmowie ostatecznie ustaliły z Devi) przystojnym mężczyzną. Wiedziała, że tworzy ze swą jedyną żoną - która z dziećmi przebywała obecnie w Laosie - nadzwyczaj szczęśliwe stadło.

W kramach - uginających się od festonów i kolorowych wycinanek z papieru - sprzedawano specjalnie przygotowane na festiwal bambusowe wióry, wśród których przechadzała się głównie młodzież, albowiem Festiwal Tanabata jest w Japonii świętem miłości. Wizerunki bohaterów legendy, będących

patronami tych dni, widać było wszędzie - także na prowizorycznej scenie, na której przedstawiano ów starożytny romans. Dwie gwiazdy zakochały się w sobie, ale dzieliła je Mleczna Droga. Tylko raz w roku - siódmego dnia siódmego miesiąca w kalendarzu księżycowym - mogli się spotkać, jednak pod warunkiem, że tego dnia nie padało. Ellie spojrzała w kryształowy błękit wysokogórskiego nieba i życzyła kochankom powodzenia... Wśród tych dwojga On byłby według legendy czymś w rodzaju japońskiego kowboja, i reprezentowała go karłowata A7 - gwiazda Altair. Ona zaś była prządką i przypisywano jej Vegę. Czy to nie zastanawiające? - myślała Ellie - że właśnie Vega jest bohaterką japońskiego festiwalu na kilka miesięcy przed uruchomieniem Maszyny? Gdyby przewertować historię paru kultur okazałoby się, że prawie każda jaśniejsza gwiazda na niebie ma przypisaną sobie jakąś legendę - ta akurat pochodziła z Chin i na nią powoływał się Xi w swoim wystąpieniu przed laty, podczas paryskich obrad Światowego Konsorcjum Wiadomości.

Tanabata Festival tak hucznie obchodzono już tylko w Sapporo, może jeszcze w Sendai - w innych japońskich miastach to święto powoli zamierało, być może przez fakt, że małżeństwa z rozsądku stały się już normą i w mało kim poruszały jakąś czułą strunę niedole kochanków, którzy nie mogą się spotkać. Ale w Sapporo ciągle nabrzmiałym problemem były małżeństwa Japończyków z ludem Ainu - cały przemysł detektywistyczny narósł wokół tego przesądu, zwłaszcza we wsiach, gdzie tracono olbrzymie sumy na wysłedzenie wszystkich antenatów i pociotków kandydata na synową lub zięcia. Choćby jedna kropla krwi Ainu w żyłach dyskwalifikowała nieodwołalnie - ten fakt szczególnie wzburzył Devi, pamiętającą wciąż swego nieszczęśliwego męża. Eda zaś, któremu w Nigerii zdarzyło się przecież widzieć niejedno podobne szaleństwo, milczał.

Festiwal Tanabata odprawiany w Sendai - jednym z

miast wyspy Honsiu - był organizowany raczej dla telewizji, czyli dla publiczności, która nie miała nigdy okazji lub której się nie chciało obejrzeć prawdziwego Ołtarza Vegi, podczas gdy w Sapporo więcej było tradycji i autentyczności. Ellie szła przez tłum zastanawiając się, czy Veganie wreszcie wyciągną z tego jakieś wnioski i zaczną nadawać na Ziemię coś innego niż wiecznie ten sam festiwal z Hitlerem.

Maszyna, jako w pewnym sensie czysto japoński twór, uzyskała w telewizji należnych sobie parę minut wśród sprawozdań z tegorocznego Festiwalu. Jednak nikogo z Pięciu (jak ich zaczęto nazywać) nie zaproszono do studia, ani nie wspomniano nawet o ich obecności w Sapporo, na Festiwalu. Mimo to po jakimś czasie ludzie zaczęli ich rozpoznawać i wkrótce Ellie, Eda i Devi Sukhavati szli promenadą Obori wśród narastającego wśród przechodniów szumu sympatii i zainteresowania. Wielu nisko im się kłaniało, zaś z głośnika wywieszonego nad sklepem z płytami nagle ryknął rock-and-roll, którego Ellie dobrze знаła. Było to „Chcę się, Ziemi, odbić od ciebie”, który wykonywała murzyńska grupa „Biały Dźwięk”. W chyłącym się ku zachodowi słońcu nagle spostrzegła na chodniku jakieś starszawe psisko z zaczerwienionymi ślepiami - nawet ono, gdy się zbliżyła, niemrawo zamerdało ogonem.

Japońscy komentatorzy telewizyjni coraz więcej mówili o Machindo - czyli o „zmaszynieniu” myślenia o Ziemi, jako o planecie zamieszkiwanej przez ludzi dzielących wspólny los i te same niebezpieczeństwa. Obawy takie wyrażały dotychczas tylko japońskie środowiska religijne, choć odrzucały one typową w innych krajach podejrzliwość wobec obcej Maszyny. Jeśli ta tolerancja rozpowszechni się po całej Ziemi, pomyślała Ellie, to będziemy mieli do czynienia z prawdziwą rewolucją nie tylko religijną. Nawet amerykańscy chiliaści zaczną odczuwać wpływ Machindo - więc teraz trzeba tylko się modlić, żeby Maszyna ruszyła i to nowe myślenie nagle nie

straciło gruntu pod nogami. Ale gdyby nawet wszystko spaliło na panewce - myślała dalej Ellie - przecież już samo to, co się dotąd zdarzyło, dowodzi, że nie jesteśmy sami w kosmosie, i że są inne cywilizacje, inne kultury bardziej od nas rozwinięte. To powinno naszej planecie pomóc zjednoczyć się... Przynajmniej na jakiś czas.

Nagle obróciła się do Edy i spytała go, czy zdarzyło mu się w życiu jakieś całkiem odmieniające go doświadczenie z religią.

- O, tak - odpowiedział.

- Kiedy? - nalegała. Z Edy trzeba było wyciągać każde słowo.

- Gdy pierwszy raz przeczytałem Euklidesa. Również, gdy po raz pierwszy zrozumiałem, co to jest newtonowska siła ciężenia. Także równania Maxwella i prawo względności. I wiele razy podczas własnej pracy nad superunifikacją, tak, miałem szczęśliwie wiele okazji do przeżycia religijnego.

- Nie - odparła - nie o to mi chodzi. Nie o naukę.

Więc jej opowiedział o swym religijnym wychowaniu. Czuł się wolny od wielu doktryn, które mu narzucano, ale zasadniczo religia w niczym mu nie przeszkadzała. A wręcz wyświadczała mu wiele dobrego. Jego sekta była względnie nowa - porównując choćby z Chrześcijaństwem Naukowym albo ze Świadkami Jehowy. Założył ją w Pendżabie Mirza Ghulam Ahmad - w tym miejscu Devi przypomniała sobie, że rzeczywiście byli tam Ahmadijowie, uważani za nawróconych na islam. Szczególnie wielu wyznawców zdobyli sobie w Afryce Zachodniej. Ich korzenie sięgały odległej eschatologii - a sam Ahmad ogłosił się Mahdim, czyli prorokiem, którego przyjście mahometanie uważają za zapowiedź końca świata. Głosił też, że jest drugim wcieleniem Chrystusa, inkarnacją Kriszny i buruzem, czyli nowym wydaniem Mahometa. Ahmadiję zaraził chrześcijański chiliazm w tym sensie, że powrót na Ziemię Ahmada - jako bóstwo - miał być widoczny

tylko dla prawdziwie wiernych. Rok 2008 - setna rocznica śmierci Ahmada - będzie rokiem świętym ze względu na jego powtórne przyjście jako Ostatecznego Wcielenia Mahdiego. Ta mesjanistyczna gorączka, której tyle razy doświadczyła w Ameryce, skłoniła Ellie do wyrażenia kąśliwej uwagi o predylekcjach rodzaju ludzkiego do irracjonalizmu.

- Och, nie bądź ponurakiem, Ellie - upomniała ją Devi. - Dziś jest Święto Miłości. Ciesz się!

W Sapporo spadł gęsty śnieg i zaraz ogłoszono otwarcie sezonu rzeźb w śniegu, który był innym miejscowym zwyczajem. Zwykle dominowały zwierzęta i najróżniejsze stwory mitologiczne - tym razem naczelną atrakcją był ogromny dodekahedron odrobiony w każdym szczególe, i pokazany potem w wieczornych wiadomościach. A gdy nadeszło ocieplenie, twórcy rzeźby nadal nie kapitulowali dziobiąc, lepiąc i sztukując resztki swego dzieła.

W miarę jak zbliżał się dzień uruchomienia Maszyny, podnosiły się coraz częściej głosy przestrzegające przed światową katastrofą. Z tego względu dyrekcja Projektu nalegała, by utrzymywać wokół niego jak najdalej posuniętą dyskrecję, z jednej strony dając rządowi poufne gwarancje, zaś w drugiej - społeczeństwu - głośne, choć nader ogólne zapewnienia, że „bez jego wiedzy nic się nie stanie”. Niektórzy uczeni proponowali na dzień startu siedemnasty listopada wieczorem, gdy spodziewano się wyjątkowo spektakularnego deszczu meteorów na niebie. Chcieli w ten symboliczny sposób podnieść rangę zdarzenia. Ale Valerian argumentował, że jeśli Maszyna ma się oderwać od ziemi, to lepiej niepotrzebnie nie narażać załogi na lot przez rój meteorów. Więc datę przesunięto o parę tygodni później, na koniec ostatniego miesiąca roku tysiąc dziewięćset ileś tam. Rok ten (choć powszechnie uważano inaczej) nie był jeszcze rokiem Milenium. I choć brakować miało dwunastu miesięcy, już planowali wielkie

obchody ci, którym albo nie chciało się dobrze policzyć w kalendarzu, albo tych obliczeń nie rozumieli, lub też po prostu mieli ochotę urządzić święto Trzeciemu Milenium w końcu grudnia i tego, i następnego roku.

Veganie nie mogli wiedzieć, ile ważyć będzie każdy z członków załogi, za to z wielką dokładnością określili masę każdego komponentu Maszyny i dopuszczalny ciężar całości. W ten sposób mało zostało na jakiegokolwiek ziemskie wyposażenie - co było od dawna powodem głupiego dowcipu, aby załogę złożyć z samych kobiet, wtedy, chcąc nie chcąc, trzeba będzie zmienić ten przepis. Nie było, na przykład, miejsca na kombinezony. Zastanawiano się wręcz, czy Veganie pamiętali o tym, że człowiek ma dziwną skłonność do oddychania tlenem. Praktycznie niczego nie wolno im było wziąć ze sobą... do tego tak niesłychanie różnili się kulturowo... i dokąd mieli lecieć - też nie wiedzieli. Doprawdy, całe to przedsięwzięcie obarczone było ryzykiem, z którego dopiero teraz zaczynano zdawać sobie sprawę. Prasa światowa co dzień strzepiła sobie języki na ten temat - członkowie Pięciu milczeli.

Nie można było, oczywiście, nie zabrać całej masy miniaturowych kamer, spektrometrów, superkomputerów nadprzewodnikowych i mikrofilmowej biblioteczki. Co miało sens - i nie miało. Przecież nawet nie było łóżek, kuchenki ani urządzeń sanitarnych. Brali ze sobą tylko mizerny prowiant, który da się upchać do kieszonek kombinezonów. Devi uparła się, że zabierze niedużą torbę lekarską z podstawowym wyposażeniem. Zaś Ellie z rozpaczą rozmyślała, czy pozwoli jej wziąć choćby szczoteczkę do zębów i parę sztuk bielizny. Ale - pocieszała się - jeśli ONI potrafią zabrać człowieka na Vegę, nie ruszając go z fotela, to pewnie będą też mieli jakiś podkoszulek na zmianę. A jeśli będzie potrzebna kamera - powiedziała kierownictwu - to też ich o nią poprosi.

Rozległo się parę głosów, całkiem zresztą serio, żeby załoga poleciała nago. Skoro lista Wiadomości nie

wyszczególnia ubrań - dowodzili - nie powinno się ich brać na pokład. Mogą zaburzyć funkcjonowanie pojazdu. Ellie i Devi śmiały się z tego twierdząc, że z drugiej strony nie ma też w Wiadomości zakazu używania ubrań - dość skądinąd rozpowszechnionego na Ziemi obyczaju, o którym Veganie mogli się przekonać oglądając Olimpiadę.

- Ach, oczywiście, że Veganie wiedzą o tym zwyczaju - dodawali Xi i Vaygay - jedyne restrykcje wprowadzili podając ciężar całkowity pojazdu. W przeciwnym razie musielibyśmy też zostawić w domu szkła kontaktowe oraz sztuczne zęby.

- Nikt dotychczas nie zauważył - zachichotał Łunaczarski - że nie jest również powiedziane, że lecieć mają ludzie. Trzeba było wybrać pięć szympansów, i spokój.

Nawet zwykłe czarno-białe zdjęcie choćby jednego lub dwu pozaziemskich urządzeń będzie bezcenne - błagano ją. Albo samych Vegan - czy wyobraża sobie, co by to dla ludzkości mogło znaczyć? Niech więc weźmie aparat fotograficzny lub kamerę. Nawet der Heer, który w końcu zjechał na Hokkaido z całą amerykańską delegacją, powiedział jej, żeby „przestała się wygłupiać”.

- Za wysoka idzie gra - ciągnął surowym tonem, ale zamknęła mu usta krótkim, miazdzącym spojrzeniem. Wiedziała, co chciał powiedzieć - „żeby kaprysić jak dzieciak”. Dziwne w der Heerze było to, że występował jako strona w ich związku pokrzywdzona. Powiedziała o tym Devi, lecz ona go broniła. „Taki jest kochany”, dodała, więc Ellie w końcu dała za wygraną i zgodziła się wziąć ze sobą ultraminiaturową kamerę video.

W liście inwentarzowej, którą musiała wypełnić przed zaokrętowaniem, napisała: Liść. Palmowy. 0,811 kilograma.

I znów der Heer usiłował przywołać ją do porządku.

- Przecież możesz wziąć zamiast tego świetlny noktowizor, który waży tylko dwie trzecie kilograma. Dlaczego taszczysz ze sobą jakieś palmowe gałęzie?

- Liść. Palmy mają liście. Wiem, że wychowałeś się w Nowym Jorku, mimo to mógłbyś wiedzieć, jak wygląda palma. Na przykład, opisuje się ją w Ivanhoe. Nie czytałeś tego w szkole średniej? W czasach wojen krzyżowych pielgrzymi, którzy po długiej wędrówce dotarli do Ziemi Świętej, brali ze sobą z powrotem liść palmy, boby im nie uwierzono, że tam byli. Ten liść mi pomaga. Nie dbam o to, jak dalece ONI nas wyprzedzili. Moja Ziemia Święta to ta Ziemia. Zawiozę im ten liść, żeby pokazać, skąd przybywam.

Der Heer tylko pokręcił głową. Ale kiedy to samo powiedziała Vaygayowi, odpowiedział:

- Świetnie ciebie rozumiem, Ellie.

Wtedy przypomniała sobie Paryż. I obawy Vaygaya. I jego opowieść o dorożce, którą ktoś przysłała do biednego miasteczka. Ale liść palmowy był jej potrzebny w jeszcze innym celu. Miał jej przypominać Ziemię. Bała się, że ulegnie pokusie. I że już tu nie wróci.

W ostatnim dniu przed uruchomieniem Maszyny, otrzymała przez posłańca mały pakuneczek, który ktoś doręczył do jej mieszkania w Wyoming, i który odesłano aż tutaj. Adresu nadawcy nie było ani na opakowaniu, ani w środku, żadnej notatki lub podpisu. Tylko pudełko, a w nim złoty medalik na łańcuszku. Mógłby posłużyć za wahadełko. Na obu stronach coś było wryte, co z trudem odczytała:

Hera, niebios Królowa

Odziana w szaty złote

Rządzi Argusa okiem

Zaś jego lęka się świat

Po drugiej stronie było napisane:

Oto odpowiedź jaką obrońcy Sparty dali wodzowi Rzymian: „Jeżeli jesteś bogiem, nigdy nie skrzywdzisz tych, którzy nie wyrządzili krzywdy tobie. Jeśli zaś człowiekiem, postąp - a znajdziesz mężów równych sobie”. I kobiety też.

Wiedziała już, kto to przysłał.

Nazajutrz, w Dzień Rozruchu Maszyny, zaczęli od pisemnego quizu wśród starszyny zespołu, pod tytułem „co nas czeka?”. Większość była zdania, że nic. Maszyna nie ruszy. Paru spodziewało się, że cała Piątka w jakiś niewiadomy sposób błyskawicznie znajdzie się w układzie Vegi, inni nie mieli sprecyzowanego zdania. Maszyna według nich mogła być pojazdem do badania tylko samego Układu Słonecznego, albo najdroższym w historii kawałem, jaki spletało ludzkości. Także: szkolną klasą, w której będzie się wyświetlać filmy, Maszyną Czasu oraz galaktyczną centralą telefoniczną. Jeden z uczonych napisał: „Po starcie w fotelach pojawi się zamiast naszych Pięciu, brzydki ekwiwalent w zielonych łuskach i z ostrymi zębami”. Spośród odpowiedzi bliskich Koniowi Trojańskiemu, ta poszła najdalej, choć na innej karteczce - na szczęście jedynej - widniały tylko dwa słowa: Maszyna Zagłady.

Odbyło się coś w rodzaju skromnej ceremonii. Wygłoszono parę przemówień, podano kanapki i napoje. Ludzie się ściskali, niektórzy ukradkiem płakali. Tylko niewielu ostentacyjnie obnosiło swój sceptycyzm. Czuło się napięcie zwiastujące rychłe rozładowanie - bez względu na efekt Rozruchu. Na wielu twarzach błąkała się skrywana satysfakcja.

Zdążyła jeszcze zadzwonić do domu starców i powiedzieć matce do widzenia. Mówiła do mikrofonu na Hokkaido, a w Wisconsin głośno przekazywano to dalej. Odpowiedzi matki nie usłyszała, za to zgłosiła się pielęgniarka, która powiedziała, że matka odzyskuje część władzy po stronie paraliżu i może za jakiś czas będzie mogła coś powiedzieć. Nim rozmowa dobiegła końca, Ellie poczuła, że ucisk w sercu, jaki od dawna czuła, z wolna ustępuje.

Technicy japońscy mieli na głowach hachimaki, czyli zawoje, które tradycyjnie nosi się w chwilach przygotowania do

psychicznego, fizycznego lub duchowego wysiłku - szczególnie przed bitwą. U każdego w części biegnącej przez czoło widniała mapa Ziemi, na której jednak żaden kraj nie był szczególnie wyróżniony.

Chwała Bogu oszczędzono sobie demonstracji narodowych. Od nikogo nie oczekiwano, że będzie oddawał honory swemu sztandarowi - przywódcy zainteresowanych państw przysłali tylko krótkie pozdrowienia na video. Ellie szczególnie przypadło do serca to, co powiedziała Prezydent:

- To nie są żadne ostatnie dobre rady ani tym bardziej pożegnanie. To jest tylko „do zobaczenia”. Każdy z was rusza w tę podróż nie sam, bo z miliardami dusz mieszkańców tej ziemi. Wy ich reprezentujecie. Jeśli będzie wam pisane znaleźć się gdzie indziej, to rozglądajcie się wokoło, jakbyście byli naszymi oczami. I zapamiętajcie, nie tylko dla dobra nauki, ale żebyśmy wszyscy mogli się czegoś nauczyć. Jesteście przedstawicielami ludzkości, nie tylko tej, jaka jest, ale jaka była i będzie. Cokolwiek się wydarzy, macie już w historii swoje trwałe miejsce. Jesteście bohaterami naszej planety. Mówcie w naszym imieniu. Bądźcie rozważni. I... wracajcie.

Kilka godzin później wchodzili do Maszyny. Pierwszy raz, jedno za drugim, przez niski właz. Płaskie lampy ścienne, nisko umieszczone nad głowami, oświetliły pomieszczenie. Mimo że całość sprawdzano już setki razy, nie chcieli zasiać w fotelach zbyt wcześnie. Niektórzy technicy obawiali się, że samo usadowienie będzie sygnałem dla Maszyny, nawet jeśli jeszcze nie rozkręca się benzele. Ale usiedli - i nic się nie stało. Wreszcie mogła wyciągnąć się wygodnie w dokładnie wymodelowanym, miękkim plastiku. Przydałby się perkal... tak, perkalowe pokrowce świetnie pasowałyby do foteli. Ale nawet taki drobiazg musiał ustąpić przed dumą narodową - wszystko musiało być naukowe, poważne i nowoczesne.

Wiedząc o lekkomyślnym nałogu Vaygaya ustalili, że na pokład nie wolno wносить papierosów. Łunaczarski długo

przeciw temu protestował i to nie w jednym, ale w tuzinie języków. Teraz wszedł na końcu, pospiesznie wypaliwszy ostatniego Lucky Strike'a. Sapnął lekko, opadając w fotel obok niej. Nie było pasów bezpieczeństwa - bo technicy Projektu tyle razy protestowali, żeby się trzymać Wiadomości, że ich w końcu nie zamontowano.

Maszyna rusza - pomyślała. Ten dziwaczny pojazd, ta dziura donikąd. Lub do nigdy!... Jak pociąg towarowy turkoczący z gwizdem przez noc. Gdyby skoczyć i się go uczepić, wywiózłby cię z twego prowincjonalnego miasteczka - z dzieciństwa - ku kryształowym miastom. To było odkrycie, to była ucieczka, to była samotność. Przecież każda logistyczna dyskusja, każde opóźnienie w produkcji, każda nie kończąca się narada nad właściwym zrozumieniem jakiegoś podkodu instrukcji, wtrącało ją w otchłań rozpaczy. Nie szukała sławy... choć... no, przynajmniej nie tylko... Może bardziej - jakiegoś wyzwolenia.

Była nałogowcem nowin. Była dzikim człowiekiem z gór, który z opuszczoną szczęką staje u wrót Babilonu, przed prawdziwą Bramą Isztar. Była Dorotką, która pierwszy raz olśniona spojrzała na wyniosłe wieże Szmaragdowego Miasta. Była chłopcem z najuboższego Brooklynu, który w 1939 roku stanął na Światowej Wystawie w Korytarzu Narodów. Była księżniczką indiańską Pocahontas wpływającą w ujście Tamizy i pierwszy raz widzącą Londyn przed swymi oczami - od horyzontu po horyzont.

Serce Ellie kurczyło się w oczekiwaniu. Jest gotowa, wiedziała... jest gotowa odkryć wszystko, co trzeba... i wszystko przyjąć, co jej pokażą Tamte Istoty - wspaniałe istoty, które już podróżowały wśród gwiazd, gdy jej przodkowie na Ziemi wciąż przeskakiwali z gałęzi na gałąź, w słonecznych plamach, pod baldachimami lasu.

Drumlin - jak tylu innych, których znała - nazywał ją nieuleczalną romantyczką. Nigdy nie rozumiała, dlaczego

ludzie widzą w tym jedynie nieszczęsne kalectwo. Przecież romantyzm był siłą napędową jej życia, źródłem tak wielu rozkoszy. Obrońca i praktyk romantyzmu - oto ona. Gotowa na spotkanie z Czarownikiem z Oz.

Radio włączyło się nadając komunikat o stanie lotu. Nie było żadnych dostrzegalnych nieprawidłowości - przynajmniej na tyle, na ile ufać można było tej baterii przyrządów, którymi obstawiono Maszynę. Potężne vacuum wypompowywało powietrze, by osiągnąć stan takiej próżni, jakiego dotychczas na Ziemi nie znano. Ellie sprawdziła, czy mikrokamera jest szczelnie zapięta i lekko pogładziła liść palmy...

... i w tej chwili na zewnątrz dodekahedronu rozbłysły wielkie reflektory. Dwie z półkolistych czasz rozpedziły się do poziomu czegoś, co Wiadomość określała „prędkością krytyczną”. Obserwatorzy z zewnątrz odnieśli wrażenie, że kontury pojazdu nagle się zamgliły. Za chwilę ruszy trzeci benzel - wskaźnik poboru prądu leciał w górę - zaś kiedy wszystkie trzy będą w ruchu, Maszyna się zaktywizuje... Tak mówiła Wiadomość...

Wyraz ostatecznej determinacji pojawił się na twarzy Xi. Łunaczarski ostentacyjnie nie okazywał zdenerwowania. Oczy Sukhavati były rozszerzone, zaś Eda miał na twarzy coś w rodzaju uprzejmego zainteresowania. Devi uchwyciła jej spojrzenie i odpowiedziała uśmiechem.

Nagle ogarnął ją żal, że nie ma dziecka. I to była ostatnia myśl Ellie, bo ściany nagle zaczęły pulsować jakimś niewidzialnym płomieniem. Potem stały się zupełnie przezroczyste. A potem, w ostatnim błysku świadomości, Ellie uczuła, że Ziemia otwiera się i wpadają w przepaść.

CZĘŚĆ III GALAKTYKA

*Więc idę ku górze wyzwolony, i wiem że jest nadzieja na
to coś Ty uczynił tworząc ciało z prochu by nas połączyło z
wiekuistością rzeczy.*

Zwoje znad Morza Martwego

ROZDZIAŁ 19

Naga pojedynczość

...wspinaj się do raju Schodami zadziwienia.

RALPH WALDO EMERSON

„Merlin”, Wiersze (1847)

Spadali. Wpierw pięcioboczne tafle ścian dodekahedronu stały się przezroczyste, potem również sufit i podłoga. Nad i pod sobą miała koronkowe sploty silikato-organicznej masy, a także wały erbowe, które najwyraźniej wirowały. Wszystkie trzy benzele gdzieś przepadły, za to dodekahedron pędził w jakimś długim, ciemnym tunelu, szerokim akurat na tyle, by się mógł w nim zmieścić. Przyspieszenie wahało się około 1 g, w wyniku którego Ellie - patrzącą wprost przed siebie - wślaczało w oparcie fotela, a Devi siedzącą naprzeciw niej odwrotnie - wychylało do przodu. Chyba rzeczywiście trzeba było zamontować pasy.

Trudno było pozbyć się jednej, jedynej myśli: że lecą do środka Ziemi, wprost w jądro z płynnego metalu. Ale może nic takiego tam nie ma... próbowała zamiast ognistego serca Ziemi wyobrazić sobie łódź Charona spokojnie przepływającą przez Styks.

Ściany tunelu miały chropowatość, z której można było sądzić o rozwiniętej prędkości. Wzór był nieregularny, jakieś zaokrąglone plamy, nic co by się z czymś kojarzyło. Ale w drodze ku centrum Ziemi ściany powinny zacząć się rozpalać, przybierać odcień czerwieni - nic takiego nie było widać. Ani żadne pomniejsze demony nie pojawiały się tu czy tam, regulując ruchem, ani choćby półki ze słoikami marmolady.

Co chwilę przedni szpic dodekahedronu zahaczał o

ścianę i wtedy smuga pyłu oraz okruchy nieznanego materiału wytryskiwały po jednej lub drugiej stronie dwunastościanu. Samemu „dodkowi” zaś (jak w myślach zaczęła go nazywać) zdawało się to nie szkodzić. Wkrótce ciągnął się za nimi prawdziwy pióropusz kurzu. Ale ilekroć ich pojazd dotykał ściany, odczuwała lekkie, napięte drganie, jakby coś miękkiego amortyzowało wstrząsy. Wszystko wokół skapane było w spokojnej, żółtej poświacie. Czasem tunel łagodnie skręcał i wtedy dodek poddawał się nowemu kierunkowi. Jak dotąd nie widziała, żeby coś z przodu nadlatywało im na spotkanie - przy tej szybkości nawet zderzenie z wróblem mogłoby mieć straszliwe skutki. A jeśli wlatują do bezdennej studni? Cały czas czuła swój żołądek... wołała dalej nie myśleć. Czarna dziura - przemknęło jej nagle przez myśl. Oczywiście! Lecimy przez ostateczny horyzont ku strasznej pojedynczości. Ale jeśli to nie jest czarna dziura - to może ku pojedynczości nagiej? Tak nazywają to fizycy - naga pojedynczość. Prawie pojedynczość, gdzie przypadkowość można podporządkować sile, efekt może wyprzedzić przyczynę, czas może płynąć wstecz i nie ma szans na przeżycie, a już na pewno na zapamiętanie czegoś. A jeśli to jest czarna dziura obracająca się, to pojedynczość nie jest punktem a pierścieniem - przypominała sobie wykłady ze studiów - a może nawet czymś okropniejszym, czego się nie da uniknąć. Och, czarne dziury, ohyda! Siły wiązania i ciężenia są tak wielkie, że natychmiast zmieniałyby się w długą cienką nitkę. Ale na szczęście na razie nic na to nie wskazuje. Przez szarawe przezroczyście płyty sufitu i podłogi spostrzegła, że w obu komorach coś się zaczęło dziać. Silikatowoorganiczna masa zaczynała zapadać się w jednych, i jakby rozwijać swe skręty w innych miejscach. Zatopione w niej wały erbowe wciąż wirowały jak szalone, coraz głębiej pogrążając się w masie. Poza tym, wszystko w dodekahedronie (włączając pięciu astronautów) wyglądało normalnie. Pewnie za bardzo się ekscytuję - pomyślała Ellie. W końcu jak dotąd żadne z nich nie

zmieniło się w długą cienką nitkę.

To były zresztą bezpłodne rozważania. Fizyka czarnych dziur nigdy nie była jej działką. Poza tym skąd pomysł, że to wszystko może mieć coś wspólnego z czarną dziurą - która jest albo pierwotna, to znaczy, powstała w procesie narodzin wszechświata, albo wtórna, będąca wynikiem obkurczenia się gwiazdy o masie większej od Słońca. Powoduje to taki wzrost grawitacji, że nawet światło nie może stamtąd się wydostać. Stąd „czarna”, stąd „dziura”. Zaś oni ani nie wywołali zapadnięcia się żadnych słońc, jak również nic nie wskazywało na to, by zawadzili o jakąś dziurę pierwotną. Ale czy można wiedzieć, gdzie nagle taka pierwotna dziura się pojawi? Jak dotąd wszystko co zrobili, to zbudowali Maszynę i rozpędzili benzele.

Popatrzyła na Edę, który na małym komputerze coś pilnie obliczał. Już nie tylko słuchem, ale i przewodnictwem kostnym odbierała głośnie warczenie, ilekroć dodek zahaczał dziobem o tunel. Podniosła głos, by Eda mógł ją dosłyszeć.

- Czy masz pojęcie, co tu właściwie się dzieje?

- Skąd! - zawołał w odpowiedzi. - Ale już prawie dowiodłem, że to wszystko nie ma prawa się dziać. Czy znasz współrzędne Boyera-Lindquista?

- Przykro mi, nie!

- Później ci powiem.

Przyjemnie było usłyszeć słowo „później”.

Nagle zwolnienie prędkości odczuła wcześniej, niż spostrzegła je przez ściany dodekahedronu. Czowała się jak w wagoniku podczas jazdy diabelskiej, gdy znaleźli się na dole i przyhamowali, żeby powoli wspiać się w górę. Kiedy ich pojazd zwolnił, na ścianach pojawiły się jakieś pęki i sploty. Światło nie zmieniło ani swego natężenia, ani koloru, więc Ellie wyjęła kamerę i nastawiwszy soczewkę obiektywu na dal przyjrzała się głębiom tunelu - nic nie dojrzała, poza następnym zagięciem krętej drogi. W powiększeniu soczewki ściany

zdawały się być pracowicie z czegoś utkane - nieregularne i jakby przez chwilę słabo świecące własną luminescencją.

Szybkość dodekahedronu zmalała prawie do pełzania. Końca tunelu wciąż nie było widać. Zastanawiała się, czy w ogóle dokądkolwiek i kiedykolwiek dojadą. Może projektanci coś źle obliczyli? Może Maszynę sfuszerowano? Nawet nie w całości, starczyłaby jedna niedokładność, jakiś szczegół, który na Hokkaido mieścił się w granicach błędu, a tu może oznaczać ich zagładę, lub... cokolwiek to miałoby być. Albo - gdy patrzyła na chmurę odłamków wciąż bombardujących ich ściany - może uderzyły o jeden raz za dużo, niż zabezpieczał projekt? Odległość ścian dodekahedronu od tunelu była coraz mniejsza, więc może w końcu utkną tu, w tym NIGDZIE, i będą słabnąć i słabnąć, póki im starczy tlenu? Czy doprawdy Veganie zawracaliby sobie tym wszystkim głowę, nie wiedząc, że człowiek musi oddychać? Czyżby nie widzieli tych gardeł rozwrzeszczanych przed Hitlerem?

Vaygay i Eda zawzięcie rozważali arkana fizyki ciążenia: twistory, renormalizację propagatorów widmowych, czasopodobne wektory Killinga, jedenastowymiarową teorię superciążenia Kaluzy-Kleina i, oczywiście, całkowicie osobną i własną teorię superunifikacji Edy. Już tylko z samego patrzenia na nich widać było, że wciąż są daleko od zrozumienia. Uczynienie choćby małego kroku w przód z pewnością zabierze dwóm wielkim uczonym przynajmniej następne dwie godziny. Teoria superunifikacji podsumowywała całą współczesną wiedzę fizyczną na Ziemi - we wszystkich jej skalach i aspektach - i trudno było nie myśleć, że ten tunel stanowi dla Edy jakieś niebywałe i niespodziewane rozwiązanie jego Równania Pola.

- Czy ktoś widział nagą pojedynczość? - rozległ się nagle głos Vaygaya.

- Nawet nie wiem, jak to wygląda - powiedziała Devi.

- Wybacz, moja droga. To ani nie wygląda, ani nie jest

nagie. Czy zdarzyło ci się kiedyś odczuć... hm, odwrócenie przyczynowości. Coś najzupełniej odwrotnego, coś absolutnie dziwnego, jakby świat zwariował. Na przykład, jajecznicę, która nagle cofa się z patelni do żółtek i skorupki?

Devi uważnie przyglądała się Vaygayowi spod zmrużonych powiek.

- Chwileczkę, Devi - szybko wtrąciła się Ellie, dodając w myślach „biedny Vaygay, trochę się zagalopował”. - Te pytania są poważnymi problemami czarnych dziur. One tylko tak głupio brzmią.

- Ależ nieee... - wolno powiedziała Devi - nic przeciw nim nie mam. I rozjaśniła się: - Nie uważacie, że ta jazda jest wspaniała? Wszyscy skwapliwie przytaknęli. Vaygay też promieniał.

- Oto drastyczne wydanie cenzury kosmicznej - odezwał się - czarna dziura. Pojedynczości nie widać nawet wewnątrz niej.

- Vaygay żartuje - znowu wtrąciła się Ellie. - Kiedy już się jest wewnątrz horyzontu ostatecznego, nie ma szansy uniknąć pojedynczości czarnej dziury.

Teraz Devi popatrzyła z powątpiewaniem również na Ellie. Fizycy, niestety, muszą wynajdować słowa i wyrażenia ogromnie odległe od codziennych doświadczeń ludzi. Wprawdzie kultywują też modę, by unikać czystych neologizmów i zamiast nich dawać coś bardziej przyziemnego. Innym jeszcze sposobem jest w ogóle unikać nowych słów, a obdarzać wynalazki i twierdzenia nawzajem swoimi nazwiskami. I jakoś to się toczy, choć słuchając fachowej rozmowy fizyków i nie wiedząc nic o nich, można odnieść wrażenie, że stracili rozum.

Ellie wstała i już zamierzała obejść fotel Devi, gdy zaalarmował ją okrzyk Xi. Ściany tunelu nagle zaczęły falować i oklejać się wokół dodekahedronu, popychając go w przód. Wszystko poddało się jakiemuś łagodnemu kołysaniu. Ilekroć

dodekahedron stawał, ściany znów go lekko wyciskały przed siebie. Ellie poczuła pierwsze mdłości, już nie można uczynić kroku - ściany ostro pracowały, fale skurczów i rozkurczów płynęły na przemian wzdłuż tunelu i gdyby tylko mieli możliwość, pierzchnęliby stąd gdzie bądź.

Hen, hen w oddali, Ellie ujrzała nagle blady punkt światła. Powoli powiększał się, jaśniał, aż w końcu błękitnobiała promienistość zaczęła wlewać się do wnętrza pojazdu. Widziała, jak połyskują od niej ściany wałów erbowych, teraz już prawie nieruchome. Choć ich podróż nie trwała dłużej niż dziesięć-piętnaście minut, stłumione żółte światło, w którym upłynęła, wywołało bolesny prawie kontrast z tą wspaniałą, czystą jasnością, którą teraz widzieli przed sobą. Pędzili ku niej, gnali przez tajemniczy tunel, by wypaść ku czemuś, co nagle się zdawało zupełnie zwyczajnym kosmosem. A w jego ciemnej głębi - olbrzymie, białoniebieskie słońce. Nie do uwierzenia bliskie, prawie w zasięgu ręki - i w jednej chwili Ellie poznała, co to jest. To Vega.

Obawiała się patrzeć na nią przez soczewkę długoogniskową - to byłoby zbyt ryzykowne nawet w przypadku Słońca, gwiazdy o ileż chłodniejszej i nie tak jasnej. Wsunęła więc skrawek papieru w płaszczyznę ogniskową soczewki i dopiero teraz, z kamerą przy oku, wpatrzyła się w jaskrawą plamę na papierze, w którą zmieniła się Vega. Spostrzec mogła dwa punkciki odpowiadające jej słońcom, oraz coś - jakby cień, który mógł być materiałem pierścienia. Odłożyła kamerę i wyciągnęła przed siebie dłoń ze złożonymi palcami. Pokryła nią dysk Vegi, i w nagrodę ujrzała wspaniałe promieniującą wokół niego koronę gwiazdy. Przedtem nie było jej widać - tonęła w jaskrawym blasku Vegi.

Z ręką wciąż wyciągniętą na długość ramienia, zajęła się pierścieniem. Odkąd z Vegi nadeszły pierwsze liczby niepodzielne, zainteresowanie budową tego układu gwałtownie

wzrosło - czuła więc, w imieniu całej masy astronomów na Ziemi, wielką odpowiedzialność za to, co w tej chwili czyni. Zaczęła filmować przy różnych częstotliwościach zatrzymań i prędkościach klitek. Ich pojazd wylaniał się przed Vegą nieomal w płaszczyźnie jej pierścienia - w wolnej od brył przestrzeni okołogwiezdnej. W porównaniu ze swym ogromnym obwodem, pierścień był zadziwiająco cienki. Widziała stąd jego różne kolorystyczne odcienie, ale nie jakichś brył czy cząsteczek - ani porównania z pierścieniami Saturna. Tu którakolwiek z tamtych brył - wielkości zazwyczaj paru metrów - byłaby olbrzymem. Może w skład pierścienia Vegi wchodzi tylko pył, drobne okruchy skalne i tafelki lodu? Obróciła się, by przez tylne ściany dodekahedronu popatrzeć w wylot, skąd wyrzuciło ich w przestrzeń. Ujrzała krążek czerni, czarniejszej niż aksamit, czarniejszej niż nocne niebo, a kiedy dłużej wpatrywała się weń, zdawało się, że widzi w jego wnętrzu słabe, błyskające światelko. Promieniowanie Hawkinga? Nie, długość byłaby na to za wielka. Może światelko Ziemi błyska tam, na drugim końcu tunelu? Albo nawet Hokkaido?

Planety. Gdzie są planety? Bardzo wolno przesuwiała obiektywem wzdłuż płaszczyzny pierścienia, szukając utkanych w nim planet - przynajmniej jakiegoś domu istot, które wysłały im Wiadomość. Ilekroć trafiała na szczelinę, uważnie wpatrywała się w nią, szukając planety, która swą siłą grawitacji spowodowała to przejaśnienie w litym paśmie pyłu. Niczego nie mogła znaleźć.

- Nie możesz znaleźć planety? - spytał Xi.

- Żadnej. Tu blisko jest parę dużych komet. Widzę ich ogony. Ale niczego, co przypomina planetę. Muszą tu być tysiące osobnych pierścieni. Każdy, przynajmniej tak mi się wydaje, składa się z kosmicznego gruzu. Jakaś czarna dziura nieźle oczyściła ten teren z brył i z pyłu. Właśnie w takim miejscu się znajdujemy. Powoli obiegamy Vegę po orbicie. Ten

układ jest bardzo młody, ma najwyżej sto milionów lat, i wielu astronomów było zdania, że jest tu za wcześnie na wyodrębnienie się planet. Jeśli tak, to skąd u licha przyszła Wiadomość?!

- Może to wcale nie jest Vega? - zauważył Vaygay. - Sygnał wprawdzie pochodził z Vegi, ale tunel wyniósł nas w zupełnie inny gwiazdozbiór.

- Może. Ale czy nie dziwne, że to ma taką samą barwę ciepłą jak Vega? Patrz, wyraźnie widać światło niebieskawe. I taki sam rodzaj pierścienia. Ale racja, nie mogę się upierać tylko dlatego, że blask mi coś przypomina. Mimo to stawiam dziesięć do jednego, że to jest Vega.

- A jeśli nie, to gdzie my właściwie jesteśmy? - zastanowiła się Devi.

Xi, ze ściągniętą twarzą, milcząc, patrzył wpierw przez silikatoorganiczną masę, potem przez każdą z pięciobocznych tafli, a potem zagapił się w dalekie niebo hen, ponad pierścieniem. Ellie powędrowała za jego wzrokiem: coś tam lśniło w promieniach Słońca, coś o wyraźnie wielokątnych ścianach. Przystawiła swoją soczewkę do oka: to był olbrzymi wielościan, polihedron. Z przymocowaną do każdej ze ścian... tarczą?... niecką?... talerzem?

- Qiaomu! Weź! - wetknęła mu do rąk kamerę. - Spójrz przez to. I co widzisz?

- Widzę. Coś dla ciebie. Duplikaty twoich radioteleskopów. Tysiące, tak to wygląda. Każdy z nich patrzy w inną stronę. To nie jest planeta, to stacja międzyplanetarna!

Soczewka obeszła wszystkich wkoło. Powstrzymywała się, żeby nie wyrwać im jej z rąk - tak, to na pewno były radioteleskopy, niektóre fundamentalne podobieństwa wykluczały omyłkę. Poczowała jednak lekkie rozczarowanie na myśl, że cywilizacja, która umie wykorzystywać czarne dziury do jakiegoś hyperwzględnościowego transportu kosmicznego, nadal posługuje się radioteleskopami tak podobnymi do

ziemskich. No cóż, są nieporównanie większe... Ale to jakoś „cofało” Vegan, już tak nie działało na wyobraźnię.

Doceniała fakt umieszczenia stacji na orbicie biegunowej, bo wtedy teleskopy tylko dwa razy na obieg mogły narazić się na zderzenie z gruzem pierścienia. Ale tyle tych talerzy wymierzonych w każdy punkt nieba... to przypominało Argusa na dość wczesnym etapie. Ciągłe monitorowanie nieba, wylapywanie fal telewizyjnych jakie się nawiną, radarów militarnych, wszystkiego. Te tutaj łapią pewnie także różne odmiany transmisji z innych planet jeszcze na Ziemi nie znane. Czy dużo tego dostają? - zastanowiła się fachowo - czy może sygnał z Ziemi był ich pierwszym sukcesem od milionów lat? Jakoś nie widać komitetu powitalnego. Czy delegacja z jakiegoś zapadłego powiatu Nieba jest aż tak nieważna, żeby nie zauważyć nawet ich przybycia? Znow się zajęła filmowaniem - z wielką jak zawsze uwagą, pilnując każdego parametru, zogniskowania i czasu ekspozycji. Musiała przecież przygotować materiał dla Narodowej Fundacji Nauki - najlepiej ciągły film, który pokazałby im, co znaczy poważny radioastronom przy pracy. Żałowała, że nie ma w okolicy niczego, z czym dałoby się porównać rozmiary polihedronu. Teleskopy pokrywały jego okrągłe cielsko jak maleńkie małże na skórze wieloryba - a przecież każdy z tych radioteleskopów pracujących w grawitacji zero mógł być niewyobrażalnej wielkości. Może kiedy wywoła się film, będzie mogła obliczyć ich wielkość kątową, bo liniowa, mówiąca o prawdziwej skali, była nie do stwierdzenia dopóki nikt z nich nie miał pojęcia, w jakiej odległości od polihedronu się znajdują. Tak czy owak czuła, że to musi być gigant.

- Jeżeli tu nie ma żadnych planet - w końcu odezwał się Xi - to nie ma i Vegan. Nikt tu na stałe nie mieszka. Vega to tylko ich strażnica, kącik dla patrolu granicznego, żeby ogrzać dłonie. - A te radioteleskopy - ciągnął po chwili, zadzierając głowę - to wieże obserwacyjne Wielkiego Muru Chińskiego.

Trudno pilnować imperium galaktycznego, jeśli jest się wciąż ograniczonym przez prędkość światła. Każesz żołnierzom garnizonu stłumić powstanie, i dopiero po dziesięciu latach masz meldunek, co się właściwie tam działo. To do niczego, zbyt ślamazarne. Więc dajesz dowódcy garnizonu autonomię, ale to również oznacza koniec imperium. Wiec tamto - machnął ręką w kierunku oddalającego się za ich placami czarnego kleksa na niebie - to są drogi. Persja je miała. Rzym je miał. Chiny je miały. Na takiej drodze nie ma ograniczenia przez prędkość światła. Dzięki takim drogom możesz utrzymać imperium.

Eda zatopiony w myślach, tylko kręcił głową. Jakiś problem fizyczny wciąż mu się nie zgadzał.

Czarna dziura - jeśli to była czarna dziura - przesunęła się tymczasem ku orbicie Vega, w przestwór między pierścieniami całkowicie wolny od pyłu. Pierścienie, zewnętrzny i wewnętrzny, utrzymywały ją jakby na czystym, bezpiecznym torze. „Trudno wprost uwierzyć, jakie to jest czarne”, pomyślała Ellie i zrobiła kilka krótkich ujęć pierścienia i pyłu w części najbliższej ich oczom. A potem znowu zaczęła wyobrażać sobie, jak z tego miału wyłoni się kiedyś cały planetarny system. Jak to rojowisko cząstek zderzających się ze sobą, wpadających na siebie, zlepiających się i wbijających jedna w drugą, będzie rosło, rosło w masę nabierając grawitacyjnej kondensacji, aż wreszcie nic z tego drobiazgu nie zostanie - za to parę dobrze uformowanych planet obiegających swoją gwiazdę. W głowie Ellie przesunął się film, jaki kiedyś wyświetlano o powstawaniu Układu Słonecznego cztery i pół miliarda lat temu. I widziała tu i tam w pierścieniu już jakieś nierówności, jakieś wyraźnie dostrzegalne wybrzuszenia, gdzie niewątpliwie zawiązują się procesy kondensacji pyłu.

Orbitalny ruch czarnej dziury wokół Vega wywoływał w miejscach, do których się zbliżała, niepokój, jakieś sfałdowania. Ich dodekahedron też pewnie to powodował, lecz nie tak

wyraźnie. Zastanawiała się, czy to grawitacyjne zamieszanie, te zawirowania, te zagęszczenia i rozrzedzenia będą miały jakieś dłuższe konsekwencje, w postaci wprowadzenia nowego wzoru w proces formowania się planet. Jeżeli tak, to planeta, która narodzi się za miliardy lat, być może będzie zawdzięczać swe istnienie czarnej dziurze i Maszynie?... A jeśli tak, to i Wiadomości... I Argusowi... Ach, oczywiście, przecenia jak zwykle swoją rolę. Gdyby nie ona, to kto inny zrobiłby to wszystko, tyle że może później... może wcześniej... I Maszyna byłaby uruchomiona kiedy indziej, nie mówiąc o dodekahedronie i podróży przez tunel. Więc - jednak! Jakaś planeta w tym układzie może zawdzięczać swe istnienie właśnie jej, Ellie Arroway. Więc Prawem Symetrii wyobraziła sobie teraz istniejącą już, żywą planetę, która nigdy by się nie narodziła, gdyby Ellie nie przyszła na świat. Och, tak. To doprawdy ciężar - taka odpowiedzialność za istnienie całych, nieznanych światów...

Spróbowała zrobić zdjęcie całości, zaczynając z wewnątrz dodekahedronu, potem z podpór łączących ze sobą przezroczyste tafle ścienne, a potem wychylając się ku górze objęła ku przodowi cały czysty od pyłu tor, po którym teraz - razem z czarną dziurą - obiegali Vegę. Przeszła na ciągle filmowanie, pędząc wciąż z dodekahedronem po torze, ujętym z obu stron dwoma niebieskimi pierścieniami.

- Qiaomu - nagle powiedziała odejmując od oczu kamerę - popatrz. Czy widzisz to, co ja widzę?

- Gdzie? - pytał Xi przykładając do oka wizjer. Znów mu wskazała. Po chwili szukania, kamera przy oku Qiaomu znieruchomiła. Znalazł - co zgadła też po tym, że nagle głęboko wciągnął powietrze.

- Znów czarna dziura - odezwał się. - Dużo większa.

Znowu spadali. Tym razem tunel był przestronniejszy i mogli ciekawiej spędzać czas.

- Do diabła z ich pomysłami! - usłyszała swój głos krzyczący na Devi. - Biorą nas na Vege, żeby pochwalić się swymi czarnymi dziurami. Z odległości paru tysięcy kilometrów pozwalają nam rzucić okiem na swe teleskopy. Dziesięć minut. I znów pakują nas do innej czarnej dziury i wio, z powrotem na Ziemię. To po to wydawaliśmy dwa tryliony dolarów?

- Może oczekujemy za wiele - odezwał się Łunaczarski.

- Może nie chodziło im o nic więcej, jak tylko zaznaczyć na Ziemi, że istnieją.

- Zaczekajcie - powiedział Eda, wykonując rozpostartymi dłońmi uspokajające gesty. - Ten tunel jest inny. Dlaczego uważacie, że wracamy na Ziemię?

- Przecież wyraźnie widać, że nie zamierzają nam pokazywać Vegi - westchnęła Devi.

- A mnie to wygląda na jakiś eksperyment. Zaczekajmy, co z nami teraz zrobią.

Nie było tym razem drapania ścian tunelu i dodekahedron prawie bez wstrząsów mknął przed siebie. Eda i Vaygay wyrysowali sobie na współrzędnych Kruskala-Szerkesa krzywą czaso-przestrzeni, którą żywo dyskutowali. Ellie nic z tego nie rozumiała. Stadium zwalniania, czyli znów jakby pięcie się wagonika pod górę, tym razem też niezbyt jej służyło.

Światło, jakie ujrzeli u wylotu tunelu, było dla odmiany pomarańczowe. Wylecieli z dziury z umiarkowaną prędkością w jakiś system binarny, w którym dwa słońca się dotykały. Dwie zewnętrzne warstwy olbrzymiej, starej, czerwonej i jakby opuchniętej gwiazdy, kładły się na fotosferę małego, złotego i pełnego wigoru karła, który był w średnim wieku i przypominał Słońce. Strefa kontaktu dwu gwiazd jaśniała niewyobrażalnym blaskiem. Ellie rozejrzała się w poszukiwaniu pierścienia, albo przynajmniej następnego obserwatorium orbitalnego, ale nic nie znalazła. To jeszcze nie świadczy o niczym - pomyślała - takie układy gwiazdne mogą mieć całą masę planet, ale nigdy ich nie

zobaczą przez tę głupią lornetkę. Znowu włożyła strzęp papieru w ogniskową soczewki i obejrzała sobie projekcję obu gwiazd, a potem sfotografowała je za pomocą soczewki krótkoogniskowej.

Ponieważ brak było pierścieni, mniej też było rozproszonego światła niż wokół Vega - szerokokątnym obiektywem mogła więc, po chwili poszukiwania, rozpoznać w okolicy gwiazdozbiór przypominający Wielką Niedźwiedzicę. Z innymi konstelacjami nie mogła się jednak uporać. Jasne gwiazdy Wielkiej Niedźwiedzicy są odległe od Ziemi o kilkadziesiąt światłnych lat, doszła więc do wniosku, że nie odskoczyli od Ziemi znowu tak daleko. Powiedziała to Edzie i spytała, co o tym myśli.

- Co myślę? Ja myślę, że to jest Podziemna...

- Podziemna? - przerwała mu przypominając sobie start i swe okropne wrażenie, że zlatują do Piekła.

- Kolej - spokojnie dokończył Eda. - Inaczej mówiąc, Metro. To są stacje kolejki podziemnej. Pierwsza stacja Vega, potem następny układ, potem jeszcze inny. Pasażerowie wsiadają i wysiadają. A na tym tu przystanku jest przesiadka.

Uczynił dłonią gest w kierunku podwójnej gwiazdy, i Ellie zauważyła, że jego ręka rzuca podwójny cień: jeden od światła żółtego, drugi od czerwonego. Przypominała jej się dyskoteka.

- Ale my nie możemy wysiąść - ciągnął Eda. - My jesteśmy w zapieczętowanym wagonie. I jedziemy dalej, do stacji końcowej.

Podobne spekulacje Drumlin nazywał wycieczką w Krainę Bajek. Ale to był pierwszy raz, kiedy Eda pokusił się o taką opowieść.

Z całej Piątki była jedynym astronomem obserwacyjnym, mimo że jej specjalnością nie było widmo optyczne. Uważała za swe zadanie przede wszystkim zebrać

tyle materiału, ile możliwe: w tunelach i w tych czterech wymiarach czaso-przestrzennych, do których ich od czasu do czasu wrzucano. Domniemana czarna dziura, z której się właśnie wyłonili, i tym razem wróciła na orbitę gwiazdy - W tym przypadku podwójnej. Zresztą dziury też były dwie: pierwsza, z której właśnie wylecieli, i druga, czekająca, by znów ich wessać. Obie na tej samej orbicie. I znowu wszystko się powtórzyło od początku. Nowe systemy pojawiały się i znikwały, ani jeden niepodobny do drugiego. I żaden nie przypominał Układu Słonecznego, w żadnym też nie pojawiło się już nic, co by wyglądało na twór sztuczny - ani jakiś drugi dodekahedron, ani widziany wcześniej polihedron z teleskopami, ani nic co by przypominało kosmiczną stację. Tym razem wylecieli w pobliżu gwiazdy, której światło wyraźnie falowało. Może to była gwiazda typu RR Lyrae - w dalszej kolejności za nią widziała układ pięciogwiazdny, a na samym końcu blado świecącego, brązowego karła. Niektóre gwiazdy ostro odcinały się od czystego tła nieba, inne spowijała mgławica otoczona chmurami cząsteczkowymi.

Przypomniała sobie hasło reklamowe: „To wina, której ci nie policzą przy wejściu do Raju”. Niczego jak dotąd im nie odjęto. Z coraz większym trudem przychodziło jej zachować zawodowy spokój, zaś od tej nie kończącej się procesji słońc zaczynała ją boleć serce. Wierzyła, że na tym bezludziu wreszcie któreś z nich stanie się domem dla jakichś rozumnych istot. A może już jest.

Po czwartym przystanku zaczęła odczuwać niepokój. Miała wrażenie - potwierdzone spojrzeniem na zegarek - że od ich „odlotu” z Hokkaido minęła przynajmniej godzina. Jeszcze chwila, a zaczną odczuwać przykry brak sanitariatu. Być może pewnych aspektów ludzkiej fizjologii nie potrafili sobie wyobrazić nawet przedstawiciele zaawansowanych cywilizacji, gapiący się latami w telewizję z Ziemi.

Jeśli są oni aż tak inteligentni, to po co przeciągają nas

przez te wszystkie pośrednie stacje? W porządku, pierwszy etap to zrozumiałe - skoro odbicie się ich pojazdu od Ziemi obsługiwali ci prymitywni Ziemianie, trzeba ich było przestawić na nowocześniejszy tor w okolicy Vegi. Ale po co potem znów się zatrzymywać? - nie mogą nas dowieźć stąd do celu? Ilekroć dodek zbliżał się do wylotu, odczuwała coraz większe oczekiwanie. Jakże tym razem czekają ich u wylotu cuda? Wyobraziła sobie Haddena wciąż wpatrującego się w teleskop i w miejsce ich startu na Hokkaido.

Gdy zanurzyli się w następny tunel, okazało się, że jest z poprzednich najszerszy, a zarazem najbardziej kręty.

- Dlaczego oni nam pokazują takie stare i brzydkie gwiazdy? - z pretensją w głosie odezwał się Łunaczarski do Edy - a nie pokażą miłej, młodej gwiazdki cieszącej się dobrym zdrowiem i bez meteorów!

- Ponieważ - odpowiedział Eda - hm... ja, oczywiście, tylko przypuszczam, ale skoro pan pyta. Ponieważ wszystkie takie młode gwiazdki są już zamieszkałe.

- I nie chcą, żeby turyści przeszkadzali miejscowym - parsknęła Sukhavati.

- Albo odwrotnie - również uśmiechnął się Eda.

- Czy masz na myśli - powiedziała Devi - że istnieje jakaś kosmiczna etyka niemieszania się w wewnętrzne sprawy prymitywnych planet? Bo wiedzą, że w końcu tubylcy mogliby się połapać i schwytać któreś metro.

- I nie mają co do tych prymitywów większych obaw - wpadła jej w myśl Ellie - ale przecież jednak wciąż mają pewne obawy. Dlatego również nam pokazują tylko jakieś zapadłe dziury. Niech sobie pojeżdżą diabelską kolejką między gwiazdami, ale ostrożność nie zawadzi. Ci konstruktorzy muszą być bardzo przewidujący. Zastanawiam się tylko, dlaczego, skoro być może chcieli nas odizolować, wsadzili nas w ciuchcie, a nie do ekspresu?

- Bo dla ekspresów jeszcze nie mają tuneli - wtrącił Xi,

który miał za sobą lata doświadczeń w kopaniu.

W tej chwili Ellie przypomniła sobie o „cudzie” ziemskiej inżynierii - tunelu Hokkaido-Honsiu długości pięćdziesięciu jeden kilometrów.

Dodek wykonał raz po raz kilka bardzo ostrych zakrętów. Przypomniła sobie swojego thunderbirda i nagle zrobiło jej się mdło. Postanowiła walczyć do upadłego - dodekahedron nie miał nawet odpowiednich torebek.

Wtem znów wypadli na otwartą przestrzeń. Niebo zabłysło rojami gwiazd. Wszędzie były gwiazdy, gdziekolwiek spojrzała. Nie tych parę lichych punkcików widocznych z Ziemi, ale gigantyczna czasza czy czeluść - pełna gwiazd, jedna przy drugiej, niektórych prawie nachodzących na siebie. Zewsząd, zza każdej ściany, znad sufitu i spod podłogi - białe, żółtawe, czerwone, tak, najwięcej czerwonych. Niebo płonęło od słońc i w tym świetle dojrzała gigantyczną spiralę mgławicowego pyłu o proporcjach zaiste nadziemskich, z której strzelały we wszystkich kierunkach pęki promieni, jak suche błyskawice w upalną, letnią noc. Jeśli to jest centrum Galaktyki, a tak przypuszczała, to wszystko wkoło pełne jest promieniowania synchronicznego... Miała tylko nadzieję, że projektanci Maszyny pamiętali, jaką ułomną istotą jest człowiek.

Dodek wykonał obrót wokół własnej osi i nagle... w jej pole widzenia wpłynął... cud... senny majak... objawienie... Wkrótce zapełniło sobą pół nieba, a wtedy dodek uniósł się i polecieł nad tym. Już mieli je pod sobą - powierzchnię pełną setek, tysiący wrót i pasaży, każde cudownie iluminowane i o innym kształcie. Niektóre przybierały kształt wielokątny, inne układały się w okręgi, innych przekroje poprzeczne były eliptyczne i miały niezliczone przydatki, niekiedy rozłożone plasterkowato na całe ciągi dodatkowych kręgów. Uświadomiła sobie, że myśli o tym jak o miejscu przylotu. Że to jest mnóstwo, tysiące lądowisk lub wjazdów - jedno szerokie

zaledwie na metr, inne wyraźnie większe, nawet liczące około kilometra w poprzek. Wymierzone tak - w myślach zdecydowała Ellie - by zmieścić w sobie odpowiednią maszynę. Jak nasza. Duzi panowie w poważnych limuzynach mają godne siebie podjazdy. Mali, w byle czym - jak Piątka z Ziemi - muszą się zadowolić bocznymi drzwiami. To bardzo demokratyczne, skądinąd - pomyślała - taki podział tylko na małych i dużych, bo nie widać pośredniego rozróżnienia. Różnice bram wjazdowych, czy jak je inaczej nazwać, sugerowały niewielką rozpiętość socjalną tych istot, za to zatykały dech w piersiach swym cywilizacyjnym poziomem. To jakiś Wielki Dworzec Centralny! - pomyślała. Chciało się jej płakać z radości - oto widziała Galaktykę zatłoczoną rozumnymi istotami, oto wszechświat kipiący życiem i inteligencją! Zbliżali się tymczasem do żółto oświetlonego wjazdu, który, jak można było łatwo spostrzec, idealnie nadawał się dla dodekahedronu. W sąsiednim „doku” spostrzegła coś wielkości ich pojazdu, za to o wdzięcznym kształcie rozgwiadzy, co też akurat lądowało. Patrzyła w lewo, w prawo, w górę i w dół na prawie niemożliwą do objęcia wzrokiem lekko wybrzuszoną powierzchnię wielkiej Stacji - czy raczej wielkiego Dworca - który usytuowany był (co do tego nie miała już prawie żadnych wątpliwości) w sercu Drogi Mlecznej. Jaki zaszczyt dla człowieka - zaproszenie tutaj! Jest nadzieja, jest! - gorączkowo rozmyślała. A potem w jej głowie zabrzmiało echem dawno zapomniane zdanie: „No cóż, to nie jest Bridgeport”.

I kiedy podchodzenie do lądowania zakończyło się, dodek stanął, a w jego wnętrzu zapanowała cisza, usłyszała siebie głośno wypowiadającą te słowa.

ROZDZIAŁ 20

Wielka Stacja Centralna

Wszystkie rzeczy są sztuczne, gdyż natura jest sztuką Boga.

TOMAS BROWNE

„O snach” Religio Medici (1642)

Anioły przybierając cielesną postać czynią tak nie dla siebie, lecz dla nas.

Św. TOMASZ Z AKWINU

Summa Theologica, I, 51, 2

Ma tę władzę diabeł by przybrać miłą postać.

WILLIAM SHAKESPEARE

Hamlet

Właz był tak zaprojektowany, że przejść przez niego mogła tylko jedna osoba. Były z tego powodu wielkie dyskusje, który kraj zasłużył sobie na przywilej, by właśnie jego przedstawiciel pierwszy postawił nogę na planecie z innego układu. Ucieła je sama - doprowadzona do ostateczności - Piątka, która zgodnie uniósłszy ręce oświadczyła dyrektorom projektu, że to naprawdę nie jest taka misja, jak oni sobie wyobrażają. A potem konsekwentnie unikali jakichkolwiek na ten temat rozmów między sobą.

I wewnętrzne i zewnętrzne drzwi wjazdu otworzyły się jednocześnie. Nie rozległo się żadne polecenie. Przez otwarte drzwi już mogli odczuć, że ta przynajmniej część Wielkiej Stacji Centralnej jest świetnie utleniona i ma prawidłowe ciśnienie. - No więc? - spytała Devi. - Kto chce iść pierwszy?

Już z kamerą w dłoni i w kolejce do wyjścia, Ellie nagle cofnęła się po liść palmy. Nie może nie mieć go przy sobie, kiedy pierwszy raz postawi stopę na innej planecie. Już z zewnątrz usłyszała okrzyk zachwytu, prawdopodobnie Vaygaya. Rzuciła się ku jaskrawemu światłu słonecznemu. Zewnętrzny próg wjazdu był obsypany złocistym piaskiem. Devi po kostki brodziła w wodzie, pryskając jej kroplami na Xi. Eda śmiał się od ucha do ucha.

To była plaża. Jęzory fal rozplływały się po przybrzeżnym piachu. Po błękitnym niebie sunęło parę leniwych kumulusów. Opodał linii wody, chyliła się kępa przybrzeżnych palm. Na niebie było słońce, jedno słońce, do tego żółte - zupełnie jak nasze - pomyślała. W powietrzu unosił się delikatny, przyjemny zapach, coś jakby goździki i cynamon. To z powodzeniem mogła być plaża w Zanzibarze.

Więc przelecieli trzydzieści tysięcy lat świetlnych po to, żeby spacerować po plaży. Mogło być gorzej - pomyślała. Zerwała się lekka bryza i mały wir piasku zatańczył przed nią. Czy to wszystko jest celową imitacją Ziemi? Może jakąś rekonstrukcją danych przywiezionych przez rutynową ekspedycję międzygwiazdową miliony lat temu? Albo (to najsmutniejsza wersja) zabrano ich na tę przejażdżkę, żeby zrobili sobie powtórkę z astronomii opisowej, a potem bezceremonialnie wyrzucono ich w miłym skądinąd zakątku Ziemi?

Gdy obróciła się, dodekahedronu już nie było. Razem z ich kabiną znikł i superkomputer nadprzewodnikowy, i wszystkie dyskiety, nie licząc paru innych pożytecznych przyrządów. Lecz tylko przez małą chwilę tym się martwili - bo już byli bezpieczni, przeżyli podróż, o jakiej przyjemnie będzie pisać bliskim i znajomym. Vaygay popatrzył wpierw na liść palmowy, o którego zabranie toczyła takie boje, potem na kępę palm, i parsknął śmiechem.

- Z drzewem do lasu - skomentowała Devi.

A przecież liść Ellie był inny. Po pierwsze - tutejsze gatunki na pewno różnią się od ziemskich, a po drugie niewykluczone, że te piękne drzewa wyszły przed chwilą z jakiejś miejscowej fabryki. Spojrzała daleko w morze. Natrętnie wracała myśl, że tak samo musiała wyglądać kolonizacja Ziemi, jakieś czterysta milionów lat temu. Gdziekolwiek teraz są - nad Oceanem Indyjskim czy w środku Galaktyki - już dokonali czegoś, czego z niczym porównać się nie da. Wprawdzie sama wędrówka i dotarcie do celu nie było aż taką ich zasługą, prawda, ale wcześniej musieli zdecydować się na podróż w nieznane, przez ocean przestrzeni międzygwiazdnej po to, by zaczęła się nowa era w ludzkiej historii. Przepełniała ją duma.

Xi zdjął buty i zawiązał do kolan nogawki obfastrygowanego i obszytego najróżniejszymi insygniami kombinezonu, jaki zgodnie z umową ich rządów każdy z nich miał na sobie. Spokojnie brodził przez pianę. Devi schowała się wśród palm i po chwili wyszła stamtąd owinięta w sari, z kombinezonem niedbale przerzuconym przez ramię, przypominając Ellie jakiś film z Dorothy Lamour. Eda znów włożył krągłą czapkę, która na całym świecie była jego znakiem rozpoznawczym. Ellie zrobiła im parę króciutkich ujęć na taśmie wideo - na domowym ekranie będą wyglądali tak, jak na zwyczajnym urlopie. Przyłączyła się do Vaygaya i Xi, ciągle brodzących w pianie. Woda była bardzo ciepła. Było piękne popołudnie i wszystko stanowiło wprost rozkoszną odmianę po chłodach Hokkaido zaledwie parędziesiąt minut temu.

- Każdy wziął ze sobą coś symbolicznego - odezwał się Vagay - prócz mnie.

- Co masz na myśli?

- Sukhavati i Eda mają na sobie stroje narodowe. Xi zabrał sadzonki ryżu.

Rzeczywiście, między kciukiem a palcem wskazującym Xi trzymał plastikową torebkę z sadzonkami ryżu.

- Ty masz swój liść - ciągnął Vaygay - a ja nie mam nic.

Nie wziąłem żadnych symboli, żadnych wspomnień z Ziemi. Jestem w tej grupie jedynym prawdziwym materialistą. Wszystko, co niosę ze sobą, mieści się w tej głowie.

Dotychczas Ellie miała swój medalion schowany pod ubraniem. Teraz rozpięła kombinezon pod szyją i przysunęła go do oczu Vaygaya, który odczytał oba motto.

- To Plutarch. Chyba - powiedział po chwili. - Dzielne słowa wypowiedzieli ci Spartanie. Ale pamiętaj, kto wygrał bitwę. Rzymianie.

Z tonu uwagi wywnioskowała, że Vaygay łączy ten podarunek z osobą der Heera. Ciepło zrobiło się jej koło serca na myśl, że Vaygay tak konsekwentnie nie znosi Kena - czego niejeden dał wyraz - i że tyle w nim jest spokojnej troski o nią. Ujęła go pod ramię.

- Duszę oddałbym za jednego papierosa - westchnął, po czym mocno przycisnął jej dłoń swoim łokciem do boku.

Cała piątka zasiadła nad brzegiem małego, czystego stawu. Załamywanie się piany wywoływało z jej pamięci dawny biały dźwięk, jeszcze z Argusa - dźwięk całych lat wsłuchiwania się w kosmiczny szum. Słońce minęło zenit i schodziło niżej nad ocean. Obok nich przemaszerował krab, sprawnie machając odnóżami i obracając oczami na słupkach. Mając kraby, palmy kokosowe i po kieszeniach trochę zapasów, mogli spokojnie przeżyć tu jakiś czas. Niczym innym, poza odciskami ich stóp, plaża nie świadczyła o obecność ludzkich istot.

- Wygląda na to, że zakończyli swą robotę - Vaygay zaczął referować swoje i Edy wnioski na temat wszystkiego, co się ostatnio wydarzyło. - W całym projekcie chodziło o zrobienie małej fałdki w czaso-przestrzeni, żeby mieli na czym oprzeć ten tunel. Cała geometria wielowymiarowa jest taka, że trudno w niej o fałdkę. A jeszcze trudniej o taką, na której można zawiesić wylot rury.

- Co ty mówisz? Zmienili geometrię kosmosu?

- Tak. Twierdzimy obaj, że topologicznie ta przestrzeń nie jest prosto złożona. Wyobraźmy sobie, przepraszam cię Abonnema, wiem, że nie lubisz tego porównania, płaską powierzchnię dwuwymiarową, za którą mieszkają mądrzy i która jest połączona labiryntem rurek z inną płaską powierzchnią dwuwymiarową, za którą mieszkają głupi. Jedyńy sposób szybkiej komunikacji, jaki istnieje między mądrymi a głupimi, jest za pomocą tych rur. Teraz wyobraźcie sobie, że mądrzy chcą wybudować nową linię i wypuszczają rurę wylotem ku głupim. I nie będą mogli jej zamocować po tamtej stronie, jeśli głupi na swojej ścianie nie zrobią jakiegoś zaczepu, półeczki.

- Więc mądrzy wysyłają wiadomość radiową i mówią głupim, jak się robi fałdkę. Ale jeżeli głupi są wyłącznie dwuwymiarowymi istotami, jak taką fałdkę mogliby zrobić?

- Przez nagromadzenie olbrzymiej masy w jednym miejscu - rzucił Vaygay z wahaniem.

- Ale przecież myśmy niczego takiego nie robili.

- Wiem, wiem. Ale może... zrobiły to benzele?

- Zrozumcie - spokojnie wtrącił Eda - jeśli tunele miałyby być czarnymi dziurami, to coś się w tym nie zgadza. Owszem, istnieje wewnętrzny tunel w rozwiązaniu einsteinowskiego Równania Pola dokonany przez Kerra, ale jest niestabilny. Najmniejsze zaburzenie rozsądziłoby go i zmieniło w pojedynczość fizyczną, przez którą nic się już nigdy nie przedostanie. Próbowałem sobie wyobrazić taką cywilizację, która umie kontrolować wewnętrzną strukturę gwiazdy w trakcie jej obkurczania tak, by zachować stabilność jej wewnętrznego tunelu. Ale to trudne, bo taka cywilizacja musiałaby wiecznie monitorować i stabilizować ten tunel, a wyobraźcie sobie stopień utrudnienia, gdy do tego wewnątrz niego przeleci czasem coś dużego, na przykład, dodekahedron.

- Ale nawet gdyby Abonnema wymyślił im sposób

utrzymania przepustowości tunelu - wtrącił Vaygay - mieliby wciąż masę innych problemów. Zbyt dużo. Czarne dziury mają tę właściwość, że zasysają kłopoty szybciej niż materię. Na przykład, co z siłami wiązania. Właściwie powinno nas natychmiast zamienić w niteczki, ledwie weszliśmy w grawitacyjne pole czarnej dziury. Wyciągnąć nas wzdłuż, jak ludzi na obrazach El Greca, albo w rzeźbach tego Włocha?... - pytająco spojrzął na Ellie.

- Giacomettiego. Ale on był Szwajcarem.

- Tak, Giacomettiego. Inne problemy: według miary ziemskiej, przelot przez czarną dziurę powinien nam zabrać nieskończoną długość czasu. Wtedy nigdy, po prostu nigdy nie moglibyśmy wrócić na Ziemię. Niewykluczone, że tak akurat się stało. Może nigdy już nie wrócimy do domów. Poza tym w czarnej dziurze jest po prostu piekielne promieniowanie, skoro jest to okolica pojedynczości fizycznej. To niestabilność kwantowo-mechaniczna...

- W której efekcie - wtrącił Eda - tunel Kerra prowadzić może do groteskowych pogwałceń zasady przyczynowości. Przy niewielkiej zmianie trajektorii wewnątrz tunelu, można wylecieć jego drugim końcem w dowolnym miejscu historii wszechświata. Na przykład, w jedną pikosekundę po Big Bangu. Taki wszechświat to byłby jeden wielki bałagan.

- A więc popatrzcie, kochani - ciągnął - nie jestem wprawdzie ekspertem w Wielkiej Teorii Względności, ale przecież widzieliśmy te czarne dziury. Wpadliśmy w nie. I potem wylatywaliśmy z nich, a więc czy gram tego, czego naprawdę doświadczyliśmy nie jest wart więcej niż tony naszych teorii?

- Dobrze, dobrze - odezwał się Vaygay zmęczonym głosem - a jednak to musi być coś innego. Nasze rozumienie fizyki nie sięga do tych poziomów. Mam rację Eda, czy nie?

Ostatnie pytanie zadał już prawie błagalnym tonem.

- Czarne dziury powstałe w naturalny sposób - usłyszał

odpowiedź - nie mogą być tunelami, bo mają w środku nieprzenikliwą pojedynczość, której nie można przekroczyć.

Za pomocą sekstansa i zegarków ręcznych, wyliczyli kątowy ruch zachodzącego Słońca. Wyniósł on 360 stopni na dwadzieścia cztery godziny, standard ziemski. Zanim Słońce zeszło niżej za horyzont, wykręcili obiektyw z kamery Ellie i rozpalili ogień. Bliżej do siebie przygarnęła liść palmy w obawie, że po zmroku ktoś mógłby go użyć na podpałkę. Prawdziwym ekspertem w rozpalaniu ogniska okazał się Xi. Kazał im się po zawietrznej i nieco przytłumił płomień.

Powoli ukazywały się gwiazdy. Wszystkie były na swoim miejscu, każda konstelacja pamiętana z Ziemi. Ellie na ochotnika zgłosiła się na wartę. Chciała obejrzeć wschód Liry - po kilku godzinach weszła. Noc była wyjątkowo piękna i Vega jaśniała spokojnie i czysto. Z widocznego ruchu gwiazdozbiorów po niebie, z faktu, że dojrzeć mogła konstelację półkuli południowej i że Wielka Niedźwiedzica leżała blisko horyzontu północnego wywnioskowała, że znajdują się w strefie tropikalnej. Jeśli to jest tylko imitacja - pomyślała czując, że zasypia - to rzeczywiście, nieźle się napracowali.

Miała krótki i dziwny sen. Cała ich piątka pływała nago, nurkując beztrudnie, pływając na plecach w pobliżu rozgałęzionej jak jelenie rogi rafy, i znów nurkując w jej szczeliny, które za chwilę pokrywały sploty morskich roślin. W pewnym momencie, gdy wypłynęła na powierzchnię, ujrzała powietrzny statek podobny do dodekahedronu, który sunął nisko nad falami. Jego ściany były przezroczyste, i wewnątrz mogła ujrzeć ludzi ubranych w dhoti i sarongi, którzy czytali gazety i rozmawiali ze sobą. Szybko znów skryła się pod wodą - tam, gdzie należała.

Nikt z nich nie miał trudności w podwodnym oddychaniu. Po prostu wciągali i wypuszczali wodę. I nie czuli

się nieswojo - rzeczywiście pływali jak ryby. Vaygay, który w ogóle trochę przypominał rybę, wyglądał jak granik. Inni też już upodobnili się do ryb. Płetwy Devi były przejrzyste. Ellie, wewnątrz snu przypomniła sobie mysz, którą widziała kiedyś w laboratorium fizjologicznym pływającą radośnie w dobrze utlenowanej wodzie, próbującą nawet imitować przednimi łapkami ruchy płetw. Czuła się wspaniale, to było dziwne i zmysłowe. Chciała, aby sen trwał i żeby coś mogła z niego zrozumieć. Och, tak oddychać ciepłą wodą... pomyślała.

Zbudziła się z poczuciem kompletnej dezorientacji. Gdzie się znajduje? W Wisconsin? Puerto Rico? W Nowym Meksyku, Wyoming, na Hokkaido? Czy nad Cieśniną Malakka? A potem przypomniała sobie: trzydzieści tysięcy lat świetlnych, gdzieś wewnątrz Mlecznej Drogi. Głośno westchnęła i Devi, uspiona obok niej, niespokojnie się poruszyła. Wysoka wydma nad jej głową (wzdłuż której przeszli wczoraj przynajmniej kilometr w poszukiwaniu śladów czyjejś obecności), wciąż jeszcze zasłaniała ich od słońca. Ellie leżała całą noc na poduszce z piachu, zaś Devi, właśnie przecierająca oczy, miała pod głową zwinięty kombinezon.

- Nie sądzisz, że coś dwulicowego jest w kulturach, które potrzebują poduszek pod głowę? - odezwała się Ellie. - Sami sobie na noc zakładają jarzmo. Dlatego w dzień tacy z nich ludzie sukcesu.

Devi zaśmiała się i powiedziała „dzień dobry”.

Nagle usłyszały wołanie - spojrzały w górę plaży i ujrzały swych panów machających i coś wykrzykujących. Podniosły się i ruszyły ku nim.

W piachu stały drzwi. Piękne, drewniane, z płycinami i mosiężną gałką - przynajmniej na mosiądz to wyglądało. Miały też pomalowane na czarno metalowe zawiasy i umieszczone były w ramie z nadprożem i progiem. Żadnej wizytówki. Doprawdy - dziwne, to za mało powiedziane. Przynajmniej jak na ziemskie obyczaje.

- A teraz zajdźcie je od tyłu - zachęcał Xi.

Z drugiej strony drzwi w ogóle nie było. Ellie ujrzała Edę, Vaygaya, Xi i Devi stojących trochę dalej, a także piach nieprzerwanie biegnący od jej stóp ku nim. Obeszła miejsce tak, żeby drzwi mieć z boku i wtedy, stojąc w pianie, ujrzała przed sobą równą, pionową linię, cienką jak brzytwa. Chciałaby jej dotknąć, ale się bała. Zamiast tego wróciła tam, gdzie przed chwilą stała i popatrzawszy w czyste powietrze, w którym - choć miałyby tam być drzwi - nie widać było żadnych cieni ani refleksów, śmiało ruszyła w przód.

- Brawo! - zaśmiał się Eda. Obróciła się i ujrzała za sobą zamknięte drzwi.

- Co widzieliście? - spytała.

- Piękną panią przenikającą przez dechy na centymetr grube - głos Vaygaya brzmiał rześko, choć zapewne coraz bardziej odczuwał brak tytoniu.

- Czy już próbowaliście je otworzyć? - spytała.

- Jeszcze nie - przyznał Xi. Cofnęła się o krok podziwiając tę niezwykłą kompozycję. - To trochę wygląda jak obraz tego surrealisty... Ellie, jak się nazywał ten Francuz?

- Rene Magritte, Vaygayu - odpowiedziała - i był Belgiem.

- Za to w jednym na pewno się zgodzimy. Że to raczej nie wygląda na Ziemię - odezwała się wreszcie Devi, szerokim gestem ogarniając ocean, plażę i niebo.

- Chyba że jesteśmy w rejonie Zatoki Perskiej trzy tysiące lat temu, i gdzieś tutaj mieszkają dziny - zaśmiała się Ellie.

- Czy nie dziwi was, jak te drzwi są pięknie wykonane? - znów odezwała się Devi.

- Są czy nie są, nie przeczę - powiedziała Ellie - na pewno świetne. Ale mnie interesuje pytanie: po co? Dlaczego oni robią sobie kłopot z tymi wszystkimi dekoracjami?

- Może po prostu lubią, gdy im coś dobrze wychodzi?

- Albo się przed nami chwała.

- Nie rozumiem - powiedziała Devi - skąd oni tak dobrze znają nasze drzwi. Pomyślcie, ile jest sposobów, żeby urządził przejście z pomieszczenia do pomieszczenia. Dlaczego akurat drzwi? Skąd o nich wiedzą?

- Może z naszej telewizji - odpowiedziała Ellie. - Vega przed nadaniem sygnału odbierała telewizję z Ziemi do, no, powiedzmy 1974 roku. Niewykluczone, że jesteśmy wewnątrz jakiegoś videoklipu, który wzięli z naszej telewizji. Dla zabawy. Z pewnością w filmach między 1936 a 1974 rokiem znajdowało się mnóstwo drzwi. No dobrze - ciągnęła jakby nie dostrzegając zmiany tematu - jak myślicie, co by się stało, gdybym otworzyła drzwi i w nie weszła?

- Jeżeli mamy być w jakiś sposób testowani - odezwał się Xi - to po drugiej stronie jest jakiś Wielki Test dla nas albo po jednym małym teście dla każdego.

Widać było, że się zdecydował. Ellie jeszcze nie.

Cienie pobliskich palm wyciągały się w poprzek plaży. Bez słowa popatrzyli na siebie. Cała czwórka była gotowa otworzyć drzwi i przejść na drugą stronę - jedną Ellie targano jakieś dziwne... wahanie. Poprosiła Edę, by szedł pierwszy.

Eda zdjął czapkę, wykonał niewielki, za to pełen powagi skłon, i zbliżył się do drzwi. Ellie podbiegła i pocałowała go w oba policzki. Inni też podchodzili kolejno, aby go uściskać. Eda zwrócił się znów ku drzwiom, otworzył je, uczynił krok do przodu. I rozpląnął się w powietrzu, poczynając od wyciągniętej w przód nogi, a kończąc na zamykającej drzwi dłoni. Gdy drzwi były przez chwilę otwarte, piach znów nieprzerwanie biegł na drugą stronę i powietrze było czyste, bez zamglenia. Teraz znów zamknięte stały spokojnie przed nimi. Pobiegnęła na drugą stronę - Edy nie było.

Xi nie wahał się ani chwili. Ellie zastanowił fakt, dlaczego tak ulegle przyjmują każde najdziwniejsze zaproszenie jako swój obowiązek do spełnienia. Przecież co im

szkodziło powiedzieć, dokąd nas zabierają i po co jest to wszystko - pomyślała z żalem. Na przykład, krótkie wyjaśnienie na końcu Wiadomości, albo jakaś informacja przy starcie. Mogli uprzedzić nas przy dokowaniu, że ta plaża jest udawana, że znajdziemy te drzwi i tak dalej. Oczywiście, ich angielski z pewnością nie jest doskonały, nie mówiąc o rosyjskim, tamilskim, chińskim czy języku hausa. Ale czyż nie oni wynaleźli ten znakomity język uniwersalny z elementarza? Dlaczego w tak ważnej sprawie nim się nie posłużyli? Żeby oszczędzić nam lęku? Vaygay przyglądał się jej, stojącej naprzeciw drzwi i dumającej nad czymś i spytał, czy ma ochotę iść przed nim.

- Dziękuję, Vaygayu. Tak się zamyśliłam... Wiem, że jestem głupia. Ale właśnie taka myśl mnie uderzyła: dlaczego mamy skakać przez każdą obręcz, jaką nam ustawią? A gdybyśmy raz nie skoczyli?

- Ellie, taka jesteś amerykańska. A dla mnie to normalna, słuchać tego, co inni każą. Szczególnie, gdy mam raczej niewielki wybór - uśmiechnął się i obrócił na pięcie.

- Nie daj się wziąć na byle co od Wielkiego Księcia - zawołała za nim.

Wysoko zakrzyczała mewa. Vaygay nie zamknął za sobą drzwi, i znów przed Ellie ciągnęła się tylko pusta plaża.

- Źle się czujesz? - z niepokojem zapytała Devi.

- Nie, wszystko w porządku - z trudem odpowiedziała - potrzebuję tylko małej chwili dla siebie. Zaraz mi przejdzie.

- Ellie, pytam jako lekarz. Czy na pewno nic ci nie jest?

- Obudziłam się z bólem głowy, do tego miałam zupełnie idiotyczne sny. Nie wyczyściłam zębów, nie wypitałam porannej kawy. Nie miałabym również nic przeciwko temu, żeby przejrzeć poranną prasę. Więc to wszystko pominawszy, czuję się znakomicie.

- Dzięki Bogu, zacznasz mówić normalniej. Mnie też zresztą dziś rano bolała głowa. Uważaj na siebie, Ellie.

Zapamiętaj wszystko, co potem mi opowiesz... gdy się znów... zobaczymy?

- Obiecuję - powiedziała Ellie.

Objęły się i ucałowały. Devi przekroczyła próg i zniknęła. Ellie przez moment zdawało się, że zza uchylonych drzwi dobiegł ją zapach curry.

W słonej wodzie wyszczotkowała zęby. Pewna niewielka skłonność do kaprysów zawsze była częścią jej natury - wypłała na śniadanie mleko orzecha kokosowego. Ostrożnie usunęła ziarnka piasku z obudowy i obiektywu mikrokamery i z arsenału mikrokasetek, na których utrwaliła wszystkie cuda. Wypłukała w przybrzeżnej pianie liść palmy takimi samymi ruchami jak na Cocoa Beach w dniu, gdy go znalazła, tuż przed odlotem na Matuzalema.

Było wcześniej rano, ale już wzmagał się upał, więc postanowiła się wykapać. Ostrożnie ułożyła zwinięty kombinezon i swe drobiazgi na liściu, który odciągnęła od brzegu. Wprawdzie nic nigdy nie wiadomo - pomyślała - ale naprawdę mało prawdopodobne jest, by ET podniecił widok kobiety kąpiącej się nago, choćby była całkiem jeszcze młoda, a przynajmniej nieźle się trzymająca. Wyobraziła sobie mikrobiologa doprowadzonego do dzikiej żądzy widokiem pantofelka uprawiającego akt mitozy.

Leżąc bezwładnie na plecach pozwoliła unosić się falom, wykonując słabe pływackie ruchy i starając się, aby były zgodne z rytmem nadbiegających pienistych grzebieni. Wyobrażała sobie, że ta imitacja wokół niej to tylko jakiś wydział... komórka do spraw Ziemi, obok której istnieją dalsze szczegółowe kopie miłych zakątków różnych światów, będących ojczyznami innych stworzeń. Klatka za klatką, oddział za oddziałem - każdy z niebem, pogodą, oceanem, geologią, życiem biologicznym nie dającym się odróżnić od oryginalnego.

Z drugiej strony - pomysł olbrzymiego,

ekstrawaganckiego ZOO, choć kuszący obietnicą przeżycia ich pięciorga (bo kto by zadawał sobie tyle kłopotu dla piątki skazanej na odstrzał) raził pewną tandetnością. Mimo to nie mogła pozbyć się wizji zlatujących się z całej Galaktyki turystów - szczególnie w okresie wakacji - by wylądować na Stacji, w tym olbrzymim ogrodzie zoologicznym mającym lądowisko w każdym sektorze, w którym żyją stwory z różnych planet w swym naturalnym otoczeniu. Już słyszała pokrzykiwanie jakiegoś naganiacza ze ślimaczą głową: „do nas, do nas, prawdziwe dzikie bestie w dzikim krajobrazie!”. Kiedy przychodzi czas testu, Naczelnik Stacji usuwa z okolicy wszystkich turystów, wszelkie stworzenia, nawet ślady stóp. Nowe prymitywy przyjeżdżają, daje się im pół dnia odpoczynku, zanim rozpocznie się Przepytanie.

Wykonała koziołka i chwilę pozostała pod wodą, jak długo jej płucom wystarczyło powietrza. Kilkoma energicznymi ruchami ramion zbliżyła się do brzegu i nagle, po raz drugi w ciągu dwudziestu czterech godzin pożałowała, że nie ma dziecka. Nikogo wokoło nadal nie było. Ani żagla na horyzoncie. Parę mew kroczyło wzdłuż plaży, najwidoczniej w poszukiwaniu krabów. Żałowała, że nie ma chleba, miałyby teraz zajęcie karmiąc je, jak w Cocoa Beach. Gdy obeschła, znów wciągnęła na siebie kombinezon i zbliżyła się do drzwi. Dalej stały - po prostu. Nadal jakiś dziwny sprzeciw nie pozwalał jej sięgnąć do mosiężnej gałki. Więcej niż sprzeciw. Strach.

Cofnęła się, wciąż mając je na oku. Siadła pod palmą z podciągniętymi pod brodę kolanami i zapatrzyła się w piaszczysty pas plaży. Po chwili wstała, przeciągnęła się. Z kamerą w jednej dłoni i liściem palmy w drugiej zbliżyła się do drzwi i przekreśliła gałkę. Lekko się uchyliły, i przez szczelinę dojrzała morze poliniowane pianistymi grzywami. Delikatnie je pchnęła, a one bez skrzyknięcia otworzyły się szerzej. Plaża - łagodna i nieczuła patrzyła na nią z drugiej strony. Potrząsnęła

głową i wróciła pod drzewo, przybierając znów pozycję wyczekującą.

Zaczęła odczuwać niepokój o los pozostałych. Weszli pewnie w jakąś wielką salę egzaminacyjną, gdzie wręczono im formularze pytań testowych. A może egzamin jest ustny? I kto egzaminuje? Poczowała coś w rodzaju wstrętu. Zawsze brzydziła się insektami, węzami, nawet kretami z nosami w kształcie gwiazdki. Należała, niestety, do osób, które również przebiega dreszcz obrzydzenia na widok zdeformowanych, nawet w niewielkim stopniu, ludzkich istot. Kulawi, dzieci z zespołem Downa, nawet widoczne objawy parkinsonizmu wywoływały w niej - choć swym jasnym intelektem usiłowała to przemóc - niechęć, pragnienie ucieczki. Zasadniczo potrafiła się prawie zupełnie opanować, nie miała jednak pewności ilu było takich, którym swoim zachowaniem sprawiła ból.

I teraz też nie miała pewności, czy sprostałaby widokowi jakiegoś pozaziemskiego tworu. Nie pomyślano o przetestowaniu ich pod tym kątem. Nikt nie próbował sprawdzać ich reakcji na widok myszy, karła lub Marsjanina. Ta podstawowa sprawa nie przyszła po prostu do głowy członkom Komisji Kwalifikującej - zastanawiała się dlaczego, skoro w tej chwili nie widziała niczego, co mogłoby mieć większe znaczenie.

Popełnili błąd wysyłając ją. Niewykluczone, że straci całą godność na widok jakiegoś naczelnika z węzami zamiast włosów. Popatrzyła z obawą na drzwi, których próg już zalewała woda. Zbliżał się przyływ.

Nagle w odległości kilkuset metrów ujrzała zbliżającą się postać. Wpierw pomyślała, że to Vaygay, który zdawszy celującą wszystkie egzaminy, idzie podzielić się z nią dobrą wiadomością. Ale ktokolwiek to był - nie miał na sobie ich kombinezonu! Wydawał się też młodszy, jego chód był bardziej energiczny. Sięgnęła po obiektyw i zawahała się. Wstała z

piasku i osłoniła obiektyw dłonią. Przez moment zdawało się jej... Nie, to przecież niemożliwe. Przecież tak bezwstydnie by się z nią nie zabawiali.

Ale już nie mogła zatrzymać siebie. Pobiegnęła przez piach, a osiągnąwszy twarde brzeg plaży popędziła z rozwianymi włosami. Wyglądał dokładnie tak, jak na ostatnim zdjęciu: pełen życia, szczęśliwy. Miał na policzkach dwudniowy zarost. Dopadła go i utonąwszy w jego ramionach, zaszlochła.

- Cześć, Słonku - powiedział, prawą dłonią gładząc ją po włosach.

To był ten sam głos. W sekundzie odezwał się w niej znajomym brzmieniem. I szorstkość jego brody na jej policzku. To wszystko sprawiło, że w jednej chwili pękł w niej jakiś głąz, jakaś płyta kamienna rozpadła się na dwoje i z zapomnianego prawie grobu wytrysnęły pierwsze promienia światła.

Przełknęła łzy i próbowała się opanować, ale nowa fala zapiekłego bólu runęła z niej i wszystko co mogła zrobić, to dalej płakać. A on stał cierpliwie, z tą samą budzącą spokój pewnością siebie jak wtedy, u stóp schodów, gdy Ellie zaczynała swą pierwszą w życiu wyprawę w dół klatki schodowej. Pragnęła go znów ujrzeć bardziej niż czegokolwiek w życiu - a przecież tłumiała to pragnienie, niecierpliwiło ją, bo w tak oczywisty sposób było niemożliwe do spełnienia. Płakała za te wszystkie lata samotności, które legły między ojcem i nią.

Jeszcze jako panienka, a nawet już jako dorosła kobieta śniła, że staje nad nią i mówi, że ta śmierć była pomyłką. Że znów obejmuje ją ramionami. Ale rano płaciła za tę chwilę wytchnienia przebudzeniem na powrót w świecie, w którym go nie było... Mimo to znów następnej nocy zasypiała i śniła o nim, gotowa ponieść wszelką karę. I znowu budziła się z coraz większym uczuciem zmęczenia i bólu. Te chwile z duchem były wszystkim, co jej zostało z niego.

A teraz - jest. On, nie zjawia, ale ciało i krew. Tak blisko.

Zawołał ją z gwiazd, i ona przybyła.

Z całej siły przytuliła się do niego. Wiedziała, że to trik, kolejna symulacja, rekonstrukcja, mimo że tak doskonała. Oderwała twarz, aby przyjrzeć mu się na odległość ramion - nieskazitelny. To był on. Jakby umarł, poszedł do Nieba, i za sprawą tej nie całkiem religijnej podróży - przecież zstąpił, a ona się z nim połączyła. Załkała i znów go objęła.

Parę następnych chwil zabrało jej przywrócenie się do porządku. Gdyby to był - powiedzmy - Ken, po prostu pomyślałaby, że ukończono następny dodekahedron, może sowiecką Maszynę, którym, zrobiono następny rajd z Ziemi do środka Galaktyki. Ale ojciec? Skąd. Jego szczątki w tej chwili rozkładają się na cmentarzu koło jeziora.

Otarła oczy na przemian śmiejąc się i płacząc.

- I co, tato? Czemu zawdzięczam to twoje pojawienie się? Robotom czy hipnozie?

- A czy ja jestem jakimś produktem? Albo snem? O to samo zapytaj tego wszystkiego wkoło.

- Ani tygodnia nie było, gdy nie myślałam, że oddałabym wszystko, wszystko co mam za parę minut z tobą...

- No i jestem - powiedział radośnie, podniósł ręce i wykonał obrót tak, że mogła zobaczyć, że i jego druga strona jest jak należy. Ale był taki młody, na pewno młodszy od niej. Miał dopiero trzydzieści lat, gdy zmarł.

Może to był tylko ich sposób, by zmniejszyć w niej lęk. Jeśli tak, to byli nadzwyczaj... troskliwi. Otoczyła go przez pas ramieniem i poprowadziła pod palmę, ku swojej niewielkiej posiadłości. Jeśli pod jego skórą kryły się jakieś przewody scalone i przekładnie biegów, to bardzo dobrze schowane.

- Więc jak się miewamy? - zabrzmiało jej dość niejasne pytanie. - To znaczy... - chciała uzupełnić, ale ojciec jej przerwał.

- Ja wszystko wiem. Sporo lat minęło od otrzymania

przez ciebie Wiadomości, żebyś mogła przylecieć tutaj.

- Nie było wyboru. Albo szybkość, albo dokładność.

- Oczywiście.

- Tato, o co tu chodzi. Czy jest jeszcze jakiś dalszy ciąg Próby przed nami? Nie odpowiedział.

- Słuchaj, musisz mi to wytłumaczyć - powiedziała pełnym determinacji głosem - niektórzy z nas szmat życia oddali na rozszyfrowanie Wiadomości i zbudowanie Maszyny. Czy za to w końcu dowiemy się przynajmniej, po co nas do tego namawiano?

- No, no, zadziorna z ciebie osóbką - powiedział, jakby naprawdę był jej ojcem, jakby porównywał jej obecny obraz z tym, jaki zachował w pamięci od ostatniego spotkania i nie był wcale pewien, czy rozwój jej osobowości poszedł we właściwym kierunku.

Pieszczotliwie potargał jej włosy. Ten gest też pamiętała z dawnych lat. Skąd oni mogli znać tu, z odległości trzydziestu tysięcy lat świetlnych od Ziemi, pieszczotliwe gesty ojca w jej dalekim dzieciństwie, gdzieś w zapadłym Wisconsin? Nagle ją olśniło.

- Sny! - powiedziała. - Ostatniej nocy, gdy spaliśmy tu na plaży, wysondowaliście nam głowy?! Wiecie teraz wszystko, co my wiemy?

- Tylko zrobiliśmy odbitki. Nie bój się, wszystko co miałaś w głowie wciąż tam jest. Zajrzyj i powiedz, czy choć jednej rzeczy brakuje - uśmiechnął się i ciągnął dalej. - Tyle było rzeczy, których nie dowiedzieliśmy się z tych waszych programów telewizyjnych. Och, nie mówię o waszym poziomie technologicznym, o którym zebraliśmy sporo danych. I o innych sprawach też, ale są przecież i takie, których dowiedzieć się można tylko w sposób bezpośredni. Widzę, że uważasz to za zamach na waszą prywatność?...

- Chyba żartujesz...

- Mamy tak mało czasu.

- Chcesz powiedzieć, że to koniec Próby? Odpowiedzieliśmy na wasze wszystkie pytania ubiegłej nocy? No więc? Zdaliśmy, czy nie?

- To nie o to chodzi - powiedział. - To nie jest szósta klasa. Była w szóstej klasie, gdy zmarł.

- Nie musisz wyobrażać sobie, że jesteśmy jakimś międzygwiazdnym posterunkiem policji, który przywołuje do porządku krnąbrne cywilizacje. Raczej nazwałbym nas biurem Galaktycznego Spisu Ludności. Zbieramy informacje. Wiem, że dziwisz się, co mogłoby interesować nas u takiej zacofanej cywilizacji. Ale każda cywilizacja ma również inne, ukryte zasługi.

- Zasługi?

- Och, na przykład, muzykę. Albo serdeczną czułość (lubię te słowa). I marzenia. Życie marzeniami to wasza niezła specjalność, choć trudno byłoby tę cechę zgadnąć z waszej telewizji. W Galaktyce są całe cywilizacje handlujące marzeniami.

- Czyli że ty działasz w czymś w rodzaju międzygwiazdnej wymiany kulturalnej, tak? I tylko to was obchodzi? Bo jeśli jakaś drapieżna, zląkniona krwi cywilizacja wynajduje akurat rakiety balistyczne, to już was mniej zajmuje?

- Już ci powiedziałem, że wielbimy czułość.

- A gdyby hitlerowcy zajęli całą Ziemię, naszą Ziemię, i potem wynaleźli rakiety międzygwiazdne, to by was pewnie wcale nie obeszło?

- Zdziwisz się, kiedy ci powiem, że to się zdarza niezmiernie rzadko. Prawie zawsze agresywne cywilizacje niszczą same siebie wcześniej, nim zdążą sprawić większy kłopot. To leży w ich naturze. Nic na to nie mogą poradzić. Wszystko co w takich wypadkach robimy, to zostawiamy je w spokoju. I nie pozwalamy innym się wtrącać. Muszą dopełnić swój los.

- Dlaczego więc nas nie zostawiliście w spokoju? Ja nie

mam o to pretensji, ja tylko jestem ciekawa, jakie są zasady pracy tego Galaktycznego Biura Spisu Ludności. Pierwszą rzeczą, jaka do was dotarła, był ten film z Hitlerem. Dlaczego zdecydowaliście się nawiązać z takimi osobnikami kontakt?

- Oczywiście to, co zobaczyliśmy, było alarmujące. Na pewno nikt nie miał wątpliwości, że wpadliście w poważne tarapaty. Ale muzyka mówiła nam co innego. Beethoven powiedział, że jest nadzieja. Wiesz, wszystko co jest na marginesie, dla nas jest najważniejsze. Pomyśleliśmy, że niewielka pomoc wam nie zaszkodzi. Bo naprawdę, tylko niewielka. Są pewne ograniczenia wynikające z przyczynowości.

Kucnął, zanurzył dłonie w wodzie, a potem wytarł je o spodnie.

- Zeszłej nocy zajrzeliśmy w wasze wnętrza. Pięciu ludzkich istot. Mnóstwo rzeczy tam było: uczucia, wspomnienia, instynkty, wyuczone zachowania, poglądy, szaleństwo, marzenia, miłości. Bardzo ważna jest miłość. Wasza piątka to interesująca mieszanka.

- I to wszystko w ciągu jednej nocy? - w jej głosie pojawiła się drwina.

- Musieliśmy się spieszyć. Mamy bardzo napięty harmonogram.

- Dlaczego? Czy oprócz nas...

- Nie. Chodzi o to, że jeśli nie opracujemy technicznie spójnej przyczynowości, to ona zacznie działać na własną rękę. A wtedy zawsze jest gorzej.

- „Nie opracujemy technicznie spójnej przyczynowości?”. Mój ojciec nigdy by czegoś takiego nie powiedział.

- Z pewnością powiedziałby. Już nie pamiętasz jak się odzywał do ciebie? Był czytany człowiekiem i od samego początku, choć byłaś małą dziewczynką, mówił, mówiłem - poprawił się - z tobą jak z równym sobie. Nie pamiętasz?

Pamiętała, a jakże, pamiętała. I pomyślała o matce w

domu starców.

- Jaki to ładny drobiazg - powiedział z tą właśnie ojcowską rezerwą w głosie, jaka z pewnością pojawiłaby się między nimi, gdyby dożył jej dorosłych lat. - Skąd go masz?

- Och, to... - odparła obracając w palcach medalion - dał mi ktoś, kogo nawet dobrze nie znam. Sprawdzał moją wiarę... On... ale ty już przecież to wszystko wiesz.

Znów uśmiech na twarzy.

- Chcę wiedzieć, co o nas myślicie - krótko rzuciła. - Co myślicie naprawdę.

Nie wahał się ani chwili.

- W porządku - powiedział - myślę, że spisaliście się zadziwiająco dobrze. Nie macie prawie żadnej teorii organizacji społecznej, fatalnie zacofaną ekonomię, żadnego pojęcia o zasadach historycznego przewidywania, a do tego słabą wiedzę o was samych. Biorąc pod uwagę wielką zmienność waszego świata, dziwię się, że jeszcze nie rozwaliliście go na kawałki. To dlatego nie chcemy was jeszcze spisać na straty. Wy, ludzie, macie szczególny talent przystosowywania się, przynajmniej na krótki dystans.

- I to już wszystko?

- To jest zaledwie jeden punkt widzenia. Gdybyś tutaj pomieszkała trochę, to byś zobaczyła, że krótki dystans nie jest dla żadnej cywilizacji jakimkolwiek programem. Taka cywilizacja też pada ofiarą swego przeznaczenia.

Chciałaby go zapytać, co naprawdę odczuwa wobec ludzi. Zdziwienie? Współczucie? A może nic, może po prostu są przedmiotami jego codziennych zajęć? Czy w głębi serca - lub czegoś, co miał teraz w tym miejscu - myślał o niej tak, jak ona myślała o... mrówkach? Jednak nie mogła zdobyć się na to pytanie. Może za bardzo bała się odpowiedzi.

Próbowała zgadnąć - z intonacji, z różnych ukrytych niuansów tej rozmowy - kim jest ktoś, przedstawiający się jako jej ojciec. Górowała nad nim w ten sposób, że miała masę

doświadczenia z istotami ludzkimi, a on - Naczelnik Stacji - zaledwie jeden dzień. Czy z tej tajemniczej mowy, zza tej uprzejmej fasady, nie uda się już wyłowić niczego o ludziach prawdziwego? Wyglądało na to, że nie. Treść ich rozmowy nie wskazywała przecież (ani on sam nie próbował sprawić wrażenia), że jest jej ojcem. Ale biorąc pod uwagę wszystko inne - trudno byłoby zaprzeczyć, że ta istota stojąca przed nią ma zadziwiająco wiele wspólnego z Teodorem F. Arrowayem, urodzonym w 1924, zmarłym w 1960 roku, kupcem żelaznym, kochającym mężem i ojcem. Gdyby nie narzucona sobie samokontrola wiedziała, że rozpląnęłaby się we łzach stojąc na przeciw tej... tej kopii. Całą sobą pragnęła też zadać mu pytanie, jak było potem - gdy umarł i poszedł do Nieba. Jak teraz zapatruje się na Adwent, na Wniebowzięcie? I czy obchody Milenium, które przygotowuje się na Ziemi, mają jakikolwiek sens wobec tego, co on teraz wie i rozumie? Wiele religii naucza o życiu pośmiertnym, które czeka wybranych na szczytach gór lub wśród obłoków, pod ziemią lub w rozkosznych niebieskich oazach, nie mogła jednak przypomnieć sobie żadnej, która obiecywałaby życie wieczne na plaży.

- Czy mamy jeszcze chwilę czasu na parę pytań, zanim... no zanim wydarzy się, co ma się wydarzyć?

- Oczywiście, ale jedno, najwyżej dwa.

- Powiedz mi o waszym systemie komunikacyjnym.

- Zrobię więcej, niż się spodziewasz. Ja ci go pokażę - powiedział. - Uważaj, teraz spokojnie.

Amebowata plama czerni wyciekła zza Słońca stojącego w zenicie i zasłoniła wpierrw je, a potem pół błękitnego nieba.

- Do licha... - westchnęła.

Ta sama plaża wciąż była pod stopami. Ellie czuła swe stopy po kostki w piachu. Za to nad głową... Kosmos. Wyglądało na to, że znaleźli się dobrze powyżej Mlecznej Drogi, i kiedy patrzyło się w dół, widać było spiralną strukturę tej galaktyki. Lecieli ku niej z jakąś nieprawdopodobną

szybkością. Tymczasem on rzeczowo i posługując się terminologią z jej własnego języka naukowego, opisywał ten gigantyczny twór wyglądający z oddali jak dziecinny wiatraczek. Wskazał Spiralne Ramię Oriona, w którym - w tej epoce - zanurzone było Słońce. Pokazał - wewnątrz - od niego i zgodnie z malejącymi stopniami znaczenia w greckiej mitologii - Ramię Strzelca. Ramię Kwadratu/Tarczy i Ramię Trzech Kiloparseków.

W tej chwili ujrzała sieć rozgałęzionych tuneli, podobnych do tych, którymi podróżowali. Wyglądały jak podświetlony diagram linii paryskiego metra. Eda miał rację: każda stacja to był układ gwiazd i dwie czarne dziury o niskiej masie. Te czarne dziury, była pewna, nie mogły powstać z obkurczenia się gwiazd w procesie normalnej ewolucji masywnych układów gwiazdnych. Były raczej pierwotne, były pozostałościami Big Bangu, które jakiś przerastający wszelkie wyobrażenie kosmiczny pojazd przyholował pod ich stacją przeznaczenia. Albo powstały z niczego? Miała ochotę o to spytać, ale byli tak rozpędzeni przed siebie, że zatykało im w piersiach dech.

W okolicy centrum Galaktyki ujrzała wirujący dysk rozjarzonego wodoru, z chmurami cząsteczkowymi wylatującymi z niego ku obwodowi Drogi Mlecznej. Zwrócił jej uwagę na uporządkowany ruch gigantycznego kompleksu cząsteczkowego - Strzelec B2, który przez wiele lat był ulubionym terenem polowań dla radioastronomów na Ziemi. Bliżej środka dostrzegła inną gigantyczną chmurę, cząsteczkową, a potem Strzelca A Zachodniego - źródło intensywnej fali radiowej, której nasłuchiwali w Argusie.

W bezpośrednim ich sąsiedztwie, w samym środku Galaktyki, ujrzała parę wielkich czarnych dziur splecionych w namiętym uścisku grawitacyjnym. Masa jednej z nich równała się pięciu milionom słońc. Do tej paszczy wlewała się rzeka gazu wielkości układu słonecznego. Te dwie kolosalne (tu

zastanowiła się nad ograniczeniami języka ukształtowanego przez doświadczenia ziemskie), super masywne czarne dziury obiegały jedna drugą w samym środku Galaktyki. O jednej wiadomo, a przynajmniej podejrzewano jej istnienie. Ale dwie? Czy ta druga nie powinna była zdradzić swego istnienia choćby przesunięciem prążka widmowego, zgodnie ze zjawiskiem Dopplera? Wyobraziła sobie pod jedną napis WEJŚCIE, pod drugą - WYJŚCIE. Pierwsza była akurat w użyciu, ale czy z drugiej w ogóle jakiś wyjście istnieje?

A więc to była najbliższa okolica Stacji - Wielkiej Stacji Centralnej, bezpiecznie ulokowanej na zewnątrz czarnych dziur środka Galaktyki. Niebo błyszczało od milionów sąsiednich młodych gwiazd, ale i gwiazdy, i gaz, i pył były wsysane przez żarłoczne wrota czarnej dziury.

- Czy to, co ta dziura wsysa potem gdzieś idzie?
- Oczywiście.
- Można wiedzieć gdzie?
- Naturalnie. To wszystko kończy się w Łabędziu A.

O Łabędziu A trochę wiedziała. Z wyjątkiem pewnej sąsiadującej z nim w Kasjopei resztki supernowej, był najwyraźniejszym źródłem fali radiowej na całym niebie Ziemi. Kiedyś nawet robiła obliczenia i wyszło jej, że w ciągu sekundy Łabędź A produkuje więcej energii niż Słońce przez czterdzieści tysięcy lat. To źródło radiowe znajdowało się o sześćset milionów lat świetlnych od Ziemi, daleko za Drogą Mleczną, w królestwie galaktyk. Podobnie do innych pozagalaktycznych źródeł radiowych, również w Łabędziu A dwa olbrzymie strumienie gazu wypadające zeń w dwóch różnych kierunkach prawie z prędkością światła, wytwarzały wspólnie z rozrzedzonym gazem międzygalaktycznym, gęstą sieć amortyzującą Rankina-Hugoniota, wysyłając skutkiem tych procesów sygnał radiowy, który rozbrzmiewał jasno nad prawie całym wszechświatem. Cała materia budująca ten gigantyczny twór (liczący pięćset tysięcy lat świetlnych w poprzek),

wyciekała z maleńkiego, prawie niedostrzegalnego punkciku w kosmosie, dokładnie w pół drogi między dwoma strumieniami gazu.

- Czy wy produkujecie Łabędzia A?

Mgłicie przypomniała jej się noc w Michigan, kiedy była dziewczynką i lękała się, że wpadnie w niebo.

- Och, nie tylko... To jest... projekt, w którym kooperuje wiele galaktyk. Tym głównie się zajmujemy, opracowaniem technicznym. Tylko niektórzy z nas zajmują się, jakby to powiedzieć, dopiero zarodkującymi cywilizacjami.

Za każdą jego pauzą czuła lekkie ukłucie w głowie, a dokładnie w lewej okolicy ciemieniowej.

- Kooperacyjny projekt międzygalaktyczny - zdziwiła się. - Wiele galaktyk, a każda z Centrum Administracyjnym? I setkami miliardów gwiazd? A potem te administracje kooperują? By wlać miliony słońc do Centaura... przepraszam, Łabędzia A? To jest... wybacz, to przekracza moje wyobrażenie jakiegokolwiek skali. Dlaczego to robicie? Jaki jest wasz cel?

- Nie powinnaś wyobrażać sobie Wszechświata jako pustyni. Od bilionów lat już nie jest pustynią. Pomyśl o nim jako o czymś... bardziej misjonarskim.

Znów ukłucie.

- No dobrze. Ale jaka to misja? Nad czym pracujecie?

- Tylko nie przeraż się skalą. Główny problem łatwo jest określić, a ty w końcu jesteś astronomem. Wszechświat się rozszerza, i nie ma w nim dość materii, aby ten proces zatrzymać. Wszystko już jest takie, jakie jest, nie powstają nowe galaktyki, nowe gwiazdy, nowe planety, nowe formy życia, wciąż to samo stare towarzystwo. Wszystko jest już sprawdzone, obejrzone, i zaczyna być trochę nudno. Więc w Łabędziu A testujemy technologię stworzenia czegoś od nowa. Mogłabyś nazwać to po swojemu „przebudową urbanistyczną”. Ale nie tylko to, w przyszłości planujemy całkowicie wyłączyć jedną część kosmosu, żeby zatrzymać opróżnianie się

przestrzeni w miarę ucieczki eonów. Zwiększanie gęstości w danym miejscu to jedyny sposób. To naprawdę świetna robota.

Powiedział to dokładnie tak, jak w swym sklepie żelaznym w Wisconsin.

Jeżeli Łabędź A jest odległy o sześćset lat świetlnych, dla astronomów na Ziemi lub w każdym innym punkcie Drogi Mlecznej istnieje on od sześciuset milionów lat. Ale na Ziemi sześćset milionów lat temu nie było prawie żadnego życia, może trochę w oceanach głębokich na pół kija. Wyobraziła sobie sześćset milionów lat temu na plaży takiej, jak ta... żadnych krabów, mew, palm. Załedwie jakaś roślina wyrzucona na brzeg i kurczowo czepiająca się czegoś poza linią wody... A tymczasem oni eksperymentowali z galaktogenezą i inżynierią kosmiczną. Tak, byli starzy.

- Więc wlewacie tę materię do Łabędzia A przez ostatnie sześćset milionów lat?

- To co załapaliście na swoje teleskopy, to były nasze pierwsze testy sprawnościowe. Teraz jesteśmy trochę dalej.

Czyli, jeśli wszystko dobrze pójdzie - pomyślała - radioastronomowie na Ziemi odbiorą za jakieś sto milionów lat cechy pewnego postępu prac nad odbudową Wszechświata, w okolicy Łabędzia A. Czekwała na dalsze rewelacje, już zaciskając zęby i przysięgając, że nie da się upokorzyć. Wprawdzie istniała hierarchia istot rozumnych, jakiej nikt na Ziemi nawet sobie nie wyobrażał, ale przecież Ziemia musi mieć jakieś swoje miejsce, jakieś osobne znaczenie - inaczej nie zawracaliby sobie nami głowy.

Czarna ameba spłynęła znów ku zenitowi i wsiąkla. Wróciło Słońce i błękitne niebo. I ta sama sceneria: piasek, piana, palmy, drzwi z obrazu Magritte'a, mikrokamera, liść palmy i... ojciec.

- Te poruszające się chmury międzygwiazdne i pierścień blisko Środka Galaktyki, czy nie powstały w wyniku eksplozji periodycznych? Tu, w tej okolicy? Czy nie są zagrożeniem dla

Stacji?

- Epizodycznych, nie periodycznych. Wybuchy zdarzają się, ale na niewielką skalę. Nic na miarę tego, co robimy w Łabędziu A. Z tymi tu łatwo sobie poradzić. Wiemy, kiedy nadchodzą i wtedy po prostu trochę się oddalamy. A kiedy są rzeczywiście groźne, Stacja na chwilę odlatuje w inne miejsce. To już dla nas rutyna, rozumiesz?

- Oczywiście, rutyna. Czy to wszystko wy sami zbudowaliście? Tę kolej podziemną, to znaczy... no wiesz. Ty i inni... inżynierowie z innych galaktyk?

- O, nie, my nic nie zbudowaliśmy.

- Przepraszam, widocznie czegoś nie zrozumiałam. Czy możesz mi to wyjaśnić?

- Taka sama historia, jak wszędzie. Pojawiliśmy się dawno temu na różnych planetach Mlecznej Drogi. Ci najwcześniejsi wynaleźli loty kosmiczne i zbudowali nawet pierwsze stacje tranzytowe. Oczywiście my, którzy przyszliśmy długo potem, nie wiedzieliśmy do czego to służy i nawet nie mieliśmy pewności, czy to jest wytworzone czy naturalne. Dopiero kiedy najodważniejsi spośród nas zdecydowali się odbyć pierwszą jazdę...

- Kto to są „my”? Masz na myśli swych przodków? Twoją... rasę, gatunek?

- Nie, nie. Jesteśmy przedstawicielami bardzo wielu ras z różnych planet. I w końcu udało się nam odkryć ten system kolei podziemnej, jak to nazywasz. Zupełnie zapuszczony, każdy odcinek w innym stanie, każda stacja w innym stylu. Ale w sumie nadawał się wciąż do użytku, więc cała nasza praca to było tylko parę poprawek i reperacji.

- Tamci odeszli. I nic nie zostawili po sobie? Żadnych umarłych miast? Żadnych pergaminów? I nikt z tych, którzy zbudowali kolej, nie przetrwał?

Pokręcił głową.

- Żadnych porzuconych planet z opustoszałymi

fabrykami?

Powtórzył ten gest.

- To znaczy, że istniała kiedyś obejmująca całą Galaktykę cywilizacja, która stworzyła jakąś kulturę, a potem znikła bez listu poźegnalnego? Za wyjątkiem stacji?

- Mniej więcej tak. To samo zdarzyło się w innych galaktykach. Miliardy lat temu wszyscy razem dokądś odeszli. I nie mamy najmniejszego pojęcia dokąd.

- A jak myślisz?

Po raz trzeci pokręcił głową, tym razem bardzo wolno.

- Więc nie jesteście...

- Nie. Jesteśmy tylko dozorcami - powiedział. - Może któregoś dnia wrócą.

- Dziękuję. Teraz zostało jeszcze ostatnie pytanie - poprosiła unosząc przed siebie wskazujący palec, co było jej gestem w wieku dwu lat - tylko jedno, proszę.

- Dobrze - odparł z rezygnacją - ale zostało nam już tylko parę minut.

Zerknęła na drzwi sterczące z piachu i lekko się wzdrygnęła, bo mały, prawie przezroczysty krab przemaszerował koło jej stóp.

- Chcę znać wasze mity. I wasze religie. Co was przejmuje lękiem? A może ci, którzy stworzyli numinosum, sami nie umieją go czuć?

- Ty także tworzysz numinosum. Ale wiem, o co pytasz. Oczywiście, my to odczuwamy. Widzisz... o niektórych rzeczach trudno mi z tobą rozmawiać. Dam ci więc przykład zamiast mojej odpowiedzi. Nie jest dokładnie tym, co chciałbym ci powiedzieć, ale mimo to przedstawię ci...

Na chwilę zawiesił głos i w tym momencie znowu poczuła ukłucie, tym razem w okolicy potylicy. Odniosła wrażenie, że ojciec strzela czymś w jej mózg wzdłuż neuronów. Czy musiał nadrobić coś, o czym zeszłej nocy zapomniał? To ładnie z jego strony, jeśli tak. To by znaczyło, że oni też nie są

doskonali.

- ... istotę naszego numinosum. To liczba „pi”, wynik dzielenia obwodu koła przez jego średnicę. Oczywiście, świetnie to znasz i wiesz również, że liczba „pi” jest nieskończona. Nie ma takiej istoty w całym wszechświecie, obojętnie jak mądrej, która mogłaby doprowadzić liczbę „pi” do końca, do ostatniej cyfry po przecinku. Bo nie ma takiej cyfry, za to jest szereg różnych cyfr, który nie ma końca. Ziemia matematycy próbowali to obliczyć i doszli do...

Znowu ułkucie.

- ...tego dokładnie nikt nie wie. Powiedzmy do dziesięciu miliardów miejsc po przecinku. Nie zdziwi cię zapewne wiadomość że inni matematycy zaszli trochę dalej. No cóż, podsumujmy takim stwierdzeniem: doszedłszy do rzędu dziesięć do potęgi dwudziestej miejsca po przecinku, zaczynasz zbliżać się do jakiegoś sensu. Przypadkowe cyfry znikają, i przez nieprawdopodobnie długi czas nie pojawia się nic, tylko jedyńki i zera.

Niby przypadkiem kreślił piętą koło na piasku. Prawie stanęło jej serce z wrażenia, nim zapytała:

- A gdy i ta kolejność ulega wyczerpaniu, to znów wraca się do przypadkowych sekwencji liczb?

Na jego twarzy pojawiło się coś w rodzaju zachęty, więc ciągnęła dalej.

- A ilość jedynek i zer? Czy jest wynikiem liczb niepodzielnych?

- Tak, jedenastu.

- Chcesz przez to powiedzieć, że w liczbie „pi” jest ukryta wiadomość, mająca jedenaście wymiarów? I że we wszechświecie wystarcza komunikowanie się za pomocą... matematyki? Ale... pomóż mi. Naprawdę, trudno cię zrozumieć. Przecież matematyki nie można wykorzystywać tylko na własny użytek. Liczba „pi” ma to samo znaczenie wszędzie w kosmosie. Jak można ukryć jakkolwiek

wiadomość wewnątrz „pi”? Ona jest wmontowana w samą podstawę wszechświata.

- Dokładnie tak.

Nieruchomo patrzyła w niego, gdy mówił dalej.

- Ale to nie wszystko. Zgodzisz się przecież, że sekwencja jedności i zera występuje tylko w podstawowej arytmetyce od jednego do dziesięć, bo w innych dzieją się już z tym śmieszne rzeczy. I tego podstawowego, najważniejszego odkrycia mogły dokonać tylko istoty, które mają dziesięć palców. Od nich wszystko się zaczęło, a potem przyszły komputery. Rozumiesz teraz? Liczba „pi” czekała miliardy lat na dziesięciopalczastego matematyka, który zarazem ma już wyższej klasy komputer. Tak więc Wiadomość była rzeczywiście adresowana do was.

- Mówisz metaforami, prawda? W sumie chodzi o coś więcej niż tylko liczbę „pi” i naszych dziesięć palców. Założę się, że ty ich wcale nie masz dziesięciu...

- No nie - znowu uśmiechnął się.

- To na miłość Boską, o czym w końcu jest ta Wiadomość?! Uciszył ją ruchem dłoni, i wskazujący palec wycelował w drzwi. Po chwili wysypała się zza nich ruchliwa gromadka ludzi.

Byli w doskonałych nastrojach, jakby wracali z pikniku. Obok promieniejącego z radości Edy szła piękna kobieta w bardzo kolorowej bluzce i spódnicy, z włosami nasączonymi rodzajem żelu ulubionego przez muzulmańskie niewiasty w Yorubaland. Z fotografii, które kiedyś pokazywał, Ellie rozpoznała w niej żonę Edy. Sukhavati szła za rękę z poważnym młodzieńcem, o dużych i uduchowionych oczach - Ellie zgadła natychmiast, to był dawno zmarły mąż Devi, Surindar Ghosh. Xi natomiast prowadził ożywioną dyskusję z niewysokim, żwawym jegomościem o wodzowskich ruchach. Miał zwisające jak u suma wąsy i ubrany był w bogato

haftowaną złotem szatę - Ellie potrafiła go sobie wyobrazić, jak dogląda budowy modelu Państwa Środka i komenderuje ludźmi, którzy leją rtęć.

Vaygay prowadził za sobą dziewczynkę około dwunastoletnią, której jasne warkoczyki podskakiwały na plecach.

- To moja wnuczka, Nina. Moja Wielka Księżna. Powinienem był wcześniej poznać was ze sobą, jeszcze w Moskwie.

Ellie uściskała dziewczynkę szczęśliwa, że zamiast niej nie musi ścisnąć kontorsjonistki Meery. Spozobregła wielką czułość, jaką Vaygay okazywał Ninie i pomyślała, że lubi go bardziej niż kiedykolwiek. Przez wszystkie lata ich znajomości, pilnie strzegł przed innymi jakiegoś słabego miejsca w sobie.

- Nie byłem dla jej matki dobrym ojcem - westchnął - a ostatnio już prawie w ogóle nie spotykałem się z nimi.

Ellie przyjrzała się całej tej kompanii - Naczelnik Stacji z pewnością zadbał o to, by każdemu z Piątki ukazać kogoś, kogo można by nazwać jego największą miłością. Celem tego mogło być tylko przyzwyczajenie załogi do kontaktu z innymi, odrębnymi istotami. I tak dobrze - pomyślała Ellie - że nie dali każdemu po sobowtórze jego samego. To by dopiero była rozmowa!

Co by było, gdyby to samo mogło się stać na Ziemi? Gdybyśmy - niezależnie od okazywanych publicznie niechęci i udawania, musieli czasami pokazać się w towarzystwie tych, których najbardziej kochamy? To by dopiero była rewolucja w teorii związków międzyludzkich - rozmyślała Ellie. Już widziała te tłumy kobiet oblegające samotnego mężczyznę, lub odwrotnie. Albo utworzone z ludzi długie kolejki, albo okręgi, albo na przykład, odwzorowania litery H lub Q. Można by odgadnąć wszystko przypatrując się tylko tej kompozycji. I już nikt więcej nie mógłby kłamać o miłości.

Gospodarze byli uprzejmi, ale wyraźnie się spieszyli.

Nie zostało wiele czasu na rozmowy. W oddali widzieli dodekahedron z otwartym już włazem, najwyraźniej w tym samym doku, w którym lądowali. Dla odmiany drzwi Magritte'a znikły - może dla zachowania symetrii zanikań i zjawień, a może po prostu w celu ich konserwacji. Jeszcze szybko dokonali wzajemnej prezentacji - Ellie dość głupio się czuła tłumacząc po angielsku Cesarzowi Chin, kim jest jej ojciec. Xi tłumaczył mu słowo w słowo i obaj uroczyście uścisnęli mu dłonie, jakby to było ich pierwsze spotkanie na barbecue w podmiejskiej willi. Żona Edy była skończoną pięknoscią i mąż Devi zdawał się być podobnego zdania. Lecz Devi nie przeszkadzały spojrzenia, jakie tamtej posyłał - widocznie cały ten bal manekinów niezbyt ją przejmował.

- Gdzie się znalazłaś, kiedy przekroczyłaś drzwi? - po cichu spytała ją Ellie.

- Na Maidenhall Way czterysta szesnaście - odpowiedziała. Ellie spojrzała nie rozumiejąc.

- W Londynie. W 1973, z Surindarem - kiwnęła głową w jego kierunku - zanim zmarł.

Ellie zastanowiła się, gdzie złądowałyby, gdyby przeszła na drugą stronę. Może w Wisconsin w końcu lat pięćdziesiątych? Nie zjawiała się tam, więc ojciec poszedł jej szukać. Jak tyle razy w ich rodzinnym domu.

Edzie również opowiedziano historię o wiadomości ukrytej głęboko w transcendentalnej liczbie, ale w tej wersji nie była to ani „pi”, ani „e” (podstawa naturalnego logarytmu), lecz jakiś rodzaj liczb, o których nigdy nie słyszała.

- Marzyłem tylko o tym, żeby tu zostać i pracować z nimi - szepnął Ellie. - Miałem wrażenie, że potrzebują pomocy. Pewien typ rozumowania, jaki przyjęliśmy przy rozszyfrowywaniu jest im, zdaje się, obcy. To wygląda na jakiś ich osobisty problem i nie chcą z nikim o tym mówić. Potem jednak doszedłem do wniosku, że przy naszej wiedzy naprawdę nie ma sensu narzucać im się z pomocą.

Zaraz zaraz - pomyślała Ellie - to znaczy, że oni nie wpadli jeszcze na wiadomość zawartą w „pi”? Ani Naczelnik Stacji, ani Gospodarze, ani ci inżynierowie galaktyk nie wyczuli informacji, którą już mieli pod palcami? Czy była tak trudna, czy może oni?...

- Czas wracać do domu - łagodnie przerwał jej ojciec.

Poczuła prawie wstrząs. Nie chciała nigdzie jechać. I wprawdzie, nie wiadomo po co, spojrzała na liść palmy. A potem spróbowała się uchwycić jeszcze jednego pytania.

- Co masz na myśli mówiąc „dom”? Na pewno wylecimy gdzieś w Układzie Słonecznym. Jak mamy stamtąd dostać się na Ziemię?

- Zobaczysz - odparł - to będzie ciekawe.

Objął jej talię ramieniem i lekko ją pchnął ku otwartemu włazowi.

Poczuła się, jakby popychał ją wieczorem do dzieciennego pokoju. Przymilała się wtedy, popisując niezliczonymi pytaniami i czasem pozwalali jej zostać dłużej. Zwykle to skutkowało.

- Więc Ziemia jest już podłączona, tak? W obie strony? Jeśli my możemy wziąć kolejkę z powrotem, to i ty będziesz mógł wpaść na chwilę? Jeśli to prawda, to będę trochę nerwowa. Nie możesz zablokować tej linii?

- Przykro mi, Słonku - powiedział surowo, jakby wiedział, że ona bezwstydnie odwleka czas pójścia do łóżka. A może czuł się nieswojo, że nie może dla niej odhaczyć tunelu?

- Będzie jeszcze otwarty przez jakiś czas, ale tylko na wypadek ruchu docelowego. Nie przypuszczamy, żeby to mogło nastąpić.

Wolałyby Ziemię odizolowaną od Vegi. Te dwa-razy-dwadzieścia--sześć-lat luzu, jaki mają na Ziemi, zanim - uczyniwszy coś nie tak - mogą spodziewać się karnej ekspedycji. Bezpośrednie połączenie poprzez czarne dziury wprost ją przerażało: mogą przylecieć w każdej chwili i to

zapewne nie tylko na Hokkaido, ale w dowolnie wybrany punkt Ziemi. To już był postęp ku czemuś, co Hadden nazywał mikrointerwencją - bez względu na ich zapewnienia, będą odtań blisko i stale nas obserwować. Już się skończyło zaglądnienie na krótką inspekcję co kilka milionów lat.

Jakie... teologiczne... stały się wydarzenia - rozmyślała dalej. Oto byty, które istnieją na niebie, wspaniale inteligentne, potężne, a także zatroskane o to, by ziemską cywilizacja przeżyła i oczekujące, że pokierujemy się ich wskazówkami. Zaprzeczają tej roli, a przecież gdyby chcieli, z pewnością mogliby zabrać się za nas, za wszystkie te problemy nagrody i kary, życia i śmierci, jakie mają biedne istoty na Ziemi. Jak to daleko odbiega - pomyślała z zadowoleniem - od religii, której jej uczono. Miała teraz dowód dla tych wszystkich Rankinów - na taśmach video, w notatnikach członków załogi. Okaże się, co naprawdę jest w Niebie: nic, tylko ta Stacja, te tunele, czarne dziury. Każdy z nich przedstawi koherentną, ścisłą opowieść popartą fizycznymi dowodami. Nareszcie zaczną się naukowe fakty, a nie teologiczny hokus-pokus.

Obróciła się ku ojcu upuszczając liść. Schylił się i podał go jej z powrotem.

- Byłeś bardzo miły, odpowiadając na wszystkie moje pytania, czy mogę w zamian odpowiedzieć tobie choć na jedno?

- Dziękuję. Odpowiedziałas już na wszystkie ostatniej nocy.

- Więc to już wszystko? Żadnych przykazań? Żadnego instruktażu dla biednych prowincjuszy?

- Nie o to chodzi, Słonku. Jesteście już dorośli. Musicie radzić sobie sami.

Mrużąc oczy przechylił głowę. I znów ten uśmiech... rzuciła się w jego ramiona z oczami pełnymi łez. To był długi uścisk. W końcu poczuła, jak on delikatnie uwalnia się z jej objęć. Czas do łóżka. Chciałaby unieść wskazujący palec i poprosić o jedną, tylko jedną minutkę. Ale on byłby

niezadowolony.

- Bywaj, Słonku - powiedział - i uściskaj mamę.

- Uważaj na siebie - powiedziała i głos jej się załamał.

Ostatnimi spojrzeniami objęła plażę i centrum Galaktyki. Para ptaków nadmorskich wyglądających na petrele, wisiała nieruchomo, jakby siedząc na szczycie jakiejś powietrznej kolumny. Prawie niedostrzegalnie poruszały skrzydłami. Już w otworze włazu obróciła się jeszcze raz i spytała:

- Co mówi twoja Wiadomość? Ta w liczbie „pi”?

- Nie wiemy - odparł trochę stropiony, zbliżając się do niej - to wygląda na statystyczny przypadek. Wciąż nad tym pracujemy. Zerwała się lekka bryza i potargała jej włosy.

- No cóż. Zadzwońcie do nas, gdy już rozwiążecie - powiedziała.

ROZDZIAŁ 21

Zasada przyczynowości

Czym muszki w rękach złych chłopców, tym jesteśmy dla bogów - zabijają nas dla zabawy.

WILLIAM SHAKESPEARE

Król Lear

Kto ma władzę nad wszystkim, ten lęka się wszystkiego.

PIERRE CORNEILLE

A jednak - gdy dodekahedron stanął, zaczęli szaleć z radości. W oszołomieniu przekrzykiwali jeden drugiego, po prostu wariowali. Skakali po fotelach, klepali się po plecach i wszyscy, co do jednego, z trudem powstrzymywali się od łez. Udało się? - mało! Nie dość, że dolecieli tam, gdzie należało, to jeszcze wrócili! Przedostali się przez wszystkie tunele! I prawie nie zauważyli, że w gwar ich głosów wdarł się nagle szum radiowy, a potem - komunikat. Był to raport o stanie technicznym Maszyny: wszystkie trzy benzele zwalniają, opada wskaźnik zużycia prądu... Z obojętnego tonu głosu można było wnioskować, że nikt na zewnątrz nie ma pojęcia o ich przygodzie.

Ellie spojrzała na swój ręczny zegarek - od początku ich podróży minął przynajmniej jeden dzień, powinni więc już być w roku 2000. Och, niech tylko im opowie co widzieli, co słyszeli, niech im pokaże co ma tu nagrane! - niespokojnie sprawdziła kieszonkę, w której trzymała pudełko z tuzinami mikrokasetek video. Jak bardzo odmieni się świat, kiedy te taśmy znajdą się w powszechnym obiegu!

Z sykiem wróciło powietrze do próżniowych komór

benzeli. Drgnęły, a potem powoli zaczęły się odsuwać drzwi wjazdu. Radio dopytywało, czy wszystko jest o'kay.

- Ależ tak! - krzyknęła do mikrofonu. - Wypuście nas, nie uwierzycie, gdy wam wszystko opowiemy!

Piątka podróżników kolejno wynurzała się z wjazdu z uszczęśliwionymi twarzami, entuzjastycznie machając technikom, kolegom i zgromadzonemu tłumowi. Na widok pierwszego członka załogi, Zarząd Projektu chyżo pożeglował ku nim.

- Jeśli mnie wzrok nie myli - szepnęła Devi - wszyscy mają na sobie to samo, co wczoraj. Spójrz na ten okropny żółty krawat Valeriana.

- Och, on go stale nosi - powiedziała Ellie. - To prezent od żony.

Na zegarach była piętnasta dwadzieścia. Wczorajszego popołudnia ruszyli dokładnie o trzeciej. A więc podróż trwała tylko trochę więcej niż dwadzieścia cztery...

- Jaki dzień jest dzisiaj? - nagle zapytała Ellie. Popatrzeni na nią zdziwieni. Czy coś się nie zgadzało?

- Peter, na miłość Boską! - wykrzyknęła. - Jaki jest dzień dzisiaj!

- A jaki ma być? - odpowiedział Valerian - piątek. 31 grudnia 1999 roku. Sylwester. O co ci chodzi, Ellie, czy dobrze się czujesz?

Vaygay, którego już dopadł Archangielski, zapewnił go, że wszystko od początku opowie, ale dopiero jak dostanie papierosa. Przedstawiciele Projektu i Konsorcjum Maszyny z wolna otaczali ich ścisłym kręgiem. Ujrzała, jak der Heer z trudem przepycha się ku niej.

- Ken, co się właściwie z nami dzieło? - spytała ledwie znalazł się w zasięgu jej głosu. - Co widziałeś?

- Nic - wysapał wyłaniając się przy niej. - Vacuum pracowało jak należy, benzele się rozpędziły, pobierając zresztą całą masę prądu. Osiągnęły przepisaną szybkość, a potem

wszystko wróciło...

- Co ty mówisz, Ken. Co znaczy „wróciło”?

- Benzele zaczęły zwalniać, wskaźnik poboru mocy z powrotem poleciał w dół. I benzele stanęły, a wy wyszliście z włazu. To trwało około dwudziestu minut, powiedzielibyśmy wam to przez radio, ale nie było kontaktu z kabiną, dopóki benzele się obracały. Co takiego, Ellie? Czy coś było inaczej?

- Ken, chłopaku! - zaśmiała się - nawet nie podejrzewasz, jaką mam dla ciebie powieść.

Dla uczczenia Rozruchu Maszyny (a przy okazji - zbliżającego się Nowego Roku) urządzono tego wieczoru przyjęcie. Jednak ani Ellie, ani jej przyjaciele, nie wzięli w nim udziału. Telewizja pełna była parad, ceremonii, retrospektyw, prognozyków i optymistycznych jak zawsze przemówień szefów rządu. Na jednym z programów złowiła fragment oracji, jaką akurat wygłaszał Opat Utsumi - jak zawsze z niebiańską twarzą. Z pierwszych, urywanych zdań ich fragmentarycznej relacji Zarząd Projektu prędko się zorientował, że coś poszło nie tak - nie dano im więc czasu na relaks i szybko zabrano z tłumu świętujących pracowników, przedstawicieli rządu i Konsorcjum Maszyny, na wstępne przesłuchanie. Mądrzej będzie - oświadczono ponadto - jeśli każdy z was będzie przesłuchiwany osobno.

W małej salce konferencyjnej, przesłuchanie Ellie prowadził Valerian i der Heer. Było też trochę ludzi z Projektu, nie wyłączając dawnego studenta Vaygaya - Anatolija Goldmanna. Zrozumiała z tego, że w przesłuchaniu Vaygaya uczestniczyć musi po amerykańskiej stronie Bobby Bui.

Słuchali grzecznie, a Peter Valerian nawet zachęcał ją, kiedy przystawała. Nie rozumieli jednak kolejności zdarzeń i czuła, że im więcej mówi, tym bardziej są czymś zmartwieni. Jej entuzjazm wyraźnie na nich nie działał. Nie pojmowali, jak dodekahedron mógł się ulotnić na całe dwadzieścia minut (nie mówiąc o dobie) skoro cała armada przyrządów (nie mówiąc o

ludziach) otaczała go przez cały czas filmując, nagrywając i nie stwierdzając, aby choć przez chwilę działo się coś niezwykłego. Wszystko, cośmy stwierdzili - raz jeszcze przypomniawszy Valerian - to że benzele rozpedziły się jak należy, że wskazówki znanego i nieznanego przeznaczenia drgnęły, potem osiągnęły jakieś swe maksimum i nagle wszystko stanęło, opadło, a cała Piątka ukazała się we władze w stanie niezrozumiałego ożywienia. Nie użył słów „nonsensy i brednie”, lecz czuła, że po jej opowieści tak właśnie miał to ochotę skwitować. Traktowano ją z podejrzaną grzecznością, przez co tym silniejsze odnosiła wrażenie, że całą ich podróż uważają za chorobliwy majak albo zbiorowe złudzenie, które z niewyjaśnionych powodów w ciągu dwudziestu minut zasiadania w fotelach dodekahedronu dotknęło ich pięcioro.

No dobrze - pomyślała, i wyciągnęła zestaw mikrokasetek, które wcześniej zdążyła opatrzyć pieczołowitymi napisami - „System Pierścieni Vegi”, „Ucieczka Gwiazd w Centrum Galaktyki”, a także skromnie, jednym słowem: „Plaża”. Po kolei wkładała je w szczelinę odtwarzacza i naciskała klawisz „play”. Nic. Były puste. Na Boga, co się stało?! Uczyla się przecież tyle razy jak obsługiwać mikrokamerę, i tyle razy z powodzeniem nagrywała dziesiątki taśm jeszcze przed Rozruchem... Czekał ją jednak jeszcze większy cios, gdy później miała dowiedzieć się od innych, że ich instrumenty też zawiodły. Nic nie zostało nagrane.

Na razie jednak siedziała przed Valerianem i der Heerem, którzy robili wszystko, żeby jej uwierzyć. Ale przy największym choćby wysiłku dobrej woli nie było to możliwe. Opowieść o ich wyprawie po prostu przekraczała wyobraźnię, ukształtowaną przez fizyczny obraz ich ziemskiej rzeczywistości.

Nie takiego powitania się spodziewała... Cóż, nie traciła jednak wiary, że to tylko początek, że trzeba trochę więcej czasu, by ich przekonać, i wtedy wszystko jakoś się ułoży. Na

razie cieszyła się na myśl, że będzie wracać wyobraźnią do swych przeżyć i robić dokładne notatki. Pragnęła zachować każdy szczegół, zanim utonie w niepamięci.

Choć zapowiadano nadciągający znad Kamczatki zimny front powietrza, nadal było niezwykle ciepło. W samym dniu Nowego Roku, na lotnisku w Sapporo wylądowała eskadra nie ujętych w rozkładzie jazdy samolotów: wielką maszyną opatrzoną napisem „United States of America” przybył nowy Sekretarz Obrony, Michael Kitz, za którym ciągnął spory oddział pospiesznie zwołanych ekspertów. Zaledwie pierwsze informacje z Hokkaido przeciekły do Waszyngtonu, Departament Stanu z jednej strony natychmiast zapowiedział przylot amerykańskiej delegacji do Japonii, z drugiej oświadczając prasie, że „nie ma żadnego kryzysu, żadnego niebezpieczeństwa i o ile rządowi USA wiadomo, nic niezwykłego nie dzieje się w Bazie Konstrukcyjnej Maszyny na północny wschód od Sapporo”. Tego samego dnia, już w nocy, przybył z Moskwy Tu-120, na którego pokładzie, oczywiście, nie zabrakło ani Stefana Barudy, ani Timofieja Gotsridze. Nie było wątpliwości, że żadnemu z członków z obu delegacji nie uśmiechało się spędzanie Nowego Roku z dala od domu - jedyną więc osłodą musiała być dla nich ciepła pogoda na Hokkaido, tak ciepła, że spłynęła już większość lodowych rzeźb, wśród których dodekahedron stał się nierozpoznawalnym pagórkiem z ciekącymi po jego grzbiecie strugami wody.

Dwa dni później rozpełtała się burza śnieżna i cały ruch w kierunku bazy - łącznie z pojazdami czterokołowymi - został wstrzymany. Nawaliły też niektóre połączenia telewizyjne i radiowe i w końcu jedynym działającym jeszcze środkiem komunikacji ze światem, został telefon. I - ma się rozumieć (jak sobie Ellie po cichu mówiła) - dodekahedron. Nieraz kusiło ją, by zakraść się na pokład i włączyć benzele, ale nie było gwarancji, że Maszyna znowu ruszy, ani że drożne będą tunele,

których częściową blokadę zapowiadał ojciec. Wyobrażała sobie znów siebie na piaszczystym brzegu. Nie tylko siebie - również - Jego. Ale może dlatego, że w końcu go spotkała, głęboka rana w sercu Ellie z wolna się zabiłniała. Prawie fizycznie czuła, jak się zawiązują tkaneczki bliznowate i powoli ściągają brzegi rany. Jeżeli efektem tej podróży miałyby zostać choćby tylko ta psychoterapia, była to z pewnością najkosztowniejsza kuracja w historii świata.

Również przesłuchania Sukhavati i Xi odbyły się w obecności przedstawicieli ich krajów. Chociaż Nigeria nie odegrała większej roli w rozszyfrowaniu Wiadomości ani w budowie Maszyny, Eda nawet dość chętnie przystał na przesłuchanie przez członków swego rządu. Było to jednak zaledwie wstępem wobec przesłuchań, jakie całej Piątce zgotował ścisły personel Projektu, ani co potem czekało już tylko Vaygaya i Ellie - bowiem tajemnicze komisje wysokiego szczebla, przybyłe na Hokkaido z ZSRR i ze Stanów Zjednoczonych, miały przesłuchiwać właśnie tych dwoje. Wpierw miało się to odbyć bez udziału żadnych obserwatorów z zewnątrz, ale po ostrym proteście Światowego Konsorcjum Maszyny i po nerwowej wymianie telefonów między rządami, zgodzono się ostatecznie na międzynarodowy charakter sesji.

Szefem przesłuchania Ellie miał być Michael Kitz, który zjawił się nadzwyczaj dobrze (jak na pilny tryb, w którym go przysłano) przygotowany. Na samym początku, nim przeszli do konkretnych pytań, Valerian i der Heer próbowali dodać jej ducha paroma miłymi uśmiechami i słowami - niestety, zaraz potem przejął prowadzenie Kitz.

Zaczął od tego, że jej zeznania przeczytał z uwagą, choć dość sceptyczną. Mimo to - podkreślił - sceptycyzm swój uważa ona za „konstruktywny”, albowiem wyraża się przezeń „najlepsza naukowa tradycja”. Następnie wyraził nadzieję, że Ellie nie weźmie bezpośredniości jego pytań za objaw

„osobistej niechęci”. Jedyne uczucia, jakie żywi do niej, to najgłębszy szacunek. Nie dopuści też - ostrzegł - do interpretacji jego pytań przez fakt, że był kiedyś przeciwny budowaniu Maszyny. Przez cały czas tej podniosłej mowy Ellie zachowywała spokój. Postanowiła dać mu nasycić się słowami, po czym zupełnie naturalnym tonem rozpoczęła swą opowieść.

Pierwszego dnia słuchał jej uważnie, od czasu do czasu przerywając pytaniem o jakiś szczegół, za co zawsze stokrotnie przepraszał, ale drugiego dnia uprzejmości znikły.

- Więc Nigeryjczyka odwiedza jego żona, Hinduskę, zmarły mąż, Rosjanina, milutka wnuczka - drwił Kitz - a Chińczyka jakiś mongolski chan...

- Qin nie był Mongołem - uprzejmie zaprotestowała.

- ... zaś panią nawiedza - ciągnął niezmiśnany Kitz - spoczywający dotąd w pokoju wiecznym amen, szanowny tatuś pani. Który przeprasza, że jest bardzo zajęty, bo właśnie z paroma przyjaciółmi przebudowują kosmos. Pani kochana! Czy chce pani, żebyśmy runęli tu na klęczki i zaczęli odmawiać z panią „Ojcze nasz, któryś jest w niebie”? Pani relacja to religia. To zwyczajna antropologia kulturalna. To zwykły Zygmunt Freud, na miłość Boską, czy pani tego nie widzi?! Nie tylko wmawia nam pani zmartwychwstałego tatusia, ale również to, że on stworzył wszechświat...

- Niech pan nie przekręca znaczenia moich...

- Nic nie przekręcam, droga doktor Arroway! Ja tylko chcę, żeby nie obrażała pani naszej inteligencji. Przybywa pani bez jednego choćby dowodu, a za to z największą brednią wszechczasów i życzy sobie pani, żebyśmy i my się w tym unurzali? Ma pani sprytną główkę, nie ma co mówić. Tylko na co pani liczy? Na naszą głupotę? Na swój wdzięk i bezpretensjonalność?

Zaprotestowała. Valerian też wziął jej stronę.

- Prezentowany przez pana Kitza sposób przesłuchiwania - powiedział ostro - to w najlepszym wypadku

strata czasu, Maszyna przechodzi w tej chwili szczegółowe badanie i należy poczekać z wnioskami do czasu, gdy być może pojawi się coś potwierdzającego słowa doktor Arroway.

Kitz w tym momencie wtrącił, że niczego tak nie pragnie, jak choćby jednego fizycznego dowodu na prawdziwość twierdzeń doktor Arroway. Którego charakter, dodał, zdradza poza wszystkim również pewne obciążenia natury psychologiczno-duchowej, które zaciemniają jasność jej opisu rzeczywistości.

- Spotkanie z Ojcem Niebieskim i wszystko inne, co nam doktor Arroway opowiedziała - ciągnął - dowodzi silnego obciążenia wychowaniem w kulturze judeochrześcijańskiej. Jest pani właściwie jedynym członkiem załogi, o którym można to powiedzieć. I właśnie pani spotyka się z Ojcem. Czy to nie jest zwyczajna religijna klisza? Nawet pod względem imaginacyjności wiele jej brakuje.

To było gorsze, niż cokolwiek, czego się mogła spodziewać. Odczuła coś w rodzaju „paniki epistemiologicznej” - jakby nagle ujrzała swój samochód zaparkowany w innym miejscu, niż go zostawiła, albo drzwi zamknięte wieczorem na klucz, a rano stojące otworem.

- Twierdzi więc pan, że wszystko wymyśliliśmy?

- Coś pani powiem, doktor Arroway. Gdy byłem bardzo młody, pracowałem w prokuraturze powiatowej. I kiedy chcieli kogoś o coś oskarżyć, zadawali mu trzy pytania - wyciągnął przed siebie trzy palce. - Pierwsze: czy miał okazję? Drugie: czy dysponował narzędziami? Trzecie: czy miał motyw.

- Do czego?

Kitz spojrzał na nią z niesmakiem.

- Ale nasze zegarki też pokazywały, że byliśmy tam dłużej niż dwadzieścia cztery godziny! - nie rezygnowała Ellie.

- Rzeczywiście, jak mogłem być taki głupi - z udanym zażenowaniem Kitz potarł czoło - pani obaliła wszelkie moje argumenty. Zapomniałem, że można było ustawić sobie zegarki

o jeden dzień wcześniej.

- Pan mnie oskarża o składanie fałszywych zeznań. Czy pan uważa, że również Xi kłamie? Że kłamie Eda? Pan...

- Ja już nic nie mówię. Ja tylko uważam, że powinniśmy przejść do ważniejszych spraw. Peter - Kitz zwrócił się do Valeriana - to wszystko przekonuje mnie, że miałeś rację. Jutro będziemy mieli raport o stanie dodekahedronu. Nie traćmy więcej czasu na... opowiastki. Odraczamy przesłuchanie do jutra.

Przez cały czas trwania tej popołudniowej sesji, der Heer nie odezwał się słowem. Wszystko, co otrzymała od niego, to niepewny uśmieszek. Nie mogła się powstrzymać przed porównaniem go z uśmiechem ojca. Ze strony Kena czuła coś, jakby chciał ją ku czemuś skierować, coś jej narzucić. Co? - pojęcia nie miała, może chciał zasugerować, żeby inaczej mówiła. Pamiętał przecież jej opowieści o dzieciństwie, i jak jej brakowało ojca - ale nie wykluczał pewnie i tej możliwości, że Ellie po prostu zwariowała. Ellie też nie była lepsza, bo z kolei myślała o nich, że zwariowali, tylko ona od pewnego czasu mówi do rzeczy. Masowa histeria. Zbiorowe złudzenie. Folie a cinq.

- Proszę bardzo, oto nasz raport - powiedział Kitz uderzając plikiem papieru grubym na centymetr o stół, aż długopisy podskoczyły - na pewno zechce go pani dokładnie przejrzeć, doktor Arroway. Przedtem jednak pozwoli pani przedstawić sobie krótkie streszczenie.

Ellie kiwnęła głową. Udało się jej podsłuchać czyjąś nieoficjalną opinię, że raport wysoko ocenia dokonania Piątki, więc miała nadzieję, że może kończy się wreszcie ten koszmarny sen.

- Sam dodekahedron, jak się wydaje - z naciskiem powiedział ostatnie słowa - poddany był działaniu innego środowiska, niż urządzenia wspomagające i benzele. Jak

również się wydaje, w jego obrębie działały tak wielkie siły naprężenia i kompresji, że właściwie powinien się rozpaść. Również załoga powinna była rozlecieć się w kawałki. Wydaje się też, że dodekahedron poddany był silnemu napromieniowaniu - stwierdza się zarówno promieniowanie indukowane, jak i ślady promieniowania kosmicznego. Drugi cud, że i to przeżyliście. Nic więcej nie stwierdzono: nic nie zginęło, nic nie przybyło. Na zewnętrznych ścianach ani zadrapań, ani erozji, mających być jakoby wynikiem zderzenia ze ścianami tunelu, co zgodnie stwierdzają wszyscy członkowie załogi. Nie ma też osmolenia charakterystycznego dla wkraczania z wielką prędkością w atmosferę Ziemi.

- Zaraz, Michael. Czy to, co mówisz, nie potwierdza mojej teorii? Pomyśl: wzrost sił naprężenia i kompresji, przecież dokładnie tego można się spodziewać po przelocie przez klasyczną czarną dziurę. To są rzeczy znane od co najmniej pięćdziesięciu lat. Nie wiem dlaczego, nie odczuwaliśmy ciśnienia, prawdopodobnie dodek nas przed nim dostatecznie chronił. Zaś wysokie dawki promieniowania pochodzą z wnętrza czarnej dziury, a promieniowanie gamma, z Centrum Galaktycznego. To dwa dowody na istnienie dwu rzeczy, o których mówiłam: centrum Galaktyki i czarnych dziur. Przecież nie mogliśmy sami sobie napromieniować dodekahedronu, prawda? Do tego dwoma rodzajami promieni. Nie rozumiem, dlaczego nie ma zadrapań, ale to pewnie uderzenia jednego, mało znanego materiału o drugi, o którym nic nie wiemy. A osmolenie nie ma nic do rzeczy, bo nikt z nas nie twierdził, że wchodziliśmy w atmosferę Ziemi. Wszystko, co tu przed chwilą powiedziano, uważam za wystarczające dowody naszej uczciwości. Nie widzę problemu.

- A ja widzę - odparł Kitz. - Problem polega na tym, że chcecie być za mądrzy. Za mądrzy. A spójrz na to ze sceptycznego punktu widzenia. Cofnij się o parę kroków i obejmij wzrokiem taki oto obraz: jest sobie grupka ludzi,

światłych ludzi, którzy są zdania, że świat jest nic nie wart i trzeba wszystko zmienić. Twierdzą oni, że dostali Wiadomość z nieba...

- Twierdzą?!

- Proszę, nie przerywaj... którą rozszyfrowują sobie i ogłaszają, że to instruktaż do zbudowania jakiejś bliżej nie określonej Maszyny. Której cena ma wynieść, to już na marginesie, drobne dwa tryliony dolarów. Świat w tym czasie znajduje się w dziwnym stanie ducha. Wszystko się trzęsie, nadchodzi koniec Drugiego Tysiąclecia, jednak ku powszechnemu zdziwieniu, Maszyna powstaje. Następują niewielkie zmiany personelu, tu i tam jakaś osoba, ale w sumie ci sami ludzie, światli ludzie...

- Nie ci sami! Miało nie być Sukhavati, ani Edy, tak samo Xi. I dyskutowano też, czy...

- Prosiłem, żebyś nie przerywała. Więc ci sami ludzie, którzy wznieśli ten zamęt, zasiadają w Maszynie. Jest ona tak zbudowana, że gdy siedzą w środku, nikt już ich nie widzi. Ani nie może z nimi porozmawiać, kiedy maszyna ulegnie aktywacji. No więc włącza się ona, ale po chwili sama staje. Gdy ulega włączeniu, zaznaczmy, nie można jej zatrzymać wcześniej, jak po dwudziestu minutach. O'kay. I oto po dwudziestu minutach ci sami ludzie wychodzą z Maszyny w znakomitych nastrojach i twierdzą, że właśnie podróżowali z prędkością większą od prędkości światła przez czarne dziury, do wnętrza Galaktyki. No więc wyobraźmy sobie, że na to wszystko patrzy ktoś niespecjalnie temu wrogim, ot, po prostu normalny ostrożny człowiek. I pyta o dowody. Zdjęcia, taśmy, cokolwiek. I co? I okazuje się, że coś się stało. Wszystkie dowody zniknęły. No więc może przywieźli coś ze sobą, jakieś wyroby cywilizacji, których jakoby całe mrowie gnieździ się we wszechświecie. Nic. Może jakieś breloczki? Nic. Kamienne tablice? Nie. Kotka, pieska? Nie, nie i nie. Zupełnie nic. Jedyne fizyczny dowód, na który się powołują, to jakaś bardzo subtelna

odmiana stanu Maszyny. No więc ktoś taki, kto jest tylko ostrożny pyta: do diabła, czy ci faceci i facetki, którzy zrobili całe to zamieszanie nie mieli dość powodów, żeby teraz wszystko im się udało? Czy tacy, którzy wywalili na to parę trylionów dolarów nie zrobią teraz wszystkiego, co w ich mocy, żeby, na przykład, zgadzały się jakieś głupie siły naprężenia? Ciśnienia? Nie mówiąc o czymś tak błahym, jak zwiększone napromieniowanie?

Ellie głęboko odetchnęła. Dobrze pamiętała sytuację, gdy ostatni raz tak głęboko wzdychała... Zastanowiła się, dlaczego Kitz to robi. Musi być - pomyślała - rzeczywiście w trudnym położeniu.

- Nie sądzę - ciągnął Kitz - aby znalazł się choć jeden człowiek, który uwierzy w twoje bajki. Twierdzą natomiast, że mamy do czynienia z najbardziej wyrafinowanym, a zarazem kosztownym fałszerstwem kiedykolwiek spreparowanym na tej Ziemi. Ty i twoi przyjaciele posunęliście się nawet do tego, by zwieść prezydenta Stanów Zjednoczonych i cały amerykański naród, nie mówiąc o innych krajach tej planety. Pycha każe wam myśleć, że wszyscy inni to durnie.

- Michael, ty zwariowałeś! Dziesiątki tysięcy ludzi pracowały przy odbieraniu Wiadomości. Przy rozszyfrowaniu jej i przy budowaniu Maszyny. Wiadomość nagrano na taśmy i na płyty laserowe w obserwatoriach całego świata. Czy uważasz za możliwy spisek, w którym uczestniczyli wszyscy radioastronomowie świata, i wszystkie kompanie kosmiczne, i cybernetyczne, i...

- Ależ nie, ja wcale nie mówię, że to był taki wielki spisek. Potrzeba wam było czegoś zgoła zupełnie małego, ot, jednego radioteleskopu w kosmosie, który wystąpiłby w roli Vegi. I powiem ci, jak to zrobiliście. Spreparowaliście zaszyfrowaną Wiadomość i znaleźliście kogoś, kto pomógł wam ją wysłać, na przykład, jako część innego programu, w kosmos, a dokładniej na orbitę, która wyglądałaby na gwiazdną.

No i włączacie sobie transmitters i siedząc wygodnie w swoim cacy laboratorium, odbieracie nagle Wiadomość. Wielkie odkrycie, wielki krzyk. I biednych głupków możecie teraz pouczyć, co to wszystko znaczy...

Tego było za wiele nawet jak na der Heera. Wyprostował się w fotelu, w którym tkwił dotąd skurczony, i otworzył usta.

- Doprawdy, Mike - zaczął, ale Ellie mu przerwała.

- Większa część rozszyfrowania odbywała się bez mojego udziału. Mnóstwo ludzi przy tym pracowało, zwłaszcza Drumlin. Choć zaczynał jako zażarty sceptyk, jak wiesz, lecz gdy nadeszły późniejsze dane, całkowicie się przekonał. Nie słyszało się potem żadnych z jego strony zastrzeżeń, czy tak?

- Och, tak, biedny Dave Drumlin. Świętej pamięci Dave... To ty go wrobiłaś. Profesora, do którego nigdy nie czułaś sympatii.

Der Heer znów skurczył się w fotelu i Ellie nagle olśniło. Widziała, tak, widziała Kena raczącego Michaela Kitza co smakowitszymi detalami z ich intymnych rozmów. Czy to możliwe? Utkwiła w Kenie pytające spojrzenie.

- W czasie rozszyfrowywania Wiadomości nie mogłaś, oczywiście, dopilnować wszystkiego. Tak strasznie wiele miałaś zajęć, i to ci umknęło, tamtego niedopatrzyłaś. A tu pojawia się Drumlin, starzejący się Narcyz, zmartwiony, że jego dawna studentka go prześciga. Rozgląda się tylko, którądy wyjść znów na prowadzenie, jak znowu stać się ośrodkiem uwielbienia. Więc zagrałaś na jego czulej strunie, na jego miłości własnej. I złowiłaś go, to nie musiał być wielki wysiłek, jeśli dobrze pamiętam biednego Dave'a. Nawet gdyby nie wpadł na szyfr, ty byś mu go podsunęła. Sama zdejmowałabyś warstwę po warstwie, gdyby Drumlin nie stanął na wysokości zadania.

- Mówisz więc, że mogliśmy wymyślić taką Wiadomość?... Doprawdy, za wielki komplement dla mnie i

Vaygaya. Bo to po prostu niewykonalne. Człowiek tego wymyślić nie może, spytaj pierwszego lepszego inżyniera, czy Maszyna z całą tą niebywałą nową technologią, z komponentami dotychczas nie znanymi ziemskiej cywilizacji mogła być wymyślona w wolnych godzinach przez paru fizyków i astronomów. A nawet gdybyśmy wiedzieli jak sprepować taką niesłychaną Wiadomość, to niby kiedy mieliśmy to zrobić? Policz z ilu Wiadomość składa się bitów, a zrozumiesz, że lat by nam nie starczyło.

- Miałaś tych lat całkiem sporo, kiedy Projekt Argus gonił w piętę. Już miano go zamykać, pamiętasz? Drumlin, o ile chcesz faktów, bardzo optował za tym. I nagle, w najodpowiedniejszym momencie, z nieba spada Wiadomość. Już nic nie grozi twemu ukochanemu Projektowi. Myślę, że ty i twoi Rosjanie w wolnych chwilach wysmażyliście tę intrygę. Mieliście na to długie lata.

- To obłąd - powiedziała cicho.

Nagle wtrącił się Valerian. Znał doktor Arroway przez cały ten czas, o którym traktuje przesłuchanie. Jest ona autorką wybitnych naukowych prac. Z pewnością nie miała czasu na takie bzdury, na jakąś podstępna światową intrygę. I choć szanuje tak bardzo i ją i jej wiedzę, nie wątpi, że wymyślenie Wiadomości i Maszyny znacznie przekraczały jej umiejętności. W ogóle, czyjekolwiek umiejętności. Na całej Ziemi.

Lecz słowa te do Kitza nie docierały.

- To pańskie osobiste zdanie, doktorze Valerian. Ile jest tu osób, tyle byłoby osobistych zdań. Lubi pan doktor Arroway. Rozumiem to. Ja też ją lubię. Nie dziwię się, że chce jej pan bronić i nie czuję się tym dotknięty. Ale istnieje pewien koronny argument, którego pan jeszcze nie zna. Zaraz go panu zdradzę.

Wychylił się i wlepił oczy w Ellie. Bardzo go interesowała jej reakcja na to, co powie.

- W momencie aktywacji Maszyny, nadawanie Wiadomości ustało. Dokładnie w chwili, gdy benzele osiągnęły przepisaną prędkość obrotów. Co do sekundy. Na całym świecie, każde obserwatorium astronomiczne mające wtedy Vegę pod teleskopem, może zaświadczyć. Nie mówiliśmy wam tego wcześniej, żeby nie rozpraszać skupienia należnego naszym przesłuchaniom. Wiadomość zatrzymała się w połowie bitu. Nie było to z waszej strony zbyt mądre.

- Nie wiem, o czym mówisz, Michael. Co z tego, że Wiadomość się zatrzymała? Spełniła swe zadanie. Zbudowaliśmy Maszynę. Maszyna ruszyła. O co chodzi?

- O to, że znalazłaś się w dość szczególnym położeniu.

Nagle zrozumiała, dokąd zmierza Kitz. Nie, tego nie oczekiwała. Mówiła o jego szaleństwie, ot, tak, ilekroć wypomniła jej spisek. Wyglądało jednak na to, że naprawdę ogarnia go paranoja. Bo jeśli nie jego, to znaczy, że ją. Zresztą - może tak się stało? Jeśli ziemską technologią potrafi wymyślić środki halucynogenne, którym ulega pojedynczy człowiek, może wyższa cywilizacja zna sposoby wprowadzenia halucynacji zbiorowej?

- Cofnijmy się o tydzień - mówił Kitz. - Fale radiowe napływają na Ziemię i mówi się o nich, że zostały nadane przez Vegan dwadzieścia sześć lat temu. A dwadzieścia sześć lat temu nie było jeszcze Argusa, zaś doktor Arroway włączyła się z hippisami lamentującymi nad wojną w Wietnamie i Watergate. Tacy niby jesteście mądrzy, a nie pomyśleliście o prędkości światła. Przecież gdyby sygnał był nadawany z Vegi, to informacja o aktywacji Maszyny musiałaby wpięć na Vegę, i dopiero wtedy mogliby oni zaprzestać nadawania, co zabrałoby dwa razy po dwadzieścia sześć lat. Chyba że są jakieś sposoby przekazywania wiadomości szybciej niż światło, co nie wydaje mi się możliwe. Zwłaszcza po szyderstwach samej doktor Arroway z Jossa i Rankina, którzy nie wiedzieli, że nie ma niczego, co by poruszało się szybciej niż światło. I dziwię

się, że nie pomyśleliście o tak prostej sprawie.

- Michael, posłuchaj. Przecież i my sami, cała nasza Piątka, dostała się tam i z powrotem zupełnie poza czasem. No, w ciągu dwudziestu minut. To musi być coś związanego z pojedynczością, jakaś zaburzona przyczynowość. Nie jestem w tym ekspertem, powinienes porozmawiać z Vaygayem albo Edą.

- Dziękuję za radę - powiedział - już z nimi rozmawiałem.

W tej chwili wyobraziła sobie Vaygaya przechodzącego męki podobnego przesłuchania przed Archangielskim i Barudą - człowiekiem, który wzywał do zniszczenia wszystkich radioteleskopów i spalenia danych. Może nawet z Kitzem przedtem się dogadali? Ufała, że Vaygay jakoś sobie z nimi da radę.

- Pani rozumie, doktor Arroway, o czym mówię? Pewien jestem, że pani świetnie wie, mimo to wyjaśnię raz jeszcze i niech pani mi wskaże, czy nie przeoczyłem czegoś. Dwadzieścia sześć lat temu fale radiowe opuściły Vegę i ruszyły w kierunku Ziemi. Wyobraźmy sobie przestrzeń między Vega i Ziemią, gdzie nikt nie może tych fal złapać, zatrzymać. Więc nawet gdyby ich nadajnik dowiedział się natychmiast o aktywacji Maszyny, na przykład, przez tę czarną dziurę, o której pani mówi, to trzeba mimo to dwudziestu sześciu lat na to, by Maszynę zatrzymali. Veganie nie mogli wiedzieć dwadzieścia sześć lat temu, którego dokładnie dnia i o której godzinie uruchomimy Maszynę, zgadza się?

- Zgadza. Ale powtarzam, pański rachunek dotyczy obszaru wiedzy, której my na Ziemi zupełnie nie posiadamy. To, co wychodzi panu w rachunkach arytmetyki ziemskiej, nie zgadza się w czymś, co nazywamy continuum czasoprzestrzeni. Jeśli oni potrafią tworzyć tunele w przestrzeni, pewnie potrafią też w czasie. To, że wróciliśmy z podróży o jeden dzień wstecz oznacza, że oni nie mają tych problemów z

rozkładem jazdy, co Ziemianie. Niewykluczone, że informacje o uruchomieniu Maszyny wysłali w ogóle już wtedy, gdy byliśmy na Stacji, dwadzieścia sześć lat wstecz, panie Kitz. I wyłączyli ją. Ja nie wiem.

- No więc sama pani widzi, jakie to dla was wygodne, że Wiadomość akurat się skończyła. Bo gdyby szła nadal, moglibyśmy wykryć waszego satelitę, ściągnąć go na ziemię i przejrzeć wszystkie taśmy. To byłby koronny dowód fałszerstwa. Nie pozostawiający żadnych wątpliwości. Ale tego nie mogliście zaryzykować, więc teraz wszystko wrzucacie w to czarnodziurowe mambo-dżambo. Mimo to wasza sytuacja jest nie-do-pozazdroszczenia.

Przyjrzał się jej zatroskany.

To wszystko coraz bardziej przypominało paranoiczne brednie, w których ciąg niewinnych faktów układa się w podstępne spiskowe działanie. W kontekście, jaki im nadano, fakty potwierdzały założenie. Intencje Kitza były w tak oczywisty sposób złośliwe, że jej wrażenie, iż wszystko jest zbiorową halucynacją nieco osłabło. Za to odczuwała niepokój na myśl, że pozornie spójna teoria sfalszowanej transmisji z Vegi, mogła władzom wydać się bez porównania bardziej prawdopodobna niż jej jakże nikła obrona. Nie była już tą zadziorną Ellie żonglującą naukowymi cytatami i stawiającą pod mur Rankina.

- A więc, doktor Arroway, na dwa pytania udzieliliśmy odpowiedzi. Wy, uczeni, mieliście po pierwsze: miejsce, czyli wasze mózgi, po drugie: motywację, żeby to wszystko spreparować. Przejdźmy do pytania trzeciego, o środki. Bo jeśli nie Rosjanie, kto inny mógł wam dać satelitę? Odpowiem: ktokolwiek spośród pół tuzina osób autoryzowanych w tym kraju do wysyłania pojazdów w kosmos. Zostało to już sprawdzone, i nikt nie wysyłał satelity niestacjonarnego na żadną z orbit, która by was interesowała. Pozostają osoby prywatne, a wśród nich postać nad wyraz interesująca, pan S.R.

Hadden. Zna go pani?

- Przestań się wygłupiać, Michael. Sto razy mówiłam ci o Haddenie, zanim jeszcze poleciałam na Matuzalema.

- Chciałem tylko upewnić się, że się zgadzamy w pryncypiach. Więc teraz historyjka, ciekaw jestem, czy się pani spodoba: na pomysł wpadła pani razem z Rosjanami. Wyciągacie od Haddena pieniądze na kluczowe technologie: projekt satelity, projekt Maszyny, zakodowanie Wiadomości, skomplikowana zapewne receptura napromieniowania resztkowego i gamma w korpusie dodekahedronu i tak dalej. W zamian, gdy Projekt Maszyna idzie pełną parą, Hadden może kombinować tymi dwoma trylionami dolarów, już on miał dość oleju w głowie, żeby na tym nie stracić. To jedno. A druga nagroda, także nie do pogardzenia, zwłaszcza dla niego, to rozkosz zrobienia całego rządu USA na szaro. Wprawdzie przychodzi dzień, gdy pani nie może znaleźć elementarza i nawet leci do Haddena, pięknie, wszyscy pani wierzą. Ale to była lekkomyślność. Trzeba było poradzić sobie samej.

- Czy nie była to trochę zbyt wielka lekkomyślność, Michael? - wtrącił się der Heer. - Czy ktoś, kto tak misternie tka sieć intrygi...

- Ken, doprawdy, zdumiewasz mnie swą prostodusznością. Twoje wątpliwości wynikają właśnie z wrażenia, jakie nadzwyczaj przebiegłe doktor Arroway z przyjaciółmi chciała wywołać w innych. Że nie może sobie poradzić i dlatego leci do Haddena po pomoc. Przedtem upewniwszy się, że rząd i wszyscy inni wiedzą o tej wizycie.

Obrócił się znów do Ellie.

- Niech pani spróbuje, doktor Arroway, przyjrzeć się tej opowieści z punktu widzenia szarego człowieka. I co? Nie przekonuje ona pani?

I dalej ciągnął, wymyślał, lepił dowolnie interpretując fakty, dobierając je w nieprawdopodobne, choć pozornie logiczne ciągi przyczynowo-skutkowe, wymachując rękami i

czyniąc efektowne retoryczne pozy, aż w końcu w Ellie zaczął dominować podziw nad jego niesłychaną wyobraźnią. Nigdy go za głupca nie uważała, ale nie przypuszczała też, że przyjdzie jej kiedykolwiek widzieć Kitz'a wprost tryskającego wynalazczością i fantazją. Przesłuchanie jak gdyby wyrwało go z letargu, poruszyło w nim coś pasywnego i ślepo pchnęło w przód. Po chwili namysłu Ellie doszła do wniosku, że zna powód. Ich Piątka nie wróciła z tej podróży, czy cokolwiek to było, z żadnym gotowym do zastosowania pomysłem militarnym, z żadnym politycznym kapitałem do natychmiastowego wykorzystania przeciw prawdziwym czy urojonym wrogom. Nic, tylko jakaś dziwaczna, a po namyśle można by rzec - głupkowata - opowieść. Kitz był teraz szefem najbardziej niszczycielskiego arsenału broni na świecie - a ona go karmi historyjkami o Veganach w pocie czoła budujących Galaktykę. Kitz w prostej linii dziedziczy dziś po swych poprzednikach zmodyfikowaną co prawda, choć nieznacznie - strategię nuklearnej konfrontacji, a ona mu opowiada o niebiańskiej symfonii współpracujących ze sobą ludów i ras w Kosmosie. I jeszcze ten pomysł z tunelem, którego wylot wisi nad Ziemią i nikt nic nie może zrobić, nawet wszechwładny Kitz, żeby zatkać tę rurę na amen od naszej strony. Teoretycznie, jeśliby Ellie miała rację, mogą tu przybyć w każdej chwili. A wtedy - jak on, Michael Kitz, obroni Stany Zjednoczone? Zwłaszcza że nie zrobił nic, a przynajmniej - nie dość - by zablokować Projekt Maszyny. I choć teraz w płomiennym wystąpieniu stara się swą rolę przedstawić na opak, sąd historii z pewnością uznałby to za zaniedbanie obowiązków służbowych. Kitz dobrze wiedział, że nawet gdyby z rury nie wyleciał nagle orszak aniołów z uniesionymi mieczami żądający świadectwa o tym, co pożytecznego uczynił na Ziemi, niewiele miałby na swą obronę, choćby przed własnym odbiciem w lustrze.

Popatrzyła na niego z sympatią. Od stu i więcej pokoleń

światem rządzą gorsi od niego. Miał po prostu pecha, że doszedł do fortepianu w momencie, gdy zmieniono nuty.

- ... gdyby pani nawet święcie wierzyła w każdy szczegół swej nieprawdopodobnej historii - znów usłyszała głos Kitza - czy nie uważa pani, że ET nieszczególnie panią potraktowali? Czyniąc, na przykład, użytek z najskrytszych uczuć pani i przybierając postać jej nieżyjącego Tatusia? Do tego nie mówią o co im chodzi, prześwietlają pani filmy, niszczą wszystkie dowody i nawet nie pozwalają zostawić tej głupiej palmy pokoju? I zostajemy znów z tym samym, nie licząc tego, co ubyło, czyli odrobiny jedzenia. Ani tego, co przybyło, czyli paru ziarenek piasku w waszych kombinezonach. Dwadzieścia minut to akurat dość, żeby wchłonąć parę kanapek i nasypać piasku do kieszeni. Polecieliście i wróciliście z Vegi w ciągu jednej nanosekundy, czy cokolwiek to jest, czyli w oczach postronnego obserwatora, moi drodzy, nie ruszaliście się stąd o krok. Gdyby wasi Gospodarze chcieli sprawić wrażenie, że rzeczywiście was tam gościli, czyż nie pofatygowaliby się z tymi swoimi wynalazkami czaso-przestrzeni tak, żeby to dla nas był choćby dzień, nie mówiąc tydzień? Po którym triumfalnie wracacie między szczęśliwe rodziny i przyjaciół? Gdyby pomiędzy rozpędzonymi benzalami nagle zamiast dodekahedronu pojawiła się pustka, zapewniam, że nie byłoby wśród nas sceptyków, którzy powątpiewaliby o waszej wyprawie. Gdyby naprawdę chcieli wam dobrze się przysłużyć, nie wyłączałyby Wiadomości, zgoda? To wszystko przecież stawia was w głupim położeniu, co mogli byli przewidzieć, gdyby tylko chcieli. Dlaczego pragnęli wam utrudnić zadanie? Nie pozwalając nawet odtworzyć filmów, które nakręciliście? Proszę mi wytłumaczyć, czy nie chcą, żebyście mieli dowody na prawdziwość waszych słów? Choć tyle zrobiliście dla nich, niejeden z was całe życie poświęcił poszukiwaniu, a tu, gdy ich w końcu znaleźliście, okazują się niewdzięcznikami. Nie chcą, żebyśmy razem cieszyli się z tego odkrycia. Ellie, na Boga,

skąd twoja pewność, że to się naprawdę wydarzyło? Jeśli, jak przysięgasz, to nie jest fałszywe świadectwo, dlaczego nie zgodzisz się, że to jest złudzenie? Ja wiem, to bolesne, jesteś przecież naukowcem. Ale nie ma trzeciego wyjścia, chyba że przestępczy spisek. Więc... może przemyśl sobie moje słowa... co?

Już przemyślała.

Jeszcze tego samego dnia spotkała się sam na sam z Kitzem. Zaproponował jej uczciwy interes, choć Ellie już wcześniej wiedziała, że nie będzie upierać się przy swoim. Kitz i na to był przygotowany.

- Nie lubiłaś mnie od samego początku - powiedział - ale jakoś to przeżyję. Zamierzam coś, co nie powinno budzić twych zastrzeżeń natury, powiedzmy, etyczno-moralnej. Właśnie wypuszczamy publiczną wiadomość, że mimo prób aktywacji Maszyna nie ruszyła. Oczywiście, robimy co w naszej mocy, aby znaleźć usterkę. Po wypadkach w Wyoming i Uzbekistanie, ludzie przełkną i to. Potem, po paru tygodniach, oświadczymy, że nadal nic nam nie wychodzi. Zrobiliśmy co w naszej mocy. Maszyna jest za droga, żeby dalej z nią się bawić. A poza tym widocznie nie jesteśmy dość mądrzy, trudno. Za duże niebezpieczeństwo, o tym też nie zapomnimy przypomnieć. Czyż nie ostrzegaliśmy od początku? Maszyna może wybuchnąć, ludzkość może zginąć i tak dalej. Najlepiej więc Projekt Maszyna zamrozić, przynajmniej na jakiś czas. Hadden z kumplami, oczywiście, mógłby się sprzeciwić, ale skoro go już nie ma wśród nas...

- Nie tak zupełnie, masz go trzysta kilometrów nad głową.

- O, to ty nie wiesz? Sol zmarł nieomal w tej samej chwili, gdy uruchomiliśmy Maszynę. Czy to nie zabawne? Nie doczekał. Przepraszam, powinienem był ci wcześniej powiedzieć. Zapomniałem, że byliście... blisko.

Nie była pewna, czy wierzyć Kitzowi. Hadden dopiero przekroczył pięćdziesiątkę i cieszył się raczej dobrym zdrowiem. Postanowiła później tym się zająć.

- No dobrze - podjęła - a jaki los twoja fantazja przygotowuje nam...

- Jakim „nam”?

- No naszej Piątce. Podróżującym w Maszynie, która według ciebie nigdy nie wystartowała.

- Och, nic takiego. Jeszcze parę krótkich przesłuchań i jesteście wolni. Nie sądzę, aby wśród was znalazł się jakiś mądrała, który tę bajeczkę będzie opowiadał na lewo i prawo. Ale, niestety, profilaktycznie musimy wam założyć psychiatryczne historie choroby. Może raczej dossier, taki profil. Osobowość, charakter, wiesz o co chodzi. Każde z was było zawsze trochę rebeliancko nastawione do świata, raczej do ustroju. Obojętnie w jakim wyrosło. Ale to dobrze, bardzo dobrze. Człowiek musi być niezależny. My to popieramy, zwłaszcza u uczonych. Ale napięcie ostatnich lat nie posłużyło... Nie mówię, że zaszkodziło... Nie posłużyło przede wszystkim doktorowi Łunaczarskiemu i doktor Arroway. Wpierw ich zaangażowanie w poszukiwanie kontaktu z innymi cywilizacjami... potem Wiadomość, dekodowanie, przekonywanie rządów, budowanie maszyny, wszystkie te konstrukcyjne problemy, sabotaż, nie mówiąc już o Rozruchu, po którym nigdzie nie polecieście... tak, to nie było łatwe. Tyle pracy na nic. A naukowcy są tacy ambitni. Myślę jednak, że jeśli nie będziecie tą małą porażką zbyttno się przejmować i przejdziecie do innych zajęć, wszystko się ułoży. Wszyscy was znowu będą lubić. I rozumieją. Chyba że zaczniecie znów grzebać w tej historii. Nikt wam nie uwierzy, powtarzam, nikt. Ale jeśli będziecie dobrze się sprawować, nikt nie uczyni użytku z waszych kartotek. Mamy tu paru dobrych filmowców, robią jak należy zdjęcia Maszynie, pokażą, że wciąż stoi. A załoga? Oczywiście, trochę rozczarowania. Co więcej, zupełnie

zniechęcona do Projektu. Na razie nie chcę rozmawiać z dziennikarzami. I co, podoba ci się mój plan? - uśmiechnął się. Domagał się, by po tym wszystkim jeszcze mu dziękowała. Nie odezwała się ani słowem, więc Kitz zaczął się zbierać do odejścia. Ale w drzwiach obrócił się i dodał:

- Chyba nie uważasz, że po wywaleniu dwóch trylionów dolarów w tę kupę gówna, zachowujemy się wobec was nieprzyzwoicie? Moglibyśmy wam dać dożywocie, a puszczamy wolno. Nawet bez kaucji, bez poręczenia. Naprawdę, sędzę, że postępujemy jak prawdziwi dżentelmeni. Widocznie to już duch Nowego Tysiąclecia. Machindo.

ROZDZIAŁ 22

Gilgamesz

Śmierć nie przychodzi drugi raz

Życie ma przez to taki smak.

EMILY DICKINSON

Wiersz Numer 1741

W tym czasie - trąbionym na cały świat jako Świt Nowej Ery - pogrzeb na orbicie okołoziemskiej był zjawiskiem banalnym, choć drogim. Wiele firm konkurowało ze sobą, adresując swe usługi zwłaszcza do tych, którzy dawniej pragnęliby prochy swe rozsiać na wiatr nad ukochanym powiatem, albo przynajmniej nad swym miasteczkiem urodzenia, którego młyn lub szewski zakład stał się zaczątkiem ich fortuny. Teraz możliwe było wysyłanie szczątków w wiekuistą podróż na orbitę wokół Ziemi - przy czym znaczenia słowa „wiekuista” nie należało przeceniać, jak każdego standardu reklamowego. Wszystko, co klient winien zrobić, to w testamencie umieścić niewielki zapis, po czym - gdy po najdłuższym życiu dokonało się jego zejście z tego świata - prochy zostaną poddane wpieryw kremacji, a potem sprasowaniu w podługowatą kostkę, na której umieści się imię, odpowiednie daty, werset, a także symbol religijny (jeden z trzech do wyboru). Trumienka ta, prawie jak zabawka, zostanie z paroma setkami innych wystrzelona w kosmos, na orbitę ani zbyt tłoczną (jak korytarze orbity geosynchronicznej), ani ślamazarną i nudną (jak niskie orbity okołoziemskie). Zamiast tego prochy wnikną w pasy radiacyjne Van Allena, włączając się w protonowy huragan, w który nie miałyby odwagi wkroczyć żaden zdrowy na umyśle satelita. Lecz prochom jest już

wszystko jedno.

Na tej wysokości Ziemię wręcz obejmują, jak opakowanie, pośmiertne szczątki jej najznakomitszych obywateli, między które zbłądziwszy, podróżny z obcych planet mógłby mieć wrażenie, że trafił na ponury, staroświecki i zapomniany cmentarz. Cóż, jeśli wysokość nie pozwala zbołałej rodzinie odwiedzać ukochanego grobu tak często, jakby zapewne chcieli.

Rozmyślając nad tym S.R. Hadden przeraził się, dla jakże żalostnej formy nieśmiertelności gotowi byli ponosić wielkie koszty i tyle samo zachodu rozsądni, zdawałoby się, i bogaci ludzie. Wszystkie ich części organiczne - mózgi, serca, po prostu cokolwiek, co stanowiło o nich jako żywych istotach, ulegało kremacji w ogniu. I nie ma już nikogo z was, przemawiał do nich w myślach Hadden, tylko spopielałe gnaty, z których nawet najmądrzejsze cywilizacje kosmosu już nigdy was nie odtworzą. A do tego - ciągnął swe smutne rozmyślenia - biedną waszą trumienkę wysyła się w pas Van Allena, gdzie nawet popioły z wolna ulegną sprażeniu.

O ile lepiej by było przechować parę żywych komórek z każdego z was. Prawdziwych, z zachowanym DNA - i Hadden wyobraził sobie firmę, która po przystępnej cenie podjęłaby się zamrażać trochę, na przykład, tkanki nabłonkowej i wysyłać ją na bardzo wysoką orbitę, poza pasami Van Allena, może nawet wyżej niż orbita geosynchroniczna. A potem jakiś biolog molekularny - lub jego planetarny odpowiednik w dalekiej przyszłości - mógłby odtworzyć cię z niczego. Przetarłbyś oczy, przeciągnąłbyś się i wstał z mar w roku dziesięciomilionowym. Gdyby nawet z komórki niewiele zostało, byłby wciąż DNA zawierający pełny genetyczny program. Zostałbyś znów powołany do życia ex professo. I w ten sposób mógłbyś żyć wiecznie.

Lecz po jakimś czasie przyszło mu do głowy, że choć pomysł dobry, to stanowczo za skromny. Przecież parę

komórek zeszkrobanych z podeszwy to przecież nie jesteś cały ty. Do tego trzeba by jeszcze rodzinnych zdjęć, dokładnej w każdym szczególe autobiografii, ulubionych książek i taśm no i w ogóle - wszystkiego, co by się tylko przydało. Ulubione gatunki wód po goleniu, dietetyczna lub klasyczna cola - ach, wizja ta była w najwyższym stopniu egotyczna, ale Haddenowi właśnie to odpowiadało. W końcu ten wiek był wiekiem szaleństw, a ich obecna kulminacja - z całym tym eschatologicznym delirium końca Tysiąclecia powodowała, że niejednen zaczynał coraz bardziej myśleć o sobie.

Ale ET, którzy cię będą odtwarzać, powinni znać twój język, myślał dalej Hadden. Trudno wymagać od nich, żeby mówili po angielsku. A więc trzeba dołączyć jeszcze zestaw przekładowy - to Haddenowi ogromnie się spodobało. Czuł się znów prawie tak, jak przy rozszyfrowywaniu Wiadomości.

A to wszystko potrzebuje solidnego opakowania, tak solidnego, że właściwie dlaczego wysyłać w nim samą tkankę. Można całe ciało, jeśli udałoby się bardzo szybko zamrozić je po śmierci. Wtedy ktoś, kto by cię odtwarzał, mógłby nie tylko zrekonstruować całego ciebie, ale i wyleczyć chorobę, od której umarłeś. Oto dlaczego jest tak ważny stan ciała przed zamrożeniem - bo im bardziej byłbyś nadpsuty (na przykład, z powodu skandalicznego zaniedbania krewnych), tym mniejsze perspektywy na szczęśliwe odtworzenie. Czyli najlepiej byłoby - doszedł do wniosku Hadden - dać się zamrozić tuż przed własną śmiercią. W tym przypadku szansę dokładnego powrotu do oryginału są największe, choć prawdopodobnie niewielu jest amatorów tego rodzaju usługi.

Ale właściwie - po co czekać na chwilę tuż przed śmiercią? Przypuśćmy, że wiesz, iż nie zostało ci więcej jak rok lub dwa lata życia. Czy nie lepiej dać się zamrozić od razu - rozważał Hadden - niż czekać, aż mięso całkiem się zepsuje? No tak, ale skąd gwarancja - zastanawiał się dalej - że choroba będzie uleczalna wtedy, gdy się ciebie odtworzy? Możesz dla

większej pewności dać się zamrozić i na całą geologiczną erę, budzisz się, a tu - westchnął Hadden - wciąż nie potrafiać leczyć raka i umierasz na melanomę. Albo na zawał serca.

Nie, jest tylko jedno rozwiązanie. Trzeba dać się zamrozić w absolutnie kwitjącym stanie zdrowia. I nie w żadnym laboratorium kryogenicznym, ale wystrzelić się w podróż w jedną stronę do gwiazd. Dodatkowa z tego korzyść, że oszczędzone ci będzie starcze upokarzające kwękanie pośród ludzi. Im dalej od wnętrza układu słonecznego, tym niższa temperatura, aż dochodzisz do kilku stopni powyżej zera absolutnego. Wystarczy.

Ale, ale - przyłapał się na czymś - po co stopniowo się oziębiać wędrując na obwód układu słonecznego i potem - w międzygwiazdny mróz? Nie lepiej w ogrzewanym pojeździe zwiedzić sobie układ słoneczny za życia, obejrzeć to i owo, a potem szybciotko zamarznąć, gdy przyjdzie ochota - jak już się wleci między gwiazdy?

Zanim powędrował do swego chateau, Hadden we wszelki możliwy sposób zabezpieczył się przed możliwością choroby. Nawet poddał się ultradźwiękowemu rozbiciu kamieni żółciowych i nerkowych. I nagle zmarł w wyniku wstrząsu anafilaktycznego. Z bukiecika frezji przysłanego mu przez wielbicielekę na pokładzie Narnii, wyleciała rozeźlona pszczoła, zaś na Matuzalemie - co za wstyd - nie było odpowiedniego antyserum. Pszczołę trudno oskarżać o zabójstwo z premedytacją, gdyż biedny owad (którego małe, zmiażdżone dłonią Haddena ciało posłano mimo to entomologom do ekspertyzy sądowej), dość się wycierpiał w niskiej temperaturze luku bagażowego Narnii. Ironiczna wymowa śmierci miliardera pokonanego przez pszczołę, nie umknęła uwagi prasy, a także kaznodziejów na niedzielnych mszach.

Choć w rzeczy samej wszystko było oszustwem. Nie było pszczoły, żądła, śmierci. Hadden cieszył się nadal znakomitym zdrowiem i zamiast zejść tragicznie z tego padolu,

z chwilą wybicia północy, w Nowy Rok - a więc dziewięć godzin po aktywacji Maszyny - odpalał już rakiety napędowe, siedząc w zadekowanym na Matuzalemie niewielkim pojeździe kosmicznym, którego nazwał Gilgameszem. Prędko osiągnął szybkość pozwalającą mu wyrwać się z orbity okołoziemskiej, i skierował się w przestrzeń.

Życie Haddena upłynęło na gromadzeniu władzy i kontemplacji czasu. Im większą masz władzę, tym więcej jej pragniesz - taki był wniosek Haddena. Zaś moc łączy się z czasem w ten sposób, że w obliczu śmierci stajemy wszyscy bezradni. Dlatego starożytni królowie, by przedłużyć swe ziemskie panowanie, budowali sobie pomniki i monumenty. Jednak i one ulegały erozji i ostatecznie imiona królów zacierały się nie tylko w pamięci, ale i w kamieniu. A co gorsza - oni sami od dawna gnili w ziemi, lub nawet i tam nic już po nich nie było. Niiieeee, Hadden z pewnością nie poszedłby na to. Znalazł sposób elegantszy, piękniejszy, przyjemniejszy, znalazł furtkę ukrytą w ścianie czasu i wszedł w nią.

Gdyby nie utrzymał tego faktu w tajemnicy, wywołałby na Ziemi wielki zamęt. Hadden zamrożony do czterech stopni Kelvina, do tego miliardy kilometrów od Ziemi - kim właściwie był w świetle prawa? Kto miałby zarządzać jego korporacjami? Sposób, który wybrał, był czystszy. Paroma zapisami w rozrośniętym już i tak do sporych rozmiarów testamencie, spadkobiercom swym - naturalnym i wyznaczonym - pozostawiał zarząd nad korporacjami pod warunkiem, że będą się specjalizować w silnikach raketowych i kryogenice, zaś nazwę zakładów zmienia na Immortality Inc. I więcej już do tej sprawy nie wracał.

Na Gilgameszu nie było radia, bo Hadden nie chciał już słyszeć ani o Maszynie, ani o Piątce podróżników. Nie chciał już słyszeć wiadomości z Ziemi - niczego co by go rozbawiło lub odebrało mu ducha, żadnego z tych tumultów, które donikąd nie prowadzą. Tylko - samotność. Wzniosłe myśli.

Cisza. Gdyby w następnych kilku latach coś nieprzewidzianego miało się wydarzyć, zamrażarki Gilgamesza można będzie włączyć jednym przyciśnięciem guzika. Do tego czasu jest biblioteka pełna ulubionej muzyki, książek i taśm video. Nie będzie samotny. Prawdę mówiąc - nigdy nie przepadał za towarzystwem. Yamagishi wahał się nawet, czy nie lecieć z Haddenem, ale ostatecznie stchórzył. Nie przeżyłby dnia - powiedział - bez swych, jak się wyraził, „sekretarek”. A w takiej podróży nie tylko nie byłoby dla nich dość rozrywek, ale nawet i miejsca. Tak, z pewnością zacznie mu kiedyś doskwierać monotonia pożywienia i skromny zakres atrakcji, ale Hadden znał siebie. Był człowiekiem o nieograniczonej wyobraźni. To, co miał najciekawsze, miał w sobie.

Za dwa lata jego fruwający sarkofag wpadnie w grawitacyjną studnię Jowisza, tuż za pasem radiacji, i jak z procy wyleci w przestrzeń międzygwiazdną. I któregoś dnia będzie miał z Gilgamesza widok piękniejszy niż ten, na Matuzalemie: przelewające się wielobarwne chmury Jowisza, największej planety, choć gdyby chodziło mu o widoki, Hadden z pewnością wołałby Saturna. Lubił pierścienie. Ale Saturn jest odległy o cztery lata od Ziemi, a to w końcu dwa razy dalej. Jeśli ktoś zaczyna grę o nieśmiertelność, musi być bardzo ostrożny w najdrobniejszej sprawie.

Przy tej szybkości Gilgameszowi trzeba będzie dziesięciu tysięcy lat, by dotrzeć do najbliższej gwiazdy. Ale gdy się ma temperaturę czterech stopni powyżej zera absolutnego, jest na wszystko wiele, wiele czasu. Aż któregoś pięknego dnia, choćby za milion lat - Hadden o to nie dbał - Gilgamesz trafi przypadkiem w jakiś inny system słoneczny. Lub - w ciemnościach między gwiazdami, tę pogrzebową łódź dostrzeże jakaś bardzo zaawansowana, bardzo mądra cywilizacja. Wezmą cały sarkofag ze sobą i już będą wiedzieli, co robić. Tego co Hadden zamierzył - nikt wcześniej nie dokonał. Nikt tak jak on nie sięgnął wyobraźnią w przestrzeń.

Ufny w to, że jego koniec stanie się początkiem, Hadden wypróbował właściwą pozycję. Zamknął oczy i skrzyżował na piersi dłonie. W tej chwili rakiety znów odpaliły, tym razem krócej, i błyszczący pojazd chyżo pomknął przed siebie, w długą podróż ku gwiazdom.

Za tysiące lat, pomyślał Hadden, Bóg jeden wie, co spotka Ziemię. Lecz to już nie jest jego problem. Nigdy, prawdę mówiąc, nie był. Będzie spał głębokim, lodowatym snem, doskonale zachowany, w sarkofagu przemierzającym międzygwiazdną pustkę, nad faraonami, nawet nad Aleksandrem, zaćmiewając samego Qin. W nieokiełznaniu swej myśli - człowiek zapragnął zmartwychwstania.

ROZDZIAŁ 23

Zmiana programu

Nie za wymyślonymi bowiem mitami postępowaliśmy wtedy, gdy daliśmy wam i poznać moc i przyjsście Pana naszego ą Jezusa Chrystusa, ale jako naoczni świadkowie Jego wielkości.

Drugi List Św. Piotra Apostoła, 1:16

Połączenia telefoniczne zreperowano i pługami oczyszczono ze śniegu drogi. Do bazy na Hokkaido zaczęli zjeżdżać dopuszczani za specjalnym pozwoleniem przedstawiciele prasy światowej, by przyjrzeć się Maszynie. Kilku reporterów przeprowadzono przez rozwory próżniowe za benzalami, innym pozwolono wejść do wjazdu, a jeszcze innym - nawet do kabiny załogowej. Świat ujrzał swych reporterów siedzących w fotelach, które przedtem zajmowała Piątka i opowiadających o nieudanym starcie Maszyny, a także o dzielności personelu, który od świtu do nocy zapracowuje się w poszukiwaniu usterek. Z odległości (ot, by pokazać, że w ogóle żyją i miewają się dobrze) sfilmowano Ellie w otoczeniu kolegów i przeproszono, że na razie żadne z nich nie ma ochoty udzielić wywiadu.

W tym czasie cały Projekt Maszyna przechodził niezwykle żmudny proces inwentaryzacji i już zastanawiano się, co z nią potem zrobić. Tunel z Hokkaido na Honsiu wprawdzie ponownie otwarto, ale ten z Ziemi na Vegę został nieodwołalnie zamknięty. Właściwie nigdy poważnie nie proponowano (choć Ellie zastanawiała się, czy potem, gdy już opuścili wyspę, nie próbowano tego robić), aby ponownie rozpędzić benzele. Wierzyła w to, co jej powiedział Ojciec:

maszyna drugi raz nie ruszy. Ani tunel drugi raz się nie otworzy dla istot zamieszkujących Ziemię. Dano im zerknąć za kulisy - to wszystko. Teraz muszą jakoś żyć i ratować siebie - jeśli potrafią, powątpiewała Ellie.

Krótko zanim zaczęli się rozjeżdżać, pozwolono im wreszcie porozmawiać ze sobą. Po kolei uściskała każdego na powitanie - na „good bye”. Nie usłyszała ani słowa pretensji o zmazane taśmy.

- Te obrazki są nagrywane na ścieżce magnetycznej - przypomniał im Vaygay. - Silne pole elektryczne, które przyłożono do benzeli, spowodowało ich obrót, wobec czego powstało pole zmienne, a z niego, magnetyczne. I ono z naszych taśm pięknie wszystko wymazało. To nie twoja wina, Ellie, ale Równania Maxwella.

Wyglądało na to, że przesłuchania trochę odebrały mu pewność siebie. Wprost mu nie powiedzieli, ale kilkakrotnie sugerowali, że mógł być członkiem antyradzieckiego spisku, do którego wciągnęli go naukowcy z Zachodu.

- Mówię ci, Ellie - powiedział - w tej chwili jedyne pytanie, które mnie interesuje, to istnienie inteligentnego życia w sowieckim Politbiurze.

- O to samo mogłabym zapytać Biały Dom - ponuro powiedziała Ellie. - Wprost nie mogę uwierzyć, że Prezydent kazała Kitzowi napaść na mnie w ten sposób. Zawsze zdawała się tak bardzo oddana Projektowi...

- Naszą planetą rządzą wariaci. Nie mogą być normalni, pomyśl tylko, co każdy z nich musi przejść, żeby się wdrapać tak wysoko. Muszą mieć wąskie horyzonty, żeby tak ostro iść w kierunku, w którym widzą tylko swój stołek. A poza tym, jakże krótko rządzą. Po parę lat, w najlepszym wypadku dekadę. Są więc nerwowi i dbają tylko o to, co im pozwoli utrzymać władzę na ten krótki czas.

Nie wiadomo dlaczego, pomyślała w tej chwili o Łabędziu A.

- Jestem absolutnie pewien - ciągnął Łunaczarski - że wcale nie uważają naszej historii za zmyśloną. Choćby dlatego, że nie są w stanie dowieść nam kłamstwa. Nasze relacje w najmniejszych szczegółach zgadzały się ze sobą, to w ich głowach musiało posiać ziarno wątpliwości. Może przed zaśnięciem myślą sobie „dlaczego by to wszystko nie miało być prawdą?”. Może paru nawet chciałoby, żeby to była prawda, ale potrzebują czegoś, co by ich umocniło, jakiegoś gestu z naszej strony. Uważam Ellie, że musimy ostro zabrać się do pracy. Przede wszystkim oczyścić całą teorię grawitacji. Potem musimy zacząć nowe obserwacje, zwłaszcza Centrum Galaktyki i Łabędzia A, żeby dowieść tego, cośmy tam widzieli i słyszeli. Przecież nie posuną się do tego, żeby w ogóle zakazać radioastronomii? - spytał nagle z prawdziwym niepokojem.

- Musimy też przeprowadzić badania dodekahedronu, oczywiście, jeśli nas dopuszczą do niego. Wszystko jeszcze przed nami, Ellie, jestem pewien, że w końcu przekonamy te tępe głowy.

Trudno będzie, jeśli to są naprawdę wariaci - pomyślała, a głośno powiedziała:

- Nie rozumiem, jak rządowi mogłoby się udać przekonanie ludzi, że popełniliśmy fałszerstwo.

- Nie rozumiesz? Pomyśl tylko, o ilu już rzeczach udało im się ludzi przekonać. Nie, Ellie, w niczym nie są tacy dobrzy, jak w przekonywaniu. Patrz, wmówili już ludziom, że Maszyna nie działa, a starczy jedno słowo, żeby wmówili też, że cała nasza Piątka pomieszało się w głowach.

- Nie rozumiem, jak piątka stukniętych może relacjonować dokładnie taką samą historię, zgadzającą się, jak mówisz, w najdrobniejszych szczegółach. Pewnie masz rację, bezpieczniej będzie poszukać dowodów okrężną drogą, niż zaklinać w nieskończoność, że nie okłamujemy ludzkości... Vaygayu, powiedz mi, czy nic ci... nie robią, kiedy... tam

wrócisz?

- A co mogą zrobić? Zesłać mnie do Górki? To bym przeżył, miałem przecież niezły urlop... Nieee, nic mi nie zrobią, Ellie. Ty i ja to dwustronna gwarancja bezpieczeństwa. Dopóki ty żyjesz, oni potrzebują mnie i na odwrót. Poza tym, gdyby okazało się, że nasza historia jest prawdziwa, przyniosę chlubę ojczyźnie jako radziecki delegat. Zobacysz, moje imię jeszcze będzie skandowane na defiladach. Ja wcale nie dbam o ich groźby, najważniejsze, żebyśmy pozostali przy życiu. I opowiadali naszą historię, wszyscy pięcioro. Wpierw tylko tym, którym ufamy, a oni już powiedzą dalej. Historia powędruje w świat. Nie będzie sposobu, żeby ją zatrzymać, i prędzej czy później rządy będą musiały przyjąć do wiadomości, co naprawdę zdarzyło się w dodekahedronie. Do tego czasu jesteśmy polisami ubezpieczeniowymi dla siebie nawzajem. Ellie, jestem taki szczęśliwy, że to mi się przytrafiło. To najwspanialsza rzecz w moim życiu.

- Ucałuj ode mnie Ninę - powiedziała na chwilę przed odlotem jego nocnego samolotu do Moskwy.

Podczas śniadania zapytała Xi, czy żałuje.

- Ja? Że tam byłem? - wznosił oczy do nieba. - Ellie, zobaczyć ich i żałować? Jestem sierotą po Długim Marszu. Przeżyłem Rewolucję Kulturalną. Przez sześć lat w cieniu Wielkiego Muru próbowałem uprawiać ziemniaki i buraki cukrowe. Całe moje życie to ciągle przewracanie wszystkiego do góry nogami, ja lepiej od wszystkich innych wiem, co to żałować. Uczestniczyliśmy w bankiecie, a teraz wracamy do naszej głodującej wioski i dziwimy się, że na nasz powrót nie puszczają sztucznych ogni. Nie, to nie jest rozczarowanie, może przegraliśmy, ale zaledwie wstępną batalię. Na słowa. Weź pod uwagę... nierówność sił.

Wkrótce miał lecieć do Chin, gdzie również zobowiązał się nie składać publicznych oświadczeń dotyczących ich pobytu

w Maszynie. Ale już spieszył się do swych wykopalisk w Xian. Grobowiec Qina czekał, a Xi zamierzał sprawdzić, jak bardzo ten, który leży w grobie, przypomina kopię, którą spotkał na drugim końcu tunelu.

- Wybacz Xi, jeśli to o co zapytam będzie trochę... niegrzeczne. Widzisz, każdy z nas... no jak to powiedzieć... tylko ty spotkałeś się tam... Czy w całym twoim życiu nie było nikogo, kogo byś pokochał?

Zła była na siebie, że nie umiała porządniej sformułować pytania.

- Wszystkich, których kochałem mi zabrano. Zgładzono. Widziałem imperatorów dwudziestego wieku, jak przychodzą i odchodzą. Całe życie czekałem choćby na jednego, którego nie można by wymazać, zrehabilitować, zwalić z cokołu albo wynieść na ołtarze, zależnie od widzimi się historii. I znalazłem parę takich osób, których nie uda się wymazać.

Patrzył w obrus bawiąc się łyżeczką.

- Poświęciłem swe życie rewolucji i nie żałuję. Nic nie wiem o swym ojcu ani o swej matce. Nie mam też wspomnień z dzieciństwa. A twoja matka żyje. Pamiętasz ojca, a nawet przez chwilę znów go widziałas. Ellie, nigdy nie lekceważy tego, co dostawaś.

Tak smutnej Devi jeszcze dotąd nie widziała. Myślała, że to z powodu nieprzyjemności, jakie spotkały ją przy przesłuchaniach, ale Devi pokręciła głową.

- Czy oni nam wierzą, czy nie, to dla mnie bez znaczenia. Dla mnie się liczy doświadczenie. I przemiana. Ellie, to przecież naprawdę nam się zdarzyło, choć pierwszej nocy po naszym powrocie na Hokkaido śniło mi się, że cała tamta wyprawa była przeze mnie wymyślona. A przecież była rzeczywista i coraz silniej we mnie żyje. Że jestem smutna? Cóż, spotkanie z Surindarem spełniło moje największe od jego śmierci marzenie. Po tylu latach ujrzałam go dokładnie takim,

jakim żył w mej pamięci i patrząc w tę kopię, w tego symulanta, który tak idealnie przedstawiał mego męża musiałam powiedzieć sobie: tamtą miłość hołubiłaś w sobie tylko dlatego, że była wystawiona na wielkie próby, że dla tego małżeństwa tak wiele musiałaś poświęcić. Ale to nie wszystko. Bo tamten mężczyzna był głupcem. Jeszcze dziesięć lat z nim i bylibyśmy po rozwodzie. Co ja mówię, pięć! Ja też byłam młoda i głupia.

- Naprawdę przykro mi, Devi - odezwała się Ellie. - Mało wiem o oplakiwaniu utraconej miłości.

- Widzę, Ellie, że nie rozumiesz. Ja nie oplakuję straconej miłości. Pierwszy raz od jego śmierci już nie oplakuję Surindara. Oplakuję rodzinny dom, który porzuciłam dla niego.

Za parę dni Devi poleci do Bombaju, skąd po paru dniach wyruszy do rodzinnej wioski Tamil Nadu.

- W końcu - dodała - nie będzie dla nas trudno samych siebie przekonać, że to był tylko sen. Co dzień, każdego ranka po przebudzeniu nasze wspomnienie będzie coraz bledsze, coraz dalsze, coraz bardziej podobne do złudzenia. Byłoby lepiej, gdybyśmy stworzyli grupę, w której wzajemnie umacnialibyśmy się w przekonaniu, że widzieliśmy prawdę. Oni wiedzieli o tym zagrożeniu, dlatego urządzili nam spotkanie na plaży, w otoczeniu, które będzie takie, jak na Ziemi. Żebyśmy łatwiej mogli zapamiętać. Nikomu nie pozwolę robić z tego żartów, A i ty, Ellie, pamiętaj, to się naprawdę zdarzyło. To nie był sen, Ellie, nie zapomnij.

Eda, pomimo szczególnych okoliczności, wydawał się pogodny i rozluźniony. Wkrótce zrozumiała dlaczego: podczas gdy ona i Vagay przechodzili tasiemcowe przesłuchania, on sobie robił obliczenia.

- Myślę, że tunele są mostami Einsteina-Rosena - zaczął bez wstępu. - Ogólna Teoria Względności nie wyklucza pewnego typu rozwiązania, które nazywa się robaczymi

dziurami, trochę podobnymi do czarnych, ale nie mającymi charakteru ewolucyjnego. Nie mogą powstać, jak czarne dziury, na skutek grawitacyjnego obkurczania się gwiazd. Zwykła dziura robacza, gdy już powstanie, rozszerza się i kurczy, jeszcze zanim coś wniknie do niej. Ona wymusza niebывałe siły wiązania, a czas potrzebny na przelecenie przez nią jest nieskończony.

Ellie nie rozumiała, więc Eda zaczął jej wyjaśniać: główny problem, to jak utrzymać robacza dziurę otwartą. I Eda trafił na klasę rozwiązań, które zastosowane do jego równania, sugerować mogą nie znane dotąd pole makroskopowe - pewien rodzaj naprężenia, które można wprowadzić do robaczej dziury i zapobiec jej zapadnięciu. Wtedy z taką dziurą nie ma kłopotów, jakie stwarza czarna: na przykład, mniejsze są siły wiązania, dostęp jest z obu stron, tranzyt szybki i brak jest wewnątrz niej morderczego promieniowania.

- Jeszcze nie wiem, czy taki tunel byłby odporny na małe zaburzenie - dodał - bo jeśli nie, to będą musieli zbudować skomplikowany system sprzężenia zwrotnego monitorującego i automatycznie regulującego wszelką niestabilność. Wiesz, nie jestem pewien, czy to wszystko to właśnie jest to, ale dlaczego tunele nie miałyby być mostami Einsteina-Rosena? Dotychczas wszystko się zgadza i może wkrótce będę miał dla nich udokumentowaną odpowiedź, kiedy mi znów zarzucą, że majacę.

Już mu było spieszno do Lagosu, do spotkania z żoną i dziećmi, i w kieszonce na jego piersiach Ellie dojrzała zielony rąbek biletu „Nigerian Airlines”. Podróż poświęci na rozmyślania, jak rozpocząć wprowadzanie zupełnie nowych zasad fizyki, do czego natchnęła go ich podróż. Ale - jak wyznał - nie bardzo widzi siebie w tej roli, gdyż jest „trochę za stary jak na fizykę teoretyczną”. Ellie upewniła się - miał trzydzieści sześć lat.

Objęła Edę. Powiedziała mu, że jest dumna, że mogła

być jego przyjacielem.

- Skąd ten czas przeszły - zaprotestował Eda. - Na pewno znów się spotkamy, Ellie - powiedział nagle poważniejszym tonem - obiecay, że zrobisz coś dla mnie. Proszę, przypomnij sobie każdy szczegół, każdy detal z tego, co tam widziałaś i słyszałaś. Zapisz to. I przyślij. Nasze doświadczenie opiera się na danych eksperymentalnych: jeden mógł dojrzeć coś, co umknęło uwagi innych, choć właśnie to może być kluczem do zrozumienia całości. Nie zapomnij tego zrobić, Ellie, innych też prosiłem.

Uniósł mocno zniszczoną walizeczkę, pomachał dłonią i zniknął w czekającym na niego samochodzie Projektu.

Każdy wracał do swego kraju i Ellie miała wrażenie, że rozpada się rodzina, którą stworzyła. Ze wszystko wali się w gruzy, odchodzi. Tak, to doświadczenie odmieniło nie tylko Devi. Również jakiś demon władający Ellie utracił nad nią swą moc. A może parę demonów? I czuła się teraz - jak nigdy dotąd - zdolna do prostej, czulej miłości. Teraz. Gdy została sama.

Z bazy uniósł ją specjalny helikopter, a potem samolot rządowy zabrał ją w długi lot do Waszyngtonu. Spała tak mocno, że musiano budzić ją potrząsaniem, kiedy samolot dotknął międzylądowiska w Hickam Field na Hawajach, a na pokład wkroczyli przedstawiciele Białego Domu.

Owszem, może wracać do Argusa, powiedzieli, lecz już nie jako dyrektor. Za to będzie mieć więcej czasu na własne badania naukowe. Ma tam, jeśli to jej odpowiada, posadę na całe życie.

- Nie jesteśmy wobec ciebie złośliwi - powiedział Kitz w podsumowaniu długiej i zakończonej kompromisem rozmowy. - Wrócisz do nas z solidnym dowodem lub z czymś, co nas rzeczywiście przekona. Wtedy pierwsi pomożemy ci rozgłosić to na świat. Chcemy jednak powtórzyć naszą prośbę, byś do tego czasu zatrzymała swe przygody dla siebie, a wesprzemy

każdy projekt badawczy, jaki nam przedstawiś. Pomyśl, co by się stało, gdybyśmy pozwolili tej historii wyjść między ludzi: wpierw kolejna szalona fala entuzjazmu, po której sceptycy zaczęliby swą robotę. Byłoby to kłopotliwe i dla ciebie, i dla nas.

Możliwe, że jego łagodniejszy tym razem ton był wynikiem jakiejś rozmowy z Prezydent - bo sam Kitz nie wydawał się uszczęśliwiony polubownym zakończeniem sprawy. Cała Piątka weszła do dodekahedronu, zasiadła w fotelach, porozmawiała między sobą i wyszła. Jeśli doda cokolwiek do tej wersji, psychiatrzy będą musieli się nią zająć, również prasa, i z największym żalem trzeba będzie ją zwolnić.

Zastanawiała się, w jaki sposób kupili milczenie Petera Valeriana, Vaygaya i Abonnemy, i jak wyobrażają sobie utrzymanie tajemnicy wobec tylu osób - również przedstawicieli Konsorcjum - uczestniczących w przesłuchaniach. Widocznie grali na zwłokę. Na razie chcieli, by pozostało, jak jest.

Dziwiło ją też, jakie łagodne w sumie zastosowano wobec nich środki. Ale pogwałcenie zasad kompromisu, gdyby się zdarzyło, i tak już nie pójdzie na konto Kitza. Za rok odchodzi, razem z administracją Prezydent, po upływie konstytucyjnych dwóch kadencji sprawowania władzy. Wiedziała, że już przyjął pracę w waszyngtońskim zespole adwokackim, znanym ze swej klienteli związanej z Departamentem Obrony.

Spodziewała się wszakże, że Kitz nie złoży tak łatwo broni. Przecież śmiertelny jego niepokój wzbudziło wcale nie to, co Ellie oglądała na plaży lub w Centrum Galaktyki, ale jedna rzecz: możliwość, że tunel jest otwarty ku Ziemi (mniej go jak gdyby obchodził kierunek od) i z tego powodu Ellie podejrzewała, że dni bazy na Hokkaido są policzone.

Inżynierowie i technicy wrócą do swych fabryk i fakultetów... i jakie będą opowiadać historie? Dodekahedron

być może ocaleje jako eksponat w Miasteczku Nauki Tsukuba, zaś potem, po upływie czasu potrzebnego na opadnięcie zainteresowania Maszyną, w miejscu jej budowy nastąpi eksplozja. Najlepiej - nuklearna, bo radiologiczne skażenie pozwoliłoby ogrodzić teren i przez długie, długie lata nie wpuszczać tam nikogo. Ale przeczulenie Japończyków wobec wybuchów nuklearnych może skłonić Kitza do eksplozji konwencjonalnej, zwłaszcza że można by to zwalić na jeden z częstych wybuchów w którejś kopalni węgla na Hokkaido. Wątpiła jednak, czy wybuch - obojętne nuklearny, czy konwencjonalny - potrafi Ziemię oderwać od tunelu.

Niewykluczone, że nie doceniała Kitza. Może żadna z tych koncepcji nawet nie zaświtała mu w głowie. Sam przecież wspomniał, że też jest pod wpływem Machindo. Pewnie ma jakąś rodzinę, przyjaciół, może nawet kogoś kocha? Albo przynajmniej wie, na czym to polega.

Nazajutrz, podczas publicznej ceremonii w Białym Domu, Ellie otrzymała z rąk Prezydent Narodowy Medal Wolności. W białym marmurowym kominku trzaskały prawdziwe polana, zaś Prezydent - która nie dość że z urzędu, to i osobiście była zaangażowana w Projekt - z determinacją robiła dobrą minę do złej gry przed oczami Ameryki i świata. Nowe technologie kwitną, przemysł dzięki tym wynalazkom rozwija się coraz lepiej. Tak, to, co Projekt zrobił dla amerykańskiej gospodarki można porównać tylko z wynalazkami Thomasa Edisona. Ponadto odkryliśmy, że w kosmosie nie jesteśmy sami, że są gdzieś istoty wyżej rozwinięte i inteligentniejsze od nas. Z pewnością nieodwracalnie zmienili oni, powiedziała Prezydent, naszą koncepcję samych siebie. Na przykład, jeśli o nią chodzi, bo nie chciałaby mówić za wszystkich Amerykanów, odkrycie umocniło w niej wiarę w Boga. W tego Boga, dodała (pewna, że to będzie po myśli wszystkich wyznań), który tworzy tak

wiele światów i różnych istot mających jedną wspólną cechę - inteligencję. Ponadto - zauważyła Prezydent - Maszyna wniosła na Ziemię ducha większego wzajemnego zrozumienia, świadomość, że wszyscy dzielimy los przelotnych pasażerów na tej planecie, w jej podróży przez przestrzeń i czas.

Po wystąpieniu, które w mniej lub bardziej udawany sposób poruszyło wielu, Prezydent przedstawiła prasie i kamerom telewizji „Doktor Arroway - tę, która przez dwanaście długich lat angażowała swój geniusz przy odbiorze i rozszyfrowaniu Wiadomości, a potem - swą odwagę w walce o budowę Maszyny i w osobistym uczestnictwie w starcie dodekahedronu”. Nikt nie wiedział, podkreśliła Prezydent, co Maszyna uczyni, uważam więc, że doktor Arroway ochotniczo zgłosiła się do zadania, w którym postradać mogła życie. I nie jest winą ani jej, ani nikogo z tej odważnej ponad wszelkie wyobrażenie załogi, że Maszyna nie wystartowała. Zrobili więcej niż ktokolwiek na tej Ziemi. Zaslugują na podziękowanie przez cały amerykański naród - gromko kończyła Prezydent - zwłaszcza że doktor Arroway jest tak bardzo prywatną osobą, która na pewno nie musiała rzucać się w wir tych spraw, ani samotnie dźwigać całego ciężaru. Wykazała niezwykłą cierpliwość w obcowaniu z ludźmi, którzy ją atakowali albo takimi, którzy wciąż chcieli czegoś się od niej dowiedzieć. Jako prezydent jej dzielność w obcowaniu z prasą szczególnie doceniam. Obecnie - zaapelowała Prezydent - jedno, czego potrzebuje doktor Arroway, to żeby zostawić ją w spokoju. Pragnie prywatności i skupienia dla prowadzenia dalszych prac naukowych. Przeszła już wszelkie potrzebne przesłuchania z Sekretarzem Obrony Kitzem i Doradcą Naukowym der Heerem. Doktor Arroway prosi - wyraziła się Prezydent zamiast Ellie - żeby po naszej ceremonii nie było konferencji prasowej. Można robić zdjęcia.

Ellie opuściła Waszyngton z jeszcze dźwięczącymi w jej głowie pięknymi i kragłymi zdaniem, z których zupełnie nie

wynikało, ile Prezydent naprawdę o wszystkim wie.

Odwieźli ją do Argusa małym wojskowym odrzutowcem, lecz na jej prośbę zgodzili się po drodze urządzić postój w Janesville. Matka miała na sobie stary pikowany szlafrok, ktoś lekko uróżowił jej policzki. Ellie wtuliła swą twarz w poduszkę obok twarzy matki. Jeszcze nie odzyskała pełnej władzy w mowie, ale już prawą ręką mogła poruszyć na tyle, żeby kilka razy lekko pogłodzić ją po ramieniu.

- Mamo, mam ci coś do powiedzenia - szepnęła Ellie. - Coś niezwykłego. Spróbuj się tym nie wzruszać, nie chciałabym ci zaszkodzić. Słuchaj, mam, widziałam się z Ojcem. Widziałam go, słyszysz? Kazał cię ucałować.

- Tak... - stara kobieta z trudem kiwnęła głową - był tu wczoraj.

Jedyną osobą, która wczoraj odwiedzała matkę był, o ile Ellie wiedziała, John Staughton. Nie chciał iść z nią dzisiaj, wykręcając się nawałem pracy i teraz Ellie rozumiała, że chciał je pozostawić same. Mimo to powiedziała z rozdrażnieniem:

- Nie mówię o nim, mam. Mówię o Tacie.

- Tak, powiedz mu... - matka z trudem wymawiała słowa - szyfonowa sukienka. Zatrzymać pralkę. Jak wróci ze sklepu do domu.

Wyglądało na to, że ojciec wciąż prowadzi sklep. W dalekim wszechświecie matki.

I Ellie też.

Długi wąż osłony przeciwyklonowej jak dawniej ciągnął się przez pustynię, zaburzając jej monotonię. Ellie cieszyła się, że znów jest tutaj, choć wracała pracować nad innym, znacznie mniejszym programem. Dyrektorem Naczelnym Argusa mianowano Jacka Hibberta, więc Ellie z przyjemnością uświadamiała sobie, ile z jej barków zdjęto dawnych, dokuczliwych obowiązków administracyjnych. A że

wiele czasu odzyskano do teleskopowania, odkąd ustał sygnał z Vegi, więc w przestronnych korytarzach i salach Argusa panowała atmosfera iście naukowa. Współpracownicy Ellie ani słowem nie odnieśli się do sugestii Kitza, że cała Wiadomość i Maszyna są spreparowane. Im również nie byłoby przyjemnie stwierdzić, że tyle lat pracy ich ośrodka miałyby pójść na marne.

Jej thunderbird już tu na nią czekał - Willie go osobiście przyprowadził aż z Wyoming. Zgodnie z umową, nie wolno jej było wyjeżdżać dalej, niż za obręb ogrodzenia. Żegnajcie widoki Zachodniego Teksasu, żegnaj królicza gwardio salutująca na tylnych łapkach, żegnajcie nocne jazdy na szczyt góry, by przyjrzeć się Gwieździe Południa. To była, prawdę mówiąc, jedyna dotkliwsza sankcja, nad którą Ellie zbyt długo nie bolała - zresztą, kto by w zimie jeździł oglądać króliki?!

Z początku spora grupa reporterów szturmowała Argusa, próbując upolować Ellie zwykłym aparatem fotograficznym lub za pomocą teleobiektywu. Jednak nowo zatrudniony sekretariat do spraw publicznych był bezlitosny i głuchy na wszelkie błagania. Czy nie słyszeli, że sama Prezydent prosiła, by doktor Arroway zostawić w spokoju?

Więc po paru miesiącach batalion dziennikarzy stopniał do kompanii, kompania do plutonu, wreszcie tylko gromadka skupiona wokół pism w rodzaju „Hologramu Światowego”, biuletynu chiliastów lub czegoś, co się nazywało „Bóg a Nauka” (i czego reprezentant był najbardziej tajemniczy ze wszystkich) została na posterunku.

Komentarze prasowe były z reguły życzliwe. Podkreślano - zgodnie z duchem przemówienia Prezydent - wielką ofiarność, desperację Ellie i jej niebywały wyczyn, jakim było doprowadzenie do powstania Maszyny. No i w momencie, gdy już już świat wstrzymał oddech - kłapa. Maszyna nie poleciała, co zresztą nie jest winą doktor Arroway - która tym wszystkim jest mocno rozczarowana, może nawet w

depresji.

Wielu dziennikarzy wyrażało radość z fiaska Programu Maszyna uzasadniając to tym, że mieszkańcy Ziemi „w żadnym razie nie byli przygotowani na spotkanie z obcymi cywilizacjami”. Powołując się na zdanie socjologów, psychologów i kogo tam jeszcze, dowodzili, że frustracja wywołana konfrontacją z istotami o tyle inteligentniejszymi od nas, spowodowałyby głębokie podważenie wiary w siebie i przez parę pokoleń dawałaby znać o sobie patologia społecznych zachowań. „Nie można wyobrazić sobie gorszego czasu na spotkanie z obcymi, niż ten”, dowodzili, „w którym tak ewidentne są objawy upadku filozofii na rzecz rozkwitu religijnego sekciarstwa i fanatyzmu”.

„Za kilkadziesiąt lat z pewnością będziemy lepiej przygotowani i potrafiemy docenić niebywałą szansę, jaką przed ludzkością otworzyła Wiadomość i Maszyna” - pisała jedna z gazet, świadomie czy nie, czyniąc dość tajemniczą aluzję słowami: „a wtedy śmiać się będziemy z naszych trywialnych obaw, i może zapłaczymy nad głupotą i ciasnotą horyzontów, które nie pozwoliły widzieć tego, co dostrzegali inni”.

Za to komentatorzy religijni zgodnie stwierdzili, że fiasco było karą za grzech pychy. W swym telewizyjnym programie, niestrudzony Billy Jo Rankin po raz któryś już przekonywał, iż zawsze był przeciwny Maszynie - „tej współczesnej Wieży Babel”, i teraz okazuje się, jaki był przewidujący. Wiadomość od początku była dla niego przysłana z „Piekle o imieniu Vega”, a ludzkość w swej głupocie i pysze po raz kolejny wyciągnęła rękę po Boską Władzę. Ale już kiedyś było takie miasto, nazywało się Babilon - grzmiał Rankin - które Bóg unicestwił. W naszych czasach wzniesiono nowy Babilon, ale i ten - za sprawą Wiernych Bożemu Słowu - unicestwiono. Dwa razy Bóg swoją Łaską natchnął dwa znamienne wypadki: jeden w Wyoming, drugi w Uzbekistanie, lecz to nie powstrzymało pysznych i próbowali

po raz trzeci. Tym razem Bóg był łaskawy - nie pozwolił im zginąć, wierząc, że się nawrócą na Boże Milenium (które nastąpi nie teraz, jak chcą niektórzy, ale dopiero za rok, 1 stycznia 2001 roku - dorzucił kłótniowym tonem).

W maleńkim pokoju Ellie głos Rankina rozlegał się jak dzwon. Maszynę należy zniszczyć, detal po detalu. A ideologię, która kazała uczonym sięgnąć po Boską władzę - miast stanąć po Jego prawej stronie, stronie sprawiedliwych - należy wypalić do korzeni, zetrzeć z powierzchni Ziemi, zanim nie jest za późno.

Wyłączyła telewizor i wróciła do prac nad oprogramowaniem. Swobodnie rozmawiać przez telefon mogła jedynie z Janesville w Wisconsin. Pozostałe rozmowy były kontrolowane, za co zawsze „uprzejmie przepraszano”. Listów od der Heera, Petera Valeriana i od swej koleżanki szkolnej Becky Ellenbogen, w ogóle nie otwierała. Ekspresem, a także przez posłańca nadeszły krótkie liściki od Jossa. Te ją przez chwilę kusily, lecz w końcu też odkładała nierozpieczętowane. Zdobyła się tylko na słowa Przepraszam Palmer, jeszcze nie. Ellie - które wysłała bez adresu nadawcy. Wątpiła, czy taki list w ogóle mu przekażą.

Specjalny program, który telewizja nadała o niej, obejrzała ze spokojnym rozbawieniem. Oczywiście, nakręcili go bez jej wiedzy i zgody. Według telewizji Ellie była samotnikiem bardziej niedostępnym i tajemniczym niż Neil Armstrong, a nawet Greta Garbo. Nie miała czasu na głupstwa. Ograniczenia komunikacyjne, które ją dotknęły, na szczęście nie dotyczyły ścisłej pracy naukowej, zdołała więc za pomocą telesieci asynchronicznej opracować z Vaygayem nowy długofalowy program obserwacji nieba. Na pierwszy ogień miał pójść Strzelec A z Centrum Galaktyki i Łabędź A - najsilniejsze pozagalaktyczne źródło radiowe. Teleskopy Argusa sprzężono fazowo z teleskopami w Samarkandzie w taki sposób, że razem tworzyły jeden radioteleskop wielkości Ziemi. Mógł on

wychwycić nadajnik wielkości wewnętrznego układu słonecznego z odległości takiej, jak z Ziemi do Centrum Galaktyki, mimo to Ellie wciąż nie była zadowolona. Na przykład, tamte dwie orbitujące czarne dziury byłyby na ich system odbiorczy za małe - potrzebowali radioteleskopu wystrzelonego na drugą stronę Słońca i pracującego w tandemie z Ziemią, tworząc radioteleskop o rozmiarach ziemskiej orbity. Dopiero wtedy mogliby z Centrum Galaktyki wyłapać coś tak małego, jak Ziemia lub nawet mniejszego, o rozmiarach Stacji.

Czas jej upływał na modyfikowaniu oprogramowania komputera Cray 21. Zaczęła też robić tak dokładne, jak obiecała Edzie i sobie, notatki z każdej nieomal minuty jaka upłynęła od ich „startu” w dodekahedronie po niefortunne „lądowanie”. Będąc w połowie prac, nagle uświadomiła sobie, że oto na jej biurku rodzi się amerykański samizdat... technologia maszyny do pisania i kalki... Po ukończeniu, oryginał z dwiema kopiami zamknęła w sejfie - obok żółknącej kopii Reguły Haddena, zaś trzecią odbitkę ukryła w szczelinie pod luźną obudową kasety elektronicznej teleskopu 49. Pałac kalki po raz pierwszy wdychała ich czarny, gryzący dym.

Po sześciu tygodniach zakończyła oprogramowanie i zanim wreszcie mogła pomyśleć o czymś innym - konkretnie o Palmerze Jossie - on sam wyrósł przed nią we własnej osobie.

Pozwolono mu na ten wyjątek tylko dzięki osobistej znajomości z Prezydent, choć nie obyło się bez masy telefonów w jedną i drugą stronę. Nawet tu, przed bramą Argusa, na swobodnym, nie lubiącym formalizmu Środkowym-Zachodzie, miał na sobie garnitur, białą koszulę i krawat.

Dziękując za wisiołek, dała mu liść palmy i nagle - w jakimś akcie desperacji, wyłamując kraty wielomiesięcznego milczenia i rzucając w kąt ostrzeżenia Kitza - opowiedziała Jossowi wszystko, do najmniejszego detalu.

Przyjęli taktykę Rosjan, którzy - gdy mieli do

porozmawiania o polityce lub innych drażliwych sprawach - nagle odczuwali gwałtowną potrzebę przechadzki. Od czasu do czasu Joss przystawał i zawracali z lekkim pochyłem ku sobie, jak powiedziałby postronny obserwator, aż w końcu Ellie po prostu wzięła go pod ramię. Joss słuchał z żywą uwagą, wtrącając inteligentne i życzliwe opinie, choć wszystko, w co wierzył, pozostawało z pewnością w głębokim konflikcie z opowiadaniem Ellie. Oczywiście - gdyby brał je serio. Jakkolwiek było, Ellie radował jego widok i cieszyła się, że może wreszcie pokazać mu Argusa - zwłaszcza że spór narodził się między nimi na temat Wiadomości należał już do spraw dawnych i nie burzących ich przyjacielskiej kompanii. Jakże żałowała, że wtedy, gdy spotkali się ostatnio w Waszyngtonie, nie mogła Jossowi poświęcić więcej czasu.

Jak gdyby od niechcenia podeszli ku metalowym schodkom oplatającym podstawę Teleskopu 49. Z ich szczytu rozciągał się zapierający dech w piersi widok na nie kończącą się linię stu trzydziestu radioteleskopów, w większości zaopatrzonych w koła i przesuujących się po własnych torach kolejowych - czegoś tak niezwykłego nie było na całej Ziemi. Ellie podważyła osłonę kasety elektronicznej i z powstałej w ten sposób szczeliny wyciągnęła pękata, żółtą kopertę z napisanym na niej nazwiskiem Palmera. Joss wsunął ją natychmiast pod połę marynarki, gdzie na wysokości piersi uformowała spory wzgórek.

Opowiedziała mu o nowym programie obserwacyjnym Strzelca A i Łabędzia A i w ogóle - o całym swym projekcie.

- Doszłam do wniosku, że strasznie długo by trwało, nawet za pomocą takiego komputera jak Cray 21, obliczać „pi” do dziesięć do dwudziestej miejsca po przecinku. Do tego nie mamy pewności, czy to, czego szukamy jest wewnątrz „pi”, czy może „e”, albo w którejś z rodziny liczb transcendentnych, o których mówili Vaygayowi. To może w ogóle być jakiś inny numer. Więc byłaby to strata czasu, obliczać całość, cyfra po

cyfrze, ale za to mamy w Argusie wspaniałą rzecz, którą wykorzystaliśmy już przy Wiadomości: algorytm dekodujący nastawiony na wyłapywanie każdej sekwencji cyfr, która komputerowi wyda się nieprzypadkowa. To nam wystarczy...

Z wyrazu twarzy Jossa wywnioskowała, że nie wszystko rozumie.

- ...chodzi o to, żeby nie obliczać miejsce po miejscu, bo to jest nieskończoność. Musimy szukać sekwencji nieprzypadkowych, bo to oznacza wiadomość ukrytą we wnętrzu tego węza cyferek. Mam prawie pewność, że chodzi o sekwencje zer i jedynek. Oczywiście, pojedynczych zer i jedynek, nawet ułożonych w przypadkowe kombinacje, będzie całkiem sporo, z pewnością dziesięć procent zer, dziesięć procent jedynek, jak przystało na proporcje w ramach dziesięciu podstawowych cyfr. Ale program wie, czego może się statystycznie spodziewać, dlatego zareaguje alarmem tylko na nieoczekiwanie długą sekwencję zer lub jedności...

- Nie rozumiem. Jeśli będziesz przelatywać po takich nieprawdopodobnie długich węzach cyfr, czy nie trafisz po prostu przez przypadek w końcu na taką sekwencję, jakiej poszukujesz?

- Oczywiście, może tak się zdarzyć. Ale możesz z rachunku prawdopodobieństwa określić szansę takiego zdarzenia. Co dzień Cray 21 przez parę godzin rannych pracuje wyłącznie nad tym moim programem. Nie musi już analizować Wiadomości otrzymywanej z zewnątrz. Również nie wprowadzamy do niego żadnych nowych danych. Ma tylko siebie w głowie, swoje wężyki cyfr. I jeśli coś znajdzie, powie nam. On nie odezwie się wcześniej, niż te cyferki przemówią do niego. To taki komputer, który kontempluje własny pepek.

- Nie jestem matematykiem, Bóg mi świadkiem. Wolałbym, żebyś podała jakiś przykład.

- W porządku - wsunęła palce do kieszonki na piersi dresu po kawałek papieru, ale nic nie znalazła. Pomyślała, żeby

sięgnąć pod marynarkę Jossa i napisać na kopercie, którą mu przed chwilą dała, ale to byłoby zbyt ryzykowne tu, na otwartej przestrzeni. Zresztą Joss już wyciągnął ku niej swój notes.

- Dziękuję. „Pi” zaczyna się cyframi 3, 1415926... Widzisz, że ta sekwencja nie nosi żadnych cech celowości. Cyfry pojawiają się jak bądź, owszem, jedynek występuje dwa razy, ale zaraz potem znika. Zresztą już teraz mogę ci powiedzieć, że statystycznie każda cyfra: 0, 1, 2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, i 9 zajmuje około dziesięć procent całej statystycznie znaczącej puli cyfr. Czasem trafia się przypadkowa sekwencja pozorująca celowość, na przykład, 4444, ale statystycznie jest bez wartości, bo już się nie powtarza. Ale teraz wyobraź sobie, że biegniesz wzdłuż tego węża, i nagle, same czwórki, setki czwórek w szeregu. Mogą one nie zawierać żadnej informacji, prawda, ale zgodzisz się, trudno coś takiego uznać za przypadek. Gdyby nawet uznać liczbę „pi” za wiek wszechświata, to idąc wzdłuż niej nigdzie, podejrzewam, nie zdarzyłaby się sytuacja, że sto czwórek ustawia się jedna za drugą bez żadnego powodu.

- Czyli robisz dokładnie to samo, co w przypadku Wiadomości? Tylko że wtedy posługiwałaś się teleskopami.

- Tak. W obu przypadkach szukam sygnału, logicznego wzoru ukrytego wewnątrz szumu.

- Ale to nie musi być sto czwórek? Bo masz na myśli wzór, który można przełożyć na język, czy tak?

- Właśnie. Wyobraź sobie, że któregoś dnia otrzymujemy długą sekwencję zer i jedynek. Wtedy, dokładnie tak, jak przy Wiadomości, możemy nawet przełożyć to na obraz. Jeśli w tej informacji jest on zawarty, ma się rozumieć. Wiesz, to może być po prostu wszystko.

- A czy może być tak, że wyłuskasz obraz z liczby „pi”, który okaże się literami hebrajskiego alfabetu?

- Z pewnością. Wielkimi czarnymi literami wykutymi w kamieniu. - Popatrzył na nią zmieszany.

- Przepraszam, Ellie, ale czy to wszystko nie jest trochę

zbyt... powikłane? Przecież nie należysz do buddyjskiego Zakonu Milczących? Dlaczego, zamiast grzebać się w liczbie „pi”, po prostu nie ogłosisz światu swej teorii?

- Palmer, gdybym tylko miała najmniejszy dowód, nikt nie powstrzymałby mnie. Ale nie mam dosłownie nic, dlatego ludzie tacy, jak Kitz, mówią, że ja kłamię. Że przeżywam halucynacje. Dałam ci tę kopertę, tam jest wszystko. Zapieczętuj ją u notariusza i zdeponuj w sejfie bankowym. Jeśli coś mi się stanie, ty będziesz mógł moją opowieść przekazać światu. Daję ci pełne upoważnienie, byś z tym robił, co chcesz.

- A jeśli nic ci się nie stanie?

- Jeśli się nic nie stanie? To wtedy, pracując nad tym, o czym ci powiedziałam, znajdę w końcu dowody potwierdzające moją prawdomówność. Z jednej strony, jeśli teleskopami wyłapiemy coś, co potwierdzi istnienie tamtych dwu czarnych dziur w Centrum Galaktyki lub jakąś olbrzymią sztuczną konstrukcję w Łabędziu A, a z drugiej, jeśli mój Cray 21 wyłuska z liczby „pi” jakąś wiadomość. To - puknęła Jossa palcem w pierś - będą moje dowody. I wtedy zacznę mówić pełnym głosem. A na razie... nie zgub tego.

- Ja wciąż nie rozumiem - wyznał Joss - zgodzę się, że we wszechświecie istnieje matematyczny porządek. Na przykład, prawo ciężenia i tak dalej. Cóż więc dziwnego, jeśli jakiś matematyczny porządek znajdziesz też w liczbie „pi”. Co ci to da?

- Jak to, nie rozumiesz? Mnóstwo mi da! Bo to nie będzie jakiś tam porządek, jakieś jedno czy drugie fizyczne lub chemiczne prawo. To będzie wiadomość. I to jaka! Od kogoś, kto stworzył wszechświat, kto ukrył ją w najważniejszej liczbie transcendentalnej, w liczbie „pi”, licząc na kogoś, za miliardy lat, kto to odczyta. Pamiętasz, krytykowałam ciebie i Rankina za to, że Bóg nie przysłał wam jakiejś wyraźniejszej wiadomości. Ale teraz już wiem, że to jest ta droga.

- Pamiętam bardzo dobrze. Uważasz więc, że Bóg jest

Matematykiem?...

- Coś w tym rodzaju.

- Więc szukasz Objawienia przez arytmetykę? Znam lepszą drogę.

- Palmer, moja droga jest jedyna. Ona przekona nas, że to, czego nas uczono, to prawda. Że życie to nie są wyścigi głupich gęsi, że w liczbie „pi” jest wiadomość od Boga i że trzeba szukać w innych transcendentálnych liczbach, może tam też coś się znajdzie, co przekona największych sceptyków. Znikną religijne sekty, każdy będzie miał jakieś nowe Pismo Święte, takie samo na cały świat. Skończy się udawanie cudownych uzdrowień, fałszowanie pergaminów, zbiorowe ekstazy i halucynacje. Każdy będzie mógł wierzyć.

Joss z niedowierzaniem pokręcił głową. W kącikach jego ust błąkał się lekki uśmieszek.

- Dlaczego tak ci zależy na tym, żebyś głośno mówiła światu, zamiast pracować, Palmer?

Dalej patrzył na nią z tym uśmieszkiem na wargach. Nic nie powiedział, więc dodała:

- Nie sądzisz, że nastąpiła dziwna... zamiana ról? Oto ja, wygłaszająca płomienną mowę, która ma przekonać sceptyka. A sceptykiem jesteś ty, i to dużo surowszym wobec mojej wiary, niż ja byłam wobec twojej.

- Och, nie Eleanor - znowu pokręcił głową - to nie to. To nie sceptycyzm. To po prostu fakt, że ja naprawdę wierzę.

- Jeśli tak, to na pewno nie w moją opowieść. Ona przecież nie mówi nic o Karze i Nagrodzie, o Adwencie i Wniebowstąpieniu. Ani razu nie występuje w niej Jezus, a głównym filozoficznym przesłaniem jest to, że nie stanowimy centrum kosmicznego planu, wręcz odwrotnie. Ale zapewniam cię, że wszystko, co mi się zdarzyło, nauczyło mnie pokory. Powiedziało mi, jaka jestem mała i jak niewiele mogę.

- Właśnie. Więc jaki wielki i wszechmocny jest Bóg.

Popatrzyła na niego zaskoczona, jakby wypowiedział jej

coś bardzo prostego, na co wcześniej nie wpadła.

- Od początku Ziemia krążyła wokół Słońca, ale był okres, że prawda ta nie odpowiadała władcom tej Ziemi - powiedziała w zamyśleniu - władcom świeckim i kościelnym. Więc wszyscy udawali, że Ziemia jest nieruchoma, bo prawda uczyniłaby zbyt małymi tych, którzy pragnęli być wielcy. Pragnęli władzy, więc bali się prawdy, bo przykładała lont do fundamentu ich siły. Tłumili prawdę, prawda była niebezpieczna. Zdajesz sobie sprawę, Palmer, że również niebezpieczne może być sprzyjanie moim prawdom?

- Wiele lat szukałem - odezwał się Joss - tyle lat... I nauczyłem się jednego: wierzę w prawdę, kiedy jej dotykam. Uważam, że każda wiara, która za cel stawia sobie poznanie prawdy, jest wiara, która pragnie Boga. Prawdziwego Boga, twórcy prawdziwego wszechświata. Słucham o twoim wszechświecie, Ellie... te wszystkie planety, te wszystkie świetlne lata. Owszem, i to jest królestwo Boga. Choć zawsze zastanawiała mnie wielka rola, jaką moim zdaniem przypisywano Ziemi. Przypuszczam, że chodziło o wywołanie w ludziach większego uspokojenia, poczucia bezpieczeństwa. Wszechświat, który ty opisujesz, ma rozmach. I czas. To coś dla takiego Boga, w jakiego wierzę. Mówisz, że ci brakuje dowodów. Nie potrzebujesz dowodów, jest ich dość. Łabędź A i te naukowe drobiazgi są dobre dla uniwersytetów, ale twoja prawda jest prosta i łatwa, znana od tysięcy lat. To, co zamierzasz rozgłosić po świecie, brzmi mniej więcej tak. Przymknął oczy i po chwili zaczął recytować:

We śnie ujrzał drabinę opartą o ziemię, sięgającą swym wierzchołkiem nieba, oraz aniołów Bożych, którzy wchodzili w górę i schodzili na dół... A gdy Jakub zbudził się ze snu, pomyślał:

„Prawdziwie Jahwe jest na tym miejscu, a ja nie wiedziałem...

Prawdziwie jest to dom Boga i brama do nieba”.

Mówiąc to, dawał się nieść natchnieniu, jakby przemawiał ze swej ambony do tłumu wypełniającego zbór. Gdy znów otworzył oczy, na jego twarzy pojawił się przepraszający uśmiech. Przez chwilę milczeli, idąc wzdłuż szeregu wymytych do biała olbrzymów - teleskopów wycelowanych w niebo.

- Jak widzisz, twoja historia to nic nowego. Już wcześniej coś podobnego się zdarzyło, co na pewno gdzieś w głębi duszy przyznawałaś przed sobą. Oczywiście, w opowieści z Księgi Rodzaju nie ma mowy o żadnych detalach, o których ty mówiłaś. Zresztą, jakżeby mogły tam się znaleźć. Tamten tekst operuje słowami zrozumiałymi dla współczesnych Jakubowi. Więc i twoje zdarzenie operuje językiem naszych czasów. Eleanor, mam wrażenie, że możesz zrobić coś ważnego. Ludzie będą ci wierzyć. Miliony na całym świecie. Ja wiem, czuję to, Eleanor... - dodał jakby jakaś myśl nagle zaświtała mu w głowie.

Ale ona pokręciła głową z powątpiewaniem. Przez chwilę znów szli w milczeniu.

- W porządku. Rozumiem. Pracuj i niech ci ta praca służy. Ale spiesz się, gdyby coś ci nie wychodziło. Jeszcze przed 1 stycznia 2001, proszę o to dla siebie. Nie tylko dla siebie, Ellie... Już tylko niecały rok został do Milenium - powiedział prawie proszącym głosem.

- Dobrze. Ja też ciebie rozumiem. Umówmy się, że jeśli nie znajdę niczego w „pi”, poważnie wezmę pod uwagę wygłoszenie serii odczytów. Przed 1 stycznia, obiecuję. Może przekonam Edę i paru innych, którzy też zechcą mówić, o'kay?

W milczeniu doszli do Argusa. Obrotowe sikawki spryskiwały lichej trawnik. Wciąż milcząc przeskoczyli bajoro wody, która na tej wyschniętej ziemi zdawała się czymś obcym, z innej planety.

- Czy byłaś kiedyś zameżna? - spytał wreszcie Joss.

- Nie, nigdy. Chyba po prostu nie miałam czasu pomyśleć.

- A zakochana? - zabrzmiało drugie, zbyt może bezpośrednie pytanie.

- Parę razy. I też nie całkiem. Sygnał, który do mnie docierał - podniosła wzrok ku najbliższemu teleskopowi - widocznie był za słaby. Ginał w szumie. A ty?

- Nigdy - odpowiedział bezbarwnym głosem. Urwał, i po chwili podjął z bladym uśmiechem - ale za to mam wiarę.

Postanowiła na razie nie nalegać na wyjaśnienie tej dość mętnej odpowiedzi. Po paru schodkach weszli do Argusa, by obejrzeć dumę Argusa - komputer Cray 21.

ROZDZIAŁ 24

Podpis Autora

Oto ogłaszam wam tajemnicę: nie wszyscy pomrzemy, lecz wszyscy będziemy odmienieni.

Pierwszy List do Koryntian 15:51

Wbiegła po schodach do domu starców i na świeżo pomalowanej zieloną farbą werandzie, podzielonej równymi szeregami pustych bujanych foteli, ujrzała Johna Staughtona zgarbionego, nieruchomego, z bezwładnie opuszczonymi ramionami. W prawej dłoni ścisnął uchwyt plastikowej torby, w której widać było foliowy czepek kąpielowy, kosmetyczkę w kwiaty i parę bamboszy z różowymi pomponami.

Zatrzymał na niej swój wzrok i wymamrotał:

- Nie żyje. Nie wchodzi. Nie patrz na nią. - Ellie zatrzymała się.

- Ona by nie chciała, żeby ją oglądać. Wiesz, jak zawsze dbała o swój wygląd - dodał prosząco.

Ellie z trudem pohamowała impertynencki odruch, by obrócić się na pięcie i odejść. Na zgnębionej twarzy Staughtona malował się prawdziwy ból - on naprawdę kochał matkę, Ellie miała przed sobą żywy tego dowód. Może - przemknęło jej przez myśl - nawet bardziej niż ja? Nagle załapała ją fala litości nad sobą: od tylu lat matka niedomagala, że Ellie w końcu przestała zastanawiać się, jak zareaguje na wiadomość o jej śmierci. Jest na to zupełnie nieprzygotowana. Przypomniała sobie, jak pięknie matka wyglądała na zdjęciu, które jej przysłał Staughton i ciałem jej wstrząsnął szloch.

Staughton, poruszony jej bólem, zbliżył się, by ją objąć. Lecz Ellie była szybsza: obiema dłońmi prędko poprawiła

włosy, otarła oczy i wyraz pełnej samokontroli wrócił na jej twarz. Za żadne skarby nie objęłaby Staughtona - byli sobie obcy i nie wyobrażała sobie jakiegokolwiek kontaktu z jego ciałem. Choć głupotą było - wciąż powtarzała sobie - obwiniać Staughtona o wszystko... nawet o śmierć Ojca.

- Jest tu coś dla ciebie - powiedział pod nosem i pogrzebał w plastikowej torbie. Parę drobiazgów z dna powędrowało na wierzch i Ellie ujrzała portfelik z imitacji skóry oraz pudełeczko na sztuczne zęby. Odwróciła wzrok, a kiedy znów spojrzała na Staughtona, wyciągał ku niej rękę ze spłowiałą od starości kopertą.

- Dla Eleanor - odczytała z odległości pismo matki i uczyniła krok ku niemu, ale on cofnął się zasłaniając twarz kopertą, jakby Ellie zamierzała mu dać w twarz.

- Zaczekaj - powiedział - coś musimy między sobą ustalić. Mało jest rzeczy, które zrobiłabyś dla mnie, ale tę jedną mi obiecaj. Nie przeczytasz tego listu wcześniej niż dziś wieczorem.

Mówił z trudem. Ból ściągający mu twarz czynił go prawie starcem.

- A dlaczegóż to? - zaczętnie odpowiedziała.

- Twoje ulubione pytanie. Po prostu zrób mi tę jedną uprzejmość. Czy muszę się tłumaczyć?

- No dobrze - powiedziała. - W końcu to nic wielkiego. Przepraszam.

Staughton przeszył ją przenikliwym spojrzeniem.

- Cokolwiek spotkało cię w tej Maszynie - powiedział - może cię odmieniło.

- Miejmy nadzieję, John - odparła bezskutecznie próbując nadać głosowi cieplejszy ton.

Zadzwoniła do Jossa z pytaniem, czy nie odprawiłby pogrzebu.

- Nie muszę ci przypominać, że nie jestem zbyt religijna, ale moja matka była wierząca, choć nie praktykowała. Jesteś

najwłaściwszą osobą, mój ojczym na pewno cię zaakceptuje.

Joss bez wahania wyraził zgodę. Przyleci pierwszym samolotem, zapewnił.

W swym hotelowym pokoju wpatrywała się w kopertę i dotykała jej palcami, czując każdą nierówność, każde załamanie papieru. Był już poźólkły, więc matka musiała napisać ten list dawno temu i trzymać go w jakiejś kieszonce torebki, zastanawiając się nad najwłaściwszym momentem, aby go wręczyć Ellie. Nie widać było, by ktoś go próbował otwierać i ciekawa była, czy Staughton zna jego treść. Obok gwałtownego pragnienia, by kopertę rozdrzeć już teraz, tlił się w niej również jakiś dziwny lęk. Z kolanami podciągniętymi pod brodę i z listem przed oczami medytowała w wyliniałym, głębokim fotelu.

Odezwał się dzwonek i dość hałaśliwie ruszył jej telefax. Połączony był z komputerem Argusa, ale tym razem - choć serce drgnęło jej na wspomnienie dawnych wydarzeń - niech poczeka. Cokolwiek Cray 21 znalazł dla niej - nie ma pośpiechu, nawet, albo - szczególnie, jeśli to jest wiadomość od tak dawna ukryta w liczbie „pi”. Czekala miliardy lat, poczeka jeszcze trochę.

Znów wbiła wzrok w kopertę, ale dzwonek faxu ponownie zaterkotał. Jeżeli jest jakaś informacja zawarta w liczbach transcendentnych - rozmyślała - to tylko taka, która dotyczy podstaw geometrii wszechświata. Jakiegoś absolutu, czegoś zupełnie i nieodwołalnie podstawowego. Nowy projekt Ellie był więc zakrojony nie tyle na miarę nauki, ale wręcz jakiejś fantastycznej teologii... Cóż, tak jest z każdą dziedziną wiedzy, jeśli się w nią wchodzi głęboko.

PROSZĘ CZEKAĆ, wydrukowało się na ekranie telefaxu.

Pomyślała o ojcu... no cóż, o imitatorze ojca... i o Gospodarzach w Galaktyce, i o sieci tuneli przeszywających

Kosmos. Przypuszczalnie dano jej szansę, by towarzyszyła narodzinom życia na milionach planet. Była blisko tych, którzy stwarzają galaktyki, zamykając lub otwierając całe sektory Kosmosu. A przecież... choć tak bardzo pragnęli przypominać bogów, było w nich coś niedoskonałego. To nie oni zbudowali tunele, chyba nawet nie byliby w stanie tego zrobić. Nie oni wbudowali wiadomość w liczby transcendentalne i co gorsza - nie umieli jej odczytać. Budowniczości Tuneli i Matematycy Liczby „Pi” to była zupełnie inna klasa cywilizacji. Której już nie ma. Nie zostawili adresu, pod jakim należy przekazywać listy. Gdy odeszli, zostawili Gospodarzom cały spadek, z którym - jak porzucone dzieci - nie bardzo wiedzieli, co począć. Jak ona, dokładnie tak...

Myślała o hipotezie Edy przyrównującej tunele do robaczych dziur, do kanalików wydrążonych w jabłku kosmosu i łączących ze sobą niezliczone gwiazdy. Przypominały czarne dziury, choć miały inne cechy i inne pochodzenie. Nie były całkiem bez masy, bo sama widziała jak w pierścieniach Vegi zostawiały za sobą grawitacyjne smugi. To tamtędy podróżowały statki i istoty zamieszkujące Galaktykę... Robacze dziury. W żargonie fizyków teoretycznych kosmos był jabłkiem, wewnątrz którego krzyżują się niezliczone wydrążone tunele. Dla bakterii żyjącej na skórcie coś takiego zakrawałoby na cud, ale dla obserwatora z zewnątrz takie jabłko po prostu jest zepsute. Jeśli Budowniczości Tuneli byli robakami, to kimże jesteśmy my?

Komputer Argusa wszedł głęboko w liczbę „pi”, głębiej niż ktokolwiek na Ziemi - człowiek lub maszyna, a mimo to nie tak głęboko, jak zamierzali Gospodarze. Jeszcze za wcześnie - pomyślała - by zaczęła się jakakolwiek dłuższa sekwencja, której istnienie sugerował jej Teodor Arroway. Może to tylko wczesny sygnał? Zapowiedź czekających ją atrakcji? Jakaś umieszczona przed właściwą wiadomością przynęta, by poszukujący nie tracił ducha i szedł dalej? Czymkolwiek by

było, to z pewnością nie jest ta informacja, której poszukiwali na Stacji. Przypuszczalnie są w liczbach transcendentálních wiadomości łatwe i trudne - więc Cray 21 znalazł akurat jedną. Łatwą. Do tego przy pomocy.

Znowu spojrzała na ekran telefaxu, na którym pojawił się napis: PROBLEM Z TRANSMISJĄ. S/N 10. PROSZĘ CZEKAĆ.

Połączenie jej faxu z Argusem odbywało się przez satelitę Defcom Alpha - to pewnie tam coś nawaliło w kontroli długości geograficznej albo w programowaniu. Nagle, nim zdążyła pomyśleć nad tym, co robi, rozdarła kopertę.

W nagłówku papieru listowego ujrziała SKLEP ŻELAZNY ARROWAY. Czcionka pochodziła ze starego royala, który trzymano w domu do korespondencji prywatnej i dla listów w interesach. W prawym górnym rogu widniała data: 13 czerwca 1964 roku. Była wtedy w piętnastym roku życia, a ojciec nie żył już od paru dobrych lat. Pod tekstem widniał staranny podpis: Twoja Mama.

Moja słodka Ellie - czytała przez zasłonkę napływających jej do oczu łez - czekałam z tym listem do swej śmierci, gdyż może przez ten fakt znajdziesz w swym sercu jakąś dla mnie litość. Zgrzeszyłam przeciw tobie, i nie tylko tobie. Ale lękałam się, że mnie znienawidzisz, gdybym powiedziała ci prawdę, bo wiem, jak kochałaś Teodora Arroway. Chcę, żebyś była pewna, że ja też - kochałam i kocham nadal, ale on nie był twoim ojcem, Ellie. Jesteś córką Johna Staughtona - wiem, jak cię ranię. Zgrzeszyłam, bo byłam słaba, ale gdyby tak się nie stało, nie przyszedłabyś na świat, więc proszę, pomyśl i o tym, gdy będziesz czyniła nade mną sąd. Ted o tym wiedział i wybaczył mi. Postanowiliśmy, że utrzymamy to w tajemnicy przed tobą, ale patrzę teraz przez okno i widzę jak siedzisz na podwórzu i spoglądasz w niebo. Rozmyślasz o gwiazdach i pewnie nie wiesz, jak bardzo jestem dumna z

ciebie.

Jeśli John żyje, gdy czytasz moje słowa, to on właśnie wręczy ci ten list. Jest lepszym człowiekiem, niż myślisz, Ellie. Wielkie szczęście mnie spotkało, że wrócił do mnie, choć ty go nienawidzisz - może dlatego, że jakąś częścią siebie przeczuwasz prawdę. Wiem jednak, że nie lubisz go przede wszystkim dlatego, że nie jest Teodorem Arroway.

Wciąż tam siedzisz, na podwórku. Nie ruszyłaś się, odkąd zaczęłam ten list. Myślisz i myślisz - mam nadzieję, modłę się o to, że czegokolwiek pragniesz - otrzymasz. Wybacz mi. Byłam tylko człowiekiem.

Wpierw pospiesznie pochłonęła treść listu, by po chwili, przetarłszy łzy, drugi raz przeczytać go spokojnie. Oddychała z trudem, jej ręce pokryły się lepkiem potem. Oszustwo zmieniło się w prawdę. Przez całe życie odrzucała kogoś, kto był jej prawdziwym ojcem, obdarzając uczuciem podstawiony jej fantom. Z jaką żelazną wolą odpierała wszelką myśl, że Staughton mógłby grać rolę jej ojca - te wszystkie jej dziewczęce bunty, gdy próbował narzucić jej swe zdanie. Telefax znów nerwowo zadzwonił. Prosił, żeby nacisnęła klawisz „return”. Lecz ona nie miała już na to ochoty. Wiadomość będzie musiała zaczekać. Była w niej tylko matka, i Oj... nie, nie ojciec. Teodor Arroway. I John Staughton, który przez tyle lat łykał upokorzenia, bo była zbyt zapatrzona w siebie, by dostrzec kogokolwiek poza nią samą. Jakże pragnęła, by Palmer Joss był tu w tej chwili.

Telefax znów zadzwonił i ruszył, mimo braku odzewu, jakby próbował, czy ona tam jest. Tak zaprogramowała komputer, że radził sobie sam, nawet gdy nie otrzymał odpowiedzi. Zbyt była w tej chwili zajęta odkrywaniem mitologii własnego życia, aby zajmować się mitologią „pi”. Matka siedziała przy biurku tam, w sypialni na piętrze i patrząc przez okno na Ellie, zastanawiała się nad każdym słowem, które

zostawi swej córce - trudnej, zbuntowanej, krnąbrnej. Ten list to był ostatni matki prezent. Szansa dana Ellie, by pokornie przeszła swoje życie wstecz i powróciła - odmieniona. Nad stolikiem, na którym stał fax, wisiało lustro. Ujrzała w nim kobietę ni młodą, ni starą... Dobrze, że przez lata trzymali tę wiadomość w tajemnicy - bo nie byłaby zdolna jej odebrać ani rozszyfrować. Nawet nie spróbowała wsłuchać się w szum, który całkowicie zapanował między nią a jej bliskimi. Całe życie i całą swą karierę oddała nasłuchiowaniu wiadomości z zimnych, obcych planet, kiedy w swym własnym życiu nie potrafiła nawiązać najmniejszego kontaktu z tymi, którzy ją kochali. Namiętnie zgłębiała mity, rzucając się nawet na religie, a była głucha i ślepa na Prawdę, którą niosło ku niej własne życie. Przez wszystkie lata z natężeniem wsłuchiwała się w kosmos, nie słysząc Wiadomości, którą od początku nosiła w sobie: istoty małe, jakimi jesteśmy, stają się wielkie tylko poprzez miłość.

Komputer w Argusie zdenerwował się na brak odpowiedzi do tego stopnia, że włączył własną analizę, informacji. Anomalia w transmisji dotyczyła arytmetyki Base 11, gdy trzeba było ją przełożyć na ciąg jedynek i zer. Porównując z tym, co nadeszło z Vegi, obecny wzór - po przekształceniu go przez komputer - wyglądał bardzo prosto: zwykły kwadratowy diagram, mający tyle samo linijek z góry w dół, co w poprzek. W pierwszej linijce od góry, z lewa w prawo ciągnęły się same zera. W drugiej - dokładnie pośrodku zer pojawiła się jedyńska, która w każdej następnej linii przesuwiała się o jedno miejsce w lewo i w prawo pośród zer tak, że wkrótce z jedynek zaczął się formować wyraźny łuk, który przeszedł w półkole. Po minięciu środka, jedyński ponownie zaczęły zbliżać się ku sobie, aż w ostatniej linii znów były same zera.

Oto, co wyłoniło się z głębin transcendentalnej liczby, z

gąszczy rozpięrzonych cyferek, z tajemnicy, którą usiłowała rozwikłać. Okrąg - doskonały, spokojny, wiekuisty okrąg wypisany jedykami wśród zer.

Wszechświat jest celowy - mówił on - i gdziekolwiek się znajdziesz, w obcej galaktyce, gwiazdzie czy na Ziemi, zawsze z obwodu koła podzielonego przez średnicę powstanie cud - koło następne, wyłonione z głębin odległych o kilometry ułamka dziesiątego. Więc jeśli chcesz pójść w tę głębię - znajdziesz coraz wyraźniejszą Wiadomość. Jest ona wszędzie, zawarta w każdej rzeczy i dla każdego, komu dano życie, dostępna. Nie trzeba po nią wędrować w inne światy - wystarczy rozejrzeć się wokół siebie. Lub zajrzeć w głąb własnej duszy. To mały, prawie niewidoczny Podpis Autora, którym wszystko, co istnieje, jest opatrzone. To Mądrość, która poprzedziła wszechświat i z której wszystko powstało - ludzie, demony, gospodarze i Budowniczości Tunelu - to okrąg, który się zamyka.

A gdy się zamknie - znajdzie, czego szukała.